

W CIENIU BANGOR



ANTOLOGIA INSPIROWANA
PROZĄ STEPHENA KINGA

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2020

Dom Horroru
Gorlicka 66/26
51-314 Wrocław

Copyright © Juliusz Wojciechowicz: Nienawistna spluwa; Niedopałki, 2020
Copyright © Anna Musiałowicz: Jak kamień w wodę; Wszystkie jego kobiety; Napisz o mnie,
2020
Copyright © Marek Zychła: Jeanie Johnston, 2020
Copyright © Sandra Gatt Osińska: Krzyś, 2020
Copyright © Krzysztof Maciejewski: Lecząc księżyc; Strzępy skóry; Dziewczynka ze szczelin,
2020
Copyright © Flora Woźnica: Widzieć więcej, 2020
Copyright © Kornel Mikołajczyk: Psy Rafała Kuzio, 2020
Copyright © Agnieszka Osikowicz-Chwaja: Cmentarz na wyspie, 2020
Copyright © Przemysław Karbowski: Dzień z życia rzemieślnika; Śmierć wilkołaka, 2020
Copyright © Barbara Mikulska: Mój, tylko mój, 2020
Copyright © Piotr Sawicki: Karyna, 2020
Copyright © Joanna Pyłacz: Mabel, 2020
Copyright © Jacek Piekiełko: Chłopiec z zapalkami, 2020
Copyright © Dagmara Adwentowska: Rehot, 2020
Copyright © Grzegorz Kopiec: Jessy, 2020
Copyright © Agnieszka Kwiarkowska, Zegarmistrzyni, 2020
Copyright © Kacper Kotulak: Full Plastic Jacket; Przystanek Poprzeczna, 2020
Copyright © Agnieszka Biskup: Ostatnie wakacje w Zawadach, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redaktor wydania: Juliusz Wojciechowicz
Redakcja: Juliusz Wojciechowicz, Anna Musiałowicz
Korekta: Anna Musiałowicz, Barbara Mikulska

Projekt okładki: Maciej Kamuda
Skład: Sandra Gatt Osińska

Wydanie I
ISBN: 978-83-66518-29-2

www.domhorroru.pl
facebook.com/domhorroru
instagram.com/domhorroru

SPIS TREŚCI

Wstęp

Juliusz Wojciechowicz
Nienawistna spluwa
Niedopałki

Anna Musiałowicz
Jak kamień w wodę
Wszystkie jego kobiety
Napisz o mnie

Marek Zychla
Jeanie Johnston

Sandra Gatt Osińska
Krzyś

Krzysztof Maciejewski
Lecząc księżyc
Strzępy skóry
Dziewczynka ze szczelin

Flora Woźnica
Widzieć więcej

Kornel Mikołajczyk
Psy Rafała Kuzio

Agnieszka Osikowicz-Chwaja
Cmentarz na wyspie

Przemysław Karbowski
Dzień z życia rzemieślnika
Śmierć wilkołaka

Barbara Mikulska
Mój, tylko mój

Piotr Sawicki

Karyna

Joanna Pypłacz

Mabel

Jacek Piekiełko

Chłopiec z zapalkami

Dagmara Adwentowska

Rehot

Grzegorz Kopiec

Jessy

Agnieszka Kwiatkowska

Zegarmistrzyni

Kacper Kotulak

Full Plastic Jacket

Przystanek Poprzeczna

Agnieszka Biskup

Ostatnie wakacje w Zawadach

Wstęp

Drogi Czytelniku,

Książka, którą oddaję w Twoje ręce, to w dużej mierze zasługa Stephen Kinga, choć on sam w jej powstaniu nie uczestniczył. Taki już jego los – symbolu literackiej grozy rozpoznawalnego na całym świecie, znaku towarowego na wzór „coca coli” – nawet jeśli ktoś nigdy nie pił, ba, nawet jak nie trzymał napoju w ręce i tak wie, o co chodzi.

Ale Stephen King to przede wszystkim bezkompromisowy marzyciel, (nie)zwykły człowiek, któremu sen na jawie wszedł w nawyk, który potrafi ten sen ubrać w słowa i przeszczepiać na grunt wyobraźni (dziesiątek, setek?) milionów czytelników.

Dlaczego więc produkować kolejną pozycję na rynku wydawniczym z nazwiskiem króla horroru w tle?

Bo spośród rzeszy czytelników Kinga wyrastają kolejne pokolenia pisarzy, ludzi, którzy tak jak on, nie boją się marzyć na jawie, pragną opowiadać swoje historie i zarażać nimi umysły bliźnich. Każdy po swojemu, każdy inaczej, każdy czerpiąc mniej lub więcej ze spuścizny Mistrza z Bangor. I co najważniejsze, bez względu na płeć.

Gdyby ta książka miała zostać wydana po angielsku, dałbym jej tytuł *What if...? (A co jeśli...? Co by było, gdyby...?)*. To główna „zasada”, złota recepta, według której Stephen King tworzy swoje opowieści, zarazem pierwsza i najważniejsza rada, jakiej udziela początkującym pisarzom cierpiącym na brak weny twórczej. Parafrazując wybiórczo wypowiedzi Kinga, mogłoby wyglądać to tak:

Usiądź wygodnie, przypomnij sobie czas, kiedy miałeś sześć, osiem, może dziesięć lat, zapomnij, że jesteś dorosły, rozejrzyj się wokół i zadaj sobie pytanie: „co by było, gdyby?”. Nieważne czy akurat jesz śniadanie, prowadzisz auto, siedzisz przy biurku w pracy czy ogarniasz poranną toaletę w zaciszu pozornie bezpiecznej łazienki, zastanów się nad magią, która może się zdarzyć w całkiem zwyczajnej rzeczywistości. A kiedy już dojdiesz do momentu, gdy twój zsywacz chce cię zabić, twój posiłek postanawia cię skonsumować, twoje auto planuje odebrać ci stery i prowadzić się samo, a w

głębiny klozetu wciągają cię łasice z kosmosu, zapytaj: dlaczego, do cholery, tak się dzieje?

Tylko tyle i aż tyle. Recepta wydaje się banalna, ale sprawdza się znakomicie. Przynajmniej w moim przypadku i, jak podejrzewam, w przypadku autorów, których do udziału w projekcie *W cieniu Bangor* zaprosiłem.

Jakie kwestie i w jakich sytuacjach rozpatrywali, niech pozostanie ich słodką tajemnicą, natomiast ja mam do Ciebie, Czytelniku, również kilka pytań:

Co by było, gdyby postaci z obrazów potrafiły żyć własnym życiem, gdyby samochody były zazdrosne i mściwe, bezludne wyspy zamieszkiwały prastare bóstwa, aniołem stróżem okazał się demon stróż?

A co jeśli w papierosach można byłoby zakłąć emocje, dziecięce dusze uwięzić na granicy życia i śmierci, wredne spluwy wysługiwałyby się ich właścicielami jak pasożyt żywicielem, szaleni artyści utkwili w piekle swoich umysłów, opętane żądzą mordy stado psów otoczyło samotną leśniczówkę?

Zainteresowany?

I wreszcie czy, tak po prostu, kochasz stare dobre kryminały, w których trup ściele się gęsto, a tajemnica wykracza poza racjonalne jej pojmowanie albo opowieści, gdzie mitologia staje w szranki z pop-kulturą i miejskimi legendami?

A może lubujesz się w klasycznych gotyckich romansach wtłoczonych w paszczę horroru lub tęsknisz za klimatem PRL-owskich kolonii i obozów dla młodzieży, podczas których ciekawskie dzieciaki popadają w koszarne tarapaty?

Poczułeś dreszcz ekscytacji?

Zabieram Cię więc w podróż po magicznych światach wykreowanych w przesiąkniętych *łsnieniem* umysłach kilkunastu pisarzy, na wycieczkę po wielkich miastach i tajemniczych wioskach, przejażdżkę po szutrowych drogach i niekończących się autostradach, na surwiwalową przygodę w leśnych ostępach i pustynnym bezkresie, zabieram Cię w podróż po książce *W cieniu Bangor* – antologii inspirowanej duchem prozy Stephena Kinga.

W tym opasłym (po)tworze, choć dedykowanym miłośnikom twórczości Stephena Kinga, nie uświadczysz przekalkowanych opowieści Władcy Castle Rock, stylizowanych prób kopiowania króla grozy czy utworów

o charakterze „fan-fiction”. Możesz natomiast spodziewać się mnóstwa mrugnięć okiem do twórczości Kinga i do niego samego, całej masy drobnych, zaklętych w szczegółach niuansów, których wyłapywanie przysporzy Ci sporo frajdy, bo zakładam, że w jakiś sposób Stephen King jest Ci bliski, tak jak nam, autorom niniejszego zbioru nowel i opowiadań. Jeżeli jakimś cudem jednak sięgasz po *W cieniu Bangor*, nie znając twórczości pisarza z Maine, to mam nadzieję, że lektura tej książki zachęci Cię do zapoznania się z jego przebogatym dorobkiem literackim. Naszym również, choć nieco mniej bogatym.

Tymczasem życzę Ci owocnej w niezapomniane wrażenia lektury i do zobaczenia... w Derry, Castle Rock albo po prostu: na półce w księgarni, spotkaniu autorskim.

Kolegom zaś i koleżankom po piórze serdecznie dziękuję za wspaniałe teksty, za zaufanie i współpracę. To wielka rzecz mieć okazję i przyjemność współtworzyć z Wami takie projekty.

Wydawcy również dziękuję za możliwość publikacji *W cieniu Bangor*, za sporą swobodę w działaniu i wsparcie. Dom Horroru to – jakby nie patrzeć – dom nas wszystkich, gatunkowych fanatyków, w każdej jego możliwej odsłonie.

– **Juliusz Wojciechowicz**

JULIUSZ WOJCIECHOWICZ

Prozaik, publicysta, redaktor, twórczo skupiony na literackiej grozie, grotesce oraz literaturze fantastyczno-obyczajowej. Autor kontrowersyjnego zbioru opowiadań *Bez znieczulenia* (Gmork, 2016), pomysłodawca, współautor i redaktor książek: *Pokłosie* (Gmork, 2015), *Hardboiled* (Gmork, 2015). Publikował w licznych antologiach grozy i czasopismach fantastycznych. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Polskiej Literatury Grozy im. Stefana Grabińskiego. Członek grupy filmowej Attic Film Production.

Nienawistna spluwa

Długowieczność i dilerka nie idą w parze. Tyczkowaty chłopak o krótko przyciętych włosach i niezdrowo bladej, typowej dla niedożywionej biedoty cerze najwyraźniej nie posiada tej wiedzy. Stoi tyłem do ulicy, w nonszalanckim rozkroku, na schodach jednorodzinnego domu i znudzony drapie niewielką bliznę na podbródku. Drugą rękę chowa w głębokiej kieszeni szarej bluzy z kapturem. Zniecierpliwiony oczekiwaniem wystukuje nieskładny rytm podeszwą przechodzonego mokasyna. Jego wyblakłe, tu i ówdzie nadprute džinsy domagają się prania. Na tle okazałego budynku z czerwonej cegły i pomalowanych na jaskrawą żółcień schodów ten bezbarwny młokos wygląda jak postać wycięta z czarno-białego filmu. Lubi nie rzucać się w oczy i szare ciuchy ułatwiają mu to zadanie w betonowo-nijakiej dzielnicy, w której działa na co dzień. Dzisiaj, po raz pierwszy w swoim krótkim żywocie handlarza amfetaminą, zawitał na luksusowym osiedlu. Tak krzykliwie kolorowym, że tylko odziany w hawajską koszulę i bermudy do surfingu mógłby próbować wtopić się w otoczenie.

Puka ponownie do drzwi. Wyraźnie słyszy stłumione odgłosy krzątania wewnątrz budynku. Nie jest przyzwyczajony do czekania na klienta. Zazwyczaj musi się opędać od trawionych narkotycznym głodem natrętów o pustych oczach i równie pustych portfelach. Może to właśnie jest wyjście z sytuacji? Świadomy, zamożny klient w eleganckim domu, który, co prawda, każe na siebie czekać, ale zamawia towar hurtowo i płaci nowiutkimi setkami prosto z bankomatu.

Chłopak podnosi dłoń, by zapukać po raz trzeci, ale wtedy odgłosy krzątania cichną. A potem ze środka pada strzał, który rozrywa drzwi na pół. Chłopaka też rozrywa. Biedak raczej nie żyje na tyle długo, by poczuć uderzenie o ziemię. Za to jego garderoba zdecydowanie nabiera wyrazistego koloru.

Dymiące lufy dubeltowego obrzyna wyzierają na zewnątrz. Obniżają się, jakby kłaniały się publiczności. Drżą przez chwilę. Następnie gwałtownie

pochylają się ku żółtym stopniom schodów. Robert Starski wypuszcza broń ze spoconych dłoni. Strzelba upada tuż obok wciąż krwawiącego trupa.

Robert ma trzydzieści trzy lata, nalaną twarz doświadczonego imprezowicza i pokaźny, galaretowaty brzuch, który wylewa mu się z nad paska przyciasnych rurek. Ma też spory problem. A nawet dwa. Wymiana drzwi to pestka w porównaniu z kłopotem w postaci rozerwanych na strzępy zwłok nastoletniego dilerka.

Wyciera mokre od potu dłonie w niebieską koszulkę polo, odchrząkuje chrapliwie; nie może opanować drżenia dolnej wargi. Jest wciąż na dziwnym rauszu towarzyszącym mu od wczoraj, w stanie odurzenia, który zdecydował o wpakowaniu tony śrutu w cherlawe ciało handlarza prochami. Robert nie odczuwa wyrzutów sumienia. Ma wyśmienity nastrój, choć nieco przyblakły świadomością popełnienia przestępstwa. Czynu przypisanego odpowiedniemu paragrafowi kodeksu karnego, za który wędruje się do paki. A tego mężczyzna woli uniknąć.

Rozgląda się po okolicy. Godzina jedenasta przed południem to martwa godzina w luksusowych osiedlach na przedmieściach. Zwłaszcza tych wciąż skąpo zaludnionych. Czasem urzędnicza opieszałość w podejmowaniu decyzji o oficjalnym dopuszczeniu budynków do zamieszkania bywa na rękę niezbyt ostrożnym mordercom. Nic tak jednak nie obniża wartości nieruchomości, jak fakt, że w sąsiedztwie zastrzelono dzieciaka o szemranej renomie. Natomiast finansowym samobójstwem całego osiedla byłaby powszechna wiedza, że strzelał deweloper. Osobiście i z premedytacją. Starski musi działać błyskawicznie.

Trzymając chłopaka pod ramiona, wciąga go z powrotem na schody. Klnie pod nosem, gdy na trzecim stopniu denat niespodziewanie robi się dużo lżejszy – zostawia za sobą komplet wnętrzości. Nogi trzymają się tułowia tylko dzięki nienaruszonemu kręgosłupowi.

Przynieść z garażu zapasowe drzwi, uszkodzone spalić w kominku – notuje w pamięci Starski, walcząc ze zwłokami o kolejny stopień. – Truposza znieść do piwnicy. – Zauważa, że myśli na głos. – Znosić? Sturlam skurwiela, może się nie rozleci. – Teraz już niemal krzyczy. – Potem zastanowić się, jak pozbyć się ciała i strzelby. – Kolejne rozterki wyraża już w bezpiecznym zacisku swojego umysłu. – Użyć myjki ciśnieniowej do usunięcia krwawego syfu z chodnika. A potem wciągnąć porządną kreskę. Towar nie może się zmarnować.

* * *

To jest zwyczajna kłótnia zwyczajnych ludzi. On jest pijany i dzierży w dłoni strzelbę. Ona, całkiem trzeźwa, trzyma w drżących dłoniach pomięte zdjęcie jakiegoś młodzieńca i krzyczy, że to nie jest tak, jak on myśli. On nie wierzy w ani jedno jej słowo. Wie, że to mogło się skończyć wyłącznie w ten sposób. Różnica wieku pomiędzy małżonkami zazwyczaj doprowadza w końcu do zdrady. Gdy się pobierali, on dobiegał czterdziestki i czuł się jak młody bóg, ona właśnie ukończyła dwadzieścia jeden i myślała, że poślubia księcia z bajki. Teraz, po piętnastu latach wspólnego pożycia, klęczy przed zapijaczonym księciem-impotentem i błaga o życie. Z poziomu rozporka ukrywającego martwy kawałek mięsa patrzy w twardo wzwiedzione lufy jego dubeltówki.

– Stephen, nie musisz tego robić! Przecież ja cię kocham. – Chwyta dłonią końcówkę obrzyna i zaciska palce w obronnym geście.

– Też cię kocham i dlatego muszę – odpowiada Stephen, choć kobieta odnosi wrażenie, że rozmawia z bronią.

– W takim razie bądź przeklęty, pierdolony nieudaczniku! Ty i twoja cholerna strzelba. Wal się... A nie, zapomniałam, że nawet tego nie potrafisz...

Obie lufy odpowiadają zgodnym chórem. Porcją śrutu zdolną powalić słońca.

Kolejny strzał pada po kilku minutach. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Taka okolica, co chwilę ktoś strzela.

Ale pół otwarte drzwi do jednego z domostw o standardzie nieco przewyższającym okoliczne baraki socjalne są godne zwrócenia uwagi przypadkowego włóczęgi. Mężczyzna o długiej szpakowatej brodzie i przerzedzonych, tłustych włosach spiętych w niezdarny kucyk od kilkadziesiątu minut cierpliwie obserwuje uchylone drzwi w niewielkim domku obitym zielonym sidingiem. Pociąga leniwie z butelki ukrytej w papierowej torbie, siedząc na pękatym worku żeglarskim. Bezpiecznie schowany między drzewami oddzielającymi wąską asfaltówkę od posesji pali papierosa i zastanawia się, czy dopisało mu dziś niebываłe szczęście, czy może los kusi go mirażem „specjalnej okazji” tylko po to, by złamał zwolnienie warunkowe i wrócił do miejsca, do którego poprzysiągł sobie nigdy nie wracać.

Bez ryzyka nie ma zabawy – wzdycha, pociąga potężny łyk wysokoprocentowej berbeluchy, gasi papierosa o podeszwę ciężkiego buciora i dźwiga swój bezdomny zadek z pękatego tobołka.

Nie bawi się w podchody. Pewnym krokiem zbliża się do drzwi, otwiera na oścież i wkracza do środka, w każdej chwili gotowy zapytać służalczym tonem o możliwość skorzystania z telefonu.

Najpierw wymiotuje, potem opanowuje się na tyle, by zamknąć z sobą drzwi i nie uciec z wrzaskiem. Kobieta leży w pokoju dziennym, z odstrzeloną głową. Krew jest wszędzie. Mężczyzna wchodzi do kuchni. Nikogo. Wchodzi do drugiego pomieszczenia. W małżeńskiej sypialni, na małżeńskim łóżu leży facet, któremu brakuje połowy czaszki. Sufit nad nim wygląda jak posadzka w niezwykle wydajnej rzeźni. Facet trzyma oburącz ogromną dwururkę o urżniętych lufach. Zaciśnięty pośmiertnym skurczem żyłasty palec wciąż spoczywa na spuście.

Nic tu po mnie, myśli włóczęga. Jak mnie skojarzą z tą masakrą, to będę miał naprawdę przesrane.

Rozgląda się dookoła, zauważa zdjęcie oprawione w ramkę w kształcie serca. Stoi na rzeźbionej toaletce tuż obok lustra. Z fotografii spogląda uśmiechnięta para w strojach ślubnych. Obryzganą krwią ramkę zdobi napis: Stephen i Alice – na zawsze razem.

Kolejny Stephen, któremu w życiu nie wyszło – mruczy włóczęga i bezwiednie klepie się po kieszeni, w której zazwyczaj chowa dowód osobisty.

Wie, że powinien się ulotnić jak najszybciej. Wie, że nie weźmie żadnych fantów, bo to zbyt ryzykowne. Przypomina sobie, że puścił pawia w salonie. Przy dzisiejszych technikach śledczych organa ścigania bez problemu dojdą w końcu czyje to wymiociny. Spogląda na strzelbę. I wtedy przestaje racjonalnie myśleć.

Następnego dnia ekipa śledcza ustala, że w domu leżą dwa trupy zastrzelone z wielkokalibrowej śrutówki. Trzecie zwłoki znajdują dwieście metrów od domu. Na wstępnym etapie dochodzenia nie sposób dociec, co dokładnie zaszło w niewielkim domu obitym zielonym sidingiem. Jeszcze trudniej przedstawia się sprawa bezdomnego weterana, którego czaszkę wyłuskują w kawałkach z gęstej trawy. Wszystkie tropy wskazują na to, że nieszczęśnik przed kimś lub czymś uciekał, a następnie wsadził sobie w usta podwójną lufę i pociągnął z spust. Lufę widmowej strzelby. Po narzędziu

zbrodni nie pozostaje najmniejszy ślad. Nie ma w tym wszystkim ułamka sensu. Ani logiki w działaniu.

* * *

Zwierzęta mają to do siebie, że nie zastanawiają się nad sensem i logiką. Przynajmniej nie w wymiarze ludzkim. Ubłocony mieszaniec owczarka niemieckiego wietrzy eteryczny trop, zadzierając łeb wysoko do góry. Jeszcze przed chwilą cierpiał potworny głód, ale zapach, który czuje, nosi nie tyle znamiona najpiękniejszego zapachu świata, które wydzielają suczki podczas cieczeni, ale bije go na głowę. Co dziwne, dochodzi z wysokiej trawy, tuż zza linii przydrożnych drzew.

Obok pachnącego rajem przedmiotu unosi się woń świeżego mięsa i krwi. Nie ma to żadnego znaczenia. Tylko ten przedmiot się liczy. Jest bardzo poręczny, niczym zwykły kij, których psiak naaportował się w swoim życiu setkami. W innym życiu. Pełnym roześmianych dzieci, obficie zaopatrzonych misek z karmą, pełnym pieśczośliwego czochrania po kudłatym łbie i wylegiwania się w ciepłe kominka. Ale tamto życie się skończyło. Poniekąd dzięki feralnemu kijowi, którym psa uderzyło rozeźlone dziecko. Zwierzak zareagował instynktownie. Nie wiedział, że ostrzegawcze, niezbyt mocne zatopienie zębów w pulchnym ramieniu grubego chłopca będzie skutkować długą podróżą samochodem, następnie wyrzuceniem na pobocze. Potworną samotnością i wiecznie pustym żołądkiem. Ale ten kij jest inny niż wszystkie. Z nim czuje się bezpiecznie. Ten kij do niego przemawia. Obiecuje, że zakończy wszystkie psie troski. Wystarczy chwycić go w pysk i udać się w podyktowanym kierunku.

* * *

Ogromne psisko leży na środku szosy, w mglistym mroku niemal niezauważalne. Trzyma w pysku coś, co przypomina solidny konar. Kierowca rozpędzonej ciężarówki zauważa zwierzaka w ostatniej chwili. Wdeptuje hamulec do oporu i modli się w duchu, by jakimś cudem koła ominęły nieszczęśnika. Samochód wpada w wibracje, opony piszczą, gdy auto na moment traci przyczepność. Światła reflektorów rozpruwają ciemność, ślizgając się po przydrożnych drzewach. Kierowca zwalnia hamulce i ponownie naciska dźwignię. Tym razem delikatniej. Ciężarówka odzyskuje stateczność i traci sporo na prędkości. Wreszcie staje na poboczu.

Z kabiny wysiada mężczyzna w odblaskowej kamizelce. Nerwowo drapie się po gęstej czuprynie, w drugiej ręce trzyma latarkę. Oświetla punktowym promieniem szosę za ciężarówką. Niewyraźny kształt nie rusza się i nie wydaje żadnych dźwięków. Mężczyzna podchodzi bliżej. Coś, co przypomina wielkiego psa, nie ma głowy. Futrzaną szyję obejmuje popękana, skórzana obroża. Mała tabliczka przypięta do niej odbija blask latarki wygrawerowanym „S”.

„S” jak Stephen – słyszy w głowie scenicznie przerysowany głos moderatora Koła Fortuny. Czy to możliwe, by ktoś tak ochrzcił swojego czworonoga? Ale jeśli syn twoich sąsiadów ma na imię Fido, to wszystko jest możliwe.

Kierowca schyla się i oświetla przedmiot, który wcześniej tkwił w pysku zwierzaka. Czuje, jak lodowate szpilki robią sobie z jego pleców krawiecką poduszeczkę. Na szosie spoczywa ociekająca pianą, ubłocona dubeltówka.

Nie potrzebuje problemów. Nie teraz, gdy spieszy się z dostawą ładunku. Każda godzina opóźnienia generuje straty. Zleceniodawcy są bezlitośni, nawet jeśli chodzi o dostarczenie trampoliny ogrodowej dla dzieciaków. Pal lichy psa. Kudłaty Stevie nie wygląda na domowego pupila, po którym ktoś będzie płakał. Ale broń to już zupełnie inna bajka. Nie może jej tu zostawić. Jeśli zgłosi sprawę lokalnej policji, bezpowrotnie przepadnie zapłata za kurs. Przetrzymają go co najmniej dobie, zanim złożą wyczerpujące zeznania.

Podobno mózg podejmuje decyzję w ułamku sekundy, instynktownie, bez udziału świadomości. Prosty rachunek zysków i strat. Świadomość służy wyłącznie po to, by dręczyć człowieka wyrzutami sumienia. Kierowca ciężarówki nie należy do ludzi pozbawionych empatii, ale ma ona swoje granice. Chowa dłoń w rękaw bluzy i przez materiał podnosi strzelbę. Szybkim krokiem rusza w kierunku kabiny auta.

* * *

Kontener na śmieci wygląda obiecująco. Kipi dobrobytem w bladym świetle neonu niewielkiej stacji benzynowej na rogatkach miasta. Małe stacje benzynowe przy wylotówkach mają to do siebie, że zazwyczaj bywają pustawe, a na pewno cierpią na deficyt personelu. Aż dziw, że w dobie wielkich sieciówek te prywatne mikrusy wciąż utrzymują się przy życiu.

Adam Galant uwielbia takie miejsca. Jeden pracownik, który musi samotnie ogarniać cały majdan, nie ma ani czasu, ani możliwości, by

interesować się kontenerem na śmieci. Tym bardziej niepozornym starszym panem odzianym w granatowy prochowiec, który myszkuje wśród niedojedzonych hot-dogów, pustych kanistrów po oleju, zużytych kondomów i podpasek. Ludzie mawiają o takich „patologiczny zbieracz”, ale Adam uważa się za poszukiwacza skarbów. Cóż innego miałby do roboty na naznaczonej bezsennością emeryturze? Tylko on wie, że pośród nieprzebranych ilości zwykłych rupieci można trafić na prawdziwe cuda. Czasem niezwykle wartościowe.

Na początku to było tylko hobby. Ileż można siedzieć w przyciasnej kawalerce, chłonąc repertuar publicznej telewizji? Ulice miasta nocą zapewniają o wiele intensywniejsze wrażenia. Jednak kiedy rok temu mężczyzna po raz pierwszy wygrzebał złoty łańcuszek z knajpianego śmietnika, hobby zamieniło się w pasję. Teraz Adam szuka tam, gdzie trzeba. Nie marnuje czasu na miejsca o lichej renomie i niezamożnej klienteli. Na trofea, godne prawdziwego poszukiwacza skarbów, najczęściej trafia w dzielnicy czerwonych świateł i dyskretnych, niezrzeszonych sieciowo stacjach benzynowych. Znalezione fanty upłynnia ostrożnie, często kosztem większego zysku, ale zawsze bezpiecznie. Zna każdą lichwiarską szuję i każdego pasera w mieście. A oni znają Adama. Zawsze witają go z otwartymi ramionami.

Galant sięga do kieszeni płaszczu i wyciąga nowoczesny, miniaturowy wykrywacz metali. Urządzenie ma wypukłą, szeroką na kilka centymetrów czaszę, uzbrojoną w niezwykle czułą elektronikę i teleskopowy, składany niczym radiowa antena uchwyt. Ten cudowny wynalazek zarabia na sobie w zastraszającym tempie. Adam nazywa go Cwanym Draniem i kocha jak własnego brata, którego nigdy nie dane mu było posiadać. Cwany Drań jest naprawdę cwany. Dysponując pełną mocą baterii, wykrywa każdy metal w promieniu dwóch metrów. Niezależnie od wysokości, głębokości i czynników utrudniających skanowanie terenu. Technologia laserowa nie ma sobie równych.

Cwany Drań zaczyna szaleć zaraz po uruchomieniu. Coś w kontenerze – wyświetlacz LCD wyraźnie pokazuje położenie metalowego przedmiotu – generuje niezwykle silny sygnał odbijający fale urządzenia. Czerwone diody świecą w najwyższych rejestrach skali miernika.

Adam nurkuje w kontenerze. Z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy wyciąga zeń olbrzymią spluwę. Ciarki podniecenia przebiegają mu po karku. Niewiele myśląc, chowa obrzyn za pazuchę. Wewnętrzna kieszeń

prochowca zgrabnie mieści kolbę strzelby. Czarne lufy kończą się tuż pod linią kołnierza. Idealny płaszcz dla idealnej broni, myśli Adam i rusza w stronę domu.

Idzie uśpionymi uliczkami, tak ciemnymi, że ledwo cokolwiek widzi. Zapuszcza się w mroczne zaułki pełne odurzonych alkoholem meneli. Potem zmienia rejon. Kroczy w blasku deptakowych latarni, zimnej poświacie jarzeniówek metra, kolorowych świateł mijanych ogródków piwnych. Gdziekolwiek się nie uda, przyjemny ciężar znaleźiska daje mu poczucie bezpieczeństwa i pewnej nieokreślonej, niemal seksualnej ekscytacji. Zastanawia się, czy to właśnie czują ekshibicjoniści, którzy świadomi swojej nagości pod cienkim materiałem płaszcza, wyruszają na łowy. A potem przypomina sobie scenę z pierwszej części *Terminatora*. Cholera, jestem jak pieprzony Kyle Reese, tylko czekać, aż cyborg wylezie zza krzaków, myśli i uśmiecha się w duchu do pięknych lat osiemdziesiątych. Był wtedy jurnym czterdziestolatkiem, a świat zdawał się zdecydowanie mniej skomplikowany.

Z zadumy wyrywa go drzenie strzelby. Jakby dostała niekontrolowanych dreszczy. Przyspiesza kroku, jest zaledwie kilkaset metrów od domu. Rozgląda się. Ulica świeci pustkami i drgającym blaskiem przydrożnych latarni. Po przeciwnej stronie, pod wiatą przystanku autobusowego dwóch mocno podchmielonych facetów prowadzi zażartą dyskusję.

Strzelba robi się gorąca. Potworny żar wypala skórę na cherlawym torsie Adama. Staruszek wie, jak ukoić ból. Musi tylko wyjąć dubeltówkę i zastrzelić faceta na przystanku. Tego z lewej. Bez względu na wszystko. Teraz. Natychmiast.

Rusza w stronę przystankowej wiaty. Zastanawia się, czy obrzyn jest nabity. Nie ma to większego znaczenia. Najwyżej zatłucze nim faceta na śmierć.

Ale wtedy ten drugi szarpie kolegę za rękaw.

– Chodź, Stevie. Żaden autobus już nie przyjedzie. Za rogiem jest postój taksówek. Weźmiemy taryfę.

– Zła..aap..iemyy taaaryfffę – zgadza się Stevie i głośno czkając, rusza przed siebie.

Adam wybudza się z morderczego szału na środku szosy, z ręką zaciśniętą na dubeltówce. Na szczęście wciąż tkwi ukryta za połami płaszcza.

– Boże, co ja wyprawiam? – burczy sam do siebie.

Śledzi wzrokiem niknące za rogiem postacie pijanych kumpli. Zastanawia się dlaczego.

Poklepuje dłonią wewnętrzną kieszeń płaszcza i zagaja do strzelby:

– Spróbuję cię jutro spieniężyć.

Strzelba nie ma nic do powiedzenia.

* * *

Mężczyzna nosi ciężkie buty, luźne dżinsy, czarny podkoszulek i wypuszczoną na wierzch koszulę w kratę. Jest po czterdziestce, łysy i żyłasty, o sztywnych ramionach i władczej postawie. Wygląda na człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. Sigi Molenda, bez dwóch zdań, dowodzi we własnym lombardzie. Zdecydowanym ruchem ręki wskazuje przybyszowi drzwi na zaplecze. Ochroniarz niechętnie dźwiga ze stołka sto trzydzieści kilogramów swojego ogromnego cielska, uchyla drzwi i wpuszcza do środka starszego jegomościa w granatowym prochowcu. Sigi rusza w ślad za przybyszem. Na zapleczu załatwia się interesy, które nie są księgowane w oficjalnych rozliczeniach lombardu.

Pomieszczenie jest wygłuszone niczym profesjonalne studio nagraniowe, ściany obite brązową skórą; taką samą pokryto wielką narożną sofę. Po przeciwnej stronie jest usytuowany drewniany bar, za którym krząta się skąpo odziana hostessa o azjatyckich rysach. Oszronione butelki z kolorowymi trunkami oferują swoje wdzięki zza oszklonej witryny chłodziarki wystylizowanej na lata pięćdziesiąte.

– To co tym razem upolował Wielki Cwaniak? – zagaja Sigi, kiedy gość wygodnie rozsiada się na sofie.

– Cwany Drań! – poprawia go Adam Galant i sięga do sportowej torby z nadrukowanym logo nieistniejącej od lat firmy.

– Wybacz, nie chciałem urazić. Wielki to ten twój elektroniczny przyjaciel rzeczywiście nie jest. – Sigi ubiera twarz w lisi uśmiezek. – Ale o ile się orientuję, z draństwem też u niego na bakier.

– Za to ten to kawał rasowego skurwiela. – Adam poklepuje torbę i rozsuwa zamek błyskawiczny. – Coś dla twojego chłopca z ochrony. W sam raz dla kogoś, kto głowy używa wyłącznie do jedzenia.

Sigi rechoce perłście. Ochroniarz ani drgnie. Jakby z tą głową to była szczerą prawdą.

– No, wyciągaj już to cacuszko.

Adam wydobywa z torby strzelbę i kładzie na stole.

– Stary, toż to jest potwór. Te lufy wyglądają, jakby miały średnicę rury od odkurzacza.

– Uprzedzałem, że spory z niego skurczybyk.

– Ale wspominałeś coś o polowaniu na słonie. Tego skurwiela zaprojektowano raczej na dinozaury.

– Zainteresowany?

– Nawet nie zapytam, skąd go masz.

– Przecież ci nie powiem, że wygrzebałem ze śmietnika.

– Racja. To mogłoby obniżyć wartość. – Sigi pożądliwie zerka na broń. – Dam ci za niego dwie stówki, po starej znajomości.

– Ciebie to chyba spłodził legion Szkotów.

– Tak, a matka była Żydówką. Wiem, stary capie, powtarzasz te śpiewkę za każdym razem i nigdy nie pomogła ci wytargować lepszej ceny.

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Dwieście albo wracaj z nim do śmietnika, z którego go wygrzebałeś.

Transakcję przyklepują uściskiem dłoni. Gotówkę wypłaca ponętna Azjatka. Pachnie słodko jak oranżada w proszku.

* * *

Starski pudruje nosek. Właśnie wciągnął drugą „setkę” przez rulonik banknotu o wysokim nominale. Wpatruje się w dwururkę, która spokojnie drzemie na stoliku. W kominku wesoło trzaska ogień, trawiąc rozwalone w drzazgi drzwi. Myjka ciśnieniowa też spisała się na medal. Z chodnika zniknął krwawy burdel, schody są tak czyste, że nie wymagają ponownego krycia farbą. Tylko w piwnicy w starej wannie spoczywają niezwykle nieapetyczne szczątki młodocianego dilerka.

Teraz, kiedy emocje opadają, a biały proszek rozjaśnia mu we łbie, Starski zastanawia się, po co właściwie kropnął tego chłystka. Zabił własne źródło dopływu prochów. Zastanawia się też, czy chłopaka będą szukać. Jeśli komuś wisiał kasę albo wziął towar w komis, to w końcu trafią do niego i zamienią to piękne osiedle dla japiszonów w strefę wojny gangów.

Ale nad jedną sprawą duma wybitnie mocno. Po jaka cholerę kupował tę armatę na słonie? Tak, to prawda, że się nudził, że jest rozpieszczonym maminsynkiem z kupą kasy i że kręcą go niegrzeczne zabawki dla niegrzecznych chłopców. Ale przecież mógł kupić broń legalnie, choćby i M16, gdyby tylko zechciał. Nie, on musiał mieć coś specjalnego. Jebany unikat, najlepiej z krwawą przeszłością. Posiadanie gnata, z którego kogoś

kropnięto, dodaje całej akcji sporo dodatkowych emocji. To nie to samo, co spacer do sklepu militarnego i zakupienie rejestrowanej broni.

O Sigm i jego lombardzie z tajnym zapleczem dowiedział się kiedyś od ziomka – jeszcze bardziej bogatego i znudzonego niż on sam. Kolega kolekcjonuje stroje skazańców z celi śmierci. Za odpowiednią sumkę u odpowiednich ludzi można kupić wszystko. A Sigi ma odpowiednie kontakty.

Kiedy Starski siedział na skórzanej sofie, gapiąc się beczelnie w dekolt Azjatki za barem i tłumaczył, że marzy mu się nietuzinkowa spluwa z mroczną przeszłością, Sigi nie zastanawiał się długo. Od razu przyniósł piekielnie złowrogą dubeltówkę. Wyglądała jak robiona na zamówienie dla samego Lucyfera. Właśnie o ten rodzaj niegrzecznej zabawki chodziło Robertowi.

– Tę pukawkę przyniósł mi koleś, który wynajduje różne wredne rzeczy w bardzo wrednych miejscach – powiedział Sigi. – Ktoś chciał się jej pozbyć, co prawda w nieudolny sposób, ale jednak. W najlepszym wypadku służyła za negocjatora w rabunku, w najgorszym pozbawiła kogoś życia. Broni nie wyrzuca się ot tak, dla kaprysu – dodał i tym samym beznamiętnym głosem zaproponował promocyjną cenę. – Dwa kafle i jest twoja. Dorzucę pestki w gratisie. Kaliber robiony na zamówienie.

Starski nie negocjował. Dwa tysie nie stanowiły większego problemu niż poranne pierdnięcie.

Tylko z tą bronią jest coś nie tak. Z jakichś tylko jej wiadomych przyczyn niespecjalnie kocha młodocianych handlarzy prochami. Starski wie, że powinien się jej pozbyć. Ale, do diabła, polubił ją. Tylko dzięki niej mógł przekonać się naocznie, jak wygląda rozerwany na pół koleś. Drzwi jest mu trochę szkoda.

* * *

Porucznik Stephen Bachmann ma pewną teorię. Teorię zakrawającą na szaleństwo, ale innej nie potrafi składnie złożyć do kupy. Od początku prowadzi sprawę dziwnego potrójnego zabójstwa, które media nazywają „rzezią w zielonym domku”. Nic tam się nie klei. Udaje mu się ustalić, że facet strzela w afekcie do małżonki, potem postanawia własnym mózgiem pomalować sufit w sypialni. Trzeci bohater dramatu, przypadkowy włóczęga, znajduje oba trupy. Panikuje i zaczyna uciekać, tylko po to, by

kilkaset metrów dalej rozwalić sobie łeb z tej samej śrutówki. Ale broń się nie odnajduje.

Ktoś ponoć widział psa, który włóczył się ze strzelbą w pysku. Ktoś inny zarzekał się, że był to ten sam pies, którego rozjechała ciężarówka. Jeszcze ktoś inny twierdził, że rozmawiał w barze dla truckerów z koleśkiem, który po pijaku opowiadał niestworzoną historię z psem i strzelbą w roli głównej. Zapis monitoringu małej stacji benzynowej zarejestrował postać w odblaskowej kamizelce, która wrzuca coś do kontenera na śmieci. Dzień później ta sama kamera nagrała inną postać grzebiącą w odpadkach. Po nitce do kłębka, drogą nieoficjalną usłaną licznymi łapówkami, Bachmann dociera do lombardu. Niejaki Sigi jest niezwykle wygadany w sprawie strzelby w zamian za obietnicę niewęszczenia po dźwiękoszczelnych zapleczech. Ostatni trop prowadzi do Roberta Starskiego. O Starskim wiadomo tyle, że jest koszmarnie bogatym deweloperem, który próbuje zasiedlić cały dystrykt podobnymi sobie, znudzonymi życiem japiszonami. Starski nie jest mordercą. O tym Bachmann jest przekonany. Ale Starski prawdopodobnie, zupełnie nieświadomie, posiada narzędzie zbrodni z „zielonego domku”. Jest coś jeszcze, coś, czym Bachmann nie dzieli się z nikim, bo wydaje mu się to tak głupie, że aż niemożliwe. Wszystkie ofiary powiązane ze strzelbą są jego imiennikami. Nawet cholerny pies miał wypisane „Stevie” na wewnętrznej stronie obroży.

Gdyby porucznik wierzył w istnienie magicznych strzelb, nie wybrałby się w pojedynkę do Roberta Starskiego z nieoficjalną wizytą. Jest jednak zafiksowany na punkcie zdobycia dubeltówki do tego stopnia, że nie wdraża regulaminowych procedur. Tylko zdobycie tej broni umożliwi specom z laboratoryjnej dochodzeniówki uzyskanie DNA pieprzonego psychola, który wziął sobie za życiowy cel strzelanie do wszystkich Stephenów. Dlatego Bachmann, nie informując nikogo, wsiada do wysłużonego forda i rusza na spotkanie z jedynym człowiekiem, który może pomóc rozwiązać tę sprawę.

Nie musi pukać do drzwi. Są otwarte. Stoi więc na żółtych schodach i krzyczy w głąb mieszkania:

– Dzień dobry, nazywam się Stephen Bachmann, chciałbym porozmawiać z Robertem Starskim!

Odpowiedź, która dobiega z półcienia przedpokoju, robi mu ogromną dziurę w brzuchu.

* * *

Starski siedzi w bujanym fotelu z naładowanym obrzynem w dłoniach. Przez otwarte drzwi domu z czerwonej cegły ma doskonały widok na żółte schody, na trupa rozmazanego na chodniku, na podwórko i kawałek ulicy. Jego oczy płoną żądzą mordu, a z twarzy nie schodzi uśmiech. Robert czeka na nieuniknioną wizytę mundurowych. Nie potrwa długo, zanim zaczną szukać tego szczura, który zachlapał mu niedawno gruntownie umyty chodnik. Starski zastanawia się, ilu Stephenów pracuje w lokalnej policji. Strzelba wie, że będzie ich jedynie dwóch. Ale wie również, że do spokojnego osiedla dla nowobogackich japiszonów zbliża się motocyklowy gang Braci Aryjskich, który ma kilka poważnych pytań do swojego dilerka i jego nowego klienta.

Gdyby dubeltówki potrafiły się uśmiechać, to ta, trzymana dłońmi Roberta Starskiego, pokazywałaby właśnie wszystkie zęby. W niezwykle licznym gangu Braci Aryjskich co trzeci ma na imię Stephen.

Powyższa historia należy do tych nielicznych, które napisały się same. Pewnego wieczoru oglądałem (jednym okiem, bo drugie śledziło niusy na fejsie) jakiś gówniany film akcji w telewizji – film, którego twórcy silili się na pulpową manierę oldschoolowych kryminałów z obowiązkowym narratorem o obniżonym do granic absurdu głosie w tle. Jedną z „twardzielskich” scen otworzyła kwestia w stylu: Długowieczność i handel prochami nie rymują się, ale „ktoś tam” zdawał się tego nie dostrzegać. Samo filmidło może i było kiepskie, ale ten „oneliner” zapadł mi w pamięć. Pomyślałem, że to świetne zdanie na otwarcie jakiejś literackiej opowieści. Tego samego wieczoru zabrałem się za lekturę książki – niezwykle zręcznie napisanego thrillera autorstwa Davida Morrela. Podczas kolejnej barwnie opisaney strzelaniny, pewien wielki koleś za pomocą olbrzymiego gnata jednym strzałem rozrywa połowę drzwi, a wraz z drzwiami ofiarę stojącą tuż za nimi. Nie wiem dlaczego (może dlatego, że była druga w nocy) uznałem, że taki strzał to świetna sprawa i odczułem nagłą literacką potrzebę ukatrupienia kogoś w podobny sposób. Odpaliłem laptopa, otworzyłem edytor i zapisałem parafrazę zasłyszanego w filmie zdania. Następnie starałem się jak najszybciej doprowadzić akcję do miejsca, kiedy w końcu wywalę olbrzymią dziurę w drzwiach i bohaterze, którego dopiero co powołałem do życia. Zamordowałem drania z ogromną satysfakcją i utknąłem w martwym punkcie po zapisaniu zaledwie połowy strony, nie mając bladego pojęcia, co z tej historii dalej zrobić. Kryminał, fantastykę, horror? Zapisałem plik, zamknąłem program oraz klapkę laptopa i udałem się na balkon odetchnąć Rothmansem light w wersji demi. I wtedy przypomniała mi się rada mistrza Kinga, żeby iść na żywioł, wyłączyć świadomą część mózgu i pozwolić postaciom opowiedzieć fabułę. Zasiadłem ponownie przed ekranem i zadziała się magia. Pierwsza odezwała się do mnie strzelba. Zażądała głównej roli. Spełniłem jej życzenie.

Tego rodzaju spontaniczne teksty to największa frajda w i tak cholernie przyjemnej robocie pisarza.

– Juliusz Wojciechowicz

Niedopałki

Nie po raz pierwszy postanowiłem rzucić palenie. Miałem nadzieję, że po raz ostatni. Doszedłem do wniosku, że tkwienie w szponach tego nałogu jest bez sensu, że podporządkowuję mu całe swoje życie – ja, człowiek, dla którego wolność jest absolutnym priorytetem. Nawet kosztem małżeństwa, rodziny, pracy. Człowiek wolny to często człowiek samotny. A ja wciąż mam towarzystwo. Tkwię w toksycznej, intymnej relacji z tytoniem zawiniętym w zgrabne ruloniki.

Kiedy w końcu to do mnie dotarło, poczułem, jakbym obudził się z filmowego Matrixa. Oto jestem bardzo poważnie zaangażowany w związek emocjonalny z produktem, który uśmierca miliony osób na całym świecie, równocześnie ofiarowując im dużo więcej niż śmierdzące spaliny. Pocięchę w udręce, współradość w sukcesie, odwagę w momentach krytycznych, nadzieję w chwilach rozpacz. Czy można wyobrazić sobie lepszego przyjaciela?

Zacząłem palić w wieku piętnastu lat. Wszyscy moi idole-buntownicy nie rozstawali się z papierosem. Byli cool. Ja też chciałem. Ileż to samozaparcia kosztowało, by nie krztusić się dymem, ile wytężonego treningu, by wmówić swoim płucom, że dym jest naturalnym składnikiem powietrza. Po kilku miesiącach wreszcie się udało. Zyskałem przyjaciela. Na dobre i na złe. Budził mnie i usypiał, czasem zastępował posiłek. Towarzyszył mi w chwilach samotności, dodawał otuchy, pozwalał łatwiej znosić koszmar szkoły średniej. Był świadkiem pierwszych randek, pierwszego seksu, wspierał na maturze i na studiach. Dzięki niemu dostałem pierwszą pracę, potem kolejną. Gdyby nie on, nie poznałbym żony; piękna nieznajoma poprosiła o ogień, a ja miałem zapalniczkę. Ogrzewał mnie pod szpitalną porodówką, kiedy w środku mroźnej zimy na świat przychodziła moja córka, dodawał ochłody przyjemnym mentholem, gdy dwa lata później rodził się syn. Nie wiem, jak zniósłbym rozwód, rozłąkę z dziećmi, podział majątku, cholera, nie wiem, jak zniósłbym cokolwiek bez jego wparcia. Żona rzuciła na długo przed rozwodem. Nigdy nie paliła z innych powodów niż samo palenie. Bo koleżanki, bo w pracy przerwa, bo seksownie wyglądała

z cieniutkim pall malle. Przestała pewnego dnia. Tak po prostu. Znudziło jej się. Nie rozumiała mnie. Przecież to tylko papierosy, mówiła.

Próbowałem. Już pierwszego dnia dostałem ataku paniki. Bałem się wyjść na ulicę, do sklepu, do pracy. Czułem się jak małe dziecko, które musi od nowa poznawać świat, uczyć się od podstaw. Jak nie zapalić o świcie, jak nie zapalić po śniadaniu, jak samotnie prowadzić auto, czekać na zielone światło, spacerować, rozmawiać z ludźmi, cieszyć się i smucić. Czułem bezgraniczną pustkę.

Wytrzymałem dwa tygodnie, dwa koszmarne długie, rozchwiane, bezcelowe i przerażająco jałowe tygodnie. Obce dni i puste noce wypełnione widmem utęsknionego przyjaciela. Wrócił z nienacka, nieplanowany i niezapowiedziany jak wypadek samochodowy, w którym zginęli rodzice. Na ich pogrzebie znowu kopciłem jak smok. To był pierwszy raz, kiedy zaświeciło się w mojej głowie czerwone światełko. Nie potrafię radzić sobie z problemami bez fajek.

Najpierw pojawił się poranny kaszel, potem napady duszności i spadek formy. Lekarz co prawda nie zwał mnie z nóg diagnozą, której tak bardzo obawiają się palacze, ale nie pozostawiał mi żadnych złudzeń, że bezkarność w tej kwestii minęła bezpowrotnie. Dwadzieścia pięć lat wdychania dymu mocno zasmoliło płuca. Ma pan czterdziestkę na karku, połowa życia nadal przed panem, jeszcze można naprawić szkody, powiedział. Albo natychmiast zerwie pan z nałogiem, albo nie dożyje emerytury.

Tą wstrząsającą nowiną podzieliłem się natychmiast z moim przyjacielem na schodach przychodni. W połowie rozmowy wygarnąłem mu, że nie tego się po nim spodziewałem. Chcesz mnie zabić skurwielu – wysapałem i zgasiłem spory niedopałek na poręczu. – Koniec z nami, definitywnie.

Czy było ciężko? Jak diabli. Faszerowałem się nikotyną zastępczą – gumy, plasterki, pastylki. Nie pomagało. Żułem wykałaczkę, ssałem lizaki, próbowałem nawet elektronicznego erzacu, „wapując” wodną mgiełkę jak szalony. Nikotynowa terapia zastępcza ma się do tradycyjnego palenia jak walenie konia przed monitorem komputera do prawdziwego seksu z prawdziwą kobietą. Odstawiłem wspomagacze. Postanowiłem być twardy za wszelką cenę. Udawało się przez bitych osiem miesięcy. Wytrzymałem, choć sam stałem się nie do zniesienia. Nocami prześladowały mnie wspomnienia cudownej przyjaźni, marzenia o tym, że znów jesteśmy razem. Rankiem budziłem się wściekły, w południe byłem sfrustrowany, po

południu depresyjnie nieobecny, wieczorem ponownie wściekły, że nadchodzi noc wraz z jej piekielną plejadą szablonowych snów. Unikałem wszelkich sytuacji i emocjonalnych uniesień, które boleśnie uświadamiały mi, jak bardzo jestem samotny. Przestałem pić poranną kawę, bo kawa bez dymka to nie kawa. Odrzuciłem regularne posiłki; pozbawione dymiącego deseru nie miały sensu. Seks bez nikotynowej chmurki tuż po nie wchodził w rachubę. Praca bez wspomagania rodziła stres, z którym nie byłem w stanie sobie poradzić. Dzieci? Jakie dzieci? Samą swoją obecnością budziły we mnie wstręt.

Wywróciłem życie do góry nogami, wycinając zeń wszystko, co nawiązywało do schematów z przeszłości.

Ponownie zapaliłem papierosa po ośmiu miesiącach i czterech dniach, we wtorek o godzinie 14.30, zaraz po tym, jak dowiedziałem się, że moje małżeństwo i ojcostwo prawnie dobiegło końca. Nie miałem żalu, nawet poczułem pewnego rodzaju ulgę. Byłem wolny, a mój przyjaciel mógł wrócić na nowych zasadach. Zdałem sobie sprawę z faktu, że nie złamałem abstynencji z powodu smutku, bezsilności, poczucia samotności czy świadomości spieprzenia życia rodzinnego na całej linii. To był gest tryumfu i radości. Świątowałem zwycięstwo, chwilę szczęścia związaną z osiągnięciem osobistego sukcesu. Od tej chwili postanowiłem palić tylko i wyłącznie w ramach celebrowania momentów przyjemnych, przy okazji osiągnięcia celów i zamierzeń, spełnienia marzeń – tych drobnych codziennych oraz tych epickich wazących na egzystencji.

Tydzień po rozwodzie kupiłem przytulną kawalerkę w przytulnej kamienicy, daleko od centrum miasta, blisko parku i kompleksu malowniczych stawów. Przyjemnie było ponownie dzielić tę chwilę z przyjacielem. Od kiedy klepki w mózgu poprzestawiały mi się na pozytywny odbiór rzeczywistości, momenty szczęśliwe, godne świętowania, mnożyły się jak króliki na sterydach. Owszem, bywały dni, czasem nawet tygodnie, kiedy nastrój spadał, kiedy los próbował zadrwić z moich wysiłków, pokrzyżować plany, kiedy psuła się pralka, kiedy przychodziły smutne wieści o śmierci bliskich. Wtedy walczyłem sam, zgodnie z daną sobie obietnicą. Paczka papierosów spoczywała w szufladzie biurka, czekając, by zasłużyć na moje towarzystwo. Sama świadomość, że potrafię radzić sobie z przeciwnościami, stresem, codziennymi wyzwaniem bez dodatkowego wsparcia, wprawiała mnie w dobry nastrój i mobilizowała do działania. Już wkrótce wszystko co złe i smutne odchodziło w niepamięć.

Pracowałem w firmie, która przynosiła mi zawodową satysfakcję, umawiałem się z pięknymi kobietami, zapisałem na siłownię, zamieniłem kiepskie żarcie na zdrową dietę. Rozpierała mnie energia, a endorfiny niemal wylewały się uszami. I wtedy naszła mnie myśl, że niekoniecznie muszę dzielić się wszystkimi sukcesami z moim przyjacielem. Powoli docierało do mnie, że przestaje mi być potrzebny. Postanowiłem spróbować przejąć całkowitą kontrolę nad swą egzystencją.

Ale wtedy pojawili się oni – bracia Muły.

Zapukali do drzwi pewnego popołudnia, akurat gdy zastanawiałem się, czy zwycięski mecz mojej ulubionej drużyny piłkarskiej zasługuje na to, by uczcić go papierosem. Wyglądali jak dwa wytatuowane kawałki granitu, ubrane w dżinsy i podkoszulki na ramiączkach. Muskularne, żyłaste ramiona kończyły dłonie w kształcie głowicy pokaźnego szpadla. Łyse, spalone słońcem czaszki zdobiły skośne świńskie oczka i brwi brezniewki. Wielkie nochale sprawiały wrażenie, że kotwiczą w pulchnych wargach pomiędzy przerzedzonymi zębami.

– Uszanowanie, sąsiedzie. Sprawę mamy natury ważkiej. Poratuj fajurką – odezwał się ten z prawej. Brzmiało to tak, jakby ktoś na siłę otwierał ciężkie wrota o zardzewiałych zawiasach i współgrało z przerysowaną, szarmancką manierą i wyszukaną pseudoelokwencją jak trzydzieści kilo nadwagi z zawodowym baletmistrem.

– My z dołu, spod ósemki, de facto. Mówią na nas muły. No, sąsiedzie, poratujesz przecież w potrzebie, nie? C'est la vie, szl-ugi wy-szły – wychrypiał drugi, równie zardzewiało i równie kuriozalnie.

– Zobaczymy, co się da zrobić – odparłem wesoło, choć bliźniacy budzili we mnie niepokój. Naprawdę wyglądali jak dwunogie, gadające muły, które jakiś dowcipniś wyciągnął z japońskiej kreskówki.

Sięgnąłem do kieszeni.

– Capniemy dublecik, pozwolisz?

– Dużo masz, de facto, sąsiad, po dwa weźmiemy!

– Niech będzie po dwa – zgodziłem się dobrodusznie.

A potem, kiedy mi dziękowali, kłaniając się w pas, dodałem jak ostatni kretyn, że polecam się na przyszłość.

Korzystali z zaproszenia średnio dwa razy w tygodniu. Zazwyczaj dawałem im kilka fajek, byle jak najszybciej pozbyć się natrętów. Czasem udawałem, że mnie nie ma w domu. Wtedy długo pukali i sapali pod drzwiami. Doskonale wiedzieli, że się przed nimi ukrywam. Jeśli w końcu

otworzyłem, udając, że spałem albo że akurat zaliczałem kibel, pobierali papierosy i z marsowymi minami odchodzili w milczeniu. Ale jeśli nie otworzyłem, przeczekując natarczywy, kilkunastominutowy łomot w drzwi, meldowali się nazajutrz z pretensją w oczach i uzurpowali sobie prawo do podwójnego myta.

Nie podobała mi się ta sytuacja. Rodziła frustrację, burzyła harmonię bezpiecznej i coraz bardziej optymistycznej egzystencji. Muły sprawiały, że zacząłem łączyć ich nieprzyjemne wizyty z papierosami. Tak jakby papierosy były winne odwiedzinom szpetnych bliźniaków. W pewnym sensie były.

Któregoś słonecznego popołudnia bracia przybyli w wiadomym celu. Pech chciał, że wyszły mi wszystkie fajki. Akurat przerabiałem krótką fazę braku okazji do zapalenia zwyczajnego papierosa i od kilku dni najzwyczajniej zapomniałem, że w ogóle istnieją. W pracy goniły terminy, popsuta się terma w łazience, skarbówka niecierpliwie czekała na spóźnionego PIT-a. Jednym słowem – kołowrotek. Zagoniony, zaabsorbowany bieżącymi problemami, które musiałem jak najszybciej rozwiązać, nawet przez moment nie pomyślałem o przyjacielu. Przypomniały mi o nim sępy spod ósemki. Kiedy stali w progu z wyciągniętymi łapami, do których nie miałem co włożyć, zrobiło mi się ich żal. To prawda, że się ich trochę bałem, że mnie frustrowali swoimi regularnymi wizytami, ale tym razem po prostu było mi przykro.

– To może chociaż kiepy? – wyjęczał ten bardziej z przodu, kiedy oznajmiłem, że nie mam fajek.

– Może coś ci zostało w popielniczce? – zazgrzytał drugi, robiąc maślane oczy.

Biłem się z myślami. Prawdopodobnie bój nie trwał dłużej niż dwie, trzy sekundy, ale zdążyłem w tym czasie zrobić prawdziwy remanent w dziale logika kontra empatia. Palę zazwyczaj na balkonie, petując papierosy w ogromnej barowej popielniczce. Mijają tygodnie zanim jestem zmuszony ją opróżnić, ale w końcu przesypuję jej zawartość do plastikowej reklamówki i wyrzucam do śmietnika w drodze do pracy. Jednak na samą myśl, że mógłbym upaść tak nisko, by dopalać cudze, zleżące, często przesiąknięte wilgocią resztki mozolnie wydłubywane z zaślinionych wymiętych filtrów, mam ochotę puścić pawia. Pomysł, żeby kogoś takim paskudztwem obdarować, nie mieści mi się po prostu w głowie. Ale wiem też, że sępy nie odpuszczają. Jeśli, zdjęty wstydem i obrzydzeniem, nie dam im

niedopałków, przejdą do próśb o drobne, potem wejdzie im to w nawyk i będzie kłopot. Rachunkiem sumienia postanowiłem się mentalnie podetrzeć, rachunek potencjalnych zysków i strat był jasny i czytelny.

– Dzięki, sąsiad. Se z tego nieźle poskręcamy. – Salonową gadkę diabli wzięli. Najwyraźniej zarezerwowana była wyłącznie na specjalne okazje. – Będzie z tego z piętnaście knotów!

– Powodzenia, panowie! Do następnego razu.

Następny raz nastąpił po tygodniu. Byłem przygotowany. Paczka cameli leżała w szufladzie, właściwie tylko po to, by je na raty rozdać. Sam paliłem coraz mniej. Nie dlatego, że złapałem doła. Przystawałem mieć ochotę na palenie w ogóle. Teraz świętowałem z przyjacielem najwyżej co trzecie, czwarte zwycięstwo. W balkonowej popielnicy leżało zaledwie kilkanaście, za to sporych niedopałków. Powoli nabierałem pewności, że bezboleśnie i bez żalu zerwę naszą przyjaźń raz na zawsze. Będę w końcu w pełni wolnym, niezależnym, zdrowym człowiekiem.

– Proszę bardzo, panowie, częstujcie się. – Wyciągnąłem dłoń z paczką cameli w ich kierunku. – Zresztą weźcie całą paczkę, chyba dorosłem do decyzji o rzuceniu palenia.

– A kiepy, sąsiad, masz? – zapytał z nadzieją w oczach Muł numer jeden.

– Właśnie, kiepy byśmy wzięli – powiedział drugi i grzecznie lecz stanowczo odepchnął moją dłoń.

– Przecież daję wam paczkę dobrych fajek. Po co wam kiepy?

– Se sami skręcimy – oznajmił pierwszy.

– Lubimy – dodał drugi z naciskiem charakterystycznym dla narkomana na głodzie.

– Jak chcecie – odparłem zbity z tropu i udałem się na balkon celem opróżnienia popielniczki.

Nigdy więcej nie poprosili o papierosy. Zawsze żądali niedopałków. Przychodzili coraz częściej i coraz częściej odchodzili z kwitkiem albo z zalewie kilkoma petami w garści. Kurzyłem coraz rzadziej. Właściwie to ćmiłem tylko dla tych nieszczęsnych kiepów. Gdy spotykało mnie coś przyjemnego, zgodnie ze zwyczajem i wewnętrzną umową z samym sobą, odpalałem szluga i petowałem po kilku sztachnięciach. Bracia nie byli zadowoleni, ale dopóki dostawali choć kilka niedopałków, nie sprawiali kłopotów.

Kłopoty się zaczęły, gdy definitywnie zrezygnowałem z palenia. Nieważne z jak przyjemnych powodów próbowałem zakurzyć, odrzucało mnie o wiele

bardziej niż przy pierwszych nastoletnich próbach zaciągania się. Po raz pierwszy w swoim czterdziestodwuletnim życiu nabrałem autentycznego wstrętu do papierosów. Choćbym nie wiem, jak się starał i jak bardzo był w danym momencie szczęśliwy, pierwszy buch powodował odruch wymiotny, po drugim dostawałem kurczu krtani. Trzeciego nie ryzykowałem w obawie, że albo zarzygam cały balkon, albo kurcz krtani przedłuży się na tyle, by mnie udusić.

Czekała mnie ciężka przeprawa z sąsiadami.

– Jak to nie masz kiepów? – krzyknęli chórem, twarzami wyrażając bliźniacze przerażenie.

– Mam, ostatnie trzy. Więcej nie będzie. Rzuciłem.

– Nie możesz nam tego zrobić! – ponownie zjednoczyli się w chrapliwym chórk.

– Mogę i zamierzam. – Zagrałem twardo i odważnie. – Na pożegnanie, specjalnie dla was, kupiłem karton marlborasów. Nie wiem, o co wam chodzi z tymi niedopałkami, ale mam już tego dosyć. Bierzcie papierosy i spadajcie. Jak was kiedyś przyciśnie, kupię wam fajki, ale tak dalej być nie może. Koniec z kiepami!

– Koniec z kiepami, koniec z tobą – warknął pierwszy.

– My też mamy po dziurki w nosie dobijania się do ciebie. Od jutra nie będziemy pukać. Od jutra będziemy przychodzić codziennie i codziennie na wycieraczkę ma leżeć siatka z kiepami. – dodał drugi, mierząc mnie wzrokiem wkurzonego bazyliuszka. – Kiepy! Chcemy kiepy, ty tępny chuju, a nie twoje pierdolone marlboraski. Sam je przepal. Nam zostaw kiepy.

– To są groźby karalne, to jest kryminał! – zakwiczałem jak ostatnia ciota.

– I co, na pieski zadzwonisz?

Przestraszyłem się nie na żarty. Po kilku godzinach wewnętrznej walki zrezygnowałem z pomysłu zgłoszenia sprawy odpowiednim służbom mundurowym. Wyobraziłem sobie szydercze spojrzenia policjantów, jak mrugają do siebie, jak próbują zachować powagę przy spisywaniu doniesienia. Wyobraziłem sobie wstyd i zakłopotanie przy oficjalnej konfrontacji z domniemanymi prześladowcami, którzy z dziecięcą szczerością opowiadają, jak usłudźnie mnie prosili tylko o to, by mogli wyrzucać zawartość mojej popielniczki. „Panie władzo, my tylko kiepy chcieli. Bieda z nędzą, człeka na fajki nie stać, to chociaż z cudzych resztek se poskręca”.

Nie było wyjścia. Z jakichś przyczyn te dwa świry uparły się na niedopałki, a ja nie zamierzałem z ich powodu ryzykować zdrowia i samopoczucia. Ani wracać do palenia.

Późnym wieczorem nałożyłem czarną bluzę z kapturem i wymknąłem się z domu. Po cichu, jak złodziej. Z plastikową siatką w garści. Obszedłem wszystkie markety w pobliżu, wybierając drżącymi palcami nieliczne pety z przyśmietnikowych popielniczek. Nie byłem sam. Wiele mniej lub bardziej zakapturzonych postaci robiło to samo. Plądrowali kosze na śmieci, skupiając się na popielniczkach. Albo byli to przypadkowi bezdomni, którzy w ten sposób zaspokajają swoje tytoniowe potrzeby, albo miasto oszalało na punkcie nowego narkotyku!

Pod Lidlem o mały włos nie zaliczyłem kosy. Nazbierałem tak niewiele towaru, że byłem zmuszony uruchomić auto i poszukać w innych dzielnicach. Ponieważ petowe szaleństwo nie mieściło mi się w głowie, postanowiłem dokładniej zbadać sprawę. Zanim wskoczyłem do samochodu, na wszelki wypadek zabrałem z mieszkania karton Marlboro. Ten, którym wzgardzili bracia Muły. Zacząłem od Lidla, bo był najbliżej. Jakiś facet w podartej kufajce i powyciąganych dresach upychał zawartość popielniczek po kieszeniach, łapczywie sięgając po kolejne porcje śmierdziuchów. Zatrzymałem furę, złapałem karton z fajkami i podbiegłem do zaskoczonego jegomościa. Od razu wyciągnął kuchenny nóż zza pazuchy.

– To mój kosz i moje kiepy – wycharczał. – Nawet nie próbuj, bo chlasnę brzytwką!

– Słuchaj, stary, potrzebuję tych petów.

– To se, kurwa, znajdź inny śmietnik! – Na jego ustach pękały bąbelki śliny. – I nie wstyd ci? Rozbija się taki niemiecką gablotą, na grzbiecie markowe szmaty, na łapie aligancki sikor, a na fajki go nie stać?

– Ale ja muszę mieć te kiepy! Papierosy mam, nawet cały wagon.

– Co ty odpierdalasz? To jakaś nowa moda hipsterska, żeby pety jarać? Jesteś jakiś świr, jak te, co szamają zgniłe żarcie z knajpianych śmietników? Człeni, ile ja bym oddał za normalnego szluga...

– Więc to nie chodzi o kiepy dla samych kiepów?

– Powiedz, ziomuś, że się naćpałeś, bo ci zaraz normalnie, klasycznie jebnę.

– Twoje pety za karton Marlboro. Zależy mi.

– Jak to są jakieś żarty, to jak bonie dydy, potnę ci to hipsterskie ryło.

– To nie są żarty. Tu masz fajki, a do tej reklamówki przesyp swoje skarby.

Nigdy wcześniej nie widziałem tak zdziwionej twarzy. Facet schował karton za pazuchę, a potem wyłuskał z przepastnych kieszeni cały towar, jaki zebrał. Wręczył mi pękatą siatkę i oddalił się, kręcąc głową i mamrocząc coś pod nosem. Jeszcze tej samej nocy wystawiłem na wycieraczkę biedronkową reklamówkę napuchniętą od niedopałków.

Gdy następnego ranka wychodziłem do pracy, wciąż leżała w tym samym miejscu. Kiedy wróciłem, wisiała na kłamce z przypiętą czerwoną karteczką, na której niezdarnie nagryzmołono: To nie są twoje kiepy. Nas nie oszukasz. Chcemy twoich albo pożałujesz.

Cisnienie skoczyło mi tak gwałtownie, że dostałem zawrotów głowy. Zabrałem siatkę, wywalilem do kosza i postanowiłem olać bliźniaków. Niech się dzieje, co chce.

Nazajutrz zauważyłem, że ktoś napaskudził mi na wycieraczkę. To była zdecydowanie ludzka kupa, a sądząc po rozmiarze, prawdopodobnie nawet dwie, jedna na drugiej. Czy mogłem mieć wątpliwości, czyja to robota?

Dwa dni później moje auto dorobiło się czterech platfusów.

Trzy dni później stałej okiennej wentylacji i cegły na tylnym siedzeniu.

Czwartego dnia mogłem spodziewać się już tylko urźniętej głowy konia w pieleszach, więc nakleilem na drzwiach mieszkania numer osiem czerwoną karteczkę następującej treści: Przestańcie. Dostaniecie to, czego chcecie.

Nie miałem pomysłu jak uporać się z problemem. Musiałem wszystko gruntownie przemyśleć. Łącznie z wyprowadzką. Zyskać odrobinę czasu. Dać Mułom to, czego chcą. Z szaleńcami się nie dyskutuje, tym bardziej nie ma sensu analizować ich zachcianek i urojeń. Wyraźnie powiedzieli, że pragną wyłącznie moich kiepów. Kupiłem więc paczkę papierosów, wybebeszyłem ją, siadłem na balkonie i pilnując, by się nie zaciągać przypalałem jednego papierosa po drugim. Dwa wściekle sztacy, petowanie, następny, aż do dwudziestu. Byłem przepełniony nienawiścią i odrazą. Do papierosów i do bliźniaków. Popielniczka była pełna, a ja wymiotowałem jak kot. Nie wyobrażałem sobie znosić takich katuszy codziennie. Nie spodziewałem się, że to dopiero rozgrzewka.

Rano zauważyłem, że siatka zniknęła z wycieraczki. Wieczorem, gdy z potworną niechęcią wracałem do domu z kolejną paczką papierosów w kieszeni, które znowu miałem przerabiać na smrodliwe niedopałki, zastałem wycieraczkę pustą, na kłamce nic nie wisiało, drzwi nie przyozdobiono czerwoną karteczką z pretensjami. To się nazywa sukces

i porażka w jednym. Wyglądało na to, że zaspokoilem żądania braci, tym samym skazując się na bolesny proces kontynuowania przeklętej szopki.

Czekali na mnie w mieszkaniu. W moim mieszkaniu. Powinienem był posłuchać wewnętrznego głosu, który ryczał pod czaszką jak opętany, że niezakluczone drzwi to nie efekt mojego roztargnienia czy zapominalstwa, tylko świadectwo wyrafinowanego włamania. Z drugiej strony cichy głosik racjonalisty zapewniał, że jeśli rzeczywiście doszło do włamu, to nic już nie poradzę – weszli, wynieśli, wyszli. Mogę, co najwyżej, podliczyć szkody i zawiadomić ubezpieczyciela.

Nie zarejestrowałem momentu, w którym Pan Usypiacz wylądował na mojej czaszce. Przedstawiono nas sobie oficjalnie, po tym, jak odzyskałem przytomność przytroczony do kuchennego krzesła srebrną taśmą. Taką samą zalepiono mi usta.

– Będziesz cicho, to się dogadamy – oznajmiło rozmazane oblicze Muła.

– Nie będziesz, poznasz więcej sztuczek Pana Usypiacza – dodał drugi z braci, gładząc palcem lewej dłoni po skórzanej pałce. Zwisła mu z nadgarstka prawej na plecionej pętli.

Oślupiały wpatrywałem się w starych znajomych. Dopiero teraz, kiedy stali obok siebie w pełnym świetle lampy z Ikei, zauważyłem, że jednak różnią ich detale wątpliwych walorów urody. Ubrani byli jak zawsze – w wymięte, niegdyś zapewne białe podkoszulki na ramiączkach, niebieskie, przykrótkie dzinsy, spod nogawek których wystawały bosc stopy obute w tanie, brązowe mokasyny. Jednakowo wytatuowani straszili nieforemnymi, wyblakłymi smokami szykującymi się do odlotu z gęsto zarośniętych torsów; ich ramiona oplatały sine węże, kłębiące się w niezrozumiałym chaosie. Ale to ich facjaty nieznacznie się różniły. Dokładnie rzecz ujmując, uszy. Wielkie i pogniecione, załamywały się u góry pod własnym ciężarem jak usychające liście łośpianu. Temu, który obsługiwał Pana Usypiacza, odstawały od czaszki znacznie bardziej. Drugiemu natomiast ich obrzeża porastała gęsta szczecina. Z miejsca ochrzciłem braci po swojemu: Włochacz i Plastuś. Niemal parsknąłem śmiechem, o ile to w ogóle możliwe z zaklejonymi ustami. Oni odebrali tę próbę jako zgodę na współpracę w zakresie zachowania ciszy.

– My będziemy mówić, ty słuchasz – oznajmił Plastuś.

– Zadamy ci kilka pytań, na które radzę szczerze odpowiadać – dodał Włochacz, zaciskając dłoń w żylasty kułak. – Brak współpracy sprawi, że do naszej pogawędki dołączy Pan Usypiacz. – Ogromny wąż na jego bicepsie

rozdziawił paszczę, a potem przymknął, gdy napięty mięsień ponownie się rozluźnił.

– Rozumiemy się? – Skórzana pałka opukiwała kontrolnie moje kolano.

Przytaknąłem skinieniem głowy. Zaraz potem byłem bliski złamania umowy. Srebrna taśma gwałtownie zdarła mi z twarzy kilkudniowy zarost.

– Ustalmy pewne fakty – zaczął Włochacz. – Pierwszy raz, kiedy dałeś nam niedopałki, co to były za szlugi?

– Jakieś ruskie, nie pamiętam.

Pan Usypiacz trzepnął mnie w lewe ucho. Na tyle mocno, by zadzwoniło mi w obu.

– Konkrety, skup się!

– Classic light! Takie wtedy kupowałem, bo były najtańsze na bazarze. Tylko nie wymagajcie ode mnie kraju producenta. Albo ukraińskie, albo białoruskie. Za cholere nie pamiętam koloru banderoli.

Wtulilem głowę w ramiona w oczekiwaniu na cios. Nie nastąpił.

– Jakie były później? – Plastuś, podrapał się po brodzie i uśmiechnął zachęcająco.

– Co to za pytania? Mówcie od razu, o co biega...

Chciałem dodać: „i dlaczego to wszystko” oraz wyartykułować kilka innych żali i pretensji, ale Pan Usypiacz szybko mi przypomniał o zasadach konwersacji. Poczulem coś na kształt mikroeksplozji w lewym oku, a mój nos niebezpiecznie chrupnął i postawił krwawą kropkę nad „i”.

– Jakie były później? – Z twarzy Plastusia zniknął cień uśmiechu. Zastąpił go nerwowy tik dolnej wargi.

– Te same – wykrztusiłem. – Przez kilka tygodni były te same, a kiedy w końcu odzyskałem płynność finansową, zacząłem kupować camele. Polskie, w kiosku. Te, którymi pogardziliście.

– Czyli to definitywnie nie jest kwestia marki – mruknął Włochacz.

– Nie marki. Tak, jak podejrzewaliśmy – zgodził się Plastuś.

– Mogę coś powiedzieć? – zaryzykowałem pytanie. – Chętnie opowiem wam po kolei, co i jak było, z mojego punktu widzenia. Pytajcie w trakcie, gdyby coś okazało się niejasne. Tylko, na Boga, nie lejcie mnie już!

Spojrzeli po sobie, kiwnęli głowami. Pan Usypiacz leniwie zwisał na swojej pętli. Uznałem to za zgodę i zacząłem mówić:

– Skończyliśmy na camelach, którymi, z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, nie chcieliście się poczęstować. Woleliście pety z popielniczki. Paliłem, kiepowałem, oddawałem niedopałki. W końcu nabrałem wstrętu

do fajek i postanowiłem definitywnie rzucić. Potem były akcje ze sraniem na wycieraczkę, wybijaniem szyb w samochodzie...

– Dobra, dobra. Konkrety! – Pan Usypiacz drgnął niebezpiecznie.

– ...w akcie desperacji, żeby was zadowolić, zbierałem pety po publicznych popielnicach. Na litość Boską, jak jakiś żebrak. Tego żądaliście! Petów!

– Nie nakręcaj się, mów dalej. – Na twarzy Plastusia znowu zagościł nikły uśmieszek.

– Nie pasowały wam. Kupiłem więc fajki, tylko po to, by je odpalać i gasić w popielniczce. Mdlilo mnie, rzygałem, byłem wściekły, że muszę to robić tylko dlatego, że wy się uparliście na moje osobiste pety. A teraz to. Siedzę tu na kuriozalnym przesłuchaniu. Koniec historii.

– Raczej jej początek. – Zasepił się Włochaty. – Mamy tu sporo dziur logicznych i nasza teoria bierze w łeb.

– Albo koleś ściemnia – dodał Plastuś.

– Może gdybyście mi wyjawili, dlaczego...

Pan Usypiacz był gotowy do ataku. Dopiero teraz, gdy zawisł nade mną w bliskiej odległości od oka, na które jeszcze coś widziałem, zauważyłem, że na skórzanej pałce narysowano wesołą buźkę o zmierzwionej czuprynie. Spoczywała na czymś, co pewnie miało obrazować poduszkę. Nie mogłem odmówić Włochatemu poczucia humoru.

– Spokojnie, może to jest jakiś pomysł – burknął Plastuś. – Ale zanim zacznę, muszę się upewnić. Odpowiadasz „tak” lub „nie”, jasne?

– Jasne.

– Pierwsze kiepy były po ruskich szlugach?

– Tak.

– Po kilku tygodniach zmieniłeś fajki?

– Tak.

– Tylko ty je paliłeś?

– Tak.

– W twojej popielniczce nie było petów po kimś innym?

– Nie.

– Potem dałeś nam niedopałki ze zbiorowych popielniczek?

– Tak.

– Ostatnia dostawa była znowu twoja?

– Tak.

– Na pewno? To ważne!

– Tak.

– I w tym momencie wszystko się pierdoli.

Po moim krzyżu wspinała się stonoga o okrutnie zimnych stopach.

– Sprawa wygląda tak – kontynuował Plastuś. – Wyobrażałeś sobie kiedyś, jak wygląda raj?

Zbaraniałem.

– Raj, kurwa, jebana nirwana, stan absolutnego szczęścia!

– Nie, ale mogę spróbować – jęknąłem boleśnie.

– Rzecz w tym, że kiedy po raz pierwszy skręciliśmy sobie szlugi z twoich kiepów, doświadczyliśmy niewyobrażalnego szczęścia. Wystarczyło sztachnąć się kilka razy i odpływaliśmy w najcudowniejszy w świecie niebyt. Pieprzone bramy raju stanęły otworem. A uwierz mi, ćpaliśmy już wszystko, co się da i nie był to nawet ułamek tego, co czuliśmy po wypaleniu skrętów z twoich niedopałków.

Ja natomiast byłem bliski popadnięcia w odmęty szaleństwa. Pety drogą do raj? Moje pety? To jakiś obłąd.

– Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nienormalne. Nie jesteśmy świrami. Ale powtarzalność doznań nie była wytworem naszej wyobraźni. Z jakichś przyczyn twoje popielniczkowe resztki zabierały nas do nieba.

– Nie wiem, co powiedzieć – wydukałem. – Nie miałem o tym pojęcia. Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

– Tylko że potem wszystko zjechałeś. A my nie wiemy jak, dlaczego i w jaki sposób to naprawić.

– Przecież dostaliście ostatnio partię kiepów. Kiepów z kupionych i wypalonych przeze mnie fajek. Z mojej popielniczki.

– A wyobrażałeś sobie kiedyś piekło?

– Że co?

– Piekło. Najgorsze koszmary, lęki, wizje. Niewyobrażalny strach, poczucie zagrożenia tak silne, że masz ochotę odebrać sobie życie.

– Nie rozumiem.

– My też. I dlatego tu siedzisz. Podejrzewamy, że zrobiłeś to specjalnie. Na logikę rzecz biorąc, ostatnia partia niedopałków nie mogła być twoja.

– Więc czyja?

– Ty nam powiedz. Wyłumacz nam drogi sąsiedzie, jakim cudem wszystkie wypalone przez ciebie fajki otwierały nam bramy niebios, a ta jedna wyjątkowa dostawa o mało nas nie zabiła.

– Naprawdę nie wiem – wyjąkałem, a imadło strachu zaciskało mi się na gardle. – Może pomyliliście skręty. Może jakieś poprzednie pety, te

nazbierane pod marketami...

– Nic z tych rzeczy. – Oczy Plastusia płonęły wściekłością. – Publiczne niedopałki były neutralne. Zwyczajny śmierdzący, przepalony tytoń. Te ostatnie ponownie były magiczne. Tylko działały odwrotnie.

Wtedy mnie olśniło. Jeśli przyjąć, że rewelacje braci są prawdziwe, istniało tylko jedno logiczne wytłumaczenie. O ile, w tym cholernym cyrku, o logice w ogóle może być mowa.

– Chyba wiem! – krzyknąłem w ostatniej chwili. W następnej prawdopodobnie Pan Usypiacz próbowałby mi pomóc wyobrazić sobie piekło. Albo od razu postawić mi je przed nosem.

– Słuchamy z ogromnym zainteresowaniem – powiedział Plastuś i przysiadł na podłodze, ciągnąc za sobą brata.

– Nie jestem do końca pewien, ale to jedyne sensowne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy.

– Jedziesz, chłopie!

Streściłem im historię swojego życia. Życia podporządkowanego papierosom. O dziwo nie przerywali, nie popędzali, słuchali z zapartym tchem. Tłumaczyłem im zawilości genezy mojego nałogu, jego ewolucję, emocje, które mi towarzyszyły podczas palenia. Plastuś pierwszy załapał, co mam na myśli, zanim doszedłem do puenty. Widziałem to w jego oczach. Pozwolił mi jednak wygadać się do końca.

– ... i jak widzicie drodzy panowie utkwiliśmy w impasie. Pety, które dawały wam poczucie nirwany, pochodziły, jak wcześniej wspomniałem, z papierosów, które wypalałem wyłącznie w chwilach przyjemnych, kiedy rozpierało mnie szczęście lub radość z osobistego zwycięstwa. W jakiś niewytłumaczalny sposób pozytywne emocje umocowały się w papierosach, a w skondensowanej formie niedopałków multiplikowały w swojej intensywności. Ostatnia partia nie różniła się niczym od poprzednich z wyjątkiem emocji, które towarzyszyły mi podczas samego aktu palenia. A byłem wtedy wściekły, sfrustrowany, spanikowany i tragicznie bezsilny. To, co inhalowaliście w postaci zwielokrotnionej, tym samym dużo intensywniejszej, sprawiło, że zaliczyliście piekielną przejażdżkę.

– Nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc o impasie. – Plastuś uśmiechał się szyderczo. – Oto mamy teorię, bardzo prawdopodobną. Musimy ją tylko sprawdzić.

– To niewykonalne! – wrzasnąłem w panice. – Jestem potwornie zestresowany całą sytuacją, wszystko mnie boli. – Trząsałem się jak galareta,

a zimna stonoga wiła sobie gniazdo na moim karku. – Jak zapalę, to pety będą do niczego. Zresztą pewnie się porzygam, a jak dostanę kurczu krtani...

– Na wszystko jest rada, na wszystko metoda. – Usłyszałem.

A potem już nic nie słyszałem. Pan Usypiacz zgasił światło w mojej głowie.

Obudziłem się, półleżąc, na własnej skórzanej sofie, w samym centrum własnego salonu. Nie byłem skrępowany, jednak otumaniony, niechętny jakiegokolwiek aktywności. Na lewym ramieniu, tuż nad łokciem, zauważyłem gumową opaskę uciskową.

– Bez nerwów, uspokoiliśmy cię trochę. – Plastuś szczerzył się jak hiena. – Zaraz sprawimy, że poczujesz się szczęśliwy.

Włochacz zbliżył się ze strzykawką; na końcu igły drżała przezroczysta kropelka. Kiedy podał mi lek i rozwiązał gumowy wężyk, fala błogiego spokoju uderzyła mi do głowy.

Wsadzili mi zapalonego papierosa w usta. Odruchowo się zaciągnąłem. Pierwszego macha nie poczułem, po drugim zachłysnąłem się dymem. Po trzecim zacisnęła mi się krtani. Dusilem się, nie czując lęku. Byłem w siódmym niebie. A potem znowu zgasło światło.

– Pewne rzeczy będziemy musieli dopracować. Grunt, że podstawy działają. – Włochacz z troską zaglądał mi w oczy, przyświecając sobie latarką. – Nastraszyłeś nas, stary. Myślałem, że farmazonisz z tym kurczem krtani. Nie bój się, nie pozwolimy ci umrzeć.

Zastanowiłem się, czy śmierć nie byłaby lepszym wyjściem. Nie ma co, wpadłem po uszy w gówno. Jak wielkie jest to guano, miałem dopiero się przekonać.

Bracia krzatali się radośnie po mieszkaniu, plądrując je dokładnie i z namysłem. Ja leżałem owinięty od stóp do głów folią strezczującą. Usta zalepili mi srebrną taśmą. Czekałem na zmrok. Tak powiedział Plastuś.

Owinęli mnie w dywan i wynieśli. Załadowali na pakę starej furgonetki, wywieźli za miasto i wozili kilka godzin po wiejskich drogach i leśnych duktach. W końcu wylądowałem w zatęchłej piwnicy jakiegoś domostwa. Uwolnili mnie z dywanu, folii. Zamknęli w solidnej klatce, zatrzasnęli kłódkę, polecili się rozgościć. Zostawili mi kilka paczek sucharów i dwie butelki wody. Zniknęli na trzy dni. A może tydzień. Po ciemku trudno jest liczyć upływ czasu. Wrócili w wyśmienitych humorach. Mnie daleko było śmiechu.

* * *

Nie mogę narzekać. Karmią mnie regularnie, wstawili mi wygodną sofę i kolorowy telewizor do okratowanej celi, a ściany piwnicy pomalowali na pastelowy beż. Nie zapomnieli o moich ulubionych papierosach – dziesiątki kartonów cameli ułożyli w rogu na palecie. Nie musiałem wysilać wyobraźni, by dowiedzieć się, skąd wzięli na wszystko kasę. Spieniężyli ruchomości – meble, dzieła sztuki, nawet gówniany pejzaż, kupiony niegdyś od ulicznego artysty i równie gówniany żyrandol z Ikei. Znaleźli pasera na moje auto i nieuczciwego notariusza, który zajął się mieszkaniem. Cały mój dobytek spoczywa teraz w piwnicy, na wyciągnięcie ręki. W postaci niezliczonej liczby papierosów, narkotyków, medykamentów i sprzętu szpitalnego.

Nie obawiam się już o życie. Plastuś okazał się niezwykle zręcznym chirurgiem. Sprawnie przeprowadził zabieg tracheotomii. Mam wszytą metalową rurkę tuż poniżej krtani. Palę przez nią dwie paczki dziennie bez ryzyka, że złośliwy organ odetnie mi dopływ powietrza nagłym skurczem. Z przedramion wystają mi wenflony. Podłączają do nich przeróżne kroplówki – rano płyną witaminy i silne antyutleniacze, w południe łagodne środki relaksujące do spółki z tymi przeciw wymiotom. Wieczorem króluje magiczna mikstura, dzięki której produkuję magiczne niedopałki.

Dbają o mnie, nie powiem. Pilnują regularnych wypróżnień, kurują tlenem z butli, naświetlają lampą UV. Ostatnio przebąkują coś o rowerku stacjonarnym i o ruchu na świeżym powietrzu. Starają się jak mogą, by wydłużyć i umilić mi żywot.

Zaprzyjaźniłem się z Panem Usypiaczem. Od kiedy przestał okładać mnie po łbie, okazał się całkiem sympatycznym i elokwentnym skórzanym knutem, jedynym, z którym kiedykolwiek miałem okazję naprawdę intymnie pogadać. Polubiłem go tak bardzo, że postanowiłem zwierzyć mu się ze swojego planu. Planu chytrego jak diabli. Magiczna mikstura, którą we mnie pompują, silnie uzależnia, potrzebuję jej coraz więcej i coraz częściej. Milczę jednak i nie domagam się większych porcji. Narkotyczny głód, jak dotąd, udaje mi się zwalczyć niezwykle przyjemną wizją zemsty. Bracia ćpają kiepy na potęgę i tracą czujność. Pozwalają mi przywdziewać ulubioną koszulę w czarno-białą kratę o luźnych, szerokich rękawach. Podwijają nieznacznie jeden z nich, tylko przed podłączeniem strzykawki do żylnego wlewu. Już niedługo, może nawet dziś wieczorem, zacisnę na ramieniu, na wysokości pachy, gumowy wężyk, który zwędziłem Włochatemu z kieszeni fartucha, kiedy odurzony majstrował przy jednym

z moich wenflonów. Zacisnę wężyk bardzo mocno. Tak, by narkotyk nie dostał się do otwartego krwiobiegu. Niech sobie krąży na odcinku od czubków palców do barku, ile mu się żywnie podoba. Wtedy wypełnię przejrzysty umysł potwornym gniewem; dziką furię zapewni syndrom odstawienia. Z grymasem błogiego nieszczęścia na twarzy będę palił jednego papierosa za drugim. Wygeneruję zabójcze pety i poczekam, aż spragnione nirwany bliźniaki rzucą się na nie bez opamiętania. Będę patrzył, jak zaciągają się łapczywie, jak nie dowierzają własnym zmysłom, jak w końcu do nich dociera, co się stało. Ale będzie już za późno. Będą więc się w bolesnej agonii, bezskutecznie błagać o litość, drzeć w konwulsjach niewyobrażalnego lęku. Potem rozluźnię opaskę. Odleczę po raz ostatni, w pełni delectując się zwycięstwem.

Tymczasem wydaje mi się, że słyszę śmiech. Dochodzi gdzieś z oddali, zza piwnicznych murów. Nie ma w nim szyderstwa, kpiny, złośliwości. Jest serdeczny, szczery. Domyślam się, że to śmiech mojego przyjaciela. Jest przekonany, że dopiął swego, że już zawsze będziemy razem.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Mrugam porozumiewawczo do Pana Usypiacza.

Obaj wiemy, że nie moja.

Zdecydowana większość moich pomysłów na opowiadania bazuje na z pozoru błahych wydarzeniach lub scenach z prawdziwego życia. Czasem biorę na warsztat jakąś autentyczną scenkę i odbijam ją w krzywym zwierciadle, czasem na wzór Stephena Kinga zadaję pytanie: „co by było gdyby?”, ale coraz częściej po prostu pytam: dlaczego? Są sytuacje, zachowania innych ludzi, zdarzenia losowe albo zjawiska przyrody, które spotykają nas niemal codziennie, a które nie do końca rozumiemy lub wręcz reagujemy typowym WTF? Otóż, kiedy mieszkałem jeszcze w Lublinie, w mikrej kawalerce „patologicznego” bloku, przez długie lata z regularnością nadgorliwych Świadków Jehowy nawiedzało mnie dwóch sąsiadów (ojciec i syn, zawsze osobno, na zmianę) z rodzaju tych, którzy żywią się niemal wyłącznie marnej jakości alkoholem, a oddychają dymem z najpodlejszych papierosów. Rzadko prosili o pożyczanie „dwóch złotych”, wiedząc, że ledwo wiązę koniec z końcem, natomiast regularnie prosili o papierosy. Pewnego popołudnia stawili się obaj, nieco chwiejni, jak zawsze uprzejmi i szarmanccy i zapytali o „fajkę na zbyciu”. Trafili na moment, w którym sam paliłem ruskie śmierdziuchy z przemytu, racjonując je sobie drastycznie z powodu absolutnego braku gotówki. Odmówiłem im papierosów, powiedziałem, jak sprawy się mają i że przez najbliższy miesiąc nie mają po co przychodzić, bo jestem tak pod kreską, że bardziej się nie da. Przyjęli odmowę z godnością i zrozumieniem ludzi, którzy wiedzą, co to znaczy naprawdę nie mieć grosza przy duszy, ale poprosili o niedopałki. Ponieważ palę na balkonie i nie mam w zwyczaju rzucać kiepów na ulicę, petuję śmierdziuchy w ogromnej popielnicy. Po kilku tygodniach zbiera się tego tyle, że przesypuję zawartość popielniczki do plastikowej siatki i wyrzucam. Tym razem siatkę podarowałem sąsiadom, cierpiąc przy tym wyrzuty sumienia, że będą dopalać moje resztki. Po tygodniu pojawili się znowu z prośbą o kolejną porcję niedopałków. Oddałem. Byli wdzięczni jak nigdy, zaproponowali nawet, że za tę moją hojność są gotowi wyrzucać mi śmieci – wystarczy, że worek wystawię przed drzwiami. Podziękowałem zdziwiony, cierpiąc już nieco mniejszy „cudzy” wstyd. Przez kolejnych kilka tygodni historia się powtarzała. Sępy dostawały woreczek z niedopałkami, równocześnie dopominali się o śmieci, które obiecali wyrzucać i składali solenne obietnice, że „jak tylko coś” to na nich mogę liczyć. Nadszedł w końcu dzień oczekiwanego przelewu, znowu było mnie stać nie tylko na normalne żarcie, ale nawet na dobre papierosy. Nazajutrz pojawili się sąsiedzi po swoją porcję niedopałków. Powitałem ich z uśmiechem, poinformowałem, że dobrze trafili i że dziś mogę poczęstować

ich normalnym papierosem. Sięgnąłem do paczki cameli, wyłuskałem niemal połowę jej zawartości i z uczuciem, jakie pewnie towarzyszy wszystkim wielkodusznym darczyńcom, wyciągnąłem rękę w ich stronę. Wstyd się przyznać, ale oczekiwałem może nie wybuchu radości, jednak chociaż skromnego entuzjazmu. Pewnie nieczęsto mają okazję tak wytwornie zapalić. Chcemy kiepy! – zawarczeli zgodnym chórem. – Nie chcemy papierosów, chcemy kiepy! Nie wzięli cameli, wzięli śmierdzące zleżałe pety. Nadal przychodzili regularnie i z obłędem w oczach dopominali się o zużytą zawartość mojej popielniczki. Nigdy więcej nie chcieli papierosa. Podejrzywałem, że wyłuskują z niedopałków tytoń, a potem skręcają sobie własne szlugi, ale nie potrafiłem zrozumieć, DLACZEGO wolą przepalony tytoń z cudzych petów zamiast dobrego papierosa prosto z paczki. To pytanie zadreczętało mnie tak długo, że (zamiast ich po prostu zapytać) musiałem poszukać odpowiedzi w swojej wyobraźni. Ale odważyłem się dokończyć pisanie tej historii dopiero po przeprowadzce do Warszawy.

– Juliusz Wojciechowicz

ANNA MUSIAŁOWICZ

Z wykształcenia pedagog-resocjalizator. Z natury włoścykij. W chwilach wolnych od obowiązków rodzinnych i zawodowych grywa w szachy, nawiedza zamki, rysuje, gdzie popadnie i co popadnie, zazwyczaj słucha heavy metalu i rocka, czyta głównie fantasy. Z zamiłowania pisarka.

Jako autor debiutowała w marcu 2016 roku. Jako redaktor i korektor działa głównie w wydawnictwach związanych z horrorem i fantasy, zajmuje się również promocją książek. Jej opowiadania i drabble zostały opublikowane w magazynach i antologiach związanych z literaturą grozy i podręcznikach RPG. *Diabeł z za okna* to jej debiutancka powieść.

Jak kamień w wodę

Wchodzisz do ogromnego budynku szkoły i wiesz, że ten dzień może stać się zarówno najlepszym, jak i najgorszym w twoim życiu. Przestrzeń korytarza przytłacza cię, do uszu wlewa się harmider złożony z krzyków innych dzieciaków, napominań nauczycieli i uporczywie brzęczącego dzwonka. Jak osy w gnieździe. Gorzej. Jak wściekłe owady krążące wokół twojej głowy. Gdzieś trzaskają drzwi. Sufit zdaje się obniżać, ściany pochylają się, by cię zgnieść. Ludzie krążą, przepychają się, jeden kaszle, drugi śmieje się w głos, ktoś pochlipuje. Czujesz się skołowany. Jednak ten chaos to tylko iluzja – każdy trafia tam, gdzie jego cel. Nie potrafisz tego pojąć. Chcesz uciec, nawet cofasz się o krok, ale odbijasz się od brzucha stojącego za tobą ojca. Przez chwilę, zadzierając głowę, spoglądasz na jego twarz, jego zaciśnięte szczęki zdradzają zdenerwowanie. Nie zaszczyca cię nawet spojrzeniem. Nie przekonasz go. Musisz iść dalej, choć twoje nogi stają się dziwnie miękkie. Jakiś spóźniony uczeń przebiega tuż koło ciebie, niemal potykając się o twój but. W jego oczach widzisz wrogość. On biegnie dalej, a ty masz ochotę się rozpłakać. Matka szepce coś do ojca. Nie rozumiesz. Potem pochyla się nad tobą i mówi kilka pokrzepiających słów w stylu „wszystko będzie dobrze”. Wierzysz jej, bo to twoja matka, a ona nigdy nie kłamie. Ale wiara nie pokonuje strachu. Słyszysz jakiś huk, to pewnie ten spóźniony dzieciak trzasnął drzwiami. I kiedy cały rumor milknie, nie wiesz, co bardziej cię przeraża – cisza pośród murów czy zgniatająca mózg wrzawa charakterystyczna dla szkolnej przerwy. Wiesz jedno – boisz się. I choć starasz się być odważny, a uśmiech mamy dodaje ci sił, czujesz się, jakbyś właśnie wszedł do paszczy potwora.

W takiej oto sytuacji znalazł się Nataniel, który zaledwie dwa tygodnie temu wraz z rodzicami przeprowadził się do R.

Dyrektor szkoły okazał się małym, nerwowym człowieczkiem trochę w stylu Danny’ego de Vito, tyle że z wredniejszym wyrazem twarzy. Siedział za wielkim, rzeźbionym biurkiem z ciemnego drewna, zupełnie niepasującym do jego postury. Nataniel wręcz stanął na palcach, by dojrzeć twarz pana A. Smitha – jak głośiła złocona tabliczka na biurku, lecz udało

mu się to dopiero, gdy dyrektor wychylił się, by sięgnąć po pióro, które niemal stoczyło się na szorstką wykładzinę. Co uderzyło chłopca, to błyszcząca łysina, otoczona kępką czarnych włosów, wśród których z trudem można było odnaleźć ślady siwizny. Pan Smith był prawdopodobnie młodszy, niż się to na pierwszy rzut oka zdawało.

– Witamy cię w naszej szkole – rzekł, uśmiechając się wyniośle. Wyraz jego twarzy skojarzył się Natanielowi z gremlinem. – Możesz czuć się zaszczycony, że zostaniesz uczniem tej placówki. Jesteśmy szkołą z tradycjami i nie każdemu dane jest się tu uczyć. Liczymy na twoje zaangażowanie, wysiłek i oddanie.

Nataniel przełknął ślinę. Czuł, że ojciec za jego plecami robi to samo.

– Twoja obecność tutaj – Smith cedził każde słowo – jest skutkiem mojej długoletniej znajomości z twoim ojcem. Gdyby nie łącząca nas kiedyś zażyłość, znalazłbyś się w szkole dla zwykłych dzieciaków, bez szans, jakie daje ci nasza placówka. Nie zmarnuj tego.

– Tak – wymknęło się z ust chłopca. Czuł, że powinien powiedzieć coś mądrego, jednak krtań zacisnęła mu się tak bardzo, że nawet wymówienie tego jednego słowa nastęczyło mu trudu. Pod powiekami zebrały mu się łzy. Stał ze spuszczoną głową, starając się nie rozplakać, obserwowany z niezdrową ciekawością przez dyrektora. Jego wzrok palił tak, że policzki chłopca z każdą chwilą stawały się czerwieniejsze. Uszy płonęły.

– Dziękuję, Arthurze, że zgodziłeś się wpisać mojego syna na listę uczniów – rzeczowo odezwał się ojciec. – Wiem, że dostać się do tej szkoły nie jest łatwo i nie ma tu przypadkowych dzieci. Dlatego jestem przekonany, że robię najlepsze, co mogę, dla naszego syna.

Matka stała w milczeniu, onieśmielona, miętoląc w dłoniach torebkę.

– Bez wątpienia, bez wątpienia... – Smith wciąż cedził słowa, świdrując wzrokiem trzynastolatka.

– Mam u ciebie dług wdzięczności. Nasza sytuacja, jak wiesz, zmieniła się i...

– Wiem, wiem – odrzekł Smith protekcjonalnie. Nagle ojciec Nataniela, choć wyższy co najmniej o głowę od dyrektora, stał się mały, drobny i nic nieznaczący. – Słyszeliśmy o waszej tragedii. – Dyrektor przybrał poważną minę, by za chwilę ponownie uśmiechnąć się jak gremlin. – Nie martw się niczym, zajmiemy się chłopcem. Będę traktował go wyjątkowo.

Wyjątkowość tego traktowania Nataniel odczuł bardzo szybko, gdy na lekcji matematyki, którą prowadził sam dyrektor, został ponizony przed

całą klasą. Narysowanie trójkąta równobocznego przerosło możliwości chłopca nie dlatego, że nie wiedział, jak wykonać polecenie. Podane wymiary boków okazały się zbyt długie, by mógł dosięgnąć dostatecznie daleko. Tablicę zawieszono wysoko, a stopień, na który wchodzili co niżsi uczniowie, cóż... Nataniel nie miał pojęcia o jego istnieniu.

Dyrektor odesłał go do ławki, nie omieszkując złośliwie skomentować umiejętności chłopca. Rechet uczniów, jaki towarzyszył chłopcu w drodze na miejsce, szpilami wbijał się w jego uszy. Wstyd sprawił, że twarz Nataniela spurpurowiała i w ten oto sposób chłopiec zyskał przydomek. Burak. I było to jedno z najmniej zjadliwych przezwisk, jakimi od tej pory nazywano Nataniela.

Kiedy zrobisz z ciebie klasowe pośmiewisko, gdy opinia popychadła przyłgnie do ciebie, nie ma szans, by wyrwać się z tej roli. Przemykasz korytarzami, starając się pozostać niezauważonym. Z toalety korzystasz tylko wtedy, gdy wiesz, że gdzieś obok znajduje się nauczyciel i w razie czego usłyszysz twoje wołanie o pomoc. Zresztą nie miałbyś odwagi wołać, bo zemsta dzieciaków będzie boleć bardziej niż zanurzenie włosów w toalecie. Siniaki tłumaczysz uderzeniem piłki na WF-ie. Co z tego, że ich tak dużo? Dobrze się bawiliśmy, a ja dałem z siebie wszystko, wiesz, jak to między chłopakami jest. I przecież wygraliśmy! Na lekcjach nie zgłaszasz się do odpowiedzi, byle tylko nie prowokować kąśliwych uwag. Boisz się pokazać nauczycielom, jak dobrym jesteś uczniem, lepszym niż inni. To mogłoby się źle skończyć. Starasz się być dobrym kolegą – odrabiasz za innych zadania domowe, czasem nawet podmienisz kartki na sprawdzianie – może „koledzy” odpuszczą, może się zlitują. Nauczyciele albo są ślepi, albo chcą być ślepi. Myślisz, że to niemożliwe, żeby nie zauważyli tego, co się dzieje. Rodzice mają swoje problemy, nie będziesz ich przecież dodatkowo zamartwiał. Dobrze się uczysz, to najważniejsze. Kumple z klasy dzwonią na telefon domowy, proszą o pomoc. Tak to wygląda z zewnątrz. Udajesz radość, gdy słyszysz ich głos w słuchawce, zgadzasz się na wszystko. Wiesz, że jeśli nie przystaniesz na to, co mówią, jeśli nie wykonasz tego, czego od ciebie żądają, będą cię niszczyć. Każdego dnia błagasz Boga, by zesłał na ciebie chorobę. Jakaś grypa, cokolwiek, by przez następne dni nie iść do szkoły. Gdy Bóg wysłuchuje modlitwy, słyszysz, jak twoja matka odbiera telefony od zmartwionych twoją nieobecnością kumpli. Cieszy się, że masz na kogo liczyć. Masz ochotę rozwalić ten telefon. Odsuwają od siebie podejrzenia. Przecież nie powiesz nikomu, że w zeszłym tygodniu to nie

twoje rozkojarzenie sprawiło, że potknąłeś się na schodach i rozwalileś wargę. Powrót do szkoły po chorobie jest jeszcze cięższy. Oni nie poinformowali cię o szkolnym wyjściu na wystawę, nie wzięłeś pieniędzy na bilet wstępu. Nie martw się, pożyczą. Nauczyciele chwalą ich za empatię. Jutro musisz oddać trzy razy tyle. W pewnym momencie dostrzegasz, że skóra cię swędzi. Drapiesz się niemal do krwi. To kolejny powód, by się śmiali. Pewnie jakiegoś syfa dostałeś. I tylko gdzieś wewnątrz kiełkuje ziarenko buntu. Że nie zasługujesz na takie traktowanie. Ale nie postawisz się nikomu. Ich jest więcej.

– Hej, debilu! – Nataniel przyspieszył kroku, choć wiedział, że go dogonią.
– Wypracowanie napisałeś?

– Napisałem.

Napisał nawet trzy. Robinowi z kilkoma błędami ortograficznymi, bo ten od zawsze ma z tym problem, więc lepiej, żeby pani Johnes nie zjarzyła. Kurtowi – długie, wplatając słowa najnowszych piosenek Lil Skiesa, którym się fascynuje. Trzecie miał oddać jako własne. Niestety wpadło w ręce Tony’ego. Ten przejrzał je, uznał, że jest lepsze od jego własnego i zamienił. Nataniel miał jeszcze dwie przerwy, by wymyślić coś swojego. Da radę.

Kiedy tydzień później pani Johnes oddawała prace, Tony nie posiadał się z dumy. Wywołany na środek sali, pysznił się, gdy zachwalała styl, sposób wypowiedzi, a także przemyślane i dojrzałe argumenty. Postanowiła wysłać wypracowanie na konkurs międzyszkolny. Brawo, Tony, brawo. Oby tak dalej.

Nagrodą miał być dwutygodniowy wyjazd na wymianę do Francji. Do przejścia jeszcze dwa etapy – ten międzyszkolny i potem stanowy. Poziom tej pracy dawał Tony’emu realne szanse na znalezienie się w finale. Dzieciak należał do tych bystrych, ale leniwych. Bardzo nierówny w nauce, ale nie można mu było odmówić inteligencji. Johnes wyrażała nadzieję, iż taka szansa sprawi, że będzie trzymał poziom.

Nataniel może siedziałby jak mysz pod miotłą, przełykając łyżę goryczy, gdyby nie obelżywy gest, który Tony wykonał w jego kierunku, gdy wracał do ławki. Frajer. Bezmózg. Pojeb. Pierdol się, Tony.

– Pani Johnes, czy mógłbym przeszkodzić? – Nataniel powoli wstał, zwracając uwagę całej klasy. To nie było typowe. Nawet nauczycielka wyglądała na zaskoczoną, słysząc głos niewidzialnego dla niej, jak do tej pory, ucznia.

– Proszę – odpowiedziała surowo, choć głos jej zadrżał.

– Chciałbym wyjaśnić kwestię wypracowania Tony’ego.

Wyjaśnienia kosztowały go utratę zęba i złamanie nosa. Dopadli go niemal pod domem. I może skończyłoby się jak zawsze – tłumaczeniem matce, że schody śliskie, że podłoga w łazience świeżo umyta, że ktoś nagle otworzył drzwi, gdy przechodził obok – gdyby tego dnia ojciec Nataniela nie postanowił skrócić sobie dnia pracy.

– Od dawna to trwa? – zapytał, przyciskając mokry opatrunek do krwawiącego nosa syna.

– Yyyyych – Nataniel nie miał ani ochoty, ani siły na tłumaczenie.

– Smith wie?

Nataniel pokręcił głową, co spotęgowało i tak ogromny ból. Chłopiec miał ochotę płakać. Udawał, że nie słyszy przekleństw, które ojciec bezwiednie rzuca pod nosem. W takich chwilach naprawdę się go bał.

Mama milczała, połykając łzy.

Pan Smith miał dużo problemów z policją, gdy okazało się, że sprawa została oficjalnie zgłoszona. W dodatku na jaw wyszły jakieś finansowe nieprawidłowości w związku z zarządzaniem placówką. Zginęły ogromne pieniądze. Wraz z pieniędzmi pod ziemię zapadła się żona pana Smitha. Tak naprawdę nikt nawet nie miał pojęcia o jej istnieniu. Potem pan Smith nie pojawił się w swoim gabinecie. Dzień, dwa, trzy. Jego ciało ponad pół roku później wyłowili jakiś przypadkowy wędkarz. W zwłokach trudno było rozpoznać szanowanego dyrektora szkoły.

Nataniel powoli dochodził do siebie. Kilka tygodni spędzonych w domu pozwoliło na regenerację, choć nos na zawsze pozostał lekko skrzywiony w lewo. Do szkoły miał już nie wrócić. Zbliżały się wakacje, podczas których rodzice znów planowali przeprowadzkę, więc nie było sensu.

Tony został zawieszony w prawach ucznia, ponadto w stosunku do niego i kilku innych chłopaków z klasy Nataniela toczyło się postępowanie przed sądem dla nieletnich. Nikt nie wierzył w skuteczność działania władzy, istniała jednak realna szansa, że przynajmniej jedno dziecko uniknie szykanowania. Ktoś „wyżej” zwrócił uwagę na problem.

Nataniel natomiast cieszył się czasem beztroski, leczył rany, oglądał filmy, czytał książki, chodził na długie spacer. Zwykle samotnie. Nikt z rówieśników nie kwapił się, by mu towarzyszyć. Czasem spacerował z mamą, niekiedy ojciec służył mu za kompana. Bywało, że wsiadał na rower i gnał przed siebie, byle gdzie, byle dalej. Podczas jednej z takich wypraw znalazł na drzewie ogłoszenie: „Czy widziałeś tego chłopca?”

Zaginiony Anthony Delain”. Pod spodem widniało zdjęcie chłopaka, dokładny jego opis i prośba o kontakt z policją lub rodzicami dziecka, jeżeli ktokolwiek jest w posiadaniu jakichś informacji na temat jego miejsca pobytu. Nataniel pokręcił głową. Niby życzył dawnemu koledze z klasy wszystkiego, co najgorsze, jednak w tym momencie poczuł się źle z myślą, że mogło mu się coś stać. Odjechał, targany sprzecznymi emocjami.

Pamiętał, jak zaginęła jego siostra. To było rok przed ich przeprowadzką do R. Anastasiia była od niego trzy lata starsza. Pewnego dnia po prostu nie przyszła ze szkoły. Do wieczora rodzice czekali, bębniąc opuszkami palców w stół czy oparcie fotela, zastanawiając się, jaką karę jej wymyślą za takie spóźnienie. Szlaban. Zabiorą kieszonkowe. Z każdą upływającą godziną pomysłów było więcej. Przez następny tydzień będzie wyprowadzała psy sąsiadów. Nie tydzień, miesiąc. Rok. I sprzątała w pokoju brata. W garażu lepiej. Najlepiej tu i tu. Dzwonili do koleżanek. Wyszła z nimi ze szkoły i poszła w kierunku domu. Miała zająć się Natanielem. Nie, chyba nigdzie nie zboczyła. Nikt z nią po drodze nie rozmawiał. Sąsiadce się zdawało, że widziała ją, jak wchodzi do domu. A może to był ktoś inny? A może to było dzień wcześniej? Gdy zdecydowali się zadzwonić na policję, początkowo próbowano ich zbyć. To trudny wiek. Może ma nowego chłopaka i boi się przyznać rodzicom? Nie szkodzi, że zawsze grzeczna, czasem dzieciaki potrafią się dobrze maskować. Zgłoszenie przyjęli.

Nataniel nie przepadał za swoją siostrą, ale wiadomo, jak to między rodzeństwem bywa. Lubiała mu dokuczać i traktowała go jak smarkacza. Robiła mu na złość, a on nie pozostawał jej dłużny. Czasem jednak się przydawała. Pamiętał tamten dzień, gdy zginęła. Po lekcjach planowali razem pojechać nad rzekę wykąpać się. Wkurzyła się, bo okazało się, że pękła jej opona w rowerze. Krzyczała, że wszystko to jego wina. W złości podarła jego ulubiony plakat z LeBronem Jamesem. Powiedział, że napompuje jej ten rower. Do szkoły poszła pieszo. A potem nie wróciła.

Rodzice nie tracili nadziei na odnalezienie jej żywej. Rozpatrywali różne scenariusze: wstąpiła do sekty, uciekła z tym gościem, z którym ostatnio się widywała, źle mu z oczu patrzyło. Może coś ukradła i teraz boi się przyznać, została porwana i niedługo ktoś zgłosi się po okup. Na pewno nie stała jej się krzywda, była silna i mądra, nie pozwoliłaby sobie zrobić niczego złego.

Rzeka oddała jej ciało niemal po roku, kilkadziesiąt kilometrów od miejsca, w którym mieszkali. Rozpoznali jej bluzkę. Zwłoki były w stanie daleko idącego rozkładu.

Wówczas ojciec postanowił, że się przeprowadzą. Nie byli w stanie żyć w miejscu, które od tej pory kojarzyło im się ze śmiercią Anastasii.

Ta ucieczka niewiele im dała. Zrobili błąd – wrócili do rodzinnego miasta ojca Nataniela. Widmo tragedii, która spotkała rodzinę, wciąż nad nimi wisiało; we współczujących spojrzeniach dawnych znajomych, w krępujących pytaniach w stylu „co tam?”, w kłopotliwej ciszy, gdy za wszelką cenę usiłowano unikać tematu. O śmierci Anastasii krążyły różne historie, mniej lub bardziej realne, pełne litości czy krzywdzące. Starali się tego nie komentować. A ból jątrzył się w ich wnętrzach, rozsadzał wnętrze, pomimo pozorów dalszego życia z pamięcią o Anastasii, lecz bez rozdrapywania ran.

Nataniel wyobrażał sobie, jak teraz musi wyglądać życie rodziny Tony’ego. Ciągła niepewność, a ta jest gorsza niż nawet najboleśniejsza prawda. Nadzieja umiera ostatnia, lecz chcesz ją pogrzebać, by tylko przestać się łudzić. Skoro już wiesz, to ułożysz plan działania. Ramowy scenariusz dalszego życia. Przeżyjesz żałobę. Będzie bolało, ale to minie. Skulony w rozpacz, przetrwasz. Tylko poznaj, z czym musisz się zmierzyć.

Przypomniawszy sobie, kiedy ostatni raz widział Tony’ego. To było jakiś tydzień temu. Spacerował wówczas po pobliskim parku, dokarmiał ptaki pływające w stawie. Tony stanął na drugim brzegu. Miał zaciętą twarz i nienawiść w oczach. Nataniel do tej pory nie wie, jak z takiej odległości mógł to zauważyć. Ale właśnie tak jest – kiedy targają tobą silne emocje, niektóre kształty stają się wyraźniejsze, kolory żywsze, a wzrok dostrzega szczegóły, których w normalnych okolicznościach nie byłby w stanie dojrzeć. Nie zwracasz uwagi na tło obrazu, który masz przed oczami. Liczą się detale. Widzisz każdy punkt, dokładnie wiesz, co ma znaczenie, a na czym nie warto się skupiać. Tak działa instynkt samozachowawczy. Ojciec mówił ci: „nie okazuj strachu”, więc patrzysz wrogowi prosto w oczy. Nogi ci się trzęsą, ale opanowujesz ich drżenie. Szczęki zaciskają. Oni będą cię traktować tak, jak im na to pozwolisz. Więc nie pozwolisz. Nie tym razem.

Zacisnął pięści tak, że knykcie zbieleły. Odległość była spora, ale dogoniłby go. Miał wprawę w uciekaniu, dlaczego w drugą stronę miałyby się nie udać? Ruszył. Nogi szybko niosły go, gdy deptał trawę wokół stawu. Adrenalina dodawała sił. Tony stał nieruchomo i uśmiechał się szyderczo. Przetrąci mu ten uśmieszek. Oczywiście wyobraźni widział, jak jego pięść uderza w szczękę Tony’ego, głowa w zwolnionym tempie odskakuje jak

piłka, z ust tryska ślina i krew. No czole pojawiają się krople potu. Nienagannie ułożona fryzura Tony'ego rozpada się. Zemści się za te wszystkie tygodnie, kiedy musiał się bać. Niech teraz Tony sika w portki ze strachu. Jeszcze tylko moment i dopadnie go, jeszcze chwila. Oddycha coraz szybciej, krew pulsuje. Pewnie znów ma czerwoną twarz. Burak. Nigdy więcej burak, nigdy więcej frajer, nigdy więcej pojeb.

– Hej! – Na dźwięk głosu matki zatrzymał się. – Cześć synku, nie spodziewałam się ciebie tutaj.

Też się jej nie spodziewał. Tym razem Tony'emu się udało. Tym razem. Gdy odwrócił głowę, wróg zdążył rozpląnąć się w powietrzu. Masz szczęście, Tony.

Przeprowadzkę do S. przeżył bez większych emocji. Nowa szkoła, nowi nauczyciele, nowi koledzy. Rok starszy, rok mądrzejszy, silniejszy, bardziej zdecydowany. Tym razem nie da sobie w kaszę dmuchać. Od początku izolował się od grupy. Bał się „powtórki z rozrywki”, więc unikał bliższych kontaktów z rówieśnikami. Mniej lub bardziej świadomie zaczął ich do siebie zrażać. Po kilku tygodniach zyskał opinię dziwaka. Po korytarzach przemykał jak cień, starał się nie zwracać niczyjej uwagi, nie wdawał się w dyskusje, niewywołany do odpowiedzi nie zabierał głosu. Próby nawiązania kontaktu zbywał burknięciem. Nie zapraszano go na pizzę, nie chodził z kumplami do kina, nie podrywał dziewczyn. Stał się, tak jak chciał, szary i bezbarwny. Dla świadomości rówieśników niemalże zniknął. Nikt go tu nie zaczepiał.

Przypomniał o swoim istnieniu, gdy w szkole pojawiła się policja. Chcieli go przesłuchać. Kazali się nie martwić, bo sprawa dotyczyła nie tyle jego, co jego znajomych z R. Może zwrócił uwagę na jakiś szczegół. Może pamięta coś nietypowego.

Miesiąc po zniknięciu Tony'ego zaginął Kurt. Potem Olivia – prześliczna blondyneczka, uwielbiająca nosić krótkie topy i wyśmiewać Nataniela przy swoich niemniej urodziwych koleżankach. Następnie Debby – jej najlepsza przyjaciółka. Kiedyś wlały mu do plecaka płyn do czyszczenia kibli. Części książek nie dało się uratować. Z kieszonkowego kupił nowe. Nie powiedział o tym nikomu. Potem Robin. Robin nie był dla Nataniela taki zły, jeśli tylko ten odrabiał za niego zadania domowe. Miał świetne poczucie humoru. Wszyscy śmiali się do rozpuku, gdy na krześle Nataniela położył pinezkę. Ukłuło, ale nie zabolalo mocno. Przynajmniej nie tyłek. Ucierpiała duma.

Adam. Adam był mocny w gębie. Kreatywności w wymyślaniu przezwisk nie sposób było mu odmówić.

Sześć osób z byłej klasy Nataniela. Sześciu uczniów, których chciałby wymazać z pamięci. Nie przypominał sobie żadnych istotnych szczegółów. Niczego nietypowego. Nie przyjaźnili się. Nie zdradzali mu żadnych planów. Nie miał nic do powiedzenia na ten temat.

Podczas rozmowy z policjantami ojciec chodził po pokoju nerwowo. Mama, jak zwykle, siedziała w kącie, nie wtrącając się. Po spotkaniu z policjantami zwolniono go z lekcji. Rodzice zabrali go do domu. Przez całą drogę milczeli.

Od tej pory Nataniel przestał być niewidzialny dla rówieśników w szkole. Na światło dzienne wypłynęła sprawa zaginięcia jego siostry. Początkowo nieśmiało, ale potem coraz nachalniej zaczęto go wypytywać zarówno o Anastasię, jak i o kumpli w R. Gazety trąbiły o niewytłumaczalnym zaginięciu szóstki gimnazjalistów. Potem siódemki. Allan rozplynął się jak mgła w niecałe trzy miesiące po tym, jak zaginął Tony. Był jego najlepszym kumplem.

Nataniel stał się najbardziej rozpoznawalnym uczniem w szkole. Na nic zdało się ukrywanie podczas przerw w szkolnej toalecie. Na nic wchodzenie do klasy na sekundę przed nauczycielem i wymykanie z niej dwie sekundy przed dzwonkiem – tłumaczył się słabym pęcherzem. Chciano z nim nawet przeprowadzić wywiad do gazetki szkolnej. Uciekał. Męczył się. Pragnął, żeby następnym, który zniknie, był on sam.

Dopiero wieczorami, w domu, czuł się bezpiecznie. Przestał zamykać się w swoim pokoju. Zjadał z rodzicami kolację, potem siadał z nimi na kanapie i oglądał telewizję. Mama masowała mu stopy jak wtedy, gdy był maluszkiem. Tata częstował chipsami, przypominając, że są niezdrowe. Gdy na ekranie pojawiały się jakieś wiadomości mówiące o zaginięciu gimnazjalistów, zgodnie przełączali program. Nie chcieli wracać myślami do R. Ani nigdzie indziej, gdzie ginęły dzieci.

O sprawie zaczęto powoli zapominać. Nataniel z powrotem okrył się płaszczem niewidzialności i poruszał się w szkole przez nikogo nie niepokoiony. Aż pewnego dnia na korytarzu zobaczył Shane. Jak mógł jej wcześniej nie dostrzec? Była z równoległej klasy, piękna jak obrazek. Gdy odgarniała włosy, widział, jak promienie słońca odbijają się na każdym pojedynczym paśmie. Gdy się uśmiechała, cały świat wokół niej jaśniał.

Blask jej oczu rozświetlał wszystko, na czym zawiesiła wzrok. Nataniel pierwszy raz w życiu zakochał się. Bez pamięci.

Szkopuł w tym, że Shane miała chłopaka. Daniel z rocznika wyżej. Mimo to Nataniel krążył wokół dziewczyny, ciągnął do niej jak mucha do miodu, jak ćma do ognia. Początkowo wystarczało mu podziwianie jej z odległości, potem zapragnął dotykać słonecznych włosów, musnąć palcami twarz, a nawet i pocałować malinowe usta... I może po kilku tygodniach ten stan zakochania by mu minął, gdyby nie chłopak Shane, który zwrócił uwagę na kręcącego się zbyt blisko dziwaka.

Pewnego dnia, gdy Nataniel obserwował Shane zza filara, ten podszedł do niego od tyłu, chwycił za kark, sprzedał kilka niezbyt silnych ciosów w nos i kazał odpieprzyć od dziewczyny. Obiecał, że jeśli jeszcze raz zauważy Nataniela w pobliżu Shane, powyrywa mu nogi z dupy. Nie wyglądał, żeby żartował.

Nataniel wrócił do domu załamany. Z nosa cienkimi strużkami sączyła się krew. Żaden siniak nie bolał go tak mocno, jak upokorzenie. W kuchni spotkał mamę. Chciał uniknąć niewygodnych pytań, ale nie pozwoliła mu wyjść. Opowiedział wszystko. Przytuliła go mocno, tak jak wtedy, gdy był małym dzieckiem, szeptała cicho, kojącym tonem:

– Nikomu nie pozwolę skrzywdzić mojego chłopca. Nikomu.

O zaginięciu Daniela Nataniel przeczytał trzy dni później. Komunikat wydrukowany na kartce A3 – oczywiście ze zdjęciem i danymi chłopca – wisiał na drzwiach szkoły. Gdy wrócił tego dnia do domu, matka akurat grabiła liście w ogródku.

– Cześć synku! – krzyknęła. – Piękny dziś dzień – stwierdziła, odwracając twarz ku słońcu. – Ciepło jak we wrześniu!

Opowiedział jej o Danielu. Wzruszyła ramionami, ale dostrzegł grymas niepokoju na jej twarzy. Może przypomniało jej się o Anastasii? Może boi się o niego? Przecież tyle zaginięć odnotowano w ostatnim czasie.

– Najważniejsze, żeby tobie nic się nie stało – odpowiedziała rzeczowo. – Nikomu nie pozwolę zrobić ci krzywdy. A niech ktoś spróbuje, będzie miał do czynienia ze mną! – roześmiała się. Podeszła do niego i ucałowała go w czoło. Potem objęła i tkwiła z nim w tej pozycji, aż dla Nataniela stało się to krępujące. Ech, te matki.

Tej nocy Nataniel nie mógł zasnąć.

Czasem myśli nieujarzmione błakają się po głowie. Sen nie przychodzi. Dręczą cię, kłębią, przywołują z pamięci dziecięce strachy, potwory spod

łóżka i wspomnienia zdarzeń, których wciąż się wstydzisz. Każda niesprawiedliwość, każde upokorzenie, obciach... Zamykasz oczy. Widzisz wykrzywione twarze tych, którzy z ciebie drwili. Uwierzyłeś im. Jesteś nikim. Kręcisz się w łóżku. Nakładasz poduszkę na głowę, zrucasz kołdrę, by za chwilę przykryć się nią z powrotem. Może pełnia księżycy tak na ciebie wpływa. Bzdury. Nie szkodzi, że masz już niemal piętnaście lat. Może mama nie śpi. Słyszysz jej kroki. Przez chwilę możesz być jej małym synkiem. Niech przytuli. Nikt poza tobą i nią się nie dowie.

Kiedy Nataniel uznał, że dalsza walka ze sobą nie ma sensu, że tej nocy już nie zaśnie, postanowił zejść do kuchni. Mama też nie spała. Od czasu zaginięcia Anastasii cierpiała na bezsenność. Podobno łykała proszki, ale chyba nie pomagały.

Schody nawet nie skrzypnęły pod jego ciężarem. Bezszelestnie wszedł do kuchni, mama nawet się nie odwróciła. Nataniel poczuł niepokój. Zdawała mu się jakaś dziwnie sztywna. Mamrotała coś, nie rozumiał słów. Może lunatykuje?

Podszedł do stołu, przy którym siedziała. Nadal go nie dostrzegala. Przez plecy przeszedł mu dreszcz. Miała szeroko otwarte oczy, skojarzyło mu się to z wyrazem twarzy obłąkanego. Szeptala. Słowa pochodziły z języka, którego nie znał. Brzmiały jak mantra. Nagle jakby wyrwała się z transu, spojrzała na niego i stwierdziła:

– Nikt nie skrzywdzi mojego synka.

Nataniel uciekł.

Następnego dnia żadne z nich nie wspomniało o tej sytuacji.

Doszło natomiast do niespodziewanego zwrotu w sprawie zaginięć uczniów. We wszystkich programach informacyjnych, w gazetach, trąbiono od odnalezieniu zwłok. Zaczęły wypływać z rzek, jezior i stawów w odległych od siebie miejscowościach. Policja nie komentowała doniesień bardziej, niż było to konieczne. Ustalano profil psychologiczny sprawcy. W telewizji i Internecie można było natknąć się na zdjęcia dawnych znajomych Nataniela. O odnalezieniu ciała dyrektora Arthura Smitha jedynie napomknięto. Nikt nie zwrócił uwagi. Szkoły uczciły śmierć uczniów minutą ciszy, flagi opuszczono do połowy. Liczono, że sprawa szybko zostanie wyjaśniona. Na ciałach dzieci nie odnaleziono jednak śladów przemocy, co stawiało organa władzy w trudnej sytuacji – nie było punktu zaczepienia. Sekta? Ktoś ich nakłaniał do samobójstwa? Ponownie przeszukano pokoje każdego z dzieciaków, sprawdzano telefony, szukano

pamiętników, na nowo przesłuchiowano wszystkich, który mieli jakikolwiek kontakt z nastolatkami. Policja kolejny raz odwiedziła rodzinę Nataniela.

– Woda zmywa winy – szepnęła matka, gdy oficerowie opuścili dom.

Tylko Nataniel to usłyszał.

Matka w ogóle ostatnimi czasy była jakaś dziwna. Oderwana od rzeczywistości. Nataniel obserwował ją uważnie. Niby wszystko robiła jak dotychczas, ale diabeł tkwi w szczegółach. Pochowała wszystkie zdjęcia Anastasii. Gdy myślała, że nikt nie widzi, uważnie śledziła programy dotyczące zaginięć. Nataniel obawiał się, że znów fiksuje na temat jego siostry. Że wszystko jej się przypomniało, przeżywa rozpacz na nowo.

Lecz jego zajmowało coś innego. Uważał to za płytkie i egoistyczne, bywały nawet dni, że miał poczucie winy z tego powodu ale... skoro Daniel zniknął, to Shane była wolna.

Jako że sam przeżył zaginięcie kogoś bliskiego, stał się dla niej oparciem. Rozmawiali godzinami, o strachu, o bólu, o niepewności. O tęsknocie. A potem o wyższości komiksów Marvela nad DC albo odwrotnie, o ostatnim meczu Lakersów, nieprzydatności funkcji trygonometrycznych w życiu, poezji Baudelaire'a (tu Nataniel w bardzo szybkim tempie musiał nadrobić zaległości, by nie okazać się ignorantem), o tym, że Jon Bon Jovi się zestarzał i powinien już odpuścić granie, ale warto zwrócić uwagę na Lo Moon. Spotykali się początkowo na przerwach w szkole, potem kilka razy odprowadził ją do domu. Droga za każdym razem zajmowała im coraz więcej czasu. Wieczorami wysyłali do siebie miliony smsów. Oszalał ze szczęścia, gdy pewnego razu, kiedy oglądali film, położyła głowę na jego ramieniu. Chłonał zapach jej włosów. Sam siedział jak sparaliżowany, obawiając się, że najmniejszy jego ruch sprawi, że Shane się odsunie. Puchł z dumy, gdy zapytał ją o chodzenie, a ona się zgodziła. Gdyby mógł, ich splecione dłonie trzymałby wysoko nad głową, by nikt nie przeoczył, że Shane jest jego dziewczyną.

Matce natomiast odwalało. Nie lubiła Shane, nie pozwalała Natanielowi spotykać się z nią w domu, a najlepiej nigdzie indziej. Sprawdziała mu telefon. Przeszukiwała pokój. Nie dawała spokoju. Twierdziła, że Shane zabawi się nim i zostawi, gdy spotka innego, bo dziewczyny w jej wieku tak mają. Że będzie przez nią cierpiał. Nie wierzyła Natanielowi, gdy mówił jej, że Shane jest inna. Że się kochają. Ojciec starał się nie wtrącać za bardzo w ten konflikt, ale Nataniel wiedział, że trzyma jego stronę. Czasem dołożył kieszonkowego, by mogli z Shane wyjść do kina, czasem ich podwiózł do

Mac'a. Nataniel słyshał niekiedy, jak rodzice podniesionymi głosami rozmawiają na jego temat, myśląc, że on już śpi. Ojciec tłumaczy matce, że to normalna kolej rzeczy, że ona musi odpuścić. Ona łka, że już jedno dziecko przez głupią, szczenięcą miłość straciła, więc nie pozwoli nikomu skrzywdzić drugiego. Rozmowy kończyły się zazwyczaj trzaskaniem drzwiami.

Spotykali się już niemal od sześciu tygodni, a Shane nadal nie odwiedziła go w domu. Znała sytuację, więc nie należała, jednak to ciągle ukrywanie się przed matką zaczynało Nataniela męczyć. Początkowo chciał, żeby dziewczyna przyszła do niego tak, żeby nikt nie zauważył. Planował pokazać jej kolekcję swoich komiksów z Iron Manem. Ona uznała, że nie chce czuć się jak złodziejka i poczeka, aż Nataniel dogada się z mamą. Będzie cierpliwa.

Rozmowa z matką nie była przyjemna. Na początku prosił o pozwolenie. Matka uznała, że po jej trupie. Rozpętała się awantura. W końcu Nataniel uznał, że w dupie ma jej zdanie i jutro po lekcjach przychodzi z Shane.

– Rób co chcesz – odpowiedziała już spokojnie.

Nie spotkali się z jego matką w domu. Natknęli się na nią po drodze, gdy wracali ze szkoły. Byli podekscytowani, choć po Shane widać było, jak się denerwuje.

Matka przywitała ich szerokim uśmiechem. Ucałowała Nataniela w czoło, choć próbował się jej wyrwać, uściskała Shane, jakby ta była jej własną córką. Dziewczynę zmroziło.

– Pięknie razem wyglądacie – skomentowała. Shane i Nataniel spojrzeli po sobie zaskoczeni.

Uznała, że dzień jest piękny, szkoda go tracić na siedzenie w czterech ścianach i zaproponowała spacer. Wrócą razem na kolację. Nie śmieli odmówić. Zabrała ich nad zalew, tam, gdzie Nataniel zwykł obserwować ptaki.

Mówiła, wciąż mówiła – komentowała najnowsze wydarzenia ze świata mody, pochwaliła styl Shane (młodzieżowy, ale nie nazbyt wyzywający), napomknęła o pomniejszych wydarzeniach ze świata polityki, o których nastolatki ewentualnie mogli usłyszeć, opowiadała o ulubionych książkach, z których część była lekturami szkolnymi, więc oni również nie powinni się zrażać. Było dziwnie. Krępująco. Matka zdawała się tego nie zauważać.

W końcu usiedli na ławce nad brzegiem zalewu. Jedli lody na patyku. Po chwili ciszy matka znów zaczęła mówić.

– Nat, kochanie. Shane. Muszę wam o czymś powiedzieć. Nie twierdzę, Shane, że jesteś złą dziewczyną, ale tak bardzo boję się, że ktoś skrzywdzi mojego chłopca.

Nataniel zaczerwienił się ze wstydu. Burak – przypomniał sobie. Shane chwyciła go za rękę. Ścisnęła mocno. Matka mówiła dalej.

– Cały czas mam przed oczami Anastasię. Była niewiele młodsza od was, gdy się zakochała. Na śmierć i życie. On miał już wtedy dziewiętnaście lat. Chciał, żeby poszła z nim do łóżka. – Nataniel i Shane, zawstydzeni, rozpletli dłonie. Odsunęli się od siebie. – Byłam przeciwna tej znajomości. Ona była za młoda dla niego. Rozmawialiśmy bardzo długo, o wszystkim. Zwierzała mi się z najdrobniejszych szczegółów tego jej związku. Gdy zaczął naciskać, by uprawiała z nim seks, zaczęła się wahać. Kochała go całą swoją młodzieńczą miłością, był dla niej wszystkim. W tym wieku tak się po prostu ma. Oddajesz się cały. Nie chciała go stracić. Jednocześnie wiedziała, że to nie czas, że nie jest gotowa. Dopiero co skończyła czternaście lat. Namówiłam ją, by z nim zerwała. Twierdziła, że to zrobiła, jednak serca matki nie oszukasz. Wiedziałam, że nadal się z nim spotyka, teraz już w tajemnicy. Nie chciałam jej naciskać. Uznałam, że opowie mi o wszystkim, kiedy będzie gotowa.

Przerwał jej Nataniel.

– Mówisz o tym gościu, co po jej śmierci wyjechał gdzieś do Europy, zniknął bez śladu ?

– Tak, o nim. Była w ciąży, Nat. Była z nim w ciąży... Moja mała, słodka córeczka. A on się wyparł. Nie chciał mieć problemu. Więc... zrobił jej to... – Z oczu mamy polały się łzy. Dziecinnym gestem przyłożyła pięści do twarzy, jakby chciała je powstrzymać, łkała – gorzko, rozdzierająco. Shane i Nataniel osłupieli. Nie potrafili znaleźć słów, które byłyby właściwe.

Gdy matka trochę się uspokoiła, kontynuowała:

– Szukał jej razem z nami, ale wiedziałam, że ma coś na sumieniu. Rozmawiałam z nim. Płakał. Prosił o wybaczenie. Mówił, że wcale nie chciał tego zrobić. Ale gdy usłyszał, że będzie miał dziecko, przestraszył się. Chwycił ją za szyję za mocno. A potem to się po prostu stało... Tak mi mówił.

– Mamo!

– Więc synku, nie pozwolę, by ktoś skrzywdził również ciebie. Nikt nie może skrzywdzić mojego małego synka.

Shane nagle wstała. Zrobiła to dziwnie, niezgrabnie, jakby ktoś ją z tej ławki siłą wyciągnął. Przypominała marionetkę. Matka kontynuowała, intensywnie wpatrując się w dziewczynę.

– Właśnie wtedy zrozumiałam, że potrafię to zrobić. Ochronić cię przed złem.

Shane stała zdrętwiała. Resztki lodów kapąły na jej buty. Chciała się obrócić, ale jakby wrosła w ziemię. Kark jej zeszywniał. Nie mogła mówić. Zamiast tego bulgotała coś niezrozumiale. Jedyne ruch gałek ocznych zdradzał, że jest przerażona i nie rozumie, co się dzieje.

– Mamo, co... – Nataniel próbował się podnieść, jednak jakby ktoś go przyspawał do ławki. Gdy tylko wyciągnął ręce, te opadły z powrotem, niczym siłą przyciągnięte do jego ciała. Był skamieniały.

– Może ty, Shane, nie chcesz, by Nat cierpiał przez ciebie. Jeszcze tego nie wiesz, ale to się prędzej czy później stanie. W mniejszym lub większym stopniu. A ja nie będę ryzykować.

Shane krzyknęła. Ręka, w której trzymała lody, bezwiednie uniosła się do twarzy. Wbiła sobie patyk w oko. Wyciągnęła go razem z gałką. Krew zalała bluzkę, którą przed chwilą matka Nataniela chwaliła.

– Shane! Mamo! – Nataniel nadal nie mógł się ruszyć. – Pomocy!

– Nakazałam Redowi szukać ciała Anastasii. Wszedł do rzeki, skoro zmusiłam do tego jego nogi. Patrzyłam, jak się boi. Moja mała córeczka też się bała.

Shane wcisnęła patyk w drugie oko. Tym razem nie wyciągnęła go stamtąd. Nataniel krzyczał. W pobliżu nie było nikogo.

– Patrzyłam, jak ostatkiem sił nabiera hausty powietrza. Tylko przedłużał agonię. Nie pozwoliłam mu wyjść. Stałam na brzegu i obserwowałam, jak się topi. Życie za życie. Śmierć za śmierć.

Shane, jak robot, ruszyła w kierunku zalewu. Nataniel przestał krzyczeć. Otwierał usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Matka delikatnie głaskała go po plecach.

– A potem przeprowadzka. Nic nie mówiłeś. Ale ja widziałam, co ci robią. Staralam się powstrzymać, ale nie mogłam. Krzywdzili cię tak mocno, nie mogłam na to patrzeć. Najpierw on. Smith. Wydawało mu się, że jest lepszy od nas. Obiecał cię chronić. Nie dotrzymał słowa. A potem Tony. I ten, jak mu tam, Kurt. I cała ta banda dzieciaków, dla których znaczyłeś niewiele więcej niż worek na śmieci. Musiałam ich ukarać. I każdy, kto tylko spróbuje

cię skrzywdzić, skończy tak jak oni. A gdy woda zmyje ich winy, dostąpią mojego przebaczenia.

Nataniel płakał bezgłośnie.

– Nie bój się. Mamusia nie pozwoli cię skrzywdzić nikomu. Nigdy.

Shane była już po kolana w stawie. Zagłębiała się dalej. Bezwolna, wchodziła powoli, aż w końcu spod wody wystawał tylko czubek jej głowy. Promienie słońca odbijały się w jej włosach.

Wszystkie jego kobiety

Drzwi nie stawily oporu. Pchnęła je delikatnie, a wyrobiony zamek odskoczył, wpuszczając ją do tajemniczego świata jego obrazów. Nie wchodziła tu niemal nigdy. Nie pozwalał jej.

Stały oparte o ściany, niektóre zawieszono na sufitowych belkach. Te starsze tkwiły pod ukośnym sklepieniem, jeden na drugim, zakryte białymi prześcieradłami lub owinięte folią bąbelkową, zabezpieczone przed zniszczeniem. Te, których się wstydził, pokrywała gruba warstwa kurzu. Pełne kolorów, w ciemności rozproszonej jedynie słabym światłem kołyszącej się na kablu żarówki, zdawały się wyblakłe, bez życia, które w nie tchnął. Były dla niego wszystkim – z czułością tworzył je pędzlem, wystudiowanym ruchem nadawał im kształty, uważnym wzrokiem badał każdą linię, nie pozwalał im na niedoskonałość. Kobiety. Te z twarzą Marylin czy Sophii, te o ustach Monici czy Angeliny, te z oczami Jennifer lub Brigitte. Każda w wyuzdanej pozie nieodkrywającej niczego, co powinno zostać zakryte, lecz kipiące erotyzmem, pełne namiętności, w orgazmicznych wygięciach, pełne pożądania lub zmęczone spełnieniem. Tworzył je, składając części ciała jak z puzzli, by ociekały seksem, by kusily i niepokoiły.

Elisabeth przemknęła po nich wzrokiem. Nie była taka jak one – doskonała w jego oczach. Nienawidziła ich. Przypomniała sobie o nożu, z którym tu przyszła. Zaczęła ciąć.

Początki były banalne. Miła oku powierzchowność sprawiła, że zwrócili na siebie uwagę. On – typowy artysta z rozwianymi włosami, błyskiem w oku, który dodawał jego twarzy nieprzeniknionego uroku, niegrzeszny chłopiec, za którym idzie się w ogień. Ona drobna jak stokrotka wczesną wiosną, wiotka i pchana wiatrem, wpadła w jego ramiona. Zakochali się bez pamięci czy to w sobie nawzajem, czy w tym, co odbijały lustra ich oczu. Zachwyceni, zaślepieni i oczarowani szybko uwili gniazdko na materacu w jego pracowni, kochając się za dnia i tańcząc z miłości w nocy. On malował, ona go podziwiała. Ona go wspierała, on to doceniał.

A potem pojawiły się one. Gdy przychodziły, zamykał drzwi do pracowni. Słyszała jego niski, stłumiony głos tak często splątany z dźwięcznym kobiecym szczebiotem. Póki słyszała rozmowy, jej serce tylko drżało niespokojnie. Kiedy milki, paznokciami orała sobie rany na przedramionach, obawiając się, co zastanie, jeśli zajrzy do środka. Nie wiedziała, czy jęki i westchnienia, które słyszała, były tylko wytworem jej wyobraźni, czy faktycznie dobiegały z pokoju, do którego nie miała wstępu, gdy malował.

Trudno policzyć, ile ich było podczas roku, który spędziła z nim. Pojawiały się, każda inna, ale łączyła je jakaś wytworność, siła, która pozwalała im patrzeć na nią z góry i traktować jak swego rodzaju posługaczkę czy, co gorsza, ignorować. „Zrób mi herbaty, kochana, nie, wino lepsze, dziękuję, nie jesteś tu potrzebna, możesz już wyjść, zawołam cię, jak będziesz”.

Kiedy którąś przeniósł na płótno, na jej miejsce pojawiała się następna.

Wszystkie jego kobiety, te, które uwiecznił pędzlem, muzy i natchnienia, były zadrą w sercu Elisabeth, były solą w jej oku, były raną jątrzącą się i bólem, który nie ustępował.

Mówiła mu.

Wyśmiewał.

Dlatego uznała, że to koniec. Albo ona, albo one. Dlatego wzięła nóż.

Kiedy cięła, żadna z kobiet nie zwróciła na nią uwagi.

Gdy jej żyły puściły krew, a sama zaczęła zasypiać, zdało jej się, że kierują wzrok na nią. Znajdzie ją pośród nich. Może teraz ją zauważy.

Marylin roześmiała się rozkosznie.

– Och, taka drobniutka. Nie powinna się nazywać Elisabeth, raczej Daisy.

Brigitte wydeła usta.

– Daisy, nie Daisy, nieładnie upadła. Co to za poza?!

– Ma ładne ramiona, powinna je wyeksponować. – Audrey zdjęła nogę z krzesła, zahaczając pończochą o wystającą drzazgę. – A niech to! – krzyknęła, obserwując, jak leci jej oczko.

– Spójrz na linię jej podbródka!

– Wyjątkowa!

– Ma idealnie wykreślone wargi – szepnęła z zazdrością Nicole.

– Co za kolor oczu! Co za błękit!

– To nie błękit, tylko lazur.

– Nie lazur, to kobalt!

– Oj, przecież jej oczy są modre!

- Spójrz na światło! Jak pięknie pada na jej obojczyk.
- Powinno paść na ramiona.
- Przyjrzyj się. Jaka gładka skóra! Aż chce się jej dotykać.
- Zwróćcie uwagę na fakturę... Jakby ręka mistrza tworzyła.

Schodziły z obrazów, okrywając się rozchełstanymi peniuarami, podciągając spuszczone rajstopy, rozmasowując nogi, które cierpły, zadarte w wyuzdanej pozie. Stukały obcasami w drewnianą podłogę, przemykały boso, po cichutku, pochylały się nad nią. Oceniały, kontemplowały, krytykowały i podziwiałały, gdy kałuża karmazynu powiększała się, tworząc tło dla jej drobnej postaci.

- Cóż za barwa! – westchnęła z zachwytem Jennifer.

Przywitała go cisza. Nie taka, jaka trwała przez ostatek tygodnia – pełna wyrzutu, cisza krzycząca o to, by zwrócić uwagę. Ta była pełna oczekiwania, wręcz drżała z niecierpliwości. Dostrzegł, że drzwi od pracowni są uchylone. Nie powinny być.

Wszedł z impetem, uśmiech rozlał mu się na twarzy. Elisabeth. Była tu. Patrzyła na niego spod półprzymkniętych powiek, niepewnie się uśmiechała. Jakby wstyd nie pozwalał jej okazać mu, jak bardzo go pożąda. To w niej uwielbiał – walkę niewinności z żarem, jaki zdawał się buchać w jej lędźwiach. Ręce miała skrzyżowane na białych piersiach, nogi rozwarte, lecz tam, gdzie zaczyna się tajemnica, położyła nóż. Ostro – uśmiechnął się do myśli. Jej gładka skóra błyszczała gdzieś tam, muśnięta słabym światłem żarówki. Docenił cienie układające się na obojczykach. Za dużo czerwieni – stwierdził niezadowolony.

Uniósł obraz, wy dobył z półcienia, przechylił tak, by jasność objęła całość płótna. Elisabeth. Jego Elisabeth. Poczł satysfakcję, patrząc na swe ostatnie dzieło.

Napisz o mnie

Chłopiec pojawia się przy mnie nie wiadomo skąd – jak zawsze. Przystaje za mną, niecierpliwym tupaniem zaznacza swoją obecność, domagając się uwagi. Przez chwilę udaję, że jestem zbyt zajęty, by go dostrzec. Uporczywie wgapiam się w monitor, palce w nierównym rytmie stukają w klawiaturę. Na ekranie pojawiają się przypadkowe słowa, tworząc bezsensowne zdania. Mały rozprasza mnie, choć i tak muszę przyznać, że to nie jest dobry dzień na stworzenie czegokolwiek. Zresztą już od ponad tygodnia nie potrafię wymyślić niczego na tyle interesującego, by warto było przelać to na papier. A raczej zapisać do pliku. Wena mnie opuściła. Ale każdego wieczora siadam przed komputerem choćby na godzinę, by skrobnąć kilka słów i nie wyjść z wprawy. Nie nazwałbym siebie pisarzem, choć tu i ówdzie opublikowano jakieś moje opowiadania. Wydałem nawet książkę, powieść obyczajową, która przeszła zupełnie bez echa. Kilka egzemplarzy kurzy się u mnie na półce, parę znalazło schronienie w domach moich przyjaciół, kto kupił pozostałe? Nie wiem. Zarobiłem kilka groszy, ale ledwie starczyły na zapłacenie rachunku za czynsz i energię. Raczej nie skojarzycie mojego nazwiska. Więc powtarzam, nie nazwałbym siebie pisarzem, raczej autorem kilku tekstów, a to moje pisanie to hobby, któremu oddaję się z uporem maniaka. I jeśli nawet gdzieś z tyłu głowy marzę, że kiedyś stanę się nawet nie tyle sławny, ile rozpoznawalny, priorytetem nie jest chwała nieśmiertelna, lecz chleb doczesny, na który pracuję, rozwożąc przesyłki w firmie kurierskiej. Ot, taki los.

Mały zagląda mi przez ramię. Niemal mogę poczuć na karku zimny dotyk jego ciekawskiego nosa.

– Co robisz? – pyta. – Piszesz?

– Przecież sam widzisz – burczę. Nie czuję sympatii do tego dzieciaka, ale nauczyłem się już z nim żyć. Jest jak natrętna mucha, którą możesz przeganiać, a i tak usiądzie ci na środku czoła. Łazi za mną niemal wszędzie, czasami go złośliwie pytam, czy do kibla też mam go ze sobą zabierać. Spuszcza wtedy tę swoją głowę, oczy wypełniają mu się łzami, usta

wykrzywiają w podkówkę, a mi robi się głupio. Więc pozwalam mu siedzieć ze mną. Co dzieciak jest winny?

– A co piszesz? – Prawie gramoli mi się na kolana. Czasem dzielę się z nim moimi przemyśleniami, opowiadam, co też właśnie przyszło mi do głowy, jak potoczą się losy bohatera mojego opowiadania. On słucha uważnie, robi skupioną minkę, która za każdym razem mnie bawi. Potem wygłasza swoje mądrości, komentuje, podpowiada mi pomysły na rozwinięcie czy zakończenie akcji. Nie będę ukrywał, że nieraz mnie zaskoczy i wykorzystuję jego koncepcje w moich opowiadaniach. Mały jest niesamowity, muszę przyznać.

– Ech, nic ważnego – wzdycham. – Jakoś dziś nie mam natchnienia.

– To napisz o mnie.

Kolejny raz prosi mnie to, czasem dla świętego spokoju sklecam kilka zdań, żeby sobie poszedł i mi dalej nie przeszkadzał. W sumie i tak mi dzisiaj nie idzie, więc klikam w „nowy plik”, rozprostowuję się na krześle i spoglądam pytająco na młodego.

– To co mam pisać?

– Napisz coś o mnie. Tylko zmień imię.

– W porządku. – Zaczynam wystukiwać litery na klawiaturze. – Był sobie, powiedzmy, że Szymek.

– Nie, nie Szymek.

– Piotruś?

– Też nie.

– To jak? – Jeszcze nie napisałem pierwszego zdania, a mały już zaczyna działać mi na nerwy. – Przecież to tylko wymyślone imię. Nie ma znaczenia.

– Mówisz? – Mały zdaje się być nieprzekonany. Przykłada palec wskazujący do ust, intensywnie się zastanawiając. – A może być Tadek?

– Tadek? A kto dziś daje takie imię dziecku?

– Przecież mówiłeś, że imię nie ma znaczenia.

– Dobra. – Wypuszczam powietrze z ust. – Niech będzie: był sobie Tadek. Tadek był bardzo grzecznym chłopcem i miał dziewięć lat.

Mały znów się krzywi.

– Ale czemu wypisujesz takie pierdoły? Zbywasz mnie.

Prawie się krztuszę.

– Wcale cię nie zbywam. Po prostu nie wiem, czego ode mnie chcesz. O czym ma być ta opowieść?

– O mnie. Tylko z innym imieniem.

- No to piszę przecież!
- Ale tak ładniej.
- Jak ma być ładniej? – Unoszę głos. Mały cofa się o krok, przestraszony.
- Napisz tak, żeby ktoś inny mógł to przeczytać, nie tylko ja.

No tak, zapominam, że ten dzieciak jest mądrzejszy niż inne w jego wieku. Dokładnie wyczuwa moje humory, widzi niuanse, dostrzega zawoalowane treści, wie, kiedy mnie irytuje, kiedy mam ochotę, by znikł mi z pola widzenia. Nie żeby robił z tej wiedzy jakiś użytek, raczej nieudolnie stara się wówczas zmienić mi nastrój, co czasem mu się udaje. Jest przekonujący, cwana bestia.

- No dobra, piszemy porządnie. Jak mam zacząć?
- Napisz coś o samotności.

Pochyliam się nad klawiaturą, kątem oka zerkam na małego. Usta ściska w wąską linijkę. Jest bledszy niż zazwyczaj. Denerwuje się. Zależy mu.

- Samotność to taka straszna trwoga... – zaczynam.
- Ej – przerywa mi piskliwie. – To z piosenki! A to mają być twoje słowa.

Wzdycham głęboko. W głowie mam pustkę i ani pomysły o przygodach grzecznego chłopca Tadka, ani wywody filozoficzne na temat samotności nie kłębią się teraz w mojej głowie, czekając, aż dam im ujście przez palce, przenosząc myśli za pomocą klawiatury, zamieniając je w megabajty, piksele, cokolwiek, co pozwoli przesłać je dalej, by podzielić się z innymi swą wątpliwą jakością twórczością. Nicość. Neurony przestają stykać się ze sobą, synapsy nie przewodzą pomysłów. A chłopiec stoi i czeka, niemal skacząc z niecierpliwości w miejscu, stukając przy tym palcem w biurko, jakby chciał mnie pospieszyć.

– Dziecko, no to czego ty ode mnie chcesz? Przecież widzisz, że nie mam dnia...

– Jest dzień! Zobacz za oknem, słońce wciąż świeci. A każdy dzień jest szansą, żeby napisać coś dobrego!

No tak, ma rację. Chcę mu odpowiedzieć, że każdy dzień jest również okazją, by speprzyć coś niemożliwie, ale powstrzymuję się.

– To jak w końcu zacząć?

– A możemy najpierw wymyślić drugie zdanie? Potem wrócisz do pierwszego.

– Może tak będzie łatwiej. Tadek był bardzo interesującym chłopcem, mądrzejszym niż jego rówieśnicy, przez co często go nie rozumieli. Może być?

– Tak. – Mały kiwa głową i przysuwa się do komputera tak, że niemal przesłania mi ekran. – A teraz napisz o tej samotności.

– Pomimo że otaczało go mnóstwo innych dzieci, czuł się samotny w grupie. Nie wszyscy potrafili go zrozumieć. Dobrze?

– Tak. Pamiętaj, że to ma być smutna opowieść. – Mały przysuwa się jeszcze bardziej do mnie, opierając łokieć o moje kolano. Nie czuję jego ciężaru. Na bladych policzkach pojawiają się lekkie rumieńce. Dobra, myślę, skoro młodemu tak zależy, w końcu napiszę to, o co mnie prosi, raz a porządnie. Zaczyna we mnie wzbierać energia do działania.

– Chłopiec często był wyśmiewany z powodu swoich rudych włosów – piszę dalej, odczytując na głos każdy wyraz, gdyż mały jeszcze nie nauczył się biegle czytać. Chcę powiększyć czcionkę na komputerze, by było mu łatwiej, ale twierdzi, że wygodniej mu słuchać mnie. – Pomimo że w słońcu lśniły jak złoto, inne dzieciaki częściej przyrównywały je do marchewki. Tadek nie miał łatwego życia w szkole. Wciąż był wyzywany od ryżych łbów, wrednych i fałszywych szumowin. Nikt nie chciał z nim siedzieć w ławce, do pary wybierany był jako ostatni. I chociaż pani wychowawczyni nieraz go pocieszała i strofowała uczniów, dzieciaki za jej plecami dokuczały mu i robiły mnóstwo złośliwości.

Mały pochmurnieje. Pod powiekami zbierają mu się łzy.

– Na pewno chcesz, żebym o tym pisał? – Robi mi się go szkoda. Te wspomnienia nie są przyjemne, a nie chcę go zasmucać. Takie rozdrapywanie starych ran nigdy nie jest dobre. Przeszłość trzeba zostawić za sobą, by dać miejsce przyszłości.

– Na pewno – odpowiada cicho, acz stanowczo. – Napisz o tym, jak mi wkładali robale do piórnika. I jak zamykali w toalecie.

– Dobrze. – Energia, którą jeszcze przed chwilą miałem w sobie, ulatnia się. Czuję się teraz jakoś tak dziwnie winny, jakbym sam był w klasie z tym dzieckiem i go dręczył. Młody opisuje mi swoje życie szkolne, a ja skrupulatnie spisuję jego wspomnienia, zamieniając tylko imię. Dzieci są okrutne. Bardziej perfidne. Mam wrażenie, że z każdym jego słowem na moje plecy spada ciężar. Pomysłowość i podłość dzieci przekracza moje wyobrażenie. Spoglądam na małego, przeżywam wraz nim jego strach, szukam dróg ucieczki przed oprawcami, chowam się po kątach. Drzę, gdy mnie zauważono, biegnę, gdy mnie gonią. Chłopiec mówi cicho, jednak im dalej toczy się opowieść, tym jego głos jest pewniejszy. Mówienie przynosi mu ulgę.

– Napisz o Marcinie. Że chciał się zaprzyjaźnić – prosi.

– To już ta historia z przedstawieniem? – Wiem, do czego zmierza, jednak nigdy nie opowiedział mi wszystkiego. Nie znam zakończenia.

– Tak, to już to. Napisz, że zbliżały się święta wielkanocne. Że mieliśmy wystawić drogę krzyżową.

– Kiedy pani od religii powiedziała, że klasa została wytypowana, by zaprezentować ostatnie chwile z życia Jezusa, każdy był podekscytowany. Najbardziej Marcin, któremu bardzo zależało, by zagrać samego Jezusa. Klasa Tadka odpowiadała za ostatnią wieczerzę. Zaczęły się spekulacje, kto zostanie przydzielony do jakiej roli. Katechетка uznała, że robi tajne głosowanie. Najpierw jednak opowiedziała o wszystkich postaciach, które miały wystąpić w sztuce. Jezus, apostołowie, Maria Magdalena, bezimienni żołnierze, arcykapłani i inne anonimowe postaci. Każdy z chłopców chciał zostać apostołem, zasiąść przy stole z Chrystusem. Wyjątkiem był Judasz – co nie dziwne – nikt nie chciał zagrać największego zdrajcy w historii ludzkości. Pani zrobiła dziesięć minut przerwy i każdy mógł przemyśleć, kogo widziałby w jakiej roli, a potem swoją propozycję wpisać na kartce i wrzucić ją do koszyczka. Marcin pierwotnie nie został wybrany na Jezusa, lecz na świętego Piotra, ale że Jezusa wylosował akurat Piotrek z pierwszej ławki, chętnie się zamienili. Tadek nawet nie był specjalnie zdziwiony, gdy w udziale przypadła mu właśnie rola znienawidzonego Judasza. Katechетка jednak albo nie chciała zrozumieć rozpaczony chłopca, albo umyślnie pocieszała go, tłumacząc, jak ważną był on postacią. W dodatku nadmieniła, że legendy o Judaszu mówią, że też miał rude włosy, więc Tadek nadawał się wręcz idealnie.

Spoglądam na chłopca. Jego twarz przybiera zacięty wyraz. Znów blednie tak, że niemal staje się przezroczyście.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dobrze piszesz – odpowiada, nie odrywając wzroku od monitora.

– Pytam, czy wszystko z tobą w porządku.

– A, ze mną. Ze mną jak zwykle. Pisz dalej.

Więc opisuję, jak to dzieci zaangażowały się w organizację przedstawienia, jak podniecone biegały na próby na przerwach, spotykały się po lekcjach, byleby wszystko wyszło idealnie, byleby publiczność powalić na kolana. Marcin faktycznie próbował nawiązać nić porozumienia z Tadkiem, gdyż bardzo zależało mu, by scena zdrady wyszła idealnie. Tak naprawdę Tadek czuł podskórnie, że koledze chodziło tylko o to, by

zabłysnąc jego kosztem, by Judasz stał się jedynie nic nieznaczącym tłem dla wspaniałej gry Jezusa-Marcina. Jednak sympatia, którą teraz mu okazywano, była bezcenna, toteż Tadek cieszył się z każdego przyjaznego gestu. W końcu nieczęsto takie się zdarzały.

Przedstawienie zrobiło furorę. Publiczność, zwłaszcza ta składająca się z matek i ojców głównych aktorów, była zachwycona, w uszach Tadka jeszcze przez wiele dni rozbrzmiewały brawa. W dodatku po wszystkim dzieci nie odrzuciły go i były jakby mniej złośliwe, nieraz w zabawach podkreślając, że w końcu się na coś przydał i naprawdę spisał.

Radość z występu scaliła klasę, że nawet wiele tygodni po przedstawieniu spotykali się, by na nowo odgrywać role, udoskonalać dialogi, a nawet wymyślać alternatywne historie, które mogły się w tamtych czasach zdarzyć.

– Koniec. – Odsuwam się od biurka.

– Nie, jeszcze nie. – Mały nie rusza się z miejsca.

– Mam dopisać, że wszyscy żyli długo i szczęśliwie? – pryham.

– Opowiem ci zakończenie tej historii. Pisz.

Cóż mam zrobić? Lekko wkurzony, bo siedzę przed komputerem już ciut za długo, przysuwam się do biurka, rozmasowuję kark. Myślę, że powinienem skosić trawę, ale chłopiec jest tak podekscytowany, że nie mam serca mu odmówić. Zresztą nie znam zakończenia. Napędzany słowami młodego, piszę.

– Pewnego dnia Marcin przyszedł na podwórko i powiedział, że ma pomysł na zakończenie historii Judasza. Bo „zrobiliśmy” już zmartwychwstanie, wysłaliśmy świętego Piotra na krzyż do góry nogami. Piotrek niemal skręcił sobie wtedy kark, ale wszystko skończyło się szczęśliwie i była kupa śmiechu...

– To też mam napisać? – wtrącam.

– Eeee... Napisz, ale jakoś tak ładniej.

Ubieram przeżycia chłopca w słowa i spoglądam na niego. Uśmiecha się do wspomnień. Jeszcze raz przeżywa zabawy, radosne chwile z rówieśnikami. Opowiada o kilkunastu wersjach życia Marii Magdaleny, która po kolei zakochiwała się w każdym apostołe, nawet w Judaszu, ale w końcu stwierdziła, że miłuje tylko Jezusa. Nie mogli jednak, ku niezadowoleniu odgrywającej rolę Agnieszki, urządzić im ślubu. Łowili ryby, wygłaszali płomienne mowy, nawracając grzeszników. Zaangażowali

się w to całymi swoimi dziecięcymi sercami. Nagle na twarzy chłopca pojawia się cień.

– Teraz napiszesz o historii Judasza.

– To smutna historia?

– Tak, to moja historia.

Za oknem chmurzy się. Zaraz zaczną padać, myślę. Pal lichy trawę. Skosi się jutro. Jestem ciekaw historii Tadka.

– Babcia Marcina opowiedziała mu, co się stało dalej z Judaszem. Jak pożałował zdrady Jezusa, jak chciał oddać srebrniki, jak rozpaczał i jak... Więc na nowo wycięliśmy z tektury monety i owinęliśmy je w folię aluminiową. Poprzednie srebrniki gdzieś zgubiłem, co chłopacy mieli mi za złe, ale nie ukarali mnie za to. Więc chodziłem, płacząc i zawodząc, rzucałem im się do kolan, żeby im oddać kasę i żeby zwrócili Jezusa. Marcin stał z boku i patrzył, czy dobrze odgrywam rolę. Dawał wskazówki, ale głównie chwalił, że dobrze mi idzie. Chłopaki wysoko unosili głowy, odwracali się do mnie tyłem. A ja jęczałem i błagałem u ich stóp. Mogli pluć w moją stronę, ale tak, żeby nie trafić. Nie zawsze ślina szła obok, czasem dostałem, a oni się wtedy śmiali. Trochę było mi przykro, ale wiesz, przedstawienie musiało trwać. A potem, jak nakazał Marcin, wdrapałem się na to drzewo. Pomogli mi zawiązać sznurek na szyi, a potem dobrze okręciliśmy go wokół gałęzi drzewa. Wiesz przecież, jak Judasz umarł. Sznurek Marcin wziął z domu, to był taki od wieszania prania, bardzo mocny.

Odrywam ręce od klawiatury. Czuję, że serce mi bije w przyspieszonym rytmie, a żołądek się kurczy.

– Coście zrobili? – wyrzucam z siebie. Zimny dreszcz przechodzi mi po plecach.

– Skoczyłem z tego drzewa. Tak się bujałem, a oni próbowali mnie zdjąć. Bolało mnie, dusiłem się, chciałem zerwać sznurek z szyi, ale nie mogłem. Chłopaki krzyczeli, ale tego nie było w scenariuszu.

Mały nie-Tadek, nie-Judasz uśmiecha się do mnie szeroko. Przytupuje radośnie.

– To była jazda! Wiesz, ilu ludzi się zbiegło? Ale mnie to już nie obchodziło.

Siedzę jak wryty, na przemian patrząc to na ekran monitora, to na młodego. Palce mi drżą. Co ten dzieciak mi opowiada? Chłopiec ściska mnie i całuje w policzek. Chłodne usta muskają moją skórę.

– Dzięki! To właśnie moja historia. W końcu ją spisałeś. Lecę na dwór się pobawić.

– Dokąd? Zaraz będzie burza. Nie słyszysz, jak grzmi? – Wciąż w szoku, usiłuję myśleć rozsądnie.

– Zerwał się wiatr. Pobujam się na drzewie.

Widzę, jak mglista postać rozwiewa się w biegu. Ma tyle energii w sobie, tyle... życia?

– A kiedy odejdziesz? Tak na zawsze.

Rozmyte kształty na powrót stają się postacią chłopca. Odwraca się do mnie. Ryza czupryna zdaje się płonąć. Uśmiecha się, iskierki tańczą mu w oczach.

– Nigdy. Przecież byłem Judaszem, nie rozumiesz? Jestem potępiony.

MAREK ZYCHLA

Urodził się 26 marca 1980 roku w Żarach. W 2007 roku ukończył studia na Wydziale Biologii UAM w Poznaniu, po czym wyemigrował do Irlandii, gdzie założył rodzinę i mieszka do dzisiaj.

Na co dzień pracuje jako księgowy oraz opiekun osób niepełnosprawnych w ośrodku KCAT Art & Study Centre, w Callan, w hrabstwie Kilkenny. Nocami wystukuje na klawiaturze słowa, zdania, opowiadania, powieści nawet.

Zychla zazwyczaj pisuje grozę, gdzie protagoniści walczą z urojeniami własnych, schorowanych głów, zaś od czytelnika wymaga skupienia, by z pozornego chaosu, ramię w ramię z bohaterami, dojść do prawdy. A ta bywa przerażająca, bo cóż może być straszniejszego od buntującego się przeciw nam umysłu?

Jeanie Johnston

Ludzie głodni nie wiedzą, co to wolność.

– Ildefonso Falcones, *Katedra w Barcelonie*

I

Palili gandzię na świeżo skoszonej łące, nie zabrakło też irlandzkiego piwa. Żegnali się nie tylko ze sobą nawzajem, ale i z ONiSem (Ośrodkiem Nauki i Sztuki dla osób niepełnosprawnych), gdzie odbyli roczny wolontariat. Bali się tego, co przyniesie przyszłość, oferująca młodym głównie studia, pracę lub płodzenie dzieci.

– Zmykasz do Afryki? – Niemiec zagadał Włoszkę.

– Raczej do domu. – Dziewczyna porzuciła złudzenia na rzecz nacisków rodziny.

– A ty? – Padło na mocno upaloną Francuzkę, która od dłuższego czasu nie brała udziału w rozmowie. Spoglądała za to na sąsiadujący z łąką budynek ONiSu, od którego oddzielał ich jedynie parking.

– Trevelyan – przemówiła wreszcie na tyle głośno, by zwrócić uwagę pozostałej dwójki. – Leseferyzm.

Wskazywała na mural, pokrywający elewację szerokiego, trzypiętrowego budynku. Konkretnie na wyrysowaną postać mężczyzny w kolorowym kapeluszu.

– Dopiero zauważyłaś, Sherlocku? – zażartował Niemiec, którego poczucie humoru pozostawiało dużo do życzenia. – To dzieło któregoś z pierwszych artystów ośrodka.

– Trevelyan. Leseferyzm – powtórzyła Francuzka ciszej.

Straciła przytomność, zanim zdążyła dodać, że według niej postać mężczyzny się porusza.

– Rachel przesadziła z zielonym – podsumował Niemiec, kiedy upadła na trawę.

II

Chłopaki położyli rowery na płask. Nie zadawali pytań, tylko czekali na opowieść Sama.

Sam dokończył wpierw czekoladę, którą go przekupili. W życiu nie pochłaniał słodczy tak wolno, więc zaczęli ponaglać kumpla szturchańcami.

– No mów – nie wytrzymał Adam (jego tata pracował w tym samym ośrodku co wolontariusze). – Naprawdę umarła.

– Coś tam palili na łące. – Sam starał się brzmieć jak dorosły, co przychodziło z trudem, skoro buzię oblepił mu cukier.

– Papierosy? – Spróbował zabłysnąć najmłodszy z trójki.

– Cicho, Charlie, zioło palili. – Adam skarcił młodszego brata.

– Od zioła się nie umiera – Sam powtórzył tylko słowa mamy, ale i tak zaimponował kumplom. – Ponoć serce nie wytrzymało. – Poszedł więc za ciosem, chociaż sam się zastanawiał, jak to się z tym sercem czasem dzieje, że nie wytrzymuje. – Fajna była. – Tym razem dodał coś od siebie.

Rachel mieszkała w jego w domu, bo wolontariuszom wynajmowano pokoje u rodzin z Callan, tak by mieli kontakt z irlandzką kulturą.

– Myślisz, że ją zabili? – Adam chciał, żeby coś się wreszcie w miasteczku wydarzyło. – Ten Niemiec?

Sam przestał oblizywać usta. Poprawił okulary na nosie, co robił zawsze, gdy ten pokrył się potem.

– Nie strasz młodego – rozkazał i podniósł rower. – Niemiec jest w porządku.

Pojechali poza osiedle, tam gdzie mieszkańcy Callan zapalali świece. Na łąkę.

III

Łąka nigdy nie budziła aż takiego zainteresowania, chociaż od zawsze służyła miękką zielenią zakochanym parom. Niestety, chwilowo miłość zastąpiła śmierć, od której trudniej oderwać myśli czy wzrok.

Ludzie plotkowali, bo ponoć w żołądku Francuzki znaleziono garść szerniałej trawy – co niby wyciekło ze szpitala do mediów. Dlaczego to zjadła? Czy ktoś ją zmusił? Czy miało to związek z marihuaną? Z braku odpowiedzi zapał pleciug gasł.

Włoszce jako pierwszej przejadły się spojrzenia ciekawskich i na poważnie zatęskniła za rodzicami, za wioską pod Modeną, skąd od zawsze pragnęła uciec. Opuściła Irlandię zaraz po policyjnym przesłuchaniu.

Niemiec postanowił zostać, przynajmniej dopóki nie uciszy wyrzutów sumienia, skoro to on skołował trawkę (co zrzucili na Francuzkę). No i sam nie wiedział, czemu nie podzielił się z oficerami Gardy – irlandzkiej policji – ostatnimi słowami koleżanki. Pamiętał je doskonale, w odróżnieniu od Włoszki, która stwierdziła, że Rachel bełkotała przed śmiercią po francusku.

Przestał też głupio żartować, wydorósł. Oficjalnie został, „żeby się pozbierać”. W jednej z dwóch lokalnych kawiarni załapał się na zmywak w zamian za pokój na piętrze. Pracował ciężko, by zagłuszyć wyrzuty sumienia, zaś wieczorami odpalał laptopa i polował na informacje o leseferyzmie czy o Sir Charlesie Trevelyanie, pierwszym baronecie, asystencie sekretarza skarbu podczas Wielkiego Głodu w Irlandii.

IV

Sam zgłodniał, co mu się często zdarzało. Winił mamę, która nagradzała go łakociami za sukcesy, a sukcesem nazywała wszystko: od wstania z łóżka, po zdanie do następnej klasy. Jednak zamiast batonika wyciągnął z kieszeni zapalniczkę z zamiarem zapalania świeczek. Nie poddawał się na przekór wiatrowi, który wiał tak, jak potrafi na irlandzkich łąkach.

– Daj spokój – Adam odebrał mu zapalniczkę. – Znajdziemy po świeczce w domu.

– Mama mówiła, że ogień jest ważny. Że dusza odnajdzie w nim ciepło, którego została pozbawiona.

W takich chwilach Adam zwykł dokuczać Samowi, nazywając jego matkę wiedźmą – co zresztą było bliskie prawdy, ponieważ tym się oficjalnie zajmowała (przyjmowała klientów w rozbudowanej szopie w ogródku; głównie przesądne kobiety z dziećmi, doradzając, jak pomóc chorowitym brzdącom). Sam twierdził, że zawsze przepisywała to samo, czyli odstawienie glutenu, winogron, sera i tym podobne według niego bzdury. Czasami poratowała garścią ziół, licząc sobie przy tym za wizytę od pięćdziesięciu do stu euro. Ludzie płacili, bo w Irlandii ciągle roiło się od przesądów, tu ciągle wierzono we wróżki.

Sam wyciągnął batonik, skinął głową i rękawem osuszył łzy. Charlie zamierzał zażartować z wiedźmą, żeby rozweselić chłopaków, ale pojął, że

humor nie służy tragediom. Wsiadł na BMXa i pojechał pod wymalowany budynek, gdzie na szerokim parkingu mógł w spokoju poćwiczyć skoki. W spokoju, ponieważ prawie nikt tam w wakacje nie parkował – ONiS obowiązywały te same przerwy, co pozostałe placówki edukacyjne kraju.

Charlie ćwiczył też podnoszenie przedniego koła i jazdę bez trzymanki. Co jakiś czas sprawdzał, czy chłopaki dalej siedzą na łące, a ci siedzieli i spoglądali to na niego, to na budynek.

Charlie jeździł i rozmyślał o śmierci Rachel. Uważał, że ludzie nie powinni tak szybko zapomnieć kogoś, kto przyjechał z daleka, żeby pomagać porobionym – jak tata Charliego nazywał artystów z ośrodka.

Wreszcie zmęczył się na tyle, by odsapnąć na ławce przed budynkiem, nieco tylko wygodniejszej od siodelka czy parkingowego asfaltu.

– Charlie. – Usłyszał głos z góry, chociaż w wakacje nikt nie powinien przebywać w ośrodku.

– Ja tylko na chwilę! – zaczął od wyjaśnień, bo bał się tych porobionych dorosłych i tego, że komuś podpadł (ostatnio ludzie w miasteczku zrobili się jacyś nerwowi). – Przyjechałem ze starszym bratem! – dorzucił, dla bezpieczeństwa.

– Charlie! – Zabrzmiało głośniejsze, choć w dalszym ciągu cicho, głęboko za to, jakby głoski wypowiadała drżąca ściana. – Przyrowadź ich.

Charlie nie wiedział, kogo ma przyrowadzić ani tym bardziej gdzie. Przecież to on zawsze szedł za innymi, nie tylko z racji wieku. Tak było wygodniej, bezpieczniej. Tak...

– Zostaniesz przywódcą – zachęciła ściana. – Nikt już nie będzie się z ciebie śmiał.

A śmiali się, tu ściana miała rację, z jego zębów, z roweru, z seplenienia, z fizycznej słabości, bo choć Charlie dużo trenował, to mięśnie nie chciały rosnać.

Fajnie by było dowodzić, pomyślał, cokolwiek to znaczy, bo nie do końca wiedział. Wydawać rozkazy jak najbardziej by chciał, ale wymyślać zabawy już średnio. Nudził się jednak potwornie.

– Pomogę – szepnął. – Przyrowadzę.

Charlie podniósł się z ławki, by spojrzeć na elewację budynku, gdzie wyrysowana postać uśmiechała się do niego tymi grubymi niczym dżdżownicami ustami. Kapelusz i marynarka mężczyzny jeszcze mocniej przesiąkły czerwienią, a zwykle wielokolorowy ptak, który siedział mężczyźnie na ramieniu, pokrył się szarością. No i dostrzegł coś nowego,

jakby na horyzoncie. Coś, co rosło z każdą sekundą, z każdą zaczerpniętą od Charliego cząsteczką wyobraźni.

– Statek! – Chłopiec nazwał rzecz po imieniu.

Dziewiętnastowieczny żaglowiec płynął z wolna ku Charliemu.

Mężczyzna z muralu odsunął się na bok budynku, żeby zrobić okrętowi miejsce (ptak odleciał, by pokryć dach szarością swych piór). Zahipnotyzowany widokiem chłopak usłyszał szum wiatru i fal.

– To kości. – Charlie zauważył, że burty statku zmontowano z ludzkich szkieletów. Czuł, jakby kiedyś już coś takiego widział... – Rzeźba na górze świętego Patryka! – przypomniał sobie klasową wycieczkę. – Pływająca trumna...¹

Tak, tego określenia potrzebował statek, by odkleić się od ściany, by szerokim łukiem opłynąć łąkę. Podobnie jak Charlie, by wreszcie uciec spod budynku. Pędził na rowerze do brata, a do pleców kleiła mu się przepocona bluzka i upiorny śmiech mężczyzny z muralu.

V

– Nie bądź dzieciak, murale nie ożywają. – Adam bawił się zapalniczką. Podrzucił ją i łapał podczas jazdy. – Jak nagadasz rodzicom, to przestaniemy cię ze sobą zabierać. Znowu na mnie będzie, że cię nastraszyliśmy! Widzielibyśmy – dodał asekuracyjnie. – Pilnowaliśmy ciebie! Odpoczywałeś na ławce i...

– Tam był ptak, co zamienił się w dach i żaglowiec, i żaglowiec się oderwał od...

– Charlie, proszę... – Adam jechał między nim a Samem. – Usłyszałeś coś gdzieś.... Ze statkami to taka legenda. Dziadek mi ją opowiedział, a ja opowiedziałem Samowi, który pogadał z mamą... Słuchaj, to bzdura jest – uspokoił brata. – Straszili dzieci, że przyplynie statek ze szkieletów i je porwie, i umrą z głodu. Jeśli jego mama mówi, że to bzdura, to wie, co mówi – chciał dorzucić: wiedźma, ale się pohamował.

Przyśpieszyli, kiedy wyjechali na Green Street, główną ulicę miasteczka, o chodnikach szerszych od asfaltu. Minęli Niemca tonącego w myślach.

– Cześć, Jonathan! – krzyknął do niego Sam, bo znali się przecież dobrze z wizyt osiemnastolatka u Rachel.

Jonathan pomachał mu, ale bez zwyczajowej radości, którą wcześniej promieniował, więc i Sam posmutniał trochę.

Fajne dzieciaki, pomyślał Niemiec i wszedł do oddziału banku, by wypłacić ostatnie oszczędności na wycieczkę do Dublina. Zamierzał zwiedzić żaglowiec Jeanie Johnston i znajdujące się w nim Muzeum Głodu.

VI

Muzeum już samym wyglądem przyciągało turystów. Ci wchodzili na pokład i słuchali o tym, jak w kwietniu tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku pierwsze dwieście wychudzonych osób postawiło podobne kroki, by przepłynąć z Irlandii do Kanady – statek pokonał tę trasę jeszcze kilkanaście razy. Podróż trwała tygodniami w warunkach dalekich od przyzwoitych, za to nikt nigdy na pokładzie Jeanie Johnston nie stracił życia, co zakrawało na cud, skoro na innych pokładach, jak i pod nimi, roilo się od trupów.

Jonathan od razu polubił przewodnika, który serwował grupie makabryczne historie irlandzkich rodzin z szacunkiem, a przy tym ciekawie, szczerze, z pasją. Opowiedział przykładowo o dzielnej dziewczynce, co wyruszyła w podróż tylko z maleńkim bratem, czy o ojcu jedenastu smyków, którego żona umarła w przytułku tuż przed podróżą.

Jonathan zadawał sporo pytań, dlatego wycieczka z planowanych czterdziestu minut przedłużyła się do prawie godziny, mimo to żaden z pozostałych turystów nie miał do niego pretensji. Na koniec przewodnik poprosił o rozreklamowanie muzeum, które okazało się rodzinnym – dokładnie trójrodzinnym – biznesem.

Nastolatek podziękował, raz jeszcze rzucił okiem na słabo oświetlone kwatery pod pokładem i opuścił muzeum, Dublin, lecz nie Irlandię.

Miał jeszcze zbyt wiele pytań i ten wyrzut ciążyący mu na sumieniu.

VII

– Sumienia nie masz! – Mama Sama krzyczała przez telefon na byłego męża, który – czego domyślił się chłopak – właśnie odwoływał wyjazd z synem na ryby.

Kobieta odpuściła sobie dłuższą kłótnię, rozłączyła się i przeszła do kuchni, zamiast przytulić Sama, choć ten od kilku lat na to czekał.

– To nic, mamó – skłamał sam sobie, w czym nabierał niepokojącej wprawy. – I tak wolę zostać z tobą. Pewnie teraz pobiegasz. – Kobieta w ten

sposób odreagowywała stres.

– Przebiorę się – mamie wrócił dobry humor – i zrobimy rundkę po parku.

Przy okazji poszukamy ziół.

– Ty pobiegasz, ja wezmę rower.

Zgodziła się, nie patrząc nawet na syna.

– Chcesz słodyczy?! – rzuciła, żeby nie musieć z nim rozmawiać.

– Jasne – odparł, bo przecież tylko dzięki batonikom czuł się w miarę szczęśliwy.

W miarę, bo paskudnie tęsknił za tatą.

VIII

Tata z mamą zapłakali nad głosem Włoszki. Ta wpierw chrypiała, co zrzucili na karb aklimatyzacji (w przeżartej słońcem Modenie nie da się latem przeżyć bez przeciągów). Po zachrypniętym dniu piszcziała przeraźliwie. Psy wtórowały jej za każdym razem, gdy otwierała usta, by wreszcie chować się pod salonowym stołem, w łazience lub w najodleglejszych krańcach ogródka.

Włoszka postanowiła więc milczeć. Zgorzkniała, ponieważ lekarze rozkładali ręce, a żadne z dwudziestu ośmiu przeprowadzonych do tej pory badań nie pomogło w rozwiązaniu zagadki.

Do pewnych wniosków doszli, dopiero kiedy wystąpiły kolejne symptomy choroby – której z braku specyficznych enterotoksyn we krwi, kale czy moczu – nie powinna mieć. Skóra dłoni pomarszczyła się dziewczynie niczym po kąpieli, zaś wokół oczu wykwitła sinoczarna obwódka. Rysy twarzy nabrały męskiej wyrazistości, ponieważ waga Włoszki spadała niczym u chorych na nowotwory, ale bez charakterystycznego, śmiertelnego w skutkach osłabienia.

Dziewczyna czuła się całkiem nieźle, tylko ta irytacja...

Cholera czy nie, wnioskuje z objawów, zrozumiała, że musi wrócić do Callan.

IX

Wróciła. Spotkali się na przystanku autobusowym.

– Hej, Cecilia, jesteś? – Jonathan przywitał się z Włoszką wyjątkowo głupim pytaniem, chociaż z drugiej strony mógł jej faktycznie nie poznać. –

Wyglądasz...

– Paskudnie – dokończyła za niego, a Niemiec aż zasłonił uszy.

Wtedy wyciągnęła notes i zaczęła pisać:

– *Nie mogli mnie zatrzymać, bo nie znaleźli przecinkowców cholery. Powiedziałam, że to depresja po opuszczeniu Irlandii. Jonathan – dopisała ze trzy wykrzykniki i błyskawicę – musisz mi pomóc.*

Niemiec niby czytał, ale co chwila spoglądał na pomarszczone dłonie koleżanki, do której jeszcze niedawno czuł pewną słabość. Powyżej, nad nadgarstkiem, zauważył coś jeszcze.

– Tatuaż? – zdziwił się, bo kiedyś mu powiedziała, że nie cierpi tatuży. – Podwiń.

Włoszka niechętnie podwinęła rękaw. W czarnym kółku coś wyrysowano:



– Ka? – Jonathan liczył na obrazki, obstawiał nawet różę, bo taki motyw Ceci nosiła na ubraniach.

– Pamiątka z Irlandii – zapiszczała, po czym rękawem zakryła tatuaż. – *Po co zostałeś?* – Dopisała. – *No mów!* – Podkreśliła trzy razy.

Opowiedział jej o muzeum w Dublinie i o przeczuciach. Ani razu nie spojrzał w jej zapadnięte oczy.

– *Ale czemu ta zgniła trawa?* – Napisała, wracając do tematu Francuzki.

– To najdziwniejsze. Wiem, co jedliśmy, a czego akurat w żołądku nie znaleźli. Ani twoich makaronów...

– *Conchiglioni ripieni!* – Napisała i podkreśliła z włoską wrażliwością na temat kuchni.

– I moje kiełbaski – zbagatelizował złość koleżanki. – I ta czarna trawa o czymś mi przypomniała. I to przypadkiem, a ja nie wierzę w przypadki.

Włoszka ponaglała gestykulacją uzbrojonej w długopis dłoni.

– Słyszałeś o wielkim głodzie? – zapytał, tym razem spoglądając jej w oczy.

– *Bardzo śmieszne!* – Napisała. – *Trochę wychudłam.*

Westchnął.

– Ceci, słuchaj, nie żartuję. Od śmierci Rachel nie żartuję...

Skinęła głową. Przeprosiła gestem.

– Jakiś pierwotniak czy grzyb z Ameryki zaatakował irlandzkie uprawy ziemniaków. Dokładnie w połowie dziewiętnastego wieku – rozpoczął tłumaczenia, z którymi przenieśli się do pobliskiej kawiarenki. – Rośliny wyglądały tak jak to, co wyciągnięto z żołądka Rachel, jak szerniałe zielsko. Rozumiesz? – Nie znosiła, kiedy powtarzał to słowo, bo czuła się wtedy wyjątkowo głupią. – Farmerzy na kilka lat mogli zapomnieć o zbiorach.

– *Spożywali jedynie ziemniaki?*

– Tak, bo zboże sprzedawali, żeby zapłacić Anglikom czynsz za dzierżawę ziemi.

Włoszka wiedziała, jak każdy przyjezdny, że trudno mówić o miłości pomiędzy tymi dwoma krajami, że była tu jakaś okupacja, walka o niepodległość, IRA, jednak nigdy nie zgłębiła tematu na własną rękę.

– Tak gdzieś od drugiego roku klęski głodowej angielski rząd postanowił nie pomagać Irlandczykom. Doszli do wniosku, że pomoc tylko demoralizuje. Nazywali Irlandczyków rozleniwionymi katolikami, co mnożą się na potęgę. Mieli też swoje problemy, które nie różnią się tak bardzo od dzisiejszych, czyli krach jakiejś bankowej bańki spekulacyjnej na kolei.

– *Ktoś umarł?*

Przyniesiono kawę i ciastka. Kelnerka odwracała wzrok od Włoszki, za to uśmiechała się do Jonathana, zbyt pochłoniętego jednak wydarzeniami sprzed blisko dwóch wieków.

– Posłuchaj o liczbach. – Zagryzł słowa słodkim, po czym poczuł się jakoś głupio i odłożył ciastko. – Żyło tu dziewięć milionów Irlandczyków, rozumiesz? Dzisiaj mówimy o połowie tej liczby, to pomyśl, do czego doszło, skoro wciąż nie odbudowano populacji.

– *Zginęli?*

– Półtora miliona umarło z głodu lub chorób, głównie cholery. – Wskazał na nią, za co od razu przeprosił. – Podobna liczba wyemigrowała do Kanady, do Stanów.

– *Co to ma wspólnego z nami? Trójka wolontariuszy z obcych krajów? Nic złego nie zrobiliśmy.*

– Pamiętasz, co powiedziała Rachel? To, co myślałaś, że było po francusku?

Ceci pokręciła głową.

– Trevelyan, leseferyzm – przypomniiał Niemiec. – Pierwsze to nazwisko urzędnika, który zarządzał z Londynu irlandzkim kryzysem. Wyznawca protestanckiej etyki pracy i leseferyzmu właśnie, czyli wolnego rynku w handlu. Typ na starcie wstrzymał dostawy kukurydzy na wyspę, a tę, co tu mieli, zamknął w magazynach. Zarządził bzdurne roboty publiczne, żeby nie było rozdawania zupy za darmo. Irlandczycy budowali drogi na łąkach, na pastwiskach. Kompletnie bezsensownie, bo praca wyczerpująca, a miska wodnistej zupy nie pokrywała nawet w połowie wydatku energetycznego, jaki pracownicy wkładali w wielogodzinny zapieprz.

– *Za zupę?*

– Głównie za kilkadziesiąt gramów owsianki. Dźwigali kamole za łyżkę strawy, często oddawaną dzieciom. Umierali. Nie mieli wyjścia.

– *Słyszałam o przytułkach!* – Nagle dziewczynę olśniło, czym zapunktowała u kumpla, który zaczął mieć ją za oderwaną od historycznej rzeczywistości.

– Tam trafiali po eksmisjach. Gotowano w kotłach i każdy przybysz dostawał na przykład pół stopnia ze schodów jako adres. Kumasz? Trafiasz z rodziną do mega zaludnionego przytułku, by spać na betonie, by zapieprzać bezsensownie i wkrótce umrzeć.

– *Świat nie pomagał?*

– Anglicy doili Irlandię z ośmiu milionów funtów rocznie w podatkach. W czasie Wielkiego Głodu w sumie pomogli na jakieś siedem milionów, co było okruszkiem ich rocznego przychodu. Świat próbował – dodał. – Amerykanie wysłali statek ze zbożem, który Anglicy przechwycili. Umieścili ładunek w magazynie, przez ten leseferyzm właśnie, żeby nie zakłóciło handlu. Co więcej, gdy turecki sułtan zamierzał ofiarować Irlandczykom dziesięć tysięcy funtów, to reprezentanci rządu uprosili go o obniżenie darowizny do tysiąca, bo królowa Wiktoria wsparła kryzys właśnie taką kwotą, więc wyglądałaby głupio przy dyszce z Turcji.

– *Straszne... Ale co to ma wspólnego z nami?*

Jonathan grał na zwłokę, kończąc powoli ciastko i jak zwykle sięgając po to Ceci.

– Nasze centrum nauki i sztuki posiada wspaniałe budynki, prawda?

Włoszka skinęła głową. Ciastko smakowało Jonathanowi mniej słodko, za to trochę bardziej herbacianie, jakby ziołowo.

– Otrzymali go od miasta dwadzieścia pięć lat temu wraz z dofinansowaniem na renowację, bo to ruiny były. Rozumiesz? – Plunął okruszkami. – Zgadnij, czym był w połowie dziewiętnastego wieku?

X

Ceci ozdrowiała, tak połowicznie. Oczu nie otaczała już ciemna obwódka, dziewczyna odzyskała nawet kilka kilogramów, przez co skóra nabrała jędrności, tylko ten głos wciąż raził skrzekiem.

Internet potwierdził rewelacje Jonathana. Przytułek faktycznie mieścił się w budynku ośrodka i zginęło tam kilkaset osób. Włoszka odnalazła nawet w szopie na tyłach ONiSu gar do owsianki, który w sumie widywała wcześniej – przecież w tym miejscu parkowała rower – ale jakoś nigdy nie zastanowiła się nad historią kotła. Napisała nawet do mamy Sama (z którą się kolegowala), żeby opowiedzieć jej o odkryciach. Ta wpadła w wiedzdmowe tony i nakazała jej nie dotykać gara. Jonathanem kazała się nie przejmować, bo nic złego w tym, że chłopak poszpera w historii. Zaprosiła nawet na kawę i ciastka, Włoszka nie odmówiła, po czym wróciła do rozmyślań.

Nurtowało ją, dlaczego Rachel zapłaciła za wolontariat śmiercią, a ją zmuszono – bo jak inaczej nazwać szereg cholerycznych objawów – do powrotu? Francuzka pracowała najciężej z ich trójki. To już raczej leniwy Jonathan zasłużył na karę, czy...

Zrozumiała. Rachel zapłaciła właśnie za bycie przejrzyście dobrą!

XI

– Dobra! – Charlie odpowiedział mamie, która prosiła, żeby wrócił na obiad za dwadzieścia minut.

Zegarka nie posiadał, telefonu komórkowego również (według rodziców był jeszcze za młody), ale wiedział, że dwadzieścia minut trwa jedna dłuższa bajka z Netflixa.

Pognał na rowerze poza Callan. Musiał gnać, skoro miał niewiele czasu.

XII

Czasami Sam wyjątkowo smutniał, sięgał wtedy po batoniki albo wskakiwał na rower. Częściej niestety to pierwsze, lub oba naraz, co w ostatecznym rozrachunku przełożyło się na nadwagę. A dzisiaj smutek zaatakował podwójnie, bo urodziny, bo tata miał wpaść i nie wpadł, więc mama tak się zezłościła, że chyba nigdy tego nie wybiega.

– Co tam? – Adam bezbłędnie wyczuwał nastroje kumpla, szczególnie odkąd brat zaczął znikać gdzieś, obrażony, że mu z murałem nie wierzyli. – Tata?

– Mieliliśmy spędzić dzień w Carlow. Mama chciała odetchnąć... – zacytował ją, bo nie potrafił rozmawiać o uczuciach. – Co z Charliem? – zmienił temat.

Adam wzruszył ramionami, co podpatrzył u ojca.

– Mało co gada, jakby ciągle nad czymś główkował. Mówi, że to tajemnica.

– Powinniśmy go śledzić? – Samowi spodobała się wizja szpiegowskiej akcji, szczególnie że Adam najwidoczniej zapomniał o jego urodzinach, co dorzuciło do serca łopatę smutku.

– Mieszkamy w Callan. – Adam wskoczył na rower. – Tu nie da się nikogo śledzić. Możemy go poszukać.

Nie zdążyli, bo Charlie właśnie wracał. Spocony, lecz rozanielony, jakby udało mu się dokonać czegoś niesłychanego.

W tym czasie statek krążył po miasteczku i rozprzestrzeniał zarazę. Z ludzi tylko Charlie go widział, chociaż odwracał wzrok. Żaglowiec gubił kości, które spadały na mijane domostwa – po jednej na dach – w ciszy i w chłodzie, który mu towarzyszył.

A Charlie robił w tym czasie swoje, czyli jeździł na pewien zapomniany cmentarz, gdzie bardzo mu się podobało.

XIII

O cmentarzu Jonathan dowiedział się z przerdzewiałej tabliczki, przechylonej niebezpiecznie ku ziemi, wciąż jednak stojącej na posterunku o dobrą milę za zachodnią granicą Callan. Tabliczkę obrósł bluszcz, więc oskubał rośliny z kilku garści liści. Od razu zadzwonił do Cecylii, której głos wreszcie odzyskał poprzednią barwę.

– Spacerowałem, rozumiesz, żeby zebrać myśli, a tu taka bomba! Że też wcześniej na to nie wpadłem! Skoro mieli przytułek, to musieli mieć cmentarz! Ludzie ginęli jak muchy. Wrzucano ciała gdzieś do dołów albo

palono razem z domami, jak... – głos mu się zaciął, bo nie chciał urazić Włoszki – jeśli cholereę złapali.

– I to tak blisko Callan?

– A gdzie mieli wozić?! – Niemcowi puszczały nerwy. – Przychodzisz?

– Obiad jem... – zamarudziła, bo nie przepadała za cmentarzami, tym bardziej nie widziała sensu takiej eskapady. – To nie powieść Kinga, żeby tam łązić – rzuciła, bo najlepszą obroną jest atak, a nikt nie lubi przyznawać się do strachu.

Rozłączył się, bo nie wiedział, co odpowiedzieć. Przynajmniej złość na koleżankę dodała mu sił. Ruszył zarośniętą ścieżką. W głowie niósł obraz niemieckich cmentarzy, gdzie dominowała ciemna zieleń – głównie pod postacią tuj i drzew – oraz gęsto ustawiane pomniki świętych. Dociążony zniczami marmur przyozdabiany cytatami z biblii.

Jonathan lubił też irlandzkie nekropolie, z krzyżami celtyckimi oblepionymi białymi plamkami porostów. Z wiatrem chłodzącym kamienie i malującym wilgocią nagrobki.

W tej zadumie niemalże minął cmentarz, który nie wyróżniał się niczym szczególnym na tle innych pól. Wyglądał niczym dzika łąka, przez co trzeba było wyteńczyć wzrok, żeby dostrzec kamienną tabliczkę przy furtce.

– „Pamięci niezliczonej ilości ofiar głodu i biedy, pochowanych w tym miejscu. Większość zmarła w przytułku w Callang’ w latach 1841-1922” – przeczytał. Podpisano przez Związek Dziedzictwa w Callan, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku.

Pchnął bramkę, która zaskrzeczała z mocą cholerycznego głosu. Jonathan ostrożnie stawiał kroki, ponieważ nie chciał podeptać grobów, niewidocznych w gąszczu. Nawet krzyży celtyckich zabrakło. Dopiero gdzieś w oddali, na tyłach ogrodu, bo tak to miejsce wyglądało, stał wychudzony biały krzyż, do połowy smagnięty bluszczem. Nie czuło się jednak żadnej świętości, nikt nie zapalał zniczy, nie pochylał głowy w zadumie nad losem setek, jeśli nie tysięcy nieszczęśników.

Niemiec zapragnął ponownie zadzwonić do Cecylii. Zapewnić, że nie ma się czego bać, a wręcz przeciwnie, że są potrzebni. Powinni skosić trawę oraz przypominać ludziom o Wielkim Głodzie, bo chyba z niepamięci wykiełkowało to całe zło, po czym dopadło Rachel i po trochu Włoszkę. Chciał, ale dzwonić na cmentarzu, nawet takim zaniedbanym, nie wypadało. Nie tego go w Naumburgu uczyli.

Już miał opuścić teren i przynajmniej pogadać ze strachliwą koleżanką, kiedy usłyszał charakterystyczny rowerowy dzwonek Charliego. Kucnął w gąszczu, bo jakoś głupio mu się zrobiło. Nie chciał być przyłapanym, chociaż nie zrobił nic złego. Aż skarcił się w duchu za tchórzliwy odruch. Jednak wstawać teraz byłoby podwójnie głupio.

Wychylił się więc tylko trochę z wysokich traw i zobaczył zaaferowanego Charliego zgrzytającego bramką. Zaaferowanego tak, że nie dostrzegłby pewnie i słonia zonglującego kulami ognia pośrodku cmentarza.

Maluch przeszedł na tyły cmentarza i wyciągnął coś z plecaka.
Coś, co zamiauczało.

XIV

Miauknięcia ucichły pod powierzchnią wody, Charlie odjechał, a Jonathan długo jeszcze kuczał w trawie, próbując przetrawić to, co niedawno widział.

Dlaczego dzieciak utopił kota w rowie na tyłach cmentarza?

Niemiec wstydził się swojego braku reakcji na bestialstwo chłopca.

– Ceci... – zadzwonił jednak, bo coś musiał zrobić.

– Przepraszam. – Dziewczyna jak większość z nas pomyślała wpieryw o sobie. – Boję się cmentarzy.

– Chłopak tu był. Chłopczyk. – Głos Jonathana brzmiał niemalże cholerycznie. – Brzdąc z siedmioletni. Charlie, kumpel Sama od tej kobiety, u której mieszkała Rachel, do której laziłaś na kawę.

– Wszystko w porządku? – Włoszka przeraziła się podwójnie, bo wyglądało na to, że coś się przytrafiło chłopcu. – Gdzie jesteś?

– On przytargał kota w plecaku. Małego, rozumiesz? – Jonathan próbował wziąć się w garść. – Kota na cmentarz? I zaniósł na koniec łąki, bo to raczej taka łąka, tylko paskudnie zaniedbana. – Słowa wylewały się z niego przez dobrą minutę. – Utopił go w rowie za krzyżem. Znaczą się nie wiedziałem, że topi, bo bym mu przerwał – skłamał połowicznie, bo z takiej odległości naprawdę nie mógł dokładnie widzieć, co nie znaczy, że się nie domyślił. – Utopił i odjechał. Na jego twarzy... – Niemiec rozplakał się.

– Co na jego twarzy? – Cecilia szła już w jego stronę, jednak sporo miała do przejścia. – Co na twarzy?

– On się uśmiechał. Był... szczęśliwy.

– Dzieci nie myślą jak dorośli – próbowała uspokoić kumpla. – Wiesz, że studiowałam nauczanie przedszkolne. Dzieci mieszają fantazję

z rzeczywistością. Często lubują się w grozie. Śmierć je fascynuje... – westchnęła, bo temat był złożony. – Jonathanie, nie on pierwszy utopił kota. I nie ostatni. Zaraz u ciebie będę. Z chłopcem porozmawiamy albo pomówię z jego mamą. Słuchaj, takie maluchy różnie reagują na stres. Może ten Sam już się z nim nie bawi lub coś nieciekawego dzieje się w domu?

Jonathan słuchał i zastanawiał się, czy powiedzieć Cecilii o czymś jeszcze, czymś, co przstraszyło go najmocniej, że kiedy kot utonął, drgnęła ziemia.

Drgnęła tak jakoś radośnie.

XV

Ludzie dostawali drgawek, poprzedzających osłabienie i biegunkę. W mediach alarmowano o wyjątkowo zjadliwej grypie żołądkowej. Chorych proszono o pozostawanie w domach i uzupełnianie płynów. Grypa ta wykazywała się zaraźliwością na poziomie odry, a dla dzieci mogła kończyć się śmiercią – straszono jak zawsze dla ogólnego dobra.

Dzieci jednak biegunka bawiła, bo wylatywało z nich coś szarego, pachnącego słodko, więc miały o czym dyskutować między sobą po przebytej chorobie. Lekarze zaczęli przebąkiwać o cholercie, ale ponownie badania moczu, kału czy krwi nie potwierdziły tych przypuszczeń. Z badań wynikało, że dzieciakom nic nie dolega.

Nikt też nie umarł. Mieszkańcy z wolna wracali do zdrowia, więc hrabstwo wysłało laborantów z *Irish Water Services*, by pukali do drzwi i pobierali próbki z kuchennych kranów. Tylko na jednym osiedlu – z prywatnym ujęciem wody – zawiodła pompa do dozowania chloru, więc znaleziono w wodzie winnego: pałeczki okrężnicy.

Charliego choroba nie wzięła, a wręcz przeciwnie, kiedy przyjaciel z bratem leżeli w łózkach, on dalej jeździł na cmentarz topić koty, gawrony, kawki, kosy, szpaki, a nawet jednego jeża, co napawało go dumą. Po jeżu pojechał nawet pod budynek ONiSu, żeby zameldować Muralowemu Panu o swoich dokonaniach.

Ten pochwalił, jak zawsze zresztą, i dodał coś jeszcze. Coś, od czego wykwitła Charliemu gęsia skórka.

– Przyrowadź brata – poprosił. – Pokaż mu ten rów, a może nawet popchnij trochę. I nie martw się.

Charlie przestał się martwić. Słowa spadające ze ściany działały hipnotyzująco.

XVI

Samowi rdzewiała kierownica, Adamowi luzowała się nóżka do stawiania roweru (więc rzucał go zawsze gdzie popadnie), za to BMX Charliego – zajęchany wcześniej przez Adama – dzwonił na nierównościach, których w miasteczku nie brakowało. Przerzutki nie działały albo raczej działały aż nazbyt dobrze, bo przy każdej próbie ich zmiany spadał łańcuch i tata musiał brudzić sobie ręce.

Rodzice obiecali Charliemu nowy rower na gwiazdkę, za to Muralowy Pan oferował ciekawsze dary, z krótszymi terminami realizacji. Poza tym nie obchodził go dodatkowy ząb chłopca (co nazywano mesiodensem, a czego Charlie nie potrafił spamiętać). Stożkowaty ząb nie mógł oczywiście wyrosnąć gdzieś z tyłu, lecz wdarł się centralnie między siekacze. Chłopak pokazywał go z dumą innym dzieciakom w przedszkolu, ale w szkole już się z tego śmiali.

Muralowy Pan zapewniał, że więcej lepsze jest od mniej, a tym, co się śmiali, naszykują nieszczęść. Po czym opowiadał o mieszkańcach Callan, co to kiedyś zginęli z głodu i chcą wrócić. Że małe zwierzęta nie wystarczają do zaspokojenia ich wilczego apetytu. Że z Adamem żartował z tym popchnięciem, bo chciałby go tylko zwerbować.

Przyjęcie brata do drużyny pachniało Charliemu ponownym robieniem za malucha. Muralowy Pan wyczuł wątpliwości chłopca i zapewnił, że właśnie Charlie przejmie stery.

A kiedy wrócą ci, co zginęli z głodu, to z pewnością zostanie ich bohaterem!

XVII

Jonathan miał przecucie, równie wielkie, co niejedna pewność. Krążył wokół budynku ONiSu, wszedł nawet do środka wiecznie otwartym tylnym wejściem (odgrodzonym od miasteczka bramą z ogrodem), zaglądał do pomieszczeń, gdzie pachniało farbą akrylową, gdzie stoły i podłogi przypominały *Rytm jesieni* Jacksona Pollocka. I nic.

Bez kursantów zdawało się w ONiSie chłodniej. Jonathan posprawdzał okna, ale te pozamykano, czyli ziąb promieniował najwidoczniej ze ścian czy podłóg budynku, skoro pogoda ostatnio, jak na Irlandię, dopisywała.

Niemiec na koniec zamknął się w studiu, gdzie zwykle trenowali aktorzy, bo tam podłogę wyłożono miękką jakby matą, o której nic nie wiedział, bo i skąd mógł cokolwiek wiedzieć o wykładzinach baletowych?

Lubił to przestronne pomieszczenie o białych ścianach oraz popielatej podłodze właśnie, kompletnie wyzute z mebli. Można sobie było w spokoju poleżeć albo pokopać gąbkową piłkę – te leżały w jednym z kątów wraz z poduszkami i kilkunastoma zwiniętymi w rulony karimatami.

Leżał zatem i dumał. Cecilie posłał do rodziców Charliego, by opowiedziała o nowych zainteresowaniach chłopca. Włoszka idealnie się do tego nadawała, skoro każdy ją lubił, mimo charakterystycznego, trochę irytującego śmiechu. Działy stereotypy, według Niemca, niespecjalnie przychylne jego nacji.

Przewrócił się na bok i wyjął z kieszeni komórkę, żeby poprzeglądać zdjęcia, których narobił na cmentarzu. Brama z krzyżykiem u góry i kamienna tabliczka pożerana przez zielen, wysoka trawa z krzyżem przy rowie na tyłach. I coś jeszcze, co musiał przegapić, a zauważył dopiero na powiększeniu jednego z wyjątkowo źle skadrowanych zdjęć.

– Pomnik? – zdziwił się. – Płyta nagrobna? – prawie odgadł.

Przeciągnął palcami po ekranie, żeby powiększyć intrygującą plamkę. Ta dawała się powiększać bez utraty ostrości, co trochę go przestraszyło, ale w życiu ciekawość zwycięża.

– „Głód jest końcową sceną dramatu, którego najważniejsze i decydujące akty rozgrywały się za zamkniętymi drzwiami (Rahmato - 1997)”. – Odczytał widniejący na prawej części płyty napis. – „Ireland 1845, Bangladesh 1974, East Timor 1975, Brazil 1979, Ethiopia 1984, Somalia 1992, Angola 1994”. – Rzucił okiem na tekst po lewej.

Na dole, poprzecinane żdźbłami traw, widniały kolejne słowa: „Pamięci ofiar Wielkiego Głodu z Callan, których cierpienie przetrwało wśród biednych mieszkańców Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Ich pamięć zmusza nas do pracy na rzecz sprawiedliwego świata. Wzniesiony przez Wielki Projekt Głodu Afri”.

Odpalił Google, bo pierwszy raz słyszał o Afri, choć miał się za eksperta w temacie. Czytał i wreszcie w pełni zajrzał w przeszłość.

– „Afri odtwarza wędrówkę, jaką odbyto w ostatnie dni marca tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego roku, kiedy to angielscy komisarze zamierzali przyznawać Irlandczykom status nędzarzy w Louisburghu – status kwalifikujący do otrzymywania skromnych racji żywnościowych.

Inspekcja nigdy nie miała miejsca, a petentów wysłano do oddalonego o kilkanaście kilometrów Delphi Lodge..., na siódmą rano następnego dnia. Szli nocą, pagórkowatą drogą w zimowych, śnieżnych warunkach. W Delphi Lodge odmówiono im jedzenia, jak i przyjęcia do przytułku. Tak rozpoczęła się ich podróż powrotna, kolejne długie mile, za które setki osób zapłaciło śmiercią”. – Jonathan ujrzał te wydarzenia niczym film dokumentalny. Czuł chłód, śnieżną wilgoć podszczypującą stopy, irlandzki wiatr, wwiercający się w szpik kości, szczególnie na wzgórzach dalekich od domu.

Maszerował wraz z nędzaczami. On silny, więc zawstydzony, oni wychudzeni, osowiali, zrezygnowani, bo dawno już stracili honor, być może i człowieczeństwo, którego im odmówiono. Dzieci umierały pierwsze, co przyjmowano z pewną ulgą, bo Bóg wzywał je wreszcie do siebie, jak najdalej od cierpienia czy głodu.

Mróz kąsał. Zamrażał Jonathanowi łyzy.

Zrozumiał, że historii nie da się cofnąć, można o niej jedynie pamiętać, tak jak i nie odpowiada się za czyny przodków, ale za własne już jak najbardziej tak. Postanowił działać.

Musiał tylko dokończyć marsz.

Dzięki jego pokorze sama Jeanie Johnston zawitała do miasteczka, a wraz z nią wyjrzało zza szarych chmur słońce. Szła piękna, blondwłosa, w zielonej sukni o mankietach z czarnej koronki, której nie śmiał muskać wiatr.

Kierowała się prosto do Muralowego Pana.

XVIII

Muralowy Pan wyczuł obecność Jeanie Johnston. Wezwał do siebie statek, bo ten i tak, przynajmniej częściowo, wykonał zadanie – częściowo, bo jakimś cudem mieszkańcy Callan zdołali przeżyć!

– Nie możesz ze mną walczyć! – wydarł się na widok kobiety.

Ta podeszła do ławki i usiadła, a zieleń jej sukni rozlała się na drewno, wypełniła wyrzeźbione twarze, delikatnie musnęła dół budynku.

– Wiem, co mogę – przemówiła głosem głębszym od brzmienia kościelnych dzwonów – i komu pomóc, a komu przeszkodzić.

– Nie złamałem zasad.

– Dwudziestoparoletnia dziewczyna z Francji. Wolontariuszka, która nie dopuściła się niczego złego.

– Wypadek! – Muralowy Pan poblądł, jakby odpłynęły z niego kolory. Chował się przy krawędzi ściany, gotowy wskoczyć na bok, a może i na tył ONiSu.

– Czego dotknęła? W co władowałaś tyle zła?

– W kocioł... – przyznał po sekundzie namysłu, kiedy odkrył, że nie może skłamać.

– Dostrzegam sens. – Jeanie podniosła się z ławki, ciągnąc za sobą zieleni. – Zezwalam – rzekła, a mężczyzna odetchnął. – W kotle twoje nadzieje, Trevelyanie. Innych przedmiotów nie ruszaj.

– Nie jestem nim.

Jeanie stała plecami do rozmówcy. Przemówiła:

– Mam wgląd w cząstki elementarne, w to, co żywe i martwe, w każdą świadomość na wyspie. Ale nie ja ci nadałam to imię. – Odwróciła się, żeby ją dobrze usłyszał. – To Rachel, którą zabiłeś. Za to czeka cię kara.

Machnęła dłonią. Statek, który dryfował nad miejskimi ulicami, sfrunął ze ściany, by osiąść z wolna na mieliźnie parkingu. Machnęła dłonią raz jeszcze i rozsypał się na kości, które utonęły w asfalcie, by wreszcie powrócić do ziemi.

– Zbezczeszczone – westchnęła bez cienia złości.

– Nikomu nic...

– Milcz – szepnęła, a Muralowy Pan posłuchał. – Cała materia, włącznie z kotłem, z budynkiem, z wyspą – wskazała na siebie – posiada świadomość. Od drobnego elektronu, po wszechświat. Twój układ jest wystarczająco złożony, czyli świadomy, żeby nawyrządzać szkód. Niestety, zamiast miłością umierających tu ludzi, przesiąkniesz ich zubożeniem i strachem. Przyjąłeś zło za fundament istnienia.

Mężczyzna słuchał i nabierał pewności siebie, czyli wracały mu kolory.

– Nie zabierajmy sobie więcej czasu – odezwał się wyjątkowo z siebie zadowolony, bo wyglądało na to, że nie tylko mu się upiecze, ale dostanie nawet coś na znak błogosławieństwa.

Jeanie rozłożyła ręce, a czarna koronka rękawów rozwinęła się niczym sieć pajęczna. Dotarła do budynku i każdego atomu, z którego go zbudowano. Czerń piekła Muralowego Pana.

– Istnieję od zarania... – pohamowała się od wypowiedzienia banałów. – Szczęśliwie poznałam zło i dobro, dlatego pozwoliłam sobie na dokonanie wyboru.

Zrozumiał. Pozwoliła mu trwać, ale nie poza budynkiem... To mu się nie spodobało, bo po to postawił na zło, żeby nie mieć sobie równych.

Irlandka wreszcie cofnęła koronki. Nie miała zamiaru zwalczać zła strachem, bo to działałoby niczym rzucanie zapalkami w pożar. Jeanie przekazała, co miała do przekazania, bo według niej każdemu trzeba dać szansę.

XIX

Jonathan widział Jeanie zawsze gdzieś z daleka, nie tylko po drugiej stronie ulicy, ale i o dobre sto metrów z tyłu lub przodu. Znał ją, lecz nie mógł sobie przypomnieć skąd. Ta suknia, ta uroda, to dobro bijące od niej... Próbował ją niejednokrotnie dogonić, lecz znikwała zawsze za zakrętem, a szybka była, choć zdawała się poruszać tak wolno, z klasą.

Opowiedział o niej Cecilii, która normalnie by nie uwierzyła, jednak zbyt wiele piekielnych cudów dotknęło tę trójkę wolontariuszy, żeby się jeszcze czemukolwiek dziwić.

– Myślisz, że to wróżka? – palnęła.

– Raczej nie. – Opuścił sobie żarty. Jeszcze miesiąc wcześniej rechotałby jak głupi i wyzywał ją od durnych bab. – Gdzieś ją widziałem, rozumiesz? – powtórzył po raz kolejny.

– Muzeum? – spróbowała pomóc i o dziwo pomogła.

Niemiec spojrział na nią szeroko otwartymi oczami i sięgnął do kieszeni po komórkę.

– Galion! – Odnalazł to, czego szukał. – Nie uwierzysz?! Ten statek, w którym znajduje się muzeum, o którym ci opowiadałem, jest repliką prawdziwego, o wiele większego, a na obu zamontowano ten sam galion!

Ceci nie chciała przyznać się do niewiedzy, więc zrobiła to, co dzisiaj robi każdy młody człowiek, czyli zaczęła googlać na własną rękę.

Dowiedziała się, że mowa o drewnianej rzeźbie, o ozdobie dziobowej żaglowców, nawiązującej do nazwy jednostki.

– Jeanie Johnston – przeczytała nazwę statku i przyjrzała się zdjęciom żaglowca. – Witaj w Callan, dziewczyno. Może to faktycznie wróżka? – dodała.

XX

Cecilia faktycznie niewiele wiedziała o Ka, chociaż podobał jej się czarny symbol. To matka Sama zamówiła jej wizytę w studiu tatuażu w Kilkenny, tuż przed powrotem dziewczyny do Modeny. Ceci szukała w Internecie i ani słowa o tym Ka nie znalazła. Miał ponoć chronić przed złem, czyli taki sam kit wcisnęła rodzicom. Nie zadziało. Wyzwali ją od idiotek.

Mary, mamę Sama odwiedziła więc z pretensją, którą ta wyśmiała. Kazała raczej docenić oryginalność wzoru. Doradziła, by dziewczyna pytana o genezę tatuażu, wymyślała za każdym razem inną historię. Zapewniła, że odnajdzie dzięki temu miłość.

Dziewczyna bez słowa schowała do kieszeni ofiarowane ciasteczka. Obiecała, że podzieli się z Jonathanem.

Dla ich wspólnego dobra.

XXI

Charlie odwiedził cmentarz wspólnie z bratem. Zachęcił Adama opowieścią o Rosjaninie z fabryki mięsa, który tam chodzi i topi zwierzęta, nawet konie i krowy, a przy tym wygląda upiornie, ma ze dwa metry wzrostu i kuleje.

Adam z całych sił próbował zachować powagę. Tęsknił za bratem i nie chciał zmarnować okazji do poznania jego sekretów.

Cmentarz nie spodobał się Adamowi, bo wśród traw wyrosło sporo pokrzyw, których omijanie przychodziło z trudem (Charlie, o dziwo, szedł przez nie z nieustępliwością słonia). Poprowadził brata na tył ogrodu, gdzie znajdowały się rów i niewysoki kamienny murek graniczny.

Opowiedział raz jeszcze o Rosjaninie, tym razem przypominającym Gandalfa z *Władcy pierścieni*, filmu który obejrzeli ze sto razy na Netflixie.

– Powinniśmy zabrać ze sobą Sama. – Adama dopadły złe przeczucia.

– On mnie nie lubi – palnął Charlie.

Nagle zrobiło się chłodniej. Adam poddał się, bo wolał mieć to już za sobą.

– Pokazuj ten rów i spadamy.

Charlie pokazał. Starszy z chłopców zarzucił młodszego wątpliwościami, twierdząc że w czymś tak płytkim nie zmieściłby się choćby żrebak.

– Kotki są i ptaszki. Dziecko się pomieści – doleciało od strony kamiennego murku, zza którego wychylił się Muralowy Pan.

Charlie nie kłamał z ożywionym rysunkiem..., zdążył pomyśleć Adam, zanim sparaliżował go strach. Mięśnie napięły się niczym porażone prądem.

Młodszy skorzystał z zaskoczenia. Pchnął brata do rowu, a Muralowy Pan wreszcie odkleił się od ściany i wyciągnął po ofiarę rękę.

XXII

– *Can de lach, mi him en tow. Ras me! On! On!* – Mary, mama Sama, machała rękoma i wykrzykiwała obcobrzmiące słowa w kuchni, na co chłopak zbaraniał nad miską płatków.

Kobieta pobladła i zatoczyła się na kuchenne krzesło. Wyglądała nagle o dobre dziesięć lat starzej. Sam pierwszy raz widział ją tak rozdygotaną, a przecież denerwowała się częściej od nauczycieli.

– Wyrwał się – westchnęła. Łza spłynęła jej po policzku.

Mary wstała i zapaliła na parapecie świecę – bardziej dla zasady; żeby cokolwiek zrobić.

– Nie wychodź z domu – rozkazała synowi. – Lodówka jest pełna, a w szafce słodycze, picie... – Głos się jej załamał i ponownie opadła na krzesło.

– Poradzę sobie – zapewnił Sam, bo przecież często znikala, żeby pobiegać.

Mary spojrzała na chłopca z czymś na podobieństwo czułości.

XXIII

Jeanie, podobnie do Mary, puściły nerwy:

– Przecież cię ukarałam! – Szła główną ulicą miasteczka. – Przykułam do ściany!

Przypuszczała, że nie ma co liczyć na kolejną konfrontację z Trevelyanem przy budynku ONiSu, więc rozglądała się po całym Callan.

– Stój! – Usłyszała i z wrażenia stanęła, bo nikt jej nie rozkazywał od wieków.

Odwróciła się, by spojrzeć na Włoszkę.

– Obcokrajowa – wyszeptała. – Dlatego nie wyczułam... A może coś więcej? – Podeszła bliżej, przez co Ceci straciła pewność siebie. – Ka – westchnęła wyjątkowo smutno. – Czy ja jeszcze mam coś do powiedzenia? – spytała szare niebo.

Niebo nie odpowiedziało, za to Cecylii zebrało się na zwierzenia. Wpierw jednak podciągnęła rękaw, żeby Jeanie mogła obejrzeć tatuaż.

– W miasteczku żyje wiedźma i ona mnie zmusiła – Włoszka zaczęła chlipać, ale mówiła dalej: – Zapraszała na kawę i ciastka, i w tych ciastkach coś chyba było, bo Rachel...

– Nie żyje – dokończyła Irlandka. Od razu nadeszło zrozumienie. – Nie mogłam ukarać niewinnego.

Cecilia przestała płakać. Nie miała zielonego pojęcia, o czym Jeanie mówi.

– Wiedźma? – spróbowała wrócić do tematu.

– Tu chodzi o coś więcej, moje dziecko. Tu chodzi o Ka.

XXIV

Kocioł rozgrzał się do czerwoności i w okolicy ONiSu zapachniało zupą. W rosole pływały kawałki kocięgo czy ptasiego mięsa. W kotle bulgotało. Wreszcie pierwsza bańka opuściła gar, by wylecieć na zewnątrz szczeliną u góry drzwi szopy. Po niej wylatywały kolejne, całe ich setki, tysiące.

Nie leciały wysoko ani też nazbyt szybko. Raczej płynęły w powietrzu, każda prosto do ludzkiego celu.

Jeanie wypatrzyła je pierwsza, bo niemalże nic w okolicy nie było równie irlandzkie, co one. Chciała nawet zasłonić dziewczynie usta, lecz przypomniała sobie o tatuażu.

– Wiedźma – powiedziała – upichciła coś paskudnego. Masz jednak szczęście, moje dziecko – wskazała na symbol Ka. – Najwidoczniej cię potrzebuje.

– Jonathan... – Cecilia zauważyła bańki i wyczuła zło od nich bijące.

– Ukochany? – Jeanie posiadała romantyczną duszę. – Nie wiem, czy zdołamy mu pomóc.

– Musimy spróbować. – Cecilia pobiegła w stronę cmentarza, w nadziei, że tam zawędrował Jonathan.

Jeanie spokojnie, choć szybko, poszła jej tropem.

XXV

Adam szybko spadał, jakby to nie był cmentarny rów, a oceaniczny. Wokół robiło się ciemniej, aż wreszcie nie dało się dostrzec żadnego światła, chociaż chłopak otwierał i zamykał oczy. To nie ciemność mu najbardziej doskwierała, lecz chłód i zdrada brata, o którego się bał.

Bał się, ponieważ kochał Charliego bardziej niż mamę czy tatę. Wiedział, że ze wzajemnością, czyli ktoś musiał namieszać malcowi w głowie. Ktoś potężny, skoro brat wystąpił przeciw bratu.

– Adam – przemówiła ciemność, a temperatura spadła o kolejnych kilka stopni. – Z jakiegoś powodu nie mogę cię zabić. Tylko się nie martw, bo ta niemoc nie potrwa długo. Wystarczy, że ludzie najedzą się strachu.

I tak też się działo. Bańki wlatywały do mieszkań – aż wygotował się kocioł – gdzie spadały (wraz koszmarami) na głowy mieszkańcom Callan.

Ludzie zasypiali, by przeżywać raz jeszcze grozę Wielkiego Głodu. Niektórzy tam umierali, wynoszeni w trumnach wielokrotnego użytku. Inni chowali bliskich, głównie dzieci. Marzli, drżeli z cierpienia i z zimna, i znikąd, ale to znikąd nie nadchodziła pomoc.

Wreszcie z dachu ONiSu zleciał ogromny, podkarmiony lękami ptak. Udał się wprost do nieba, żeby tam rozlać gęstą, ciemną szarość.

XXVI

Nie udało się ochronić Jonathana, bo tyle szczęścia ma się tylko w filmach. Niemiec leżał pośrodku cmentarza wśród traw tak gęstych, że Cecilia nie mogła go znaleźć. Dopiero Jeanie wskazała jej miejsce.

– Co się z nim dzieje? – zapytała Włoszka.

– To, co z innymi. – Irlandka wskazała na ciemniejące niebo.

Nagle Cecilia krzyknęła, po czym upadła na kolana. Trzymała się za nadgarstek, a z oczu pociekły jej łzy.

Jeanie podwinęła jej rękaw i przyjrzała się tatuazowi. Kółko z literami zaczęło się kręcić, więc rozerwało skórę. Krew ciekła przez palce, a kółka i tak nie dało się zatrzymać.

– Jebana wiedźma – Jeanie zaklęła po raz pierwszy od wieków.

– Wypraszam sobie! – Usłyszała, wściekła, że ponownie nie wyczuła czyjejś obecności.

Mary stała przy bramce. Pchnęła ją, a brama nawet nie skrzypnęła.

Czarna koronka mankietów poszybowała w stronę wiedźmy. Mary w odpowiedzi złączyła przedramiona przed sobą. Rozkręcone koła tatuazy Ka zadziały ochronnie. Jeanie zamierzała sięgnąć po poważniejsze argumenty, lecz Cecilia chwyciła ją za kostkę.

– Jesteśmy siostrami – wyjęczała, wolną ręką odpinając dwa górne guziki bluzki.

Jeanie ujrzała kolejny tatuaż – czerwoną różę na lewej piersi dziewczyny.

– Siostrzyczki z Callan! – Zaśmiała się szczerze i głośno. – A gdzie pozostała trójka? Nie chadzałyście piątkami?

– Te czasy nie wrócą. – Mary podeszła do podopiecznej i wręczyła jej ciastko, które ta zaczęła łapczywie jeść. – Próbujemy jedynie przetrwać, tyle powiem.

– Usypiasz ją? – Jeanie nasłuchiwała się o narkotycznych właściwościach potraw serwowanych przez siostrzyczki.

Cecilia nie usnęła, a wręcz przeciwnie, nabrała sił. Wstała, spojrzała na zakrwawioną dłoń, po czym zaśmiała się tym swoim nieco irytującym, ale zaraźliwym śmiechem.

Śmiech doleciał i do Muralowego Pana.

XXVII

Muralowy Pan rozmyślał nad przyszłością, która rysowała się mu w ukochanych szarościach. Odciął miasteczko ptaszyskiem od reszty wyspy, tak by każdy, kto się zbliży na kilometr do Callan, zawrócił, przypomniawszy sobie o czymś ważnym. W końcu zesłał też na mieszkańców koszmary, dzięki czemu wzrastał w siłę.

Może jeszcze już jutro zdołam odebrać dzieciakowi życie i przejąć to młode ciało...?

Bo ciała Charliego nie pragnął. Muralowy Pan, jakby nie patrzeć, był dziełem sztuki, zatem brzydził się dodatkowego zęba. Adam to co innego. Z takim wyglądem zniewoli świat!

– Zabiłem go? – Charlie wyrwał go z zadumy. Był bliski łez, co zdziwiło Trevelyana, skoro od tygodni tłumił w malcu uczucia.

Chłopak siedział w szopie z kotłem, zgodnie z rozkazem zresztą, gdzie żadna z kropli nie miała prawa spaść mu na głowę.

– Nie bądź głupi. – Muralowy Pan jeszcze go potrzebował. – Adam żyje. Zaopiekowałem się nim. Poza tym strzeż się trójki kobiet. One łakną twojej krwi, nawet jeśli wyglądają znajomo.

– Adam żyje? – Charlie nie przejmował się niczym więcej.

– Wypuszczę go, jeśli zrobisz dla mnie coś jeszcze.

Charlie zgodził się, bo choć jakimś cudem wciąż potrafił kochać, to całkowicie utracił samodzielność.

XXVIII

– Sama sobie poradzę. – Jeanie czuła, że tracą czas. – Bez tego Ka!

– Ka przypomina wolę Gana, boską wolę, tyle powiem – Mary tłumaczyła spokojnie również i Włoszce, która wciąż za mało wiedziała. – Nazywaj je losem lub przeznaczeniem, ale Ka wznosi się ponad te bzdury. Nie staje po żadnej ze stron, chociaż domaga się od nas wiary. Nie znosi epitetów, nie przejmuje się moralnością. Korzysta w równym stopniu z dobra jak i ze zła, oszuka boga z diabłem, przerobi każdego z nas, nawet ciebie. – Pogroziła palcem Jeanie, która jakoś nie potrafiła się roześmiać.

– Czyli co? – Za to wyciągnęła do Mary rękę. – Od teraz zakładamy ka-tet? – Uścisnęły sobie dłonie, ale Jeanie nie zwolniła uścisku. – Odpowiedz mi na kilka pytań. Dlaczego zabiłaś Francuzkę? Dlaczego nie kochasz dziecka i gdzie twój mąż? I nie dziw się tak – tym razem pozwoliła sobie na sekundę śmiechu – w końcu słyne z przenikliwości.

Mary najpierw opowiedziała o mężu, później o Francuzce, a na koniec wspomniała Sama. Każda z opowieści wprawiała słuchaczki w zdumienie:

Mąż

Nigdy nie wyszłam za mąż. Pierwsze, czego się wyzbywamy jako siostrzyczki, to miłość właśnie, a i przed przystąpieniem do zakonu unikałam mężczyzn.

Dlatego Sam nigdy nie spotkał wymyślnego taty, chociaż podsłuchuje, kiedy z nim rozmawiam czy raczej drę się do telefonu. Serwuję mu takie przedstawienia z okazji urodzin, świąt, długich weekendów, gdy innym dzieciom przydarzają się ojcowie.

Francuzka

Wścibskie dziewczę, tyle powiem. Przemile, muszę przyznać, dość sympatyczne, lecz ciekawskie! Próbowałam ją chronić. Trzymałam na dystans, jednak z pewnymi ludźmi...

Prosiłam zaledwie po kilku tygodniach, odkąd u mnie zamieszkała, żeby nie wchodziła do salonu, kiedy drzwi są zamknięte. Tłumaczyłam, że potrzebuję chwil samotności, a jeśli zapagnie z kimś porozmawiać, to Sam odpowie na wszelkie pytania, bo to rezolutny chłopak.

Tłumaczyłam, że ma sobie gotować, ale kuchnię dzielimy, więc ja biorę późne wieczory i noce, a jej zostawiam dzień. Wkraczam po dwudziestej i kropka. Nie przypuszczałam, że tak proste zasady mogą stanowić problem, tym bardziej że Rachel to trzecia z rzędu wolontariuszka pod moim dachem.

Ech, strasznie się z tego żalu rozgadałam, bo chociaż oduczyliśmy się kochać, to właśnie żal wypełnił nam serca. Rachel wracała z pracy po szesnastej i zamiast brać się za przyrządzenie obiadu, znikwała w sypialni, by odpocząć. Wychodziła przed nocą i włąziła do kuchni smrodzić, bo gotowała głównie potrawy z porem. I nie, nie jestem rasistką ani tym bardziej nie uważam, że Francuzi żrą jedynie cuchnące sery, ale tym smrodem przesiąkały ściany, a por nie ma zbyt ciekawych właściwości, jeżeli wkroczymy na moje podwórko. Raczej osłabia.

Więc prosiłam, powtarzałam się, czego nie znoszę. Z wchodzeniem do salonu czy raczej niewchodzeniem, również. Bez pukania, co przy mojej profesji może się nieszczęśliwie skończyć.

I skończyło.

Zechciała mnie ziołolecznictwa uczyć! To trzeba mieć impertynencję, tyle powiem! Bo ponoć jej babka, i tym podobne bzdury!

W moich ziołach nie powinno się grzebać... Sprowadziła na siebie nieszczęście i nigdy nie skosztowała moich ochronnych ciasteczek.

Sam

Nie jestem zdolna pokochać, nawet Sama. Miłość osłabia, a żadna z siostrzyczek, co będzie już wkrótce dotyczyło i Cecili, nie może pozwolić sobie na słabości. Nawet Jeanie wie, że w historii światów ze świecą i rewolwerem można szukać podobnych nam siłaczy!

Chłopca stworzyłam, żeby uwiarygodnić kolejną z ról, jakie przychodzi mi odgrywać. Samotna matka, wiecznie w okolicach czterdziestki, ale sprawna, wybiegana, czego, szczerze mówiąc, nie znoszę. Generalnie wysiłek fizyczny pozostawiałam do tej pory raczej zwierzętom, ale nic nie poradzisz, trzeba się dostosowywać.

Pierwszego Sama ulepiłam z ziemi, tuż po przybyciu na wyspę, wbrew pozorom dawno temu. Z gliny, z ziemi, z wody, z soli, z wszelkich niezbędnych pierwiastków. I umierał mi szybko, za szybko, bo Sam jest, moje drogie, głodem.

Wiem, wiem, głupia ja, powinnam się tego spodziewać, tym bardziej że znałam historię Irlandii, która wtedy należała wciąż raczej do współczesności. Zrozumiałam swój błąd przy trzecim Samie. Dlatego karmię go dniami i po nocach. Większość moich zarobków pochłania jego dieta, ale dzieciak jest skarbem, powiadam wam. Aż żałuję, że nie potrafię pokochać.

Dlatego osłoniłam dom zaklęciami. Na tyle jeszcze mogę sobie pozwolić, bo całego miasta nie osłoniłaby i piątka siostrzyczek. Czułam, że Muralowy

coś knuje. Od początku, odkąd go namalowali, próbował odkleić się od tej ściany.

Musimy się nim zająć.

XXIX

Wpierw zajęły się Jonathanem. Cecilia sprawdziła mu puls, wiedźma posmarowała czymś usta, Jeanie zanuciła irlandzką melodię, po której wysłuchaniu wróciły Niemcowi rumieńce. Nie obudził się, nie o to chodziło – magia Trevelyana musiała przeminąć. Przynajmniej wyrwały chłopaka z koszmaru.

Śnił spokojnie, śnił o niczym.

Później doszło do podziału obowiązków, bo wiedźma z Jeanie nie kwapiły się do współpracy. Jeanie wzięła na siebie ciężar konfrontacji ze złem, raczej z obowiązku niż z przekonania. Mary zaś obiecała ochronić chłopców.

– Jakich chłopców? – zdziwiła się Włoszka.

– O najmłodszym wiesz, bo przynosił na cmentarz zwierzątko.

Cecilia nie przypuszczała, że tak pospolita u dzieci fascynacja śmiercią mogła mieć cokolwiek wspólnego z sytuacją w Callan, ale nawet ona wreszcie połączyła kropki.

– Nie jesteś głupia. – Mary jakby czytała w Cecylii myślach. – Pewnego rozumowania należy się nauczyć. Uwierz mi, jeszcze zabłyśniesz, bo spędzimy razem spory kawałek wieczności.

– Powinniśmy Charliemu wcześniej przeszkodzić. Interweniować...

Mary spojrzała jej w oczy. Zwątpiła w swoje poprzednie słowa.

– Niewiedza cię nie ratuje – odezwała się wreszcie. – Za to bywa wybaczalną, w odróżnieniu od naiwności. Mam biegać za każdym szczeniakiem, bo zszedł na złą drogę? Ludzie dokonują wyborów, a my, siostrzyczki, próbujemy przetrwać. Bohaterstwo w tym nie pomoże.

– Pozwoliłaś mu służyć złu! – Cecilia nie spokorniała.

– Cisza! – warknęła Mary, a w dodatku wyszczerzyła nagle wydłużone zęby, aż nawet Jeanie przeszedł strach, który niezdarnie zamaskowała śmiechem. – Zapominasz się. Ka, któremu służymy, nie kieruje się sercem!

– Lepiej zapobiegać niż leczyć. – Włoszka posłużyła się powiedzeniem znanym w większości krajów.

– I bawić się w Boga? – Jeanie zabrała głos. – Podejmować za ludzi decyzje? Maluch zrobił, co zrobił. Musiało do tego dojść, żeby cokolwiek na

przyszłość zrozumiał. Nie wybieraj za nikogo życiowych dróg.

– No to powinniśmy i to przeczekać. – Nadąsała się Włoszka. – Niech się dalej uczą!

– Widzisz? – Mary szeroko rozłożyła ręce, jakby chciała wskazać nie tylko cementarz, ale i cały wszechświat. – Ziemia kręci się z nami lub bez nas. Życie interesuje jedynie żywych! A w bierności siła, skoro większość problemów rozwiązuje się sama.

– Muralowy problem sam się jednak nie rozwiąże... – Zrozumiała Włoszka.

Jeanie z Mary pokiwały głowami, po czym wiedźma wskoczyła do rowu, który zachował się, jakby był co najmniej jeziorem.

– Wybacz, że również zmykam, ale mam randkę z mężczyzną o powierzchownie barwnej osobowości. – Druga z Irlandek zafalowała suknią, kiedy odwróciła się na pięcie.

– A co ze mną?

Jeanie wskazała w odpowiedzi palcem w szare niebo.

– To w końcu tylko ptak – doradziła. – Skorzystaj z wyobraźni.

Powiało chłodem.

XXX

Mary poczuła się jak w domu, bo chłód i ciemność leżały w jej naturze. Oddychała spokojnie, głęboko, wyęczała dodatkowe zmysły. Dość szybko wyczuła strach Adama, coraz wyraźniejszy w tej głębi, którą Trevelyan obrał sobie za dom. Poszerzył ją strachem topionych przez Charliego zwierząt.

Tym się żywisz, pojęła Mary. W pustce twoje królestwo.

Chłopca odnalazła na samym dnie, które opadało wraz z nim coraz bardziej i bardziej. Nie krzyczał ani nie wyrywał się czerni. Leżał skulony, przeszyty chłodem.

– Musimy się pośpieszyć – szepnęła mu do ucha. *Dopóki Muralowy nie wie o moim istnieniu*, dodała w myślach, bo nie zamierzała mocniej straszyć chłopca.

– Mama Sama? – Adam drgnął. – Wiedźma? – doszeptał, zbyt skołowany, żeby przeprosić.

– Tak, Adamie. Wiedźma.

– To pani mnie tu trzyma? Proszę mnie uwolnić. Ja tylko przyszedłem z bratem... On nie chciał...

– Wiem. – Spróbowała położyć mu na ramieniu dłoń (nieco tylko cieplejszą od otoczenia), ale nie mogła go dotknąć, co zresztą przewidywała.

– Pomożesz, Adamie?

– Wtedy mnie pani uwolni?

Mary westchnęłyby, gdyby mogła oddychać. Pustka irytowała zbytnim podobieństwem do śmierci, z którą zbyt długo kroczyła pod ramię, by się jeszcze choćby odrobinę lubić.

– Wypuszczę. – Doszła do słusznego wniosku, że na tłumaczenia zabraknie czasu.

Zebrała myśli. Pustka otaczała ją i dobierała się coraz poważniej do chłopca. Wpierw chłodem, ale niedługo niepamięcią, brakiem tlenu, czyli śmiercią właśnie, której zgniłe paluchy tylko czekają na takie okazje. Czas uciekał, a wraz z nim kurczyły się możliwości.

– Sprawdź kieszenie – poprosiła. – Cokolwiek zrobimy, powinno się zacząć od ciebie.

Adama ręce nie chciały specjalnie słuchać, poza tym był niemal pewny, że niczego ze sobą nie zabierał. To Sam chował po kieszeniach masę rzeczy.

Pomyślał o wiecznie głodnym przyjacielu i tym, jak ten próbował zapalić dla Rachel świeczkę.

– Zapalniczka – szepnął, na co Mary zareagowała entuzjastycznie, bo o więcej szczęścia nie mogłaby wyprosić nawet po wychłaptaniu galonu krwi.

– Przyda się! Cholernie się przyda! – Klasnęła w dłonie, co nie zabrzmiało zbyt donośnie, podobnie do pełnego wykrzykników głosu, bo z otoczenia chłopca odpływały resztki powietrza. – Użyj jej... – Chłopak ledwo dosłyszał.

Adam zaczął się dusić, ale tak bardzo chciał jeszcze ujrzeć Charliego i powiedzieć mu, że przeprasza za wcześniejszą niewiarę. Że razem przeżyją setki przygód i żaden tam Sam, chociaż bardzo go lubi, nie jest i nigdy nie będzie dla niego ważniejszy od brata.

Skostniałą dłonią dotknął spodni, ale wsunięcie palców do kieszeni wiązało się z bólem. Wziął go za dobrą monetę, bo skoro boli, to palce nie zdrętwiały na tyle, by nie dał rady wskrzesić ognia.

Opuszkami wyczuł przedmiot. Wysunięcie zajęło mu wbrew pozorom chwilę, głównie za sprawą małych rozmiarów i kształtu zapalniczki. Coraz

częściej łapał oddech, bo tlenu w nim jak na lekarstwo. Pot pokrył mu ciało, potęgując dotkliwość chłodu.

– Odpalaj! – krzyczała Mary, co dolatywało do Adama w postaci szumu.

Spróbował. Nacisnął mocno. Zaiskrzyło wprawdzie (nawet udało się dzięki temu złapać głębszy oddech, czyli tlen powrócił na ułamek sekundy), ale płomień nie zajaśniał. Chłopak spróbował ponownie i ponownie, z mizernym skutkiem w postaci garstek tlenu.

Niestety, zaalarmował Muralowego Pana. Ten sunął już do nich milimetr nad miastem.

W tym czasie Jeanie wysuływały z mankietów czarne nitki, które rzuciła na ziemię. Rozpełzły się po całym Callan. Dostawały się do mieszkań, gdzie śniono koszmary.

Nitki rozciągały się i rozciągały, by opleść śpiących ochronną siatką.

Przy okazji krępowwały ich ruchy...

XXXI

Cecilia ruszyła biegiem. Po kwadransie dotarła pod budynek ONiSu, weszła do środka tylnym wejściem, by wynieść ze studia farby. Układała puszki i tubki na wózku, którego używali w ośrodku do transportu krzesel.

Pootwierala na piętrze okna i zaczęła lać farbę po elewacji. Ta spływała niczym brudne łzy, ale nie pojaśniało od tego niebo, tym bardziej nie pojawiła się podkarmiona jej wyobraźnią tęcza.

– No dalej, ptaszysko! – krzyknęła w stronę szarości chmur. – Przylatuj!

Nie przyleciał. Wyjechała więc wózkiem przed budynek i zaczęła malować. Wpierw miskę z ptasim jedzeniem, bo przecież ptaszek Woodstock z Fistaszków podbierał karmę Snoopy'emu, po chwili dodała siatkę na ptaki i nawet sokoła, który mógłby przepędzić to ich szkaradztwo, ale nie przepędził; niebo wciąż ciemniało gęstością piór. Za to minęła godzina narastającej frustracji.

To w końcu tylko ptak! Użyj wyobraźni! – Ceci marudziła w myślach.

Na moment przed kapitulacją przypomniała o sobie o poszarzałym dachu.

Wróciła więc do budynku i windą dla niepełnosprawnych wjechała na najwyższy poziom (by zezłościć się przy wejściu na strych – zdecydowanie poza zasięgiem jej stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu). Przytargała stół, postawiła na nim krzesło i otworzyła wejście z opuszczaną drabiną, przez co ponownie musiała się nagimnastykować z odsuwaniem

wcześniejszej konstrukcji. Piekielnie zmęczona weszła wreszcie na zagracony strych i sznurkiem włączyła światło.

Tekturowe pudła wały się jak okiem sięgnąć – domyśliła się, że o ich przytarganie proszono wolontariuszy, którym rzucanie czymkolwiek sprawia większą frajdę od tego czegoś układania. Powypisywano na nich mazakami roczniki, a najstarsze z wypatrzonych przez Włoszkę leżały tu od poprzedniego wieku. Otworzyła jedno, ale nic ciekawego – no, chyba że ktoś gustuje w przeglądaniu starych faktur – nie znalazła. Spojrzała w górę.

Wejście na dach wypatrzyła po kilku metrach toru z przeszkodami w postaci kartonów właśnie czy belek stropowych. Szczęśliwie strzegł je jedynie pozbawiony kłódki skobel, a i wysokość nie wymagała drabiny. Wystarczyło poustawiać kilka pudeł, co zresztą strychowi wyszło na dobre, bo wprowadziło odrobinę ładu.

Wyłaz otwierał się na oścież. Włoszka wystawiła głowę i zauważyła, że na skośnym dachu zamontowano jakieś stopnie i coś na kształt ławeczek – pewnie żeby ułatwić kominiarzom pracę. Cecilia zsunęła buty i skarpetki – gdzieś kiedyś wyczytała, że po dachach najlepiej chodzić boso.

Wyszła na zimne dachówki, porośnięte mchem. Zawrót głowy zachwiał nią trochę, ale strach posłużył się adrenaliną. Przeraczkowała kawałek, by przypomnieć sobie, że nie zabrała farby. Wściekła się tym razem na siebie, na głupotę, której miała serdecznie dość. Zaczęła walić pięścią w ceramiczną dachówkę. Ta nie zamierzała pęknąć, za to poruszała się przy każdym uderzeniu, co zdziwiło dziewczynę, która myślała, że dachy montuje się z większych części.

Złość na głupotę przez to jedynie wzrosła. Ceci szarpała się z ciężką dachówką, podważała ją, ciągnęła na wszystkie możliwe strony, aż ta odpuściła, by wysunąć się jej z rąk i roztrzaskać na parkingu.

Wtedy na niebie pojawił się malutki prześwit. Przedarły się na moment promienie słoneczne. Prześwit po chwili zniknął, a dachówkę na dachu zastąpiła garść piór.

XXXII

Muralowy Pan przemieszczał się z budynku na budynek, z murku na murek. Sunął nawet po krawężnikach.

Coś próbowało uwolnić chłopca, który powinien już umrzeć!

Ludzie wyśnili koszmary, dzięki czemu Muralowy Pan nabrał sił, a wraz ze śmiercią Adama powinien pozyskać jego młode ciało, by zacząć żyć własnym życiem, czyli popełniać karygodne błędy, za które zapłacą inni, po czym pewnego pochmurnego dnia doprowadzić do serii przepięknych tragedii.

Rozmarzył się z tego stresu.

W połowie drogi natknął się na pełzające po asfalcie nitki. Obserwował je z krawężnika, ale nie odważył się po żadną sięgnąć. Zbyt dobrze pamiętał ból, który sprawiła mu Jeanie. Jeanie, ta pieprzona nie wiadomo co, której istnienia, pomimo własnej fantastyczności, nie przewidział! Jakies pieprzone dobro; iskierka jaśniejąca w zrzuconej na miasto czerni.

– Gównu mi możesz zrobić! – syknął, sprowokowany paniką.

Jeanie Johnston pojawiła się jak na zawołanie, wychodząc zza rogu. Trevelyan zbeształ się ponownie w myślach.

– Nie przeszkadzaj – przemówił spokojniej. – Nie masz prawa. To nie ja zabiłem dziewczynę.

– Nie osądziłam i nie ukarałam.

Muralowy zwątpił, ale po zastanowieniu się nie mógł nie zgodzić. Rzeczywiście zakazała mu opuszczania elewacji ONiSu, co przecież zrobił, czyli do ukarania nie doszło, zatem nie może w spokoju zabić chłopca.

– Nie wyrwiesz ich z koszmaru! – Postawił na atak. – Beze mnie utkną w nieświadomości, którą zesłałem! Gównu działasz, bo ptaka na niebie nie dosięgniesz. Jest poza twoją mocą, ty wyspiarska su...

– Mieszkańcy Callan mnie nie obchodzą – przerwała mu w pół słowa.

Trevelyan zaniemówił.

Nitki Jeanie zaczęły w odpowiedzi działać. Krępowwały mieszkańców, przez co z jej przeciwnika uchodziły siły. Ledwie trzymał się krawężnika, tym bardziej że Adamowi udało się...

XXXIII

– Udało się! – Wiedźma aż podskoczyła z radości.

Pustkę wokół chłopca wypełniło powietrze, a wraz z nim śmieiej zaczęło poczynać sobie światło. Chłód odszedł wraz z pojawieniem się płomyka z zapalniczki. Po zaczerpnięciu głębokiego oddechu Adam odkrył, że nicość zniknęła, że siedzą sobie spokojnie w rowie, przemoczeni, ale szczęśliwi.

– Biegnij do mojego domu. – Mary podała chłopakowi klucz. – To nie koniec walki. Będziemy potrzebować Sama.

– Sama?

– I uważaj na siebie, proszę. Sam cię nie rozpozna. Otwórz drzwi, krzyknij, że mama go potrzebuje, i uciekaj, ile sił w nogach. Najlepiej pomknij na rowerze, bo twój przyjaciel będzie bardzo głodny.

Przerażony Adam wskoczył na rower porzucony przy skrzypiącej bramce. Pognał do Callan napędzany strachem.

XXXIV

Strach Cecylia przed wysokością stopniał, bo kolejne z dachówek już łatwiej się wysuwały – niektóre tylko przymocowano dodatkowo do drewna gwoździem z drutem, wtedy musiała się namęczyć. Im więcej ich odpadło, tym łatwiej poruszała się po pochyłości, po drewnianym rusztowaniu pokrytym jedynie piórami. Niebo jaśniało, piór przybywało, aż do momentu gdy dachówki zostały nimi zastąpione.

– Mam cię! – krzyknęła, chociaż zabrakło jej pomysłu, co z ptasim fantem zrobić, bo samo przykucie cholerstwa do dachu może na długo nie wystarczyć.

Spróbowała wyrywać pióra, ale już chyba szybciej szło by jej z wyburzaniem ścian ONiSu, tak mocno się te ustrojstwa trzymały.

I wtedy pomyślała o możliwościach. Przypomniała sobie o zagraconym strychu.

I skoro inteligencji jej od zawsze brakło, poratowała się tym, co nigdy Cecylia nie zawiodło. Przeczuciem.

Po kwadransie dach zaczął dymić.

XXXV

Trevelyan dymił niczym dach przytułku, bo ponownie należał do budynku ośrodka. Stracił ptasią ochronę, zatem do miasta znów mogli przyjeżdżać turyści czy członkowie rodzin zaspanych mieszkańców. Ci obudzą krewnych, a wtedy Muralowy Pan osłabnie na tyle, by zdołała pokonać go choćby mrówka.

– Nikt ich nie wyrwie ze snu. – Jeanie pochyliła się nad wyblakłym przeciwnikiem. – Nie pozwolę, bo ponownie nakarmię cię swoim strachem.

Zaciskam wokół nich więzy – wyszeptała. – Czujesz?

– Gdybym tak dostawała pięć centów za każde przeczucie... – Mary nadchodziła od strony cmentarza, a cichości jej kroków pozazdrościłyby koty. Spoglądała to na Jeanie, to na dym, który unosił się nad miastem. – Przypuszczałam, że przekombinujesz.

– Strzegę Irlandii jako wyspy, jako narodu. Śmierć garstki zepsutych przez zło...

– Nie z tego słynął twój statek – przerwała jej wiedźma. – Walczyliście o każdą duszę. Nie stawaj się mniejszym złem. Ludzie o pewnych wydarzeniach muszą pamiętać, choćby groziło to powtórką z historii. Muralowy Pan powinien przetrwać.

– Kapitan walczył! – Jeanie zaśmiała się bez cienia radości – A ludzie dziękowali kobiecie z galionu. Dbam o nich, wiedźmo. Odejdź – poprosiła. – Nie mieszaj się. Mknij do cienia, siostrzyczko!

Wymianę nieuprzejmości przerwał im rozpędzony na rowerze Adam, przestraszony bardziej od dogorywającego Trevelyana. Sto metrów za nim biegł wychudzony Sam, z obłędem w oczach.

– Sam! – Mary użyła matczynego głosu. Do chłopca wróciła część świadomości. Zatrzymał się, spojrzał na wiedźmę.

I zawył żałośnie.

– Wiem, synku. – Mary podeszła bliżej. – Chciałbyś jeść. Chcesz batoniki, okruszku? Zjadłbyś...

– Okrutna. – Jeanie aż się wzdrygnęła.

I na swoje nieszczęście na moment odwróciła wzrok.

EPILOG

Mary skoczyła na synka, by upić z niego krwi. Piła i piła, aż wysssała głód z chłopca. Nabrała blasku, sił, okrucieństwa. Przypominała mieszaninę blasku i mroku, doprawioną dzikością drapieżników.

I pognęła za Jeanie, za jej sytością przeżyć, bogatym w smaki doświadczeniem setek, jeśli nie tysięcy lat. Za wspomnieniami milionów, za cielistością wreszcie, za tym zewnętrznym pięknem, na które nabrała apetytu.

Goniła Irlandkę po całym świecie, a gdziekolwiek natrafiła chociażby na niteczkę z mankietu, pożerała ją ze smakiem, ze skowytem, od którego mieszkańcom okolicy cierpła skóra. Przemknęły przez Callan, przez

Kilkenny, przez Irlandię wzdłuż i wszerz; Mary zawsze o krok za Jeanie Johnston.

I gonić się tak będą po wsze czasy. Dla naszego dobra.

Mieszkańcy miasteczka odzyskiwali przytomność, kiedy tylko wiedźma pożarła nitki. Osłabiony Trevelyan powrócił na elewację – ogień pnie się raczej niż schodzi, przez co ubezpieczenie sfinansowało naprawę dachu i osuszenie zalanych przez strażaków wnętrz. Roztrzaskane dachówki (jak i pożar) zrzucono na wybuch gazu.

Sam niestety zniknął. Można powiedzieć, że umarł, ale została z niego garstka ziemi i ten głód, jaki poniosła ze sobą w świat jego matka.

Adam za to zajął się Charliem, którego znaleźli przyciśniętego do kotła w szopie.

Który miał coś jeszcze przecież zrobić dla Muralowego Pana...

Callan, lipiec 2019

[1] Coffin Ship, czyli pływające trumny, jak zaczęto nazywać statki kursujące w połowie dziewiętnastego wieku z Irlandii do Kanady, kiedy to średnio co piąty pasażer kończył podróż śmiercią. (przyp. autora)

Książki czytam raz a dobrze, żeby mieć czas na kolejne tytuły, tyle tego dobra! Wyjątek robię dla Stephen Kinga, Terry'ego Pratchetta oraz ukochanego Stanisława Pagaczewskiego (jego Baltazar Gąbka nigdy mi się nie znudzi!).

Należę przy tym do tych fanów twórczości mistrza, co cykl o Mrocznej wieży lofciają, ale nie porównują z czysto-horrorowym dorobkiem Kinga. Najzwyczajniej nie mam takiej potrzeby.

Do rzeczy! Bez opowiadania „Siostrzyczki z Elurii” nie ujrzelibyście mnie w tej zacnej antologii; pewnie i w żadnej innej.. Wspomniany tekst przeczytałem kilkanaście razy i mam nadzieję, że jeszcze nieraz ucieknę wraz z Rolandem od siostrzyczek!

Nigdy nie mam pewności i w tym tkwi geniusz autora.

Aha, wcisnąłem pomiędzy literki znacznie więcej drobniejszych nawiązań do prozy Kinga (poza tym wyjątkowo oczorzutnym w postaci nieletnich bohaterów). Nie zdradzam szczegółów, bo co wypatrzycie, to Wasze, a co przegapicie, to moje (chwila na demoniczny śmiech Zychli!).

Czytajcie, a ja będę pisał, bo taki z nas ka-tet. Tak sprytnie połączył nas los.

– Marek Zychla

SANDRA GATT OSIŃSKA

To bliżej niesprecyzowana istota o bardzo trudnym, rudym charakterze. Urodziła się 5 listopada 1994r. w Warszawie, gdzie też mieszka. Po ukończeniu Technikum Księgarskiego z tytułem Technika Cyfrowych Procesów Graficznych pracowała m. in. w redakcjach portalu SE.pl i warszawskiego dwutygodnika Mieszkaniec. Jej utwory literackie (w tym poetyckie) były publikowane m. in. na łamach „Czerwonego Karła”, „Szortalu na wynos”, „Drabble na niedzielę”, „Magazynu Histeria”, „Bramy”, „Horror Masakry”, „Poezji Dzisiaj”, na portalach Horror Online, Szortal i Kostnica czy antologiach *Szlakiem Odmieńców*, *Lustra Zbrodni*, *Krew zapomnianych bogów*, *Słowiańskie koszmary* oraz *Tabu*.

Największą inspiracją są dla niej twórczość Grahama Mastertona, Jacka Ketchuma i Stephena Kinga oraz utwory ulubionych wykonawców muzycznych, takich jak: Dir En Grey, MUCC, the Gazette czy Dezeret. Gatt dodatkowo zajmuje się rysowaniem i malowaniem. Jest odpowiedzialna za okładki antologii *Szlakiem Odmieńców*, *Lustra Zbrodni* oraz *Krew Zapomnianych Bogów*. Współpracuje także jako grafik DTP z wydawnictwem Dom Horroru.

Obecnie ma swoją firmę rękodzielniczą Arts By Gatt, która zajmuje się tworzeniem m. in. zakładek do książek.

Jest bezdzielną lambardziarą i ma alergię na koty.

Nie lubię Stephena Kinga.

To zdanie przez wiele lat przewijało się przez moje życie. Zawsze powtarzałam, że sposób, w jaki pisze, jest dla mnie za ciężki. Nie gardziłam nim, po prostu nie mogłam przekonać się do jego twórczości. Znając i uwielbiając filmy na podstawie jego dzieł, przemogłam się do „Zielonej mili”. Pochłaniałam ją z prędkością światła, codziennie byłam w bibliotece po kolejne tomy! (Tak, była wersja podzielona na części).

Następnie sięgnęłam po „Misery” i „Łowcę snów” – nie pamiętam w jakiej kolejności. W obu przypadkach nie byłam w stanie przedrzeć się przez pierwszą stronę. Zniechęciłam się. Dopiero po wielu latach, pracując już jako księgarz, z ciekawości zaczęłam czytać „To”. Słyszałam wiele opinii o tej książce, w dodatku zbliżała się premiera nowej ekranizacji... Dałam Królowi drugą szansę. I wiecie co? Zaskoczyło! Poczulałam to. Może to kwestia

dojrzałości czytelniczej, która zmienia się z wiekiem? A może dojrzałości emocjonalnej, która pozwala inaczej odbierać pewne dzieła? Może po prostu potrzeba nowych doznań? Nie wiem. Ale to właśnie wtedy pokochałam Stephen Kinga.

Obecnie czytam i zbieram jego książki jak szalona. Dziełem, które wywarło na mnie największe wrażenie, jest „Smętarz dla zwierzaków”. W tej powieści zawarta jest kwintesencja tego, co kocham w Królu najbardziej – zarys psychologiczny postaci. Szaleństwo ojca, tak przepięknie i dobrze sportretowane...

Jednak dziś przychodzę do Was z moją interpretacją „Miasteczka Salem”. Skromnym opowiadaniem, które może nie jest wybitnym dziełem na miarę Króla. Ale gwarantuję Wam dobrą, iście królewską zabawę.

– Sandra Gatt Osińska

Krzyś

– Z kim rozmawiasz? – zapytała Jadzia, wchodząc do pokoju syna. Krzyś podskoczył gwałtownie jakby został przyłapany na gorącym uczynku. Mokra od potu włosy lepiły mu się do czoła, a klatka piersiowa unosiła się z trudem. Stał przy oknie i patrzył na matkę nieprzytomnym wzrokiem. Z dnia na dzień chłopiec wyglądał tylko gorzej. Jadzia zaczęła wątpić, czy było to zwykłe przeziębienie. Martwiła się coraz bardziej o Krzysia.

– Nie możesz spać? – Chwyciła syna za zimną rączkę. Syna, który jako jedyny trzymał ją przy życiu, nadawał mu sens, sprawiał, że miała jeszcze minimum kontroli nad sobą.

Krzyś po dłuższym namyśle skinął głową i spojrzał w stronę okna. Jakby czegoś szukał... Zaniepokojona Jadzia także skierowała tam wzrok. Widziała jedynie pokraccze gałęzie drzew, kołysane przez wiatr oraz odbicie swojej opuchniętej, wręcz upiornej twarzy. Poczowała dziwny dyskomfort. Jakby była obserwowana, choć nie mogła dojrzeć obserwatora...

Krzyś mocniej ścisnął dłoń matki, a kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Śnił mi się Marcin – zaczął niepewnie chłopiec. – Śniło mi się, że stoi na parapecie za oknem i macha do mnie.

Jadzia zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Marcin był przyjacielem Krzysia ze szkoły. Zmarł nagle, kilka dni temu. On i kilkoro innych dzieci z miasteczka. Kobiety nie dziwiło, że syn tak mocno przeżywa śmierć chłopca.

– Mówił coś do mnie.

– Co takiego mówił? – Jadzia zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, nie rozumiałem go. Podszedłem do okna, ale zanim je otworzyłem, ty już tu byłaś. I stałaś koło mnie. A on... zniknął. Mamo, ja.... Nie wiem, co się ze mną dzieje...

– To żałoba, synku – odpowiedziała najczulej, jak potrafiła, odprowadzając go do łóżka. – Odczuwasz stratę przyjaciela. To... normalne.

Zabawne. Śmierć Marcina ani trochę nie była normalna. Zdrowy jak ryba chłopak zmarł z dnia na dzień w swoim łóżku. Tak samo Piotrek. I Kuba. Według lekarzy wykończyła ich ostra anemia. Tylko skąd, u diabła, anemia u

tak małych dzieci? To pewnie przez ten syf podawany w szczepionkach – myślała Jadzia, unosząc kołdrę. Chłopiec wgramolił się na łóżko i ułożył wygodnie.

– Jutro zostajesz w domu – zakomunikowała, okrywając syna. Dotknęła jego czoła. Nie musiała mierzyć mu temperatury, by wiedzieć, że ma gorączkę. Krzyś pokiwał głową, ocierając łzy. Jego wzrok wydawał się jeszcze bardziej nieobecny.

– Śpij, młody. Dobrej nocy.

– Mamo? – zapytał, gdy Jadzia stała już w drzwiach. – A co jeśli Marcin znowu przyjdzie?

– Zawołaj mnie. Dobrze?

Krzyś sennie pokiwał głową. Jadzia pomachała mu na odchodne i drżącą dłonią zamknęła drzwi. Nie czuła się ani trochę spokojnie, zostawiając go samego. Bała się, że to ta sama przypadłość, która zabiła jego kolegów. Że syn umierał na jej oczach, a ona nawet tego nie dostrzegała. Obiecała sobie zabrać go do lekarza, gdy tylko nastanie ranek.

Wróciła do swojego gabinetu mieszczącego się obok pokoju syna. Nie wytrzymała napięcia. W ciągu zaledwie kilkunastu minut szlag trafił dwa miesiące trzeźwości. Jadzia otworzyła domowy barek i naląła sobie szklaneczkę koniaku. Nim odłożyła butelkę na miejsce, pociągnęła z gwinta kilka łyków. Miała dość siebie, swojego życia i tej wiecznej odpowiedzialności. Jeszcze te tajemnicze zgony dzieci... Każdy kolejny dzień niósł ryzyko, że syn już się nie obudzi. W przeciwieństwie do niej. Ona otworzy oczy tylko po to, by znaleźć martwe dziecko w łóżku.

Nie dziwiła się koszmarom Krzysia. Nawet dorosły miałby je, gdyby z dnia na dzień tracił kolegów. Zrezygnowana upiła połowę trunku, siadając przed laptopem. Musiała skupić swoje myśli na pracy. Zostało jej zaledwie kilka dni na ukończenie opowiadania, lecz kompletnie nie miała pomysłu, jak je zacząć. Patrzyła na otwarty edytor tekstu z irytująco mrugającym kursorem. Cholernik puszczał do niej oczko, prowokował do dalszego pisania. Chciała uderzyć pięścią prosto w środek ekranu, lecz zamiast tego wystukała pierwszą linijkę na mechanicznej klawiaturze:

Ostatnio kiepsko sypiam.

Jadzia uśmiechnęła się triumfalnie. To było dobre zdanie, naprawdę mocny początek.

Ostatnio kiepsko sypiam. Noc, zamiast kojarzyć się z odpoczynkiem, stała się dla mnie koszmarem. Większość czasu leżę z otwartymi oczami

i nasłuchuję. Każdy szmer przyprawia mnie o dreszcze.

Poczuła to nagle. Uderzyło znienacka, podstępnie, niczym sztylet wbity prosto w środek kręgosłupa. Zmroziło każdy nerw. Na ciele wystąpiła gęsia skórka, a włosy na przedramionach i karku stanęły dęba. Uczucie, że ktoś ją obserwuje, powróciło.

Walczyła ze sobą, by obrócić twarz w stronę okna, mimo że serce próbowało wyskoczyć z piersi. To ciało nie należało do niej, stało się obce, kontrolowane przez kogoś zupełnie innego. Czyżby to koniak tak na nią podziałał? Zamknęła oczy i policzyła do trzech, starając się jak najspokojniej oddychać. Spojrzała na okno.

Nic. Jedynie gałęzie starej wierzby obijały się o szybę, targane podmuchami wiatru. Paraliż, gęsia skórka, strach... Wszystko zniknęło jak ręką odjął. Pozostał jedynie lekki niepokój.

Wróciła do dalszego pisania. Intensywnie stukała palcami w klawisze, przekładała w głowie na kilkanaście sposobów składnię zdania, delikatne zmarszczki wystąpiły na jej czole...

Usłyszała to. Skrzywienie starego, otwieranego okna.

Cholera, Krzys! – zaklęła w duchu, odrywając się od biurka. Potrąciła szklankę z koniakiem, lecz ta na szczęście
(szczęście?)

była pusta. Mimo że pokój znajdował się tuż obok, miała wrażenie, że korytarz nie ma końca, a otwieranie drzwi trwa całą wieczność.

Zastała Krzysia przy otwartym oknie. Stał pochylony nad parapetem, jakby zaraz miał wypaść. Złapała go w połowie tułowia i odciągnęła, wywracając się z chłopcem na plecy. Zakręciło jej się w głowie, lecz po chwili oprzytomniała. Zrzuciła z siebie Krzysia i uderzyła go mocno w głowę. Chłopiec jęknął z bólu.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęła. Poczerwieniała na twarzy, dyszała wściekle. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zareagowała zbyt gwałtownie.

(Co z ciebie za matka?)

Przytuliła syna. Gładziła go po włosach z taką troską i oddaniem, jakby chciała naprawić swój błąd. Krzys rozplakał się w ramionach matki, kurczowo ścisnął w dłoniach jej koszulkę. Odsunęła go od siebie. Dotykała jego twarzy, z drobiazgową dokładnością sprawdzając, czy nic mu się nie stało.

– Krzysiu, miałeś spać – powiedziała z wyrzutem.

– Mamo, to Marcin! Znowu tu przyszedł! – krzyczał podekscytowany chłopiec.

– Miałeś mnie zawołać, gdyby znowu przyszedł!

– Nie było czasu! Mamo, Marcin jest w niebezpieczeństwie! On potrzebuje mojej pomocy!

Westchnęła, wiedząc, że czeka ją ciężka noc. Pogładziła syna po mokrym czole.

– Krzysiu, Marcinka już z nami nie ma. Jest u aniołków... – starała się powiedzieć to najdelikatniej, jak potrafiła.

– Mamo, on żyje! Naprawdę, był tu, przysięgam!

Wstała z podłogi i zamknęła okno. Zasłoniła roletę, by chłopca nie kusily dalsze głupoty. Stała przy łóżku i ponownie podniosła kołdrę.

– Ale mamo! – krzyknął zawiedziony Krzyś.

– Do łóżka, spać. Bez dyskusji.

Chłopiec ponownie położył się, patrząc na matkę z wyrzutem.

– Zaraz do ciebie przyjdę i posiedzę tu z tobą, aż zaśniesz. – Pochyliła się nad nim, by ucałować go w czoło, lecz Krzyś odsunął się gwałtownie.

– Śmierdzisz – powiedział cicho.

Jadzia poczuła się głupio. Chłopiec nie lubił, gdy była pod wpływem alkoholu i zawsze głośno to demonstrował. Odsunęła się od niego i poprawiła puchową kołdrę. Wróciła do gabinetu dosłownie na chwilę, po laptopa. Sięgnęła także po napoczętą butelkę koniaku. Gdy wróciła do pokoju syna, chłopiec cicho pochrapywał. Usadowiła się w fotelu postawionym w kącie pokoju i położyła komputer na kolanach. Pociągnęła ogromny haust napoju i postawiła flaszkę na podłodze. Nie było to zbyt wygodne rozwiązanie, ale dzięki niemu mogła mieć syna na oku i dalej pracować nad opowiadaniem. Spojrzała ponownie na otwarty edytor tekstu:

Ostatnio kiepsko sypiam. Noc, zamiast kojarzyć się z odpoczynkiem, stała się dla mnie koszmarem. Większość czasu leżę z otwartymi oczami i nasłuchuję. Każdy szmer przyprawia mnie o dreszcze. Boję się. Boję się zasnąć.

* * *

Klamka przekręciła się powoli, a okno uchyliło z przeciągłym piskiem. Śniła? Chyba tak. To musiał być sen. Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę.

Do pokoju, w akompaniamencie dziecięcego śmiechu, wdarł się ponury cień.

Jadzia spróbowała się poruszyć, lecz jej ciało było jak sparaliżowane. Doskonale знаła to uczucie, zaznała go już po raz drugi tej nocy. Mogła jedynie obserwować, na wpół leżąc, na wpół siedząc na fotelu w niewygodniej pozycji. Czuła narastający ból karku. *Czy śniąc, można czuć ból?* Zastanawiała się.

Cień poruszał się nienaturalnie, jakby był wyjęty z animacji poklatkowej. Znów rozległ się dziecięcy chichot. Zgarbiona postać zbliżyła się do łóżka śpiącego Krzysia. Jadzia słyszała spokojny oddech syna. A może tylko szum jej własnej krwi? Chciała krzyknąć, przegonić intruza. Nie potrafiła. Cień przybrał postać małego dziecka mniej więcej postury Krzysia. Eleganckie ubranie było łudząco podobne do stroju, w którym pochowano Marcina. Przybysz, śmiejąc się cichutko, pochylił się nad Krzysiem. Jakby szeptał mu coś do ucha. Syn Jadzi jęknął cicho przez sen i poruszył się niespokojnie. Czyżby śniło mu się to samo, co jej?

Jadzi udało się na sekundę podnieść wskazujący palec. Następnie poruszyła małym paluszkim u prawej dłoni. Gdy tylko zsunęła całą dłoń z podłokietnika, cień uniósł głowę i spojrzał groźnie na Jadzię. Spomiędzy czerwonych ust, pokrytych jakąś gęstą mazią,

(ketchup)

ukazał się rząd nierównych, powyginanych kłów. Cień zasyczał nieludzko i skoczył w stronę kobiety.

Marcin – pomyślała, ponownie zanurzając się w ciemność.

* * *

Obudził ją przejmujący chłód, jakby w ciągu nocy nastąpiła zima. Otworzyła oczy, lecz obraz rozmywał się przed oczami. Ból głowy rozsadał jej czaszkę. Zamrugła intensywnie, aby pozbyć się ropy. Gdy obraz stał się wyraźniejszy, jej serce zabiło mocniej. Okno znów było otwarte.

Zerwała się z fotela, zrzucając laptopa na podłogę. Nogą potrafiła pustą butelkę po koniaku. Zaklęła pod nosem, podeszła szybko do łóżka. Krzys dalej leżał na poduszkach, szczelnie owinięty kołdrą. Pochyliła się nad synem i dotknęła jego twarzy. Zniknął nie tylko jakikolwiek ślad po gorączce. Zniknęło także życie jej syna.

* * *

Pogrzeb był skromny, zjawilo się bardzo mało osób. Podobno większość miasteczka leżała w łózkach, powalona tajemniczą chorobą przypominającą grype. Jadzia nie płakała. Przed uroczystością uraczyła się porządną porcją wódki z lodem. Z obojętnością przyjmowała kondolencje, czekając, aż skończy się ta cała szopka. Niektórzy goście także wyglądali na walczących z infekcją. Poza jej synem na pogrzebie składano do grobu jeszcze trzy inne trumny, różnych wielkości.

* * *

Gdy tylko wróciła do domu, zrzuciła niewygodne buty na obcasie. Z trudem utrzymywała pion. Sięgnęła do lodówki po butelkę koniaku. Upiła porządny łyk jeszcze w kuchni. Otworzyła szeroko okno w pokoju syna i usiadła wygodnie na jego łóżku. Patrzyła na słońce powoli chowające się za koronami drzew. Czekala. Wiedziala, że nie wejdzie bez zaproszenia.

KRZYSZTOF MACIEJEWSKI

Urodzony w Warszawie w epoce słusznie minionej. Pismak, krytykant, skryba, tata bliźniąt, międzynarodowy instruktor Nordic Walking. W 2014 roku zdobył dwie Nagrody Polskiej Literatury Grozy im. Stefana Grabińskiego. Wcześniej wyróżniony w konkursie Gildii Horroru za krótkie opowiadanie (czym chwali się nadal). Opublikował trzy zbiory opowiadań w Wydawnictwie Forma oraz powieść w wydawnictwie Phantom Books. Jego utwory znalazły się także w zaskakująco dużej liczbie antologii.

Czytelniku drogi, zaczynam od utworu, który może sprawić, że stracisz ochotę na czytanie moich kolejnych opowiadań, a może wręcz odrzucisz całą moją twórczość. Dodam, że poniższe dziełko stanowi część nigdy niewydanego cyklu znanego, czy właściwie nieznanego, pod roboczym tytułem „Wkurwienia”. Jego celem jest wywołanie tytułowej reakcji w możliwie szerokim gronie odbiorców. Oczywiście nie chodzi, wbrew pozorom, o czystą złośliwość autora, a raczej o jego złość w związku z pomijaniem przez współczesny horror tematyki trudnej do zaakceptowania. Naprawdę, czasami odnoszę wrażenie, że poruszamy wyłącznie bardzo bezpieczne kwestie, które z tego względu są przeżute, wyplute, ponownie wchłonięte, a następnie zwymiotowane i tak ab ovo usque ad mala. Nawet twórcy lubujący się w ekstremach i seryjnych bieszczadzkich gwałcicielach/kanibalach z małymi wyjątkami ograniczają się do mnożenia obrzydliwości, by wywołać u czytelnika raczej odruchy wymiotne aniżeli rozumowe. To mnie naprawdę załamuje i... wkurwia właśnie. Czyli tak naprawdę tytułowe wkurwienia dotyczą bardziej autora, taką mam nadzieję przynajmniej, aniżeli czytelnika. No, a skoro już dawno temu Jonasz Kofta raczył stwierdzić: „z młodych gniewnych wyrastają starzy wkurwieni”, to także i kwestię mojego wieku mamy załatwioną.

Po tym przydługim ostrzeżeniu wypada jednak odnieść się do Stephena Kinga, który z kolei wyraził się na ten sam temat dość jednoznacznie: „Potwory istnieją i duchy są prawdziwe. Żyją w naszych wnętrzach i czasami wygrywają”. Tak naprawdę to opowiadanie stanowi pewną wariację tego stwierdzenia. I mimo wszystko zachęcam do lektury...

– Krzysztof Maciejewski

Lecząc księżyc

Jestem potworem, który nie zasługuje na waszą litość, a mimo to zwracam się do was, maszerujących z pochodniami, silnie zaciskających palce na drzewcach wideł, schylających się po kamienie, proszę o wysłuchanie mojej historii. Podobno, żeby zabić smoka, najpierw trzeba umieć dostrzec jego piękno. O, nie! Nie jestem próżny, nigdy nie przyglądałem się swojemu lustrzanemu odbiciu inaczej niż z pogardą, nawet zanim to wszystko miało miejsce. Lecz przecież każdy nosi w sobie jakąś opowieść, więc może i w mojej dostrzeżecie okruchy blasku?

Ale bez dygresji, pozwolę wybrzmieć tym słowom: jestem pedofilem. Czy można w ogóle napisać o sobie coś gorszego? A przecież tak niedawno nazywano mnie aniołem miłosierdzia, przeprowadzano ze mną wywiady, nawet księża wychwalali mnie w swych niedzielnych kazaniach! No dobrze, to ostatnie niekoniecznie świadczy na moją korzyść. Macie prawo mnie osądzać, tak samo zresztą, jak i ja osądziłem samego siebie, lecz trochę wam to wszystko utrudnię. Pozwolę skojarzyć fakty, dokonam obiektywnego opisu, może wtedy, gdy połączycie wszystkie elementy, ujrzycie nieco inny obraz? Przede wszystkim nałożą się wam na siebie moje obydwie wizerunki – ten przed i ten po, na pewno będziecie zaskoczeni, że osoba, którą pogardzacie, to niegdysiejszy bohater.

Nie mam prawa prosić o cokolwiek, ale tych kilka minut poświęconych na lekturę niczego nie powinno zmienić. Prawda? Ludzie mają wyrobione swoje absolutnie słuszne poglądy na wszystko, opowiadają się po jednej lub drugiej stronie konfliktu, nawet jeżeli konflikt ten wcale nie istnieje. W opozycji do wrogów, prawdziwych lub urojonych, w odwiecznej walce na argumenty, która w czasach, gdy czytanie ze zrozumieniem stało się rzadkim dobrem, może już tylko jednocześnie śmieszyć i zasmucać. Ale zwracam się do ocalałej z intelektualnego pogromu resztki – potraktujcie moją historię jako rodzaj eksperymentu myślowego. Tylko i aż tyle. Pamiętajcie też, że nie staję po żadnej ze stron – nie reprezentuję takich jak ja zwyrodnialców ani też nie stawiam się w szeregu łowców potworów. Jakżebym mógł?

* * *

Wszystko zapoczątkował pożar szkoły przy ulicy Pacewicza. Od samego początku podejrzewano podpalenie, co potwierdziły wyniki późniejszego śledztwa. Gdy przybyliśmy na miejsce, budynek stał już w ogniu. Z naszych informacji wynikało, że w momencie wybuchu pożaru w placówce znajdowało się kilkoro uczniów. Nie będę opisywać całej akcji ratunkowej, jej szczegóły znacie z gazet. W każdym razie dostałem się w pewnym momencie do środka, pędząc jak meteor – w naszej jednostce to porównanie funkcjonuje w ramach wewnętrznego żartu: pędź jak meteor, bylebyś nie zmieniał się w kometę. Niewiele widziałem ze względu na stężenie dymu, nawet filtry IR i UV nie pomagały. Na szczęście prowadził mnie dron poszukiwawczy, więc szybko dotarłem do uwięzionych w jednej z sal uczniów. Było ich dwoje, szybko założyłem im trójkąty ewakuacyjne i pociągnąłem za sobą w stronę okna. Na dole czekała już płachta ratownicza, wprawdzie nie było zbyt wysoko, ale środki bezpieczeństwa zawsze są najważniejsze. Na szczęście niewielka odległość do ziemi sprawiła, że nie musiałem długo przekonywać dzieciaków do skoku. No, trochę im pomogłem w podjęciu szybszej decyzji... Właśnie wtedy, gdy dziewczynka i chłopczyk znaleźli się na dole, oberwałem w głowę wypadającą, okienną futryną. Mój lot daleki był zarówno od jakiegokolwiek gracji, jak i regulaminowych zaleceń. Na szczęście umknęło to świadomej części mózgu. Ocknąłem się dopiero po trzech dniach spędzonych w szpitalnym łóżku.

* * *

Mówią o nienawiści, że jest jak ta zła siostra miłości. Że niepodgrzewana mija tak samo jak nagłe zauroczenie, a niekiedy jest nawet bardziej ulotna. Można wyobrazić sobie miłość trwającą całe życie – to w końcu twór imaginacji poetów od tysięcy lat. Czy umiemy jednak czuć do kogoś nienawiść bez końca? Czy jest nadzieja i dla mnie? Zawsze lubiłem sam siebie oszukiwać.

Na początku nie docierało do mnie zbyt wiele. Szczęśliwie lekarze nie dopuszczali do mnie dziennikarzy i innych łowców sensacji. Oczywiście nie ominęło mnie późniejsze pięć minut sławy. W nadchodzących tygodniach robiono ze mną wywiady, zapraszano do telewizji i radia, miałem swoje fankluby na Facebooku, istne targowisko próżności. Jednocześnie od

samego początku narastał we mnie dziwny niepokój, czułem, jakby jakaś obca obecność wynajęła jeden z apartamentów w moim mózgu. Jeszcze ze mną nie rozmawiała, na razie tylko rozglądała się, pilnie studiowała otoczenie i czekała.

Tymczasem lekarze stwierdzili uraz pod czaszkowy. Okazało się, że uszkodzeniu mogły ulec płaty czołowe, chociaż to określenie nic dla mnie wtedy nie znaczyło. Przeprowadzono szereg badań diagnostycznych, nie lekceważąc przy tej okazji opieki psychologicznej nad ofiarą pożaru. Wtedy jednak postanowił odezwać się mój gość.

* * *

Doskonale zdaję sobie sprawę, że dalsza część mojej opowieści wystawi cierpliwość czytelników na dużą próbę. Wiem, z racjonalnego punktu widzenia, uszkodzeniu uległ mój prawy płat czołowy, co wywołało w konsekwencji tak zwany zespół Klüvera–Bucy’ego, łatwo to wytłumaczyć, zdecydowanie łatwiej niż opętanie przez martwego pedofila. Wiem, że moja ewentualna linia przyszłej obrony byłaby zdecydowanie łatwiejsza, gdybym opierał się na nauce, a nie zjawiskach paranormalnych. Ale ja nie chcę się wcale bronić, czekam przecież na was.

Muszę wam wyznać jeszcze jedno – tak naprawdę nikogo nie skrzywdziłem. Możecie mnie powiesić na gałęzi najbliższego drzewa, lecz ja tylko oglądałem w domu dziecięcą pornografię. Oglądałem w... czynny sposób, że się tak wyrażę. Janusz namawiał mnie do dalszych eksperymentów, ale do tej pory opieram się tej pokusie. Ale wolałbym nie czekać na was zbyt długo.

Janusz... No właśnie, pojawia się to imię. Być może to uraz sprawił, że słyszałem w sobie głos obcej istoty, która od samego początku manifestowała swoją odrębność? Może to jakieś inne, niewykryte przez wyznawców Hipokratesa zaburzenie psychiczne stworzyło całkowicie samodzielny byt, który tak naprawdę jest dowodem mojego obłądzenia? Jednak od samego początku wiedziałem, że rozmawiam, o ile można to w ten sposób określić, z Januszem T., który do śmierci odsiadywał wyrok za wielokrotne morderstwa i gwałty na dzieciach. On tylko pokazał mi drogę, którą zacząłem podążać, ale w pewnym momencie przystanąłem. Teraz czekam na was idących z pochodniami, złorzeczących mi i coraz bardziej pragnących mnie zabić. Od miłości do nienawiści tak blisko, wiedzieli o tym poeci i mistycy od setek lat.

W jaki sposób to się zaczęło? Rozbudziła się moja seksualność, która nigdy wcześniej, nawet w nastoletnich latach, nie była zbyt intensywna. Średnia krajowa, jak sądzę, ale nie należy jej mylić z zarobkami. Okazało się, że normalne, nawet bardziej niż regularne stosunki seksualne nie wystarczają, a to popchnęło mnie w stronę pornografii. Dostęp do tych treści chyba nigdy w całej historii ludzkiej cywilizacji nie był tak łatwy. Moje wyszukiwania doprowadziły mnie najpierw do nastoletnich aktów, a potem do nawet nieco młodszych obiektów uwielbienia. Moim towarzyszem w tych wędrówkach był właśnie Janusz.

* * *

Stary, nie walcz z tym. To pierwsza rzecz, jaką sobie uświadomiłem wiele lat temu. Wyobraź mnie sobie; nie zaistnieję, jeśli mnie sobie nie wyobrazisz. Możesz też poszperać w gazetowych archiwach, skazano mnie na dożywocie jeszcze w czasach PRL-u, potem zresztą trafiłem do zamkniętego ośrodka psychiatrycznego. Ale moje serce nie dało się zamknąć za żelaznymi bramami, w amoku wielokrotnej identyfikacji, w czeluści nie do przeniknięcia, bo moje serce jest w wielu miejscach jednocześnie. Ono doskonale pamięta tych pięknych chłopców, te dziewczynki, które jeszcze nie zatraciły się w rozbującej kobiecości. Ono rozmawia wciąż z moimi lędźwiami spalonymi w wiecznym ogniu, z moją grzeszną duszą płonąca tym samym płomieniem. Unicestwiam samego siebie w tych wspomnieniach, rozpuszczam się w tych myślach, teraz jeszcze bardziej, gdy już jestem martwy. Jakże cieszy mnie to, że w zaświatach odebrałem twój sygnał, to wspaniale trafić na ucznia. Poprzez ciebie mogę powrócić, chociaż to ułomny powrót, poprzez ciebie moje plugastwo rozcieńczy się, stanie się niemalże czymś akceptowalnym. Spójrz na te śliczne dzieciaczki! A potem, gdy wzrok już nie będzie wystarczał, powiodę cię w stronę Swanna, pokażę ci lubieżny świt, ale musisz mnie posłuchać.

* * *

Nie posłuchałem go. Tkwię wciąż na etapie internetowych podbojów. Te prześliczne niemowlęta poznające rozkosz kontaktu z dorosłym ciałem, te całkowicie niewinne duszyczki, które można zbezczęścić na tak wiele sposobów! Ale one też bywają na swój sposób okrutne. Wiecie, czemu? Bo

nie potrafią grać i udawać, bo w swojej zabójczej szczerości skazują nas na cierpienie. Jakże trudno czasami być dorosłym! Chciałbym wrócić do miejsca, gdzie nosiłem najprawdziwszą z moich masek. Dlaczego jednak nie umiałem jej rozpoznać wtedy, przecież dni tańczyły jak natchnione, a smutek mieszkał w odległej mieścinie, której miałem nigdy nie odwiedzać? Wpisuje się to w ciąg rozczarowań, który towarzyszy mojej osobie, a zaczął się chyba jeszcze przed akcją w płonącej szkole.

Nie chcę rozpisywać się na temat moich dni chwały. One zresztą przemijają niczym mrugnięcie oka młodej dziewczyny, jak śpiewał Boss. Podejrzewam jednak, że Bruce Springsteen nieco inaczej niż Janusz i ja definiuje młodość... Były wywiady, jak wspominałem, artykuły w prasie, nawet w tej ogólnopolskiej, wasz unizony sługa przez kilka tygodni cieszył się powszechnym uwielbieniem. To była jednak dość niezręczna dla mnie sytuacja, bo już wtedy prowadziłem wielogodzinne dialogi (czy może monologi) z moim gościem.

Janusz zdradził mi, że siedząc w więzieniu, jakim był szpital psychiatryczny dla groźnych przestępców, otrzymywał mnóstwo listów od kobiet. Jedną z nich zresztą poślubił, a ich związek pobłogosławił więzienny kapelan.

* * *

Wiele razy zastanawiałem się, czego szukały u mnie te kobiety. Czy samotność, nawet taka najbardziej skrajna, może usprawiedliwiać pragnienie związku z potworem? Doszedłem do wniosku, że w grę wchodził odwieczny archetyp Pięknej i Bestii. Sądzę, że one za wszelką cenę chcą nas zbawić, przemienić w porządnym ludzi, mimo że do takiej przemiany potrzeba zdolności bez mała alchemicznych. Nawet kamień filozoficzny to za mało. Ołów w złoto? Żaden problem. Potwora w anioła? Tego się nie da zrobić, ale i tak wciąż próbują. Każda z nich, w mniejszym lub większym stopniu, o ile tylko pojawi się taka możliwość. Wiesz, z tym jest trochę tak, jak z lekarzem wpatrującym się w księżyc. Poorana kraterami, wisząca na niebie twarz przypomina mu zapewne jakiś dermatologiczny przypadek. On byłby nawet w stanie przepisać odpowiednie leki, zaproponować właściwą kurację, ale nie jest w stanie jej przeprowadzić. Tak to właśnie działa, czy też może raczej powinienem powiedzieć – nie działa...

* * *

W najstarszych wspomnieniach widzę gałęzie drzew unoszące się wysoko nad wózkiem, który prowadzi moja matka. Być może to tylko fantomowa pamięć, bo podobno nie jesteśmy w stanie przywołać niczego, co przeżyliśmy przed ukończeniem trzeciego roku życia. Zresztą durszlak głowy przecieka coraz bardziej. Nie pamiętam już twarzy ani imienia dziewczyny, którą pocałowałem pierwszy raz w swoim życiu, zupełnie jakbym próbował objąć mgłę. Dlaczego głos martwego zboczeńca w myślach jest bardziej realny niż jeden z najważniejszych momentów dzieciństwa?

Właśnie dlatego uważam, że postąpiłem słusznie. Jakże inaczej miałem przerwać ten przerażający taniec na skraju przepaści? Nie, nie zgłosiłem się na policję. W zamian postanowiłem wykorzystać potęgę mediów społecznościowych. Mój anonimowy donos na samego siebie dotarł do setek, a może nawet tysięcy ludzi. Także do was, którzy idziecie po mnie, którzy jesteście już tak blisko. Może uległem instynktom samozagłady, a może wręcz przeciwnie – to był jedyny sposób na ocalenie? Lub chociaż na przypomnienie sobie tamtego pocałunku? Może w świetle pochodni ujrzę znów tamtą twarz?

Przeniosłem się właśnie do komórki, bo trzeba ograniczać straty materialne. Siedzę na starym fotelu, pochylam się nad białą papieru powoli pokrywaną tymi zapiskami. Od kilku godzin ignoruję coraz bardziej rozpaczliwe krzyki Janusza. Nie ma już mgły, słyszę zbliżający się tłum.

* * *

GŁOS MAZOWSZA. KRONIKA KRYMINALNA SAMOSĄD W KANIACH

Chcieliśmy ochronić nasze dzieci przed bandytą, który im zagrażał. Policja i prokuratura nie potrafiły tego zrobić – to słowa jednego z oskarżonych w głośnej sprawie zabójstwa pod Kaniami (woj. mazowieckie). W bezprecedensowej sprawie przed sądem stanęło dwadzieścia osiem osób.

Odpowiadają oni za zabójstwo 26-letniego mieszkańca Kań, Patryka R. Do zbrodni doszło 29 grudnia 2019 roku. Tłum miał brutalnie pobić 26-latkę, a następnie podpalić niewielki budynek gospodarski, w którym znajdował się denat. Podczas poniedziałkowej rozprawy mieszkańcy miasteczka bronili się, mówiąc, że Patryk R. był zboczeńcem, a oni chcieli go tylko nastraszyć. Ciekawostkę stanowi to, że rok temu ofiara, pracując jako strażak, uratowała z pożaru szkoły dwójkę dzieci.

„Strzępy skóry” ukazały się dawno temu w „Gorefikacjach II”, ale tak naprawdę są najbardziej Kingowskim tekstem, jaki wypełził spod moich palców. Znać tę nostalgię, gdy autor „Lśnienia” powraca do swoich młodzińskich lat (vide chociażby Joyland)? Tak naprawdę ta opowieść nie mówi o pewnym demonie czającym się w szpitalnych korytarzach, ale właśnie o tęsknocie za prostszym światem. Chociaż może właśnie to demon w nas za nim tęskni? Czasami lepiej nie drążyć takich kwestii, szczególnie parę minut po północy...

– Krzysztof Maciejewski

Strzępy skóry

Niektórzy mówią, że dusza nie jest iskrą stworzenia, lecz samodzielnym bytem obleczonym w tkankę skóry i mięśni. Gdy powracam myślami do pewnego lata na początku lat dziewięćdziesiątych, które spędziłem na oddziale dermatologicznym miejskiej polikliniki, uświadamiam sobie, jak bardzo zmieniło się moje spojrzenie na przytoczone ontologiczne kwestie. Od czasu tych wydarzeń dobrze wiem, że dusza jest tylko ochłapem plazmy, czymś w rodzaju złuszczającego się naskórka, którego kilogramy zalegały na szpitalnych korytarzach. Że możemy się jej pozbyć równie łatwo jak martwej skóry i nic się w zasadzie nie zmieni. Że jesteśmy skazani na opętanie, w taki lub w inny sposób.

A przecież, gdy wspominam pobyt w szpitalu, czuję także pewne rozrzewnienie. Przychodzą mi wtedy na myśl przeboje, których wówczas słuchałem, inne style ubierania, filmy, fryzury – wszystko to, co widzimy zawsze w lśniących dioramach przeszłości. A przede wszystkim, że byłem wtedy młodym brunetem, któremu śniła się nieśmiertelność. I nawet wtedy, mimo swojej choroby, czułem jeszcze radość życia.

Do szpitala skierowano mnie w lipcu. Byłem w kiepskiej kondycji. Skóra, zaczerwieniona prawie na całej powierzchni ciała, w wielu miejscach pękała, a z ran sączyły się krew i limfa. Miałem spuchniętą twarz, wypadaly mi włosy i nie mogłem chodzić bez laski. Ot, atopowe zapalenie skóry w mocno zaostrej postaci.

Lipiec, niemiłosiernie gorący, nie poprawiał mojego stanu. Ulokowano mnie we wspólnej sali razem z trzema innymi nieszczęśnikami. Mimo otwartych szeroko okien wszędzie panowała duchota. Cóż, w tamtych czasach klimatyzacja w polskich szpitalach jeszcze nie zdążyła zaistnieć. Męczyliśmy się wszyscy, najczęściej snując się po korytarzu, w którym zalegał chłód zmagazynowany w starych murach. Dwa razy dziennie chodziliśmy na smarowanie naszych udręczonych ciał do maściarni. A wieczorami siadaliśmy przed telewizorem stojącym w zaułku korytarza; była to również nasza palarnia. Co? Zakaz palenia? Oczywiście, że był, ale nawet lekarze się do niego nie stosowali.

Na mój oddział trafiło wielu pacjentów wprost z muzealnej galerii osobliwości. Był wśród nich Gollum – pozbawiony włosów na całym ciele karzeł z powykręcانymi dłońmi. Inny pacjent z kolei miał tajemniczą chorobę, która sprawiała, że cała jego skóra szerniała. Podobno był drugim takim przypadkiem na świecie. Kolega z pokoju cierpiał na sklerodermię, która sprawiała, że jego skóra zmieniała się w kamień. Był też człowiek cierpiący na rybią łuskę jeżastą typu Lamberta. Rogowacenie naskórka na całym ciele – to z pewnością nie należy do przyjemnych doznań. Najdziwniejszym pacjentem był natomiast Jerzy. Pod warstwą skóry i w gałkach ocznych żerowały u niego malutkie nicienie z jakiegoś nieznanego gatunku. Ale oczywiście najwięcej było łuszczaków i atopików takich jak ja.

Któregoś dnia grałem w makao z Jerzym i Gollumem. To właśnie Jerzy opowiedział mi po raz pierwszy o demonie.

* * *

– Chodzi w nocy korytarzami i wyszukuje swoje ofiary – mówił Jerzy.

Ze względu na czerwie wijące mu się w gałkach ocznych naprawdę ciężko było utrzymać z nim kontakt wzrokowy. Ale poza tym był z niego fajny facet.

– A co potem się dzieje, jak już znajdzie? – dopytywałem się.

– Doprowadza delikwenta do szaleństwa. Kilka tygodni temu pewien starszy pan wyskoczył przez okno, wrzeszcząc, że świat płonie, a Niemcy go za chwilę dopadną. To świeciła tylko uliczna latarnia za zasłonami, a on widział ogień pożerający domy. Myślał, że znów jest wojna...

– Tak, słyszałem o tym – przytaknął Gollum.

Jerzy opowiedział mi, że już wcześniej zdarzały się na oddziale osobliwe przypadki samookaleczeń. Miał na myśli, jak wspomniałem, tylko osobliwe przypadki, bo drapanie skóry do krwistej ropy było na porządku dziennym. Podobno wielu pacjentów przechodziło załamania nerwowe – to już nie było takie dziwne, zważywszy na miejsce, w którym się znaleźli. Spaceruj sobie całe dnie długim korytarzem, a niechybnie trafisz w zupełnie inne miejsce – tym razem odosobnione... A trzeba wiedzieć, że wtedy trzymali na oddziałach dermatologicznych naprawdę długo – nawet po kilkanaście tygodni. Nie to, co dziś, gdy wypuszczają cię po tygodniu, nawet jeżeli nie widać żadnej poprawy...

Ale wracając do demona – nazywano go Skórzakiem, gdyż zostawiał za sobą strzępy chorej, złuszczonej skóry. Przychodził nocą i zsyłał na swą

ofiarę szaleństwo. Muszę przyznać, że wszyscy byliśmy dość blisko tej cienkiej granicy, za którą rozciągała się domena Obłądu. Dziś, wiele lat po tamtych wydarzeniach, doskonale wiem, że te granice nosimy wszędzie ze sobą, że nie ma znaczenia miejsce, w którym się znaleźliśmy.

– Skórzak dopadnie nas, jeśli trafi na chwilę słabości – tłumaczył Jerzy, a czerwie tańczyły wokół jego źrenic.

Pamiętam, że potem graliśmy jeszcze przez jakiś czas. Przypałał się nawet Oskar, młody wyznawca łysej głowy i sportowych strojów. Chwalił się, że potajemnie zwiedził pobliski oddział wenerologii kobiecej i podobno nawet poderwał tam jakąś pannę...

* * *

Dni zlewały się ze sobą w jedną, bezkształtną całość. Któregoś przedpołudnia byłem w maściarni, dokonując, jak to nazywaliśmy, kremacji, czyli smarowania całego ciała leczniczym środkiem śmierdzącym zdechłą rybą. Pielęgniarki wydzielały nam stosowną ilość maści, z którą radziłyśmy już sobie sami – może poza fragmentami pleców traktowanych niemalże z czułością przez usługowe siostry. Oczywiście, część pacjentów, którzy przyjeżdżali na wózkach, mogła liczyć na znacznie bardziej wszechstronną asystę.

Tylną część ciała smarowała mi tamtego dnia siostrzyczka Beata. Zawsze uśmiechnięta i skora do pomocy, była dobrym duchem naszego oddziału. Tym większe było moje zdziwienie, gdy usłyszałem, co do mnie mówi.

– Skórzak sprawi, że będziesz żałował... – rzuciła lekko, rozsmarowując mi po plecach hydrocortison na cholesterolu.

– Słucham?

Przez chwilę milczała. Po chwili powtórzyła:

– Skóra prawie już wyleczona.

Czy mi się przesłyszało i naprawdę mówiła poprzednim razem to samo? Ludzki umysł jest zadziwiającym labiryntem z przesuwanymi się ścianami. Jak można być pewnym czegokolwiek? Od tamtego dnia wszystko się zmieniło. Zacieki na ścianie w łazience zaczęły przypominać ludzkie oblicza wykrzywione w niewysłowionej męce. Twarze kolegów zastygały w dziwacznych grymasach, by po chwili wyglądać zupełnie normalnie. Rytuały smarowania, leków, zastrzyków i kroplówek wydawały się jeszcze bardziej uciążliwe. Podświadomie czekałem na ciąg dalszy. Nie może więc

dziwić, że miałem poważne problemy ze snem. Wkrótce zacząłem łykać tabletkę hydroksyzyny przed zaśnięciem.

Okazało się jednak, że to nie ja zostałem następną ofiarą Skórzaka.

* * *

Tamte dni wciąż nawiedzają mnie w marzeniach sennych i na jawie. Często więc idę we śnie długim, szpitalnym korytarzem, po ścianach ścieka woda, a może to jest krew, nie wiem. Mimo ciemności widzę wszystko wyraźnie. W pewnym momencie odnoszę wrażenie, że ściany przesuwają się szybciej niż podłoga, a w dali dostrzegam dwie postacie. To pielęgniarki trzymające się za ręce, bliźniaczo do siebie podobne, nie tylko z uwagi na stroje. W ich twarzach widzę zbieżne refleksy, oczy połyskują w jednakowych interwałach, usta wykrzywione w równoległych grymasach. Zbliżam się do nich ze ścianami biegnącymi tuż obok, znikającymi za moimi plecami. W pewnym momencie zauważam, że z oczu pielęgniarek płyną czerwone łzy. Nagle zaczynają się obie uśmiechać, a ten uśmiech jest straszniejszy niż wszystko, co mogłem sobie wyobrazić. Wokół mnie słyszę świsty i westchnienia, jakby sam budynek zbudził się ze snu i teraz dławił w astmatycznych mękach...

Nie, nie widzę biednego Golluma ani tego, co mu się stało. To nie jest ten rodzaj snu.

Pielęgniarki nagle znikają, jednocześnie koniec korytarza znów się oddala. A potem, na samej granicy widzenia (jest ciemno i niejasno jak w starym zwierciadle), pojawia się pojedyncza sylwetka. Nie widzę jej wyraźnie, ale przecież doskonale wiem, że to Skórzak. Nie muszę się do niego zbliżać, by rozpoznać alabastrową karnację i strzępy skóry spadające na podłogę przy każdym ruchu. Jego twarz przypomina wyjątkowo szpetnego staruszka, którego kiedyś widziałem w szpitalu – siedział na korytarzu, uśmiechając się do swoich wspomnień, a ja wiedziałem, po prostu wiedziałem, że w tych wspomnieniach są krew i przerażające krzyki. Oczy Skórzaka są bezdennymi studniami – a najgorsze jest to, że gdzieś na samym ich dnie, odbija się moja twarz. Ale w tym momencie wiem już dobrze, że sen się kończy, za każdym razem zrywam się z krzykiem w momencie, gdy Skórzak spogląda w moją stronę. Wiem też doskonale, że rozpoznam kiedyś w przyszłości ten sen, z którego już się nie obudzę, w poświstywaniu płuc i gorzkim smaku żółci zalewającej przełyk. Sen, w którym Skórzak przyjdzie tym razem po mnie.

* * *

Śmierć. W szpitalu to częste zjawisko, ale przecież nie na dermatologii. Tu zwykle nie leżą ludzie cierpiący na choroby zagrażające życiu. Śmierć to minimum, jak powiedział znany pisarz. Ale i maksimum wszystkiego – to tak, jak z miłością. Znika wtedy nasza odrębność, tracimy duszę, czymkolwiek ona jest.

Tamten dzień zaczął się całkiem normalnie, jak to się często zdarza tym podstępny i wyrachowanym draniom. Miałem kilka badań do zrobienia – musiałem pójść choćby na USG stopy, która nie chciała przestać puchnąć. Ale mimo tego bólu cieszyła mnie perspektywa przechadzki. Każde wyjście z oddziału na zewnątrz, nawet przejście przez podwórze do innego budynku, było miłym urozmaiceniem rutyny. Zwłaszcza że upał zelżał.

Z racji swojego wyjścia byłem tego dnia nieco wyłączony z towarzyskiego życia oddziału. Wiedziałem, że kogoś wypisują (szczęśliwiec!), że przyjęto dwie nowe osoby. Jerzy zrobił karczemną awanturę podczas smarowania, a Gollum był dziwnie osowiały. Tego dowiedziałem się oczywiście już po moim powrocie z pracowni ultrasonografu. Ale prawdziwy koszmar zaczął się dopiero wieczorem.

* * *

– Od lat pobieram rentę socjalną, w listopadzie stanąłem przed kolejną komisją ZUS, gdzie lekarz orzekł, że jestem nadal całkowicie niezdolny do pracy. Ucieszyłem się, do czasu, gdy ZUS przysłał mi pismo, że zgłaszają zarzut wadliwości orzeczenia lekarza orzecznika. Na kolejnej komisji stwierdzono, że jednak jestem zdolny do pracy. Odwołałem się do sądu, wygrałem... A teraz cholerny ZUS nie chce mi zapłacić tych pieniędzy za kilka miesięcy ciągnięcia mnie po sądach – opowiadał Marcin.

Cóż, boje o rentę były jednym z najczęstszych tematów naszych rozmów.

– Z nimi nikt jeszcze nie wygrał! – odezwał się Jerzy. – Jednemu gościowi wmówili niemal, że mu noga odrosła!

– Prawdziwi cudotwórcy – skomentowałem.

Gawędziliśmy tak na korytarzu, wpatrzeni w telewizor. Jak to latem, puszczali powtórki wszystkich możliwych seriali. Nagle poczułem chłód.

– Hej, co się tak zimno zrobiło? – zapytał jeden z pacjentów.

Można było odnieść wrażenie, że przez korytarz przemknął mroźny wiatr. I wtedy usłyszeliśmy przerażający krzyk. Dobiegał z pokoju Golluma,

który chwilowo został na sali sam.

Popędziliśmy w tamtym kierunku. Byłem pierwszym, który otworzył drzwi.

* * *

Siedzi w kucki na łóżku. Wokół krew, krew wszędzie, w uszach huczy mi wichura. Po chwili znajduję przyczynę tej krwawej łaźni – brzuch Golluma jest rozpruty jakimś ostrym narzędziem... A on trzyma płataninę własnych jelit, podnosi je do ust i zaczyna gryźć. Wszystko na moich oczach. Widzę, jak połyka kawałki błon śluzowych, z oczu płyną mu łzy, na brodę spada cuchnąca zawartość kiszek. Flaki parują przed nim jak odświętne danie w półmisku przybranym czerwonymi warzywami. Zaczynam krzyczeć, zamykam oczy, by ten koszmar nie wdarł się gdzieś do mojego wnętrza, żebym mógł go zapomnieć, chociaż wiem w głębi duszy (czymkolwiek ona jest), że to niemożliwe. Bo wciąż widzę poszarpaną powłokę jamy brzusznej, rozróżniam białawe kawałki tłuszczu i różowość wypływających z wnętrza jelit. I jego uśmiech, gdy pochłania kolejne centymetry swoich podrobów. Śmierdzi naprawdę okropnie. Gollum znów zaczyna krzyczeć, a wrzask niesie się po korytarzach. Nie pamiętam momentu, w którym do sali wpadają pielęgniarki.

* * *

Następnego dnia od rana było niezłe zamieszanie. Policjanci rozmawiali z lekarzami i personelem medycznym, zjawiała się rodzina Golluma, a my nie umieliśmy się otrząsnąć z tego, co się wydarzyło. Później orzeciono samobójstwo, w kilku gazetach zamieszczono nawet notki na ten temat. Oczywiście, nikt nawet nie wspomniał o demonie krążącym po dermatologii, o tym, że nasz kolega zabił się pod wpływem Skórzaka. My jednak wiedzieliśmy swoje.

Przed wypisaniem ze szpitala rozmawiałem sporo z Jerzym. On uważał, że Gollum oddał swoją duszę złemu duchowi krążącemu po naszym szpitalnym piętrze.

– Naprawdę dusza jest tylko ochłapem, jaki rzucamy przed siebie w chwili największej grozy w swoim życiu. To nic więcej – upierał się.

– Ale on przecież tylko próbował się ocalić... – przerwałem.

Jerzy wzruszył ramionami.

– Nie rozumiesz, że nie ma ocalenia? Że i tak jesteśmy skazani, bez względu na to, co zrobimy?

– To jaki sens ma ofiara? – zapytałem.

– Jesteśmy utkani z poświęcenia – odparł. – Ale na dłuższą metę nie ma ono najmniejszego znaczenia.

Następnego dnia wyszedłem ze szpitala. I chociaż wracałem tam jeszcze kilka razy, nigdy już nie spotkałem Jerzego. Może pokonał swoją dziwną chorobę?

A mój AZS? Raz jest lepiej, raz gorzej, pielęgnuję skórę jak mogę, uważam na alergeny i powoli starzeję się razem z atopią. Spotykam zwyczajnych ludzi, zaprzyjaźniam się, jeżdżę w góry i nad morze. Czasami firmy farmaceutyczne testują na mnie nowe leki, niekiedy nawet następuje po nich poprawa. Nie natknąłem się nigdy więcej na żadnego demona. Robi się ze mnie niezły sceptyk na starość. Ale ciągle wracam myślami do dnia, w którym Gollum zjadł swoje własne flaki. Do czasów, gdy byłem szczęśliwy.

Coś Wam zdradzę – uwielbiam krótką formę. Napisałem kiedyś całą książkę wypełnioną opowiadaniem zawierającymi po 100 słów (tzw. drabble). Tych opowiadań było 100, a książka nosi tytuł „Dziewięćdziesiąt dziewięć”. Moje sztandarowe teksty są zresztą niewiele dłuższe. Musiałem więc i w tej antologii zaproponować coś w swoim stylu. Stephen King porównał pisanie powieści do małżeństwa, a opowiadania do pocałunku skradzionego nieznajomej w ciemnościach. W tym zestawieniu moje utwory są w takim razie najwyżej krótkim trzymaniem się z nieznajomą za rękę. O dziwo, tak kończyła się większość moich sercowych podbojów, kiedy byłem nastolatkiem. Naprawdę, nie ma ucieczki przed gębą, jak tylko w inną gębę, jak powiedziałyby Gombrowicz... A co powiedziałyby Stephen King? Zapewne „Not this time...”

– Krzysztof Maciejewski

Dziewczynka ze szczelin

W piątek rano wyszedłem jak zwykle ze swoim psem do miejskiego parku. Lubię tę porę dnia, kiedy świat wyłania się z ciemności, gdy jeszcze przez krótki moment wierzy w swą świeżość i piękno. Ludzie wciąż jeszcze czują determinację, by dotrzeć do zmierzchu w swych postanowieniach. W tym rodzącym się zgiełku raczkującego piątku dotarliśmy, Malik i ja, na parkową alejkę. Zwykle o tej godzinie nie ma tu zbyt wielu spacerowiczów, ale tym razem w naszą stronę biegła mała dziewczynka.

Wydawała się wyjątkowo podekscytowana, więc gdy zbliżyliśmy się, pozdrowiłem ją skinieniem i uśmiechem.

– Udało mi się ją zaklepać! Wygrałam! – Cieszyła się.

– Och, młoda damo, opowiedz mi o tym...

Oczywiście nie musiałem jej wcale do tego zachęcać.

– Bo, proszę pana, spotkałam tu nową koleżankę i ona namówiła mnie na zabawę w chowanego, i potem zaczęła odliczać, a ja schowałam się w takim starym drzewie, co ma wielką dziuplę i tam czekałam. A potem ona zaczęła biegać po parku, więc gdy się oddaliła, to szybko pobiegłam do huśtawek, bo wie pan, tam była klepanka, a jak dobiegłam, to krzyknęłam: „Raz, dwa, trzy, za siebie!”, bo tak trzeba, pan wie?

Pokiwałem głową.

– A jak się nazywa twoja znajoma? I gdzie teraz jest?

Dziewczynka nachmurzyła się.

– Ona musiała już iść. Powiedziała mi, że mieszka w szczelinach i czekają tam na nią.

Zamyśliłem się.

– Pan wie, gdzie to jest? – Zaciekawilo się dziecko.

Przywołałem na twarz najbardziej czarujący ze swoich uśmiechów.

– Tak, byłem tam wiele razy. To cudowne miejsce. Nigdzie nie ma takich malowniczych zachodów słońca, takiego połączenia górskich i morskich krajobrazów. Nasze klify piętrzą się nad turkusową zatoką, wieje przyjemna bryza, a na ulicach słychać śpiewy i dźwięki gitar, zaś roztańczone pary w wielokolorowych strojach uśmiechają się do przechodniów...

Być może nie użyłem dokładnie tych samych słów, opisy zazwyczaj dopasowuję do obrazów na bieżąco wyświetlanych pod powiekami rozmówców.

– Chciałabym ją jeszcze spotkać... Może będę też mogła ją odwiedzić? – Dziewczynka rozmarzyła się.

Spojrzałem na nią z jeszcze bardziej uwidocznionym uśmiechem.

– Oczywiście, że tak! Musisz po prostu jeszcze raz pobawić się z nią w chowanego. Następnym razem, kiedy się spotkacie. Może jutro?

Teraz ona wyszczerzyła zęby. Ach, jakże piękne są dziecięce uśmiechy. Najbardziej lubię chyba te, które jeszcze nie wiedzą, że są luksusem danym nielicznym, najczęściej w wieku, kiedy niczego nie rozumiemy. Potem jest nagle za późno, w oczach pojawia się mrok, który jedynie inna osoba dotknięta przez ciemność jest w stanie rozproszyc. W stawie niedaleko alejki rozwrzeszczały się kaczki, ich szydercze kwakanie przypominało śmiech, który jakże idealnie pasował do tej sceny.

Jeszcze nie rozumiecie? Dziewczynka ze szczelin następnym razem znów zaproponuje zabawę w chowanego, ale tym razem zakończy się ona nieco inaczej. Może słyszeliście już gdzieś tę historię, opowiadają ją często przy ogniskach, kiedy chmury ukryją Mleczną Drogę, a w pobliskim lesie zwierzęta wyruszają na łowy. Niektórzy uważają ją za miejską legendę. Dziewczę ze szczelin z tej legendy zabiera swoich współtowarzyszy zabawy do Piekła. Wycieczka w jedną stronę, ale za to na koszt operatora.

Ja jestem zwykłym obserwatorem, chociaż możecie nazywać mnie inaczej. Mój pies, Malik Tous, to siódma tajemnica i psi anioł. Kiedyś, jeszcze w ciemnych wiekach, wyglądem przypominał pawia, ale czasy się zmieniły i wychodzenie na spacer z gigantycznym samcem wyposażonym w barwny ogon budziłoby zrozumiałą sensację. Ja również raczej nie epatuję rogami nad czołem czy kopytami. Nawet zapach siarki można łatwo zneutralizować paroma kroplami Creed Aventus. A moja podopieczna nosi podziurawione spodnie, bluzy z kapturem i wygląda dokładnie tak samo, jak tysiące jej rówieśniczek na Instagramie. Dziewczynka ze Szczelin, która może być każdą z was.

W dawnych wiekach zło musiało być nieco bardziej groteskowe, zresztą wtedy ludzie umieli je znacznie lepiej rozpoznać. Dziś nie odróżnicie go od dobra, czy może raczej od normalnej przeciętności. Ta strategia zdecydowanie lepiej się sprawdza. Nie wierzycie? Tym łatwiej was wkrótce przekonam.

FLORA WOŹNICA

Urodzona 28 listopada 1995 r. we Wrocławiu. Pisarka horrorów, recenzentka i laureatka konkursów literackich. Z wykształcenia magister psychologii i absolwentka Studium Psychologii Sądowej.

Tworzy od czasu konkursu Horror na debiut (zorganizowanego przez Okiem na Horror), dzięki któremu na portalu Niedobre Literki pojawiło się jej pierwsze opowiadanie. Zwycięzczyni Całorocznych Zawodów Literackich Horror Online i konkursu „Sto słów na Halloween”. Publikowała m.in. w antologiach: *Szlakiem odmieńców*, *Lustra zbrodni*, *Krew Zapomnianych Bogów*, *Krwawnik 2*, *Halloween w stu słowach*, *Tabu*, *Słowiańskie koszmary*, *Maszyna*. *Antologia horroru industrialnego*, *City 4*. *Antologia polskich opowiadań grozy*, *Po drugiej stronie światła*, *Mroczne dziedzictwo*. *Antologia w hołdzie Jamesowi Herbertowi* i *Licho nie śpi* oraz w magazynach „Drabble na Niedzielę”, „Szortal Na Wynos”, „Szortal Na Wynos Wydanie Specjalne” i „Czerwony Karzeł”.

Prowadzi bloga recenzenckiego „Książkowe wymiary”, jej recenzje ukazują się też m.in. na portalach Bestiariusz, Game Exe, Kostnica i Laboratorium Muzycznych Fuzji.

Widzieć więcej

Nadszedł koniec ludzkości. Miasto upadało, umierający krzyczeli, a budynki niszczyło tornado. Odliczałem sekundy do ostateczności, z nadzieją, że nie będę zbyt długo cierpieć. Niekiedy sądziłem, że tak zawsze miało być, że przecież głównym celem życia jest rychła śmierć. Nawet nie chciałem próbować jej zapobiec, ale w tej chwili, widząc poprzedzający ją chaos, postanowiłem, że za wszelką cenę powinienem jakoś odwrócić bieg wydarzeń.

Wizja się urwała. Zacząłem wcielać swój plan w życie.

Wszystko było nie tak. Zdychałem z przemęczenia. Sądziłem, że już swoje wycierpiałem, ale widocznie się pomyliłem. Tylko jedno wiedziałem na pewno – jeśli czegoś nie zrobię, to wszyscy wkrótce zginiemy. Wytarłem szafę z kurzu i odetchnąłem z ulgą. Zdjąłem książkę z półki, poszukując dawnej notatki, a kiedy ją odnalazłem, jeszcze raz odczytałem treść. Koniec świata przewidziałem dokładnie na ten poniedziałek. Musiałem ostrzec resztę. Niewiele myśląc, wybiegłem na ulicę, oznajmiając wszem i wobec, że zbliża się nasz kres. Nikt nie chciał mi uwierzyć. Kiedy adrenalina opadła, wróciłem do swojego lokum. Pogodzony z nadchodzącą ostatecznością weryfikowałem przeszłość. Zamknąłem oczy, by z bezwzględną dokładnością obejrzeć własne życie.

* * *

Moją rodzinę wspominałem raczej dobrze. Byłem przeciętnym, całkiem szczęśliwym dzieciakiem. To zmieniło się dopiero w czasach liceum, kiedy zacząłem mieć pierwsze wizje. Zaczęło się niewinnie, od lunatykowania i snów na jawie. Rodzice zrzucali je na karb dorastania, stresu i zmęczenia, chociaż ja miałem poczucie, że byłem wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, z gronem świetnych przyjaciół i luzackim podejściem do życia. Powodowany tą lekkością bytu, postanowiłem pewnego dnia przetestować swoje możliwości i spiłem się do nieprzytomności. Stan upojenia alkoholowego przebiegał tradycyjnie, jednak poranny kac objawił się

specyficzną nadwzrocnością. Miałem wrażenie, że widzę wszystko znacznie lepiej niż przedtem. Barwy się wyostrzyły, a kontury obserwowanych rzeczy i sylwetek stały się wyraźniejsze. Wkrótce dostrzegałem również drobny pył w powietrzu, z czasem nawet wirusy i bakterie. Nikomu nie pisałem słowa, biorąc tę anomalię za tymczasowy objaw powrotu do siebie po pierwszej zmianie świadomości. Nie przemijało jednak wrażenie, że niebawem odkryję coś jeszcze, kolejną umiejętność, z jaką wcześniej nigdy w rzeczywistości się nie spotkałem. Nie byłem do końca pewien, czy bardziej się jej obawiałem, czy z zaciekawieniem wyczekiwałem.

Chodziłem wówczas w dość specyficzny sposób, ostrożnie i bacznie przyglądając się intrygującemu, lecz groźnemu otoczeniu. Poruszałem się zdecydowanie wolniej, chłonąc widok zgromadzonych w powietrzu mikroustrojów. Otoczenie wyraźnie do mnie przemawiało. Szum liści poruszanych wiatrem szeptał, czasem wyraźnie ostrzegał przed wejściem w opuszczoną uliczkę, w której później dochodziło do napadu bądź wypadku. Byłem w szoku, kiedy drzewa zdradziły mi, że nieopodal czai się jakiś kieszonkowiec, dzięki czemu zdarzało mi się uniknąć kradzieży portfela. Raz zdołałem nawet schwytać rabusia i zwrócić wyrwaną komuś z ręki torbę. Ochoczo podejmowałem się takich drobnych interwencji, czując, że moje umiejętności się na coś przydają. Owszem, byłem postawny, uprawiałem sztuki walki i czułem się na siłach, aby pomóc komuś w trudnej sytuacji, ale dzięki szczegółowym wizjom potrafiłem dodatkowo przewidzieć, czy interwencja zakończy się sukcesem.

Pewnego dnia uratowałem godność i zasoby portfela jednego z miejscowych polityków, przez co pojawiłem się na pierwszych stronach lokalnych gazet. Ludzie zaczęli nagle postrzegać mnie jako miejscowego bohatera, z którym warto mieć dobre relacje. Chadzałem więc na proszoną kawę, przyjmowałem dowody uznania i szacunku. Zbyt rzadko jednak wyciągałem z tarapatów ważne osoby i chociaż nieraz ratowałem skórę zwykłym, szarym obywatelom, echo chwilowej sławy szybko gasło, popularność traciła wyraziste rysy. Wizje jednak nie ustawały.

Dobrze pamiętam dzień, kiedy mój dar zmienił się w przekleństwo. Było cudowne, upalne lato, jak nigdy wcześniej. Od tygodnia nie spadła nawet jedna kropla deszczu, co z jednej strony było dla tych rejonów bardzo nietypowe, a z drugiej słońce i możliwość wyjścia nad wodę cieszyły urlopowiczów.

Skraj miasteczka otulał las, kusząc zbawiennym cieniem i chłodnym okiem niewielkiego jeziora. Zielona, ogólnodostępna przestrzeń i płytkie wody kąpieliska wabiły spragnionych odpoczynku turystów. Sam nieraz ulegałem urokowi tego miejsca po męczącym dniu pracy.

Kiedy szedłem pośród drzew, doznałem wstrząsającej wizji. Cały las płonął, a stłoczeni ludzie schronienia szukali właśnie w jeziorze. Wskakiwali do wody, nawet jeśli nie umieli pływać. Część sobie radziła, ostatkiem sił próbując utrzymać się na powierzchni. Ogień nie malał, podsycił go wiatr, jakby z premedytacją kierując podmuchy w stronę kąpieliska. Miałem wrażenie, że trwa to godzinami. Coraz więcej osób traciło siły, tonąc pośrodku piekła. Pojedynczy poddawali się, w amoku próbując dosięgnąć lądu, ale tam trawił ich żar.

Gdy tylko się ocknąłem, zobaczyłem, że leżę na miękkiej, wysuszonej przez słońce ściółce. Obok gromada licealistów w najlepsze bawiła się przy ogniskach. Skakali nad paleniskami, w przerwach wlewali w siebie wódkę. Wiedziałem, dokąd to zmierza. W pośpiechu zabrałem im wiadra, w których trzymali wcześniej gałęzie na podpałkę i podbiegłem do wody, szybko je napełniając. Następnie wróciłem w ekspresowym tempie i ugasilem ogniska.

– Cholera! Co ty robisz, człowieku, won stąd! – Gniewne krzyki nie pozostawiały złudzeń, że nie obejdzie się bez przepychanek.

– Panuje susza. To nie jest odpowiednie miejsce na imprezę – odparłem, starając się zachować spokój. – Bawcie się w bardziej odpowiednim do tego miejscu i skończcie na dzisiaj z alkoholem, bo w lesie, blisko wody i w takim stanie aż prosicie się o nieszczęście.

– Tak?! I co nam zrobisz?! Będziemy robić to, co chcemy, jesteście już dorośli, a tylko tobie tu przeszkadzamy! – odpowiedzieli buńczucznie, grożąc mi przy tym pięściami.

Najniższy z towarzystwa, zapewne lider, zamachnął się. Był jednak zbyt pijany, aby mnie dosięgnąć. Wyłożył się niezdarnie na glebę. Nóż, który przed chwilą trzymał mocno w garści, teraz tkwił w jego lewym ramieniu.

– Cholera! Trzymasz się? – Chłopak miał więcej szczęścia niż rozumu. Ostrze wbiło się nie głębiej niż na centymetr. – Zaraz zadzwonię po karetkę – zadeklarowałem, wzdychając.

– Kurwa! Jasny gwint, wylądujesz przez to w pudle! Moi starzy cię dopadną, oni gardzą takimi gnojkami jak ty! – wykrzyczał, nagle się prostując.

– Luz, zaraz wezwiemy pomoc i będzie po sprawie. Następnym razem po prostu balujcie sobie gdzieś indziej! – odparłem, wciąż trzymając nerwy na wodzy.

Zajście skończyło się zarówno przyjazdem karetki, jak i policji. Pojawiłem się na komendzie i złożyłem zeznania, bo niestety hałastra postanowiła wspólnie mnie dobić i oskarżyć o napad. Zachowywali się naprawdę durnie, ale widocznie ich rodzice musieli mieć jakieś kontakty, bo w magiczny sposób stałem się winny całej tej sytuacji. Musiałem wypłacić symboliczne odszkodowanie i nawet dostałem wyrok w zawiasach. Lubiałem tutejsze służby porządkowe, uważałem, że wykonują naprawdę porządną robotę, ale niestety wszędzie zdarzają się czarne owce.

Największym minusem zaistniałej sytuacji było to, że ponownie pojawiłem się na okładkach gazet, tym razem jako domniemany przestępca, który niby usiłował pobić syna miejscowego przedsiębiorcy i w związku z tym dla wielu ludzi nagle przestałem być wiarygodny. Choć wcześniej sądzili, że jestem lokalnym bohaterem, teraz odsuwali się ode mnie, osądzając jako świra i przestępcę. Nie poddawałem się jednak i wciąż niektórym pomagałem, gdy tylko przewidziałem jakieś nieszczęście. Jeśli akurat schwytałem przy nich złoczyńcę, ludzie faktycznie okazywali mi wdzięczność, gorzej, gdy nie mogli na własne oczy ujrzeć, przed jakim niebezpieczeństwem udało mi się ich ocalić. Szybko dorobiłem się opinii miejscowego szaleńca i potencjalnie niezbyt wiarygodnego typu.

Po jednej z moich standardowych akcji i zdenerwowaniu kilku kolejnych osób niestety doczekałem się ataków na mnie, mój dom i samochód. Szare ściany budynku zamalowywali na czerwono, bazgrząc często po jego ścianach: „świr”, przedziurawiali opony w aucie, rysowali karoserię, obrzucali mnie i moją posiadłość różnymi odpadkami. Przez cały czas chodziłem więc wkurzony i w rozterce, czy w ogóle warto pomagać, lecz każde pojedyncze „dziękuję” przywracało mi wiarę w sens moich działań.

Z czasem wizje stawały cię coraz dłuższe, bardziej dramatyczne i oddalone w czasie. Ścinały mnie z nóg, zwłaszcza gdy dotyczyły światowych katastrof, którym po prostu nie byłbym w stanie zapobiegać. Przewidziałem wypadek i śmierć jednego ze znanych muzyków. Próbowałem ostrzec znajomych, przygotować wiernych fanów muzyka na tę wieść, ale bezskutecznie. Wypierali te informacje. Nie wierzyli albo nie chcieli wierzyć. Część oskarżała mnie, że z pewnością to ja jestem temu winien, że może w jakiś sposób się do tego przyczyniłem bądź z pewnością

byłem w stanie temu zapobiec. Przez kilka miesięcy nie nawiązywali ze mną kontaktu, odsuwając się nawet wtedy, gdy mijaliśmy się na ulicy. Straciłem wtedy kumpla z dawnych lat, pomimo wielu wspólnych wspomnień i zażyłości od czasów podstawówki.

Zaczynałem też widzieć zjawy. Z wyglądu przypominały ludzi, których nawiedzały, tyle że były półprzeźroczyste i nie miały oczu. Snuły się za swoimi ofiarami, które wkrótce spotykało coś bardzo złego. Monstra pozostawiała po sobie smoliste ślady na ziemi i odór rozkładającego się ciała. Oczywiście tylko ja je dostrzegałem, starając się unikać dłuższego przebywania w ich obecności, bo inaczej ćmiło mi się przed oczami i mdlałem.

Z biegiem czasu dostrzegałem coraz bardziej niepokojące aspekty rzeczywistości, mając świadomość, że jestem tylko jej drobną częścią, podatną na oddziaływanie z zewnątrz i bezsilną wobec większości nieszczęść, jakie spotykały ludzi w miasteczku. Niekiedy rozważałem wizytę u psychiatry, ale jednak momenty, gdy autentycznie mogłem zaobserwować przewidziane przeze mnie zdarzenie bądź efekty działania zjaw skutecznie mnie od tego odwiodły. Pojedyncze sytuacje, kiedy faktycznie mogłem pomóc komuś bliskiemu, były warte każdego cierpienia, jakie przeżywałem w związku ze swoimi nietypowymi zdolnościami.

Moje umiejętności wiązały się ze sporym ostracyzmem ze strony społeczeństwa, ale wciąż znajdowali się ludzie, którzy przy mnie czuli się bezpiecznie, traktując tę ekscentryczność jako coś, co dawało im poczucie bezpieczeństwa, świadomość, że kiedy przewidzę, że przydarzy im się coś złego, będę umiał odpowiednio wcześniej zareagować i ocalić ich przed wypadkiem. Taką osobą była moja żona.

Swoją małżonkę poznałem, gdy siedziałem spokojnie przed uczelnianą tablicą, skupiając się na dokładnym notowaniu najważniejszych informacji z teorii. Ujrzałem wtedy, jak przez zjawę stara lampa sufitowa spada i uderza w głowę dziewczynę siedzącą obok mnie.

– Jasny gwint, uważaj! – krzyknąłem, szybko przenosząc ją z krzesłem kilka metrów dalej.

– Co jest?! Zwariowałeś? – oburzyła się, lecz już po kilku sekundach zobaczyła, jak felerny żyrandol spada centralnie w miejsce, gdzie przed chwilą siedziała.

– Właśnie o to mi chodziło.

– O Boże! Co za refleks, skąd o tym wiedziałaś? Niesamowite, dziękuję! – Rzuciła mi się na szyję, trzęsąc się w szoku.

– Czasami mam takie wyczucie. Cześć, jestem Wiktor – odparłem, udając, że to całkiem normalna sytuacja.

– Beata, bardzo mi miło. Słuchaj, może skoczylibyśmy na kawę? – zaproponowała, chcąc się w jakiś sposób odwdziaczyć.

Oczywiście na kawie się nie skończyło, a jako że mój „refleks” jeszcze nieraz uratował jej skórę w dość krótkim czasie, szybko wspólnie zamieszkaliśmy i ułożyliśmy sobie spokojnie życie. W zamian za pozorne poczucie bezpieczeństwa po raz pierwszy otrzymałem całkowitą i bezwarunkową akceptację mojej odmienności. Wspólnie wytrzymywaliśmy dziwne spojrzenia sąsiadów, rodzinne awantury, i wreszcie czułem, że mam przynajmniej jednego sprzymierzeńca w tej całej niedoli.

Pewnego dnia po prostu przewidziałem koniec. Nie znałem szczegółów, ale byłem pewien, że tego dnia wyginie cała ludzkość. Zanotowałem ujrzaną w wizji datę i zacząłem stopniowo przygotowywać siebie oraz swoją małżonkę na rychłą apokalipsę, nie wiedząc jeszcze, jak przebiegnie akurat w naszym mieście. Dzięki temu wydaliśmy większą część naszych oszczędności na wycieczki, które zawsze chcieliśmy odbyć. Przez dwa lata zdołaliśmy zwiedzić z pół globu, zachwycając się cudami cieplejszych krajów i korzystając z życia, jak tylko się da. Gdy tylko wróciliśmy, przenieśliśmy się do schronu ze zgromadzonymi zapasami, licząc, że w ten sposób przeżyjemy co najmniej kilka lat po katastrofie i przynajmniej wreszcie znajdziemy czas na przeczytanie większości książek, które zalegały nam na półkach. Wcześniej nasi bliscy i znajomi kompletnie się od nas odwrócili oraz zerwali z nami kontakt, zatem poza sobą o nikogo się już nie troszczyliśmy.

* * *

Do kończącego wszystko poniedziałku pozostało zaledwie kilka dni, kiedy nasza mnie szczegółowa wizja zagłady. Nieprzygotowane na armagedon miasto było w oplakanym stanie. Nikt nie podjął żadnych środków ostrożności, znikąd nie dotarła wieść lub prognoza apokalipsy czy poprzedzających ją wydarzeń. Zaczęło się dość niewinnie, wzmożonymi podmuchami wiatru, w miarę typowymi dla naszego ponurego regionu. Wkrótce do silnych podmuchów dołączył deszcz. Na początku był bardzo

delikatny. Za ledwie kropiło, gdy ludzie spokojnie szli do pracy bądź na zakupy. Po kilku minutach mżawka przybrała na sile, przeradzając się w ulewę, jednak taką, z którą spokojnie mógł sobie dać radę kaptur lub parasol. Stopniowo rozpoczął się monsun, porywający drzewa, znaki drogowe i przystankowe wiaty. Ludzie kryli się w różnych budynkach. Chwyтали się metalowych witryn, prawie czołgając w kierunku drzwi, walcząc z coraz silniejszymi podmuchami wiatru. Na głównej ulicy rozszalała się trąba powietrzna. Większość przechodniów zdołała uciec, ale osoby starsze, schorowane bądź zwyczajnie drobnej postury porywało tornado. Wizja się urwała.

Miałem szaleńczy pomysł, żeby biegać po ulicy i straszyć ludzi wichurami zapowiadającymi koniec świata, jednak trochę się uspokoiłem i wreszcie zacząłem w miarę racjonalnie myśleć. Na początku twierdziłem, że i tak mam już dość zarówno tego miasta, jak i większości niewdzięcznych, skaczących mi oraz sobie wzajemnie do gardeł ludzi, ale wraz z rozwojem wizji zmieniłem zdanie. Chciałem za wszelką cenę nie dopuścić do nadchodzącego kataklizmu. Ludzie może nie byli zbyt pożytecznym gatunkiem, ale jednak mieli swoje zalety, a ich rychła śmierć, i to jeszcze taka, zaczęła wzbudzać mój sprzeciw. Musiałem tylko znaleźć jakiś sposób, żeby to powstrzymać.

Do tej pory moje prorocтва były jak migawki na chwilę zakłócające świadomość. Ukazywały spory ułamek rzeczywistości, ale generalnie brakowało w nich przyczynowości, fragmentów zdarzeń poprzedzających tragedie, których zmiana mogłaby zasadniczo wpłynąć na przyszłość. Wcześniej nie chciałem ani sam wywoływać wizji, ani starać się na siłę odnaleźć w sobie jakichś innych paranormalnych zdolności, ale nadszedł moment, że postanowiłem spróbować dosłownie wszystkiego. Wyteżyłem wzrok i zauważyłem, że zjaw jest jeszcze więcej niż przedtem, a dodatkowo miały czerwonawą, alarmującą wręcz aurę, ciągnącą się za nimi niczym cienie. Mnożyły się w zastraszającym tempie, dzieląc się, a następnie rozrastając w nowe organizmy. Wcześniej napawały mnie tak atawistycznym strachem, że nawet nie usiłowałem nawiązać z nimi kontaktu, ale tym razem musiałem tego spróbować.

Podszedłem do jednej z nich, właśnie oddzielonej od macierzystej istoty i zmierzającej w kierunku dużego zgromadzenia w parku. Choć cały trząłem się z nerwów, udało mi się jakoś opanować i stanąć przed czymś, co przypominało zdeformowaną ludzką twarz.

– Czym wy jesteście? Skąd się wzięłyście?! – zwróciłem się do zjawy, a ta skierowała się w moją stronę.

– Jesteśmy wami. Jesteśmy z was. Żyjemy dzięki wam, dzięki nam umieracie – odpowiedziała enigmatycznie.

– Więc działacie niczym pasożyty, bezkarnie żywiąc się nami i naszą energią – zauważyłem, próbując dowiedzieć się czegoś więcej.

– Pasożyty? To wy jesteście niczym pasożyty, pożerające żywcem własną Ziemię i rodzinę. Przez chwilę bywacie pożyteczni, by zaraz ponownie zabijać wszystko to, co żywe, wszystko to, na czym stoicie! – wykrzyczały wściekle, obwiniając ludzkość o wszelkie zło.

– Czego od nas chcecie?! – próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej.

– Chcemy porządku. Na Ziemi musi być porządek. Was jest coraz więcej, a Ziemi nie. Ona niszczy pod waszymi stopami, więc trzeba ją nawozić. Teraz ledwo istnieje, obciążona zbyt wielkim ciężarem. Dlatego my ją tego ciężaru pozbawimy, aby mogła odrodzić się na nowo – obwieściły bezlitośnie.

Oniemiały, zacząłem na nie krzyczeć, starając się jednocześnie zdobyć jak najwięcej informacji, które mogłyby zapobiec nadchodzącej katastrofie.

– Przecież nie wszyscy ludzie się zabijają! Co z altruistami, ekologami, osobami ratującymi zwierzęta i środowisko? – zauważyłem, próbując zmienić ich czarno-białe myślenie.

– To nieliczni, a niestety i tak konsumują więcej, niż są w stanie kiedykolwiek dać Ziemi. Jest was zbyt dużo, a nie myślicie o zaprzestaniu reprodukcji – odpowiedziały zimno i kategorycznie, jakby ich zdanie było niepodważalne.

– Musi być jakiś sposób, żeby was powstrzymać! Czy naprawdę wszyscy zasłużyliśmy na cierpienie i zagładę?! – Powoli traciłem nad sobą panowanie.

– Sposób jest, ale życie za życie, krew za krew. W przyrodzie wszystko ma swój cykl. Jak nie będzie nas, to będą tu inni. Dam ci jednak możliwość podjęcia decyzji. Zdradzę, jak zapobiec rychłemu końcu ludzkości, o ile tylko jesteś świadomy ryzyka i tego, że wszystko ma swoje konsekwencje. – Te słowa dały mi nadzieję.

– Tak, proszę, musi być jakiś sposób! Jestem w stanie poświęcić wszystko, nic nie może być gorsze od naszej zagłady! – mówiłem to naprawdę szczerze, bo byłem skrajnie zdesperowany.

– Dobrze. Powiem ci więc. Musisz zabić swoją żonę, wyłupać sobie oczy, a następnie pogrzebać je w ziemi, sadząc na nich drzewo. Dodatkowo, gdy podejmiesz decyzję, znikną też twoje wizje. Odejdziemy stąd dopiero po tym, jak ty przestaniesz nas widzieć – zadeklarowała jedna z nich.

– To niemożliwe! Czy nie ma innego sposobu? – Wciąż próbowałem trzeźwo myśleć.

– Nie ma, czasami do wyboru są tylko dwie opcje. Albo zrobisz to, co ci powiedziałem, albo w poniedziałek skończymy z wami i całym tym bałaganem zatruwającym Ziemię, wodę i powietrze – zagroziła autorytarnie.

– Zgadzam się – odrzekłem, kompletnie sfrustrowany i zdecydowany zrobić wszystko, byle tylko zaraz wszystkich nie wybiły zjawy.

– Uściśnij mą dłoń na znak podpisania umowy – zaferowała.

Podąłem istocie rękę, natrafiając na półpłynną materię, kształtem przypominającą ludzką dłoń, a następnie zabrałem się za realizację ustalonego planu.

Wróciłem do domu i płakałem jak bóbr, wiedząc, że zaraz zabiję ukochaną żonę, jedyną istotę, która faktycznie mnie akceptowała. Wyjąłem z szafy pistolet, czekając, aż wejdzie do pomieszczenia, żeby wycelować dokładnie między oczy i w miarę możliwości szybko oraz bezboleśnie odebrać jej życie. Mając do wyboru rychłą śmierć wszystkich ludzi na planecie bądź śmierć mojej żony, nie miałem sentymentu. Byłem gotowy na to poświęcenie.

Gdy tylko otworzyła drzwi, wystrzeliłem. Na szczęście zmarła praktycznie od razu, tylko przez sekundę patrząc na mnie w szoku. Ułożyłem martwe ciało na kanapie i przystąpiłem do kolejnych etapów planu. Wyjąłem nóż, kupiłem w sklepie sadzonkę i ruszyłem do lasu, żeby pogrzebać swój wzrok.

Kiedy znalazłem zaciszne miejsce, wykopałem w ziemi mały dół, ukląknąłem i włożyłem sobie nóż w oczodół. Wbiłem się w gałkę, ciągnąc ją przed siebie. Zawyłem z bólu, ale w imię wyższych celów byłem tak mocno skoncentrowany na działaniu, że wytrwale i spokojnie je kontynuowałem. Przy drugim oku musiałem wysilić się nieco bardziej, bo utrata krwi dość wyraźnie mnie osłabiła, ale i tak poszło dosyć szybko. Włożyłem swoje oczy do dołu i na oślepie przykryłem je sadzonką. Wycieńczony, ale też zadowolony ze swojego wkładu w ocalenie ludzkości, położyłem się na miękkiej ściółce, chłonąc zapach trawy i krzewów. Ledwo oślepiełem, a już zaczynałem odnosić wrażenie, że moje pozostałe zmysły się wyostriły.

Także słuch wychwycił teraz kompletnie nieznane mi wcześniej dźwięki. W pamięć zapadło mi zwłaszcza jedno stwierdzenie, wypowiedziane najwyraźniej przez istotę, z którą wcześniej zawarłem układ: „Wywiązałeś się ze swojej części zadania, umowa jest w trakcie realizacji”, a potem przestałem słyszeć głosy zjaw. Zostały zastąpione czymś przypominającym jazgot kosiarki. Po chwili poza tymi odgłosami dobiegły mnie także piski i inne dźwięki zwierzęcego świata. Przez następne kilka minut dołączały do nich okrzyki miejscowych. Nie potrafiłem jednak rozpoznać, co dokładnie krzyczą. Wykrwawiłem się i odszedłem w niebyt.

* * *

Kiedy tylko przemieniłem się w inną materię, ponownie zacząłem wszystko widzieć. Zjawy zastąpiły nowe istoty, które również zajmowały się destrukcją. Zwierzęta masowo wymierały, w ekspresowym tempie upadając na ziemię i rozkładając się. Do nich dołączały rośliny i zbiorniki wodne, stopniowo pochłaniane przez planetę. Tylko ludziom nic się nie działo. Krzyczeli, nie mogąc temu zapobiec. Z biegiem czasu także Ziemia zdawała się kurczyć, jakby zasysana przez swoje wnętrze. Miejsca było coraz mniej, aż w końcu zgromadzeni ledwo mieli gdzie ustać. Wtedy nadszedł koniec Ziemi, a ludzi, całych i zdrowych, pochłonęła kosmiczna pustka.

KORNEL MIKOŁAJCZYK

Urodzony w 1991 roku, absolwent filologii angielskiej na Uniwersytecie Łódzkim, pisarz, tłumacz. Mieszka w Łodzi.

Publikował w antologiach *Horyzonty Wyobraźni* (2011), *Toystories* (2014), *Hardboiled. Antologia nowel neo-noir* (2015), *Wolsung 2* (2015), *Bizarro dla zaawansowanych* (2015), *City 3* (2016), *Zapomniane historie* (2016), *Ostatni dzień pary II* (2017), *Maszyna. Antologia horroru industrialnego* (2017), *Zwierzozwierz* (2017), *City 4* (2018), *Umieranie to parszywa robota* (2019) oraz w licznych magazynach i na portalach internetowych. Jeden z redaktorów polskiego centrum bizarro Niedobre Literki.

W przygotowaniu: *Deus Ex Machina: Człowiek, który zniknął* – autorska książka z pogranicza prozy detektywistycznej i cyberpunku.

Psy Rafała Kuzio

Pierwsze płótno

Był sobie dom, a za domem zagajnik, a w zagajniku grasowały dzikie psy...

Dom należał do Rafała Kuzio, zagajnik – do Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, a psy nie należały do nikogo.

Oczami otwartymi szeroko jak śluzę na przyjęcie okrętu Rafał obserwuje ich sforę z bezpiecznej – jak ma nadzieję – odległości: koślawe czarne kleksy na tle śniegu zalegającego polanę. Nie sposób dojrzeć sparciiałych obroży czy zerwanych łańcuchów na ani jednej wyciągniętej w biegu szyi, podobnie jak nie sposób dostrzec dwóch osobników tej samej rasy. W przytłaczającej większości są to kundle – głodniejsze od plagi, bezpańskie od urodzenia, na granicy powrotu do zagrzebanych przed mileniami instynktów. I z każdym dniem coraz bardziej zbliżają się do jego domu.

Rafał wypuszcza wstrzymany oddech – gorący, żywy – przemieniając go w mgiełkę; rękawem futrzanej kurtki ściera z brody szron. Ma niepokojące wrażenie, że widział już te psy, całkiem niedawno. Lecz choć rozdrapuje umysł do krwi, nie potrafi sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach. Może biegły za jego subaru, kiedy ostatnim razem opuszczał dom? A może grasowały w śmieciach za barem, gdy wychodził z apteki naprzeciwko, objuczony lekarstwami Dony – głodne i złe? Zapamiętałby, gdyby ktoś mu o nich powiedział. W Bągartowie wtykanie nosa w cudze sprawy jest swego rodzaju tradycją.

„Widział pan tę zgraję za miastem, panie Kuzio? Bestie, nie zwierzęta... Niech pan na siebie uważa w drodze powrotnej. I proszę się ciepło ubierać, idzie na mróz”.

Gdziekolwiek by ich jednak nie widział, jest więcej niż pewny – dwieście procent! – że przedtem było ich znacznie mniej. I na bank nie wydawały się aż tak agresywne.

Przynajmniej nie do tego stopnia, by zabić.

Wzrok Rafała opada omdlały, wzdłuż przemiękających nogawek dżinsów, pod buty. Na białej kołderce upstrzonej pollockowską czerwienią spoczywa Zawada. To znaczy: większość Zawady. Kiedy tego ranka Rafał opuścił domowe zacisze, by znaleźć kota żony, który z typowo kocim brakiem manier nie raczył się stawić na poranne karmienie, spodziewał się znaleźć go buszującego w krzakach albo drzemiącego w komórcie na narzędzia z tłustą myszą w pysku. Nie rozrzuconego w ochłapach od drzewa do drzewa... Największy z nich, leżący o centymetr od czubka traperera, składa się z tylnych łapek i połowy grzbietu. Ogon wisi zaplątany w jeżyny dwa metry dalej. Nigdzie nie widać znajomego pasiastego łebka. Całkiem możliwe, że nie rozpoznał go w bezkształtnej grudzie mięsa i sierści.

Ostry zapach śmierci wdziera się do zatok Rafała, odkłada na języku. W oddali wyją psy. Chwyta przejmująco mroźne powietrze, licząc, że któryś z haustów go otrzeźwi, ale nic z tego. Kuca i wymiotuje czymś ciemnym, gorzkim, parszywym, co w niczym nie przypomina śniadania. Jakby wypił litr czarnej olejnej farby. Wyliczanka zatacza w głowie pijane pętle, spirale, chowa się w sobie jak matrioszka:

Był sobie dom, a za domem zagajnik, a w zagajniku grasowały dzikie psy, a w zębach dzikich psów tkwiły resztki kota, a nad truchłem kota stał Rafał Kuzio i myślał:

Był sobie dom, a za domem zagajnik, a w zagajniku...

W kółko i w kółko, nieprzerwanie, bez końca.

Pies goniący własny ogon.

Rafał cofa się przez śnieg, ściskając brzuch zeszywniałą ręką. Opiera plecy o przewalony pień, sam na granicy utraty pionu. Myśli o tym, jak zła była na niego żona, kiedy przyniósł do domu tego kota. Przez cały miesiąc wlaził im pod nogi, nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca, aż w końcu Dona pozwoliła mu spać w swoim łóżku. Myśli o tym, co powiedziała kobieta, która leżała na oddziale z żoną, jeszcze zanim przenieśli się na ostępy – woskowe widmo fazy terminalnej jak z piekielnych wizji Boscha. „Mówią, że Śmierć przychodzi po wszystkich, wie pan?”. Jej głos był rżeniem zapadniętej krtani; palce jak witki zaciśnięte kurczowo na rąbku jego koszuli. „Gówno prawda... Ona jest tuż za pana plecami. Każdego dnia wyżera z pana wielki kęs, aż w końcu nie zostaje nic. Tylko nagie kości z wysanym szpikiem... Nawóz dla drzew”. Myśli o tym, jak przy następnej wizycie jej łóżko było puste, prześcieradło białe i wykrochmalone. Myśli o jej złożonych w ziemi kościach i o kościach Zawady, które wkrótce czeka

ten sam los. Myśli o kościach Dony. I kiedy unosi wzrok, wciąż lekko zamglony, widzi przed sobą nie rzeczywistość, nie świat, nie las mieszany w okolicach Bągartowa – a płótno.

Jego głównym akcentem są, rzecz jasna, psy. Podobnie jak u Bruegla, okupują jeden z rogów kompozycji, odcięte od marmurkowej bieli zarówno barwą, jak i koślawymi, wynaturzonymi kształtami. Lecz w przeciwieństwie do *Myśliwych na śniegu*, nie wkraczają w imponującą rozległość sceny z dołu po lewej, a znikają u góry po prawej, jeden kundel za drugim, jak gdyby gdzieś poza kadrem czekała druga część makabrycznego tryptyku. Na pierwszym planie, blisko patrzącego, spoczywa Zawada – ekspresjonistyczna plama w ochrach, której nie powstydziliby się Munch, mokra, grubo nałożona, prawie przeżerająca płótno. Tyle wystarczy. Szkielety drzew – ustawione po obu stronach przekątnej bestie i resztki ich ofiary – oraz milcząca biel pomiędzy. Rafał widzi to tak wyraźnie, jakby już kiedyś, przed laty, namalował coś podobnego, a to była tylko replika.

W kieszonce na piersi, jak amulet, trzyma stary pędzel. Ścisza go teraz przez materiał, wsunawszy dłoń pod kurtkę – odgromnik ściągający burzę inspiracji. Jeden z psów zatrzymuje się na odległym wzgórzu i Rafał zamiera na chwilę, złapany w płonące latarnie jego ślepiów.

(Nadszedł czas.)

Podnosi się, zanim zwierzę, nie daj Boże, ruszy w jego kierunku i brodząc przez zasy, zdąży do domu. Chciałby jak najprędzej zakląć w barwy i fakturę to, co ujrzał, ale wie, że nie może.

Zawada.

Weźmie z komórki worek na śmieci, zbierze każdy skrawek kota, jaki będzie w stanie znaleźć i spali jego szczątki w piecu. Tak będzie najprościej. A potem o wszystkim opowie żonie. Dopiero wtedy będzie mógł w spokoju rozstawić sztalugę w ciasnej pracowni na parterze. Najpierw Dona, potem on. Dokładnie tak, jak było zawsze.

* * *

Kiedy ostatnie atomy tego, co było Zawadą, przemieniają się w popiół i dym, Rafał wchodzi na poddasze, gdzie leży żona.

Szeroka, wypełniona słońcem przestrzeń w zamyśle miała być jego pracownią. Kupił dom nie tylko ze względu na niską cenę i cichą okolicę – zakrawającą wręcz na letargiczną – lecz także dlatego, że z miejsca zakochał się w tym pomieszczeniu z wielkim, okrągłym oknem wpisanym

w trójkątną ścianę. Oczami wyobraźni widział smugi światła padające na mokre płótno, nasycające barwy nieodgadnioną głębią. Rozpaczliwie potrzebował takiego azylu, jeśli chciał jeszcze kiedyś namalować coś, co zostanie w pamięci potomnych – a nie tylko kolejny tandetny pejzażyk.

Ale lekarz Dony powiedział:

– Jeśli możemy teraz zrobić cokolwiek, to spowolnić proces i modlić się, żeby znalazł się dawca. To krytyczny moment. Pańska żona potrzebuje jak najwięcej odpoczynku. Świeże powietrze, relaks. Proszę mi wierzyć, takie rzeczy potrafią zdziałać cuda. Nie na samą niewydolność, rzecz jasna, ale na samopoczucie chorego. Reakcja na leki była do tej pory pozytywna, dializy wstrzymują najgorsze. Wszystko zależy od niej... i od pana, panie Kuzio.

„Wszystko zależy”.

„Krytyczny moment”.

Jak gdyby nie mógł powiedzieć: „Pańskiej żonie nic już nie pomoże”.

Naturalnie odstąpił jej poddasze, żeby mogła zażywać słońca. Jaki mąż by tego nie zrobił? Ale kiedy ostatni schodek skrzypi pod jego włochatym kapciem-owieczką i Rafał widzi tę zmarnowaną twórczą przestrzeń – kiedy z podłogi wyrasta łóżko obwarowane poduszkami, z nieużywanym od paru dni wózkiem inwalidzkim po prawej i z włączaną kilka razy w tygodniu maszyną stojącą na straży po lewej – coś w głębi niego szarpie się w proteście. Ten drugi, samolubny Rafał, którego woli nie pokazywać światu, przypomina mu, że tak było zawsze, od początku ich małżeństwa. Ona w centrum uwagi, on: chodzący przy nodze. Tyle że wtedy nie widział w tym nic niesprawiedliwego. Dona robiła karierę wśród grubych ryb świata finansjery, a Rafał? Kim był wtedy Rafał? Bezużytecznym marzycielem w wiecznie zachlapanej koszuli, czekającym na swój Wielki Przełom bez żadnej gwarancji, że kiedykolwiek nadejdzie.

Teraz ma swoje pieniądze, dokonania, karierę. Miał nawet datę wernisażu w stolicy. Wystarczyło skończyć cykl, który zapoczątkował *Ostrowami burzanu*, otworzyć szampana i cieszyć się sukcesem.

Informacja o chorobie Dony spadła na nich jak bomba na Hiroszimę. Cały ich świat pochłonęła fala uderzeniowa, czarne światło. Jakby los czekał tylko na odpowiedni moment, by jednym posunięciem zabrać mu wszystko: sławę, dokonania i ukochaną żonę. Jakby jedynym celem jego istnienia było doprowadzenie kobiety, którą kochał, na skraj hysterii. I włożenie jej w dłoń tamtego noża...

Dona unosi głowę o pół centymetra. To wszystko, na co może się zdobyć. Jej uśmiech jest jak pęknięcie w ceramicznej masce; zamiast wypełnić Rafała ciepłem, jeży mu włoski na karku.

Chrząka i staje przy jej łóżku. Wykręca dłonie. W końcu nalewa jej wody do szklanki i pomaga wypić, przytrzymując głowę. Dona chłepcze drobnymi łyżkami, jak dziecko, które zachłysnęło się po raz pierwszy w życiu i teraz nie jest pewne, czy ufa swojemu ciału.

– Widziałeś Zawadę? – pyta słabo, gdy mąż odstawia szklankę na stolik.

Rafał przymyka oczy. Liczy do dziesięciu. Próbuje zebrać w sobie odwagę, powiedzieć prawdę, ale...

– Pewnie znowu poluje w komórce. Nałapie myszy, to wróci. Albo nie. Jak to kot.

– Jak to kot – powtarza echem Dona.

Jej wzrok błądzi po kołdrze, w miejscu, gdzie zawsze leży (a w zasadzie „leżał”) Zawada. Przerzedzone brwi marszczą się we frasunku, więc Rafał pospiesznie zmienia temat:

– Jakieś psy krążą po okolicy.

– Mm. Niesamowite...

– A żebyś wiedziała. – Przysiada na skraju łóżka i odruchowo bierze w dłoń jej wątle, poźótkle palce. – Biegają po lesie od strony wsi. Napędziły mi stracha.

Dona prycha z pogardą.

– Dziwisz się? To Bągartów – wypowiada nazwę miejscowości z obrzydzeniem przynależnym chorobie zakaźnej. Nigdy nie potrafiła całkiem się odwarszawić. – Ludzie spuszczaają psy z łańcuchów, po rynku paradują suki z cieczką... Namnożyło się jakichś dzikich miotów i nie ma kto tego wykarmić. Mam nadzieję, że nie wściekle? – Spogląda na niego ostro, jakby to on z premedytacją puścił je na żer, wszystkie te zdziczałe półowczarki i mieszańce bez skrawka rodowodu. – Trzeba by zadzwonić po rakarza... Istnieją jeszcze rakarze? Ktoś chyba zwozi te wszystkie zwierzęta do schronisk.

– Nic nikomu nie zrobią – mówi Rafał, choć sam w to nie wierzy. Nie po tym, jak podczas zbierania szczątków przegryziona na pół kocia wątroba przykleiła mu się do rękawa. Nie po tym, jak po raz drugi splamił śnieg ciemnymi wymiocinami. – Nie przeżyją zimy.

– Dobra, dobra, nie zgrywaj takiego macho. Wiem, że boisz się psów.

Na karku Rafała skrapla się pot, spływa w dół pleców nieprzyjemnie zimną strużką. Mężczyzna kiwa głową i próbuje więcej o tym nie myśleć, ale...

(Pamiętasz?)

Ma siedem lat. Idzie z babcią skrajem wiejskiej drogi, na której jeszcze w zeszłym roku nie było asfaltu tylko wyryte w piachu koleiny – idzie jak zawsze po lewej stronie, bo tak uczyła go babcia, i kopie przed sobą puszkę po coca-coli, czego nauczył się sam. Jest niedziela. Dzwony wzywają na mszę w południe; tę dla dzieci, którą zawsze prowadzi brzuchaty proboszcz. Babcia prosi Rafałka, żeby przestał hałasować i grzecznie podał jej rączkę, bo dzień święty trzeba święcić w ciszy i spokoju. Straszy go Bogiem, Babą Jagą ze strychu, dydkiem na słomianej nodze, ale wnuk nic sobie nie robi ani z siły wyższej, ani z wiedźm i demonów, bo przecież chodzi już do pierwszej klasy i byle ciołkiem nie jest, i dalej kopie na wpeł zgniecioną puszkę z donośnym *brzdęk, brzdęk, brzdęk*, na złość całemu światu i babci w szczególności. Ostatnie *brzdęk* zamiera przy otwartej bramie. Zanim chłopak podniesie nogę do kolejnego kopnięcia, z podwórka wypada burek – nieduży, ale piekielnie rozsierdzony. Z jakiegoś powodu biegnie prosto do babci i uczepia się jej łydki. Staruszka krzyczy. Burek warczy. Psy sąsiadów szczekają i wyją. Na drogę wypada spanikowany właściciel, ale za nic nie może uspokoić pupila. Rafałek po raz pierwszy w życiu widzi krew. Ścieka z owiniętej pończochą babcinej nogi wprost na gorący asfalt, wypala dziurę w czarnej nawierzchni, w jego głowie. Kobieta w panice uderza psa torebką ciężką jak sterta cegieł. Donośne chrupnięcie rozłupuje świat Rafałka. Chwilę później wszystko, co znał, jest ciemnością i ujadaniem psów.

– Kiedyś się bałem – mówi teraz. – Nigdy nie wiedziałem, co im może strzelić do łbów. Jak pies postanowi cię ugryźć, to cię ugryzie i nikt nie będzie deliberował dlaczego. Pies to pies.

– Jakoś wytrzymałeś, kiedy mama zostawiła nam Precla na tydzień – zauważa. – Pamiętasz? Na spacerzy z nim chodziłeś o piątej rano, z tą różową smyczą w cekiny.

– Racja. Ale Precel to ledwo co pies. Bardziej upudrowany chomik.

– Chciałeś powiedzieć: upudlowany.

– Spudlony.

– Pudlasty?

Uśmiechają się do siebie kącikami ust. To jedna z ich głupich słownych gier, swojskich jak zapach chleba, i oboje delektują się tym uczuciem –

złudzeniem, że wszystko może być po staremu.

– Przystałem się bać – mówi w końcu Rafał – po prostu... nie zawsze czuję się przy nich komfortowo. Każdy ma coś takiego. Ty owady i pajęczaki, twoja mama węże.

– I Jehowi.

– I koniec świata, i długo by wymieniać. – Śmieje się. – Przynajmniej wpadł mi do głowy pomysł na obraz.

– Więc będziesz pracował.

Dłoń żony wyslizguje się z jego uścisku i chwila, którą dzielili jeszcze przed sekundą, pęka jak tafla lodu. Dona wyciąga książkę wetkniętą między bok łóżka a materac, trzeci tom z kolekcji Sherlocka Holmesa, którą kupił jej na urodziny, i otwiera ją ostentacyjnym gestem.

Rafał zastanawia się, w jaki sposób żona, wypowiadając zaledwie trzy słowa, sprawiła, że poczuł winę. Niemal czuje, jak ziejąca między nimi wyrwa pogłębia się o kilka centymetrów.

– Zrobię nam ryż z kurczakiem na obiad – mówi. – Tak jak lubisz, dużo curry.

Dona kiwa głową, nie spoglądając na niego. Jej palce mną kawałek papieru, który wyciągnęła spomiędzy kartek – ulotkę z wystawy fotografii, na którą poszli, nim zachorowała... całą wieczność temu, zdaje się. Nigdy nie zdołał nawrócić jej na normalne zakładki.

Doprowadzała mnie tym do szału, kiedy ze sobą chodziliśmy – wspomina Rafał, mimowolnie zaciskając szczęki. – Pożyczyła książki, wtykała byle co tam, gdzie doczytała, bilet tramwajowy albo listę zakupów, a potem, kiedy skończyła czytać, zostawiała to między ostatnią stroną a tylną okładką. Zaginała rogi, łamała grzbiety...

Ale zawsze jej wybaczałeś – mówi inny głos: cichszy, pełen rozrzewnienia. – Wystarczyło, że przyciągnęła cię do siebie, wplotła palce we włosy. Twoja jedyna, twoja Dona.

Dona, która umiera...

Nachyla się nad łóżkiem i składa pocałunek na czole żony. Jej skóra jest sucha jak papier.

– Dziwnie pachniesz – mówi do niego, marszcząc wydatny nos. – Upolowałeś sarnę do tego ryżu?

– Chciałbym. Znasz mnie, prędzej sam bym coś sobie odstrzelił. Palec u nogi albo... – Czeką chwilę, licząc, że Dona podejmie przekomarzanekę, ale

odpowiada mu milczeniem. – Wezmę prysznic. Na pewno nie chcesz, żebym zadzwonił po panią Pruch?

– Wytrzymam do jutra. Nie musisz pytać co pół minuty, okej?

Rafał przygryza język, nim odszczeknie coś, czego by żałował. Zbiera spod łóżka pełen basen, starając się nie patrzeć na zmieszaną z moczem krew (czerwone plamy na śniegu, zapach śmierci)

i zastępuje naczynie drugim, czystym – rytuał, który powtarza co najmniej dziesięć razy dziennie. Uważając, by nie zaczepić kapciem o wystający gwóźdź i nie rozlać swojego ładunku, rusza w kierunku schodów. Dwa stopnie niżej odwraca się, by raz jeszcze spojrzeć na żonę.

Nagle w jego głowie pojawia się myśl – jedna z tych, które przychodzą nie wiadomo skąd. Być może to, co powiedziała Dona o polowaniu na sarny, przypomniało mu, że wilcze stada wybierają zwykle najśłabszą sztukę? A może boleśnie puste miejsce po Zawadzie, na podbrzuszu żony, kazało mu pomyśleć, że zwierzęta lepiej niż ludzie wyczuwają nadchodzącą śmierć? Cokolwiek by to nie było, gdzieś w głębi Rafała budzi się przekonanie, że krążące po lesie psy chcą pożreć żonę. Myśl nie ma sensu ani logiki, porządku ani przyczyny, a jednak istnieje: jak czarne dziury albo rośliny zdolne przetrwać latami bez kropli wody. Kot wpadł w ich szczęki, ponieważ czuć na nim było zapach ich prawdziwej ofiary, Aldony Kuzio z domu Król. Nic innego się dla nich nie liczy. Muszą napełnić żołądki jej mięsem, skąpać pyski we wciąż ciepłej krwi, nim cała ta słodycz zgnije w ziemi. Są Śmiercią, która chce wygryźć z niej ostatni kęs i która właśnie skończyła piłować kły.

Drżąc, tak że mało nie rozlewa szczyń, Rafał zbiega na parter i wpada do łazienki. Zawartość basenu ląduje w toalecie. Chwilę później dołączają do niej wymiociny – niewiele więcej niż zakiśnięta plwocina. Przypomina sobie płonące w oddali ślepia bestii, patrzące nie na niego, a na dom za nim. Gnębi go przemożna chęć, by wskoczyć pod prysznic i zmyć z siebie cały ten przekłety dzień – brudny śnieg, resztki Zawady, popiół, urynę, soki żołądkowe – najlepiej ługiem i drucianą szczotką, do żywego ciała. Ale wie, że jeśli to zrobi, nigdy nie namaluje obrazu, który objawił mu się na skraju polany. Potrzebuje cząstek tamtego zapachu w nozdrzach, resztek wydzielin pod paznokciami, by przenieść na płótno tę scenę. Początek jego nowego, od dawna wyczekiwanego cyklu. *Dzikie psy I.*

Nie tracąc ani chwili, opuszcza łazienkę i zamyka się w pracowni.

Nie słyszy, jak gdzieś poza domem – w oddali, ale bliżej i bliżej z każdym dołączającym do pieśni głosem – zaczynają wyc psy.

Drugie płótno

Pani Pruch zjawia się, nim w Bągartowie zapieją najgorliwsze koguty. Rzutka, bezpośrednia starsza kobieta pracuje jako pielęgniarka w miejscowym gabinecie. Jest też jedyną w pełni wykwalifikowaną osobą, której nie przeszkadza przeprowadzanie dializy o nieludzkiej porze w odciętych od cywilizacji domku pod lasem.

Kiedy jej passat hamuje na skrzypiącym śniegu, Rafał odstawia kawę na kuchenny blat i wpuszcza ją do środka z oszczędnym półuśmiechem. Pani Pruch odpowiada skinieniem głowy, po czym kieruje się prosto na górę. Już po kilku minutach poddasze rozbrzmiewa znajomym buczeniem pompy i trajkotaniem Dony, która nigdy nie potrafi wytrzymać całego zabiegu w ciszy. Pyta o najnowsze plotki, kto z kim i dlaczego, kogo oszukano w urzędzie i na ile, jakby chciała być bliżej tych ludzi, których nie zna. Bliżej życia. Rafał nie rusza się z miejsca, nie zamyka drzwi. Zaciskając mocniej pasek włochatego białego szlafroka (święteczny prezent od Dony, komplet do kapci-owieczek), spogląda poza obwarowaną soplami werandę i oszroniony podjazd, w nieodgadnioną zimową dzicz.

Znów widział je tego ranka. Psy. Poświęcił im całą noc, zdzierając pędzle na poszarpanych, cienistych kształtach, nakładając farbę na śnieg grubymi zaspami, wzbogacając paletę kociej posoki nowymi odcieniami. Dona spała twardo jak zwykle, wycieńczona kolejnym dniem wegetacji. Gdzieś w salonie wiatr wył przez niedomknięte okno (przynajmniej wydawało mu się, że to wiatr), lecz Rafał ani na chwilę nie odstąpił od płótna. Pracował jak w transie – znak, że jego Muza, ostatnimi czasy tak odległa, czuwała nad każdym pociągnięciem pędzla. Ocknął się dopiero pod prysznicem, nie wiedząc, która jest godzina. W odpływie wirowały smugi wojennych barw po walce z natchnieniem. Z jakiegoś powodu widział głównie czerwienie – brudne i rozwodnione. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że w pewnym momencie zaczął mieszać farby na grzbiecie dłoni. Dokładnie wyszorowany, wskoczył najpierw w piżamę, potem w ciepły szlafrok. Ukończone płótno schło na stole w części jadalnej salonu, zdjęte ze sztalugi, a ustawiony na maksimum wydajności wyciąg pochłaniał zapach terpentyny. Skrawek nieba widoczny za oknem zaczynał już jaśnieć goghowskimi błękitami.

Rezygnując ze snu, Rafał przygotował sobie kawę z mlekiem – słabą, tak żeby znów nie rozstroić żołądka. I kiedy stał tak nad zlewem, siorbiąc gorący płyn i spoglądając przez firanki na świat tonący w granatowym półmroku, zobaczył pierwszy kosmaty cień przemykający przez zarośla.

Naprężył się jak struna, mało nie chlustając sobie kawą w twarz. Słońce wciąż jeszcze wschodziło nad horyzont, i choć wzrok Rafała nie był już tak sokoli jak kiedyś, mężczyzna mógłby przysiąc, że widział sylwetkę psa wielkiego jak bernardyn, pojawiającą się na chwilę między oszronionymi pniami. Zostało po nim tylko drzenie gałęzi głogu. Równie dobrze mógł to być wiatr.

Przywidzenie – pomyślał wtedy, unosząc dłoń, by przetrzeć oczy. – Mózg nadrabia brak snu.

Lecz wtem drugie widmo przemknęło przez gęstwinę śladem lidera. A po nim kolejne i dziesiątki innych. Sunęły, niemal nie dotykając ziemi, jak strzały z myśliwskiego kołczanu; idealnie wyprofilowane narzędzia do zabijania z nastroszonymi lotkami ogonów i grotami kłów gotowymi wbić się w pierwszą ofiarę, która stanie na ich drodze. Bliżej jego domu.

Bliżej Dony.

Teraz Rafał spogląda w las, wraz z chłodem i białym puchem wpuszczając za próg lodowaty strach. Wie, że nie zobaczy śladów odbitych w śniegu ani odchodów wskazujących na obecność watahy, ale nie musi się upewniać. One tam są. Z każdym dniem zacieśniają pętlę, gonione jakimś tajemnym zewem krwi. Czy to sroga zima zmieniła je w bestie, zebrała pod wspólnym sztandarem przetrwania? Czy może zwykła chęć zatopienia szczęk w żywej istocie? Nikt nie odpowie mu na te pytania. Rafał może tylko czekać i modlić się, że gdy nadejdzie czas kolejnej uczty, jakiś nieszczęsny kot zabłąka się pod ich pazury. Bo że odejdą bez rozlewu krwi, bez zaspokojenia głodu – na to raczej nie liczy.

Był sobie dom, a za domem zagajnik, a w zagajniku grasowały dzikie psy...

Zamyka drzwi i wraca do aneksu kuchennego, gdzie nadal z pełną mocą szumi wyciąg. Kawa wystygła nieprzyjemnie. Rafał wlewa w siebie kilka łyków, by uzupełnić niedobór kofeiny. Reszta lury ląduje w zlewem. Na poddaszu cichnie głos Dony i po chwili Rafał słyszy kroki na schodach. Pani Pruch podchodzi do kranu z ciepłą wodą i zaczyna myć ręce sanitarnym mydłem, które nosi w kieszeni fartucha. Rafał widzi, jak jej wzrok ucieka w kierunku schnącego na stole obrazu. Czeka w cichej, niecierplivej agonii, jak za każdym razem, gdy ktoś ocenia jego pracę.

– To pan namalował ten statek płynący przez łąkę, prawda? – pyta w końcu pielęgniarka.

– Winny. – Rafał unosi ręce w geście poddania. – Ale mało kto wie, że to ja. Kiedy obraz sprzedaje się masowo, nikt nie pamięta autora... Pewnie kupiła go pani do gabinetu?

– Pudło. Nad kominek. – Wzruszyła ramionami. – W poczekalni gabinetu nie ma co wieszać sztuki. Za dużo dzieciaków czyha z kredkami.

Pejzaż, o którym rozmawiają, to *Ostrowy burzanu*. Rafał namalował go kilka lat temu, kiedy odwiedzał szwagra na Roztoczu. Gościli tam z Doną zaledwie tydzień (żona za nic nie chciała przystać na dłuższy urlop, a i tak przez większość czasu wisiała na telefonie), ale jako artysta Rafał zdążył zakochać się w dzikich wrzosowiskach i lasach cienistych butelkową zielenią. W całym powietrzu czuć było natchnieniem, tłustym jak zapach pastelii. Nie było dnia, żeby nie wykonał choć kilku szkiców, a proste, sielankowe miniatury schodziły mu spod pędzla w tempie niemal maszynowym: broczące po rozlewisku czaple dla szwagra, przygięty wiatrem tatarak dla sąsiada, zamglona łąka dla Dony. I tylko większe, ambitniejsze obrazy wychodziły mu jakies... nijakie. Oddanie piękna natury na pojedynczym obrazie, nawet tak wielkim jak *Panorama Raclawicka*, wydawało się Rafałowi niemożliwym zadaniem. Każde podejście kończyło się tak samo: płótnem gniewnie zamalowanym na czerwono, od góry do dołu. Była to stara sztuczka jego profesora. Wylej złe emocje, pobudź krążenie i spróbuj jeszcze raz. Ale nieważne jak wiele razy próbował, nieważne w którym miejscu ustawiał sztalugę, nie mógł ukończyć nic sensownego. I ta niemoc – jej gorycz tak nieznośna, tak znajoma – doprowadzała go do szału.

Przełom nastąpił ostatniego dnia. Zdesperowany, głodny inspiracji, Rafał błąkał się jak skończony wariat – po wzgórzach, przez bagna, przecinając wiejskie drogi i pastwiska w poszukiwaniu Tego Czegoś, co dałoby mu spełnienie. W dziczy zastał go wieczór. Nie wiedział, gdzie jest, jak daleko odszedł od domu szwagra, co stało się z jego nogawkami, uszarganymi i oblepionymi łopianem. Tylko słońce wyglądało znajomo: ognista kula zdradliwie znikająca za horyzontem. Rafał opadł na porośnięty trawą pagórek i z poczuciem porażki przyglądał się, jak umiera dzień.

Urlop dobiegał końca. Następnego dnia wrócić do stolicy i natura zniknie mu przed oczu, przesłonięta grzbietami wieżowców, kurtyną smogu. Rankiem Dona wyjdzie do pracy, by pielęgnować swoją fantastyczną

kariere, a on znów będzie próbował znaleźć piękno w otaczającym go brudzie i tłoku, tak jak próbował to robić od miesiący. Rafał Kuzio, artysta-marzyciel. Pasożyt na ciele żony.

I kiedy tak patrzył na skrawek słońca błyskający nad koronami drzew, świat przed jego oczami się odmienił. Rafał skoczył na równe nogi. W jednej chwili (tak jak później, gdy obserwował biegnące przez śnieg psy) ujrzał gotowe płótno, aż do najdelikatniejszego muśnięcia pędzla. Jakaś siła przeniosła go z bezdroży Roztocza na brzeg baśniowego morza. Zachód stał się błyskiem latarni, łąki zielono-granatowymi falami, a z cienia między drzewami wypływał na ich przestwór okręt-widmo – nagi szkielet rzucający wyzwanie ogromowi natury, tak samo jak Rafał, samym tylko uporem rzucał wyzwanie nieuchwytnemu natchnieniu. Statek nie istniał naprawdę, znajdował się w pustce między nim a płótnem. Ale właśnie tam, na tej ziemi niczyjej, powstawała prawdziwa sztuka.

Jakieś pół roku później zaprzyjaźniony marszand, zakochany na zabój w *Ostrowach burzanu*, załatwił Rafałowi umowę z jednym z największych sklepów meblowych w Europie. Jego pejzaż – sielankowy, ale i ponury, znajomy, ale i intrygujący – trafił do ich nowej, ekskluzywnej linii wystroju wnętrz.

Kiedy zaczęły spływać honoraria, Rafał był pewien, że ktoś popełnił błąd i wpisał o kilka zer za dużo. Najwięcej, ile do tamtej pory zarobił na sztuce, to trzysta złotych za rodzinny portret dla znajomych. Teraz dostawał pięć razy tyle tygodniowo. Nie minął miesiąc, a pojawił się pomysł namalowania cyklu i zorganizowania wystawy. Poszli nawet z Doną obejrzeć galerię, kiedy...

(To wszystko jej wina.)

Rafał potrząsa głową, wracając do rzeczywistości. Nie, nie będzie o tym myślał. Nie kiedy właśnie rozpoczął nowy cykl i wciąż może dokonać wielkich rzeczy.

Pani Pruch lustruje go wzrokiem, poprawiając ciasny kok. Rafał zdaje sobie sprawę, że zadała mu pytanie, ale nie ma pojęcia jakie.

– Słucham?

– Pytałam: czemu psy, panie Kuzio? – powtarza litościwie. – Nie mnie oceniać kunszt malarski, ale sam pan przyzna, że to diametralnie odmienne dzieło od tamtego pejzażu. Makabryczne. Dlatego zastanawiam się, czemu namalował pan coś podobnego?

– Bo to widziałem – wypala Rafał. Pielęgniarka przygląda mu się spod przymrużonych powiek, jakby na czole wyrosły mu rogi. *Cholera*. – Wczoraj w lesie – dodaje pospiesznie. – Jakies psy krążą po okolicy. Zagryzły... eee... cóż, trudno było poznać, chyba zająca. Malowałem z pamięci, ale trudno zapomnieć podobny widok.

– Tu w Bągartowie?

Rafał przytakuje.

– Nie widziała ich pani? Biegają całą watahą.

– Hm, faktycznie, ostatnio coś strasznie wyje w nocy, ale myślałam... O Jezu – mówi nagle, sztywniejąc. – Mój kuzyn od strony matki, Pilarczyk. Wie pan, ten, który ma ubojnię? Coś niedobrego stało się z jego psem w zeszłym miesiącu. Kompletnie zdiczał, szczekał na wszystkich, szarpał za łańcuch do krwi. Próbowali go zabrać do weterynarza, ale uciekł w las i nigdy nie wrócił. Do tej pory go nie znaleźli, a to wcale nie było małe zwierzę. Myśli pan...

Rafał mruczy w zastanowieniu. Widzi to oczyma wyobraźni, choć wcale nie chce.

Nękany żądzą krwi pies (futro cieniowane węglem i oczy żółte jak febra) ucieka przez dziurę w siatce. W głębinach lasu spotyka inne wygnane z domów czworonogi i walczy o przywództwo nad stadem. Wkrótce podążają za nim, od zdobyczy do zdobyczy, podporządkowane jego woli, z każdym dniem poszerzając granice swego królestwa. I zbliżając się nieuchronnie do samotnego domu pod lasem...

Rafał nie wie, jak bliski prawdy jest ten tryptyk, ale nawet jako fantasmagoria, napęnia go niepokojem.

A jeśli faktycznie tak to się zaczęło? Od pojedynczej bestii, która nauczyła okoliczne psy, jak walczyć o swoje? Jak nie ulec zimie, głodowi i ludzkiej niegodziwości? Bo przecież nie jest to już banda kundli wyjadająca resztki ze śmietników, łaszcząca się w nadziei na litościwie rzucony kąsek, a zbrojna wataha bez wahania rozszarpująca domowe koty. I Bóg jeden wie, co jeszcze.

– Wszystko będzie dobrze – mówi jak automat, wymuszając uśmiech. – To przecież tylko psy.

Pani Pruch kiwa głową i wraca na górę, by dokończyć dializę. Coś w jej rzuconym przez ramię spojrzeniu podpowiada Rafałowi, że ani trochę nie uwierzyła w jego kłamstwo.

* * *

– Hm.

To wszystko, co mówi Dona, gdy po południu Rafał pokazuje jej obraz.

Specjalnie zaczekał, aż zjedzą obiad i porozmawiają o czymś nieistotnym (jak która adaptacja Sherlocka jest najlepsza), nim z mieszaniną nerwowości i ekscytacji zszedł po wciąż niedosuszone płótno. Po dializie żona nabrała nieco żywszych barw i mimo że nadal zapełniała basen za basenem moczem zmieszonym z krwią, a od drapania swędzącej skóry wyrzyła sobie w ciele pręgi, w jej oczach pojawiła się iskierka dawnego ognia. Kiedyś – w tych wczesnych, beztroskich dniach małżeństwa – zawsze mówiła mu szczerze, co uważa o jego sztuce i może dlatego, gdy zobaczył w niej widmo tej przeszłej Dony, oczekiwał, że zdobędzie się na coś więcej. Oceni dobre i złe strony, zasugeruje poprawki. Krótko mówiąc, robi to, co robiła najlepiej: zarządzi nim. Ale ona ma w sobie tylko mruknięcie.

Rafał przestępuje z nogi na nogę, stercząc jak głupi z nachylnym w jej kierunku obrazem, jakby była Kleopatram, która zamówiła u niego złotą rzeźbę, Elżbietą I, która zleciła mu wykonanie królewskiego portretu; jakby pomiędzy nim a jej akceptacją czekał bardzo głęboki dół z krokodylami, bardzo ostry topór w dłoniach katach. Znów słyszy słowa kobiety ze szpitala (jej głos jak charkot psa dławiącego się kością)

i zastanawia się, czy jakaś siła inna niż czyhające w lesie zwierzęta nie wygryzła z jego żony czegoś istotnego, zostawiając nieczuły ochłap. Byle kundel z tamtej watahy byłby lepszym krytykiem. Gdyby zamerdał ogonem i szczeknął, Rafał wiedziałby przynajmniej, czego oczekiwać – to samo, gdyby zadarł nogę i zamalował róg płótna cuchnącym żółcieniem.

Ale zwierzęta nie znają obojętności – myśli bezwiednie. – Nie chowają uraz, nie obarczają cię winą. Tylko ludzie, o ironio, są aż takimi sukinsynami.

– Coś nie tak? – pyta Donę. Brzmi to jak warknięcie. Sam nie wie, kiedy zaczął zaciskać zęby do bólu, ale tępe ćmienie w szczęce podpowiada, że nie stało się to przed chwilą.

– Nie, nie, w porządku. Podoba mi się.

Rafał oddycha lżej. Jego ciało w jednej chwili robi się chłodniejsze o dwa stopnie.

Ale Dona mówi dalej, a z każdym jej słowem powracają gniew, gorąco, sapanie:

– Myślałam, że będziesz malował w stylu Gauguina na Tahiti. Tak ci doradzali ludzie od wystroju. Żywe barwy wracają do mody, tak samo motywy tropikalne. Wystarczy się wstrzelić w trend.

– Gauguin na Tahiti? – powtarza, pluje jadem. – Gauguin na Tahiti, Dona? Jezu Chryste! Są setki lepszych bazgrołów do wieszania na ścianach niż mazaje chorego na syfilis Francuzika, wiesz? To jest, kurwa, lepsze! – Uderza w tył płótna, mało nie przebijając go ręką na wylot. – Do reszty cię posrało przy tej chorobie? Popatrz na tę kompozycję! To kolejny przełom w mojej karierze! To moje naj...

– Munch i Bruegel – mówi i jakby to było zaklęcie Kirke, wszystko w Rafale opada, słupek rtęci wraca do normy, mięśnie podciętych skrzydeł wiotczeją. Tępy ból w lewym jądrze, który pojawia się czasem, gdy godzinami sterczy nad płótnem w tej samej pozycji, daje o sobie znać szarpnięciem.

– Myślisz, że cię nie znam? Własnego męża? – pyta. Jej gniew nie ma w sobie nic z ognia; jest klingą, która przeleżała stulecia w zamarzniętym jeziorze, wsuwającą się w jego bok centymetr za centymetrem. – To jest twój problem, Rafał. Nie potrafisz podnieść pędzla bez papugowania innych. Nawet w *Ostrowach burzanu* wzięłeś ten pejzaż Weissa, który tak ci się spodobał na wystawie w Krakowie, i przepuściłeś go przez paletę Van Gogha. Zawsze malowałeś odtwórczo. Więc nie gardź mi teraz Gauguinem, okej? To dobre pieniądze. Na nic lepszego liczyć nie możesz.

Puszcza mimo uszu to, że Dona mówi „nie możesz”.

Czy naprawdę tak trudno powiedzieć „nie możemy”? Wziąć na grzbiet cudzy krzyż?

Szuka rozsądnych argumentów, ale umysł wywraca kieszenie na lewą stronę. Niepotrzebnie wspominał o swojej karierze. Przecież jej kariera, która była dla niej wszystkim, zdechła jak rażone piorunem zwierzę. Nikt jej nie reanimował, nie przykładał ust do ust. Musiała ją oprawić i powiesić na ścianie jak trofeum. Udawać, że tak właśnie miało być. Że to ona ją zarznęła, z własnej woli, a nie ognisty wyrok niebios.

Rafał łudził się, że tu, setki kilometrów od stolicy, nie będzie to miało większego znaczenia. Na co komu spotkania biznesowe i szklane wieżowce, kiedy można spacerować na świeżym powietrzu? Ale Dona nie chciała słyszeć o żadnych pieszych wędrówkach nad staw, nie miała ochoty jeździć do Bągartowa na zakupy, dożynki czy święto miasta. Całymi dniami leżała w łóżku, bez zainteresowania przerzucając strony książek, których nigdy

nie przeczytała, gdy nadgodziny były jej bogiem. Zupełnie jakby w swoim przeświadczeniu

(nie, nie myśl o tym, zapomnij)

Dona już była martwa. Rafał zdaje sobie sprawę, że nie przyjechali tu na piknik. Że żona ma pełne prawo wygrażać pięścią niebu i wpadać w jeszcze gorsze humory – ba, w ślepy szal, jeśli zechce. Nie zmienia to faktu, że jej słowa boją.

– Dlaczego to robisz, co? – pyta, unosząc się na poduszce. Znika aureola jej jasnych, zmatowiałych włosów. – Myślisz, że skoro im się udało, to tobie też się uda? Że będziesz wielkim malarzem, robiąc dokładnie to samo? Pobudka: nie będziesz. Nie ma i nigdy nie będzie drugiego Picassa, da Vinci. Gównu wiem o ich sztuce, ale wiem przynajmniej to.

Czasem śnił, że poddasze jest puste, zalane słońcem i czeka tylko, by ożywił je pierwszymi pociągnięciami pędzla. Czasem śnił, że Dony po prostu nie ma.

– Świat tak nie działa, Rafał, nie znosi powtórzeń. Skopie cię za to, że w ogóle próbowałeś go oszwabić i tyle sobie pomalujesz. Bruk swoją krwią.

– Nikogo nie papuguję, do cholery. To inspiracja. Hołd – mówi, ale jego słowa nie mają mocy. – Nieważne...

Odwraca się, zrezygnowany, ciągnąc za sobą obraz. Jest w połowie schodów, gdy Dona pyta napiętym głosem:

– Gdzie jest mój kot?

– Mówiłem ci – tym razem warczy z determinacją. – Cholerny pchlarz pewnie siedzi w komórce.

Dona woła za nim, żeby powiedział jej prawdę, ale Rafał nie zatrzymuje się. Wychodzi na zewnątrz. Rzuca płótno na tylną kanapę auta, siada za kółkiem i wjeżdża w pierwszą otwartą paszczę drogi, pozwalając, by połknął go zimowy las.

* * *

Kiedy Rafał odbiera telefon, z jego gardła zamiast słów dobywa się charkot. Przesłania dłonią słuchawkę i odkasłuje, lecz w niczym to nie pomaga.

Cholera, czyżby przeziębienie? To przecież niemożliwe, żeby ostatnią godzinę spędził na krzyczeniu. Nawet klucząc leśnymi duktami, bez żywej duszy w zasięgu wzroku, człowiek nie może aż tak zatracić się w sobie. Nie

zmienia to jednak faktu, że tak się czuje. Jakby przez płuca przetoczył mu się huragan wrzasków, zostawiając nagie szkielety oskrzelików.

– Kuzio, słucham? – wykrztusza, przyciskiem uchylając okno, by wpuścić do auta nieco powietrza.

– Witam, witam, panie Rafale, komendant Newski z tej strony, poznaliśmy się w barze. Wiem, że ma pan sporo na głowie, kto z nas nie ma, dlatego z góry przepraszam, że niepokoję. Będę się streszczał.

Na krótką chwilę Rafała ogarnia panika. Wygląda przez przednią szybę i zauważa, że stoi na własnym podjeździe, z wyłączonym silnikiem. Nie widzi błękitnych świateł radiowozów, ale sama obecność policjanta po drugiej stronie słuchawki wystarczy, by przyprawić go o palące poczucie winy.

Jezus Maria... Kto normalny zostawia chorą żonę bez opieki na kilka godzin, żeby włóczyć się po lesie? Czego on tam w ogóle szukał?

Psów – odpowiada sobie sam. – Sfory krążącej wokół domu.

Po tym, co powiedziała Dona, musiał zyskać pewność, że nie wymyślił sobie kryjącego się w nich potencjału; że gdzieś pomiędzy jednym włochatym cielskiem a drugim pędziła też trudna do pochwycenia skrzydlata muza.

Niestety – teraz, kiedy sam zapragnął je zobaczyć, nie ustrzegł nawet kawałka chwosta znikającego między drzewami. Psy odeszły. Śnieg zakrył tropy, odchody i ciała ich ofiar białym zapomnieniem. A on został bez upustu.

– Obawiam się, że jestem nieco zajęty, komendancie. Rozumie pan, żona. Może oddzwonię do pana później albo...

– To zajmie tylko sekundkę. Chodzi o te przeklęte psy.

– P-przeklęte? – Żołądek Rafała wywija nieprzyjemne salto. – Ach! Rozmawiał pan z panią Pruch?

– Pani Tereska poczuła się w obowiązku poinformować mnie o sytuacji. Od lat chroni Bągartów od wszelakich plag i nauczyłem się ufać jej osądowi. Choć przyznaję, że czegoś podobnego jeszcze tu nie mieliśmy... Więc mówi pan, że widział zgraję? Bliżej pól czy przy drodze na Czarny Staw?

Rafał przesuwając językiem po wyschniętym podniebieniu. Z powodów, które są zagadką nawet dla niego, nie potrafi powiedzieć Newskiemu prawdy. Na samą myśl o tym czuje wstręt, jakby zjadł coś nieświeżego.

– Ja wiem, czy zgraję... Góra kilka sztuk. Zagryzły zająca.

– I pan to namalował? – dopytuje stróż prawa.

Rafał ogląda się na obraz leżący na tyle samochodu. Psów jest tam co najmniej dwadzieścia.

– W nieco przesadzony sposób – mówi na wszelki wypadek. – Mogę się dowiedzieć, z czym pan dzwoni? Jeśli chce pan obejrzeć obraz, zapraszam z wizytą któregoś dnia, ale poza tym...

– Oczywiście. Do sedna.

Rafał słyszy, jak Newski poprawia się w skrzypiącym fotelu. Widzi go teraz oczami wyobraźni: czujnego, wyprostowanego, z twarzą surową jak z portretu cara.

– Wczoraj w nocy coś pozagryzało kury starego Matlaka, po drugiej stronie lasu od pana. Oczywiście zdarza się, że do kurnika wpadnie lis i zadusi ze dwie sztuki, jak to na wsi, ale... To była rzeź, panie Rafale – mówi z westchnieniem. – Nie ma na to innego określenia. Każda kura była co najmniej w dwóch częściach, wszędzie pierze, krew, gówno i flaki.

– Może to ten, który zerwał się z łańcucha? – sugeruje Rafał. – U... Pilarczyków?

Newski mruczy; trudno powiedzieć, czy w zastanowieniu, czy w irytacji.

– W tym właśnie rzecz. Czegoś takiego nie mógł dokonać jeden pies, nieważne jak zdziczały. Mamy całą masę śladów. Bardziej niepokoi mnie, że napadły na ten kurnik razem. Nie słyszałem jeszcze o tak inteligentnym, zorganizowanym stadzie. No, chyba że...

– Chyba że wilków – dokańcza za niego Rafał.

Jego trzewia ściskają się w zimną, stalową kulę. Zanim w sprawę zaangażowane były inne osoby, Rafał mógł wmawiać sobie, że psy są częścią jego zwidów, majaczeniami umysłu głodnego inspiracji. Może Zawada wlaźł przypadkiem w pułapkę zastawioną przez kłusownika, a on dopisał sobie resztę historii? A może kot faktycznie zadekował się w komórce i Rafał spalił w piecu nie krwawe ochłapy, a gałęzie i grudy oszronionej ziemi? Nie byłoby to wcale zaskakujące. Od tamtego chłodnego, marcowego dnia, gdy wrócił do mieszkania i zastał Donę z nożem w dłoni

(Pamiętasz, co wtedy pomyślałeś?)

Sam miał wrażenie, że balansuje na granicy rozstroju. Że sny, w których krzyczy w głąb ciemnej jaskini i słucha, jak odwrzaskuje mu echo, próbują mu coś powiedzieć. Minęło sporo czasu, odkąd Rafał był, krótko mówiąc, w dobrej formie. Kiedy nie mógł malować, źle sypiał, a kiedy źle sypiał, umysł zaczynał karmić go dziwnymi obrazami, domalowanymi do świata w agresywnym pentimento. Podobny niepokój nękał go na studiach. Tak

mocno skupił się na szukaniu inspiracji do pracy zaliczeniowej, że zaczął widzieć ogromną złotą ramę, wiszącą przed nim jak zaczarowana i oprawiającą każdą, nawet najbardziej miałą scenę w fantastyczny pejzaż.

Ale tym razem Rafał nie ma do czynienia z urojeniami. Dzikie psy istnieją. Nie tylko na płótnie – które obserwuje kątem oka w tylnym lusterku – ale również poza nim. Skąd się wzięły? Nie wie nikt. Ile ich jest? Coraz więcej. Czego chcą?

(Dobrze wiesz czego.)

(Zawsze wiedziałeś.)

(Prawdziwy łowca nie zostawia zwierzyny na wpół zabitej.)

– Na razie ostrzegam ludzi, żeby mieli oczy otwarte i bramy zamknięte – mówi Newski. – Służby weterynaryjne określą na podstawie tych kur, czy jest ryzyko zarażenia wścieklizną. Ale niech pan zachowa czujność, panie Rafale. Nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy takiemu zwierzęciu. Nie uważa pan?

* * *

Dona jest zła. Kiedy Rafał wchodzi na poddasze ze świeżym dzbankiem wody, filiżanką herbaty i ciastkami owsianymi, jej twarz jest ściągnięta, jakby ktoś naszkicował rysy modelki zdecydowanymi pociągnięciami, mało nie rozcinając kartki rysikiem. Każda komórka ciała zdaje się mieć ostre krawędzie. Cud, że jeszcze nie rozerwała pościeli.

Rafał stawia tacę na nocnym stoliku. Dona przekręca stronę z głośnym szelestem. Po dializie na jej policzkach wykwitły delikatne rumieńce, ale może to tylko pozostałość po gniewnej czerwieni sprzed kilku godzin. Tak czy inaczej, Rafał dochodzi do wniosku, że najlepiej zostawić ją samą. Oboje powiedzieli bolesne rzeczy i obojgu z nich przyda się chwila oddechu.

Schyła się, żeby podnieść basen i zejść z nim na dół, ale jego ręka natrafia na pustkę. Pod łóżkiem nie ma nic poza kocimi zabawkami Zawady i kurzem.

– Co do...

Dona zgrzyta zębami i zatrzaskuje okładkę. Wciska książkę między brzeg materaca a oparcie łóżka, po czym wypina tyłek w jego stronę.

Rafał wie, że sobie na to zasłużył, więc nawet nie wzdycha. Prostuje się i rozgląda po poddaszu. Czy tylko mu się wydaje, czy jest tu chłodniej niż zwykle?

Nie – małe, okrągłe okienko, zmyślnie wprawione w to wielkie szklane oko, jest uchylone, wpuszczając do środka ciężki dech zimy. Rafał obchodzi łóżko i szarpie się przez chwilę ze starą klamką, nim skrzydło raczy przylgnąć do ramy. W śniegu pod oknem dostrzega błysk czegoś metalowego.

Cholera.

Powiedz mi, że tego nie zrobiłaś, Dona – myśli w panice, ruszając biegiem w dół schodów, przez hol, werandę, podwórko. – *Nie, nie. Wszystko tylko nie to.*

Basen leży przy stercie drewna pozostałego po remoncie dachu, oklejony białym puchem. Jego zawartość jest wszędzie. Wsiąka w zmarzniętą ziemię, naznaczając ją żółcią i czerwienią, szczynami i posoką. Wonią śmierci. Woń jest jak bandera wzbijająca się ponad drzewa, latarnia, drogowskaz wypisany w języku wiatru i krwi.

„Chora łania odcięta od stada.”

„Sezon się rozpoczął.”

„Czas zapolować.”

Rafał ma kilka sekund, żeby pomyśleć – *może nie będzie tak źle, może nic się nie stało* – nim szelest w zaroślach sprawia, że gubi oddech. Jedna z desek ląduje w jego rękach. Jest ciężka, najeżona drzazgami i nieporęczna, ale dodaje mu nieco odwagi.

Cokolwiek przemknęło skrajem podwórka, zmierzało na tyły domu. Rafał rusza na drżących jak osika nogach. Z każdym skrzypiącym krokiem czuje coraz silniejszy przymus, by zawrócić, wbiec do domu i skulić się pod łóżkiem obok czyhających tam potworów. Wszystko byłoby lepsze od tego oklepanego motywu z horrorów: bohater idzie sprawdzić, co wydało z siebie podejrzany dźwięk, nie wiedząc, że wkracza w śmiertelną pułapkę.

Miarowo okrąża dom. Mija martwe rabatki, których nigdy nie udało mu się wskrzesić; dwa rdzewiejące rowery. Zza rogu wyrasta komórka na narzędzia. Rafał poprawia chwyt na wzniesionej nad głową desce, myśląc o wszystkich tych siekierach, młotkach i piłach, które chciałby mieć teraz pod ręką, a które są tak blisko. Waha się przez chwilę, drobi w miejscu. W końcu rusza truchtem, oczami wyobraźni otwierając już drzwi, sięgając na półki po pierwsze, co...

Z mroku za komórką odrywa się kosmaty ochłap cienia.

Rafał pada tyłkiem na śnieg, odpełza przerażony. Deska wylatuje mu z dłoni i uderza w kolano, ale ciało ledwo rejestruje ból. W tej zastygłej jak

bursztyń chwili nic nie wydaje się prawdziwe: ani przeszywający chłód, ani dźwięki dochodzące z jego gardła, ani żelazisty posmak na podniebieniu. Nic poza bestią, która wyrasta przed nim na kolumnach łap niczym piekielna machina bojowa.

Psy wcale nie zniknęły. Nie pognały w nieznane szukać łatwiejszej zdobyczy. Rafał po prostu szukał ich w lesie – a one były znacznie bliżej. Na jego własnym podwórku.

Zwierzę warczy przeciągle. Rozmiarami ledwo klasyfikuje się jako pies. To jeden z tych behemotów, które na ulicy, w chwili konfuzji, można pomylić z niedźwiedziem. Tyle że niedźwiedzie dawno już zdążyły zalegnąć w gawrach do snu zimowego, podczas gdy we wpatrzonych w Rafała ślepiach kryje się coś, co każe myśleć, że ich właściciel nigdy nie zasypia. Jest siłą natury, żywiołem. Samo jego nadejście przemalowuje przestrzeń w gotowy obraz. *Dzikie psy II*, studium w czerni i strachu.

W żywym dziele, które widzi przed sobą Rafał, nie ma nic z Gauguina na Tahiti. O wiele bliżej mu do Goi – groza i sprane barwy – jakby ten jego smętny *Pies* wychylił łeb znad skarpy i okazało się, że wcale nie jest mały i bezradny, zagubiony w bezmiarze przestrzeni, a nabrzmiały cieniem i determinacją.

Monstrum rusza do przodu, niemal sunąc o centymetr nad ziemią. Ramy obrazu pękają, barwy wlewają się z powrotem w rzeczywistość – i nagle przednie łapy, ciężkie jak młoty, lądują na piersi Rafała. Szczęśliwy pędzel w kieszonce koszuli wrzyna mu się w mostek. Obnażone żółte kły niemal dotykają jego nosa. W pokrytej łysymi plackami sierści widać wplątane dłońią lasu gałązki i liście, lecz również krwawe zacieki, kłębki obcego umaszczenia, postrzępione pierze. Pamiątki po poprzednich ofiarach... Rafał wie, że powinien zasłonić gardło, zwinąć się w kłębek z rękoma na głowie, ale ciało odmawia posłuszeństwa. Tylko jabłko Adama drży mu w gardle od wstrzymywanego łkania. Nie mija pół minuty, a nie tylko mocz Dony zaczyna wsiąkać w śnieg za domem. Ale odrobina wilgoci na spodniach nie powstrzyma bestii przed pożarciem go w trzech gryzach. Zwłaszcza że ma do wyżywienia nie tylko siebie, ale i całą watahę.

Słyszysz je teraz wyraźnie, krążące skrajem lasu na miękkich poduszkach łap, wpatrzone z niecierpliwością w samca alfa. Jeśli przegryzie tętnicę Rafałowi, ruszą na żer. Jeśli odejdzie, one również odejdą. Prawo stada jest absolutne: jedzą wszyscy albo nie je nikt. Ten, który sprzeciwia się stadu, ginie w samotności.

Rafał spogląda w ślepią przywódcy

(półksiężyc białka jest w całości przekrwiony, tęczęwki lśnią brudnopomarańczowym blaskiem jak stare naftowe latarnie)

i w jednej chwili rozumie. Żadne z czyhających w pobliżu zwierząt nie jest już psem domowym. Brak łańcuchów i smyczy, miłości i troski zmienił je w coś zgoła odmiennego. Są bękarcim podgatunkiem, skazanym albo na rychłą zagładę, albo na dominację całego Stworzenia. Nic innego nie wchodzi w grę. Świat pożre je do cna albo one pożrą świat.

– Dobry piesek – mamrocze drżący, niezmutowany głos siedmioletniego Rafałka. – Dobry piesek. Tak.

Z kłów ścieka kropla gęstej, spienionej śliny. Opada mu na policzek; część spływa do otwartych ust – skwaśniała, cuchnąca rozkładem. Rafał kaszle, nie mogąc powstrzymać obrzydzenia. Szczęki rozklejają się z mlaśnięciem, ukazując ciemną, nieskończoną jamę...

I kiedy jest już pewny, że nie ujdzie z życiem, że zakończy żywot jako przetrawiona, wysrana w lesie karma dla psów, nigdy nie stworzywszy niczego wartościowego, bestia odwraca się, zamiatając ogonem, jakby uznała, że nie warto go zjadać nawet na przekąskę.

Rafał zaciska powieki do bólu, jak w złym śnie, z którego za nic nie można się obudzić, który trzeba po prostu przeczekać. Słyszy – czuje – jak monstrum zadiera nogę i oznacza teren, zamazując jego zapach, zapach Dony, swoim psim autorytetem. Rafał czeka nieruchomo, nasłuchując skrzypienia łąp na śniegu, szelestu młodych drzewek i paproci. Czegokolwiek, co powiedziałyby mu, że niebezpieczeństwo minęło.

Nic. Tylko wiatr świszcząc coraz głośniejsze w nagich koronach drzew.

Kiedy znów otwiera oczy, jest sam, rozciągnięty na ziemi w kałużę moczu. Roztrzęsiony, spocony, upokorzony.

(Ale żywy.)

Psy zniknęły.

(Ale wrócą.)

Zaplątany o własne nogi, wstaje i pędzi do domu. Kiedy zatrzaśnie za sobą drzwi i osunie się po płycie na podłogę, kiedy wreszcie, po eonach bolesnej zadyszki, uspokoi oddech na tyle, by mieć pewność, że nie omdleje, nie będzie miał pojęcia, co ze sobą zrobić. Wziąć prysznic. Namalować, co widział. Podziękować Bogu. Wypić setkę wódki. Zejść na zawał w kwiecie wieku jak jego ojciec. Będzie siedział pod drzwiami, sparaliżowany niemocą, i każda z tych opcji wyda mu się równie obojętna.

Wiedział, że Śmierć jest bliżej, niż przypuszczał. Tuż za plecami, jeśli wierzyć kobiecie ze szpitala. Że od miesiący ostrzy kły na Donę. Ale nikt mu nie powiedział, że będzie musiał spojrzeć w oczy jednemu z Jej wysłanników.

Nikt nie powiedział, że cena, jaką przyjdzie mu zapłacić za ten okruch weny, będzie tak wysoka.

Trzecie płótno

Dziki psy II są nadal mokre od farby, gdy następnego ranka Rafał zawozi płótno na komendę.

Newski ustawia je na krześle i ogląda na stojąco, paląc papierosa w krótkich, nerwowych zaciągnięciach. Wygląda jak krytyk przebrany dla niepoznaki za policjanta. Makijażyści dokleili mu wąsy i sztuczny brzuch i teraz pracuje pod przykrywką jako specjalista od przemytu dzieł sztuki.

Z grzejnika pod oknem gabinetu bije nieznośny ukrop. Ktoś w kotłowni pali chyba siarką. Rafał wierci się w fotelu, ociera czoło palcami, które są równie mokre. Lada moment barwy spłyną z jego dzieła wodospadem i powleką linoleum szarą kałużą, zafalują, uformują coś nowego, co nie potrzebuje jego pędzla, by zaistnieć, i to coś wynurzy mokry, nastroszony grzbiet, zawarczy nisko, z samych trzewi, a potem...

(spokojnie, oddychaj, to tylko obraz, Goya, szczypta Muncha i Blake'a, nic obcego, Złego, wdech-wydech, wdech-wydech)

– Paskudny skurwiel – komentuje Newski.

Rafał unosi wzrok. Ma wrażenie, jakby w tym ciasnym gabinecie, za okratowanymi oknami, minęła cała era; jakby świat zdążył umrzeć i narodzić się na nowo, podczas gdy mundurowy kontemplował każde pociągnięcie pędzla tworzące dziko zmierzwioną sierść, każdą plamkę światła odbitą od potwornych ślepi. Rzeczywistość odeszła w zapomnienie i powróciła dokładnie taka sama, ale można w niej wyczuć coś umarłego, wionący od niej dech zgnilizny. Jak w domu, w którym coś zdechło. Możesz wietrzyć i wietrzyć, ale nigdy nie pozbędziesz się kwaśnego odoru śmierci.

– Tym razem było ich więcej – mówi Rafał, przypominając sobie, że skłamał wtedy, przez telefon. – Nie widziałem dokładnie ile, ale słyszałem je w pobliżu.

– Tuzin?

– Jeśli nie dwa. Ale wszystkie słuchały się tego.

– Panie Rafale...

– Wiem, jak to brzmi – przerywa, zrezygnowany. – Jezu, myśli pan, że nie wiem? Normalne psy się tak nie zachowują. Ale sińce na moim ciele mówią co innego. Pani Pruch oglądała je rano, niech pan ją zapyta.

– Wierzę panu – uspokaja go Newski, odrywając wreszcie wzrok od obrazu. Gasi papierosa w przepelnionej popielniczce, siada na chwilę, w końcu wstaje i zapala kolejnego. – Nie mnie osądzać, co jest normalne. My tu się zajmujemy głównie rzeczami odbiegającymi od normy. Ale wiem dwie rzeczy. Pierwsza: nikt poza panem nie widział tej tak zwanej hordy. A po tym, jak znaleźli te zagryzione kury, Matlak z synami weszli na wojenną ścieżkę i przetrząsnęli pół lasu w kierunku Stawu. Pułapki chcieli stawiać, ale wiadomo, zabroniłem. No i druga sprawa: to – wskazuje na płótno zapalonym końcem peta – z całą pewnością nie jest pies, którego szukamy.

Ten od Pilarczyków – przypomina sobie Rafał.

– Ta, pamiętam tę cholereę dobrze. Zawsze, jak przejeżdżałem radiowozem, skakał na siatkę jak opętany. Księżę, tak na niego wołały dzieciaki. Rdzawy, wilczurowaty, prawie w połowie owczarek niemiecki. Ten tutaj... – Wydmuchuje dym, znika na moment za jego zasłoną. – Wygląda bardziej jak to straszdyło z *Niekończącej się opowieści*, wie pan? Agent Nicości. Nie mówię, że to zły obraz, ciarki mi po plecach łążą, szczerze powiedziawszy, ale może następnym razem powinien pan zrobić zdjęcie. Zwłaszcza jeśli faktycznie jest ich więcej. Tak żebyśmy wiedzieli, z czym mamy do czynienia.

– Mam fotograficzną pamięć – stwierdza niedbale Rafał, ale kiwa głową, przyznając mu rację. Jest człowiekiem znanym z malowania okrętów pływających po łące. Dlaczego ktokolwiek miałby ufać temu, co nakłada na płótno?

Był sobie dom, a za domem zagajnik, a w zagajniku grasowały dzikie psy. Nikt nie znał ich rodowodu, nie wiedział, skąd przybyły ani czego chciały. Możliwe, że nie chciały niczego. Że biegły przed siebie siłą rozpędu, pożerając wszystko jak szarańcza. A ten zagajnik, ten dom – one po prostu znalazły się na ich drodze.

Słowa. Rozsadzały czaszkę Rafała, odkąd poprzedniego dnia wyswobodził się z przemoczonych ubrań i doczłapał do prysznicza, by zmyć z siebie brud i wstyd, i strach. Wsparty czołem o kafelki, wpatrywał się w wirującą w odpływie wodę, jakby mógł dostrzec sens w tej paskudnej, zapchanej

włosami otchłani. Powód, dla którego psy prześladowały właśnie jego i Donę.

Bo przecież od początku chodziło o nią. Wie to równie dobrze jak to, że słońce wstaje na wschodzie. Inaczej dlaczego ta czarna bestia nie pożarła go na miejscu? Miała go o centymetr przed paszczą, bezradnego, zaszczanego, z obnażonym gardłem. A jednak go oszczędziła.

Czemu w takim razie Zawada? Czemu jakieś kury siedzące na grzędach, a nie on: solidny kawał mięsa? Zdawało się, że nawet najbardziej podstawowe instynkty tych zwierząt zostały wykrzywione. Kierowała nimi obca wola, silniejsza od uwarunkowań natury.

Ktoś puka do drzwi gabinetu i wchodzi, nie czekając na zaproszenie. Młody policjant, którego Rafał widział za biurkiem, grzejącego dłonie o kubek z naparem na grypę. Podchodzi do komendanta i niezdolnie pociągając nosem, relacjonuje mu coś na ucho. Newski wzdycha, odsyła go machnięciem dłoni.

– Wieści w naszej sprawie, ale obawiam się, że przykre – mówi, gdy zostają sami.

Rafał zrywa się na nogi.

– Jezu, moja żona!

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. – Komendant unosi obie dłonie i robi krok w jego stronę. – Zostawił ją pan z panią Pruch, prawda?

Przytakuje, wydając z siebie jakiś pomruk, skamlenie. To, co spływa mu do oczu, to już nie pot, to wytapiany tłuszcz. Ten przeklęty grzejnik za moment zapłonie!

– Więc jedyne, co jej grozi, to podwójna dawka plotek z połowy województwa. Chodzi o naszych niedzielnych myśliwych. Młody Matlak usłyszał od kogoś, że Pilarczykowi uciekł pies i osaczył gościa w barze. Kazał zapłacić za kury. Pilarczyk siedział z kolegami z ubojni, mieli trochę w czubie... Zgarnęliśmy w sumie sześć osób, muszę się tym zająć, przepraszam.

Rafał zabiera swoje dzieło, poruszając się jak automat. Łatwiej mu reagować niż myśleć, bo myśli mają ostre kąty i obracanie ich w głowie może tylko poharatać mózg, zalać go krwią aż po szczyt czaszki.

(Myśli to ciemność i wycie psów.)

Komendant otwiera przed nim drzwi, ale coś blokuje Rafała w progu.

– Ja się ich boję, panie władzo. Zawsze się bałem – mówi i wie, że nie musi wspominać o pogryzionej babci, o latach osławiania się z domowymi

burkami, o wiadrach potu wylanych na najcichsze szczenięcie, bo Newski widzi to w jego oczach, czyta z nich jak z kartoteki. Strach to karnawałowa maska sprzedawana w kiosku: wszyscy znają jej rysy. – I boję się o żonę – dodaje. – Ci ludzie... oni nic nie znaleźli tam, w kierunku Stawu, bo tam nie ma ani jednego psa. One koczują pod moim domem. Ja to wiem.

Newski kładzie mu dłoń na ramieniu i mówi:

– Zrobimy coś z tym. Obiecuję. Mam w celi paru idiotów, którzy chętnie odpracowaliby swoje wykroczenia społecznie, ktoś z koła łowieckiego na pewno dołączy. Jutro z samego rana. Ale teraz naprawdę muszę...

Rafał dziękuje i wychodzi, zapominając, by uścisnąć mu dłoń.

W korytarzu mijają plakaty zaginionych i poszukiwanych, medale od komendanta powiatowego, zdjęcia w antyramach. Trzy z nich należą do psów policyjnych, które teraz są już pewnie tylko kośćmi zakopanymi za parkingiem. Spogląda na nie w przelocie. Wyglądają normalnie. Lśniąca sierść, grzbiet prosty po komendzie „siad”, język na wierzchu. Prawie zapomniał, jak to jest widzieć psi język, a nie kły.

Zimne powietrze po ukropie na komendzie ścina mu połowę wody w organizmie w szron. Truchta do swojego subaru, trzęsąc się jak w febrze. Zanim wróci do domu, wstąpi jeszcze do apteki i wykupi lekarstwa dla Dony. Wejdzie do marketu, zrobi zakupy. Może rozejrzy się za nowym kotem; na pewno ktoś ma do oddania, to wieś, wystarczy popytać. Jest tyle rzeczy, tyle spraw do załatwienia, nim znów będzie musiał zbliżyć się do własnej posesji na odległość splunięcia.

Głos w jego czaszce krzyczy, żeby uciekał na drugi koniec Polski, ale centrum Bągartowa to najdalej, dokąd zamierza się udać. Nie zrobiłby tego Donie.

(„Pańskiej żonie nic już nie pomoże”.)

Zamknij się – myśli, trzaskając drzwiami auta. – Po prostu raz na zawsze się zamknij.

* * *

Psy znikają.

Nie ma ich w gąszczu za domem, nie ma w zagajniku aż po wzgórze. Las oddycha pełną piersią, znów słychać w nim ciche odgłosy zwierząt, skrzeczenie ptaków, które nie odleciały na zimę. Rafał wywiesza na ganku słoninę i zlatują się do niej nie wygłodniałe bestie, a sikorki.

Newski i jego drużyna poddają się po trzech dniach poszukiwań. Jedyne, co znajdują, to kłębki sierści zaczepione o jeżyny i dwie na wół przeżute wiewiórki w brzózkach przy drodze krajowej. „Teraz to już problem sąsiedniej gminy”, stwierdza ktoś, pokazując palcem. Inni przytakują, bo chcą w to wierzyć. I rozchodzą się do domów, zanim ktoś powie: „Może nigdy nie było żadnej watahy”.

Psy znikają, a Rafał nie wie, czy śmiać się, czy płakać, dziękować losowi, czy wygrażać mu pięścią. Każda tęsknota ma w sobie odrobinę ulgi, a ulga tęsknoty. Odkrył to, gdy Dona pocięła tamte płótna. Ludzie tak naprawdę nie chcą spokoju, nie – wolą dławić się problemami, wiecznie o coś walczyć, rozwijać swoje dramaty przez kolejne akty z przerwami na lament chóru. Kiedy wspominają trudne chwile i mówią sobie „Dobrze, że mam to za sobą”, to tak naprawdę wołają w głąb ciemnej studni, licząc, że wypełnie z niej kolejny potwór do pokonania, armia ciemności, matka Grendela. A kiedy nie mają własnych przeciwności, przysysają się do cudzych jak pijawki, ciągnąc życiodajne łyż i lęki.

Tak było, kiedy zachorowała Dona. Znajomi, którzy milczeli od miesięcy, nagle byli blisko – całym tłumem, szczekającą sforą psów. Dzwonili, wpadali z odwiedzinami, oferowali pomoc specjalistów, piekli serniki. Wszystko, byle na chwilę otrzeć się o prawdziwą tragedię. To oni, ostatecznie, włożyli Donie nóż w dłoń. To oni sprawili, że pewnego dnia zadzwonił do kolegi robiącego w nieruchomościach i powiedział „Znajdź mi jakąś chatę w Bieszczadach, w dziczy, daleko stąd, bo, kurwa, zwariuję”.

A teraz robi to samo, co oni. Wygląda przez okno, obracając w palcach swój szczęśliwy pędzel-amulet, i wypatruje psów, jakby stał pod zachmurzonym niebem i czekał, kiedy uderzy piorun. Bez nich nie ma niczego. Żadne wycie nie mąci nocnej ciszy, dni zlewają się w jedno, a płótna... płótna nieodmiennie kończą zamalowane na jednolitą czerwień.

Nie prosi o wiele. Wystarczyłby przebłysk sierści między drzewami. Odcisk łapy w śniegu. Znak, że nadal tam są.

Ale inspiracja nie nadchodzi. *Dziki psy III* przechodzą dziesiątki wersji, malowane z pamięci albo po prostu, na żywo: wilcze widma zlepione z leśnych cieni, ślepia wywiercone w płachcie zmierzchu. Mózg sam wypełnia pustkę, jaka po nich pozostała. Żaden z obrazów nie jest jednak na tyle dobry, by go zachować. Podobnie jak przed laty z *Ostrowami burzanu*, potrzebuje czegoś prawdziwego, co go poruszy, będzie godne tej majaczącej mu przed oczami złotej ramy.

Z drugiej strony, nie chce do końca życia widzieć niczego, co ma cztery łapy i ogon, co choć kształtem przypomina jedną z tych bestii.

Tak wygląda jego życie. (Tak zawsze wyglądało.) Śmierć albo natchnienie. Dona albo sztuka. Nie ma nic pomiędzy.

Tylko psy.

* * *

Dona gotuje obiad. Nie robiła tego, odkąd opuścili stolicę, a wcześniej zdarzało się to może raz na dwa tygodnie – zwykle to Rafał musiał jej odgrzewać posiłki, gdy wróciła taksówką po kolejnych nadgodzinach. A wtedy i tak było jej wszystko jedno, co wkłada do ust.

Teraz jest skupiona. Podniosła się z wózka inwalidzkiego i myje pod kranem pieczarki. Pyta, czy mają w domu czosnek. Rafał nie wie. Mówi, że sprawdzi w piwnicy, ale Dona chce iść sama.

– Może znajdę coś jeszcze – rzuca, wycierając dłonie w fartuch z Mamą Muminka.

– Uważaj na schodach, kochanie.

To nie pierwszy dzień, kiedy o własnych siłach opuściła poddasze. Pani Pruch zmieniła coś w dawkowaniu leków, znalazła lepszy zamiennik i z każdym dniem Dona nabiera barw, niby schnący fresk. Nadal pije hektolitry wody i załatwia się średnio raz na kwadrans, ale w jej moczu coraz rzadziej można znaleźć krew. Nadal jest osłabiona, nadal swędzi ją skóra, nadal musi poddawać się dializie praktycznie co drugi dzień, ale powoli, jak pierwsze promienie słońca po długim, długim zaćmieniu, wraca jej dobry humor. Zaczyna nawet wspominać o spacerze nad staw. Rafałowi aż trudno w to uwierzyć.

Może tamten lekarz miał rację? Może świeże powietrze i odpoczynek były właśnie tym, czego potrzebowała?

A może to fakt, że Śmierć, która od miesiący węszyła wokół domu, usunęła się w cień?

Zdaje sobie sprawę, że wciąga oddech, słuchając kroków Dony, że oczekuje łoskotu osuwającego się ciała. Ale ten nie nadchodzi. Potrząsa głową i zwraca uwagę z powrotem na swoje dzieła.

Dwie ukończone części *Dzikich psów* stoją przed nim na szczycie kanapy, wsparte o ścianę salonu; obok nich trzecie, czyste płótno. Sam nie wie, kiedy zdecydował, że nowy cykl musi być tryptykiem, ale przekonanie z każdym dniem rośnie w siłę. Nie potrzebuje dwustu pięćdziesięciu lili wodnych jak

Monet. Trójka to liczba-gigant. Wszystkie wielkie rzeczy, ludzkie pasje i obsesje, to trójce. Ojciec, Syn i Duch. Wczoraj, dziś i jutro. Id, ego i superego. Nawet barwy podstawowe są nie cztery i nie dwie, a właśnie trzy.

Tylko co może dopełnić jego serię? Psy w oddali i psy blisko, najedzone i wygłodniałe, w bieli i w czerni...

Czym to się kończy? – myśli, stukając końcem pędzla o podbródek. – *Czym?*

Las zaczyna wyć. Samotny, głęboki głos, niosący się na kilometry, mile, jak róg myśliwego ogłaszający początek łowów.

(Nareszcie.)

Rafał wciska amulet do kieszonki pizamy i biegnie na poddasze. W kilku susach dopada do szyby. Niebo jest brudnobiałe, zagruntowane. W taką pogodę babcia mówiła jemu i siostrze: „Nie wychodźcie, bo wciągnie was dziura ozonowa”, jakby w niebie miała otworzyć się paszcza głodna dziecięcych kości. Jego wzrok skanuje plątaninę oszronionych gałęzi, bo zdaje mu się, że mógłby dostrzec te psy z daleka, tak wiele przestrzeni wypełniają. Są wszystkim, co nie jest Rafałem, całym pozostałym światem.

Bo przecież wcale nie odeszły. Były tu zawsze. I będą – dopóki nie otrzymają swojego funta ciała.

Wlepia wzrok w granicę lasu jak w obrazek ukryty w obrazku, „magiczne oko”, ale z gąszczu nie wyłania się żaden kształt. W niedalekich brzózkach do lotu zrywają się ptaki, tylko po to, by zaraz przysiąść na sąsiednim drzewie. W koronach cichnie wiatr. Zagajnik jest uśpiony, zachłyśnięty zimą. To tylko jakiś pies wył przy drodze na Bągartów – udomowiona bestyjka, po której sercu przemknął cień czegoś starszego.

Pusto – myśli Rafał. – *Fałszywy alarm.*

Więc dlaczego ma wrażenie, że na głowę lada moment zwali mu się sufit? Dlaczego ręce, które opadają wzdłuż ciała, trzęsą się, całe ze zjełczałej galarety?

(„Pańskiej żonie nic już nie pomoże”.)

Dlaczego nie słyszy żadnego dźwięku dobiegającego z parteru?

Z powrotem na dół. Po dwa stopnie, na złamanie karku. Drzwi wejściowe – zamknięte. Ani śladu włamania, wyważenia. Aneks kuchenny. Pieczarki schną na zlewie. Kipi woda wstawiona na makaron. Dony brak. Tylko na stole – przyniesiony przez nią czosnek. A w salonie...

W salonie zamiast trzech płócien są dwa. *Dzikie psy I*, podobnie jak sfera, którą przedstawiają, zniknęły jak kamfora.

Bolesny ścisk wstrząsa żołądkiem Rafała. Fakty splatają się jak włókna gobelinu, ale nie dopuszcza do siebie prawdy o tym, co musiało zajść. Nawet jeśli drzwi do piwnicy są otwarte na oścież. Nawet jeśli dochodzi stamtąd skrzywiony echem szloch. Na przemian zaciskając i rozluźniając pięści, bierze głęboki wdech i schodzi na pierwszy stopień, w głąb Hadesu.

Tamta dziewczyna. Przypomina ją sobie, choć nie myślał o niej od lat – licealna miłość. Nie widziała w jego sztuce przebłysków geniuszu ani jednego omenu zwiastującego wielkość. Ale zbliżała się jego matura i nie chciała, ot tak, zostawić go na lodzie. Wiedziała, że jeśli porzuci go jak psa na skraju drogi, Rafał zawali sobie przyszłość, nie zda ani jednego przedmiotu. Dlatego przeczekwała najgorsze. Fałszowała uśmiech. Pomagała w nauce. Dawała się przelecieć. A kiedy tylko miał za sobą ostatni egzamin, kiedy mogła bez żalu zmyć z siebie winę za jego nieszczęście, trzasnęła drzwiami. I nie zaskoczyło to nikogo poza samym Rafałem.

Dopiero później, gdy wypłakał już wszystkie łzy i wytłukł w gniewie dziesiątki butelek, zrozumiał, czym było to uczucie.

Litość.

Litość jak nad zwierzęciem, które robi pod siebie, a potem chce się w tym tarzać; które zdechnie bez opieki, karmienia, miłości. Tym właśnie był dla tamtej dziewczyny. Nieporadnym, nieokrzesanym stworzeniem – takim, które potrafi dać ciepło i od czasu do czasu zaskoczyć czymś miłym, ale na dłuższą metę jest tylko brzemieniem. I dokładnie tak samo myślała o nim Dona, kiedy pocięła tamte obrazy.

Teraz staje na betonowej wylewce piwnicy i przez chwilę długą jak wieczność nie jest pewny, czy znalazł się w tym samym świecie, w którym był jeszcze na parterze. Do gardła w drżącej, gorzki guli podchodzi mu żółć. Myśl, ostra i nagła jak rozbłysk flesza: *Wszystko skończone*. I druga: *To się nigdy nie skończy*. Obwąchują się, warczą, jeżą sierść. W końcu wgryzają się sobie w tyłki – skundlona karykatura yin i yang, zakleszczona w wiecznej walce. Całe jego życie jest tymi dwoma psami, końcem i brakiem końca, tryptykiem bez ostatniego obrazu, pętlą.

Dlatego *Dzikie psy I* leżą u stóp Dony, tak jak leżały *Ostrowy burzanu IV*.

Dlatego Dona trzęsie się od płaczu, tak jak trzęsła się w jego pracowni.

Dlatego mierzy ją wzrokiem i powtarza echem:

– Co ty wyprawiasz, kochanie?

Wtedy... Miał sukces na wyciągnięcie ręki. Ponad dwadzieścia gotowych obrazów, wystawa za pasem. Dona po wyjściu ze szpitala zwolniła się z pracy i całe dni spędzała w domu, ubrana w szlafrok, snując się po pokojach jak duch białej damy. Rafał był przekonany, że zniesie to, jak znosiła wszystko – jakby żaden kryzys, żadna tragedia jej nie dotyczyły. Była najsilniejszą osobą, jaką znał. Zawsze myślał, że gdyby to ona stała za sterami Titanica, doprowadziłaby statek do portu czystą siłą woli, niezależnie od gór lodowych i zalanych pokładów. Dlatego od czasu rozmowy z lekarzem ani razu nie poruszyli tematu choroby. Rafał i tak miał wystarczająco spraw na głowie, omawiając z kierownikiem galerii wystrój, podkład muzyczny i rozmieszczenie dzieł. Z żoną rozmawiał tylko podczas kolacji, na którą każdego dnia przynosił danie z innej restauracji. Wydawała się opanowana, gotowa do walki ze słabościami organizmu, kiedy grzebała widelcem w swojej porcji i pytała, jak minął mu dzień.

A potem wrócił któregoś dnia i zastał ją w pracowni, szlochającą, na kolanach, raz po raz dziabiącą nożem w jeden z jego najlepszych obrazów. Reszta kolekcji leżała pocięta na kawałki wokół niej. Jednego dnia miał wystawę, świetlaną przyszłość, sławę, drugiego – garść konfetti.

Nie zastanawiał się nawet dlaczego. Złożył to na karb załamania nerwowego, stresu tłumionego latami. Jak w momentalnie zatrzymanym aucie wszystko w niej pofrunęło w powietrze, zrywając pasy bezpieczeństwa, przez przednią szybę.

Teraz patrzy, jak Dona stoi przy otwartym piecu, wpatrzona w jego nowy obraz, kolejną szansę na wielkość, i wreszcie dociera do niego, że to kilka miesięcy temu to wcale nie był napad w stylu Normana Batesa.

(„Wszystkim nam czasem odbija”.)

Dona dobrze wiedziała, co robi. Potrafił sobie wyobrazić jej głos, rzeczowy, boleśnie trafiający w punkt, jak wtedy, gdy skrytykowała obraz:

„Co ty byś zrobił, gdybym umarła? No? Znany malarz, wdowiec, kieszenie pełne szmalu... Nie minąłby tydzień, a leżałbyś w rowie, zaćpany po kolejnej imprezie w domu jakiegoś artysty, bo wam wszystkim wydaje się, że jesteście Dalim albo, psiamac, Witkacym, że jak się nawciągacie jakiegoś świństwa, to stworzycie Wielką Sztukę, nawet jeśli w rzeczywistości obracie sobie gacie brązowym freskiem. Zrobiłam to dla twojego dobra! Rozumiesz? Pocięłam te obrazy i nie masz wyjścia. Musisz dalej malować pejzażyki dla sklepów meblowych i marzyć o wielkości. Bo dopóki masz to

marzenie przed oczami jak ten osioł marchewkę, przynajmniej się nie stoczysz”.

Rafał zna smak tego uczucia. Nigdy go nie opuszcza, jak gorzki nalot na podniebieniu.

Litość.

Litość to nóż podcinający skrzydła, kiedy zbliżasz się do słońca. To dłoń w żelaznej rękawicy, która łapie za mordę i z całej siły przyciska do ziemi.

– Okłamałeś mnie – mówi Dona.

Nie musi patrzeć, co znalazła w piecu. Wie, czyje szczątki rozmyły się za jego sprawą w dymie i sadzy.

– Nie chciałem cię martwić. Nie mogliśmy mu już pomóc. Mój obraz...

– Co twój obraz? Co obraz?! – wrzeszczy. – Ten, na którym mój kot to mokra plama? Co mu zrobiłeś, Rafał? Mów.

– Kochanie... – Robi krok w jej stronę.

– Mów albo spłonie jak mój kot.

Jej dłoń wyszarpuje coś z gardzieli pieca – gruby kawał gałęzi z wiatrołamów. Płomień na jego końcu zawisa jak wyrok nad olejnym płótnem.

– Aldona, proszę cię. – Wyciąga błagalnie ręce. – Oszalałaś? To przecież nie ja, to wszystko te psy.

– Nie widziałam żadnych psów. Nikt nie widział. Rozmawiałam z panią Pruch, wiem, że przeszukali las. Gada o tym cały Bągartów! – Dłoń jej drży; kilka iskier osypuje się na obraz. – Skąd mam wiedzieć, że nie zrobiłeś tego z zemsty?

– Z zemsty?

– Wiesz, że nie byłeś gotowy. Zginąłbyś beze mnie.

– Dona...

– Zrobiłam to, co konieczne. Żebyś był ze mną w tych ostatnich... – Krztusi się nagłym szlochem. – Chciałam... mieć cię przy sobie. Musiałam! Bo cię kocham, rozumiesz? Tylko przy tobie mogę być silna, tylko z tobą mogę zwalczyć to cholerstwo. Jesteśmy sobie potrzebni. Bo ja też... ja też zginęłabym bez ciebie!

Usta Rafała poruszają się bezgłośnie. Ma wrażenie, jakby po raz pierwszy od miesiący (może nawet lat) zobaczył prawdziwą twarz żony. Nieprzenikniona maska Giocondy złuszczyła się jak stary naskórek, odsłaniając napuchnięte płaczem policzki, drżącą wargę – wszystkie odcienie jej smutku, obawy i żalu.

Rafał się mylił. Wcale nie kierowała nią litość. Nie chodziło nawet o niego. To była rozpacz – czarna i bezbrzeżna, i w całości jej. Ona również czuła na karku wygłodniały oddech Śmierci. Za każdym razem, gdy Aldona Kuzio budziła się rano, było jej mniej. Gdyby obnażyć jej kości, można by zobaczyć ślady zębów po czymś, co próbowało dostać się do szpiku. Dializy tylko odraczały egzekucję.

Jak mógł nie dostrzec tego wcześniej? Może kiedy wyrzuciła basen przez okno, chciała po prostu zwrócić jego uwagę. Może czuła, że traci go dla sztuki, że więcej czasu spędza ze swoją muzą niż z chorą żoną. Może nie on był tu ofiarą. Może byli nimi oboje.

Patrzy prosto w jej szarozielone oczy – te piękne, melancholijne łąki we mgle – i coś skrapla się na jego policzku.

Jak do tego doszło? – zastanawia się. – Czemu stoimy naprzeciwko siebie jak dwaj rewolwerowcy, z kośćmi i ogniem pomiędzy nami? Przecież kocham ją nad życie.

– Nie zabiłem Zawady – mówi łagodnie, podchodząc bliżej. – Rozszarpały go psy. Tak mi przykro, kochanie... Tak mi przykro.

Dona kiwa głową. Rozumie, że nie chodzi wyłącznie o kota. Coś na kształt uśmiechu przez krótką chwilę nawiedza jej wargi.

– Kochałam tego pasiastego łazęgę.

– Raczej spasionego – dorzuca Rafał.

– Pasibrzuszego?

Śmieją się oboje. Dona opuszcza dłoń. Chce chyba ruszyć w jego ramiona, lecz wtem traci władzę w nogach, osłabiona.

Z płonącej gałęzi odpada rozżarzony kawałek i uderza w płótno jak gwiazda Piołun. Obraz w ułamku sekundy zajmuje się ogniem.

Rafał pada na kolana. Nieludzkie wycie rozdziera mu gardło, rykoszetuje od stropu – wszystko w tym wyciu tonie, dostraja się do jego częstotliwości, jakby nie istniało już nic innego, jakby cały świat był bólem.

Płomienie pożerają płamę po Zawadzie, śnieżne odludzie, psy; przemalowują każdy skrawek płótna czernią.

Dona cofa się o krok, przyciskając dłonie do twarzy. Jej usta raz po raz artykułują to samo słowo – *nie, nie, nie* – ale żadna zgłoska nie przebija się przez wrzask.

Aż w końcu – gdy wydaje się już, że będzie wył tak do końca świata – Rafał cichnie. Ale skowyt wcale nie traci na sile. Słyszą to oboje. Inne głosy, wzniesione ku niebu w przejawie braterstwa: ogłuszający chór

zgromadzony gdzieś na podwórku, pod drzwiami i oknami, tak blisko, jak jeszcze nigdy dotąd.

Trzask szyby w salonie podrywa Rafała na nogi.

– Co się dzieje? – Dona łapie się za głowę. – Rafał, na litość boską, co się dzieje?

– Wróciły – odpowiada cicho. – Psy wróciły.

(Po ciebie.)

(Wróciły po ciebie, Dona.)

(Dziś Śmierć będzie stołować się na twoich kościach.)

* * *

Na szczycie schodów staje Księżę. Rafał rozpoznaje psa z opisu komendanta. Zrudziały wilczur Pilarczyków wygląda, jakby życie w dziczy przedzierzgnęło go do połowy w kojota, odbierając resztki udomowienia. Trudno sobie wyobrazić podobną bestię jedzącą z miski, wypróżniającą się na spacerze, czuwającą przy łóżku. I tylko przy obroży kołysze mu się kilka ogniw zerwanego łańcucha – memento szepczące „Nigdy więcej”.

Księżę pochyla łeb i rusza. Kieruje się prosto na Donę, mimo że Rafał jest bliżej; mimo że dzieli go od niej płonący obraz, drewno na opał, narzędzia. Przez jeden-dwa oddechy żadne z nich nie reaguje. Żar buchający z pieca zamienia ich w popielne rzeźby z Pompejów. Ale kiedy pies jest na tyle blisko, że czuć zapach jego sierści ponad śwędem płonących farb, Rafał otrząsa się z otępienia.

Kopie w stos makulatury i skacze w kierunku Dony. Leżące luzem gazety rozsypują się po podłodze, zaskakując psa. Zwierzę hamuje, warczy. Próbuje wyminąć przeszkodę, lecz wtem któryś ze starych tygodników zajmuje się ogniem od *Dzikich psów I*. Płomienie pełzną przez jeden arkusz, przeskakują na kolejny, aż w końcu sięgają przewiązanych sznurkiem paczek przygotowanych do wywiezienia do skupu. Nie mija pół minuty, a między nimi a Księciem wykwita pole ognia.

– Rafał! Jezus Maria, Rafał! – Kruche palce Dony zaciskają się na jego ramieniu. – Spalisz dom!

– Zapomnij o tym.

– Jezu...

– Zapomnij, powiedziałem! Musimy się stąd wydostać.

Reszta piwnicy jest zbyt zagracona, by się precyzyjnie przeliczyć – myśli – ale te papierzyska nie będą płonąć wiecznie...

Rozgląda się za bronią. Próbuje nie patrzeć na wilczura krążącego przy linii ognia, nie odrywającego wzroku od Dony; na inne kosmate kształty kłębiące się u drzwi. Wypatruje siekierę tuż za płowym grzbietem Księcia, wspartą o plastikowe skrzynki. Równie dobrze mogłaby być na Marsie. W zasięgu wzroku ma tylko stare narzędzia, które nie zmieściły się w komórce, w większości po poprzednich właścicielach.

Odsuwa od siebie Donę i chwytą za trzonek łopaty. Z ostrza odłają resztki zielonej, wodoodpornej emalii, a gwóźdź mocujący jest tak przerdzewiały, że cudem nie rozsypuje się w proch.

Będzie musiała wystarczyć.

Uzbrojony, zaczyna przesuwac pudła, żeby dostać się do metalowego regału, który sam skręcał. Stoi na nim bateria ogórków kiszonych, powideł i żywności w puszkach.

– Stań za mną – mówi do żony.

Żadnej reakcji.

– Dona, do cholery, rusz się! Wynosimy się stąd!

Musi zawrócić i chwycić ją za rękę. Znowu jest blada i niewyraźna, gotowa paść w pościel. Wzrok ucieka jej w kierunku psa, jakby zaczynała rozumieć, że to ona je przyciąga; tym martwym piętnem, przy którym zawsze kładł się Zawada, pulsującym czarnym światłem.

– One... one są na zewnątrz – mówi słabo, gdy Rafał ustawia ją za sobą i zaczyna huścić regałem. – Słyszę je.

– Lepiej tam niż tu w pułapce.

Kilka słoików zlatuje z półek i kończy żywot na podłodze. Chwilę później z przeraźliwym hurgotem przewala się cała konstrukcja. Książę zaczyna ujadać, ale Rafał nie patrzy w jego kierunku. Widzi tylko prostokątne okienko, niemal do połowy zasypane śniegiem. Drogę ucieczki.

Dona wpełza jako pierwsza. Podobnie jak on, ma na sobie tylko piżamę i szlafrok, więc zaczyna drzeć z zimna, gdy tylko zanurza ramiona w śniegu. Rafał podaje jej łopatę. Udaje mu się wspiąć do pasa, z nogami wspartymi o przewalony regał, kiedy słyszy za sobą brzęk puszek, ruch, sapanie – i zanim zdąży sobie wyobrazić, co to może być, na jego łydce

(NIE! NIE! ZŁY PIES!)

zaciskają się żelazne szczęki.

Nie ma nawet czasu wrzasnąć. Przez jego ciało przetacza się fala nudności, gdy pies okręca łeb i szarpie, próbując wciągnąć zdobycz z powrotem do ciasnej, wypełniającej się dymem nory. Myśli gnają mu jak

spuszczone ze smyczy: *Nie, nie, nie, to się nie dzieje naprawdę, nie, kurwa mać, nie...*

Zapadnięty w śniegu po kolana, staje przed nim przerażony, siedmioletni chłopczyk i otwiera usta w parodii *Krzyku*. Rafał macha ręką, próbując go odgonić, ale widmo nie znika.

(Pamiętasz?)

Wtedy, kiedy babcię ugryzł pies, wdało się zakażenie. Całą jej nogę od kolana w dół pokryła sieć nabrzmiąłych czarnych żył. Rodzice rozmawiali z lekarzami o białych krwinkach, znieczuleniu, szoku dla organizmu. Mówili przyciszonymi głosami, ale Rafał słyszał w poczekalni każde słowo. „Gdyby tylko przyjechała do szpitala od razu”. Dziesiątki zdań, z których nie wynikało nic... Siedział potem w cuchnącym lizolem pokoju i patrzył na wybrzuszenia pod kołdrą seniorki, nie do końca rozumiejąc, dokąd uciekła jej druga stopa. Pytał mamy, czy lekarze ją złapią i czy przytwierdzą babci z powrotem. Kiedy po tygodniu wdała się gangrena, był przekonany, że chodzi o jednego z babcinych demonów na każdą okazję. Jak wtedy, gdy powiedziała „Nie wychodź sam na ulicę, za zakrętem krąży Boruta”. Co to dla niej, zwalczyć coś takiego? Przecież wiedziała o nich wszystko! A potem był telefon w środku nocy i łzy matki, i wielka wiązanka, i za duży garnitur dla niego (bo od razu na komunię za rok), i obiad w lokalu pełnym ciotek, które mówiły, jak bardzo urósł, i jeszcze więcej łez. Aż w końcu pewnego dnia zrozumiał, że babcia umarła, bo ugryzł ją pies. I w jego umyśle, jakby odkrywał jedną z Wielkich Prawd świata, pojawił się pierwszy dogmat, znak równości między dwoma pojęciami.

Pies jest Śmiercią.

Śmierć jest psem.

A teraz sam dał się złapać w Jej mordercze szczęki.

Dona chwyta go za ramię i ciągnie, porzuciwszy łopatę. Rafał nie potrafi zdecydować, czy kieruje nią miłość, czy może zdążyła pogodzić się z myślą, że umrze jako pierwsza i teraz nie chce przyjąć do wiadomości, że mąż może ją uprzedzić.

Cokolwiek to jest, dodaje mu sił. Krzyczący bezgłośnie chłopczyk roztapia się jak bałwan. Rafał bierze zamach wolną nogą i wymierza kopniaka w pysk wilczura.

Tak! Żuchwa odskakuje z satysfakcjonującym skamleniem. Dona pomaga mu wyczołgać się na śnieg, kładzie ramię na swoich barkach. Rafał nie czuje łydki, ale brak czucia to błogosławieństwo – widzi bowiem krew

przesiąkającą przez nogawkę, luźno wiszące strzępki materiału i skóry, nierozróżnialne, zlepione w chory strup. Gdyby pozwolił sobie poczuć ból, jego pęcherz mógłby znów skapitulować.

- Szybko. Do samochodu – sapie jej do ucha, ale Dona potrząsa głową.
- Spokojnie. Mam zapasowy klucz. Wciśnięty pod siedzenie.
- Nie o to chodzi, Rafał – odpowiada.
- Jeśli się pospieszymy...
- Rozejrzyj się, do cholery!

Rafał unosi wzrok i nagle wie dokładnie, co powinien zrobić. Zgina się wpół, rechocząc jak opętany. To przecież takie zabawne: opuścić jedno piekło i trafić do kolejnego, o kilka kręgów niżej, choć mógłbyś przysiąc, że wspinałeś się do góry. Myśli, że Dona lada moment strzeli mu w pysk. Tak się przecież robi z rozhisteryzowanymi ludźmi. Ale ona stoi nieruchomo. Właściwie, wszystko naokoło stoi, czekając, aż skończy. I jego żona, i powietrze... i psy.

Gdziekolwiek były przez ostatni tydzień, wróciły liczniejsze, bardziej wychudzone i dzikie. Może na tym właśnie polegało ich zniknięcie. Na gromadzeniu sił – i apetytu – przed ostatecznym natarciem. Spłowiałe, zmierzwiłone grzbiety ciągną się wzdłuż granicy podwórka w nierównych odstępach; skundlony Las Birnam. Najmniejsze są wielkości terierów, największe – mastifów. W ich matowych ślepiach odbija się żądza mordy. Wystarczy, że samiec alfa da sygnał do ataku, a ruszą na długo wyczekiwany żer.

Śmiech Rafała przymiera w czkawkę. Zdaje sobie sprawę, że od jakiegoś czasu porusza się, kuśtyka w stronę werandy, wsparty na łopacie, którą Dona wepchnęła mu pod pachę jak kulę. Przez napad bezradnej wesołości plan ucieczki wyleciał mu z głowy, ale teraz okręca się i widzi swoje subaru stojące przy komórce, pilnowane przez najbardziej parchatego kundla w stadzie oraz coś, co kiedyś, nim usłyszało zgubny zew, mogło być długowłosym owczarkiem. Nawet gdyby udało im się przedrzeć do środka, nie ujechałyby daleko na czterech kapciach.

Skąd wiedziały, żeby przegryźć opony? – myśli, nie dowierzając, ale nie ma czasu sformułować teorii, bo oto są u drzwi wejściowych, na progu domu, o którym wiedzą, że nie jest bezpieczny, do którego wdarły się wszystkie najgroźniejsze osobniki, jakieś komando do zadań specjalnych. W środku słyhać rumor, sapanie, chrzęst łap na rozbitym szkle. Rafał i Dona patrzą sobie w oczy, spoglądają przez ramię na nieruchomą psią falangę.

W mgiełkach ich oddechów skrapla się strach, ale jest go mniej, niż być powinno. Dzielony na dwa, rozrzedza się w coś mniej lotnego, bez ryzyka wybuchu.

– Biegniesz prosto na poddasze – mówi Rafał, poprawiając chwyt na łożu. – Nie zatrzymujesz się. Nie oglądasz za siebie.

– Ty też. – Głos Dony jest na powrót twardy i nieznoszący sprzeciwu, jak wtedy, gdy zawiadywała połową międzynarodowej firmy.

– Ja też – zgadza się. – Ale z tą nogą jestem wolniejszy, więc będę cię osłaniać. Złap coś, czym możesz się bronić. Masz na górze swój telefon?

Dona odwraca wzrok, zawstydzona.

– Wyrzuciłam. Ponad miesiąc temu. Nie chciałam już słuchać, jak wszystkim przykro.

No tak...

– Trudno, może uda mi się złapać swój. Jeszcze jedno. Jeśli zobaczysz wielkiego czarnego psa z oczami jak dwie latarnie... uciekaj w drugą stronę. Tak szybko, jak to możliwe. Rozumiesz?

Próbuje powiedzieć coś jeszcze, jakieś nic nieznaczące słowa otuchy, ale Dona zamyka mu usta pocałunkiem. W następnej chwili odrywają się od siebie i wpadają do środka, i wszystko, wszystko pochłania chaos.

Dym. Sączy się spod drzwi piwnicy, nisko przy podłodze. Swąd spalenizny z kuchni, gdzie do cna wyparowała woda z makaronu. Zwierzęcy odór – krew i szczyny, mokra sierść i gówno – uderzający w nozdrza jak pięść boksera, któremu ktoś zapomniał powiedzieć, że to niewinny, towarzyski sparring. I z tego dymu, swędu i odoru wyskakują na nich dzikie psy.

Płaz łopaty ląduje na pierwszym obślinionym pysku, rzucając na ścianę włochate ciało. Coś chrupie, ale nie ma czasu na myślenie co, trzeba przeć do przodu, we wzburzoną ruchem szarość. Przez powietrze frunie wazon, rozbijając się na kolejnym łbie. Biegną, wskakują na pierwsze stopnie. Biały prostokąt poddasza lśni jak brama do niebios. W każdej innej sytuacji byłaby to tragiczna decyzja – uciekać na górę – ale na szczycie schodów jest ciężka drewniana kłapa, nie do przegryzienia tysiakiem szczęk.

Dona potyka się, krzyczy, zdiera kolana, ale pełźnie dalej. Rafał okręca się, by ją osłonić. Korytarzem przemyka jeden pies, drugi. Są skołowane, otumanione, przestają ich dostrzegać. Ogląda się na żonę i w jego sercu rozkwita nadzieja, że jednak, mimo wszystko, może im się udać.

Warkot. Z dołu.

Obraca się i ma tylko sekundę, by unieść trzonek łopaty, nim drewno przygryzają kły-brzytwy. To Księżę. Ciężki jak wszystkie grzechy, przewala go na schody, szamocząc się i tocząc pianę. Rafał próbuje podwinąć nogę, by kopnąć wilczura w podbrzusze, ale jest zbyt zajęty odpieraniem ataku na swoje gardło.

– Dona! Dona, pomocy!

Gdzieś w odległych przestrzeniach nad nim majaczy jej otoczona nimbem sylwetka: ramiona rozedrgane, włosy w nerwowym kołtunie. Patrzy prosto na niego, ale jakby go nie widziała. Jest stojącą na brzegu kochanką, która wie, że jej żeglarz odpłynął za ostatni horyzont, a mimo to nadal obserwuje fale. Nie z nadzieją, a z przyzwyczajenia.

A potem, z hukiem czegoś cięższego niż zbite drewno, zatraskuje się za nią kłapa i ostatnie promienie słońca zabierają ze sobą jego żonę...

... a może to ona zabiera ze sobą słońce?

Rafał zamyka oczy i ucieka w jedynym kierunku, jaki mu pozostał. W głąb, do środka, spiralą w dół. Ciemność w skórze psa połyka go w całości, miękka i litościwa. Ktoś wyje, ale sam już nie wie, czy to zwierzęta, czy otchłań, czy on.

* * *

W głowie Rafała stoi buda. Krzywo zbita, z okrągłym otworem, jak u tamtego kundla, który wyskoczył na drogę i ugryzł babcię. Kundla, który ją zabił. Ktokolwiek stawiał tę konstrukcję, nie zważał na funkcjonalność czy estetykę. Bo przecież wcale nie chodziło o to, by osłonić jej lokatora od żywiołów, ale o to, by dać mu własny kąt i tym sposobem uchronić świat od jego obecności.

A teraz buda jest pusta. Resztki łańcucha dzwonią o deski, kołysząc się w podmuchach wiejących znikąd. Mieszkająca tu bestia – spętana całe lata temu, sądząc po śladach pazurów wyrytych w drewnie – zerwała się i uciekła w mrok podobnie jak pies Pilarczyków; jak dziesiątki anonimowych psów z okolicy. Zwierzę może już nigdy nie powrócić, ale w najgłębszych pokładach przekonania Rafał wie, że tak się nie stanie.

Spotkał już przecież tego psa. Nie w swojej głowie, a poza nią.

(Nadszedł czas.)

Otwiera oczy. Czaszkę rozrywa mu ból. Ma wrażenie, że lewa i prawa półkula znalazły się po obu stronach poszarpanej rozpadliny. Po tandentnym żyrandolu z poroża (prezent od szwagra) poznaje, że jest

w salonie. Rzadki dym wypełniający pomieszczenie zdaje się wsiąkać w jego członki, zmieniając je w rozmiękle, pozbawione stawów kluchy. Wełniany szlafrok jest wielkim, cuchnącym strzępem.

Z jękiem podnosi się do siedzenia. Psy otaczają go milczącym kręgiem. Siedzą na podłodze, na kanapie, na fotelach, wpatrzone w niego jak w tresera, który lada moment da sygnał do wykonania karkołomnej sztuczki. Nie ma w nich ani agresji, ani sympatii; ogony ani się nie jeżą, ani nie merdają. Jest tylko oczekiwanie.

Jakim cudem jeszcze żyję? Na co one czekają?

Rafał podkula kolana. Bierność zwierząt przeraża go jeszcze bardziej niż wcześniejsza agresja. To niewątpliwie widok godny obrazu – psi tłum zamrożony w tajemniczym milczeniu jak blade oblicza z *Niepokoju* Muncha – a jednak w jego głowie nie pojawiają się żadne ramy, złote czy zwyczajne.

Za nic nie chce tego malować. Nie chce nawet na to patrzeć. Wie bowiem, że jego tryptyk nie może się skończyć w ten sposób.

(Pamiętasz?)

Ten głos... Głos, który słyszał zawsze z tyłu głowy, teraz mocny, wyraźny.

Rafał okręca się na klęczkach – i nagle spogląda w płonące ślepie, o dłoń od swojej twarzy.

– Nie...

Przez cielsko bestii przebiega dreszcz, jakby jego cichy, mysi protest tylko wzmógł jej nieposkromiony głód krwi. Skulona w napięciu, w gotowości do ataku, jest dokładnie tej samej wielkości co on, tak że nos niemal dotyka nos, dłoń łapę, skóra sierść – a jednak zdaje się, że jest jej dwa razy więcej niż Rafała, że zlepiła się w jedno ze swym kosmatym cieniem. Ma pod sobą wolę każdego psa w pomieszczeniu. I patrzy prosto na niego.

(Pamiętasz?)

Rafał mało nie podskakuje. Głos ponownie rozlega się w jego czaszce, ale nie ma już w sobie nic z bezpłciowej monotonii. Jest szorstki, gardłowy, podszyty warkotem. Psi.

– Pamiętam? – udaje mu się wykrztusić. – Pamiętam co?

Zamiast odpowiedzi wracają wspomnienia. Te upchnięte w ciemnym zakątku umysłu, o których za nic nie chce myśleć.

Tamtego dnia wybrali się z Doną do galerii w centrum. Po fenomenalnym sukcesie *Ostrowów burzanu* Rafał był przekonany, że rozmowa z właścicielem okaże się czystą formalnością i sprawę wystawy załatwi od ręki.

Ale gdy tylko weszli do galerii, pewność siebie uszła z niego jak powietrze z przekłutego balonu. Ściany wypełniały powiększone fotografie psów. Nie niewinne portrety, nie ujęcia ukazujące piękno zwierząt w ruchu, a zdjęcia szklące się bielą kłów, zogniskowane na żądry mordy w oczach, odarte z ciepła płaskością polaroidów. Z ukrytych głośników, w ramach budowania klimatu, płynęło ciągle ujadanie, warczenie i wycie, które do spółki z przyciemnionymi światłami przyprawiało go o gęsią skórę.

Właściciel z nieskrywaną dumą wyjaśnił zamysł wystawy: wydobyć na wierzch tę niepokojącą, wilczą naturę istot, które wpuszczamy do naszych domów, obok których śpimy, jemy, bawimy dzieci. Aby to osiągnąć, ekscentryczny fotograf ubrał się w pożyczony waciaczek i wyszedł na ulice miasta. Tam prowokował bezpańskie i spuszczone ze smyczy psy, aż zdenerwowały się na tyle, by zaatakować. Chwytał je w kadr skaczące na obiektyw, z fruującą śliną albo górujące nad nim z obnażonymi zębami, gdy obaliły go na ziemię. Rafał pamięta, że zapytał, czemu mężczyzna używał polaroidu, bądź co bądź wyjątkowo nieporęcznego, a właściciel odpowiedział coś o „chwytaniu momentu”, o tym, jak przebłysk „atawistycznej dzikości” musiał być natychmiast wpisany w barwy, inaczej umknąłby na zawsze.

„Rozumie pan, o czym mówię, prawda?”

Rafał rozumiał. Czuł tę grozę pod skórą, unoszącą włoski na ramionach. Odwracając się do właściciela tak, by nie widzieć żadnej z fotografii nawet kątem oka, prędko zmienił temat na swoją twórczość.

Musieli być w połowie ustaleń, zboczywszy na dyskusję o geniuszu Malczewskiego, kiedy to się stało. Krążąca po sali Dona padła, ścięta z nóg. Było to tak nagłe i niespodziewane, że przez kilka sekund żaden z gości nie zareagował. Patrzyli na nią, jakby była częścią performance'u. Dopiero kiedy starsza kobieta zaczęła krzyczeć coś o karetce, wyzwolili się spod uroku i dopadli do ciała niczym stado wron.

Z tego, co działo się później, Rafał pamięta tylko przebłyski. Klekot noszy wtaczanych do ambulansu. Korek na Świętokrzyskiej. Świeżo umytą podłogę poczekalni.

Teraz, gdy wyteża umysł, przypomina sobie wyraźnie jeszcze jedną rzecz. To właśnie wtedy, gdy trzymał w ramionach Donę, czekając na pogotowie, gdy słuchał zapętlonego szczekania, którego nikt nie raczył wyłączyć, po raz pierwszy przypałała się ta myśl. *Psy chcą rozszarpać moją żonę.* A zaraz potem: *To wszystko jej wina.* Nienawidził się za to. Dona dopiero co miała

atak i mogła umrzeć, a on myślał o swoim Wielkim Przełomie, o zaprzepaszczonych szansach. Górna warga drgała mu w gniewie, odsłaniając zęby, a w gardle rodził się ostry dźwięk – warczenie pierwszego wilka, którego człowiek spętał łańcuchem. Coś ciemnego zakotłowało mu się w głowie. Poczuli Jej bliskość, zanim powiedziała mu o Niej tamta kobieta, zanim choć po części zdał sobie sprawę z tego, czym jest.

Śmierć.

Śmierć, która dla niego, odkąd zetknął się z nią po raz pierwszy w wieku siedmiu lat, zawsze miała psi łeb, kły i pazury.

Śmierć wpatrzona ślepiami jak chore latarnie prosto w Aldonę Marię Kuzio.

Dlatego postawił w głowie budę i zamknął w niej bestię, licząc, że zdechnie, jeśli nie będzie jej dokarmiał. Lecz każdy czyn, każde słowo Dony było jak ochłap rzucony w ciemny otwór – pozwalały urosnąć i coraz mocniej napierać na metalowe ogniwa. Aż w końcu któreś z nich pękło jak naczynko w mózgu. Padł na kolana w zimowym lesie i wyrzygał z siebie całą tę czerni, patrząc, jak przybiera ona postać psa, jak rzuca się na buszującego w zaroślach Zawadę, jak wyje głosem łamiącym obroże, zrywającym łańcuchy, jak ucieka w las, wiedząc, że nie jest jeszcze gotowy, że musi zrozumieć.

Teraz nareszcie

(Nadszedł czas.)

Rafał wstaje chwiejnie, wspierając się dłońmi o kolana. Psy idą za jego przykładem. Przy drzwiach na korytarz dostrzega Księcia. Wilczur kładzie po sobie uszy, zawstydzony tym, że musiał pogryźć swego nowego pana na jego żądanie. Bo przecież żaden z nich nie chciał go zaatakować, nie tak naprawdę. Był ich przywódcą. Wezwał je ku sobie, bo wiedział, że nie będzie w stanie zrobić sam tego, co konieczne.

(Pamiętasz, co wtedy pomyślałeś?)

Spogląda na czarne monstrum. Swój cień, drugą skórę.

– Kiedy?

(Kiedy pocięła obrazy.)

– Nie. Nie wiem...

(Pomyślałeś: „Zabiję ją”.)

(„Zabiję tę sukę”.)

– To był tylko instynkt. Pierwsza myśl.

(To byłeś ty. Prawdziwy ty.)

Był sobie dom, a za domem zagajnik, a w zagajniku grasowały dzikie psy...
Był sobie dom, a za domem zagajnik, a w zagajniku grasowały dzikie psy...
Dom, zagajnik, psy, dom, zagajnik, psy...

Głowa. Myśli. Śmierć.

– Zwariowałem. – Rafał śmieje się bezradnie. – Kompletnie mi odbiło.

(„Wszystkim nam czasem odbija”.)

Ha-ha-ha-ha, ha-ha-ha, ha-ha-ha... Śmiech nie ustaje, wstrząsa mu wnętrznościami, zgina go wpół. *Haaa! Haaa! Haaaauuu! Huuuuuuuu!* Przechodzi w wycie.

Wszystkie jego psy, psy Rafała Kuzio, zadzierają łby i wyją. Do księżyca, który zdążył ostemplować niebo nad zębatą granicą drzew. Do poddasza, gdzie skryła się ofiara. Drżący, wysoki dźwięk wypełnia mu głowę, tak że nie ma już miejsca na nic innego.

Bestia kładzie mu na piersi przednie łapy – jak wtedy, gdy wyskoczyła zza komórki. Tym razem Rafał stoi wyprostowany. Tym razem nie czuje strachu. Wtula się w gęstą, pachnącą nocą sierść i opiera głowę o wielki, włochaty łeb. Jęzor jak papier ścierny liże go po uchu, zostawiając na płatku drapiącą wilgoć. Chwilę później ogromne psisko rozpływa mu się w ramionach, wsiąka w podarte ubrania, w skórę, mięśnie, krwiobiegi...

(Nareszcie.)

Płótno w jego głowie spływa pojedynczą barwą. Tak oto kończy się tryptyk. Wiedział to od początku. Za każdym razem, gdy zamalowywał nieudany obraz, tworzył kolejne dzieło sztuki, *Dzikie psy III*. Mimo że Dona (grrr) klęła na jego twórczość, mimo że (grrr) cięła ją, paliła, mimo że (grrr) na każdym kroku próbowała ściągnąć go na ziemię. Zapłaci i za to, gdy w końcu dopełni się jego nowy cykl.

Psy w oddali, psy blisko i psy w tobie.

Biel, czerń i czerwień.

Puste ramy

Dona słyszy skowyt odbijający się echem od ścian i myśli:

Jezu, on nie żyje. Spanikowałaś, durna miotło, i zostawiłaś go na pastwę wściekłych psów. Własnego męża. A one rozszarpały go na tysiące kawałeczków. Rafał Kuzio przestał istnieć. I to wszystko twoja wina.

W gardle ma piaski Sahary. Sięga po dzbanek stojący przy łóżku i pije prosto z niego. Ręce telepią jej się tak, że połowa wody spływa w dół dekoltu

jak lodowate paluchy szukające serca, ale wystarczy kilka łyków, by ukoić nerwy. Chwilę później czuje napór na pęcherz i dyskomfort powraca jak zły szeląg.

Tak właśnie wygląda jej życie. Pije, więc chce jej się szczać; szcza, więc chce jej się pić; ma cerę trędowną, siano na głowie, a krew muszę oczyszczać maszyny.

– To nie moja wina – mamrocze, krzywiąc się z bólu. Ma wrażenie, że wokół niej stoją milczące, pozbawione twarzy postacie w togach, wyciągając oskarżycielsko palce. – Pierdolcie się wszyscy. Nie moja wina, bo nie jestem sobą. Nie jestem sobą.

Starła się wyzbyć tego uczucia. Powtarzała sobie, że to nie rak, obce ciało, a zwykła niewydolność nerek. Jej własny organizm – zepsuty, przetarty, do przeróbki. Nic się w tobie nie zmieniło. Oglądała kiedyś na Discovery program o pracowniku kolejowym, któremu wbił się w głowę długi kawałek metalu. Biedak przeżył, ale od tamtej chwili jego charakter uległ zmianie. Podawano różne przykłady: ludzi, którzy po wstrząsie mózgu zaczęli mówić obcym językiem albo takich, którzy znikali na lata, bez wspomnień z poprzedniego życia. Świat jest pełen dziwnych schorzeń. Ale zmieniać swoje zachowanie z powodu dysfunkcyjnego organu czy dwóch? Dla dawnej Dony byłoby to nie do pomyślenia.

A jednak tak to właśnie wyglądało. Jakby pewnych rzeczy nie robiła ona, a robiono je przez nią. A co najgorsze – to samo udzieliło się Rafałowi.

Oboje odmieniła bliskość Śmierci. Oboje robili rzeczy, których później żałowali. I oboje...

Kroki. Ciężkie, dudniące o stopnie. Ludzkie? Jezu, chyba tak, ale...

Dona wychyla się za skraj łóżka, nasłuchuje. Rytm, który dobiega do jej uszu, jest trudny do sprecyzowania. Klap, klap, tup, tup. Klap, klap, tup, tup. Dwie osobne istoty. To nie może być Rafał. Widzi go oczami wyobraźni, choć zaraz wypędza ten obraz z głowy: całego we krwi, pełzającego ku niej z poszarpaną nogą ciągnącą się za nim jak przerośnięty ogon. Nie, ten dźwięk jest konkretniejszy, nie ma w nim żadnego powłóczenia czy szurania. Klap, klap, tup, tup. Klap, klap, tup, tup. Co zatem? Psy? Nie przypomina sobie, żeby widziała kiedyś zwierzę, które chodziłoby w podobny sposób, ale z drugiej strony, co innego może to być?

Pomoc? Kto mógł wezwać pomoc na tym cholernym zadupiu?

Nie powinnaś sobie robić nadziei. Jesteś tu sama jak palec. I jeśli przeżyjesz, to tylko własnymi siłami.

W jej głowie brzmi to jak plan, ale serce nadal tłucze się o żebra niczym złęczony ptak.

Klap, klap, tup... Kroki milkną. Dona słyszy swój oddech świszczący przez zaciśnięte zęby. Nawet psie odgłosy cichną na dole.

Łup! Całe poddasze podskakuje, gdy jakieś cielsko uderza o klapę. Drewno trzeszczy niebezpiecznie, dzwonią metalowe zaczepy.

Dona myśli, że powinna znaleźć broń. Cokolwiek ostrego. Jeśli przesunie komodę i zablokuje wejście, może będzie bezpieczna. Ale zanim jej stopy dotykają podłogi kolejne *łup!* podrywa klapę do góry i ciska nią o ścianę.

Na poddasze, drżąc od ledwo wstrzymywanego warkotu, wpełza bestia. Jest w niej coś tak głęboko nienaturalnego, że zdaje się, jakby omijało ją powietrze. Porusza się na czterech łapach, ale od razu widać, że to nie pies. Jej stawy zginają się jak u człowieka, a przednie kończyny wieńczą pięciopalczaste dłonie. To one robiły klap, klap na schodach. Żadna istota ludzka nie czołgałaby się jednak z tak zwierzęcą zwinnością, trzymając nos przy ziemi. Żadna istota ludzka nie byłaby w stanie wygiąć grzbietu w tak naprężony łuk. Dona widziała coś podobnego tylko raz w życiu – na płótnie męża.

Czy to jest to psisko, o którym...

Myśl pierzcha jej z głowy, spłoszona, gdy widzi błysk złota na palcu istoty.

Obrączka.

– Rafał?

Coś, co jeszcze niedawno mogło być jej małżonkiem, unosi łeb. Piwne oczy lśnią w świetle poddasza, płonąc za opadłymi na twarz strąkami ni to włosów, ni sierści. Dona ma wrażenie, że to wcale nie Rafał, tylko jakiś podobny do niego nieznajomy, którego zaczepiła, szukając męża w opustoszałych alejkach supermarketu. Wystarczy powiedzieć: „O, przepraszam, pomyłka”, uśmiechnąć się i iść dalej. Ale Dona nie może zmusić ciała do ruchu. Rysy Rafała nie zmieniły się ani na jotę, a jednak mieszka w nich teraz coś niepokojącego. Mają głębsze cienie; poruszają się, obluzowane, gotowe spłynąć jak niedoschnięta warstwa farby. I czym jest ta smolista czerń oblepiająca jego ciało? Dlaczego ma ją na ubraniach? Dlaczego wzdymają się od niej żyły na jego skroniach?

– Rafał? – próbuje raz jeszcze, ciszej niż jej się wydaje. – Rafał, co te psy ci zrobiły? Rafał, Boże, odpowiedz!

Kąciki jego ust drgają w grymasie, grdyka drży jak ogon grzechotnika. Z gardła wyrывa się krótkie, przeszywające szczeknięcie – głos psa

ostrzegającego przed wkraczaniem na jego terytorium.

Przybliża się, napięty, nie odrywając od niej wzroku.

Klap, klap, tup, tup.

Dona wbija palce w zwiniętą kołdrę. Nigdy dotąd nie bała się Rafała. Był pełen pasji, to fakt, ale trzymał ją w osobnej przegródce od gniewu zaszytego gdzieś głęboko w nim. Czasem wydawało jej się, że jest zdolny do złości, tylko kiedy ktoś krytykuje jego sztukę. Nawet gdy pocięła tamte obrazy, nie widziała w jego oczach furii, raczej zawód, smutek.

Teraz po jej ciele spływa gorący, lepki pot. Podkulone kolana stukają o siebie boleśnie. Myśli o tych wszystkich dzieciach, odszukiwanych od czasu do czasu w dziczy, gdzieś w Indiach czy w Meksyku, wychowanych przez wilki i pantery, o Mowglic i Tarzanach tego świata, i przychodzi jej do głowy, że wcale nie trzeba być zagubionym dzieckiem, by oddać swój umysł w ręce czegoś pierwotnego. Czasem wystarczy znaleźć się w niemożliwej sytuacji. Takiej, z której są tylko dwa wyjścia: Scylla śmierci albo Charybda szaleństwa.

Takiej jak ta, w której żona porzuca cię na pastwę największego koszmaru.

Chce powiedzieć Rafałowi, że przeprasza. Że nie była sobą. Bo przecież to nie ona zatrzęsnęła tę klapę, a jej choroba, rozpacz. Ale język tkwi jej kołkiem w ustach i jedyne, co może zrobić, to bezgłośnie odmówić posługi.

Cokolwiek przed nią stoi, mąż czy nie, nie zamierza odejść. Okolona zębami paszcza rozwiera się w ziejącą, oślinioną jamę; cielsko zwija się w sobie, przenosząc ciężar na tylne łapy (tak, właśnie łapy, bo na czworakach nie ma już rąk i nóg, tylko łapy). W chwili ostrej i przerażającej jak uderzenie pioruna dociera do niej, że to on ściągnął na ich dom plagę dzikich psów. To on chce ją rozszarpać, pożreć. Musiał tłumić to pragnienie od lat, ale gdziekolwiek je wepchnął, jakieś resztki zaczęły w końcu wypływać bokiem, emanować, uciekać w świat. Był to ten sam ciemny kąt, w którym zakopał swój lęk przed psami. I niczym dwie substancje chemiczne, których nie wolno składować razem, jego instynkty i fobie stały się niestabilną, toksyczną mieszanką. To ona wycieka mu czernią spod skóry. To ona zapala mu oczy ogniem. Apokaliptyczna paleta, która przemalowała jej męża w...

To.

Bestia o twarzy Rafała sarka i rzuca się na nią niemożliwym susem. Dona reaguje automatycznie. Szarpie za kołdrę i narzuca ją na wyszczerzony łeb,

w ostatniej chwili staczając się z łóżka. Podłoga wyskakuje jej na spotkanie i uderza o bark. Tępy ból przetacza się przez ramię, od palców aż po łopatkę. Dona syczy przez zaciśnięte zęby, wsparta czołem o twarde deski.

Nic się nie stało – zaklina swój umysł. – To tylko kolejna bolączka, niedogodność. Wytrzymasz. Pamiętasz, co powiedział doktor?

„Od teraz każdy dzień będzie walką o przetrwanie”.

Pieprzony prorok...

Odgarnia włosy z twarzy. Pólludzkie monstrum szamocze się na łóżku w ślepym szale, szarpiąc za wszystko, co najdzie pod kły i pazury. Bo tak to właśnie wygląda: jakby Rafał nie miał już zębów i paznokci, a kły i pazury. Pierze z rozprutej pościeli wzbija się w powietrze białym tornadem i Aldona Kuzio widzi przez chwilę masakrę w kurniku, o której opowiadała pani Pruch. Z tym że w wersji Dony to nie dzikie psy zagryzają kurczaki, a jej mąż. Klęczy na wyściółce i przegryza tętnice, wyrzywa skrzydła, rozpruwa brzuchy do wtóru przerażonego gdakania... Dociera do niej, że człowiek zwany Rafałem Kuzio przestał istnieć. Kiedy na schodach obległy go psy, mógł albo stać się ofiarą, albo dołączyć do stada. Wybrał to drugie. Trudno powiedzieć, czy stała za tym słabość, czy siła, ale wydarzyło się. I ona – zwłaszcza ona – nie może go już ocalić. Może tylko uciekać.

Krok za krokiem, Dona obchodzi łóżko i dociera do otworu w podłodze. Maca stopą w poszukiwaniu pierwszego stopnia, ale szybkie spojrzenie w dół podpowiada jej, że to zły pomysł. Półmrok schodów cętkują żółte i lodowato błękitne ślepiea czekającej watahy. Odchodzi rakiem, odwraca się... i staje naprzeciwko sapiącego ciężko potwora.

Jej zachowany w pościeli zapach musiał mu się znudzić, bo patrzy już tylko na nią. W każdej innej sytuacji chodzący na czworaka mężczyzna byłby absurdalnym widokiem, ale Donie nie jest do śmiechu. Jest znacząca różnica między poruszaniem się jak człowiek udający psa a poruszaniem się jak pies – cały ocean różnicy, galaktyka! Ma ochotę przetrzeć powieki, by upewnić się, że z tyłu nie wyrasta mu ogon. Ma ochotę śmiać się – jednak śmiać! – z tego, że wbiegła na górę i odcięła sobie drogę ucieczki jak te idiotki w amerykańskich horrorach. Ma ochotę paść na ziemię i odsłonić gardło, nie myśleć, nie czuć.

– Rafał – mamrocze ktoś przez nią, chyba jej ustami – proszę cię... Kochanie, nie możesz... Nie wolno...

Następne, co widzi, to sufit. Wilgoć na udach podpowiada jej, że popuściła, ale w tym momencie jest to równie nieistotne, co niedokończony

tom Sherlocka Holmesa, którego kartki wirują wraz z pierzem. Czaszka pulsuje jej od zderzenia z podłogą. Wierzga, próbuje odepchnąć się piętami, ale przygniata ją obezwładniający ciężar – nieznajomy, dwukrotnie większy od człowieka, którego znała. Czuje na karku gorący oddech, bliskość nagich zębów. Jej pięści biją o klatkę piersiową, o mięśnie splecione obcymi ścięgnami. Bestia bawi się, droczy. Przesuwa po jej skórze za długim, zbyt szorstkim jęzorem, obwąchuje, szarpie ubrania.

Dona zamyka oczy. Nie chce patrzeć z bliska na twarz ściągniętą agresją, pociemniałą zdziczeniem, z nosem na stałe zmarszczonym w pysk. Ale jakiś skrawek nadziei pcha ją jeszcze do przodu. Każe jej mówić, krzyczeć bezładnie:

– Rafał, proszę cię, przestań, to nie moja wina, nie chciałam, straciłam nad sobą kontrolę, musisz to wiedzieć, puść mnie, błagam, puść, a porozmawiamy, wiem, że tam jesteś, że mnie słyszysz, znajdziemy ci pomoc... Rafał!

Istota zamiera.

Mija pięć oddechów, dziesięć.

Dona odważa się uchylić powieki. Ślepią obserwują ją jak ze szczytu mrocznej wieży, czarne włosy – sierść – drżą od czegoś kotłującego się pod skórą. Jej wzrok szuka iskierki zrozumienia, ludzkości, ale...

Zamiast iskierki jest błysk zębów. Szczęki opadają na jej twarz i Dona czuje mokre mlaśnięcie na policzku. Psie monstrum przeżuwa coś w ustach, krew cieknie mu po brodzie.

Ucho... Ten skurwiel odgryzł jej ucho!

Ból uderza z siłą rozpędzonego pociągu. Dona wyje, tarza się pod jego brzemieniem, patrząc, jak kły miażdżą chrząstki. Połowa świata cichnie zalana posoką, drugą połowę wypełnia krzyk. Zaciska palce na czymś, co jeszcze niedawno było piżamą Rafała, a teraz jest tylko umaszczeniem... i wyczuwa cienki, podłużny przedmiot ukryty w kieszonce.

Nie zastanawia się, czym może być. Nie ma to znaczenia. Wyszarpuje go, unosi nad głowę oba ramiona i zanim parszywy kanibal ocknie się ze swej ekstazy, z całej siły wbija ostry koniec w jego płonące oko.

Ryk, który eksploduje na poddaszu, ogłusza Donę do szczytu. Reszta jest już tylko milczącą sekwencją zdarzeń.

Jej opętany mąż stacza się na bok, wierzgając kończynami.

Dona odpełza w drugą stronę, kaszląc z głębi płuc. Spogląda na półludzkie monstrum i zauważa wreszcie, co tkwi w jego oczodole, brocząc czarną,

smolistą substancją z koniuszków włosów.

Jego pędzel. Amulet natchnienia wiecznie trzymany w kieszeni.

Ryjąc drewno pazurami, bestia próbuje wycofać się w kąt. Zatacza się, chwieje – nagle staje na dwóch nogach, zdezorientowana tym, że jest w stanie ustać. Wielkie, okrągłe okno oświetla jej sylwetkę i Dona widzi ten czarny cień w całej okazałości: jej męża, szalonego króla dzikich psów. Nie można mu już pomóc. Można tylko zrobić to, co robi się z wściekłymi psami.

Upewnić się, że choroba umrze wraz z nim.

Dona znajduje gdzieś siłę, by wstać. Znajduje siłę, by rozpędzić się i z wrzaskiem, którego nie słyszy, wypchnąć wroga przez okno wraz z deszczem odłamków.

Nie znajduje jedynie siły, by zachować przytomność, gdy Rafał Kuzio znika na zawsze w zimowej bieli wieczoru.

* * *

Budzi ją lizanie po twarzy. Od leżenia pod rozbitym oknem obrosła szronem; rana po uchu zakrzepła w lodowaty strup. Podnosi się z jękiem, otrzepuje. Obok niej drecze jeden z psów. Oczy ma mokre i przyjazne. Macha ogonem, obchodząc ją z ciekawością. Teraz, kiedy urok został przełamany, nie ma żadnej ochoty ucztować na jej kościach. Wystawia język i przekrzywia głowę, przyglądając się jej z ciekawością.

Dona jak w transie drapie go za uchem i rusza w kierunku schodów.

Pół-schodzi, pół-stacza się na parter, mijając kolejne zagubione zwierzęta. Obwąchują jej dłonie, łaszą się. Niektóre skamlą, błagając o skrawek jedzenia, całkiem zapomniawszy, że mogą wyrywać pożywienie z żywych ciał. To już nie psy, a psiny. Nie wygłodniałe, a wygłodzone. Rozpalone obcą wolą instynkty przygasły w niegroźny żar, tłący się na powrót w dziejowej niepamięci. Stado jest niczym bez przywódcy, a ona zabiła samca alfa. Zabiła swojego męża. Nie ktoś podobny do niej, nie jej opętane rozpaczą ciało, a właśnie ona, Aldona Kuzio. Zabiła najgroźniejszego z groźnych potworów i teraz ten wielki las za domem – las, który zdaje się obejmować całą planetę mackami ciemnych zagajników – nie ma już dla niej żadnych straszydeł.

Nie zatrzymuje się, nawet gdy na werandzie mija posępne wilczury i wyżyły o okrwawionych pyskach. Nie zatrzyma się już chyba nigdy, choćby na jej drodze stanęła Śmierć z kosą. Wojowała z Jej czarnym aniołem i wygrała potyczkę, choć szczegóły zaczynają zacierać się w jej umyśle.

Jest tak bardzo, bardzo zmęczona...

Brodząc przez zasy, dociera do drogi na Bągartów. W prześwicie polany widzi postacie wychodzące z lasu jak myśliwi na obrazie Bruegla. Widzą ją, pokazują sobie palcami, zaczynają biec. Kilka drepzczących za nią psów wybiega im na spotkanie, szczekaniem wzywając pomocy.

Ciało Dony uznaje, że to wystarczy i po raz kolejny zapada się pod nią jak domek z kart. Ktoś łapie ją w ramiona i słyszy podniesione głosy, ale głowa z każdą chwilą coraz bardziej i bardziej opada jej w czarną galaretę.

Boże, jak chce jej się pić.

Boże, jak chce jej się szczać.

* * *

Trzy miesiące po tragicznych wydarzeniach w domu państwa Kuzio komendant Newski wkroczył do szpitala wojewódzkiego, trzymając pod pachą grubą, plastikową tubę. Po przejechaniu blisko pięćdziesięciu kilometrów z Bągartowa, i to w większości objazdami (cholerne remonty dróg), marzył wyłącznie o kubku gorącej kawy. Nie zatrzymał się jednak ani przy automacie w korytarzu, ani na stołówce, zmierzając prosto na oddział. Pielęgniarka pokierowała go do pokoju 407. Zapukał dwukrotnie i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

– Witam, witam. Jak się pani czuje? Słyszałem, że przeszczep przebiegł bez większych komplikacji. Gratulacje. Zdrowieć, zdrowieć i jeszcze raz zdrowieć!

Aldona Kuzio odwróciła wzrok od okna i posłała mu blady uśmiech. Wełniana czapka nadawała jej nienachalnego uroku, ale Newski wiedział, że kobieta nosi ją, by ukryć rany po odgryzionym uchu. Przyjrzał się im dobrze tamtego tragicznego dnia, w drodze do szpitala, i długo miał nie zapomnieć ich widoku.

– Dziękuję, komendancie. – Bezwiednie pogładziła się po brzuchu, jakby chciała sprawdzić, czy nowa nerka nadal jest na miejscu. – Co pana do mnie sprowadza z odległej prowincji?

Newski nie odpowiedział od razu. Przyciągnął sobie jedyne w pomieszczeniu aluminiowe krzesło i usiadł ze stęknieniem, stawiając tubę przy łóżku. Pani Kuzio musiała się domyślać, co jest w środku, ale czekała cierpliwie, aż zacznie.

– Pani Aldono... mogę tak do pani mówić, prawda? Jestem tu, ponieważ... Cóż, na pewno pani wie, że nie towarzyszko. Komendant powiatowy polecił

nam zamknąć sprawę pani męża. Słyszała pani, jak mniemam, jakie jest oficjalne stanowisko. Media niestety zwęszyły trop i przylepiły do tego swoją łatkę, ale my musimy nazywać rzeczy po imieniu. Dlatego w raporcie jako motyw figurować będzie „załamanie nerwowe i wczesne objawy zaburzeń psychicznych”.

– „Psychoza” – powiedziała. – Tak nazwała to telewizja. Nie musiałam nawet włączać odbiornika. Słyszałam przez okno, jak robią te swoje podsumowania sprzed szpitala.

Newski zaklął pod nosem.

– Banda hien...

– Ależ nie potępiam ich za brak wycucia, komendancie. Wręcz przeciwnie. To określenie jest niebezpiecznie bliskie prawdy. Bo to nie było zwykłe złamanie nerwowe. I myślę, że oboje to wiemy. Dlatego pan tu jest.

Mężczyzna poprawił się na krześle. Nagle nie potrafił zdecydować, czy powinien siedzieć, czy wstać, co zrobić z dłońmi, na czym zawiesić wzrok. Pod drzwiami pokoju przeszły dwie pielęgniarki, plotkując o jakimś serialowym aktorze. Ich głosy wolno ucichły w dali korytarza.

– Kiedy Matlak z synami znalazł panią na tamtej drodze i zadzwonił na komendę... niełatwo było uwierzyć, że coś podobnego mogło mieć miejsce tuż pod naszymi nosami. Rzecz jasna nieskończenie trudniej było to przeżyć. Ale mam swoje lata i widziałem wiele dziwnych spraw. I chyba tylko dlatego nie stwierdziłem: „Odwieźcie ją do czubków”, gdy opowiedziała pani, co zaszło.

– Domniemanie poczytalności? – Skrzywiła usta. – Ryzykowne, zważywszy na fakt, że właśnie wypchnęłam przez okno swojego męża. Jak to się nazywa fachowo? Defenestracja?

– Tak jak mówiłem. Wiele dziwnych spraw.

– Hm.

Sięgnęła po jabłko leżące na stoliku. Newski rozpoznał gatunek – Teresa Pruch ewidentnie ubiegła go z wizytą. Pani Kuzio wgryzła się w nie łapczywie, tak że na kołdrę posypały się pestki. Na ułamek sekundy zobaczył ją zmienioną w wygłodniałe zwierzę – błysk zębów, chrzęst, sok ciekący po brodzie... Wrażenie minęło niemal natychmiast, gdy przeżuwany mięsz komicznie wypchał jej policzki.

Odchrząknął, czując za kołnierzem pot, który wziął się nie wiedzieć skąd.

– Zeznała pani, że zgraja dzikich psów wtargnęła do waszego domu, przyciągnięta zapachem jedzenia. Wiele z tych kundli, które potem

wyłapaliśmy, wyglądały na zagłodzone, więc w to jestem skłonny uwierzyć. Pani mąż został ugryziony w nogę, na co również mam potwierdzenie. Jako że wścieklizna nie zaraża tak szybko, to, co wydarzyło się później, należy złożyć na karb szoku. Pan Kuzio bał się psów, sam mi o tym powiedział. Coś przestawilo mu się w mózgu i w panice zaczął atakować wszystko wokół, łącznie z własną żoną. Musiała pani działać w samoobronie. Stąd ten cios pędzlem i... to, co pani mówiła. Defenestracja.

Kobieta strzepnęła pestki na podłogę.

– Ma pan wątpliwości, czy powiedziałam całą prawdę.

– Żeby była jasność, nie podejrzewam pani o nic złego. Absolutnie. Ale ślady, które zastaliśmy na miejscu... – Wypuścił głośno powietrze, kręcąc głową. – Nie mogę dojść z nimi do ładu. Pod paznokciami pani męża znaleźliśmy masę drzazg, to samo między jego zębami. Ludzkimi zębami. A jednak żleby po pazurach w drewnie są zdecydowanie psie, podobnie jak odciski szczęki na ramie łóżka. Jak to możliwe? I ta jego krew, czarna jak smoła! Lekarz mówił, że to się zdarza w dotkliwym mrozie, ale potem... Kto... co ostatecznie panią zaatakowało? Człowiek czy pies?

Spojrzała mu prosto w oczy. Jej mgliste, szarozielone tęczęwki zawsze wydawały się Newskiemu odrobinę nieobecne, ale teraz, widząc ich blask, nie miał wątpliwości co do trzeźwości umysłu pani Kuzio.

– Ludzie wiecznie się zmieniają, komendancie. Niektóre zmiany są bezbolesne, inne wymagają ogromnej doli cierpienia. Niektóre trwają latami, ledwo zauważalne, inne są gwałtowne jak reakcja chemiczna. Przemiana Rafała zaszła pod wpływem traumy, ale kto wie, jak długo nosił w sobie ten mrok? Chciał mnie pewnie skrzywdzić, odkąd pocięłam mu tamte obrazy, choć sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Pocięła pani jego obrazy? – zdziwił się Newski. – Nie spaliła?

– Och, mówię o tych wcześniej. Kiedy szykował się do wernisazu... Niech pan tak na mnie nie patrzy – zachnęła się – zrobiłam to dla jego dobra. Chciałam, żeby spędzał ze mną więcej czasu, owszem. Bałam się mierzyć sama z chorobą. Ale prawda jest taka, że woda sodowa uderzyła mu do głowy. Wszyscy chwalili *Ostrowy burzanu*, zachwycali się kompozycją, wieszali sobie w pokojach. Dla niespełnionego malarza to jak pierwsza dawka heroiny. Chciał więcej pochwał, adoracji. Więc jak pan myśli, co zrobił? Zaczął malować dokładnie to samo! Obraz za obrazem tych cholernych okrętów na łące, do porzygu, zmieniając tylko jakieś śmieszne detale. Nie dostrzegłby, że robi się wtórny, gdybym mu o tym powiedziała.

Zawsze wolał obwiniać innych. Dlatego przyjąłem na siebie rolę profesora Moriarty'ego, złoczyńcy, i pocięłam te płótna na konfetti. Żeby mój mąż nie ośmieszył się przed światem. Bo jego kruche ego nie przeżyłoby takiego ciosu.

Komendant potarł czoło, czując coraz silniejszą potrzebę, by zapalić.

Artyści jego mać...

– Jak się do tego mają psy? – przeszedł do sedna.

Pani Kuzio podała mu ogryzek, jako że siedział bliżej kosza.

– Myślę, że Rafał zepchnął nienawiść do mnie w głąb siebie – powiedziała, gdy przebrzmiało echo resztek uderzających o dno. – W to samo ciemne miejsce, w którym chował swój gniew, poczucie niższości. Coś tam się zrodziło. Coś psiego, wyrosłego ze starej fobii. Nie potrafię tego wyjaśnić w żaden inny sposób. Cokolwiek mnie zaatakowało, nie było moim mężem. Nosiło jego skórę, ale w środku kryła się bestia.

– Moment. – Newski otrząsał ręce. – Sama pani przyznała, że to była psychoza. Mogła go pani nie rozpoznać w podobnym stanie, prawda?

Pokręciła głową, zanim skończył mówić.

– Pan nie rozumie, komendancie. Kompletnie nie rozumie. Psy... one go słuchały. Jakby od początku był przywódcą ich stada. I tak właśnie wyglądał w ostatnich chwilach. Jak jeden z nich.

Newski chciał pytać dalej. Jak to w ogóle możliwe, fizycznie, żeby człowiek stał się podobny do psa? Jaką rolę odgrywała w tym procesie sztuka – katalizatora czy źródła? Ugryzł się w język, nim wyartykułował choć jedną sylabę. Czy w ogóle istniała odpowiedź, która przyniosłaby mu ukojenie?

Wiedział przecież od początku, co należało zrobić...

– Nigdy nie doceniałam, jak wiele znaczyło dla niego bycie artystą – powiedziała pani Kuzio, spoglądając ze smutkiem w okno. – Wie pan, takim, który cierpi i głoduje, ale jest wolny. Jak na menedżerkę przystało, chciałam nakierować jego talent ku czemuś sensownemu. Uwięzić go przy budzie. I zapłaciłam za to cenę Van Gogha. Straciłam ucho i straciłam przyjaciela.

Milczeli przez chwilę, patrząc każde we własny nieokreślony punkt.

– Nie wiem, czy to cokolwiek zmieni, ale... – Newski odchrząknął i sięgnął po przyniesioną tubę. – Znaleźliśmy ten obraz przy późniejszych oględzinach, za regałem w pracowni. Nie mnie decydować, co pani robi z tymi malowidłami, sprzeda czy potnie, pani sprawa, ale pomyślałem, że może przynajmniej ten chciałaby pani zachować.

Wstał i rozwinął płótno.

Błysk przestrachu rozświetlił oczy Aldony Kuzio i Newski dobrze wiedział czemu – spodziewała się kolejnego wylewu dzikości, kłębowiska łap i ogonów, *Dzikich psów III* zrodzonych w ciemni nocy i porzuconych w kącie jak niechciane szczenię.

Lecz gdy tylko jasnym się stało, że zółcienie nie barwią sparszywiałego futra, że czerwienie to nie paleta krwi oblepiającej pyski, rysy kobiety złagodniały w coś na kształt uśmiechu.

– Kto by pomyślał – szepnęła ze wzruszeniem – Gauguin na Tahiti.

Był to jej portret utrzymany w ciepłej kolorystyce. Siedziała na łóżku z książką na kolanach, strzeżona przez zwiniętego niegroźnie, wiernego psa. Założony za ucho kosmyk włosów i krótka piżama sprawiały wrażenie, że wkroczyło się w intymną przestrzeń, świat niedostępny dla śmiertelników. Grube, więzienne pręty łóżka wyginały się, jakby chciały przykuć ją do siebie na wieczność. Lecz im dalej w prawo, tym posłanie stawało się mniej wyraźne, zlewało z plamami światła – aż w końcu przeradzało się w piaski egzotycznej plaży, pełnej muszelek i palmowego cienia; i wiadomo było, że chwilowo zaczytana kobieta wkrótce wyrwie się ze śmiertelnego zastoju i powróci na brzegi życia. Nogą nonszalancko zwieszoną z krawędzi łóżka niemalże wykonywała pierwszy krok.

– Dziękuję, komendancie. – Otarła łzę z policzka, wyciągając dłoń po płótno. – Faktycznie, może ten jeden obraz zachowam. Dla przypomnienia, że ten czarny pies, czymkolwiek był, nie pożarł tak całkiem mojego Rafała. Nie tak całkiem...

Newski pożegnał się i zostawił kobietę sam na sam ze wspomnieniem męża. Gdy zamykał drzwi, gładziła opuszkami sierść malowanego psa, wstrząsana zbyt długo wstrzymywanym szlochem.

Dotarł do Bągartowa pół paczki cameli później, ledwo hamując impuls puszczenia kogutów. Dom, w którym mieszkał od drugiego rozwodu, stał w szeregu z bliźniaczymi budynkami, wąski, długi i milczący. Zaparkował krzywo, wlepiając sobie w duchu mentalny mandat i czym prędzej wyskoczył z radiowozu. Na bezdechu wpadł do środka.

Obraz nadal broczył czernią. Zamknięty w magazynie na komendzie, ronił ją kropla po kropli od dnia tragedii, tak że Newski dopiero tydzień temu zauważył tę powolną ucieczkę z aresztu ram. Wytarł maż z podłogi i starał się wyrzucić sprawę z głowy, ale nazajutrz substancji było jeszcze więcej, jak gdyby uwięzione w płótnie widmo zrobiło się bardziej

zdesperowane. Teraz ta gęsta ni to farba, ni to jucha uchodziła niemal stałym ciurkiem do podstawionego wiadra, falując i bulgocząc w groźbie rychłego zmartwychwstania czegoś, co nie zginęło do końca przed trzema miesiącami, ubrane w skórę Rafała Kuzio.

Newski chwycił za wiadro. Wizyta w szpitalu utwierdziła go w przekonaniu, że nie postradał zmysłów. Wylał paskudną substancję do toalety i nacisnął spłuczkę. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi zębaty pysk skaczący ku niemu w nagłym rozbryzgu – wzdrygnął się nieprzyjemnie, cofając o krok – ale woda zmyła całe zło, jak zmywała je od pokoleń. Wrócił do pokoju i usilnie starając się nie patrzeć na monstrum uwięzione w płótnie, wyniósł *Dzikie psy II* na podwórko.

Rzucił obraz na placek suchej ziemi w rogu posesji, gdzie jesienią palił zagrabione liście. Dla pewności zawrócił po rozpałkę do grilla. Skąpał w niej cały obraz, lejąc po kostropatych uszach, żółtawych kłach, ślepiach jak płonące latarnie, dokumentnie, od rogu do rogu, tak żeby mieć absolutną pewność, że...

HRRAU-RAU!

Padł na tyłek, obryzgując sobie nogawki. Suczka sąsiada skoczyła na siatkę z dzikim warkotem. Newski jeszcze nigdy nie widział jej w podobnym stanie. „Misia” robiła sztuczki za smakołyki i łąsiła się nawet do listonosza. Teraz jej zęby błyszcząły niczym groty włóczni, a taran ciała napierał raz po raz na metalowe oczka, pewien, że mury Jerycha w końcu padną.

Szczekanie poniosło się echem, falą. Wyżły prezesa koła łowieckiego dołączyły swe zawodzenie, potem jakaś mikropsina o irytującym głosiku, wilczur Kucińskich, burek z końca ulicy. Pieśń poniosła się na cały Bągartów, powiat, świat, drgając w cząsteczkach powietrza aż po jonosferę. Przy każdej drodze był jakiś dom, a za domem podwórko, a na podwórku ujadający pies.

Stado jest wszędzie, komendancie. Nie można go zatrzymać, wylapać, zamknąć w kojcu. Ono biegnie w umyśle każdego psa, nawołując, by dołączył do dzikiego gonu. I czasem nawet te śmieszne, dwunogie istoty odpowiadają na jego zew...

Serce Newskiego waliło jak młot. Obrócił się drżący na ziemi, tak że wylądował na czworaka. Był teraz częścią tryptyku w stylu Rafała Kuzio, choć nie zdawał sobie z tego sprawy: pokonany człowiek przygięty do ziemi; pulsująca czerń czekająca, by go pochłonąć; i oszaląca, zwilczona bestia,

skok za skokiem odginająca siatkę w próbie przebicia się do ofiary. Obrazek przed, obrazek po i ciemność pośrodku.

Wiesz, że tego chcesz. Pamiętasz, co pomyślałeś, gdy znalazłeś żonę z tym chudym skurwielem? Jak wystarczyłby jeszcze jeden solidny cios? Mogłeś złamać mu kark jak zapalną, przegryźć tętnicę.

(Pamiętasz?)

– Nie – wymamrotał, ledwo słysząc własny głos ponad wyciem. – Nie, zamknij się. To nie ja...

Z kieszeni spodni wyłuskał zapalniczkę.

Misia rzuciła się na ogrodzenie z nową zajadłością. Podkopując ziemię, zaczęła przeciskać łeb na drugą stronę, nie zważając na metal haratający jej pysk.

Newski skrzesał kilka iskier, nie mogąc zmusić palców, by wpadły w znajomy rytm: przesun kółko, naciśnij tłok. Pot na jego skroniach był tak gęsty i lepki, że bał się, czy to przypadkiem nie czarna maź wślizgnęła się na skórę, by przejąć ciało, zezwierzęcić umysł...

(Pamiętasz?)

Mało nie zachłysnął się ulgą, gdy zobaczył płomyk. Nie zważając na psy rozrywające głosem niebiosa, na myśli o drugiej żonie skłębione w głowie pościelą na dwóch ciałach, przyłożył ogień do rogu płótna.

Nie patrzył, jak płomienie pożerają *Dzikie psy II*. Zamknął oczy i próbował nie myśleć o tym, co wydaje z siebie ścinające krew w żyłach skrzeki, warkoty i piski, nie tyle nieludzkie, co nie z tego świata.

Psy szczekały jeszcze długi, długi czas – rapsod żałoby nad spopielonym praojcem. Kiedy wreszcie zamilkły, Bągartów wydał się niemal wymarły.

Newski wstał i poczłapał do ogrodzenia, mijając dymiące resztki ramy. Misia wpatrywała się w niego zawstydzona, położywszy uszy po sobie.

Przyłożył dłoń do siatki. Suczka natychmiast zaczęła merdać ogonem i polizała go po palcach.

– Dobry piesek – powiedział z uśmiechem.

Zakopał resztki obrazu tam, gdzie spłonął, rozważając przez chwilę, czy nie zasypać ich solą. Potem wrócił do domu, kierując się prosto do ekspresu do kawy. Miał jeszcze do skończenia raport dla komendanta powiatowego.

„Załamane nerwowe i wczesne objawy zaburzeń psychicznych”. Nie znajdzie chyba lepszych słów, aby opisać sprawę Rafała Kuzio. Wystuka je na komputerze, wydrukuje, skseruje, przeczyta, zapamięta. I z czasem może przestanie się budzić zlany potem za każdym razem, gdy pies zawyje do

księżycą w środku nocy, jak przez wiele lat (wiedział to w głębi serca) budzić się będzie pani Kuzio. Z czasem może nawet on uwierzy – pomimo trawy obumierającej w rogu posesji, pomimo ścielących się pokotem myszy i martwych kretów wykopywanych latem przez psa sąsiada – że była to tylko psychoza.

Boję się psów. Nie tak bardzo jak w dzieciństwie, ale nadal. Tych większych, groźniejszych, nieosmyczonych. Odczuwam dyskomfort do tego stopnia, że przez długi czas nie chciałem nawet o nich pisać, zupełnie jakbym bał się, że skoczą na mnie z pazurami spomiędzy wierszy. Jest tyle innych tematów. Po co je prowokować?

Teraz nareszcie obnażyłem gardło. I przekonamy się, czy nic mi go nie przegryzie.

„Psy Rafała Kuzio” powstały w 2017 roku wraz z inną nowelką w podobnym klimacie. Obie czerpały pełnymi garściami z „Tajemniczego okna, tajemniczego ogrodu” i obie wylądowały w szufladzie, niedokończone. Problem polegał na tym, że próbowałem pisać jak King. Zazwyczaj imitacja stylistyczna wychodzi mi całkiem nieźle. Z Kingiem jest inaczej, bo jego styl kompletnie mi nie odpowiada. Uwielbiam jego historie, jego pomysły, ale niekoniecznie to, w jaki sposób je prezentuje. O wiele bardziej, na przykład, wolę jego opowiadania niż powieści. A już najlepsze są nowelki. Nowela jako forma to dla mnie złoty środek pomiędzy długością a złożonością fabuły.

Planowałem napisać coś innego na potrzeby tej antologii. Bardziej w stylu „Mgły”. Ale kiedy zajrzałem do tekstowego karceru, „Psy Rafała Kuzio” czekały już, by dźgnąć mnie zniecka pod żebra. Załatwiły mnie w zasadzie jednym akapitem (nie zdradzę którym). Nie mogłem uwierzyć, że to ja napisałem coś podobnego. Pozostało więc tylko stworzyć sensowne zakończenie i dociągnąć resztę nowelki do poziomu tegoż akapitu – ale już zdecydowanie we własnym stylu.

Nie ukrywam, że przelałem sporo siebie w te zdania. Kynofobia to jedno. Niepokój twórczy to drugie. „Dona” to trzecie. Zmodyfikowałem nieco jej postać, tak by wpleść w wiersze kobietę, która była dla mnie ważna. Zanim skończyłem poprawki, zostały mi po niej tylko krwawiące rany. Cóż... Widocznie każdy Edvard Munch ma swoją Tullę Larsen.

Niemniej kryją się tu również odniesienia do „Polaroidowego psa” czy „Cujo” (Kuzio, jakby komuś umknęło). „Bągartów” to swego rodzaju krzyżówka „Bangor” i „boggart”, czyli angielskiego słówka na straszdyło. No i obrazy. Do nich odniesień jest tu chyba najwięcej. Nie znalazłem żadnych odpowiedników serii „Dzikie psy”, ale myślę, że „Ostrowy burzanu” mogłyby wyglądać podobnie do „Promiennego zachodu słońca” Wojciecha Weiss. Polecam wyszukać – drzewa naprawdę wyglądają tam jak okręty na morzu!

Tyle ode mnie w ramach posłowania. Wracam do pisania o wszystkim innym, tylko nie o tych przeklętych psach. Chociaż obawiam się, że teraz, gdy poznały

mój zapach, tak łatwo nie dadzą mi spokoju...

– Kornel Mikołajczyk

AGNIESZKA OSIKOWICZ-CHWAJA

Pochodzi z Górnego Śląska (zwłaszcza z Gliwic), skąd przeniosła się do Krakowa, a teraz mieszka w Trzebuni koło Myślenic. Uczyła w szkole, projektowała biżuterię, ale to pisanie daje jej największą satysfakcję. Píše fantastykę – zaczęła od opowiadań, publikowanych m.in. w „Esensji”, „Okolicy Strachu” i „Silmarisie”. W 2019 roku ukazała się jej debiutancka powieść, *Pamięć Lasu*, będąca pierwszą częścią trylogii *Opowieści Starych Drzew*.

Cmentarz na wyspie

Oparłam się o betonowy mur i wbiłam wzrok w plecy Marcina, który wykonywał dziwne wygibasy przed małym postumentem, zwieńczonym krzyżem z dodatkową, ukośną belką u dołu. W panującej wokół ciszy usłyszałam trzask migawki absurdalnie drogiego Nikona d810 i wstrzymałam oddech w nadziei, że wreszcie będziemy mogli się stąd wynieść. Nie żeby mi się tu nie podobało, ale ileż można! Cmentarz staroobrzędowców w Wodziłkach miał swój urok, podobnie jak cała wieś, jakby żywcem przeniesiona z początku zeszłego wieku. Dojechaliśmy tu pełną dziur drogą, podziwiając stare, często opuszczone i zniszczone drewniane domy, czując się jak na planie filmu historycznego. Zaparkowaliśmy przy drodze tuż za cmentarzem, a gdy wyszliśmy z samochodu, minęło nas wracające do swego SUV-a marki Audi niemieckie małżeństwo w średnim wieku. Niemcy robili jeszcze ostatnie zdjęcia rozwalonym, drewnianym chałupom i rozmawiali ze sobą podekscytowanymi, ściszonymi głosami. Na ich twarzach malowały się jednocześnie zaintrygowanie oraz lekka groza. Uśmiechnęli się do nas uprzejmie, jednak w ich spojrzeniach widać było z trudem skrywaną fascynację. Byliśmy dla nich żywymi eksponatami w skansenie i zapewne zastanawiali się, czy ogień rozpalamy za pomocą krzesiwa i jak daleko mamy z chałupy do wychodka.

Marcin obfotografował już chyba każdy zakątek niewielkiego cmentarza, i to po trzykroć. Wciąż na wdechu obserwowałam, jak wpatruje się w wyświetlacz, a potem, niezadowolony, marszczy nos i ponownie wygina się w dziwnej pozie, unosząc aparat do twarzy. Ze świstem wypuściłam powietrze i przewróciłam oczami.

Rozejrzałam się. Przy ciemnozielonej ścianie molenny kościoła staroobrzędowców dostrzegłam Kubę. Zadzierał głowę i gapił się na wieńczącą wieżę blaszaną kulę, jakby była najciekawszym obiektem w okolicy. Uśmiechnęłam się do siebie. Byłam z Kubą dopiero od miesiąca i wciąż go odkrywałam. Podobała mi się jego szczupła sylwetka i jasne oczy, ale przede wszystkim uwielbiałam jego otwartą głowę i ciekawość świata.

Miałam wrażenie, że nigdy się nie nudził, bo zawsze znajdował coś godnego zainteresowania. Nawet teraz, od pół godziny tkwiąc na małym spłachetku cmentarnego trawnika.

– Przyjezdni?

Aż podskoczyłam, gdy usłyszałam zadane tuż obok pytanie. Drobną kobietą, ani starą, ani młodą, patrzyła na mnie z zaciekawieniem. Zmusiłam wargi do wygięcia się w uśmiechu.

– Tak – odparłam.

Miałam nadzieję, że tym skończę temat, bo uprzejmość to jedno, ale rozmowa o dupie Maryny z kompletnie obcą osobą to zupełnie co innego. Rozczarowałam się.

– A skąd?

– Z Wrocławia.

– O. Kawał drogi.

– Zgadza się.

Tak. Kawał drogi. Cała Polska przemierzona starą toyotą z uszkodzoną klimatyzacją, by teraz utknąć na tym cmentarzu. Ale przecież właściwie dlatego tu przyjechaliśmy. Odpocząć, pojeździć na rowerach, porobić nic.

– Pani przyjaciel lubi cmentarze. – Bardziej stwierdziła niż zapytała kobieta.

Zerknęłam na nią ponownie. Patrzyła na mnie serdecznie oczami o przepięknym granatowym kolorze. Nagle poczułam do niej przypływ sympatii.

– Tak – odparłam. – Kupił sobie aparat, założył konto na Instagramie. – Zawahałam się chwilę, nie mając pojęcia, czy kobieta wie, o czym mówię, ta jednak tylko pokiwała głową. Najwyraźniej jedynie wiocha wyglądała, jakby zaklęto ją w czasie sto lat temu. Jej mieszkańcy odnajdywali się w rzeczywistości. – I robi zdjęcia. Różnych ciekawych, nieco zapomnianych miejsc. Ale głównie cmentarzy. Ma już dwustu dwudziestu obserwujących, z których jest bardzo dumny – dodałam z przekąsem.

– Ciekawe – stwierdziła uprzejmie. – A wy jeździcie razem z nim?

– Po prostu jeździmy. Albo chodzimy. On sobie pstryka, my oglądamy.

– Cmentarze... – Zamyśliła się. – A widzieliście już cmentarz na wyspie?

– Nie. Na jakiej wyspie?

– Na jeziorze. W puszczy. Stary cmentarz, chyba jeszcze z dziewiętnastego wieku. Nikt nie wie, kto tam leży. Może choleryczny, wszędzie wtedy takie

były. Narysuję wam mapę, jeśli chcecie. W przewodnikach raczej go nie znajdziecie.

Zdjęłam plecak i przegrzebałam go w poszukiwaniu czegoś do pisania. Znalazłam zielony długopis i jakąś wymiętą ulotkę, którą dostałam dwa dni wcześniej w informacji turystycznej w Augustowie.

– Marcin! – krzyknęłam. – Pani ma coś ciekawego dla ciebie!

Marcin odwrócił się, a potem podszedł do nas, po drodze wyłączając aparat. Jego potężna, wysportowana sylwetka zasłoniła na chwilę słońce. Przywitał się z kobietą i z zainteresowaniem słuchał jej objaśnień. Zaraz pojawił się i Kuba. Stał obok, delikatnie objął mnie w pasie. Kobieta na chwilę uniosła wzrok znad ulotki, popatrzyła na nas, uśmiechając się łagodnie, jakby w zamyśleniu, a potem zaczęła rysować.

* * *

– Suchar? – mruknął Kuba, wpatrując się w kartkę z całkiem zgrabnie rozrysowaną mapą. – Nigdy o nim nie słyszałem.

– Jaki suchar? – zapytał Marcin.

– Bezodpływowe jezioro. Zazwyczaj na torfowiskach – odparł Kuba machinalnie, nie odrywając wzroku od mapki. – Sprawdź w telefonie. Tę mapę. Na widoku satelitarnym.

Marcin posłusznie wyjął komórkę. Chyba znowu miał nową. Nie miałam pojęcia, co to za model, nie wiedziałam nawet, czy to smartphone, czy iPhone. Nic dziwnego więc, że dotąd szczytem mojej kariery zawodowej było kelnerowanie w zastępstwie znajomej przez dwa miesiące w drogiej restauracji, gdzie całkiem nieźle wychodziłam na napiwkach, podczas gdy Marcin, mój pocieszny kuzyn, zarabiał fortunę na jakimś niezrozumiałym dla mnie stanowisku w IT. Przypomniałam sobie boleśnie, że po powrocie do Wrocławia czeka mnie szukanie nowej pracy. Szybko odegnałam natrętną myśl.

– Na co mam patrzeć?

– Powiedziała, że mamy zostawić samochód w Dworczyску, a potem możemy kawałek przejechać na rowerach. Jakies pięć kilometrów.

Marcin powiększył obraz. Wśród niewyraźnych zarysów koron drzew Puszczy Augustowskiej wyraźnie widać było plamy jezior. Jedno zgrabnie okrągłe, drugie podobne, tylko z dziwną zatoką, trzecie w kształcie długiego robaka.

– No, coś tu jest. Płaskie, Krejwelanek i Brożane – odczytał.

– To żadne z nich – stwierdził Kuba. – Za blisko. I chyba tylko Płaskie jest prawdziwym sucharem. My szukamy bardziej na północny wschód.

Marcin przesunął palcem po ekranie telefonu. Milczał chwilę.

– Nic tu nie widać.

– Pokaż – rzuciłam i przysunęłam się do niego.

Rzeczywiście. Satelitarne ujęcie pokazywało tylko ciemnozielony gąszcz puszczy. Kuba zagryzł wargę i podrapał się po głowie.

– Cóż, ten widok nie jest specjalnie wyraźny – stwierdziłam. – A kobieta powiedziała, że jezioro jest małe i jego znaczną część zajmuje wyspa. Może po prostu nie widać.

– Może – odparł Marcin, wciąż przesuując palcami po telefonie. – Ale sam nie wiem.

– Właściwie to dziwne – powiedział Kuba. – Wyspa na takim jeziorze? Musi być zupełnie podmokła. Co za pomysł, by robić tam cmentarz?

– O, patrzcie! – zawołał nagle podekscytowany Marcin. – Może tu?

Pochyliliśmy głowy nad telefonem. Rzeczywiście, wśród ciemnozielonej jednolitości widać było odróżniającą się nieco kolorem plamkę. Problem w tym, że nie wyglądała na jezioro.

– Może – uznałam z powątpiewaniem. Coraz mniej podobał mi się plan błąkania się po lesie z odręcznie narysowaną mapą w poszukiwaniu jeziora, którego nawet Marcin nie mógł znaleźć w swoim najnowszym telefonie.

Jednak gdy spojrzałam na twarze Marcina i Kuby, od razu wiedziałam, że było już za późno na zgłaszanie obiekcji.

– To co, jutro? – spytał Kuba.

– Tak. Z samego rana – odparł Marcin. – Idziesz z nami, Marta, prawda?

– Oczywiście – bąknęłam najbardziej entuzjastycznym tonem, na jaki było mnie teraz stać.

* * *

Zaparkowałam swoją wysłużoną Toyotę Avensis przy końcu Dworczyńska, już za asfaltem. Przed sobą mieliśmy jasny, przejrzysty, sosnowy las. Z tego miejsca puszcza nie wyglądała specjalnie imponująco. Nagie nad ziemią pnie sosen dawały prześwit i mimo gęsto rosnących drzew widać było kawał drogi. Weszłam na prowadzącą w las ścieżkę i spojrzałam w górę. Czubki wysokich choin falowały majestatycznie. Zadarłam głowę bardziej, przymknęłam powieki i nagle zrobiło mi się zimno. Drzewa zaszumiały głośno, chłodny wiatr uderzył mnie w twarz. Jakieś niezrozumiałe szepty

próbowały wedrzeć mi się do głowy, jednak nie zrozumiałam ani słowa. Otworzyłam oczy i zachwiałam się.

– Wszystko w porządku? – Zobaczyłam przed sobą zaniepokojoną twarz Kuby.

– Tak – odparłam zakłopotana. – Nagle zrobiło mi się chłodno.

– Nic dziwnego – powiedział Marcin, majstrując coś przy swoim rowerze. – Słońce ci przygrzało, a jeszcze wcześniej siedziałaś w rozgrzanym samochodzie. Wlazłaś do cienia, między drzewa i przeżyłaś szok termiczny. Naprawdę, Marta, zrób coś z klimatyzacją w tej twojej tojotce.

Przewróciłam oczami, bo zrzędził na ten temat przez całą drogę z Augustowa. Żeby się wreszcie przymknął, puściłam wówczas na cały regulator Amandę Palmer, której Marcin nie znosił. W starym radiu piosenkarka skrzypiała i buczała tak, że nawet ja miałam po chwili dość. Jednak wiedziałam, że kuzyn ma rację. Klimatyzacja szwankowała jeszcze we Wrocławiu, a po drodze na Podlasie zepsuła się całkowicie. Mogłam mieć tylko nadzieję, że droga powrotna na Dolny Śląsk wypadnie w chłodniejszy dzień. Wolałam nie myśleć, skąd wezmę pieniądze na naprawę. Samochód przypadł mi w spadku po rodzicach i ledwo starczało mi na opłaty i paliwo. Każda poważniejsza usterka była nieszczęściem.

– To zbieramy się – komenderował dalej Marcin. – Mamy wodę, jedzenie na cały dzień, tak? – Gdy potwierdziliśmy, sięgnął do kieszeni spranych, sięgających mu kolan bojówek, i wyciągnął ulotkę. – To jak mówiła? Przejechać prosto przez dwa spore skrzyżowania, trzeciego trzeba wypatrywać, żeby nie przegapić, bo to jakaś zarośnięta ścieżka. Skręcić na nim w lewo. Możemy próbować przejechać jeszcze kilkaset metrów na rowerach, ale nie wiadomo, czy nam się uda. Najwyżej zostawimy rowery za jakimiś krzakami i przejdziemy... Ile jeszcze?

– Kilometr – uzupełniłam ponuro. – Potem wyjdziemy prosto na pomost.

– Zgadza się. Mam nadzieję, że ta łódka rzeczywiście tam będzie.

– Najwyżej będziemy mieli przejażdżkę i spacer po puszczy – stwierdził Kuba. – Zawsze coś.

Kobieta rzeczywiście powiedziała nam o pomoście i łódce. Twierdziła, że jej szwagier czasem wypływa na wyspę, by uporządkować stary cmentarz. Pomost wybudował też po drugiej stronie, na wyspie, by można było suchą nogą przejść przez bagnisty brzeg na bardziej stały ląd. Zdaje się, że mężczyzna miał w okolicy opinię nieszkodliwego dziwaka, zważywszy na swoje zainteresowanie miejscowymi legendami i historią. Kuba oczywiście

od razu zapytał kobietę, czy będzie się mógł kiedyś z jej szwagrem spotkać i porozmawiać. Ta ochoczo się zgodziła i opisała drogę do jego domu.

Mozolnie sunęliśmy na rowerach coraz bardziej dziką drogą. Po dwóch kwadransach przestaliśmy ze sobą rozmawiać i zasluchaliśmy się w ciszę puszczy. Zerwał się wiatr, od przodu, co utrudniało jazdę. Zrobiło się chłodniej, po kręgosłupie przemknął mi nieprzyjemny dreszcz. Puszcza powoli ukazywała swą prawdziwą, pierwotną, dziką twarz. Byliśmy intruzami zakłócającymi jej prawieczny porządek. Im węższa robiła się droga, tym bardziej ciemniało wokół. Las się zmienił. Nie był już przyjazny, jasny i zapraszający. Milczał złowrogo, od czasu do czasu wydobywając z siebie głębokie pomruki lub szelest ostrzegawczych szeptów. Cienie przemykały pomiędzy drzewami, okrutnie zabawiając się z moją wyobraźnią. Niemal czułam na sobie spojrzenia niewidocznych, uważnych oczu. Nie pasowaliśmy tu, z naszymi bezużytecznymi, pozbawionymi zasięgu telefonami, cyfrowymi aparatami, rowerami z przerzutkami i lekkimi ramami, na których po tych wertepach i tak nie umkniemy przed żadnym zagrożeniem. Wydawało mi się, że z jednej strony las mnie odpycha, być może próbując ocalić przed jakimś nieznanym mi niebezpieczeństwem, a z drugiej – już mnie pożarł, przyjął w swe trzewia i nie ma zamiaru wypuścić.

Obejrzałam się przez ramię i spojrzałam na chłopaków. Marcin pedałowiał, jedną dłoń zaciskając na kierownicy, a drugą na telefonie, w który wgapiał się ze zmarszczonymi brwiami. Kuba rozglądał się wokół z cielecym zachwytem i delikatnym uśmiechem błakającym się po ustach. Na jego widok zrobiło mi się lżej. Chyba tylko mnie opanował niepotrzebny, irracjonalny niepokój. Otrząsnęłam się z głupich myśli i mocniej nacisnęłam na pedały.

– Nie ma zasięgu. – Usłyszałam za plecami pełne rozczarowania westchnięcie Marcina, lecz nawet nie zareagowałam. Czego się spodziewałam w środku puszczy?

– To chyba tutaj! – zawołał Kuba.

Zatrzymałam się gwałtownie i odwróciłam się. Rzeczywiście. Spostrzegłam odchodzącą w bok ścieżkę, niemal nie do zauważenia. Nie było mowy, by wjechać w nią rowerem, rzuciliśmy więc pojazdy w krzaki malin, zamaskowaliśmy je dodatkowo gałęziami i ruszyliśmy na piechotę.

* * *

To był najbardziej męczący kilometr, jaki w życiu przeszłam. Właściwie nawet nie jestem pewna, czy to rzeczywiście był tylko kilometr. Miałam wrażenie, że idziemy w nieskończoność. Rozsądek podpowiadał, żeby zawrócić. Jednak nie potrafiłam. Coś ciągnęło mnie w głąb lasu, coś nawoływało i nie pozwalało odpuścić. Nagle ta jasna, sosnowa puszcza stała się mroczna, gęsta, pierwotna. I intrygująca, pełna tajemnic, o których chciała nam opowiedzieć. Żyła, oddychała, widziała. A ja robiłam to wszystko wraz z nią, jakbym rzeczywiście stała się częścią jej trzewi, jej organizmu.

Zerknęłam na chłopaków. Szli z zaciętymi minami, parli przed siebie bez słowa skargi i bez żadnego gestu, który mógłby wskazywać na to, że chcą przerwać wędrowkę. Uśmiechnęłam się do siebie. Jednak nie tylko ja czułam wezwanie lasu.

Grunt stał się grząski i niespodziewanie wyszliśmy przed sosnowy gąszcz. Przed nami rozciągało się jezioro i od razu zrozumiałam, dlaczego nie mogliśmy go dostrzec na widoku satelitarnym w telefonie Marcina. Wody było tyle, co kot napłakał. Do brzegu wyspy mieliśmy może z dziesięć metrów. A może nawet nie. Wyspa była zalesiona i całkiem spora. Otaczające ją wody bardziej przypominały rozlewisko niezbyt imponującej rzeki niż jezioro. Czarna Hańcza w niektórych fragmentach wyglądała podobnie, tylko kolor miała inny. Rzeka, jak jej nazwa wskazywała, była ciemna, niemal czarna; to jezioro miało barwę mętnej herbaty.

Zgodnie z zapowiedzią kobiety z cmentarza przez torfowisko biegł solidny podest. W panującej wokół ciszy nasze kroki głucho zadudniły na drewnianych deskach.

– Jest łódka! – krzyknął Marcin, zupełnie niepotrzebnie, bo nie dało się jej nie zauważyć. Zupełnie prosta, z resztką niebieskiej farby i dwoma ławeczkami. Wiosła tkwiły w wysłużonych, drewnianych dulkach. Mogła mieć zarówno dziesięć, jak i sto dziesięć lat.

Wrzuciłam do środka plecak i czekałam, aż Marcin przełoży swój cenny aparat do wodoszczelnego pokrowca. Chciałam powiedzieć, że na tych parę metrów mógłby to sobie darować, ale zmilczałam. Popatrzyłam w dół, na taflę jeziora w kolorze ciemnobrunatnych pomyj i zrobiło mi się niedobrze. Umysł, wcale o to nieproszony, przywołał wspomnienia. Poczułam, jak woda zamyka się nade mną, jak tracę oddech, jak śmierć wyciąga po mnie chciwą, wilgotną rękę. Zobaczyłam wpatrzone we mnie, pozbawione nadziei oczy.

– Dziwna – stwierdził Kuba.

Jego głos wyrwał mnie z rozmyślań. Nie wiem, czy Kuba zauważył, co przed chwilą się ze mną działo, ale znowu zrobił to, co powinien: przyszedł, przywołał mnie do rzeczywistości i delikatnie objął w pasie. Podążyłam za jego wzrokiem – patrzył na wyspę. Zgadzałam się z jego słowami, też odczuwałam, że jest w niej coś dziwnego, mimo to zapytałam:

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Wielka. Jak na tak małe jezioro. No i, sądząc po tym, co na niej rośnie, nie jest specjalnie podmokła, a na logikę powinna być grzęzawiskiem. Albo nie istnieć.

– Wskakujcie! – zakomenderował Marcin, który usadowił się już w łódce i chwycił wiosła.

Posłuchaliśmy go.

* * *

Dobiliśmy do drugiego brzegu po kilku minutach. Jezioro było spokojne, aż niepokojąco spokojne, a Marcin wiosłował równo i mocno. Wskoczyliśmy na pomost. Brzeg był grząski, jednak szybko dotarliśmy na twardy grunt. Rozejrzałam się. Tu, tak jak w całej puszczy, przeważały sosny, widziałam jednak także sporo olch.

– Gdzie ten cementarz? – mruknął Marcin, wygrzebując z pokrowca aparat.

– Nie wiem – odparł Kuba. – Ale jedno jest pewne. To dobre miejsce dla nieboszczyków.

Zerknęłam na niego z ukosa.

– Bo?

Zadarł głowę i pokazał palcem w górę.

– Sosny. Zawsze były ważne w rytuałach pogrzebowych. Pomagały duszom spokojnie przejść między światami. Chociaż – na chwilę wydał policzki – miały też zapewnić zmarłym odrodzenie. Albo chronić żywych przed zombiakami. Trochę misz-masz. Jak z większością ludowych bajań.

Marcin skończył majstrować przy aparacie.

– Ok. – Rozejrzał się dookoła. – To skoro i tak nie wiemy, gdzie iść, to możemy zacząć tam. – Wskazał w prawo i ruszył dziarskim krokiem.

– Kto wie? – odezwał się znowu Kuba. – Dużo tu olch. Wzmacniają moce jasnowidzenia. Może Marcin jest na nie wrażliwy.

Czasem zapominałam, że zanim mój kochany Kuba postanowił profesjonalnie trenować konie wyścigowe, co i tak hobbistycznie robił od dawna, przez dwa lata studiował etnografię.

– Mam nadzieję, że są tu jakieś miłe drzewa. Takie przyjazne zwykłym ludziom. Żywym i pozbawionym mocy – postanowiłam zażartować. To był błąd.

– Brzozy – stwierdził Kuba. Popatrzył wokół. – Brak. Chodźmy, zanim Marcin się nam zgubi.

* * *

Olchy musiały Marcinowi sprzyjać, bo znaleźliśmy go ledwie dwadzieścia metrów dalej, na małej, otoczonej sosnami polanie, wygiętego w jednej ze swoich dziwacznych póz, jakie przybierał przy fotografowaniu. Rzuciłam okiem na obiekty jego zainteresowania. Przyroda niemal już pochłonęła kamienne nagrobki, ich pokruszone, obrośnięte mchem szczątki były prawie niewidoczne. Jeśli szwagier poznanej w Wodзилkach kobiety rzeczywiście dbał o ten cmentarz, robił to w niezrozumiały dla mnie sposób.

Trudno było nawet policzyć, ile mogło tu być mogił. Pięć? Sześć? Coś koło tego. Przykucnęłam przy jednej z nich, mniej uszkodzonej od pozostałych, i dłonią oczyściłam fragment. Kamień był chropowaty i wilgotny. Nie znalazłam na nim żadnych napisów, ale być może po prostu starł je czas. Zdarłam jeszcze kawałek mchu i wreszcie odsłoniłam coś interesującego. Rok. 1822. Kawał czasu. Kim byli tu pochowani? Czym zawinili, że trafili tak daleko od ludzkich siedzib? Wzruszyłam ramionami. Za dużo rozmyślałam. W dziewiętnastym wieku roiło się od tak zwanych cmentarzy cholerycznych. Tych, którzy umarli z powodu najrozmaitszych chorób zakaźnych, chowano właśnie w takich odludnych miejscach.

Wstałam i poprzez nagie sosnowe pnie spojrzałam na jezioro. Powiew mocnego, chłodnego wiatru, który wziął się nie wiadomo skąd, uderzył mnie w twarz. Spokojna, niemal martwa dotąd tafla wody zmarszczyła się, zbulgotała. Fala uderzyła o brzeg i zaraz cofnęła się gwałtownie. Ciałem wstrząsnął mi dreszcz.

– W porządku? – zapytał Kuba.

Skinęłam głową, a potem podbródkiem wskazałam w kierunku jeziora.

– Widziałeś to?

– Co?

Zamilkłam. Rzeczywiście, właściwie co? Zawiał wiatr i woda nieco się wzburzyła? Wielka rzecz.

– Nie, nic. To jezioro po prostu jest tak spokojne, że każda zmarszczka na nim wydaje mi się nienaturalna.

– Też to czuję. Ale tak to już z tymi sucharami jest. Mają kwaśny odczyn, mało wapnia, są ciemne. Nie nadają się do życia. Ani dla zwierząt, ani nawet dla większości roślin. Są martwe. Może stąd taka dziwna atmosfera. Tylko ta wyspa coś mi nie pasuje.

– Musisz być taki mądry?

Popatrzył na mnie z autentycznym zdumieniem i uśmiechnął się niepewnie.

– Ty prowadziłaś samochód, ja czytałem przewodnik. I tyle.

– Akurat.

Chwilę słuchaliśmy gniewnych pomruków Marcina, który miał problemy z nastawieniem odpowiedniej światłoczułości. Pstryknął jeszcze kilka fotek, w końcu się wyprostował i powiedział:

– To co, idziemy obejrzeć tę wyspę? Wrócimy za godzinę, może światło będzie trochę inne. Tylko poczekajcie chwilę. Zostawiłem w łódce spray na kleszcze. Zaraz wracam. – I, nie czekając na naszą reakcję, dziarskim krokiem ruszył w stronę pomostu.

Kuba kucnął, przesunął dłonią po zarośniętym mchem kamieniu.

– Że też im się chciało – mruknął.

– Co?

– Ciągnąć te trupy taki kawał drogi. A potem jeszcze przez wodę.

Tym razem ja postanowiłam się trochę powymądrzać:

– Jeśli to cmentarz choleryczny, to nic dziwnego. Zawsze tak robiono. Z dala od osad.

Potrząsnął głową.

– Bez przesady – stwierdził. – W pewnym oddaleniu od domów, jasne. Ale tu? Kilometry w głąb puszczy, dodatkowo na wyspie?

Zanim zdążyłam wymyślić jakieś wyjaśnienie, wrócił Marcin, biegiem, zdyszany, jakby uciekał przed bandą piratów.

– Nie ma łódki! – krzyknął z daleka.

– Co? – zapytałam głupio.

– Nie ma łódki – powtórzył, gdy był już obok nas. – Pomost jest, łódki nie ma.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, a potem pomaszerowałam do brzegu. Słyszałam za sobą kroki chłopaków. Rzeczywiście. Gdy dotarliśmy do pomostu, okazało się, że po łódce nie ma ani śladu. Weszłam na drewniane deski, kucnęłam i wbiłam wzrok w mętną wodę.

– Już sprawdzałem – mruknął Marcin urażonym tonem. – Masz mnie za idiotę, kuzynko?

– Tylko czasami – odparłam.

Wstałam. Kuba i Marcin wyglądali na zagubionych, ale szybko im przeszło. Mój kuzyn lekceważąco wydmął wargi.

– No nic, trudno. Najwyżej się wykąpiemy. Drugi brzeg mamy o rzut beretem, damy radę.

Skinęłam głową, chociaż na myśl o zanurzeniu się w tej brejowatej wodzie zrobiło mi się słabo. Kuba chyba to zauważył, bo szybko dopowiedział:

– Ale to ostateczność. Przejdźmy wyspę dookoła, kto wie, może z drugiej strony też znajdziemy łódkę. Albo kajak.

Jakoś wątpiłam, jednak z ulgą przyjąłam cień nadziei i możliwość odroczenia w czasie przeprawy wpław. Poprawiłam plecak i ruszyłam za chłopakami.

* * *

Wyspa okazała się jeszcze większa niż wydawała się na pierwszy rzut oka. Staraliśmy się iść jak najbliżej brzegu, by nie przegapić utkniętej gdziekolwiek w zaroślach łodzi. Zapadaliśmy się więc w grząskim gruncie, co poważnie utrudniało przeprawę. Moje szmaciane trampki za trzy dychy szybko nasiąkły wilgocią. Od czasu do czasu zerkałam na wodę. Nie była już tak spokojna jak jeszcze godzinę temu. Tworzyły się na niej zmarszczki, małe fale i chyba niewielkie wiry. I to bez udziału wiatru, bo po tym jedynym powiewie, jaki wyczułam na cmentarzu, powietrze zastygło w kompletnym bezruchu. Poczułam, jak strużka potu cieknie mi po karku i znika za koszulką.

Nie rozmawialiśmy ze sobą, skupieni na poszukiwaniach, i dlatego doskonale zdawałam sobie sprawę z panującej wokół ciszy. W czerwcowe dni lasy pełne były śpiewu ptaków i brzęczenia owadów. A tu – nic, jeśli nie liczyć mokrych mlaśnień, kiedy wyciągaliśmy stopy z bagnistego podłoża. Nie wiem, czy Kuba i Marcin czuli to samo co ja, czy ich zacięte, uważne

miny świadczyły wyłącznie o tym, że koncentrują się na zadaniu. Wołałam nie pytać.

Jednak wszyscy stanęliśmy jak wryci, gdy od strony olchowego zagajnika dobiegł nas wyraźny trzask. Cholerna wyobraźnia podsunęła mi od razu z tysiąc obrazów, a każdy bardziej przerażający od poprzedniego. Marcin chyba postanowił zagrać bohatera, bo zrobił dwa kroki w stronę drzew. Zatrzymały go jednak słowa Kuby, naszego głosu rozsądku:

– Daj spokój. Jakaś gałąź spadła. Albo szyszka. Chodźmy dalej.

Marcin zgodził się nader chętnie i już miał się do nas odwrócić, gdy hałas się powtórzył. Usłyszałam, że głośno wciągam powietrze. Zrobiło mi się nieco głupio.

Między drzewami mignął cień. Wysoka trawa zadrżała i zaszeleściła.

– Kto tam? – zapytał Marcin dziwnie wysokim tonem.

Znowu ta nienaturalna cisza, znowu te zapatrzone w nas niewidzialne oczy i wstrzymany w oczekiwaniu oddech puszcy. A potem trawa ponownie się poruszyła i przed linią drzew pojawiła się chuda dziewczynka w niebieskiej sukience. Przekrzywiła głowę, stojąc w lekkim rozkroku i przyglądała się nam ciekawie.

– Kurwa, co jest? – mruknął Marcin.

Kuba nerwowo przecesał dłonią włosy, ja odchrząknęłam, bo nagle poczułam drapanie w gardle. Dziecko tkwiło bez ruchu i gapiło się na nas wielkimi, bladobłękitnymi oczami. Zmierzwione włosy opadały dziewczynce na ramiona jasnymi strąkami, delikatna, elfia uroda sprawiała, że wydawała się nierzeczywista. Nagle odwróciła się, poderwała do biegu i zniknęła w gąszczu.

Pierwszy z odrętwienia wyrwał się Marcin:

– S pierdalajmy stąd. Jak najszybciej.

Najchętniej zgodziłabym się z kuzynem, jednak postanowiłam, że postaram się, aby rozsądek mnie nie opuścił. Dziewczynka, może dziesięcio-, może dwunastoletnia, sama, na opuszczonej wyspie ze starym cmentarzem, na martwym jeziorze w środku puszczy, kilka kilometrów od najbliższej wsi. To na pewno dało się jakoś wytłumaczyć.

– Nie możemy jej tu zostawić – mruknął Kuba, chociaż w jego głosie usłyszałam niepewność i lęk.

Z nim też powinnam się zgodzić, jednak nagle propozycja Marcina wydała mi się znacznie bardziej atrakcyjna. Chodźmy stąd, przepłynemy tę mętłą

breję, chociażby wpływ, odnajdźmy rowery i wróćmy do Dworczyńska, do bezpiecznego, przegrzanego samochodu z popsutą klimatyzacją.

– Idę po nią – dodał Kuba po chwili, gdy nie doczekał się naszej reakcji. – Zaraz wracam.

Ruszył przed siebie, ale złapałam go za rękę. Widziałam, że jest zdeterminowany, i do tego ma rację, nie zatrzymywałam go więc. Na sztywnych nogach postąpiłam krok do przodu.

– Idę z tobą.

Marcin westchnął głośno:

– Dobra. Wszyscy pójdziemy.

Zagłębiliśmy się między pękate olchy. Momentalnie ogarnął nas mrok i chłód. Rozłożyste korony drzew zacieniły ziemię, a z podłoża ciągnęło wilgotnym ziębem.

– Dziewczynko! – zawołał Kuba, ale tak jakoś nie za głośno, jakby nie chciał, by usłyszano go zbyt daleko. – Nie bój się.

Ta, jasne – pomyślałam. – *A co z nami?*

– Może nam się wydawało? – stwierdził Marcin.

Bardzo bym chciała, żeby tak było, ale że co? Zbiorowa halucynacja? Chociaż... Właściwie...

– Cholera wie, co wyłazi z tych torfowisk. Może rzeczywiście. Jakieś... opary. – Zamilkłam, gdy spotkałam wzrok Kuby. Najwyraźniej chłopak nie miał wątpliwości, że plotę bzdury, postanowił jednak doprecyzować:

– Halucynacje? I wszyscy widzieliśmy to samo? Marcin, jak ona wyglądała?

– No, chuda taka, blondynka, niebieska sukienka. Dziwna.

Kuba spojrzał na mnie i pozostało mi tylko potwierdzić słowa kuzyna. Bez słowa ruszyliśmy dalej.

Znowu szelest traw, trzask pękającej gałązki. Kroki, tym razem cięższe i głośniejsze, coraz bliższe. Zamarliśmy, chociaż umysł podpowiadał mi, że powinniśmy rzucić się do ucieczki.

Dziewczynka pojawiła się znowu, choć tylko częściowo było ją widać zza pleców mniej więcej czterdziestoletniej kobiety. Miały podobnie jasne włosy, tak samo pociągłe twarze i ledwo widoczne piegi. Matka i córka. Tylko matka wyglądała na znacznie bardziej wojowniczo nastawioną, mimo że w jej oczach wyraźnie czaił się strach. Ten lęk przyniósł mi ulgę.

– Kim jesteście?! – zapytała, ostro i ostrzegawczo. Zauważyłam, że w prawej dłoni zaciska krótki, kuchenny nóż ceramiczny. – Skąd się tu

wzięliście?! Kiedy?!

Kuba wyciągnął przed siebie ręce w uspokajającym geście.

– Może godzinę temu. Chcieliśmy zobaczyć cmentarz.

– Jak?!

– Przyплыliśmy łódką.

– Łódką?

– Tak. Była przy brzegu, po tamtej stronie.

Kobieta wyprostowała się, opuściła rękę z nożem, chociaż wciąż była uważna. W jej oczach rozbłysło zainteresowanie i radosna ekscytacja.

– Łódką? To chodźmy stąd. Zaprowadźcie nas. Zawołam tylko męża. Łódką. To może się udać.

– Co się może udać?

– Jesteśmy tu już trzy dni. Nie da się wrócić. Ale łódką... Skoro przyплылиście, to może i odpłyniemy. Zaraz wracam. Poczekajcie, błagam. Chodź, Lenko.

– Nie ma łódki – mruknął głucho Marcin. – Zniknęła.

Kobieta zamarła. Jej twarz wykrzywił grymas cierpienia, a w oczach chyba rozbłysły łzy. Spuściła głowę.

– Zniknęła – wymamrotała. – No tak. Oczywiście. Czego się spodziewałam? Zniknęła, jasne że tak. – Zaśmiała się krótko, cicho, jednak miała wrażenie, że w tym nerwowym chichocie słyhać nutę szaleństwa. Przysiadła na zwalonym konarze, przeciągnęła dłonią po twarzy. – Świetnie – mruknęła ledwo słyszalnie. – Mąż zwariował, utknęliśmy na wyspie gdzieś na końcu świata. – Popatrzyła na córkę i uśmiechnęła się blado, zdając sobie sprawę z tego, że nie powinna załamywać się przy dziecku. – Razem coś wymyślimy, Lenko, nie martw się. Oni nam pomogą. – Wskazała na nas.

Dziewczynka nie wyglądała na specjalnie zmartwioną. Patrzyła na nas uważnie, jakby oceniała naszą przydatność. Zachowywała się bardzo poważnie jak na swój wiek.

– Jak się tu dostaliście? – zapytał Kuba.

– Przyszliśmy od strony Stanowiska. To taka wiocha tuż przy granicy z Litwą – wyjaśniła, widząc nasze miny. Od granicy. Czyli z przeciwnej strony co my. – Dojechaliśmy samochodem tak daleko, jak się dało, a potem pieszo. Na wyspę przeszliśmy groblą.

– Groblą?! – wykrzyknęliśmy wszyscy razem.

Kobieta smutno pokiwała głową.

– Tak, taką wąską, trawiastą. Trochę strach było na nią wejść, z wszystkimi gratami na plecach, ale Robert, znaczy mój mąż, uparł się. Będzie przygoda, mówił.

– Gdzie ona jest? – przerwałam jej.

Wzruszyła ramionami.

– Nie ma. Zniknęła. Jak wasza łódka.

Milczeliśmy, próbując przetrwać to, co właśnie usłyszeliśmy. Po chwili Marcin parsknął nerwowym śmiechem.

– Nonsens. Może woda się nieco podniosła i ją zalała. Na pewno jest tuż pod powierzchnią jeziora. Znajdziemy.

Kobieta westchnęła.

– Ewa. Mówmy sobie po imieniu, dobrze? Więc nie, woda się nie podniosła. Mamy namiot blisko brzegu, zauważylibyśmy. Grobla zniknęła. Nie ma po niej śladu. Zresztą, jak chcecie, możecie sami poszukać. Z radością przyjmę każde wytłumaczenie tego, co tu się stało. Niedaleko rozbiliśmy obóz. Chodźcie.

* * *

Naprzeciw nam wyszedł wysoki mężczyzna w okropnej, wędkarskiej kamizelce z milionem kieszonek. Patrzył na nas spod gniewnie zmarszczonych brwi, z wrogością wypisaną na twarzy. Objęłam wzrokiem polankę, na której się znaleźliśmy. Po prawej stronie płot z nagich, sosnowych pni, po lewej, oddalone o kilkanaście kroków, brunatne wody ponownie zupełnie spokojnego jeziora. Musiałam przyznać, że rodzina była znacznie lepiej przygotowana na niespodziewane okoliczności niż my. Rozbili mały namiot na niewielkim pagórku, z dala od podmokłego podłoża. Obok niego stała turystyczna kuchenka gazowa z jednorazową butlą, wokół niej walały się nieumyte naczynia.

– Planowaliście tu zostać na dłużej? – spytał Kuba.

– Jedną noc. Może dwie. Robert – wskazała głową na ponurego mężczyznę – mój mąż, jest amatorem ornitologiem, jak dowiedział się o tym jeziorze i wyspie, od razu było wiadomo, że będzie chciał tu dotrzeć.

Coś mnie tknęło:

– A właściwie to jak się dowiedział?

– Byliśmy nad jeziorem Zelwa. Rozbiliśmy namiot na jednym z kempingów i poszliśmy na spacer. Robert oczywiście z lornetką. Zgubiliśmy się. Spotkaliśmy kobietę, miejscową, zapytaliśmy o drogę.

Zainteresowała się, pytała, skąd jesteście, co robimy. Powiedziała nam o tej wyspie. Że to dziwne miejsce. Że wszędzie wokół są ptaki, a tu nie. I nikt nie wie dlaczego. Robert, jak tylko to usłyszał, postanowił przyjechać i zbadać sprawę. Ta kobieta wspomniała o grobli. Była, rzeczywiście.

Coś mnie tknęło:

– A ta kobieta – zapytałam ostrożnie – jak ona wyglądała?

– Bo ja wiem? Ani stara, ani młoda. Drobna. Miała piękne, granatowe oczy.

Zrobiło mi się zimno. Przed oczami stanęła mi rozmówczyni z cmentarza w Wodziłkach. W nieokreślonym wieku, niska, szczupła. O oczach w kolorze jeziornej głębi. Znaczy, głębi normalnego jeziora, nie tej brei, która nas otaczała.

– Jesteście tu od trzech dni i nie próbowaliście przepłynąć na drugą stronę? – zapytał Marcin. – Przecież to kilka machnięć ramionami!

Robert, dotąd stojący bez ruchu i w milczeniu, roześmiał się chrapliwie. Na ten dźwięk po plecach przebiegły mi ciarki. Spojrzałam na niego. Szczerzył zęby w jakimś na pół szalonym, na pół pobłażliwym uśmiechu i potrząsał głową. Ewa poczerwieniała, a Lenka złapała jej dłoń i mocno ścisnęła.

– Oczywiście, że próbowaliśmy – warknęła Ewa, rozzłoszczona kpiącym tonem Marcina. – Oczywiście – powtórzyła łagodniej. – Prawie się potopiliśmy. Ledwo udało nam się wrócić.

Popatrzyłam w kierunku łagodnej wody.

– Jak to? – spytałam.

– Tak to! – odpowiedział Robert z pełną satysfakcją ekscytacją w głosie. – Wyspa nas nie wypuści! Wybrała nas! Należymy do niej!

Zdębieliśmy. Mężczyzna chichotał, a żona patrzyła na niego z przygnębieniem. Odezwała się cicho:

– Wiem, jak to wygląda, ale on ma rację. Próbowaliśmy. Ledwie pokonaliśmy metr, może dwa, woda się wzburzyła, zaczęła nas odpychać. Oblazły nas jakieś rośliny, ciągnęły z powrotem na wyspę. Albo na dno. Robert prawie utonął.

– Może to złe miejsce? Może tu rzeczywiście... Próbowaliście z innej strony?

W głosie Kuby usłyszałam cień paniki i to przeraziło mnie bardziej niż cała ta niewiarygodna historyjka. Ewa zwiesiła głowę.

– Jasne. Jeszcze kilka razy. W różnych miejscach. Wszędzie to samo. – Zniżyła głos do szeptu: – Dwa ostatnie razy tylko z córką, bo Robert... Sami widzicie. Jemu kompletnie odbiło, już wczoraj. Uznał, że jesteśmy tu nie bez przyczyny. Że stoją za tym jakieś dziwne moce, które nas wybrały i powinniśmy się czuć wyróżnieni. Że to zaszczyt. Że zostaniemy tu na zawsze. I tym podobne bzdury.

Marcin chwycił mnie za łokieć.

– Chodźmy stąd – syknął mi prosto w ucho. – Jak najdalej. Czas spieprzać z tej wyspy. Mam dość przygód na dzisiaj. I dość wariatów.

Przytaknęłam machinalnie. Na sztywnych nogach ruszyłam za chłopakami w drogę powrotną. Czułam na plecach wzrok Ewy i przez chwilę chciałam jej zaproponować, by wraz z Lenką poszła z nami. Szybko mi jednak przeszło. Robert wydawał się jedynym szaleńcem w tej rodzinie, ale kto wie. Ona też opowiadała dyrdymały. Również musiała mieć nierówno pod sufitem.

* * *

Stałam na pomoście. Wydawało się, że drugi brzeg jest niemal na wyciągnięcie ręki, że wystarczy rozpędzić się i przeskoczyć, by pewnie stanąć na deskach po przeciwnej stronie. Próbowałam nie rozmyślać za dużo o czekającej mnie kąpieli. Kiedyś pływałam całkiem dobrze, ale, no właśnie, to było kiedyś. Teraz na samą myśl o zanurzeniu się w tej mętnej wodzie robiło mi się słabo. Zacisnęłam powieki. Niepotrzebnie, bo znowu ujrzałam obrazy, które męczyły mnie już czwarty rok. Rozpędzony samochód, piskliwe odgłosy hamowania, uderzenia, najpierw w drzewo, następnie w taflę wody i ułamek chwili zwodniczego spokoju. Tak krótki, że nie dało się nic zrobić. A potem zanurzanie się, narastająca panika, nabierające wody auto, przerażone oczy Kaśki, która utknęła w zgniecionym samochodzie pomiędzy kierownicą a fotelem. Próbowałam ją wydostać, ale wrzeszczała z bólu; nie mogłam jej przesunąć, traciłam oddech, wody było coraz więcej, a tlenu coraz mniej.

Otworzyłam okno od strony pasażera, z ulgą przyjmując, że Kaśka miała starego grata, w którym szyby opuszczało się korbką, i wypłynęłam na zewnątrz, z postanowieniem, że tylko zaczerpnę powietrza i wrócę po nią. Nie wróciłam. Wyczołgałam się na brzeg, wstrząsana drgawkami i torsjami, wyrzygałam cały swój strach i zatruwający mi żyły nadmiar alkoholu.

Kaškę wyciągnęli przed świtem. Oczywiście, uznali, że była pijana. Była. Ale ja znacznie bardziej. Ona prowadziła, to fakt. Tylko że to ja ją do tego namówiłam, ja powiedziałam, że nie dam rady dowlec się do domu ciotki na nogach, a muszę, bo rano mam pekaes do Wrocławia, i że to przecież tylko kilka kilometrów przez zadupie. Co się może stać? Tak, jasne, nie powinna się była zgodzić. I długo nie chciała się zgodzić. W końcu jednak... No cóż, zawsze była dobrą przyjaciółką. A ja zostawiłam ją na dnie hodowlanego stawu, z niemal promilem alkoholu we krwi i milczałam, gdy słyszałam lub czytałam kolejne plotki o głupiej, pijanej dwudziestolatce, która z własnej winy straciła życie i w sumie to nie ma co żałować idiotki.

– Coś blado wyglądasz – stwierdził Kuba, zaglądnąc mi w oczy.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale twarz skurczyła mi się w grymasie.

– Ohydna ta woda – odpowiedziałam tylko i przykucnęłam, zaglądnąc do plecaka.

Postanowiliśmy zostawić wszystko, co nie będzie nam potrzebne. Większość jedzenia, dwie półtoralitrowe butelki wody, cztery niepasteryzowane prażubry, krem do opalania, spray przeciw owadom, zapalki, przewodnik turystyczny i notes Kuby. Mój plecak i tak był stary i wysłużony, więc postanowiłam go również porzucić. Przez chwilę było mi wstyd, że zaśmieczę puszcę, jednak szybko mi przeszło. Wyspa też nie zachowywała się wobec nas w porządku. Trudno. Ma za swoje. Wyjęłam tylko telefon, portfel oraz kluczyki do samochodu i rozejrzałam się bezradnie.

– Daj mi – powiedział Marcin. – Ty też, Kuba. Telefon i dokumenty. Upchnę gdzieś razem z moim aparatem.

– Nie boisz się, że zamoknie? – spytałam.

– Te wodoszczelne pokrowce kosztowały tyle, ile średniej klasy obiektyw. Zaraz się przekonamy, czy były warte swojej ceny.

Uznaliśmy, że możemy płynąć tak, jak stoimy. Byliśmy lekko ubrani, w bawełnianych koszulkach, szortach i szmacianych butach. Dzień był ciepły, wyschniemy potem w godzinę. Ponownie spojrzałam w toń. Spokój. Cisza. Nic się nie działo. Jezioro zamarło, czekając na nas. Kuba jako pierwszy usiadł na deskach, powoli osunął się do wody.

– Głęboko – rzucił ostrzegawczo. – Nie sięgnięcie dna.

Zatoczył ramionami krąg, przesunął się nieco do przodu. Miałam wrażenie, że płynie w kisielu, tak gęsta wydawała się otaczająca go woda. Poruszał się niemrawo, jakby jezioro stawiało zdecydowany opór.

Druga byłam ja. Odczekałam, aż Kuba oddali się na dwa metry i skoczyłam za nim. Otoczyło mnie zadziwiająco przyjemne ciepło, błogość rozlała mi się po żyłach. Miałam ochotę przewrócić się na plecy, położyć się na wodzie i zamknąć powieki, pozwalając ciału na odprężenie. Potrząsnęłam głową, by odegnać to uczucie. Mozolnie machnęłam ramionami, próbując przebić się przez martwe jezioro. Usłyszałam za sobą głośny plusk – Marcin nie czekał długo, rozpoczął przeprawę zaraz po mnie.

I wtedy, nagle, wszystko się zmieniło. Od brzegu, do którego zmierzaliśmy, pomknęła wysoka na metr fala, pędząc prosto na nas w szalonym tempie. Nie zdążyłam nawet krzyknąć, gdy uderzyła Kubę, rzucając nim w moją stronę. Jego bezwładne ciało rąbnęło mnie w ramię, spychając w bok, prosto w błyskawicznie tworzący się wir. Odwróciłam głowę i zobaczyłam zmartwiałą w przerażeniu twarz Marcina, wyrzuconego na podmokły brzeg wyspy. Sunął w naszą stronę, jednak nogi zapadały mu się w grząskie torfowisko, wciągające go w swoje trzewia. Wierzgnęłam raz i drugi, rozpaczliwie zamłóciłam rękami wodę, próbując wyrwać się z bezlitośnie pochłaniającego mnie jeziora. Coś owinęło mi się wokół nóg, szarpnęło. Spojrzałam w dół i poczułam, jak zimny strach zmraza mnie od środka. Błada dłoń mocno trzymała mnie za kostkę, piwne oczy Kaśki patrzyły z wyrzutem i smutkiem. Jej jasnorude włosy falowały łagodnie jak dziwne wodorosty. Chciałam krzyknąć, jednak gdy tylko otworzyłam usta, zadławiłam się wdzierającą się do gardła i płuc wodą. Na chwilę ogarnęła mnie ciemność, a gdy znowu odzyskałam wzrok, twarz Kaśki straciła już młodzieńcze rysy, oczy zmieniły kolor na granatowy. Kobieta z cmentarza w Wodзилkach gapiła się na mnie i uśmiechała szeroko.

Uniosłam głowę. Słoneczne światło przedzierało się przez mętną wodę. Ujrzałam jeszcze unoszące się bezwładnie ciało Kuby, a potem straciłam oddech i objęła mnie kojąca ciemność.

* * *

Ocknęłam się tuż po tym, jak mocna dłoń Marcina przygniotła mi mostek. Usiadłam szybko, gwałtownie wciągając powietrze. Niemal grzmotnęłam głową schylającego się nade mną Kubę. Na twarzach chłopaków dostrzegłam ulgę, więc wywnioskowałam, że autentycznie obawiali się o moje życie.

– Kuba – szepnęłam, odwracając się do niego. Pamiętałam uderzającą go falę i bezwładnie dryfujące ciało. Teraz był blady, zmęczony, ale

najwyraźniej wydostał się z jeziora bez większego szwanku. – Co to było?

Marcin wstał, przeszedł kilka kroków, nerwowo przeczesując włosy palcami.

– Nie wiem. Tak nagle. Kubę wyrzuciło na brzeg, mnie udało się wreszcie do ciebie dotrzeć i wyciągnąć. Chyba w ostatniej chwili, bo mocno cię wessało. Byłem przekonany, że już po tobie, gdy nagle wszystko się uspokoiło, zupełnie, jakby nic się nie wydarzyło. Jezioro znowu stanęło. Wiesz, tak całkowicie zamarło. Jak teraz. I wypuściło cię. Byłaś nieprzytomna.

Spojrzałam na jezioro. Wyglądało tak samo jak wówczas, kiedy do niego wchodziliśmy. Gładkie, o barwie kiepskiej herbaty, leniwe. Przyczajone. Wyczekujące w bezruchu. Pilnujące i wierne wyspie. Odwróciłam głowę, gdy od strony lasu dobiegł nas głośny chichot. Robert, mężczyzna w wędkarskiej kamizelce, siedział ze skrzyżowanymi nogami, wydając z siebie ten irytujący dźwięk, trochę szalony, trochę pobłażliwy.

– I co? – zapytał, gdy się wreszcie uspokoił. – Jak wam poszła ucieczka?

Milczeliśmy. Nie patrzyliśmy na niego. Mnie ten wariat nic nie obchodził, ponownie wbiłam więc wzrok w jezioro. Marcin i Kuba zapatrzyli się na ziemię pod stopami.

A Robert mówił dalej:

– Nic z tego nie będzie. Możecie próbować do woli jak moja uparta żona. Efekt okaże się taki sam. Za każdym razem. Zostaniecie tu tak długo, jak ta wyspa będzie tego pragnęła. Czyli zapewne na zawsze.

– To się jeszcze zobaczy – warknęłam w jego kierunku.

– Co?

– Powiedziałaś, że to się jeszcze zobaczy – powtórzyłam głośniejszym głosem. – Nie dość, że zwariowałaś, to jeszcze ogłuchłaś?

Na chwilę zapadło milczenie. Wszyscy trzej mężczyźni patrzyli na mnie zdziwieni. Pierwszy odezwał się Robert. Jakżeby inaczej.

– Tak, zobaczy się. Zobaczycie. Ta wyspa nie wzywa bez powodu. Wybiera. Wybiera nowych panów i nowy pokarm. Ktoś musi na niej rządzić i dostarczać jej energii do życia. Musi się czymś... kimś... żywić. Nie wypuści was.

– Zamknij się – mruknęłam. Byłam zmęczona tym, co stało się w wodzie, byłam znużona głupią gadaniną tego mężczyzny. – Zamknij się, z łaski swojej, zabierz dupę w troki i wracaj do swojej rodzinki. Zanim się wkurwię naprawdę.

Robert wstał, pobladły i z zaciśniętymi pięściami. Kątem oka widziałam, jak mierzy mnie wzrokiem, a jego policzki poruszają się, gdy z całej siły zaciska szczęki. Marcin podszedł do niego, stanął w odległości dwóch kroków. Robert rozluźnił się, wykrzywił usta w czymś, co pewnie miało być pogardliwym uśmiechem.

– Dobrze. Pójdę. Ale zapamiętajcie moje słowa. Jesteście tylko przekąskami – zarechotał, jakby opowiedział świetny dowcip, a potem odwrócił się, postąpił kilka kroków i zniknął między drzewami.

Nagle straciłam siły, usiadłam na trawie. Wciąż ociekałam wodą, jednak nie było mi zimno. Wydawało mi się nawet, że wilgoć, która wdarła się w moje włosy i ubranie, stanowi dodatkową warstwę ochronną. Było mi całkiem przyjemnie. Kuba usiadł obok, objął mnie ramieniem.

– W porządku? – zapytał, a ja poczułam niespodziewaną irytację. Zawsze podobało mi się, że jest tak delikatny, wrażliwy, empatyczny. Teraz zaczęło mnie to denerwować.

– Tak – odparłam, powstrzymując rozdrażnienie.

Marcin także podszedł.

– Aleś mu napyskowała – stwierdził z podziwem w głosie. – Kto by się spodziewał, kuzynko? Należało mu się!

Uśmiechnęłam się do niego.

– Jak twój aparat? Pokrowiec dał radę? – spytałam.

Pociągnął nosem.

– Nie wiem. Straciłem go. Wpadł do wody, nie było czasu szukać. Przepraszam, bo razem z nim straciłem wasze telefony i dokumenty.

– Daj spokój – zachnął się Kuba. – To nieistotne.

– Przykro mi – stwierdziłam. – To był cholernie dobry sprzęt.

– I kluczyki do samochodu – dodał Marcin, zgnębiony.

To już większy problem. Mimo to lekceważąco machnęłam ręką.

– W pokoju w Augustowie mam zapasowe. Teraz najważniejsze, żebyśmy się stąd wydostali. Z Dworczyńska już jakoś do Augustowa dotrzemy.

Marcin uśmiechnął się blado i skinął głową.

– Chyba powinniśmy iść po tę dziewczynkę. I jej matkę – zaproponował Kuba niepewnie. – Cholera wie, co ten szaleniec jest zdolny zrobić.

– Wy nigdzie nie pójdziecie – stanowczo zdecydował Marcin, a ja byłam mu za to wdzięczna. – Marta dopiero co wyrwała się śmierci, a ty też przez chwilę byłeś nieprzytomny. Musicie odpocząć. Natomiast ja nie mam ochoty włączyć się po tej wyspie samotnie. Obie potrafią chodzić, jak będą chciały,

same do nas trafią. Martwmy się najpierw o siebie. Potem możemy pomyśleć o innych. Wy odpoczywacie – zakomenderował. – Ja też. A potem spróbuję jeszcze raz przepłynąć to cholerstwo.

* * *

Kolejna próba Marcina skończyła się tak, jak można się było spodziewać, i teraz klęczeliśmy z Kubą na pomoście, wyciągając go z wody. Tym razem nie przepłynął nawet dwóch metrów. Ledwo wskoczył do jeziora, z głębin wystrzeliły niewidoczne dotąd rośliny: śliskie trawy, ciemnozielone liście, rozmoknięte kłacza. Nie zaatakowały go, czego się pierwotnie spodziewałam, jedynie rozłożyły na wodzie gęstym dywanem. Marcin machał rękami, wierzgał, próbował rozgarnąć gąszcz, poddał się jednak po kwadransie. Nie miał szans, zielsko unieruchomiło go pół metra od podestu, a odpuściło zaraz po tym, jak chłopak zdecydował się do nas wrócić. Marcin uparcie ponowił próbę, która zakończyła się dokładnie tak samo.

Siedzieliśmy teraz na pomoście, pogrążeni we własnych myślach. Żadne z nas nie miało zegarka, a telefony leżały gdzieś w mulistym dnie jeziora, wydawało mi się jednak, że musi już być późne popołudnie. Kuba wstał, chwilę grzebał w leżących pod sosną rzeczach, które jeszcze przed pierwszą próbą przeprawy mieliśmy zamiar porzucić na wyspie; wrócił z kanapkami i trzema puszkami prażubra. Otworzyliśmy je w milczeniu. Nie miałam ochoty na piwo, mimo to pociągnęłam łyk. Skrzywiłam się zaraz. Smak niepasteryzowanego piwa, który dotąd był jednym z moich ulubionych, wydał mi się wstrętny. Odstawiłam puszkę. Na kanapkę nawet nie spojrzałam.

– Powinnaś coś zjeść – powiedział Kuba i pogłaskał mnie po wilgotnych włosach. Spomiędzy kosmyków wyjął jakąś mokrą, jeziorną trawę. Nie miałam pojęcia, skąd się tam wzięła. – I iść gdzieś do słońca, dopóki jeszcze świeci. Wciąż nie wyschłaś. Zmarzniesz. Włosy ci się zmierzwiły od tej wilgoci. Chociaż ładnie ci tak. – Uśmiechnął się, a ja z trudem powstrzymałam odruch, by wstać i odejść, zniknąć z zasięgu jego troskliwości.

Drażnił mnie teraz, z tą swoją empatią i opiekuńczością. Zacisnęłam jednak zęby i nie poruszyłam się, pozwalając mu objąć się w pasie. Nie panowałam całkowicie nad sobą, sytuacja, w której się znaleźliśmy, wytrąciła mnie z równowagi. Wciąż jednak miałam wystarczająco dużo rozsądku, by rozumieć, że Kuba jest najlepszym facetem, na jakiego mogłam

trafić. Czuły, wrażliwy, bystry, o zawstydzającej mnie czasami wiedzy. W normalnych warunkach doceniłabym to, tak jak zawsze do tej pory doceniałam. Tylko że warunki od kilku godzin zdecydowanie nie były normalne.

Wstałam, przeszłam kilka kroków i stanęłam na skraju pomostu. Bura woda rozlewała się u mych stóp, znowu spokojna i przymilna. Poczułam ochotę, by do niej wskoczyć, pozwolić się objąć, sprawdzić, jak tym razem mnie przyjmie. Wysiłkiem woli powstrzymałam się i odwróciłam od niej plecami.

– Co robimy? – zapytałam.

Moi towarzysze siedzieli ze spuszczoneymi głowami. Pierwszy odezwał się Kuba:

– Spróbuję jeszcze raz. Za chwilę.

Daliśmy mu trochę czasu, bo było widać, że nie jest w pełni sił. Gdy wreszcie zanurzył się w wodzie, słońce nikło już za koronami drzew. Czerwcowe dni były długie, zbliżało się letnie przesilenie, jednak wieczór powoli nadciągał.

Kuba dotarł niemal do połowy jeziora i kątem oka zauważyłam, że podeksytowany Marcin głęboko wciągnął powietrze. Ale wtedy znowu od drugiego brzegu runęła fala, nie tak imponująca jak za pierwszym razem, jednak wystarczająca, by odrzucić Kubę z powrotem na wysokość pomostu. Widziałam, jak walczył, ponownie próbując się przebić przez nieprzyjazną wodę, w końcu jednak dał sobie spokój. Gdy wyciągnęliśmy go na deski, oddychał ciężko.

– Musimy znowu spróbować, nie możemy się poddać – wycedził Marcin przez zaciśnięte zęby.

Zerknęłam w niebo. Wciąż było jasno, ale słońce schowało się już za lasem.

– Może jutro – stwierdziłam. – Nawet jak przepłyniemy, to potem zgubimy się w puszczy. Nie mam specjalnej ochoty wracać po ciemku. A nawet jeśli nie, to i tak nie mamy kluczyków. Jeszcze nas psami poszczują w Dworcysku. I może dzisiaj był po prostu taki dzień. Pełen anomalii. Może jutro będzie zupełnie inaczej. Mamy jeszcze trochę kanapek. I jakieś ciastka.

Niezbyt entuzjastycznie pokiwali głowami, udając, że wierzą w moje słowa. Byłam jednak przekonana, że wkrótce coś się musi zmienić.

* * *

Kiedy przestałam udawać, że śpię, ognisko już dogasało. Żar dokuczał mi nieznośnie i mimo próśb Kuby położyłam się z dala od jego zasięgu. Teraz jednak wstałam i dorzuciłam kilka gałęzi. Zafascynowana patrzyłam, jak ochronna warstwa wilgoci na skórze przedramienia błyskawicznie znika, jak naskórek szarzeje i zmienia się w pył. Szybko odsunęłam rękę i wycofałam się poza zasięg zabójczych płomieni. Ale ogień będzie potrzebny, nie tylko po to, by Kuba i Marcin nie zmarzli. Skwar buchnął mi w twarz, jakby nie chciał pozwolić mi odejść, cofnęłam się więc z odrazą jeszcze bardziej, a w końcu ruszyłam pomiędzy drzewa.

Instynkt prowadził mnie jak na sznurku. Doskonale widziałam wszystko wokół, mimo że noc była bezksiężycowa, a las potęgował mrok. Czułam spokój, jakbym wreszcie trafiła do domu, miejsca, do którego należałam i w którym byłam bezpieczna. Zdjęłam buty. Tutaj podłoże nie było tak cudowne jak tuż nad wodą, pełne wilgoci i miękkiego mchu, jednak i tak przyjemne mrowienie popędziło mi od stóp w górę ciała. Szłam i napawałam się pięknem mojego nowego domu, jego tajemniczymi cieniami, wciąż niezbadanymi zakątkami, drzewami, które ugiwały się przede mną w pełnym godności pokłonie. Pachniało mokrą ziemią, roślinnymi sokami i próchnem. Życiem i śmiercią, niekończącym się cyklem. Korony drzew zaszeleściły, mimo że nie zawiął najłżejszy wiatr, ale ja wiedziałam, że to wyspa mnie wita. I sprawdza. Ciekawskie głosy runęły w dół, między trawy, las ożył i mówił. Jeszcze go nie rozumiałam, ale będę miała czas na naukę.

– Witaj, Marto. – Usłyszałam.

Stałam i odwróciłam się w stronę głosu. Drobną kobietą o splątanych, poprzetykanych jeziorną trawą włosach patrzyła na mnie z uśmiechem. Jej oczy nie były już granatowe, miały mętnobrazowy odcień pilnującego wyspy jeziora.

– Witaj – odpowiedziałam.

Wstała. Długie włosy spływały jej po ramionach, plecach i piersiach. Miała na sobie staromodną suknię, zniszczoną i przebarwioną, jednak wciąż piękną. Piękną, bo pasowała do właścicielki i do tego miejsca. Przez głowę przemknęła mi myśl, że w swoich niebieskich szortach i spranym t-shircie nigdy nie będę wyglądała na tak bardzo zjednoczoną z okolicą. Kobieta podeszła do mnie i pogładziła mnie po policzku.

– Trafiłam na odpowiednią osobę. Za drugim razem. Nie jest tak źle.

– Za drugim?

Skinęła głową.

– Tak. Najpierw myślałam o tym mężczyźnie. Robercie. Dlatego ich tu sprowadziłam. On też ma wyrzut sumienia, też ma coś do odkupienia.

– Co?

Spojrzała na mnie uważnie, z namysłem. W końcu powiedziała:

– Sprowadził na kogoś śmierć. Nieumyślnie, tak samo jak ty. Na kobietę. Oszukał ją, pozwolił jej się w sobie zakochać, potem zostawił. Nie wytrzymała. Zabiła się. Utonęła. Ale on zagłuszył sumienie bogiem. Waszym bogiem. Uznał, że spowiedź i modlitwa wystarczą. Nie ma w nim pokory ani żalu. Wyspa go nie zaakceptowała. Jezioro też nie. Wyczuły, jeszcze przede mną, że jest w nim za dużo pychy. Chciał tu zostać panem. Nie rozumie, że miał być tylko sługą. Ważnym, jedynym, ale sługą. Strażnikiem i opiekunem. Zaczęła mu się roić władza. Nie zasłużył. Zostanie tu, jak oni wszyscy, jednak nie w taki sposób, na jaki miał nadzieję.

– On też jest... – Chwilę szukałam odpowiedniego słowa. Martwy? Tak, w jakiś sposób byłam martwa. Przecież utonęłam. Ale chodziłam, mówiłam, miałam przed sobą misję do spełnienia. – Przemieniony?

– Nie. Wypuściłam go, gdy poczułam, że go nie chcą. Nie umarł, jednak zdążył zrozumieć. Nie całkowicie, dlatego pomieszało mu się w głowie. Zobaczył mnie, poczuł namiastkę mocy, za szybko uwierzył w swą wielkość. Popełniłam błąd. To już jednak nie ma znaczenia. Jesteś ty.

– Wypuść Kubę i Marcina.

Uśmiech spelzł jej z twarzy. Zmarszczyła brwi, a jej rysy wyostrzyły się. W jednej sekundzie postarzała się o dwadzieścia lat.

– Bo? – zapytała zaczepnie.

– Bo będziesz musiała poszukać kogoś innego.

– Więc poszukam. Myślisz, że tak mało na świecie ludzi, których gryzie sumienie?

Pokręciłam głową.

– Nie. Jest ich całe mnóstwo. Powodzenia.

Machnęłam ręką na pożegnanie i już chciałam odejść, gdy powstrzymała mnie gestem dłoni. Wiedziałam, że tak będzie. Nie mogła ze mnie tak łatwo zrezygnować. Doskonale czuła, jak bardzo tu pasuję.

– Niedługo staną ci się obojętni – spróbowała jeszcze.

– Wiem. Dlatego muszę się spieszyć.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Ogień mnie zniszczy. Dorzuciłam dREW, zanim tu przyszłam. Będzie dla ciebie albo dla mnie. Możesz zdecydować.

Znowu się uśmiechnęła. Tym razem z uznaniem.

– Szybko się uczysz. Dobrze wybrałam.

– Więc spełnij moją prośbę.

– Wyspa potrzebuje życia. Potrzebuje się nim żywić. Niezbyt wiele, ale już jest głodna. Muszę jej coś dać, po raz ostatni. Potem to będzie twój problem.

– Jest Robert. I Ewa, jego żona – powiedziałam. – I... Ich córka, Lenka – dodałam, zdziwiona własną obojętnością na los tej cichej, poważnej dziewczynki. – To wystarczy. Na jakiś czas. I wiem, że jutro bez mrugnięcia okiem poświęciłabym również Marcina i Kubę. Dlatego proszę o nich dzisiaj. Dopóki mam w sobie jeszcze coś z człowieka.

– Zawsze coś będziesz miała. Dlatego i ty kiedyś znużysz się swym zadaniem i będziesz chciała odejść. Jak ja teraz.

– Byłaś tu sama, przez cały ten czas?

– Tak.

– A... Tamci? – Wskazałam ręką w lewo, tam, gdzie kilkadziesiąt metrów dalej był cmentarz.

– Ofiary hysterii. Mieli pecha. Tak samo niewinni jak twoi przyjaciele. Jak Ewa i jej córka. Zginęli przy okazji, gdy gruchnęła plotka, że złe moce wychodzą z Czarnej Hańczy, a utopce porywają ludzi. Trudno opanować panikę. Często zdarzają się przypadkowe ofiary. Kogoś trzeba wskazać, by inni poczuli się bezpiecznie. – Wbiła we mnie wzrok, zastanawiając się chwilę, przymknęła powieki, wsłuchiwała w krążące wokół szepty. – Idź po nich – rzuciła w końcu. – Szybko, zanim się rozmyślimy. Przejdą po grobli.

– Po grobli?

Parsknęła nieprzyjemnym śmiechem.

– No tak. Wszystkiego jednak jeszcze nie rozumiesz. Tak. Po grobli. Naprawdę tu jest. To jezioro... Nie myślisz chyba, że ludzie pochowaliby utopców nad jeziorem. Po co? By zrobić im przyjemność? Nie... Stworzyłam te wody, zwołałam je tu. Powoli, bo to wyczerpująca praca. Suchy ląd najpierw zmienił się w bagnisko, potem w jezioro. Stworzyłam urokliwy zakątek – zachichotała rozbawiona. – Więc ta grobla, która czasem się pojawia, czasem znika, to już żaden wysiłek. Sama zobaczysz. Nauczysz się. Jeszcze nie wiesz, jaką masz moc. Przeprowadź przyjaciół na drugą stronę wyspy. Do obozowiska Roberta i Ewy. No, już, spiesz się.

Odwróciłam się i posłusznie pobiegłam po chłopaków. Przez las przemknął wrzask, dziki, pełen strachu i niedowierzania. Ludzki. Usłyszałam, jak szepty wśród drzew nasilają się, nerwowe i podekscytowane, a fale jeziora uderzają o brzeg. Kolejny krzyk, tym razem cichszy, jeszcze bardziej rozpaczliwy, wywołujący gęsią skórkę. Zacisnęłam powieki. Nic mnie to nie obchodziło. Nic mnie to nie mogło obchodzić. Resztki uczuć musiałam zachować dla Kuby i Marcina.

* * *

– Wstawaj, Kuba! – Potrząsnęłam chłopaka za ramię. – Wstawaj! Znalazłam grobę!

Usiadł w jednej chwili, zamrugał zaspany.

– Co?

– Nie mogłam spać. Poszłam na spacer i znalazłam grobę! Chodźmy, zanim znowu zniknie! – Parsknęłam udawanym śmiechem.

Zostawiłam Kubę, by doszedł do siebie i obudziłam Marcina. Kuzyn popatrzył na mnie z niedowierzaniem, ale bez protestu wstał, gotowy do drogi po pięciu sekundach.

– Gdzie? – zapytał tylko.

– Niedaleko obozowiska Ewy. Nie mam pojęcia, jak mogliśmy jej wczoraj nie zauważyć. – Marcin znieruchomiał. Poczulałam na sobie jego ciężki wzrok. – Jest tam – zapewniłam go. – Zobaczysz.

Musieliśmy iść blisko brzegu. Była noc i w lesie połamaliby sobie nogi. Staralam się nie dać po sobie poznać, że świetnie widzę w ciemności, ale i tak co chwilę musiałam przystawać, by na nich poczekać. Drażniła mnie ich nieporadność, ich ciężkie oddechy, ciche przekleństwa, gdy stopy zapadały się im w grząskim gruncie. Wiedziałam, że nie mam zbyt dużo czasu. Że oni nie mają zbyt dużo czasu, mogliby się więc, z łaski swojej, pospieszyć!

Robert już na nas czekał. Siedział w wejściu do namiotu i kołysał się lekko. Na nasz widok uśmiechnął się szeroko, lecz gdy na dłużej zatrzymał wzrok na mojej twarzy, mina mu zrzędała. Zrozumiałam, że właśnie pojął swą klęskę. Zerwał się na równe nogi, machnął trzymanym w prawej dłoni nożem. Dostrzegłam na ostrzu lepki ślad krwi. Popatrzyłam za mężczyzną, do widocznego przez odsłonięte wejście środka namiotu. Ewa leżała w nienaturalnej pozycji, z głową w przedsionku. Jej jasne włosy rozsypały się po szarej, polietylenowej podłodze. Biały t-shirt na plecach całkowicie

prześląknął krwią. Nie żyła. Zdążyła się zorientować, co Robert zamierza i próbowała uciec. Za późno.

Rozejrzałam się dookoła. Szybko spostrzegłam Lenkę. Leżała kilka kroków od namiotu. Musiała biec w stronę lasu, poganiana krzykiem matki, jednak chyba zatrzymała się, przerażona. Tam ją dorwał. Sądząc po tym, jak ułożona była jej głowa – skręcił jej kark. Usłyszałam za sobą jęknięcie Marcina:

– Kurwa.

Wskazałam dłonią w stronę jeziora.

– Tam jest grobla.

Wszyscy trzej popatrzyli w tamtym kierunku i westchnęli, jak na wezwanie. Rzeczywiście, wąska, ciemna, ledwo wystawała nad wodą. Ale była. Wyraźnie widoczna, odległa o piętnaście metrów.

– Jak to? – zapytał Kuba, jednak nikt mu nie odpowiedział.

– Pospieszcie się – rzuciłam. – Nie ma czasu.

Roberta jakby ktoś dźgnął rozgrzanym prętem. Podskoczył, znowu zamachał nożem.

– Nie! – wrzasnął. – Neeeeee... – Pokręcił głową, powoli, jak zepsuta, nakręcana lalka. – Nie umkniecie. Jestem władcą i strażnikiem tej wyspy i tego jeziora. One was potrzebują. Zostaniecie tutaj. Jestem...

– Nikim nie jesteś – przerwałam mu spokojnie. – Miałeś szansę, ale ją straciłeś. Nikim nie jesteś. Może tylko szaleńcem i zabójcą.

– Ich śmierć była koniecznością! – krzyknął, lecz jakoś piskliwie, nerwowo. – Wasza też!

– Zamknij się – odparłam, znudzona tym przedstawieniem. Marcin i Kuba stali za mną, ich zdumienie i lęk były niemal namacalne. Odwróciłam się do nich: – Chodźcie.

I wtedy Robert zaatakował. Wrzasnął, chyba dla dodania sobie animuszu, i runął na nas z wyciągniętym przed siebie nożem. Poczulałam, jak wiatr uderzył mnie w plecy, potem pomknął do przodu, w kierunku mężczyzny, a rozzłoszczone głosy popędziły wraz z nim. Wody jeziora zabulgotały i zafalowały. Robert zwolnił, wyczuwając zagrożenie, był już jednak bez szans. Cienkie, mocne gałęzie turzycy i bagnicy owinęły się wokół jego stóp, błyskawicznie ściągając go na kolana. Mężczyzna próbował się szarpać, jednak trawy oplątały mu nadgarstki, przyciągnęły do ziemi, okręciły wokół szyi, przydusiły. Oczy Roberta wyszły z orbit, zaczął charczeć. Kuba chciał pobiec mu na ratunek, osadziłam go jednak w miejscu gestem dłoni.

Patrzyliśmy, jak tamten niknie w torfowisku, wciągany coraz głębiej, jak niknie pod miękką warstwą tworzących mszar roślin. Rosiczki, wełnianki i żurawiny szybko zamaskowały miejsce, które pochłonęło mężczyznę.

– Kurwa, co to było? – Marcin pierwszy odzyskał głos.

– Nieważne – powiedziałam. – Chodźmy.

– Nieważne? – Kubie zebrało się na morały. – To było nieważne? Marta, przecież... Szlag!

– Po prostu chodźmy stąd, ok? Zanim znowu zgubimy tę groble.

To ich przekonało, bo z ociąganiem ruszyli za mną. Szłam pierwsza, potem Kuba, na końcu Marcin. Porastająca groble trawa była śliska, kilka razy usłyszałam przekleństwa chłopaków, gdy ich stopy osuwały się z wilgotnej ziemi. Po chwili byliśmy na drugim brzegu. Staliśmy, w milczeniu patrząc na majaczącą w mroku wyspę.

– Prowadź, Marcin – zakomenderowałam. – Musimy znaleźć naszą ścieżkę. I rowery.

* * *

Nawet nie zauważyli, kiedy ich opuściłam. Po prostu zrobiłam kilka kroków w bok i zanurzyłam się w ciepłym, gościnnym jeziorze. Zanurkowałam, a moje ciało przeszło dreszcz rozkoszy. Znalazłam swoje miejsce na ziemi, wolne od trosk, wyrzutów sumienia, bolesnych emocji. Chwilę cieszyłam się wodą, a potem wyszłam na brzeg. Po obozowisku i ciałach nie było już śladu, wyspa wchłonęła je tak samo jak Roberta. Gdziekolwiek tylko mszar wybrzuszał się, tworząc niewielkie kopczyki, przypominające miękkie, zielone nagrobki.

Usłyszałam, jak Kuba wykrzykuje moje imię, raz za razem. Od czasu do czasu dołączał do niego Marcin. Skrzywiłam się z niesmakiem. Mogliby sobie pójść, zostawić mnie w spokoju. Cóż, w końcu się znudzą. Położyłam się na torfowisku. Szepty zatańczyły mi nad głową, już wyraźne i zrozumiałe. Witały mnie. Witały swą nową opiekunkę.

PRZEMYSŁAW KARBOWSKI

Rocznik 1978. Z wykształcenia filozof, z zawodu operator maszyn i urządzeń, po godzinach historyk-amator i literat na polu szeroko rozumianej fantastyki, grozy i obyczajaju. Publikował w „Nowej Fantastyce”, „Fantastyce Wydaniu Specjalnym”, „Bramie”, „Histerii”, „Okolicy Strachu” oraz „Szortalu Na Wynos”. Współtworzył antologie *Małe problemy wielkich bohaterów*, *Maszyna*, *Niedoczekanie*, *Gdzieś daleko stąd*, *I odpuść nam nasze winy, X*, i *The Best of HISTERIA*. Autor powieści *Połowanie na Dianę* (RW2010, 2018). Mieszka w Żorach.

Dzień z życia rzemieślnika

Zawsze był irytujący jak pryszcz na łuku brwiowym, ale gdy wręczał mi wypowiedzenie, poczułem dla niego odrobinę nie tyle sympatii, co pobłażliwości. Co on może, jest tylko zasranym pełniącym obowiązki zastępcy wice-cholera-wie-kogo do spraw niepotrzebnych. Podpisałem, nie wyskakiwałem przez otwarte okno, by nazajutrz wrócić tu o kulach i ze zwolnieniem lekarskim. Jakąś namiastkę godności trzeba mieć.

Po wyjściu z zakładu, w którym spędziłem najlepsze lata, zacząłem obmyślać strategię na najbliższe dni. Wiadomo, przede wszystkim symulowanie depresji po utracie pracy. Rodzina nagle będzie wyrozumiała, kumple postawią biednemu bezrobotnemu piwo, może nawet obiad, zasugerują zrzutkę na psychoterapeutę. Albo po prostu wyśmieją i stwierdzą, że roboty jest od zajebania, w każdej branży brakuje ludzi, już jutro znajdziesz pracę od ręki, tylko rusz tyłek!

Na szczęście w swoim czasie przydało się wykształcenie, za przeproszeniem, klasyczne, i miałem zawód poboczny. Pisanie do prasy rozrywkowej tak zwanych „opli”. Gorące romanse, straszne historie, rodzinne tragedie, nadprzyrodzone zjawiska. Aneta lat trzydzieści, Paweł lat pięćdziesiąt trzy, Natalia lat dwadzieścia siedem, gorąca, napalona, pusta jak pensjonat dla inteligentnych kierowników, postanawia podzielić się z czytelnikami swoją opowieścią... A że wyobraźnia i pióro moje, to już nieistotny szczegół. Ważne że „z życia wzięte”. W końcu mam to, co chciałem, czyli pracę w domu. Bez etatu to w rok natrzaskam tych opowiastek do przysłowiowego porzygu. Codziennie jedna, tylko wytrząsnąć z pustego łba trzysta sześćdziesiąt pięć fabuł, pomodlić się, by nie wypadł rok przestępny i gra muzyka! A potem oszaleć, Tworki albo Rybnik w wygodnym kaftanie bezpieczeństwa i na ciężkich lekach.

Jeszcze tylko wykonać dwa telefony i koniec, bo to badziewie na kartę, a środków niezbyt wiele.

– Asiulka? Cześć.

– No cześć, coś się stało?

– Nie, tak tylko dzwonię. Żeby ci podziękować. Że nie żądałaś alimentów i w ogóle... Że wszystko odbyło się jak u białych ludzi, prawda... Wylali mnie.

– Co ty mówisz?! Serio?

– Serio, serio. Tak że dzięki raz jeszcze. A jak tam ten twój men? Jest tak głupi jak ty?

– Bez kretyńskich dowcipów proszę...

– Przecież to cytat z Universe, nie pamiętasz tego śpiewającego nieszczęśnika?

– Pamiętam. Niemniej jednak. A ta twoja księżniczka? Z czego będziesz łożył na jej bachory?

– Pokłóciliśmy się, więc chyba nie będę łożył...

– Biedactwo. Jak mi cię szkoda. Gdzie ty teraz podupczysz? W internecie?

– Bardzo śmieszne. Pójdę do księgarni, może któraś miła sprzedawczyni się ze mną umówi. Bez zaglądania mi do portfela.

– Jasne... Przecież tam same smarkule i mężatki.

– Lubię smarkule. Mężatki też.

– Spierdalaj!

Kiedyś napisałbym „rzuciła słuchawkę”, ale w dobie tego dziadostwa, służącego do wszystkiego, tylko nie do telefonowania, musi wystarczyć „rozłączyła się”. Patrzcie państwo, przez dwanaście lat małżeństwa poza „cholerami” i „kurczęciami” w ogóle nie przeklinała, a zaczęła po rozwodzie? Ach, te kobiety... A tu jeszcze jedna...

– Hej, Karolinko. Nie gniewasz się?

– Gniewam. Zgłosiłam sprawę na policję. Groziłeś moim dzieciom! Jak mogłeś?!

– Co zrobiłaś?! Jezus Maria, pieprzyłaś jak potłuczona, byłem lekko zirytowany, coś tam palnąłem, a ty na policję? Z pracy mnie wyrzucili!

– A... No to tym bardziej chyba musimy sobie podziękować. Nie będziemy się spotykać, zresztą po tym, co powiedziałaś... Ty nie jesteś normalny!

– Karolina, odkręć tę policję, zgłupiałaś na czysto? Zadzwoń do nich, leć na komendę, nie wiem... Przepraszam!

– Zastanowię się. Żegnam pana ozieble.

– Cześć. Pamiętaj o tej policji!

Następna kobieta mojego gównianego żywota się rozłączyła. Teraz to już chyba tylko wpaść w alkoholizm. Bezrobocie, życie osobiste w gruzach, brak perspektyw. Albo widoki na więzienie, bo to głupkowate dziewuszydło w swej bezbrzeżnej tępotcie poszczuje na mnie wymiar sprawiedliwości.

W domu sprawdziłem pocztę w nadziei na jakieś konkretne „oplowe” zapotrzebowanie. Nie było źle. Romans na dziesięć tysięcy znaków na pojutrze, dwie straszne historie z motywem nadprzyrodzonym na dwanaście tysięcy na przyszły tydzień, kryminał na dziewięć na już. Odpisałem bardzo grzecznie, że biorę wszystko. Skończyło się wybrzydzenie, zadzieranie nosa, że akurat teraz piszę pod nazwiskiem do antologii takiej a srakiej. Albo monodram na konkurs organizowany przez spalony teatr jednego aktora.

Pod presją czasu wyknociłem ten kryminał w ponad godzinę. Posłałem od razu, nawet nie chciało mi się sprawdzać literówek i przecinków. Po drodze będzie jeszcze dwóch redaktorów, więc niech sobie z tekstem tańczą, poprawiają, ulepszają, umajają. Daj Panie Boże każdemu autorowi w normalnym wydawnictwie dwóch redaktorów!

Coś mi w głowie zaczęło świtać w temacie romansu na dziesięć tysięcy znaków. Przesiewałem mózgownicę, by wydobyć jakąś zasłyszaną plotkę, zarejestrowaną mimochodem opowieść albo echo pogadanek w poczekalniach. Do wieczora temat musiał być, do pojutrze przelana na ekran monitora historyjka. Wyszedłem się przewietrzyć i poszaleć z tym, co uciulałem u bankierów. W kawiarni zamówiłem piwo i kawę, bo w Polsce można i nikt nie dyskryminuje piwoszy nawet w świątyni kawy. Świadomość, że jutro nie muszę się zrywać pół do piątej rano, nieco mnie sparaliżowała. Koniec z systemem trzymianowym. Będę się wysypiał jak należy, pisał „ople” trochę do południa, trochę wieczorem. Przez lata praca fizyczna trzymała mnie w jako takiej kondycji, teraz trzeba będzie pomyśleć o uprawianiu sportu. Może kupię sobie rower jak już sprzedam niepotrzebne i drogie w utrzymaniu auto? Wytrąbiłem piwo na raz i zabrałem się za kawę.

– Policja – przedstawił się korpulentny jegomość, który dosiadł się do mnie jak do swojego. – Emerytowana.

Obserwowali mnie. Czyli głupie, przekiszone cipsko nie odkręciło sprawy. Nerwowo zamieszałem w filizance.

– Cieszę się, że nie czynna – bąknąłem grzecznie. – Mam nadzieję, że moja radość jest uzasadniona. Powiniennem teraz, wzorem przykładowego obywatela, rozedrzeć mordę i domagać się imienia, nazwiska oraz stopnia?

– Chyba nie. – Emeryt uśmiechnął się pod nosem. – Komisarz Kubok.

Niewiele mi to mówiło, ale czy tak właśnie nie nazywał się górnik od Łyska z pokładu Idy?

Policjant w stanie spoczynku rzucił na stół kolorową gazetkę. Zerknąłem, bo chyba o to mu chodziło, bym zerknął. „Sekrety zazdrości”, numer któryś tam sprzed trzech lat. Na okładce pan i pani uśmiechnięci jak nekrofile w kostnicy, w tle kwiatki, palmy i błękitne morze. Zajawki tego, co w środku. „Czy jego oczy mogły kłamać?”, „Mam romans z własnym teściem”, „Moja matka nie dopuści do tego ślubu”. Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści, nie ma co się matką przejmować...

– Niech pan przekartkuje, czy coś z tego jest pańskiego autorstwa – zasugerował Kubok. – Bo na mój rozum tak.

– Nie wykluczam, ale nie sądzi pan chyba, że kojarzę to czasopismo i swoje w nim wypociny? Gdybym miał kupować każde pisemko, w którym był napisany przeze mnie tekst... Przez lata spłodziłem ich setki, rozumie pan?

– To pan jesteś taki Stephen King dla ubogich? – spytał z przekąsem. – Trzeba było robić z każdej historyjki powieść i tłuc mamonę. Ile pan ma z takiego opowiadanka na czysto?

– Tajemnica.

– Rozumiem. Ale jak przyrznę panu pałą w pięty na przesłuchaniu to pan powie?

– Przecież jest pan na emeryturze! – krzyknąłem, aż baristka za ladą podniosła na nas cieleńcy wzrok.

– Mogę pana przesłuchać właśnie na emeryturze – zakomunikował pogodnie Kubok. – Kto mówi, że na komisariacie?

– Przepraszam, o co panu chodzi?

Kelnerka podała komisarzowi herbatę. Podziękował uprzejmie i otworzył „Sekrety zazdrości” gdzieś w połowie.

– Wczoraj zgłosiła się na policję pani Karolina, z którą łączą pana bliskie stosunki.

– Łączyły, nawet bardzo bliskie, nie ukrywam. Ale chyba należą już do przeszłości. Straciłem pracę, więc...

Urwałem, nie dopowiadając.

– Niech pan nie odstawia dżentelmeniady, tylko kontynuuj. – Uśmiechnął się szeroko komisarz. – Więc urwało się koryto, z którego chciała finansować wychowanie, wikt i opierunek swojego syna i córki? W zamian była w stanie wypiąć lub nadstawić to i owo, taka transakcja wiązana. To normalne jest, nie ma się czego wstydzić. Teraz to pan jej potrzebny jak w dupie robaki...

O ile na początku spotkania zbladłem, to teraz pysk miałem czerwony jak sercowiec, który zażył amiodaron i wylazł na słońce. Wstyd palił mnie żywym ogniem. Kawa mogła tylko pogłębić rumieńce, więc jej nie ruszyłem.

– Wróćmy do wniosków pańskiego rozumu. – Wziąłem gazetkę i przejrzałem spis treści, ale to nie był żaden trop. Redakcje prawie zawsze zmieniały robocze odautorskie tytuły. – Jakbym całość przeczytał od deski do deski, to pewnie bym wyłapał, które napisałem.

– Pani Karolina zeznała, że pan groził jej dzieciom.

– To ona mi groziła, że któryś jej poprzedni gach spuści mi łomot.

– Otóż to, a pan na to powiedział, cytuję... – Kubok wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wydruk i przytrzymał go na wyciągnięcie rąk. – O! „Nie strasz mnie, bo się kiedyś obudzisz i zamiast kwiatków w doniczkach zastaniesz głowy swoich bachorów”. Ładne! Mocne!

– Czy ja wiem? – Spuściłem wzrok na podłogę. – Ale chyba rzeczywiście coś takiego powiedziałem...

– Nie ulega wątpliwości.

Były policjant schował kartkę z powrotem do kieszeni i chwycił za „Sekrety zazdrości”. Przewertował, ale już uzbrojony w okulary. Znalazł, co chciał i zaczął czytać.

– „...wtedy Jacek rzucił mi w gniewie, że kiedyś obudzę się i zamiast kwiatków w doniczkach będą głowy moich dzieci. Myślałam, że oszalał, bo wzrok miał błędny i zaciskał pięści. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, tylko serce biło mi jak szalone...”.

Przytrzymałem głowę rękami oparty o blat kawiarnianego stolika.

– Nie wiem, co odpowiedzieć, żeby nie zacytować sam siebie, a serce bije mi jak szalone – mruknąłem zrezygnowany. – Widocznie mam bardzo niewielki zasób słów i pomysłów, o warsztacie nie wspomnę... To jest jakiś dowód na coś? Że jakbym się wypierał, to prokurator wyciągnie spod togi te nieszczęsne „Sekrety zazdrości”?

– Spokojnie, pani Karolina godzinę temu wycofała zawiadomienie, nawet pięknie przeprosiła za zawracanie głowy. Zresztą zgodnie z moją sugestią.

– Słucham?!

– Słuchaj pan dalej – polecił Kubok i siorbnął herbaty. – Jak pan myśli, ludzie wierzą w te historie?

Wzruszyłem ramionami.

– Jedni wierzą, inni nie. Ponoć przedstawiciele jakichś branżowych organizacji występowali do wydawców o ujawnienie danych kogoś tam

opisanego w takim tekściku. Skoro oni uwierzyli, to czego pan się spodziewa po zwykłych, szarych ludziach? Takich, co gonią za aktorem grającym lekarza, żeby wypisał im receptę?

– Otóż to! – ucieszył się komisarz. – No to teraz interesy, panie Kingu dla ubogich. Pani Karolina nie będzie pana skarżyć, ale my się czasem do pana zgłosimy. Z tematem takiego... Ma to jakąś nazwę?

– Dla wtajemniczonych „opel”.

– Z tematem takiego „opla” właśnie. Głównie będą to historie autorstwa złoczyńców. Opowieści o przestępstwach, ze szczegółami. Te szczegóły będą istotne, ważny będzie też przybliżony czas opisywanych łajdactw i zbrodni. Da się zrobić?

– Da się. Skoro coś wydarzyło się pięć lat temu, wplątamy w opowieść, że narrator miał wtedy dwadzieścia trzy lata, pod tekstem dajemy dwadzieścia osiem. Imiona czasem zmieniają, wieku raczej nie.

– Kapitalnie. A my na tej podstawie będziemy nabijać policyjne i sądowe statystyki w sprawach czysto poszlakowych.

Parsknąłem śmiechem, mimo niewesołego położenia. W końcu wplątywałem się w grubą aferę.

– Ktoś uwierzy, że bandyta napisał do gazety, opisując swoje bandyctwa? – zapytałem. – Umiał pisać na tyle, by sklecić sensowną historyjkę?

– Na to już pan sobie odpowiedział. Ile takich „opli” spłodził pan z perspektywy przestępcy? Pięćdziesiąt? Sto? Więcej?

– Trochę by się znalazło – przyznałem niechętnie. – Ale przecież wydawca archiwizuje maile z załącznikami. Od razu będzie wiadomo, że to ja napisałem, a nie broniący się przed sądem delikwent! Byle adwokacina rozłoży na łopatki linię oskarżenia.

– Tak pan sądzi? A jeśli ofiara takiego delikwenta miała na plecach wycięty pentagram w otoczeniu podobizn Kubusia Puchatka, a pan napisze i wydrukują „po wszystkim wyciąłem jej na plecach pentagram i Puchatka w trzech odsłonach.” No? Co pan zrobiłby na miejscu tego adwokaciny? Bo ja bym tylko rozłożył ręce i powiedział: „ja pana pierdołę, panie klient!”.

Trochę racji chyba miał. Z drugiej strony wkręcał mnie w taki pasztet, z którego już nie było odwrotu. Popatrzyłem jak dopija herbatę i, zachęcony przykładem, wypilem zimną kawę.

– Czyli jesteśmy w kontakcie. – Kubok podał mi dłoń. – Do końca miesiąca na pewno coś się znajdzie, my też mamy swoje stawki, więc krzywda się panu nie stanie, skasuje pan podwójnie za sugerowane przez nas „ople”. Na

razie niech pan sobie rzemieślniczo tłucze, co tam od pana chcą, ale nasze zapotrzebowanie będzie priorytetowe. Do zobaczenia.

Po powrocie do domu miałem taki mętlik w głowie, że oczywiście nawet nie usiadłem do klawiatury, by wymęczyć romans. Jeszcze zadzwoniła Karolina.

– Nie wiedziałam, że masz takie znajomości. – Ton miała zjadliwy, ale i z odpowiednią dozą szacunku. – Przecież i tak bym wycofała... Tylko straszylam...

– To więcej nie strasz – powiedziałem twardo. – A jak nie będzie miał cię kto zapiąć, wiesz, gdzie mnie szukać. Raczej się skuszę.

Tym razem ja się rozłączyłem, spocony od tego popisu stanowczej męskości. Normalnie klasyk macyzmu! Coś czułem, że w ciągu dwóch dni skruszona zapuka do moich drzwi, a majtki ściągnie już na progu.

Zrobiłem sobie kanapki, nalałem piwa i usiadłem do klawiatury. Mimo że moja przyszłość została przesądzona podczas kawiarnianego spotkania, zachciało mi się posłuchać Szatana i zmienić bieg wydarzeń. Czyli napisać bombowego „opla” i raz-dwa słać do redakcji. A jak nie wezmą, zadumałem się przez chwilę. Jak się wystraszą, że to zdrada sekretów ichniej kuchni? Nie ma opcji, żeby nie wzięli...

Otworzyłem nowy plik i zacząłem stukać w klawisze:

Kiedy straciłem pracę, nawet nie myślałem, że tak szybko zgłoszą się po mnie kolejni, tym razem bardzo dziwni, pracodawcy. Nie każdy wie, że w policji istnieje tajna komórka, zrzeszająca głównie emerytowanych funkcjonariuszy, która wykorzystuje literatów, pisujących historie rzekomo z życia wzięte dla kolorowej prasy, do wrabiania stawających przed sądem oskarżonych. Sposób działania jest następujący:..

Śmierć wilkołaka

Opowiedziałbym wam, dobrzy chrześcijanie, tak szczerze obdarzający jałmużną, w ciężkich przecież czasach, przetrąconych przez los biedaków, o wydarzeniach, w które wplątał mnie Stwórca, a może sam, wolną wolą kierowany, wplątałem się w nie, już to z głupoty, już to z ciekawości, osobliwie za namową złych ludzi, samemu trudno mi to rozsądzić, siedząc u kruchty nad proszalną czapką, do której przez lata ciskano mi najróżniejsze pieniądze, i nowe, i stare, bym przeznaczył je na strawę i przyodziewek. Raz jakiś widno pan dziedzic albo i sam hrabia pięć złotych z księciem Pepi mi wrzucił, przez co żyłem jak księżę przez tydzień z okładem.

Podobno moi przodkowie byli to ludzie bardzo majątni, ale coś tam mojemu cokolwiek zubożałemu już ojczulkowi nie poszło w interesach, które załamały się, kiedy rewolucja piątego roku się przetoczyła. Zwykle to były wonczas ruiny. Tu płąć, tam płąć, odszkodowania, czynsze, lepiej było się spalić i z asekuracji wyciągnąć, ile się dało. Car zezwolił na kupowanie ziemi przez Polaków, z czego rodzice skwapliwie skorzystali, a pieniędzy wystarczyło na przenosiny na wieś i skromne życie z procentu, bo jakoś nie umieliśmy na wiejski żywot przestawić się na tyle, iżby cokolwiek wygospodarzyć. Za to ojczulek mój popadł w swoiste schłopienie, czy go te lasy i pola okoliczne natchnęły, czy to rozhowory z okolicznymi mieszkańcami, dość że z kijem i boso, w lichej koszulinie miał zwyczaj się przechadzać. Raz go nawet ekonom z pobliskiego majątku batem w łeb prasnął na drodze, bo mu się zdało, że wiejski głupek trakt tarasuje, ale jak się zwiedził, kogo uderzył, na drugi dzień na klęczkach przeproszał przez kilka pacierzy, i tak przeżywał na swoją głupotę i nieuważność, żeśmy z matką myśleli, że już u nas zostanie i do końca swoich dni będzie się kajał za straszliwy grzech. A po prawdzie, tylko zdzielił w łeb bankruta, który oszalał na wsi, brodząc i pławiąc się w wieśniaczości, jakby go ona obmyć miała z miastowych grzechów. Ojczulek nawet wpadł w swoisty sposób wystawiania się, który i mnie się czasem udzielał, bo spostrzegłem się prędko, że więcej zdziałamy, udając chama i niepiśmienną swołocz, niżli dobrocią, ogładą, manierami i wyszukany

językiem. Mógłbym przecież to samo opowiedzieć polszczyzną jak z książki. To znaczy nie mógłbym...

Opowiedziałbym wam, że wtedy był ten raz pierwszy. Ekonom już wylaźił, już już furtkę miał odewrzeć, kiedy uczułem, że to w moim mniemaniu człek naprawdę zły. Taki zły, że kara musi spaść nań nagle i nieodwołalnie. Chmury zbierały się pół dzionka, ale dopiero teraz zabłysło. Ekonoma poraził piorun, choć nieszczęśnik stał w asyście kilkunastu olbrzymich jesionów. Te pozostały nietknięte, bo to był jeden jedyny piorun tej dziwnej ulewy, która trwała prawie dwa dni.

* * *

Książę Sapieha miał specyficzną mimikę twarzy. Zawsze się wydawało, że jest półgębkiem uśmiechnięty. Kąciki ust dążyły mu dziwnie jakby do wykrzywienia się w grymas, jeśli nie wesołości, to chociaż lekkiego rozradowania. Nawet jeżeli opowiadał o głodzie, pogrzebach, inwalidach wojennych, dyzenterii i gruźlicy, co jako prezesowi Głównej Rady Opiekuńczej zdarzało mu się często, ten przyklejony uśmieszek za nic nie chciał zniknąć z jego oblicza. Miało to oczywiście swoje konsekwencje. Mianowicie nigdy nie było wiadomo, czy Eustachy Sapieha akurat nie żartuje. Jedynym ratunkiem było rozmawiać z prezesem tylko na poważne tematy. Rozmówca księcia też zwrócił uwagę na specyfikę jego facjaty. Był jednak w komfortowym położeniu, bo wizyta dotyczyła li tylko śmiertelnie poważnych problemów. Przerzucali się nimi od prawie godziny.

– Na tym poprzestańmy, towarzyszu Wesołowski. – Sapieha mówił poważnie, choć wciąż mimowolnie się uśmiechał. – O tym, któredy będą do Rosji wracać jeńcy, zdecyduje nasz rząd.

– Nie jestem waszym towarzyszem, mości książę. – Bronisław Wesołowski zmrużył oczy. – Zresztą, jaki ten rząd wasz? Nawet wam się cesarza nie chciało wymienić na portret Moraczewskiego.

Szef delegacji Rosyjskiego Czerwonego Krzyża wymownie wskazał palcem na jaśniejszy niż reszta ścian gabinetu i opatrzoney gwoździem prostokąt po usuniętych konterfekcie Wilhelma II.

– Ja nawet wiem, że książę ma szczerzy zamiar wysadzić ten rząd z siodła – Wesołowski zniżył głos do szeptu. – Plan, nie ukrywam, ambitny.

Atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej. Sapieha wypuścił powietrze przez zęby i dłuższą chwilę nie reagował na ewidentną zaczepkę, jeśli nie prowokację. W końcu odpowiedział.

– Sam pan dał do zrozumienia, że trudno pana nie traktować jak bolszewickiego agenta, wycierającego sobie gębę Czerwonym Krzyżem. Od przyjazdu węszyć, jątrzyć, agitujecie, podburzacie ludność, rozprowadzacie ulotki. Cała wasza delegacja. Cel wizyty macie szczytny, ale już nasz sposób wykonania wam nie odpowiada. Mamy wszystkich jeńców repatriować na tereny zajęte przez bolszewików? Przecież pan doskonale wie, że to tak, jakbyśmy kopali sobie grób.

– A gdyby to zależało od pana, mości księżę, to dostarczylibyście wszystkich Denikinowi? Bo przecież jego emisariusze już do was jadą, takie właśnie rozwiązanie proponować. Tylko nie postawiłbym ani kopiejki na to, że z Denikina miłośnik odrodzonej Rzeczypospolitej.

– W przeciwieństwie do Tuchaczewskiego jeszcze nie palnął, że po trupie Polski gdzieś pomaszeruje – odparował Sapieha. – A wracając do sedna, to owszem, umożliwimy wam inspekcję, sprawdzicie warunki przetrzymywania tych nieszczęśników. Sam pan zobaczy, czy tak palą się z powrotem do kraju ogarniętego wojną domową i do walki po którejkolwiek stronie. Jeszcze jedno. Przez wzgląd na swego rodzaju wspólną przeszłość, radzę zaprzestać propagandy. To niebezpieczne czasy i trudno od nas wymagać, żebyśmy pobłażliwie traktowali waszą wywrotową działalność.

Wesołowski parsknął niecierpliwie.

– Jesteśmy oficjalną delegacją – wycedził. – Niech tylko włos nam z głowy spadnie, a międzynarodowa opinia publiczna zgnoi was i... Przepraszam, o jakiej wspólnej przeszłości mości księżę mówi?

– Pan też studiował w Zurychu.

– Ach, o to chodzi... – Wesołowski zmieszał się, jakby wzmiankowana okoliczność była dla niego czymś wstydliwym. – W takim razie dziękuję za radę.

Eustachy Sapieha wstał zza biurka. Zmierzył komunistę wzrokiem.

– Właśnie teraz, kiedy tak bardzo potrzebujemy energicznych, inteligentnych... – Księżę powoli akcentował każde słowo. – Inżynierów... Pan się wysługuje bolszewikom. Agitator, podżegacz, wywrotowiec. Przeglądał pan naszą prasę?

– Tak. Znalazłem nawet określenie „czerwony wilkołak”. Zabawne.

– Reszty dowie się pan w ministerstwie. Do widzenia.

– Do widzenia panu.

Wesołowski z ręką na kłamce zdążył zauważyć, że prezes Głównej Rady Opiekuńczej drgnął. Może ubodło go zaprzestanie tytułowania przez rozmówcę „księciem”? Czerwonokrzyski delegat postanowił ukąsić Sapięgę jeszcze raz.

– Swoją drogą, do czego wam potrzebni energiczni i inteligentni? – spytał kpiąco. – Do zamachu stanu?

* * *

Opowiedziałbym wam, dobrodzieje moi przeogromnego serca, jak od czasu, gdy samą siłą myśli albo woli ściągnąłem na ekonoma piorun, który, po prawdzie, nie zabił go, tylko poparzył i nastraszył na resztę parszywego żywota, dzieje moje układały się w pasmo karania złych i nagradzania dobrych. Ale to nie byłaby prawda. No i nie opowiedziałbym... Matka moja, której klarowałem, że ekonom porażony został dzięki mojej mocy, ani słyszeć o tym chciała, dziwując się, że niegłupi ponoć chłopiec wyplata takie dyrdymały, a nawet zaordynowała mi chłostę i klęczenie na grochowinach. Mało mnie to obeszło, za to jako okrucieństwo postrzegałem wymianę guwernantki Zofii, przy której nie tylko nauki zażywałem ochoczo, ale i doświadczyłem przekroczenia owej cienkiej granicy między pacholęciem a młodzieńcem, na pana Schmitta, podającego się za Niemca z Kurlandii, którego metody nauczania tak mi za skórę zalazły, że podczas konnej przejażdżki zemściłem się na nim, szarpiąc samą mocą wierzchowcem, by zrzucił nauczyciela na ziemię, a jakby tego było nie dość, przygniótł i pogruchotał mu kości. Od tego wydarzenia coś się w matce mojej zmieniło, jakby dostrzegła ten mój przeklęty dar. A że w swoim czasie stójkowego Macieja za potopienie kociąt nabiłem na ostrokół przy sklepie kolonialnym, posiłkując się podmuchem wichury, a to wikarego do gnojówki wrzuciłem, bo przy spowiedzi domagał się detali mojego obcowania z panną Zofią, dość, że matka chyba uznała, że i na niej się skrupi, gdy przesadzi z surowością mojego wychowania i nauki. Parę razy złapała mnie na przemieszczaniu przedmiotów albo głupich psotach robionych służbie. Czara goryczy przelała się, gdy stary Jakubek przyszedł do mych rodziców ze skargą, jakoby sierp go gonił, niechybnie na jego łeb nastawając, i za karę znalazłem się w Wilnie u pana Araszewicza, prowadzącego prywatną szkołę, a oprócz tego całą masę szemranych interesów, do których zaprzęgał wszystkich swoich podopiecznych. Nasi rodzice cieszyli się, że nie muszą się z nami użerać, a my, po krótkich godzinach nauki, kursowaliśmy po całej guberni a to

z fałszywymi pieniędzmi, a to z opium, a to z nielegalną bronią albo kontrabandą. W razie wpadek, do których, uczciwie powiedziawszy, dochodziło niezmiernie rzadko, pan Araszkiewicz podnosił chesne, by łapówkami ratować nas od sądów. Za mojej bytności w tej dziwnej szkole z internatem, dwóch raptem chłopców zginęło podczas tych dodatkowych robótek, jeden zastrzelony przez policję, drugi zadźgany przez bandytów. Nie wiem, jak to pogrążonym w żalobie rodzicom tych biedaków pan Araszkiewicz eksplikował, ale nam codziennie groził, że pozabija, jeśli parę z gęby puścimy komukolwiek, więc żaden z nas nie mącił spokoju matki i ojca. Oprócz tego pan Araszkiewicz był świadom, że tak wyedukowani o uczelni wyższej raczej nie mamy co marzyć, za to na odprawach przypominających wojskowe kładł nam do młodych głów, byśmy tylko umieli pisać i czytać, bo dzięki temu w carskiej armii spędzimy zaledwie cztery lata zamiast sześciu. O ile oczywiście będziemy na tyle głupi, że damy się zwerbować.

Opowiedziałbym wam, że czyniąc zło w służbie pana Araszkiewicza, miałem wyrzuty sumienia i w ramach ekspiacji na własną rękę czyniłem dobro, ale to też byłoby kłamstwo. Spostrzegłem i ja, i moi kompani, że te moje ekstraordynaryjne umiejętności można wykorzystać, nie tylko ściągając wyszukane kary na ludzi złych. Można i ukrzywdzić tych dobrych. Co, gdy skończyłem szesnaście lat, zacząłem czynić w służbie wileńskiej bandyterki, rzucając w diabły prywatną szkołę pana Araszkiewicza. Napisałem tylko list do rodziców, że ruszam w szeroki świat, ale na pewno jeszcze się zobaczymy. Myliłem się.

* * *

Eliza zachichotała, gdy Adam połaskotał ją po bladym tyłku. Kiedy dłonią przejechał jej po udzie, chichotać przestała.

– Podrzesz mi pończochy, bałwanie! – Strząsnęła z ciała dłoń kochanka. – Od czego ty masz takie szorstkie łapy, panie dziennikarzu? Od maszyny do pisania?

– Nie przeszkadzały ci, jak miętosilem ci cycki – zauważył Adam. – Tak w ogóle, było je zdjąć.

– Pończochy czy cycki?

– Wariatka. Dam ci pieniądze na nowe pończochy.

– Dasz, dasz, romantyku od miętoszenia tego i owego. Jakiejś baronównie też byś takie kawałki sprzedawał? Kochasz mnie w ogóle?

– Chyba...

– Coś ty powiedział?!

– Chyba jestem spóźniony. – Adam spojrział na zegar. – Z tobą tak zawsze...

Nadąsana Eliza odwróciła się twarzą do ściany. Adam pośpiesznie zapinał koszulę i wciągał spodnie. Buty, marynarka, płaszcz. Przetrzęsął kieszenie z gotówką i położył na stole dziesięć marek, nie mając zielonego pojęcia, ileż może kosztować para pończoch? Wczoraj zjadł obiad za trzy marki. Niepodobna, żeby pończochy były warte więcej niż trzy domowe obiady.

– Dobranoc, baronówno od siedmiu boleści.

Adam cmoknął obrażoną Elizę w tył głowy. Odwróciła się, zerkając na blat stołu udekorowany banknotem. Minę miała zniesmaczoną. Nieco zażenowany Adam tym razem sięgnął po pugilares. Dołożył drugie tyle. I trzecie.

– Zrzuńniesz mnie, dziewczyno...

– Pamiętasz, że masz mi załatwić pracę?

– Pamiętam, dobranoc.

Styczniowy mróz trzasnął redaktora Adama Blizińskiego w twarz tuż po wyjściu z bramy kamienicy. Nieprzyjemnie. Nie żeby koza w klitce Elizy dostatecznie ogrzewała pomieszczenie, ale pościelowa gimnastyka, której oddawali się przez ostatnią godzinę, nie groziła zmarznięciem. Najwyżej spóźnieniem na półoficjalne, choć, paradoksalnie, służbowe spotkanie. Adam zapominał się przy Elizie, a potem zawałał terminy. Była tańsza od stołecznych dziwek, mniej zużyta niż wojenne wdówki, a wdzięków używała ochoczo, bez zawodowej kalkulacji. Wystarczyło tylko zapewnić ją o miłości, przyszłym małżeństwie i obiecać pracę w redakcji „Kurjera Warszawskiego” w charakterze specjalistki od parzenia kawy i herbaty panom żurnalistom. Adamowi zdawało się nieraz, że z tych trzech kłamstw, które serwował głupiemu dziewczęciu, najbliższe prawdy może być to o miłości. Amor nie wybiera, ba, bywa nawet, że nie wybrzydza, więc strzałę może wypuścić i po kwartale regularnego chędożenia, by przedmiot chuci przemienić w obiekt czystego i nieskalanego uczucia wyższego.

Bliziński kiwnął na dorożkę i kazał się zawieźć do baru. Chwilę poświęcił na rytualną kłótnię z dorożkarzem, bo ten rozjazgotał się nieprzyjemnie, gdy mu Adam wyłuszczył, że wymaga od fiakra czekania na siebie pod lokalem. Śmierdzący lichym tytoniem i starością dorożkarz sarkał, że jest stan „bardzo wyjątkowy” i nie będzie po nocach woził elementu podejrzanego, na co Bliziński okazał mu jeszcze pachnącą farbą drukarską legitymację sygnowaną przez milicję ludową. Większość dziennikarzy

„Kurjera” dostała takie bumagi od naczelnego Olchowicza. O nic nie pytali, a nazwiska wpisali sobie sami. Co większe lizusy dostały kilka dodatkowych „dla starej matki”, „dla wujka inwalidy”. Bliziński miał ochotę zapytać jednego z drugim, po jaką cholere stary matka i wujek bez nogi szwendają się nocami po Warszawie, ale odpuścił. Poprzestał tylko na czerstwym dowcipie, prosząc o jedną legitymację dla zapchlonego Pimpusia, ale w redakcyjnym hałasie chyba go nie dosłyszano.

W kącie niemal pustej knajpy siedział Antoni Tucki, kompan Blizińskiego ze szkolnych lat i wspólnej pracy w kilku redakcjach. Przedwcześnie wyłysiały, z wywoskowanym wąsem i w monoklu wyglądał na znacznie starszego, choć skończył raptem trzydzieści lat. Bliziński podejrzewał syfilityczne źródła łysiny przyjaciela, ale nie wnikał w szczegóły. Tucki pracował jako referent w wydziale prasowym ministerstwa spraw wewnętrznych i był dla Adama znakomitym źródłem przecieków i informacji niejawnych, zwłaszcza że zasób jego wszechstronnej wiedzy nie zawężał się tylko do poletka, na którym był zatrudniony. Właściwie mógł wynieść niejedną tajemnicę z dowolnego ministerstwa. Oprócz tego miał indywidualne ambicje urabiania opinii publicznej, więc nierzadko sugerował znajomym dziennikarzom, co i jak napisać, nawet jeśli nie było to po myśli rządu. Z gabinetem Moraczewskiego współpracował, ale nie sympatyzował, szermując przy byle okazji bon motem, że lepsze to niż sympatyzowanie przy jednoczesnym braku współpracy.

Pustki w lokalu niepiersiwej czystości i o niezbyt pochlebnej opinii ucieszyły Blizińskiego. Mroźny środowy wieczór w realiach stanu wyjątkowego nie nastrojał do późnonocnego pijaństwa, a już na pewno odrzucał stałych bywalców od perspektywy spotkania ze stróżami prawa. Bez stosownych papierów zezwalających na nieskrępowane poruszanie się po Warszawie można było rychło trafić przed sądy doraźne. Te miały dość istotny mankament, mianowicie ich członkowie sądzili „według własnego sumienia”. Apelacja do sumienia nie była przewidziana, a liczba doraźnie sądzonych i równie doraźnie zastrzelonych w ciągu ostatnich trzech dni działała na wyobraźnię.

– Niezbyt dobry wieczór, przyjacielu. – Tucki spojrział na Blizińskiego znad gazety. – Same strajki. Strajk stróżów, kelnerów, piekarzy, pokojówek, hycli i Bóg wie, kogo jeszcze. Czekać z niecierpliwością na strajk bandytów i złodziei. Co tak wcześnie dzisiaj? Panie Mietku, dwa piwa!

Adam dopiero teraz wyjął z kieszeni longinesa, zerknął na cyferblat i zaśmiał się w duchu. Najwidoczniej zegar w obskurnym pokoiku Elizy był nienakręcony albo śpieszył się o pół godziny.

– Witaj. Rzeczywiście, straciłem poczucie czasu. Masz coś ciekawego?

– Jak zwykle. – Tucki odłożył gazetę i złapał za kufel. – Jest depesza z Paryża. Rada ludowa w Poznaniu ma się wstrzymać z ofensywą przeciwko Niemcom. Ale nie piszcie od razu. Niech się uleży.

– Co?! To są nasi koalicjanci czy Niemców?

– Niby nasi, ale, jak widać, jakieś interesiki pod stołem ze Szwabami robią. Oczywiście będą dementować. Jeszcze jedna. Korpus Hallera ma być przetransportowany do kraju, ale jako siły koalicji przy Piłsudskim. Chyba próbują naszą wytrzymałość na drobne prowokacje.

– Na to wygląda... Dostanę odpis depesz do wglądu?

– Nie mam. Napiszcie, że z zupełnie miarodajnego źródła. Jak zwykle.

Pan Mietek postawił przed gośćmi dwie porcje flaków.

– Napiszemy, a jakże. – Bliziński wciągnął w nozdrza zapach potrawy. – Nie myślałeś, żeby wrócić na posadę w gazecie? Zwłaszcza teraz?

– Zwłaszcza teraz to gazety mogą być zawieszane jedna za drugą. A wydziały prasowe będą zawsze. Rząd się zmieni, wydział zostanie. I ja też zostanę, nie w tym ministerstwie, to w innym. A, byłbym zapomniał. Dajcie to. W przeciągu dwóch dni.

– Co to jest? – Bliziński odebrał od Tuckiego odręcznie zapisaną kartkę. – Tak na gębę mamy dać?

– Nie inaczej. Od pułkownika Skrzyńskiego. Werbunek ochotników na odsiecz Lwowa, ale tyczący tylko tych, którzy byli w carskiej armii oficerami, a do polskiego wojska się nie dostali z powodu braku wykształcenia. Adres, godziny przyjęć.

– Każdy jełop na wagę złota, chwalebne... Zamieścimy z pobudek patriotycznych, ale nie zdążymy do wydania porannego.

– Nie szkodzi, może być wieczorne.

Flaki były całkiem smaczne. Nie tak delikatne jak w prywatnej kuchni pani Śmiłowskiej na Wilczej, gdzie Adam ostatnio się stołował, niemniej pod piwo jak znalazł. Bliziński otarł usta i wyciągnął z kieszeni marynarki egzemplarz „Sztandaru Socjalizmu”. Podetknął Tuckiemu pod nos pierwszą stronę.

– A czy możemy się już zająknąć o tej cholernej ruskiej delegacji? Antoni, my nie puszczamy nawet wzmianki, że coś im się stało, a komuniści już

wiedzą, że wszystkich zastrzeliła żandarmeria?! Skąd?

Tucki przygryzł wargi, tłumiąc przekleństwo.

– Ano stąd, że odstawiono partanię tak haniebną, jak tylko było można – mruknął. – Alter przeżył i zdołał przedrzeć się do Mińska. A w Mińsku, sam wiesz, bolszewicy... Wieści się rozchodzą trochę za szybko, iskrówka goni iskrówkę. Czasem żałuję, że nie żyję w czasach, kiedy dwa dni rozstawnymi końmi szło pismo z klauzulą „pilne”...

– Wiesz, my już rządowe odezwy przepisywaliśmy z „Robotnika”, teraz mamy to czerwone gówienko zacytować?

– Nie radzę, chyba że chcecie zasilić szeregi bezrobotnych albo ochotników do Lwowa. Wtedy proszę bardzo. – Tucki łyknął piwa. – Paderewski lada chwila zostanie premierem i już nie będziemy w pierwszej kolejności gadać z pismakami z „Robotnika”. A ten zafajdany „Sztandar...” jest pierwszy na liście gazet do zamknięcia. Sytuacja przyśpiesza...

Blizińskiemu zakręciło się w głowie. Nie od piwa, bo wypił raptem dwa. Chyba od tego przyśpieszenia. W końcu Tucki, choć nieoficjalnie, rozmawiał z nim *de facto* jako referent z ramienia rządu Moraczewskiego, a zachowywał się, jakby Paderewski już dyrygował ministrami. Bliziński jeszcze wczoraj poprawiał artykuł o zamachu, traktujący głównie o tym, żeby nie łączyć próby wojskowego przewrotu z obecnymi rokowaniami w sprawie zmiany rządu, osobliwie z naradami Piłsudskiego z Paderewskim. Z drugiej strony, ten cały pułkownik Januszajtis... Toż to przecież były dowódca Pierwszej Brygady. Owszem, niektóre wróble w Warszawie ćwierkały, że wszystko mogło być ukartowane, ale żeby księżę Sapieha z naczelnikiem knuć prowokację, z której i socjałom świeczkę, i endekom ogarek? Nie do wiary... Cały zamach stanu wyglądał groteskowo i teatralnie, sam Bliziński użył w gazecie sformułowania „antrepryza Januszajtisa”, jakby szło o kiepskiego komedianta, ale jednak ten fircyk w mundurze dokonał zamachu na legalny rząd odradzającego się państwa. Były przecież podstawy temu i owemu kulę w łeb wpakować, nikt wszakże się z tym nie kwapił. Tylko z kręgów wojskowych szły przecieki, że „Dziadek” jedynie obsobaczył zbuntowanych oficerków z góry na dół, zelżył tak po swojemu, od matki i babki, strzelaniem po pyskach zagroził, a wszystko najwidoczniej miało rozejść się po kościach.

– Jeszcze po kufelku? – Pan Mietek wyrwał Blizińskiego z intensywnych rozmyślań.

– Słucham? – Adam otrząsnął się jak po wyjściu z wody. – Tak, oczywiście.

Tucki spojrział na Adama nieco rozbawiony, ale zaraz spoważniał.

– A z tym Czerwonym Krzyżem szykuje się afera międzynarodowa, bo u nas, poza komunistami, mało kogo to obchodzi – powiedział cicho. – Jest wojna na wschodzie, powstanie w Poznaniu, kipi na Śląsku, jest o czym gadać i pisać.

– Zastrzelili wszystkich?!

– Wszystkich, a jednak nie wszystkich. Wesołowskiego, Alterów, Klocmana i Ajwazową. Tyle że Alter przeżył, choć nie miał prawa.

– Kto wydał rozkaz?

– Nie bardzo było wiadomo. To są proste chłopaki z żandarmerii, brnąć będziemy w intencje ideowe. Nasłuchali się biedacy o czerwonych wilkołakach, więc rozstrzelali bolszewickich szpiegów, mamy przecież ciągłą wojnę, i tak dalej, i tak dalej... Ale zostawili przy trupach pieniądze, dokumenty, biżuterię. W rozbój nikt nie uwierzy, mimo że przepchnęliśmy taką wersję w „Monitorze Polskim”, zwłaszcza że cudownie ocalał Alter. Przepraszam cię na chwilę.

Tucki podążył do wychodka a Adam znowu się zadumał, tym razem nad cudownie ocalałym Leonem Alterem. Podobno podczas spotkania z Eustachym Sapiehą wyszedł na chwilę, zostawiając Wesołowskiego sam na sam z księciem, a kiedy zobaczył na schodach oddział skierowany do aresztowania delegatów z Rosji, próbował uciec przez okno. Wtedy mu się nie udało, a wywinął się na dobrą sprawę z rozstrzelania. Bliziński tak po ludzku współczuł Alterowi. W zakrwawionym podlaskim śniegu zostawił trupy matki, żony i dwóch przyjaciół, a sam przedzierał się aż do samego Mińska. Tyle mil... Lepiej byłoby chyba zginąć, pomyślał Adam. W pierwszej kolejności. Przed matką i żoną. Kto wpadł na tak brzemienny w skutki pomysł, żeby budowę odrodzonego państwa podeprzeć, było nie było, nieudolnie przeprowadzoną zbrodnią?

– Nie deliberuj tyle – zalecił powracający Tucki, czytając w myślach przyjaciela. – Teraz to już są rozważania *post factum*. Szkoda tracić na nie energię.

– Podziwiam twoją trzeźwą postawę, słowo daję. – Ton Blizińskiego był cierpki i gorzki jednocześnie. – Sen pewnie też masz spokojny?

– Powiedzmy... Ale nie o moim śnie miałem z tobą pomówić.

– Jeszcze coś masz?

– Owszem. Wczoraj wróciły stamtąd nasze asy kontrwywiadu. Powęszyli, porozglądali się, powypytywali. Ci żandarmi są w jakimś amoku, nie umieją

ustalić spójnej wersji wydarzeń. Ten nie strzelał, tamten nie strzelał, ten koni pilnował. Za kilka minut znowu wszyscy orderów się domagają za zlikwidowanie szpiegów. Wykonywali tylko rozkazy, im strzelać kazano...

– Antoni, na Boga! – przerwał Tuckiemu Bliziński. – Kto kazał?!

– Niejaki porucznik Koy. Komendant żandarmerii z pobliskich Łap. Oni kręcili się z jeńcami od posterunku do posterunku, bo drogi pozamykane, bo chaszcze nieprzejezdne, bo linia frontu tuż-tuż, a on ich dogonił. Wydał rozkazy albo jedynie przekazał, tylko o jednym zapomniał. Sprawdzić, czy na pewno nie żyją, w razie czego dobić, a zwłoki ograbić. A potem przepadł jak kamień w wodę. Był człowiek, nie ma człowieka. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że to ktoś z jakiejś tajnej komórki wojskowej, ale wciąż nie mam potwierdzenia. Znalazł się jeszcze świadek, cokolwiek niezwykajny. Pamiętasz tę sprawę sprzed lat z Wilna? O bandzie złodziei, w której był telekinetyk?

– Ależ oczywiście! – Adam ożywił się, jakby całkiem zmienili temat rozmowy. – Pisałem o tym jako młokos, ale mnie odsunęli, bo uznali, że nie jestem wiarygodny... Za mało było entuzjazmu w tej mojej pisaninie, więc temat przejął jakiś specjalista od zjawisk nadprzyrodzonych. Na swój sposób to było zabawne.

– Cóż, to nie była szarlataneria w stylu wyginania łyżek na odpustach. Przecież chłopak podobno przesuwiał rygle, sztaby. Kłódki otwierał wewnętrzne, a stał na ulicy.

– Podobno...

– Podobno i bank obrobili, i kasę pocztową, pociąg... Nie licząc okradania prywatnych domów. Ruble, które kradli, nie były podobno rublami tylko rzeczywistymi pieniędzmi. Najtężsi spece od cudowności poddali go obserwacji, robili dziwne doświadczenia. Przeszedł nawet próbę na maszynie galwanofaradycznej.

– Nie znam się na tym. – Machnął ręką Bliziński. – Mimo że na ten temat pisałem.

– Poruszył na odległość strunę w tej maszynie. Więcej dowodów nie chcieli, ale badać dalej owszem.

– Złote czasy, mimo wszystko. – Adam uśmiechnął się do wspomnień. – Można było wałkować taką rewelację przez kilka tygodni. Chłopak jakoś im uciekł. Tego nie przewidzieli... Ale jaki to ma związek z Wesołowskim, Alterem i porucznikiem Koyem?

– No więc ów świadek to jest właśnie ten chłopak. Obecnie mężczyzna. Kazimierz Rodziewicz.

* * *

Gdybym tylko mógł, opowiedziałbym wam o moim bandyckim życiu w Wilnie i okolicach, gdzie największego zła dokonywałem z pomocą mojego przeklętego daru. Żebym jeszcze czerpał z tego przesadne profity, odkładał grosza na czarną godzinę, chował zwitki rubli do słoików i zakopywał je w ziemi, wzorem moich kompanionów, by w razie powinięcia się nogi mieć z czym zaczynać nowe życie po powrocie z tury albo, nie daj Panie Boże, katorgi. Byłem przekonany, że nakraść się na bieżące życie zawsze zdążę.

Więcej w tym było napawania się własną mocą, której natury i tak nie umiałem przeniknąć. Pamiętam jak przez mgłę, że ojciec mój, jeszcze w czasach życia w mieście, z wypiekami na twarzy czytał mnie i matce o telegrafie bez drutu, który wymyślił niejaki pan Ochorowicz. Myśl, energia, siła, jak zwał, tak zwał, też bez drutu sobie radzi, płynie w powietrzu, eterze bądź próżni. Dlaczego by zatem nie nadawać jej kierunku, czemuż by nie miała mieć namacalnych skutków? Z umysłu do umysłu? To nie szło mi wcale. Z umysłu ku przedmiotom martwym na pozór? Które przecież jakąś wewnętrzną energię mieć muszą, choćby bezświadomą? Na tej niwie mi się udawało.

Nie do wiary w tym wszystkim było to, że ze wspomnianym panem Ochorowiczem, co to miał być człowiekiem bardzo uczonym, niemal udało mi się spotkać. Ponoć chciał mnie poznać i przebadać na poczet moich zdolności, ale tylko dwóch pomagierów przysłał, gdy schwytano mnie i osadzono w wileńskim cyrkule.

Bodaj rok minął od głośnego na całą Rosję napadu na pociąg pocztowy w Bezdanych, gdzie, cóż za losu meander, złodziejami dowodził sam pan Piłsudski, a ukradzione ruble szły w setki tysięcy. I tak rok prawie poszturchiwali mnie a to Anszel Krzyworyj, a to Kukuraitis ze Stachem Łosiewiczem, i inne tuzy naszej bandy z Wilna, że zasiedliśmy do planu ograbienia pomniejszego pociągu z pieniędzmi nie tak wielkimi, ale jednak... Postanowiliśmy poprzestać na małym, w połowie stosując się do nauk chrystusowych, bo nikt z nas nie był nazbyt pobożnym, osobliwie Anszel Krzyworyj, uparcie trwający w wiarołomnym żydostwie, choć sposobności do zostania przechrztą miał aż nadto.

Opowiedziałbym wam, że moc moja była niezawodna i pewna jak śnieg w styczniu, ale nie byłoby to prawdą. Zawsze uczciwie zastrzegalem, żeby z tego, iż dwa okna z framugą wyrwałem w kupieckich domach, coby przez nie przeleźć i kraść ile wlezie, nie wyciągać wniosków, że wyrwę i trzecie, i czwarte. I tak właśnie było. Raz się udało, dwa razy nie, trzy razy poszło jak z płatka, za czwartym nijak, choćbym się pocił jak mysz w połogu i walił mocą w sejf, kasetę, szkatułę, a te nie wyfruwały. Wtedy przełożeni moi w paskudnym fachu wzdychali, sarkali, przeklinali, że przez moje niedołęstwo muszą kogoś pobić, zatłuc albo gardło poderznąć, bo zawiodłem.

Plan był prosty. Zaczaić się za Mickunami na pociąg jadący od Nowej Wilejki i zdać się na mnie. Przy czym klarowano mi ze szczegółami, co mogę, a czego nie. Broń Panie Boże, pociągu nie wykoleić, ludzi w miarę możebności oszczędzić, bo w razie niepowodzenia podczas ucieczki z workami rubli czekać nas może smutny koniec. Właściwie mogliśmy być pewni, że na dożywociu albo katordze carscy nie poprzestaną i ukatrupią nas dla przykładu już na przesłuchaniu, a potem powiedzą, żeśmy puciekali w samobójstwa albo ciężko zachorowali. Wprawdzie ledwo rok z hakiem minął od wielkiego manifestu panów literatów, którzy gardłowali przeciw karze śmierci, ale to były zwykłe wydumki. Nigdy nikomu nie chciało się liczyć, ilu schwytych śmierć dopadała, zanim w ogóle zaczął się ich proces.

Owóz i o napadzie w pełnym tego słowa znaczeniu mowy być nie mogło. Było za to teatrum dziwne, bardziej sztuczkę w cyrku przypominającą niżli rabunek. Po torach mknęły wagony z orłem imperium, a na skraju lasu, w którym dwóch ludzi Kukuraitisa pilnowało wozu z końmi, stałem ja, sam Kukuraitis, Stach Łosiewicz z zezowatym Mariańczykiem i jeden Żydek od Anszela Krzyworyja, który sam się nie fatygował, bo to była sobota, właściwie nawet tego swojego totumfackiego puścić nie chciał, tylko gębę darł, że szabesgoja wynajmie, byle tylko każdy wileński Żyd dzień święty święcił. Ale Łosiewicz z Kukuraitisem nawet słyszeć o tym nie chcieli, jak bandycka międzynarodówka to nie ma wyjątków, no i Anszel uległ.

Skupiłem się, jak należy, ale kilkanaście wagonów minęło nas bez konsekwencji, aż Stach Łosiewicz przekleństwami hałas pociągu przekrzyczał. Nie pomogło mi to wcale, mało mi para z uszu nie poszła, ale się udało. Z przedostatniego wagonu na okratowanych drzwiach wyleciał wojskowy z pocztowej eskorty, a za nim dwa ogromne płócienne worki, opieczętowane i z banderolą na sznurku. Kątem oka zauważyłem, że w wagonie była jeszcze co najmniej jedna kasa pancerna, ale widno

przykręcono ją do podłogi albo nie stało mi mocy przesunąć ją na tyle, by wyleciała na tory. Pomodliłem się tylko w duchu, żeby z tego tytułu przywódcy naszej bandy nie urządzili mi awantury. Biedaka, który skręcił sobie kark, upadając wedle torów, ukryliśmy w leśnym wykrocie, zabierając na swoją zgubę jego karabin i, ma się rozumieć, worki z pieniędzmi. Dojechaliśmy do tych przeklętych Mickunów, które nam, wileńskim, wydały się zapadłą dziurą, a tam przywitały nas policyjne patrole idące w dziesiątki ludzi, jakieś zamieszanie, rwetes i rewizje po chałupach. Wypełniony dla niepoznaki różnoraką starzyzną wóz nie wzbudziłby pewnie podejrzeń policji, gdyby nie to, iż siedziało na nim aż siedmiu chłopów. Może i to by uszło, ale ów pomagier Anszela Krzyworyja tak się w oczy rzucił ze swoją brodą, garbatym nosem i, Boże przebac, pejsami, że nie w ciemną bicia carscy od razu się połapali, iż w szabas to powinien w bożnicy siedzieć i kiwać się w rytm modłów, a nie urządzać sobie przejażdżki z różnonarodową ferajną. Od łyczka do rzemyczka, od Żyda do przeszukania wozu. Namacali oczywiście w tym zalewie gratów i worki z pieniędzmi, i wojskowy karabin, i wszystkich jak jeden zawinęli do cyrkułu w Wilnie. Dumaliśmy z wysiłkiem, co zawiodło, wietrzyliśmy podstęp. Kukuraitis Anszela Krzyworyja nawet podejrzewał o zdradę, bo i skąd w takiej wiosce więcej policji niż miejscowych? Okazało się, że na dniach sądzono w Wilnie gospodarza z Mickunów, niejakiego Antoniego Indrełło, który oprócz przewiny należenia do partii socjalno-demokratycznej miał na sumieniu rękopiśmienną odezwę „Sława zabójcom przeklętych sług Cesarskich” oraz napady na sklepy monopolowe i dwory w Sawiczunach, Zalesiu, Drabczunach i jakieś pomniejsze sprawy. A że na procesie Indrełły i jego kompanów powychodziły nowe okoliczności, zlecono przeszukania kilkunastu obejść w Mickunach, czy tam jeszcze jakie zakazane pisemka i broń się nie poniewierają. Ot, pech straszliwy, a i chichot losu, bo to wszystko działało się celem procesu politycznych, co to zabawiali się tylko w złoczyńców, że niby oni forpoczta rewolucji, a przez przypadek w ręce policji wpadła wileńska banda prawdziwych rzezimieszków, nie żadnych przebierańców. Na dokładkę z cennym łupem i bronią martwego żołdaka.

W pojedynczej celi współnikom pomoc nie mogłem, ale sobie owszem. Udało mi się kilka wyczynów na przesłuchaniu, gdzie dwóch zbirów w mundurach zamiast porachować mi kości drewnianymi pałami, sami się nimi obili, a jednemu kanceliście wszystkie papiery na biurku, które zapisywał pięknie i z wywalonym z wysiłku jęzorem, zachlapałem inkaustem z wywróconego na odległość kałamarza. Coś tam komuś z większym rozumem w głowie zaczęło

świtać. Zaczynali łączyć okoliczności i wydarzenia. Wiązać bandyckie akcje, w których brałem udział, a których okoliczności zahaczały jeśli nie o cuda, to chociaż o niezwykłość. Dopiero zaczęła się kołomyja. O ile Kukuraitis z zezowatym Mariańczykiem już w kibitce pędzili na Sybir, a reszta uczestników tego dziwnego napadu na długoletnie wyroki trafiła do więzień, o tyle do mnie przyjechali z daleka wysłannicy wspomnianego pana Ochorowicza, który wymyślił telegraf bez drutu. Wymierzili mnie wzdłuż i wszerz, obwód głowy mi zbadali i długość języka. No i pytali, pytali, jeszcze raz pytali, a odpowiedzi moje zapisywali skrzętnie i dosłownie. Robili mi próby poruszania przedmiotów na odległość, ale największe wrażenie na nich wywarło, jak w takim dziwnym ustrojstwie, które rzekomo mierzyło elektryczność, udało mi się wywołać drganie umocowanej w nim żyłki. Mało z krzesel nie pospadali z wypiekami na twarzach. Owszem, bardzo to dla mnie było trudne, z wysiłku aż osunąłem się na podłogę, niemniej dałem radę. Zapisali owi panowie mnóstwo papieru podczas tych doświadczeń i rozmów. Najbardziej interesowało ich, czy na odległość mógłbym przekazywać myśli, ale nigdy tego nie robiłem. Czy próbowałem kontaktu ze zmarłymi, czy rozmawiałem z duchami? No i czy panuję nad swoimi zdolnościami, nad ich natężeniem, nad mocą i, jak powiadali, precyzją. Zgodnie z prawdą odpowiadałem, że przekazywać myśli nigdy nie próbowałem i nie wiem, jak miałbym to czynić. Tyle głów ludzkich z mózganiami na świecie, skąd wiedzieć, do której myśl moja miałaby dotrzeć? O żadnym obcowaniu z duszami zmarłych mowy być nie mogło, sam wykpiwałem nawet takie oszukaństwa, bo praktyki naciągaczy w tym fachu znałem aż za dobrze z wileńskiego półświatka. Na to skonkludowali, że do dalszych badań zabiorą mnie do pana Ochorowicza do Wisły, ale nie do rzeki tylko miejsciny o tej samej nazwie, gdzie rzeczony miał swoje laboratorium, w którym badał różne wymykające się rozumowi cudactwa.

Załatwiono mi stosowne papiery i zwolnienie z aresztu, a poszło to tak gładko, że byłem bardzo zaskoczony. Nie na tyle wszakże, by z dwoma panami wsiąść na wileńskim dworcu w pociąg do Warszawy. Oczywiście uciekłem, choć drogo za to zapłaciłem.

* * *

Pan Mietek, wiedziony chęcią oszczędności, zgasił kilka niepotrzebnie świecących lamp. Podał dwóm ostatnim gościom kolejne kufle piwa.

Półmrok knajpy zachęcił do wyjścia na żer sporą gromadkę karaluchów. Bliziński dyskretnie rozgniół podeszwą dwa na raz.

– Kto go skojarzył? – spytał Tuckiego. – Przyznał się, kim jest?

– Miał przy sobie papiery, które wystawili mu przed laty w areszcie. Całkiem mocne papiery. Po carskiej Rosji jeździł z nimi jak z listem żelaznym, ale skończyło się. Wygląda na to, że uciekł z Wilna przed bolszewikami. W podszewce płaszcza zaszył dwadzieścia pięć rubli.

– To niewiele jak na złodzieja telekinetyka.

Antoni Tucki uśmiechnął się szelmowsko.

– Tak sądzisz? Tylko że to była moneta wybita na polecenie cara Mikołaja z bryły złota znalezionej w kopalni na Syberii. Porozdawał cenne egzemplarze rodzinie z okazji swoich czterdziestych urodzin. Gdyby wiedział, że przeżyje jeszcze tylko lat dziesięć... Nie wiem, kogo i gdzie obrobił nasz Kazimierz Rodziewicz, bo takich monet nie było zbyt wiele. Po rewolucji to unikat.

– No, proszę. – Bliziński przydeptał kolejnego karalucha i zapragnął już opuścić bar. – Ale jak wpadł?

– Sam się zgłosił na komisariat w Szepietowie. Twierdził, że widział egzekucję z ukrycia, a po wszystkim dokonał oględzin trupów i zorientował się, że Alter jednak żyje. Z przestreloną szyją, ale żyje. Wsadził mu palec w ranę, zatamował krwotok, opatrzył i jeszcze pomógł mu przedostać się za linię frontu. Dopiero gdy całą aferę zaczęto rozdmuchiwać, dowiedział się, co zrobił. Nie bardzo w Szepietowie wierzyli w nagłe patriotyczne nawrócenie złodziejaska magika, ale co z nim mieli począć, jak przyszedł pokajać się za grzech?

– Dywersja, sabotaż, zdrada... – Adam co słowo kiwał głową. – Sąd doraźny, kula w łeb za pomoc bolszewikowi. Szkoda... Pomyśl, a gdyby wdroyć go do pracy w kontrwywiadzie? Ileż zasług mógłby położyć! Wykradanie tajnych dokumentów, aranżowanie nieszczęśliwych wypadków, toż to by była tajna broń!

– Naprawdę myślisz, że nikt na to nie wpadł? – Tucki krzywo spojrział na przyjaciela znad resztki flaków. – Cóż, zapomniałem, że jeszcze w szkole wszystkich uważałeś za głępszych od siebie... Tylko jest dość istotny szkopuł. Mianowicie ów Kazimierz Rodziewicz twierdzi, że utracił swoje dawne moce. Nie może ich odzyskać i znów jest zwykłym człowiekiem.

– Ach tak? – Bliziński poczuł, że piąte piwo wprawia go w rausz. – To niedobrze. Czyli jest tylko niewygodnym świadkiem, na dokładkę

z pomocnictwem w ucieczce groźnego bolszewickiego szpiega. Zatem obciąć łapy i język, i kopniaka na pożegnanie...

– Dobrze się czujesz? – Z prawdziwą troską w głosie zapytał Tucki.

– Niezgorzej. – Adam pomasował nabrzmiałe żyły na skroniach. – Ale muszę już jechać do domu...

– Jak sobie życzysz. Zaraz, zaraz... Jak powiedziałeś? Obciąć łapy i...

– Człowieku, żartowałem! – przerwał Tuckiemu Adam. – Co tobie... A tam co znowu?

Oczy przyjaciół powędrowały do drzwi wejściowych. Na progu pan Mietek szarpał brodatego starca, wymyślając mu od proszalnych dziadów.

– Panie Mietku, to dorożkarz! – krzyknął Bliziński, wstając od stołu. – Miał na mnie czekać, ale, jak widać, nie wytrzymał. Może cię podwieźć?

– Nie trzeba. – Antoni uściśnął dłoń przyjaciela. – Spacer dobrze mi robi.

– Nie boisz się? Sam o tej porze?

– Nikogo się nie boję. – Tucki porozumiewawczo mrugnął okiem w monoklu. – Mam browning w kieszeni...

* * *

Mógłbym wam, litościwi ludzieńkowie, godzinami opowiadać o rozmaitych pierepałkach, których doświadczałem od czasu, gdy na dworcu w Wilnie umknąłem totumfackim pana Ochorowicza. Choć właściwie nie mógłbym... Gdzie bywałem, jak spałem, co jadłem, na potężną opowieść by się uskładało, tylko po latach już niewiele z tego wynika poza tym, że wciąż mam doskonałą pamięć, kiedy inne umiejętności dawno mnie opuściły.

W każdym razie, pomny okoliczności, że wyszedłem bez szwanku z nieliczej awantury, podczas gdy reszta moich kompanów gnije w tiumach, splania syberyjskie sosny albo przykuta do taczek wozi kamienie, w Wilnie ostać nie mogłem. Musiałem liczyć się z okrzyknięciem mnie carskim agentem, co to mu nawet włos z głowy nie spadł w areszcie, a jeszcze w glejty wyposażony wyszedł na wolność.

Do wybuchu wielkiej wojny zjeździłem kawałek świata, choć nie opuściłem Rosji, w której nieustannie coś grało, buzowało jak w stojącym na rozgrzanych fajerkach garnku, wrzało. Temu, co podskórnie nawarstwiło się, miała zaradzić powszechna wojna, o którą, jako dziecku, kazali mi się modlić ojczulek z matką, bo tylko z owej wojny jak feniks z popiołów miała powstać Polska. Tak to już jest na tym najlepszym ze światów, że wojna wiele problemów rozwiązuje, przecina z dawna puchnące wrzody, upuszcza złą

krew, by na nawożonej nią glebie wyrosło większe dobro. Coś wszakże poszło nie tak, chyba obok złej za dużo upuszczono krwi zupełnie niezgorszej, bo w lutym siedemnastego roku wybuchła rewolucja. To była dla mnie hiobowa wieść, gdyż od drugiego roku wojny poruszałem się na papierach młodziutkiego barona Winogradowa. Były dużo lepsze niż te moje wystawione przez naczalstwo więzienia w Wilnie. Gracko skradłem je baronowi w pociągu Moskwa-Piotrogród razem z furą pieniędzy. Mamlałem po rosyjsku nieco gorzej niż w języku ojczystym, ale ruble i wizytówki otwierały większość drzwi, raz tylko uciekałem z hotelu w Moskwie, bo umyślny przyniósł mi liścik od kuzyna imć barona, że ów niezmiernie cieszy się na spotkanie i dlaczego nie poinformowałem o mojej w mieście bytności?

Wrócono po rewolucji, że ze szlachtą się naród rozprawi, ale póki co na śmiech tylko podawano takie pogróżki, wszakże po bolszewickim zamachu stanu w październiku wyrzuciłem baronowe dokumenty, zapuściłem niedbałe brodzisko i szaty dynstyngowanego szlachcica zamieniłem na płaszcz, który dodatkowo uchlastałem sobie barszczem i łojem.

Wstyd przyznać, ale dopiero po tym nieszczęsnym październiku, kiedy z wielkiej wojny wykluła się jeszcze domowa, pomyślałem, że wypadałoby wreszcie odwiedzić rodziców. W tle miałem oczywiście ucieczkę na zachód, bo nie po to przez tyle lat wymigiwałem się od kamaszy, żeby teraz chwycić za broń już to jako biały, już jako bolszewik. A że o tej mitycznej Polsce zaczynało być głośno, coś dawno uspionego obudziło się we mnie, jakby te wszystkie bogoojczyźniane pogadanki i lekcje, które dawała mi matka poza zajęciami z panną Zofią i Schmittem, a przy których usypiałem, nagle, jako wspomnienie, jawiły się czymś właściwym, krzepiącym, na swój sposób rozczulającym. Pewnie był to odruch tęsknoty za utraconym dziecięctwem, niemniej stwierdziłem, że skoro w końcu mam odległy plan zostania człkiem dobrym, mogę być dobrym Polakiem. I to w prawdziwej Polsce.

Wieś z domem rodzicieli front szczęśliwie oszczędził, ale oboje zabrała grypa, która zdziesiątkowała okolicę. Nad grobem ojczulka i matki stareńki Jakubek, któremu widać żadna epidemia nie była straszna, a któremu za szczeniaka robiłem głupie psoty, wręczył mi koperty z listami od rodziców i zwitek rubli. Zapuszczony dworek świecił pustkami, skradziono co się dało, tylko stary Jakubek pilnował pustych ścian, w których chciał dokonać swojego żywota. Wybaczył mi goniące go sierpy i orczyki, bo wiedział, psiajucha, że to z moją pomocą na niego polowały.

Uroniłem łzę nad owymi listami, wynikało z nich, że ojczulek jeszcze bardziej schłopiał, bo pisał frazą nierozgarniętego parobczaka, matce też pogłębiła się mieszanka dewocji i patriotyzmu, żegnała się ze mną z nadzieją, że jej syn będzie dobrym Polakiem katolikiem i wszystkie siły włoży w odbudowę Polski. Gdyby wiedziała, co jej syn wyczyniał od czasu oddania go do szkoły pana Araszkiwicza, nie dożyłaby pewno tej śmiertelnej grypy, tylko zmarła dużo wcześniej ze zgryzoty. Ten swoisty testament postanowiłem wypełnić na miarę swych skromnych możebności. Chociaż spróbować nie kraść i nie oszukiwać, a moc moją spożytkować na cele wzniosłe i zbożne.

Podkusiło mnie coś, żeby zajrzeć do Wilna. Z obfitym zarostem i w impregnowanym resztkami jedzenia płaszczu wyglądałem jak zbiegły z katorgi bradiaga, co wzbudzało wśród ludzi tak podziw jak i litość. Powęszyłem trochę, mocno zadziwiony wileńskimi porządkami, a raczej panującym rozgardiaszem. Miasto przypominało wielkie mrowisko, w które ktoś nie tylko jeden kij wsadził, ale kilka i na dodatek polał wszystko czymś żrącym i śmierdzącym. Niemcy powoli się wycofywali, zostawiając miotające się na wszystkie strony ludzkie mrówki. Polacy, Żydzi, Litwini, nawet ujawniły się Białorusy, co to zawsze siedziały cicho jak myszy pod miotłą, a teraz się okazało, że jakieś pretensje do Wileńszczyzny im w głowach zagrały. Z Syberii wrócił Kukuraitis, tylko już nie był bandytą a członkiem Miejskiej Rady Delegatów Ludowych, mającym naprzeciw siebie Stacha Łosiewicza, uwolnionego z carskiego więzienia, który dwoił się i troił, pomagając przy naprędce kleconych polskich batalionach piechoty, na potęgę kradnąc broń rozkojarzonym Niemcom. Przez głowę mi przeszło, że najwidoczniej nie tylko mnie natchnęło na porzucenie drogi występku i oddanie usług narodowi, z którego się wywodziłem. Może jeszcze Anszel Krzyworyj, wzorem innych Żydków, do komunistów przystąpił? Pomyślałem, że dobrze byłoby się spotkać ze Stachem Łosiewiczem i, w imię zaprzeszłej współpracy, w zgodzie pogadać. Nie wziąłem pod uwagę, że rozpozna mnie ktoś bardzo bystry i uważny. Oberwałem zniecka w łeb po wyjściu z jadłodajni, wrzucono mnie do dorożki, i już za godzinę siedziałem przed Anszelem Krzyworyjem w jakiejś zatęchłej piwnicy, a jeden z jego ludzi okładał mi głowę mokrą szmatą. Anszel wygłosił krótki wykład, gdzie główną tezą było, iż rozbój i kradzież w służbie narodu rzeczonymi być nie przestają, podśmiewał się ze Stacha Łosiewicza i Kukuraitisa, że wolny zawód zamienili na wysługiwanie się jakimś świszczypałam, które nawet sprawy sobie nie zdają, że zaraz wejdą bolszewicy z Armią Czerwoną i jak łapną za mordę, to sam pan Bóg nie

pomoże. Chytry Żydowin miał informacje z pierwszej ręki, nawet uśmieł się, że Lenin i Trocki to w końcu jego pobratymcy i plan polityczny mają bardzo prosty, mianowicie ukraść ukradzione. A że na takie porządki jego zgody nie ma, będzie się z ukradzionym ewakuował, co i mnie radzi. Zacząłem przebąkiwać, że muszę do Warszawy, bo tam już pan Piłsudski wrócił z Magdeburga i Polska się rodzi. A matka w testamencie kazała. Anszel spoważniał, przyznając mi rację, że wola matki rzecz święta, zabrał mi tylko wszystkie pieniądze, poza złotą dwudziestopięciorublowką, którą ukradłem wraz z papierami barona Winogradowa. Miałem ją dobrze zaszytą w płaszczu. Podniszczone papiery z wileńskiego cyrkułu też mi zostawił. Na pożegnanie wylewnie oznajmił, że za darowanie mi życia winienem mu przysługę, czyli trzymanie gęby na kłódkę. Zgodziłem się, bo co miałem robić? Teraz widzę to jako smutne proroctwo.

Jakoś zupełnie odeszła mi ochota po tym niechcianym spotkaniu na kolejne, więc odpuściłem sobie szukanie dojścia do Stacha Łosiewicza. Trwały już walki z Litwinami i komunistami, zbliżał się Nowy Rok a wraz z nim Armia Czerwona, która, jak zapowiedział Anszel Krzyworyj, miała pogodzić wszystkie zwaśnione strony. Dałem nogę niemal w ostatniej chwili.

Gdy w drodze do Warszawy spróbowałem kilka razy użyć mych niezwykłych zdolności w celu zapewnienia sobie funduszy na dalszą podróż, z przerażeniem stwierdziłem, że moja moc wyparowała jak kamfora. Ot tak, w jednej chwili utraciłem jakąkolwiek zdolność do przemieszczania rzeczy martwych. Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć, bo przecież nikt mi nigdy w oczy nie rzucił przepowiednię, że wraz z nastaniem Polski skończą się moje nadnaturalne przewagi. Olśniło mnie, choć bez cienia radości. To od tego ciosu w łeb, którym poczęstował mnie któryś faktotum Anszela Krzyworyja, kiedy porwano mnie spod jadłodajni w Wilnie. Czyli jedna rzecz przynajmniej wyjaśniła się. Źródło wszystkiego tkwiło w mej głowie.

** * **

Na widok dwóch półmisek Tuckiemu aż zaburczało w brzuchu. Przełknął ślinę. Eustachy Sapięha przynosił wzrok z sandacza a'la Radziwiłł na pieczoną kaczkę. Raczej nie myślał o podaniu drugiego talerza i kieliszka.

– Jak zwykle zimne – westchnął ksiązę, zerkając na stojącego w kącie salonu oficera. – Czemu nie mogą mnie zaprowadzić w kajdankach do restauracji?

– Taka specyfika aresztu domowego – zauważył Tucki. – Ale już niedługo. Dymisja rządu lada dzień.

– Cieszę się. – Sapieha spróbował grzanki z rybą. – Pański poprzednik był mniej grzeczny. Rozumiem, że pan minister ma do mnie żal, ale po co nakazywać podwładnym bycie opryskliwym?

– Jestem w zastępstwie chorego kolegi – Tucki sprostował. – Na co dzień pracuję w wydziale prasowym. A pan Thugutt nie ma żalu. Po prostu jest mu przykro, że księżę kazał do niego strzelać.

Sapieha nie skomentował. Jadł powoli, a jedzenie chyba nie było aż tak zimne, bo księżę wyglądał na zadowolonego. Antoni Tucki miał wrażenie, że arystokrata wręcz się uśmiecha. Trudno było uwierzyć, że to przywódca niedawnego zamachu stanu. Tucki, świadomy nadchodzących nowych porządków, postanowił nie przejmować się pilnującym księcia oficerem i podał Sapiesze wizytówkę.

– Polecam się łaskawej pamięci księcia na przyszłość – powiedział nieco zmieszany, że dochodzi prywaty podczas wizyty służbowej. Ale, bądź co bądź, obiadujący księżę lada moment może być posłem albo nawet ministrem. – Tę pewną i tę niepewną.

Domowy aresztant schował bilecik, udając, że nie widzi, jak bardzo udaje ślepego młody mundurowy.

– A jak tam źli ludzie? – zmienił temat Sapieha, zabierając się za kaczkę w jabłkach.

– Przepraszam, kto?

– Delegaci z Rosji, Wesołowski i reszta bolszewików. Czerwone wilkołaki. Ponoć padli ofiarą rabusiów?

– Tak jakby. – Tucki wyczuł ironię. – Ale winni zostaną ukarani, świadkowie zlikwidowani.

– To jeszcze jacyś świadkowie byli? – Sapieha uparcie brnął w sarkazm. – Zabić tak, żeby przeżyli i jeszcze pozwolić na świadków?

– Nie wszystko się udaje, księżę. Tak bywa. Wilkołaki... Widzę, że to ciekawe określenie zaczyna robić furorę.

– Prawda? Niech pan postawi dobry obiad koledze z prasy, który je ukuł. Śmierć wilkołaka, to brzmi bardzo ładnie. Jak tytuł straszliwej opowieści.

Sapieha nalał sobie wina.

– Na pohybel wilkołakom! – Księżę wzniósł toast. – Co to tylko czekają, żeby rozszarpać naszą nową Polskę. Żegnam pana. Mam nadzieję, że wizytacja aresztu się udała.

Odprowadzany przez oficera Tucki czuł się, mimo wszystko, upokorzony. W myślach przeklinał swoje mocno niewczesne wyrywanie się z wizytówką. Książę niemal od razu zaczął go traktować jak swojego pieczeniara.

Po powrocie do ministerstwa czekało Tuckiego kilka rewelacji. Okazało się również, że z redakcji „Kurjera Warszawskiego” wydzwaniał Adam. Podobno zniknęła dziewczyna, którą ostatnio bałamucił. Jak jej było? Elwira? Edyta?

* * *

Opowiedziałbym wam, chrześcijański narodzie, jak to się stało, że nie jestem już w stanie nic opowiedzieć. Jak przywitała mnie ta nowa Polska, co to moim rodzicielom nie było dane zobaczyć jej z bliska na oczy. Jak wyrznąłem w nią łbem, który miałem pełen zamysłów na przyszłość. Wiem, czas był niebezpieczny, wojenny. Wyglądało, że się ta Polska posypie jak domek z kart, bo ciężko było się rozeznać, komu ona w ogóle w smak? Może tym zza wielkiej wody, a i to nie wiadomo... Wielkopolska miażdżyła łeb teutońskiej hydry, we Lwowie rezuńska dzicz zabijała dzieci ledwo sześćioletnie, grozili bolszewicy i biali Rosjanie, wileńskie boćwiny też się odgryzały, a żydostwo pomstowało swym szwargotem na odrodzenie Rzeczpospolitej. A w środku tego niebezpiecznego czasu ja.

I gdy tak ledwie prześlizgnąłem się przez linię frontu i brodziłem w zaspach ku zachodowi, z rzadka zapewniając sobie podwodę z pomocą dobrych ludzi, natknąłem się wśród podlaskich wiosek na dziwny orszak i zaświadcowałem rozstrzelaniu. Przycupnąłem w stosownym oddaleniu, bacząc, jak pięcioro osobników zastrzeliła żandarmeria, ale jakoś tak bez ładu, składu i pomysłu. Ani podsądnych, bo święcie byłem przekonany że o sąd doraźny chodzi, nie skrępowano, ani ich w szeregu jak należy nie ustawiono, ot, padły bezładne strzały, żadnej salwy na rozkaz. Zabici też popadali każdy w inną stronę albo jeden walił się na drugiego. Nic w tej scenie nie było z majestatycznych rozstrzelań, o których piszą w książkach, nikt nie rzucał komend, nie wygłaszał wzniosłych przemówień, nie odczytywał przewin, nie wznosił gromkich okrzyków w stronę prześladowców. Zwyczajnie, lufy plunęły kulami, te utkwily w ludziach, rozrywając im po drodze wnętrzności, a ludzie zmienili się w zewłoki. Po wszystkim mundurowi jakby zmieszani i wystraszeni wsiedli na konie i tyle ich widziałem. Nawet nie sprawdzili, czy aby kto nie przeżył, bo zamordowani naubierani byli jak na zimową porę przystało i pociski śmiało mogły uwięznąć w grubych warstwach odzieży.

Po wszystkim wylazłem z za drzew, wciąż pełen niepokoju, bo chociaż różne rzeczy widziałem i sam nieraz z nieboszczykami miałem do czynienia, nie szło tu o śmierć w bandyckich porachunkach, podczas rozbojów czy w walce z policją. Tu, zasłużenie lub nie, padli ludzie bezbronni, więc z ludzkiego obowiązku sprawdziłem, czy które nie potrzebuje pomocy. W końcu nawet jeśli dywersanci albo szpiedzy, też stworzenia boże. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn nie żyło na pewno. Trzeci miał przedziurawioną szyję, ale, cud boski, dychał, z powietrzem wypuszczając krwawe bąble. Jeszcze pan Araszkiewicz uczył nas, że jak krwotok, rany zatykać, zapychać czym się da, tamować wypływającą krew, bo jeśli za dużo jej ujdzie, nic człowieka nie uratuje. Tak zrobiłem. Uratowałem człowieka. Zapewniłem mu pomoc znachorki z pobliskiej wsi, podzieliłem się jedzeniem. Ba, nawet za ostatnie pieniądze, złotej dwudziestopięciorublowki nie licząc, opłaciłem mu przejście przez linię frontu z jakąś bandą przemytników. Nie mógł jeszcze dobrze mówić, ale na pożegnanie ścisnął mi prawicę i długo kiwał głową. Wyciągnął z za pazuchy sfatygowany pugilares i wręczył mi go, dając do zrozumienia, że to za uratowanie mu życia. Jakbym dla pieniędzy go ratował! Może mierzył mnie swoją własną miarką? Kiedy już wraz z kontrabandzistami zniknął mi z oczu, zajrzałem do środka. Szpetnie zakląłem. Pugilares był wypchany bolszewickimi sowznakami. Żadne tam kierenki czy dumki, za które jeszcze mógłbym chociaż poprobować coś kupić. Nie, tu był bezwartościowy papier drukowany przez ludzi, przed którymi uciekałem najpierw z Rosji a potem z Wilna. I, jak na złość, jednego ocalałem od niechybnej śmierci! Biada mi, biada!

Tak też mi powiedzieli na posterunku w Szepietowie, gdzie jak na spowiedzi zdałem komendantowi sprawę. Biada ci, człeczko, biada! Złapał się komendant za głowę, bo to już było kilka dni po egzekucji tych, jak mówiono, szpiegów, agentów, bandytów, podżegaczy, podpalaczy, i, co mnie nieco zadziwiło, wilkołaków. Czemu wilkołaków? Nie wnikałem. Straszne tam było zamieszanie na tym posterunku. Areszt stanowiła oddzielona kratą część głównej izby, więc jak na dłoni widziałem, że drzwi się nie zamykały. Cywile, mundurowi, z Białegostoku, nawet z Warszawy, co znaczyło, że sprawa jest niezwykle poważna. Wielokrotnie mnie przesłuchiowano, na większość pytań odpowiadałem zgodnie z prawdą, a za każdym razem kończono na tym, że co oni mają ze mną zrobić. Komuś, oby był przeklęty, myśl, co ze mną uczynić, w końcu przyszła do głowy. A do mnie przyszli w nocy. Dzisiaj żałuję, że mnie

ogłuszyli, choć wtedy błogosławiłem tę okoliczność. Może nie przeżyłbym kaźni i, na swoje szczęście, umarł z bólu i strachu?

* * *

Szesnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku wszystko poszło po myśli Antoniego Tuckiego. Po zaprzysiężeniu nowego rządu zaniechano wymiany personelu niższego szczebla, choć nie obyło się bez drobnych rozsad i wyjątków. W ministerstwie spraw wewnętrznych Stanisława Thugutta zastąpiono Wojciechowskim, więc Tuckiemu zgodnie z przewidywaniami zmienił się przełożony, ale w kilku resortach nawet ministrowie pozostali na swoich stołkach.

Zamiast opijać w gronie kolegów nowe wyzwania, możliwości i apanaże, Tucki wybrał się na poszukiwanie przyjaciela. Zgodnie z informacją podaną przez telefon Adam Bliziński znajdował się w knajpie pana Mietka. Roztrzęsiony siedział w kącie, wzbudzając dyskretne zainteresowanie stałych bywalców swoim nienagannym strojem i inteligenckim sznytem. Sam, dzięki ilości spotkań z Tuckim, powoli aspirował do rangi częstego gościa, wciąż jednak powierzchownością i ubiorem odcinał się od reszty biesiadników.

– Elizy nie ma od trzech dni! – mówił Antoniemu. – Stróż nic nie wie, zresztą strajkuje, sąsiedzi też nabrali wody w usta. Z komornym u właścicieli nie zalegała.

– Znajdzie się. Może wyjechała do rodziny na prowincję? Nieważne, mam nowe wieści...

– Co znaczy nieważne?! Wystaw sobie, że ona przyszła do naszej redakcji... Wypytywała o mnie, a niektórzy chyba naopowiadali jej sporo głupstw i plotek. Musiała wzbudzić nie lada sensację. Nawet była w gabinecie Olchowicza i pytała, co z obiecaną jej posadą...

– Z czym?

– Opowiadałem jej kiedyś, że się z nią ożenię i będzie parzyć kawę w redakcji... Różne rzeczy się w łóżku mówi. A ona potraktowała to poważnie, więc jak jej naczelny powiedział, że nie będzie żadnej posady, to się popłakała i wyszła. Antoni, ja się boję, że ona sobie zrobi krzywdę! Jak zgłosić zaginięcie?

– Opanuj się! – syknął Tucki. – Ludzie giną bez przerwy, jest tylu napływowych i uciekinierów, co i rusz ktoś przyjeżdża, wyjeżdża, nie ma żadnej przyzwoitej ewidencji! Wiesz chociaż, jak się nazywa?

- Nie... – Adam łyknął pięćdziesiątkę jednym haustem, śledzia nie ruszył.
- No masz! – Tucki opadł na krzesło. – To może i na imię miała inaczej?
- Może...

– Człowieku, tyś się najzwyczajniej w świecie zakochał! Jak mi Bóg miły! Daj ogłoszenie w „Kurjerze”: poszukiwana ostatnia kochanka redaktora Blizińskiego, oczy ciemne, włosy długie, nogi w nowych pończochach... Troszkę przygłupia, trzpiotka, kokietka, w łóżku zwinna jak kocica. Jeszcze w zeszłym tygodniu używała imienia Eliza. Może być?

Adam skrzywił się na tę szyderczą tyradę, ale przynajmniej zaczął odzyskiwać trzeźwość myślenia, mimo kolejnej mikadki wódki. Tym razem też nie zakąsił.

– Bo ci bebechy wywróci – zwrócił mu uwagę Tucki. – Panie Mietku, daj pan kawałek kielbasy, bo się kawaler redaktor na śledzie obraził! Żebyś ty widział sandacza, którego jadł Sapieha... Kiszki mi zagrały marsza na sam widok... I jak, lepiej ci? Co ta lafirynda miała, czego nie miały inne?

– Coś ci powiem, Antosiu – wychrypiał Bliziński. – Nie miała syfilisu, według mojego wstępnego rozeznania...

Twarz Tuckiego stężała, monokl wypadł mu z oczodołu i zawisnął na łańcuszku.

– Na Nowogrodzkiej sprzedają znakomite prezerwatywy od Drehera – dobił przyjaciela Adam. – Tak gwoli informacji. I jak, remis?

– Remis... – wycedził Tucki, osadzając okular. – Swoją drogą, udało mi się sprowadzić cię z drogi rozpaczony zakochanego idioty. Dobrze, że zaczynasz zapominać o Elizie.

– Wypraszam sobie! – obruszył się Bliziński. – Co to za wieści?

Antoni otarł łysinę i zamówił piwo.

– Po pierwsze, świadek zneutralizowany. Zresztą zgodnie z twoją pomysłową sugestią. Po co od razu zabijać, jak można unieszkodliwić. Po drugie, porucznik Koy. To jest dopiero numer...

– Jaką moją sugestią?! – Bliziński przerwał Tuckiemu. Uznał, że się przesłyszał. – O czym ty mówisz?

– Przecież wspominałeś ostatnio. Ucięli Rodziewiczowi język i ręce, tak dla świętego spokoju. Nie dość, że świadek, to jeszcze typek spod ciemnej gwiazdy, no i w swoim czasie o nadprzyrodzonych zdolnościach. Poza tym nadzwyczaj bystry. Kto wie, czy nie szpieg? Równie dobrze bolszewicki jak i biały. W Rosji podawał się za jakiegoś hrabiego Winokurowa i to dosyć skutecznie, choć na krótką metę. Zarzekał się, że skończył z telekinezą, ale

nigdy nic nie wiadomo... A porucznik Koy... Bracie, nie ma już porucznika Koya! Był i nie ma. Teraz nazywa się Zameczek. Osoba ta sama, ale tożsamość nowa. Tak się załatwia sprawy niewygodnych rozkazów. Nie chwając się, od początku obstawiałem, że to człowiek do zadań specjalnych. Żandarmi powiedzą, że kazał im porucznik Koy? Przecież nie ma i nigdy nie było takiego człowieka! Chyba coś zmyślacie. A jak zmyślacie, to może wy niespełna rozumu? Jakbym to widział na sali sądowej. Co ci jest?

O poruczniku Koyu i jego *alter ego* Bliziński już nie słuchał. Wpatrywał się tylko w trzy puste szklaneczki i tyleż spodków ze śledziami. Zaciśnął dłoń na mikadce, rozbite szkło zachręściło nieprzyjemnie, pomiędzy palców Adama pociekła krew.

– Coś ty powiedział? – spytał głucho. – Zmasakrowali człowieka, bo ja coś tam po pijanemu od rzeczy bredziłem?

– Po prostu zasugerowałem takie rozwiązanie. – Tucki wyglądał na zdziwionego. – Nie bierz tego tak do siebie, przecież nie byłeś sprawcą ani zleceniodawcą. Po prostu się zainspirowałem tym twoim, jak powiedziałaś, bredzeniem... Wyszło zupełnie naturalnie. Wilki syte, owce całe...

– Z wyjątkiem jednej – mruknął Adam, wycierając krew w serwetę. – Zapłać za mnie. Muszę już iść.

* * *

Nie opowiedziałbym wam, dobrzy ludzie, niczego, bo z wyrwanym językiem mówić nie sposób. Nie mógłbym nawet napisać, bo tasakiem oberżnięto mi dłonie. Mogę tylko, u kościelnej kruchty, ciskać moją klechdę w wasze głowy, dostać się do nich, podawać wam moje myśli z nadzieją, że je odczytacie, rozeznacie się w nich, a i może zadziwi was, że ten żebrak takie ciekawe historie snuje. Może dołożycie więcej grosza niż zamierzaliście? Bóg wam za to zapłaci. Wasza dobroć i szczodrobliwość trzyma mnie przy bezwartościowym życiu. Oraz ufność, że może kiedyś wróci moja moc. Że objawi się już nie tylko głupim przesuwaniem przedmiotów, kradzieżami na odległość, ale sprawi, że odrośnie mi język i dłonie. Gdybyż Bóg to dał! Jeśli nie wróci moc dawna, musi mi wystarczyć nowa, o którą lata temu wypytywali mnie wysłannicy pana Ochorowicza. Idzie mi niesporo. Próbuję wejść w wasze myśli z własnymi. Nie wiem, czy mi się udaje, nikt jeszcze poza wrzuceniem mi do czapki pieniędzy, nie zatrzymał się przy mnie, by na głos powtórzyć, co mu w głowę spróbowałem wtłoczyć.

Wiem tylko, że udało mi się ten pierwszy raz, choć nie do końca. Czuję to tak bardzo, że bardziej się nie da. Furda, że na świecie są miliony ludzi i głów, a każdy człowiek ma na głowie swoje własne kłopoty. Chciałem wniknąć w umysł tego, kto skazał mnie na taki los. By zrobił coś strasznego, nieodwracalnego, by cierpiał jak ja, by poczuł karzącą dłoń losu. Myśl jest trochę jak pocisk. Może uderzyć rykoszetem. Moja tak właśnie uderzyła, a w kimś, kogo nie znam i o którym nic nie wiem, objawiła się moja dawna moc, wędrując z głowy do głowy. Poczulem, że ta osoba nad ową mocą nie zapanuje, choć ją posiada. Nieprawdopodobne, ale poczułem to gdzieś w zakamarku czaszki. Bo, jak już rzekłem, wszystko jest w głowie...

* * *

Siedziała na łóżku, a pościel wyglądała, jakby Eliza stoczyła z nią nierówną walkę. Adam przypadł do dziewczyny, złapał ją za drżące dłonie.

– Wszędzie cię szukałem – szepnął. – Co się z tobą działo?

Była zapłakana, rozczochrana i wymarznęta. Sprawiała wrażenie, że w samej halce biegała po ulicy. Bliziński próbował ją objąć, ale stawiała opór. Ściągnął płaszcz i zarzucił Elizie na ramiona.

– Dlaczego kłamałeś?

– Ja... – Adam urwał, pomny, że jeśli zaprzeczy, skłamię kolejny raz. – Kochanie, wszystko ci wyjaśnię...

– Kłamałeś, że załatwisz mi posadę. I że się ze mną ożenisz. Twój pryncypał powiedział mi, że takich jak ja to masz na pęczki.

Stary dziadyga zazdrości mi powodzenia i wieku, pomyślał gorzko Bliziński.

– Dlaczego kłamałeś? – powtórzyła Eliza. – Bo jestem głupią dziewczuchą? Bo kłamiesz każdej?

– Bo nie wiedziałem, że potraktujesz to tak poważnie.

Adama zaskoczyła własna szczerość i stanowczy ton. Godzinę temu w knajpie pana Mietka był rozedrgany jak młodzieniaszek. Właściwie jeszcze przed chwilą na widok Elizy oczy zaszyły mu zdawkowymi łzami. Niestety, uleciał gdzieś jej anturaż ponętnej kochanki. Została tylko zapuchnięta od płaczu twarz, fryzura w nieładzie, wygnieciona, tu i ówdzie przybrudzona bielizna.

– Martwiłem się o ciebie. Szukałem, wypytywałem... Drżałem z niepokoju, że stała ci się krzywda... Wydaje mi się, że cię kocham.

Ależ to było głupie zdanie! Nijak nie dało się go cofnąć. I, cóż za kuriozum, wypluł je z siebie uznany redaktor poczytnej gazety. Eliza smutno pokiwała głową.

– Kochasz mnie, powiadasz? To dlatego powiedziałeś kolegom w redakcji, że jeszcze ze dwa miesiące powysysasz ze mnie soki? Jak... Jak wampir czy... Wilkołak? A potem kopniesz mnie w tyłek i, dla odmiany, zainteresujesz się jakąś jasnowłosą dziewczoną?

Powiedział. Jasne, że powiedział. Miał świadomość bycia niezbyt lubianym wśród współpracowników, ale że te skurwysyny nie wahały się powtórzyć jego cynicznych słów Elizie? Jeszcze raz spróbował ją objąć. Popełnił błąd.

– Zostaw mnie!

Eliza nigdy nie krzyczała, a to był krzyk. Szybko przeszedł w niemal zwierzęcy skowyt. Przerażony Adam odskoczył od Elizy jak od opętanej. Dziewczyna wciąż krzyczała, siedząc na zmiętym posłaniu, tylko nie było w tym krzyku już nic artykułowanego. Sam dźwięk. Ze ściany spadł nienakręcany od wielu dni zegar. Kukułka pokracznie poturlała się po wypaczonych od wilgoci deskach, a trzask rozbitego mechanizmu utonął w wyciu dziewczyny. W kierunku Adama sam z siebie ruszył stół. Redaktor nie zdążył odskoczyć, krawędź blatu uderzyła go boleśnie w udo. Eliza nie przestawała wrzeszczeć, Adam zaczął rozumieć, że to ona przesunęła stół i rzuciła zegar. Telekineza... Ostatnio przerobił niezwykły temat z Antonim odnośnie niewygodnego świadka mordy na delegatach Rosyjskiego Czerwonego Krzyża. Teraz oglądał to paranormalne zjawisko na własne oczy i czuł na własnej skórze. Z impetem ruszyła na Adama komódka. Znowu nie wyszedł mu unik. W zderzeniu z meblem poczuł chrupnięcie obojczyka, lewa ręka zwisała mu bezwładnie i to był impuls, by nie czekać na rozwój strasznych wypadków, tylko uciekać. Wybiegł z izby wprost na rachityczne schody, w mgnieniu oka zbiegł na dół i wypadł na trotuar. Przeszło mu przez myśl, żeby kogoś wezwać. Tylko kogo? Lekarza? Księdza? Policjanta? Stróża? Nie wiedział.

Na piętrze przy akompaniamencie krzyku wyleciała szyba, wybita sypiącą iskrami na wszystkie strony kożą. Po chwili przez otwarte okno wypadła Eliza. Głuchy odgłos upadku ciała zakończył feerię dźwięków wydawanych przez biedną dziewczynę. Przerażony Adam złapał się za usta prawą dłonią, lewa ręka wciąż wisiała mu wzdłuż tułowia. Po kocich łbach spływała leniwie krew z roztrzaskanej głowy, barwiąc a to zleżałe

rzygowiny, a to resztki końskiego łajna. Adam Bliziński wrzasnął, odtańczył niepewny półobrót i wypadł na ulicę wprost pod rozpędzony powóz. Zginął na miejscu, nie wiedząc, że konie spłoszył właśnie jego wrzask.

BARBARA MIKULSKA

Jest młodą duchem babcią najwspanialszego wnuczka na świecie, Aleksandra. Jest też żoną, matką i teściową. Oczywiście również pisarką. Była nią już wtedy, gdy jeszcze żadne wydawnictwo nie opublikowało niczego jej autorstwa.

Zacząła pisać jakieś dziesięć lat temu, a przedtem była redaktorką w pewnym biuletynie, kierownikiem logistyki w dużej polsko-niemieckiej korporacji, sprzedawczynią w sklepie spożywczym i nianią. Teraz jest stypendystką ZUS.

Urodziła się w Warszawie i skończyła studia na wydziale germanistyki UW, ale od wielu lat mieszka na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej.

Polubiła portale pisarskie i jazdę na rowerze. Internet poznała całkiem niedawno. Na szczęście szybko udało jej się zadomowić w kręgach ludzi obrotnych i dzięki temu ma na swoim koncie kilka opublikowanych opowiadań w antologiach *Świąteczne wydaje* (wyd. wydaje.pl 2011), *Transgeniczna mandarynka* 2013, *Człowiekiem jestem* 2014, (wyd. Morpho), *Ostatni dzień pary 2* 2017 (Fundacja Historia Vita) oraz w magazynach „Szortal”, „Histeria”, „Brama” i „Smokopolitan”.

Pierwszą wydaną książką Barbary Mikulskiej była bajka dla dzieci pod tytułem *Myszka Hania*, która w 2017 roku ukazała się nakładem wydawnictwa BIS. W roku 2018, już w wydawnictwie Alegoria, ukazała się powieść fantasy *Łzy Boga Deszczu. Nosicielka* oraz zbiór opowiadań *Smutna dziewczyna* i druga część *Łez Boga Deszczu. Porwanie* oraz powieść fantasy dla dorosłych *Bestie*. A w 2019 ukazała się baśń dla dzieci *Spotkajmy się w Zasnem*, która wkrótce doczekała się również audiobooka.

W lecie 2020 nakładem wydawnictwa Inanna ukaże się pierwsza powieść obyczajowa *Przekupić wiedźmę. Konstancja*.

Mój, tylko mój

Dorota lubiła deszcz. Przysuwała wtedy fotel do okna, by przypatrywać się pieszym osłaniającym głowy gazetami lub torbami, psom, które – otrząsając sierść – wyglądały jak dmuchawce, czy sfrustrowanym kotom przyczajonym pod ławkami.

Lubiła też jesienne zawieruchy, gdy wiatr szarpał płaszcze przechodniów, zrywał ostatnie liście z drzew i wsuwał je pod nieszczelnymi drzwiami na klatki schodowe, oblepiał szyby samochodów, szkło sklepowych witryn.

Ale najbardziej lubiła nocne burze. Miasto wyglądało wówczas na wyludnione, a Dorota czuła, jakby była jedynym człowiekiem na świecie. Błyskawice, niczym światła na scenie, wrywały z mroku fragmenty dekoracji. Zależnie od tego, gdzie skierowała wzrok, przez krótką chwilę mogła podziwiać wyjątkowy obraz.

Poszarpany liść klonu wylądował na oknie, przykleił się jak błoniasta łapa utopca; Dorota przyłożyła dłoń z drugiej strony.

– Witaj, przyjacielu – powiedziała, a oddech zamglił szybę.

Palce zafalowały w geście pozdrowienia.

– Zostaniesz?

Liść zastygł na chwilę, a potem, porwany kolejnym podmuchem, zniknął w ciemnościach.

– Zazdroszczę ci – wyszeptała i zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć.

Była noc. Miasto odpoczywało. Obok w pokoju spał jej mąż. Obłożony obowiązkami i poczuciem winy oddychał ciężko. Może po raz kolejny przeżywał tamtą noc?

Koła fotela potoczyły się cicho po wykładzinie. Dorota włączyła lampkę przy biurku, uruchomiła komputer. Siny blask ekranu wyłowił z ciemności kontury mebli, ciemne plamy obrazów i upiorny cień ogromnego miśka.

– To mój zastępca na czas, gdy wyjadę – powiedział Andrzej parę lat temu.

Dorota podarowała mężowi maleńkiego kotka, breloczek, który miał przyczepić do kluczy. Widać był zbyt mały, by zapełnić czas i przestrzeń. A może na antypodach inaczej postrzega się te wymiary?

Kiedy Andrzej wyjechał, pustka była smutna i słodka, bo przesiąknięta pełnym obietnic czekaniem. Jeszcze tylko trzysta sześćdziesiąt cztery dni, a dom wypełni się śmiechem, ciepłem, bezpieczeństwem. I nagle okazało się, że żyją w równoległych rzeczywistościach. Jakby oddzielała ich przezroczysta, dźwiękoszczelna ściana. Siedzieli po obu jej stronach, mówili, patrzyli, ale były to tylko gesty i słowa pozbawione wyrazu. Przekaz nie docierał do odbiorcy.

Tamtego maila odkryła przypadkiem; padł jej komputer, a potrzebowała pilnie coś wysłać, teraz nawet nie pamięta do kogo. Skorzystała więc z laptopa Andrzeja. Otworzyła wiadomość, bo zamiast tematu ujrzała pękające serduszko i wylewające się łzy. Słabo знаła angielski, lecz najważniejsze zrozumiała. Włączyła drukowanie. Z każdym stuknięciem przesuwającego się mechanizmu czuła ogarniające ją zimno.

A potem się pokłócili. Śnieg zasypał przydrożne rowy, w światłach reflektorów asfalt błyszczał lodem, a czarna suknia skrzyła się sylwestrowym brokatem, gdy blask mijanych latarni rozświetlał na sekundy wnętrze samochodu.

– Wyjaśnij mi, dlaczego? – poprosiła.

Andrzej nie udawał, że nie rozumie pytania. Wpatrywał się bez słowa w przestrzeń przed nimi. Dorota też nie odważyła się otwarcie na niego spojrzeć, jedynie kątem oka zauważyła, że zacisnął dłonie na kierownicy. Kilometry uciekały, a cisza w aucie przyprawiała o duszności.

– Pojechałeś po przyszłość dla nas – nie wytrzymała w końcu – a wyszło z tego wielkie gówno.

– Czego chcesz? Przywiozłem kasę, masz mieszkanie, na koncie jeszcze trochę zostało...

– Przecież wiesz, że nie o tym mówię – przerwała mu. Czuła narastającą wściekłość. – W dupie mam to mieszkanie, w dupie mam kasę, chcę nas. Rozumiesz? NAS!

– Przestań krzyczeć.

– A co mam robić? Siedzieć cicho i udawać, że nie widzę, jak ciągle czytasz maile od niej? Że masz nową komórkę do specjalnych połączeń?

Krzyczała, powietrze aż wibrowało od gniewu. A potem świat oszalał; najpierw wirował, po kilku sekundach stanął na głowie i wreszcie zamarł.

* * *

Nocą krążyła po mieszkaniu. Patrzyła na meble, na poustawiane na blatach bibeloty i zdjęcia, które złośliwie przypominały przeszłość. Czasem zatrzymywała się w drzwiach sypialni i patrzyła na twarz męża. Był wtedy znowu jej. Tylko jej. Odnajdowała w sobie dawną czułość, a gdy docierała do niej terazniejszość, miała ochotę wrzeszczeć tak głośno, żeby z sufitu odpadała farba.

Kiedys Andrzej się przebudził. Otworzył oczy i z niepokojem wpatrywał się w ciemny otwór drzwi. Nie widział żony dokładnie, za to ona we wpadającym zza okna świetle latarni dostrzegła jego przestrach. Najpierw poczuła satysfakcję, a potem zastanowiła się, czego mógł się obawiać. Że go zamorduje? Niemal zachichotała. Ona? Na wózku?

A właściwie...

* * *

Każdy dzień wyglądał tak samo. Zabójcza rutyna. Andrzej wychodził do pracy. Na odchodne rzucał: „To do wieczora” albo „Wrócę późno”. Już nie całował jej na pożegnanie, nie patrzył w oczy. Znikał szczęśliwy, że wreszcie może uwolnić się od widoku przezroczyстых dłoni na gumowych oponach kół. Podjeżdżała do drzwi balkonowych, żeby poobserwować jego sylwetkę, gdy oddalał się w stronę parkingu. Miała wrażenie, że z każdym krokiem prostują mu się ramiona.

Zostawała sama i samotna, ale cały czas czekała. Wieczorem, kiedy gasła lampka po jego stronie łóżka, jechała do łazienki. Napełniała wannę i patrzyła przez wąskie okno, które kaprys architekta umieścił w tym niewielkim pomieszczeniu. Miało szerokość dwóch dłoni, można je było otworzyć, ale widok za nim nie przedstawiał się atrakcyjnie – stara kamienica.

Kiedy wody było dostatecznie dużo, Dorota zrzucała ubranie i wpełzała do wanny. Dzięki specjalnym uchwytem i dobudowanym stopniom mogła się czuć niezależna. Układała się tak, by móc obserwować pokiereszowaną przez czas ścianę sąsiedniego domu. W świetle latarni cegły falowały, przesuwwały się jak w jakiejś gigantycznej układance. Ciągłe zmieniające się kształty fascynowały Dorotę. Czy to jej wyobraźnia? Czy może zmęczony wzrok? A może zbyt dużo wina?

Zawsze nadchodził ten moment, gdy pojawiała się natrętna, ale bardzo kusząca myśl: zakończyć to wszystko tu i teraz? Na półce pod lustrem połyskiwała srebrzyście maszynka do golenia Andrzeja. Czy potrójne ostrze

ułatwiłoby zadanie? A może wręcz przeciwnie? Podobno w gorącej wodzie to wcale tak bardzo nie boli.

Kąpiel robiła się coraz chłodniejsza, a Dorota nie była zdolna do podjęcia decyzji. W końcu poddawała się; rozstrzygnięcia jeszcze nie będzie. Wywlekane z wody ciało stawiało bierny opór, nagle przypominała o sobie grawitacja. Kiedy kobieta lądowała wreszcie w łóżku, czuła się wyczerpana, ale w sen zapadała dzięki proszkom.

* * *

Tamtego wieczora Dorota nie wzięła do ust nawet kropli alkoholu. Andrzej przysłał jej wiadomość, że idzie z kumplami na browar. Gniew sprawił, że zawyla. Cisnęła kieliszkiem; czerwone wino spływało po ścianie jak krew. Wiedziała, że gdyby wrócił i tak siedzieliby każde w innym pokoju. Fizyczna obecność Andrzeja była jej jednak potrzebna. Mógł nie zwracać na nią uwagi, mógł spać albo czytać. Najważniejsze, że był w pobliżu. Uspokajała się wtedy, choć wystarczył dźwięk przychodzącego esemesa, by zaciskała pięści w bezsilnej złości.

Zostawiła szkło na podłodze i ruszyła do łazienki. Odkręciła kurki i zaczęła się rozbierać. Podłużne lustro specjalnie umieszczono tak, by mogła się oglądać z wysokości fotela. Powoli ściągnęła przez głowę bluzkę i rzuciła na terakotę. Czarny stanik kontrastował z białym ciałem. Uniosła ramiona, a wtedy żebra utworzyły drabinę do piersi. Zawsze była szczupła, ale teraz stała się wręcz wychudzona.

Zerknęła w stronę wąskiego okna. Ściana zafalowała, wybrzuszyła się i znowu spłaszczyła.

– Czekasz na coś? – spytała Dorota. – Marzy ci się ciąg dalszy? Właściwie... czemu nie?

Oderwała plecy od oparcia i rozpięła biustonosz. Zdjęła go powoli, zerkając raz w lustro, raz w okno. Kamienicy już nie było. Przez szybę zaglądał mężczyzna. Mrużył oczy, jakby się uśmiechał. Dorota zauważyła, że nie odrywa od niej spojrzenia. Przełknął ślinę, a grdyka poruszyła się w górę i w dół. Wyciągnął dłoń i dotknął szyby, ale kobieta wiedziała, że tak naprawdę dotyka jej skóry. Dawno nikt na nią nie patrzył w taki sposób.

– Nie – szepnęła. – Ciągu dalszego nie będzie. Odejdź!

– Dlaczego?

Dorota skrzyżowała ramiona, zasłaniając piersi. Nie czuła wstydu czy zażenowania, po prostu wiedziała, że nie może pokazać się cała. Jeśli góra

wyglądała jak worek na kości, to dół przypominał dobrze spreparowaną pomoc naukową.

– Przesadzasz, widziałem cię już nieraz.

– Bez mojego pozwolenia?

– Sama się przede mną rozbierałaś. Nie rozumiem, dlaczego teraz masz zahamowania.

– Nie wiedziałam, że na mnie patrzysz.

Cichy chichot podważał tę prawdę. Chciała się na niego rozzłościć, ale zamiast tego odwróciła wózek tyłem do okna.

– Jak masz na imię?

– A jak chciałabyś, żebym miał?

– Borys?

– Może być i Borys. Dlaczego pełniesz?

Dorota zagryzła wargi. Gdyby mogła, uderzyłaby go w twarz. Nie jeden raz, ale wiele, wiele razy. A potem patrzyłaby, jak krew ścieka mu z nosa wprost do ust, barwi zęby na czerwono, skapuje po brodzie na koszulę, na posadzkę...

– Jesteś kawał skurwysyna! Przecież wiesz dlaczego!

– Nie – odpowiedział spokojnie. – Nie wiem.

– Ty gnoju! Bo jestem sparaliżowana! Te cholerne kończyny są martwe. Nie podtrzymałby nawet ptasiego kupra, nie mówiąc o moim.

– Kuprze?

– Bydle! – syknęła i podciągnęła się na uchwyty, pokonując dwa stopnie. Na najwyższym chwilę odpoczywała, zdjęła resztę garderoby i z ulgą zanurzyła się w wodzie.

– Nie potrzebujesz tego.

Dorota nawet nie spojrzała na Borysa, sięgnęła dłonią po butelkę i wylała nieco szamponu na głowę. Starannie rozmasowała płyn, tworząc perukę z białej piany.

– Masz niemodną fryzurę – zauważył ze śmiechem, ale nie zareagowała. – Afro było na topie, gdy twoja matka umawiała się na randki.

– A ty skąd się na tym znasz?

– Znikąd. Po prostu patrzę i rejestruję pewne rzeczy.

Dorota zsunęła się w wannie, woda zalała jej twarz. Gdybym miała związane z tyłu ręce, pomyślała, nie udałoby mi się wynurzyć.

– Co byś dzięki temu osiągnęła?

Kobieta wyciągnęła ramiona i chwyciła brzeg wanny. Przetarła oczy i przyjrzała się bliżej Borysowi. Miał ostre rysy, spod przymrużonych powiek wpatrywał się w nią intensywnie. Milczała, bo sama nie знаła odpowiedzi. Może chciała, żeby Andrzej zapłakał? Poczul ból albo tęsknotę? A co jeśli byłaby to ulga?

– Myślę, że byłby zadowolony, że wreszcie się pozbył kłopotu – dopowiedział Borys.

– Spierdalaj! – krzyknęła wściekła i zaczęła gramolić się z wanny.

– Boisz się prawdy – zaśmiał się mężczyzna.

– Jakiej prawdy? – zasyczała przez zaciśnięte zęby.

– Takiej, że jesteś mu potrzebna jak wrzód na dupie. Gdyby mógł, to wystawiłby cię na śmietnik.

– A nie może? – Twarz Doroty wykrzywił grymas. Udawała, że był związany z wysiłkiem, a nie z próbą ukrycia wściekłości i łez.

– Przecież to oczywiste. Jest z tobą, bo obawia się, co powiedziałyby rodzina i znajomi.

– To, że polazł z kumplami na piwo, nie czyni go jeszcze skurwielem.

– Jesteś pewna, że chodzi o kumpli i piwo?

– A ma to jakieś znaczenie? I tak tego nie sprawdzę.

– A chciałybyś?

– Nie! – Odpowiedź zbyt szybko wyrwała się jej z ust, by mogła być prawdziwa.

Borys zachichotał.

– Sama przed sobą udajesz idiotkę. Ale jak chcesz. Ja cię do niczego nie będę namawiał.

– A co mogę zrobić? Jestem przykuta do wózka.

– Nie musi tak być. Przecież wiesz. Wystarczy, żebyś podała mi rękę...

Dorota usiadła na wózku. Zagryzła zęby i wycierała ze złością włosy. Potem cisnęła na podłogę ręcznik i bez słowa wyjechała z łazienki.

* * *

Nie spała, kiedy Andrzej cicho wsunął się do łóżka. Odwrócił się do niej plecami i wkrótce zaczął równomiernie posapywać. Odczekała jeszcze kwadrans, a potem usiadła i zsunęła się na fotel. Pod pretekstem pobierania rozrzuconej odzieży chwyciła jego koszulę i wtuliła w nią twarz. Gwałtowna fala tęsknoty ścisnęła serce: tego zapachu nigdy nie zapomni. Łączył ją ze wszystkimi pięknymi momentami w życiu,

przypominał o ciepłe i bezpieczeństwie, ale również o chwilach cudownego szaleństwa.

Nagle jej ręce opadły na kolana. Z trudem opanowała odruch, by nie odrzucić ubrania. Coś zbrukało ten ukochany zapach, jakiś zbłąkany aromat piżma i jaśminu wymazał dobrą przeszłość.

– Co robisz?

Głos męża zaskoczył ją i przestraszył. Już wiedziała, że jutro odmieni się jej życie.

– Zbieram brudy.

* * *

– Co powinnam zrobić? – spytała, patrząc w ciemny prostokąt okna.

– Daj mi rękę.

Wyciągnęła ramię i oparła dłoń o zimną szybę. Przez chwilę delektowała się chłodem, a potem powierzchnia stopniowo się rozgrzewała. Kiedy zaczęła parzyć, chciała się cofnąć, ale Borys przytrzymał jej palce.

– Jeszcze tylko kilka minut – wyszeptał. – Każdy początek jest bolesny, a dla ciebie to niemal jak powtórne narodziny.

Dorota zagryzła więc wargi i zacisnęła powieki. Otworzyła usta do wrzasku, ale cicha komenda „nie krzycz” zamknęła je skutecznie. Odniosła wrażenie, że do żył wlewają jej lawę, która rozpełza się nawet najdrobniejszymi naczynkami i wypełnia ciało, wypierając krew. Kiedy targnęły nią wstrząsy, miała nadzieję, że dłoń odklei się od szyby, a cierpienie zniknie. Tak się jednak nie stało. Ręka Borysa ścisnęła palce kobiety, nie pozwalając na chwilę ulgi. Mimo bólu tłumiącego wszelkie inne doznania, błysnęła jej myśl, że wreszcie coś czuje w nogach. Otworzyła oczy i spojrzała na sparaliżowane dotychczas kończyny.

– Tak – odpowiedział mężczyzna na niezadane pytanie. – Tylko po co?

Dorota podniosła na niego pytające spojrzenie. Ból nie był już dojmującym uczuciem, wypełniała ją euforia.

– Po co chodzić, kiedy można latać?

Kobieta miała wrażenie, że ktoś wyciągał z niej przez skórę drut kolczasty. Skuliła się, naprężając grzbiet. Usłyszała cichy trzask jakby pękającego materiału, po bokach pociekła krew, a potem poczuła, że plecy okleja jej jakaś wilgotna materia. Jednocześnie spłynęła na nią ulga.

– Odwróć się – poleciał Borys, a kiedy to uczyniła, zaczął dmuchać, jak czynią to matki, gdy chcą uśmierzyć ból rozbitego kolana.

– Co robisz? – spytała zaskoczona.

– Suszę twoje skrzydła. Rozprostuj je!

Rozwinęły się niczym żagle, a potem zwinęły. Dorota potrafiła poruszać nimi jak zwykłymi kończynami, jakby miała je od zawsze.

– Polecimy?

Borys wyciągnął rękę; bez namysłu podała mu swoją. Przecisnęła się przez wąskie okienko, a potem runęli w dół i po chwili szybowali nad uśpionym miastem.

* * *

Dorota całe życie, a właściwie od momentu, gdy przeczytała pierwszą książkę, marzyła o czymś wyjątkowym. Zastanawiała się często, dlaczego inni mają to szczęście; przytrafiają im się niesamowite przygody, cudowne miłości albo fantastyczne historie, a ona tkwi w absolutnie przeciętnej codzienności. Czasami miała wrażenie, że udało jej się zahaczyć o taki niezwykle moment, ale wkrótce okazywało się to fantasmagorią. Przyjaciółka rozpaplala powierzony w najgłębszej tajemnicy sekret, wyprawa życia zmieniała się w koszmar za sprawą insektów, a mąż... cóż mąż... lepiej nie mówić.

Teraz była całkowicie pewna, że przeżywa najcudowniejsze chwile. Nie mogła doczekać się zmierzchu i przybycia Borysa. Wydawało się jej wprawdzie, że on stale jest gdzieś w pobliżu, ale dostrzegała go dopiero po zapadnięciu zmroku. Jakby ciemność była katalizatorem koniecznym do zaistnienia resublimacji: z gazów stawał się istotą cielesną. Wtedy Dorota mogła skorzystać z jego mocy – dotyk męczyzny sprawiał, że wyrastały jej skrzydła.

Latanie nocą było niczym narkotyk dla nałogowca. Żeby skumulować energię na wieczór, sypiała w dzień, kiedy Andrzej szedł do pracy. Nie mogła się doczekać, by wysoko nad miastem smakować wilgotne chmury, by poczuć cudowny ból mięśni przy wysiłku. Czasem kręciło jej się w głowie od zbyt skomplikowanych ewolucji albo od ekscytacji. Śmiała się głośno i podejmowała absurdalne wyzwania.

Borys brał udział we wszystkich eskapadach, podjudzał ją do jeszcze większych szaleństw, cieszył się jej radością.

Dorota nie zastanawiała się, kim jest ten dziwny towarzysz ani skąd biorą się jego moce. Nie myślała też, czy i jak przyjdzie jej za to wszystko zapłacić. Starła się tylko dociec, dlaczego ją wybrał.

– Ktoś mi cię polecił – wyjaśnił jej któregoś razu, gdy siedzieli na dachu starej kamienicy. – Może nie dosłownie. Spotkałem twoją znajomą. Martę. Opowiedziała mi o pewnym weselu...

– Martę? Przecież to niemożliwe! – Dorota czuła, że zaczyna brakować jej powietrza.

Głośny śmiech Borysa odbijał się echem od fasad uśpionych domów.

– Nie bój się, tylko ja to wiem. Wiem i nie powiem! – Droczył się z nią, jakby była dzieckiem. – Ale ty też wiesz i nie powiesz, prawda?

– Lećmy, chcę do domu.

* * *

Marta była taka śliczna, wiotka i urocza. Nic dziwnego, że Andrzej nie mógł oderwać od niej spojrzenia. Wszystkie druhny wyglądały pięknie, ale tylko ona miała to coś. Przyciągała wzrok mężczyzn, z udawanym zachwytem przysłuchiwała się rozmowom, od czasu do czasu rzucając pełne podziwu uwagi. Dorota czuła, że zaraz zwymiotuje. Miała ochotę kopnąć męża, potrząsnąć nim, ujawnić oszustwo. Zauważyła, że Marta sporo pije i coraz głośniej chichocze, a Andrzej jej wtóruje.

Dorota wyszła na zewnątrz. Oparła się o szeroką betonową barierkę odgradzającą taras od stromej, kilkumetrowej skarpy. W dole połyskiwała rzeka.

Usłyszała śmiech i odwróciła się.

– Tu jesteś! – Andrzej puścił łokieć towarzyszki.

– Szukałeś mnie?

Mężczyzna nie zdążył odpowiedzieć. Marta spojrzała na Dorotę, uśmiechnęła się i poprosiła:

– Przyniósłbyś drinki dla mnie i dla twojej żony?

Kiedy zostały we dwie na tarasie, zapadła cisza. Słyszać było tylko szum samochodów dobiegający z pobliskiej szosy. Marta podeszła do barierki, przechyliła się i zaśmiała głośno.

– Wysoko tu! – Wskoczyła na balustradę i rozsiadła się jak w salonie, zakładając nogę na nogę. – Zapalisz? – Z mikroskopijnej torebeczki zawieszanej na srebrnym łańcuszku wyciągnęła paczkę Lucky Stricke'ów.

Dorota skinęła głową i przysunęła się do dziewczyny. Przypaliła papierosa i kilka razy zaciągnęła się mocno, aż końcówka rozbłysła czerwono-pomarańczowym blaskiem. A potem chyba zawiał wiatr. Mocno,

niespodziewanie. Sypnął żarem w twarz Marty. Dziewczyna odruchowo szarpnęła głową do tyłu i straciła równowagę.

Dorota wychyliła się za barierkę, by spojrzeć w dół. Po jej ustach błąkał się uśmiezek. Dopiero gdy w drzwiach na taras pojawił się Andrzej, zaczęła krzyczeć.

To był straszny wypadek.

* * *

– Nie znoszę wesel. Nigdy ich nie lubiłam, a teraz jeszcze bardziej. Musimy iść?

– Przecież wiesz. To moja siostra.

– Wszyscy będą się na mnie gapić. – Błękitna suknia pasowała do koloru oczu Doroty.

– I tak się zawsze gapią. – Andrzej wyprostował przekrzywioną muszkę.

Kiedyś powiedziałaby: „I tak się zawsze gapią, bo mam najśliczniejszą dziewczynę na świecie”. Teraz tylko zapytał: – Gotowa? Możemy już ruszać?

* * *

– To obrzydliwe babsko kleiło się do Andrzeja bez żadnego wstydu – relacjonowała. – Zachowywała się obleśnie. Myślałam, że szlag mnie trafi na miejscu. Gdybym mogła...

Dorota nagle urwała. Przez chwilę łąpała powietrze otwartymi ustami. Gniew nie pozwalał jej się uspokoić.

– Przecież możesz – szepnął Borys, muskając jej ucho ustami.

Dorota drgnęła i odsunęła się. Gdyby to nie był Borys, zareagowałaby inaczej. Po krótkiej chwili dotarł do niej sens wypowiedzi. Poczowała ogarniającą ją falę euforii.

– Możesz. – Podszepty Borysa docierały w głąb jej duszy, kotwiczyły szponami w zabliźnionych ranach, rozdrapywały je na nowo. – Możesz. Wszystko możesz.

– Naprawdę? – Spojrzała uważnie na towarzysza.

Borys chwycił jej dłoń i skinął z powagą głową.

– Pomożesz mi?

– Oczywiście, po to się zjawiłem.

* * *

Śledziła Andrzeja. Z perwersyjną przyjemnością obserwowała jego spotkania, a potem zapisywała tych, którzy zabierali jej męża. Koledzy od brydża, Joanna z biura, Magda – szefowa, kumple od piwa. Dziewczyna z parkingu przed biurowcem, która urwała lusterko w jego samochodzie. Sprzedawczyni ze spożywczaka obok ich domu.

Lista rosła z każdym dniem, a Dorota wpatrywała się w nią i aż bladła ze złości.

– Co z nimi zrobimy?

– A co chciałabyś zrobić?

– Unicestwić! Zniszczyć! Sprawić, by cierpieli!

– Więc zrób to, jeśli potem poczujesz się lepiej.

– A co ty z tego będziesz miał? – spytała go kiedyś.

– Twój spokój sprawi mi radość.

Borys ujął jej ręce w swoje dłonie i przytulił do nich twarz. Delikatnie oswobodziła się i powiedziała poważnie:

– Proszę, nie rób tego więcej. Kocham Andrzeja. Nikt inny nie jest w stanie mi go zastąpić.

– Ale ja jestem Andrzejem – wyszeptał mężczyzna, pochylając nisko głowę.

– Nigdy! – wrzasnęła histerycznie. – Nigdy więcej tak nie mów! Bo cię zniszczę tak jak tamtych z listy.

Krzyk obijał się o ściany domów, dudnił w kominach kamienic, niósł skowyt po pustych ulicach.

– Już dobrze, przestań. Proszę. Musisz zachować siły, żeby walczyć. Opracowałaś już plan?

Głos Borysa dawał ukojenie, działał jak balsam na jej skrzywdzoną duszę. Dorota powoli się uspokajała.

– Oddychaj głęboko.

Kobieta posłusznie nabierała powietrza i wypuszczała je, wentylując płuca i umysł.

– To jak się za to zabierzemy? – spytał, kiedy zobaczył, że powrócił jej spokój.

– Jeszcze nie obmyśliłam dokładnego planu, ale to musi wyglądać na wypadki: jakieś wtargnięcie na jezdnię, upadek...

– Masz.

– Co to? – spytała lekko rozkojarzona, patrząc na garść kolorowych drażetek.

– To ci pomoże zyskać siły, a potem zobaczymy.

* * *

– Już wiem.

– Co wiesz?

– Jak się pozbyć wszystkich, a przynajmniej większej części. Nad resztą zastanowię się później.

– No jak?

– Teraz ci nie powiem, muszę jeszcze parę rzeczy przemyśleć.

– Pomóc ci w czymś?

– Nie. Sama sobie poradzę. Trzeba poczekać tylko do drugiego lipca.

– Tak? A co wtedy?

– Wtedy będą urodziny Andrzeja.

* * *

Przed klatką schodową zebrał się spory tłumek. Ludzie rozmawiali, śmiali się, palili papierosy. Czekali. Wreszcie gospodarze przybyli. On wysoki, opalony, w jasnym lnianym garniturze. Ona w zwiewnej długiej sukience. Podmuchy wiatru podrywały lekki materiał, odsłaniając chude, bezwładne nogi.

– Witam miłych gości! – Andrzej uklonił się z szerokim uśmiechem. – Tę imprezę zawdzięczamy pomysłowości mojej żony. Na parkingu stoi autobus, który zawiezie nas na miejsce.

Z grupy padło kilka pytań, ale mężczyzna zbył je jednym słowem : „Niespodzianka”.

Wsiedli do autokaru. Wózek Doroty złożono, a ją samą mąż przeniósł na rękach i usadził w fotelu z przodu. Starannie zapiął jej pasy, a ona z wdzięcznością pogłaskała go po policzku.

Na miejsce dotarli po dwóch godzinach. Spory dom na odosobnionej działce oferował ciszę i spokój. Zakłócili je śmiechami i ogólnym rozgardiaszem. Wystraszone wiewiórki zmykały w popłochu poza zasięg krzyków, ptaki uciekły już wcześniej, jak tylko dotarł do nich warkot samochodu.

Panowie zajęli się otwieraniem okiennic i wnoszeniem skrzynek z zaopatrzeniem, panie przecierały stoły, by wystawić wiktuały i napoje.

Kierowca autobusu został odprawiony – miał wrócić w niedzielę wieczorem.

– Cudnie tu. Taka głusza, naprawdę można odpocząć. – Magda, szefowa Andrzeja, uniosła oszronioną szklanekę i umoczyła usta w zielonkawym drinku. – Nigdy mi nie mówiłeś, że masz takie чудо.

– To prezent od rodziców Dorotki na naszą rocznicę – wyjaśnił Andrzej.

– Rozumiem. Takie gniazdko dla dwojga.

Dorota wychwyciła dźwięczącą w głosie kobiety zazdrość. Odwróciła wózek i podjechała do zastawionego stołu.

– Głusza głuszą, ale widzę, że solidnie zabezpieczyłeś daczę przed złodziejami. – Kolega od brydza ruchem głowy wskazał okna. – Okiennice, kraty... Miałeś jakieś włamanie?

– No, wynieśli wszystko. Na szczęście dopiero się tutaj urządzaliśmy. Więc kazałem zainstalować kraty. Wtedy powybijali nam szyby, no to kolejnym krokiem były okiennice i solidnie oblauchowane drzwi. Teraz płacę jednemu takiemu z wioski stówę na miesiąc, żeby pilnował.

– I co? Pilnuje? Siedzi tutaj, jak was nie ma? – spytał kumpel z siłowni.

– No co ty, chory jesteś? On pilnuje swoich koleś, żeby nie okradali powierzonej pod jego opiekę willi.

Goście wybuchnęli śmiechem. Dorota z obrzydzeniem spoglądała na spocone, zaczerwienione twarze. I pocieszała się myślą, że już niedługo... Zgromadzili się tu ci, przez których Andrzej odsuwał się coraz bardziej, przez których miał coraz mniej czasu dla niej.

– Andrzejku, nie pij tyle – poprosiła cicho. – Zaszkości ci.

– Daj spokój, Dorota! – Joanna, koleżanka z biura, chwyciła Andrzeja pod ramię. – W końcu to jego urodziny, powinien się świetnie bawić.

Zakręciła mężczyznę, odciągnęła w odległy kąt. Dorota zagryzła wargi, a potem zerknęła na zegarek. Dochodziła północ.

– Pomożesz mi? – spytała jednego z gości.

Wyszli do kuchni. Kobieta dyrygowała, pokazywała, gdzie mrozi się szampan, a gdzie schowała tort. Razem ustawili kieliszki na tacy, zapalili świece i zgasili światło. Goście bez proszenia odśpiewali *Sto lat*, a potem Dorota wręczyła mężowi kieliszek i ucałowała go serdecznie, gdy pochylił się nad nią.

Jeszcze chwilę trwało ożywione zamieszanie, potem ludzie porzysiadali się, żeby wypić szampana i zjeść tort.

– Jezu, Dorota, jest mi niedobrze – zajęczał Andrzej i zasłonił dłonią usta.

– Szybko, na taras – zakomenderowała kobieta. – Wy zostańcie! – Gestem powstrzymała dwóch kolegów spieszących na pomoc. – Nic mu nie będzie, wyrzyga się i wróci.

Noc była orzeźwiająco chłodna. Andrzej przechylony przez barierkę wymiotował, Dorota mocowała się z deską, którą barykadowała drzwi. Jeszcze na wiosnę prosiła męża, żeby przygotował dla niej półkę pod kwiaty. Teraz wstawiła ją tuż pod klamkę, a drugi koniec zaklinowała w szparze między deskami tarasu.

Patrzyła na okno od kuchni. Słaby blask urodzinowej świeczki rozjaśniał ciemność za szybą. Za chwilę płomień powinien sięgnąć serwetek rozłożonych wokół, a potem ogień spłynie na obrus nasączony olejem, a dalej zapewne obejmie stół... Dorota zawsze lubiła wiejskie kuchnie, dlatego też na dacy wszystkie meble były wykonane z drewna.

– Pomóc ci w czymś? – Borys zmaterializował się koło niej tak niespodziewanie, że aż drgnęła.

– Nie, dziękuję, jak widzisz, radzę sobie doskonale.

Demoniczny chichot zrujnował ciszę lasu i okolicy. W odległej wsi psy dołączyły z wyciem do tych niesamowitych dźwięków. Ludzie w izbach zegnali się znakiem krzyża. To nic, że dwudziesty pierwszy wiek, to nic, że telewizja i internety... Złe nigdy nie przestaje wojować.

Kiedy goście runęli do wyjścia, instynktownie odsunęła się, ale po chwili się uśmiechnęła. Solidne drzwi chroniły ją od zgromadzonych wewnątrz. Andrzej nieprzytomny leżał na tarasie. Pomyślała, że dobrze byłoby go odciągnąć od ognia. Rozwinęła skrzydła i schwyciła męża pod pachy.

Z daleka podziwiała wyreżyserowany przez siebie spektakl. Jęzory ognia wyskakiwały z domu przez wypalone szczeliny, płomienie zachłannie oblizywały ręce, które wystawały między kratami. Dłonie darły osmalonymi pazurami powietrze, błagając o ratunek. Niemiłosierny żar bił od budynku, mimo to Dorota zdecydowała się podleciec bliżej. Napawała oczy widokiem ciał podrygujących w dziwacznym tańcu, podziwiała moc ognia, który trawił z równą pazernością meble, dywany i mięso. Smród smażonej ludzkiej tkanki wywoływał mdłości. Jakaś postać w aureoli płonącego ubrania i włosów miotła się pośrodku pokoju. Wybite okna dostarczały wystarczająco dużo tlenu, by pożar nie wygasał, a ludzie nie dusili się od dymu. Wycie rozcinało nocne powietrze, ale szybko przerodziło się w charkot. A potem nastąpiła cisza, którą przerywał tylko trzask płonącego drewna. Łomot zapadającego się dachu wybrzmiał finalnym akordem.

Później żywioł nie był już tak imponujący. Dogasał w lekkim poszumie płomieni.

Kiedy przybiegli ludzie ze wsi, nie było już ani kogo, ani czego ratować. Stali w milczącym kręgu, błogosławiąc w duchu niebios za łaskę, że to nie ich dotknął taki los. Ktoś przykrył skuloną na ziemi kobietę przesiąkniętym smrodem potu waciakiem, ktoś inny cucił nieprzytomnego mężczyznę.

– Podobno źle się poczuł i wyszli na taras. – Jakiś obcy mężczyzna snuł szeptem wymyśloną opowieść. – Kiedy zauważył ogień, chwycił żonę na ręce i wyniósł ją z dala od płomieni. Jej wózek, a właściwie resztki, widać tam, pod tymi zwęglonymi legarami. Reszta była tak pijana, że nie zdołali się wydostać.

Kiedy przyjechała policja, a zaraz potem pogotowie, miejscowi powtarzali tę historię, jakby sami byli świadkami wydarzeń. Dorota łkała rozpaczliwie.

Andrzej niczego nie pamiętał. Zalegał w opiekuńczych ramionach sanitariuszki.

* * *

Czego ta baba chce? Andrzejowi nic nie jest! Zabierz ręce, ty szantrapo! Nie musisz słuchać – jego serce bije, bije dla mnie.

Doigrałaś się, wredna babo...

Któregoś dnia chciałam wsiąść do pociągu metra i musiałam chwilę poczekać, bo z otwartych drzwi wyjeżdżał wózek inwalidzki. Spojrzałam na siedzącą w nim dziewczynę i poraziła mnie widoczna na jej twarzy wściekłość. Przyciszonym głosem perorowała coś swojemu towarzyszowi, który popychał ją spokojnie i uśmiechał się przepraszająco do ustępujących im miejsca ludzi. Nic nie odpowiadał, co tylko zwiększało gniew kobiety. Pomyślałam wtedy, że wylewa na swojego opiekuna frustrację za to, co ją spotkało, a on się z tym godzi, bo może miał jakiś udział w tym, że została kaleką? A może po prostu był dobrym człowiekiem?

– Barbara Mikulska

PIOTR SAWICKI

Rozsmakowany w obskurnych okładkach i nieprzyzwoitych treściach zbieracz filmów eksploatacji. Miłośnik wszelkich odmian horroru, szczególnie uwielbieniem darzący podgatunek animal attack. Członek filmowej grupy Lobotomia Video, która w swej twórczości nawiązuje do tradycji bezpardonowego kina klasy B. z czasów kaset VHS. Autor popularnego leksykonu *Odrażające, brudne, złe. 100 filmów gore* oraz monografii Akiry Kurosawy. Za „świętą trójcę” autorów horroru literackiego uważa Deana Koontza, Jamesa Herberta i Guya N. Smitha – temu ostatniemu wraz z grupą Lobotomia Video złożył fanowski hołd filmem *Dewiacje leśnej bestii*. Okazjonalnie publikuje teksty filmowe na portalach Animal Attack i Film.org.pl.

Karyna

1

Staniszewski wsłuchiwał się w dźwięk mechanizmu bramy garażowej, która unosiła się, przybliżając go do upragnionej chwili. Na moment zmrużył oczy, gdy fotokomórka, wyczuwając ruch, włączyła wszystkie światła w pomieszczeniu. A potem rozmyty, mglisty, kanciasty kształt w ciągu kilku sekund zmaterializował się na jego oczach.

– Oto i ona – rzekł Masłowiak, potwierdzając nadzieje Staniszewskiego. – Pół roku temu robiłem jej przegląd. Sprawna, jakby dopiero opuściła fabrykę. Prawie niejeżdżona. Tatko zrobił nią góra dwadzieścia kilometrów, nie więcej. Zresztą w tamtych czasach nie chciał się z nią za bardzo lansować. A później, jak przyszło nowe, miał już inne fury.

Masłowiak z uznaniem pogłodził połyskującą w świetle lamp soczyscie czerwoną karoserię.

– Chcesz tym jeździć czy kupujesz w celach kolekcjonerskich? – zapytał.

Staniszewski sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał pytania. Oczarowany, wlepił wzrok w obiekt swoich marzeń. Kanciasta bryła nadwozia, jakże inna od opływowych karoserii współczesnych samochodów, wydawała mu się najbardziej stylowym kształtem na świecie. Prostem, niemającym w sobie nic szpanerskiego, konkretnym i męskim. Nawet dziś prezentowałyby się na polskich drogach całkiem gustownie. Tylko czerwony kolor wyzywająco kontrastował z funkcjonalną skromnością ergonomii, przydając autu pewnej zadziorności. Staniszewski od razu dojrzał w samochodzie odzwierciedlenie cech charakteru, których zawsze mu brakowało – pragmatyzmu i siły przebicia. Świadomość, że już za moment wejdzie w posiadanie ostatniego prawdziwie polskiego auta w historii, była jak balsam na jego szczerze patriotyczną duszę.

– Wiem tylko, że chcę ją mieć – odpowiedział w końcu na pytanie Masłowiaka.

– Nie radziłbym szaleć – odrzekł tamten. – Na swoje czasy to był wóz pierwsza klasa, ale dzisiaj... Wiesz, jak jest, ludzie jeżdżą jak świry w tych swoich torpedach ciągnących trzysta na godzinę. Tym możesz wyciągnąć sto dwadzieścia pięć, ale radziłbym nie przyspieszać powyżej osiemdziesięciu, bo karoseria odfrunie. Na międzynarodowe eskapady się nie nada, ale po mieście pojeździć, zakupy zrobić, rodzinę do kina zawieźć... Czemu nie? Tylko obchodź się z nią ostrożnie. Wiesz, jak z kobietą.

– Wiem, co kupuję – westchnął Staniszewski, nie spuszczać oczu z upragnionego cudu motoryzacji. – Jest jedyna w swoim rodzaju.

– Lepiej bym tego nie ujął. FSO wyprodukowało tylko dwadzieścia egzemplarzy Syreny 110. Byłoby więcej, ale Wrzaszczyk zaczął pertraktować z Włochami. Zarznięto produkcję Syren na rzecz szmelcu na licencji Fiata. I zamiast jeździć pojemnym polskim autem, człowiek musiał składać się na pół w gównianym Maluchu. Nie chcę myśleć, kto za tym stał ani kto ile komu dał pieniędzy. Wszystko chuj strzelił.

Masłowiak podszedł do samochodu i uniósł tylne drzwi do bagażnika.

– Spójrz – powiedział. – Jedno z pierwszych aut na świecie posiadających nadwozie typu *hatchback*. I to nie jakąś tandetę, ale klasyczne, stylowe nadwozie zaprojektowane przez artystę z warszawskiej ASP. Przesuwane tylne fotele. Pomyśl tylko, że polskie rodziny mogły jeździć na wczasy tym, a nie puszką na śledzie.

Przytaczane przez Masłowiaka fakty były doskonale znane Staniszewskiemu. Jednak lektura motoryzacyjnych serwisów, a możliwość podziwiania konstrukcyjnych zalet Syreny 110 własnymi oczami, to dwie różne sprawy.

Masłowiak zachęcił do otwarcia przednich drzwi, co też Staniszewski z przyjemnością uczynił. Skromne wnętrze auta korespondowało z jego zewnętrznym wyglądem. Płócienne fotele obite po bokach syntetyczną skórą, anachroniczna deska rozdzielcza z wbudowanym lampowym radiem Kasprzaka, błękitna kierownica przypominająca kształtem pokrywę rondla. Przekładnia i skrzynia biegów zostały przeniesione z poprzedniego modelu Syreny, ale reszta nie ustępowała najnowocześniejszym samochodom osobowym tamtych czasów. Poza tym wóz miał duszę, przy czym nie była nią tylko urokliwa patyna cechująca unikalny zabytek. Staniszewski na moment poczuł, jakby obcował z żywą istotą. Oczywiście wiedział, że było to tylko złudzenie spowodowane faktem, iż oto spełnia się jego marzenie o posiadaniu tego wyjątkowego auta.

– Ponoć do dnia dzisiejszego przetrwały tylko trzy sztuki Syreny 110 – powiedział. – Zastanawia mnie, w jaki sposób pański ojciec wszedł w posiadanie tego egzemplarza.

– Dużo by gadać – Masłowiak podrapał się po głowie, jakby wraz z łupieżem zamierzał z niej wyskrobać wspomnienia. – Wtedy, a był to rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty, ojciec przyjaźnił się z jednym ważnym figurantem z FSO nazwiskiem Skrobulski. I temu Skrobulskiemu, który ponoć wniósł jakąś pierdółkę do konstrukcji auta, przypadł w udziale egzemplarz. Koniecznie w kolorze socjalizmu, czyli czerwonym. Zapragnął też, aby ten jego osobisty samochód różnił się pewnymi szczegółami technicznymi od pozostałych sztuk tego samego modelu. Tak więc ta syrenka, którą oglądamy, nie jest jedną z trzech. Jest absolutnie jedyna.

– O jakież to „szczegóły techniczne” chodziło?

– O czerwonym kolorze już wspomniałem. Druga sprawa to jednolitrowy silnik czterosuwowy – reszta egzemplarzy, jak zapewne wiesz, miała dwusuwowy. Trzeci szczegół to kierunek otwierania kłapy silnikowej.

Masłowiak zademonstrował.

– Jak widzisz, w tym samochodzie unosi się przednia część pokrywy. Standardowo w Syrenach 110 kłapa podnosiła się od tylnej strony.

– Rzeczywiście! – Staniszewski był zaintrygowany, gdyż w ogóle nie spodziewał się, że interesujący go samochód będzie aż tak unikalny. – Czy ta ostatnia zmiana była wymuszona faktem zamontowania innego silnika?

– Nie sądzę. Model 110 już w swojej standardowej postaci miał możliwość zainstalowania czterosuwowego silnika.

– I co się stało z tym Skrobulskim?

– To jest właśnie najciekawsze. Krótco po tym, jak na produkcję 110 zapadła kłamka, odpalił auto w zamkniętym garażu. Oczywiście zmarł, zatruty spalinami. Jego żona, co zrozumiałe, nie miała ochoty oglądać dłużej samochodu. Odstąpiła więc Karynę za symboliczną kwotę mojemu ojcu, a on przetrzymał ją w tym garażu przez pięćdziesiąt lat, aż do swojej śmierci w dwa tysiące szesnastym roku. A teraz ja sprzedaję ją tobie.

– Karynę? Nie spotkałem się chyba z taką nazwą.

– To nazwa nadana przez Skrobulskiego. Tak sobie ochrzcił ten samochód i już. – Masłowiak odruchowo spojrział na zegar, wiszący na ścianie garażu.

– Cóż, mam nadzieję, że nie zniechęciłem cię tą smutną historią do sfinalizowania transakcji kupna? Jak już wspomniałem, wóz prawie nie ma przebiegu – mój staruszek niechętnie do niego wsiadał, a i mi on psu na

budę. Za rok stuknie mi sześćdziesiątka, chyba czas zacząć pozbywać się starych wspomnień. Ale wolę go odsprzedać komuś takiemu jak ty, pasjonatowi motoryzacji, niż wypierdolić na kompostownik.

Staniszewski sięgnął do kieszeni po portfel. Odliczył ustaloną wcześniej z Masłowiakiem kwotę i wcisnął mu do ręki. Po chwili siedział już za kierownicą swojej Karyny.

2

Zapadał zmierzch, gdy Staniszewski opuścił posiadłość Masłowiaka. Mocno ściskając w dłoniach twardą jak kość słoniowa kierownicę zakupionego właśnie auta, wsłuchiwał się w przyjemny, intensywny warkot silnika. Niespiesznie przemieszczał się ulicami miasta, które z wnętrza staromodnej kabiny wydawało się przesadnie futurystyczne. Wyglądało jak rozświetlony neonami i wypełniony opływowymi pojazdami miejski moloch z filmu science-fiction.

Samochód prowadziło mu się nadzwyczaj dobrze; nowatorskie jak na lata sześćdziesiąte rozwiązania dotyczące zawieszenia sprawdzały się bez zarzutu, sprawiając, że Staniszewski w ogóle nie odczuwał dyskomfortu siedzenia w parcianym fotelu. Niezależnie od niskiego przebiegu i dokonywanych przez właściciela przeglądów, wydawało się wręcz niebywale, że pięćdziesięcioletni samochód zachował aż tak dobry stan techniczny. Równie dziwne było to, że stary Masłowiak tak rzadko używał swego niezwyklego nabytku, który przejął po tragicznie zmarłym koledze. Czy mogła mieć na to wpływ śmierć Skrobulskiego? A może po prostu nie chciał eksploatować tak unikalnego auta, jakim był czerwony egzemplarz rzadkiej Syreny 110 z czterosuwowym silnikiem i zamykaną od przodu pokrywą silnikową? Staniszewski rozumiał oba powody i sam zaczynał się zastanawiać, z jaką częstotliwością będzie używał Karyny, by za bardzo jej nie zajechać. Wszak możliwość zakupu części do takiego auta graniczy z szansą na spotkanie yeti.

A przecież marzył o podobnym samochodzie nie od dziś. Zafascynowany historią polskiej motoryzacji nieraz fantazjował, jakby to było przejechać się, na przykład, Syreną Sport, prototypowym cudem myśli technicznej naszych inżynierów. Niestety, dobrze wiedział, że taka przejażdżka nie zaistnieje nigdy poza sferą jego wyobraźni – wejście w posiadanie egzemplarza Syreny Sport było niemożliwe. Syrena 110 była niemal równie

nieosiągalna. Gdy zatem ujrzał wiszącą na OLXie ofertę sprzedaży wraz ze zdjęciem, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Jak zdążył się zorientować, ogłoszenie było kilkakrotnie odnawiane, co świadczyło o niskim zainteresowaniu użytkowników serwisu. *Ludzie się nie znają – myślał. – Widzą w nazwie ogłoszenia słowo „syrena” i myślą, że to stara skarpeta niewarta siedmiu tysięcy.* Tyle bowiem chciał Masłowiak za auto, tyle też Staniszewski – wzięty programista – był w stanie jednorazowo zapłacić.

Tak czy inaczej, od dawna nie czuł się równie szczęśliwy. Wjeżdżając na podjazd swojego domu, wiedział, że po przekroczeniu jego progu będzie miał o czym rozmyślać. Zostawiając auto w garażu, pełen uznania, raz jeszcze obejrzał je ze wszystkich stron i przejechał dłonią po rubinowej karoserii. Była tak gładka, iż miał wrażenie, że dotyka kobiecej skóry.

Karyna.

Powtórzył w myślach ową rubaszną nazwę, a właściwie imię samochodu. Uderzyło go to, jak bardzo pierwszy właściciel auta, Skrobulski, musiał być do niego przywiązany, skoro obdarował syrenę kobiecym imieniem. Cóż za tragiczne zrzędzenie losu, że właśnie ono stało się przyczyną jego śmierci!

Staniszewski postanowił sobie, że będzie uważał. Żadnego wsiadania do Karyny w zamkniętym garażu. Najpierw za każdym razem będzie otwierał bramę, a dopiero potem wsiadał do Karyny! Tak sobie postanowił i tak będzie.

3

– Coś ty kupił, skurwysynu?! – donośny głos Martynty, jego małżonki, wypełnił przestrzeń domu, gdy wparowała przez drzwi wejściowe godzinę po powrocie męża.

– Uspokój się – wydusił z siebie Staniszewski, wychodząc jej na powitanie.

– To cenny nabytek. Wszystko ci wytłumaczę.

Spodziewał się takiej reakcji, zwłaszcza że nie konsultował z żoną zakupu. Bał się jednak, iż nie uzyska od niej zgody, a przecież bardzo pragnął mieć to auto. Dlatego stwierdził, że najłatwiej będzie przekonać Martynę już po fakcie, gdy będzie mogła na własne oczy przekonać się do zalet Karyny...

– Proszę, wytłumacz – warknęła, a jej nalana, purpurowa twarz wykrzywiła się w złości. W wieku trzydziestu lat wciąż miała facjatę pokrytą gęstym trądzikiem i teraz, gdy grymas napiął jej skórę, kilka przyszczy pękło, zalewając tłuste oblicze strumykami ropy. Trump, gdyby był

obecny przy ich rozmowie, od razu postawiłby tam rafinerię. – Wyłumacz, dlaczego chcę wstawić do garażu naszą Hondę, a tam stoi jakiś jebany gruchot, w dodatku czerwony jak światło w tureckim burdelu?

– Skarbie, ten samochód jest jedyny w swoim rodzaju. To zabytkowy prototyp. Nie ma drugiego takiego na całym świecie! Zejdź do garażu i przyjrzyj się precyzji jego wykonania!

– Pewnie kosztował w chuj siana.

– Jedyne siedem tysięcy. – Spojrzał na nią błagalnie w nadziei, że zaakceptuje jego marzenia.

– Wypierdalaj mi z tym złomem przed furtkę! – wrzasnęła. – A jutro go oddaj. Nic nam po takim gruchocie.

– Ale...

– Chcesz przedyskutować sprawę kredytu?

– No dobra, już dobra.

Schodził do garażu rozgoryczony. Chciało mu się płakać, ale wiedział, że i tak niczego nie wskóra. Martyna rzadko dawała za wygraną, a poza tym trzymała go w garści. Nie protestował, gdy zachciało się jej przeprowadzki z mieszkania w bloku do rodzinnego domu. Nie protestował, gdy wzięła kredyt na niego, godząc się na spłacanie połowy z własnej pensji. Dopiero po fakcie uświadomił sobie, jak głupio zrobił. Gdyby nagle strzeliła focha i, nie daj Boże, odeszła, musiałby spłacić calutką kwotę sam.

Dobrali się jak w kosa z kamieniem. On był spokojnym z natury i drobnym z postury, nieśmiałym informatykiem w okularach; ona – pyskatym, przepychającym się wszędzie łokciami krówskiem. Nie pociągała go zbyt, ale lepszy rydz, niż nic. Nawet nie pamiętał momentu, w którym zaczęli być parą. Chyba nie był wtedy całkiem trzeźwy. Mimo wszystko miał świadomość, że jej apodyktyczność w jakiś sposób pcha go przez życie, że bez niej by się pogubił. Zakup Karyny... eee, Syreny 110... był pierwszą poważniejszą decyzją od czasu ich ślubu, jaką podjął samodzielnie. To miała być niespodzianka. Tymczasem – jak to powiedział Masłowiak? – wszystko chuj strzelił.

Otworzył bramę od garażu i dojrzał stojącą na chodniku za ogrodzeniem Hondę Accord – samochód, którym jego czcigodna małżonka wozila swą tłustą dupę. Myśl, że za chwilę wystawi Karynę na zewnątrz, na zimno, podczas gdy jakiś szmelc z importu będzie spoczywał sobie spokojnie w czterech ścianach garażu, była mu wstręt, ale cóż miał na to poradzić? W małżeństwie trzeba czasem pójść na kompromis. Bał się tylko, że syrence

w ciągu nocy coś się może stać. Nie zniósłby, gdyby jakiś kot lub ptak narobił na karoserię.

A może by tak zamknąć garaż, wsiąść do Karyny, przekręcić kluczyk w stacyjce?

Głupia idea zakołatała w jego głowie tak nagle, że aż się jej przestraszył. Chyba po raz pierwszy od czasów szkolnych, gdy koleżanka z klasy odrzuciła jego zaloty, pomyślał o samobójstwie. I to z powodu w gruncie rzeczy tak błahego, jak kłótnia o samochód. Przeszły go ciarki, bo przez chwilę naprawdę był skłonny to zrobić. Pomyślał o Skrobulskim. A jeśli jego śmierć nie była wcale tragicznym wypadkiem, lecz samobójstwem?

Cóż, niewiele to zmieniało.

Wyprowadził syrenę na zewnątrz z dużą ostrożnością, by nie zahaczyć nadwoziem o bramę wjazdową. Nim wsiadł do znieawidzonej hondy, raz jeszcze przejechał opuszkami palców po szkarłatnej karoserii Karyny. Tym razem z czułością. I to taką, z jaką nigdy nie dotykał swej obmierzłej żony.

4

Nocą nawiedził go przerażający sen. Siedział w kabinie swej Syreny 110 i nie mógł złapać oddechu. Silnik pracował, a on dusił się spalinami, lecz nie dlatego, że znajdował się w zamkniętym garażu, bo tłem incydentu był jakiś bliżej niezidentyfikowany lasek. Dusił się, ponieważ Martyna wpuściła przez szparę w oknie szlauch przytwierdzony drugą stroną do rury wydechowej. Drzwi auta były zatrzaśnięte, więc szamotał się bezradnie, a ona przykleiła do szyby swą nalaną, szkarłatną, pryszczatą twarz i, śmiejąc się, zaczęła wyciskać o nią swe ropiejące syfy. Żółta, cuchnąca ropa spływała z wolna gęstymi strumieniami po nieskazitelnie dotąd czystej szybie Karyny, a on dusił się, wdychając zarówno spaliny, jak smród pękających parchów swej drogiej żony. – Karyna! – wrzasnął ostatkiem sił.

Nagle silnik zgasł i ze szlauchu, przez który Martyna wtłaczała do środka spaliny, zaczęła płynąć ożywcza ambrozja. Zapach łąkowego kwiecia wypełnił przestrzeń kabiny. Staniszewski złapał oddech i poczuł, że ponownie nabiera sił, które teraz zaczęły rozpychać jego organizm niczym hel balon. I wtedy się obudził.

Zerwał się ze snu pełen energii, jaką rzadko odczuwa człowiek zaraz po przebudzeniu. Ścianę jego pokoju oświetlał żółty blask latarni. Staniszewski jednym susem zeskoczył z łóżka, by natychmiast znaleźć się przy oknie,

skąd mógł dobrze widzieć stojącą za ogrodzeniem, mieniącą się niczym królowa w złocistym blasku ulicznych świateł, Karynę.

Poczuł niesłychany zew w sercu. Nie zastanawiając się specjalnie, co właściwie chce zrobić i po co, opuścił pokój. Zaczął błądzić po domu bez bliżej określonego celu, poddając się rozpierającej go sile. Zszedł na parter, mijając ulokowaną piętro niżej sypialnię żony, z której dobiegało głośne chrapanie. Przypomniało mu ono twarde dźwięk silnika Karyny, za sprawą czego wewnętrzna energia gwałtownie nim szarpnęła, a w jego głowie zaczął krystalizować się cel. Obłądny zew wpraw zawiódł go do kuchni, gdzie Staniszewski przetrząsnął wszystkie szuflady, zaciskając palce na każdym widelcu i nożu, a potem odrzucając pochwycone przedmioty byle gdzie i byle jak. Na jego obliczu malował się bezwiedny obłąd, a z kącików ust zwisały strumienie kleistej śliny, gdy, zostawiwszy wybebeszone kuchenne szuflady, skierował się do piwnicy, a następnie do garażu.

Tam znalazł to, czego szukał: sporych rozmiarów młotek z haczykowatym rąbem zaprojektowanym do wrywania gwoździ. Zacisnął palce na drewnianym trzonku. Narzędzie leżało w dłoni idealnie. Sprawiało, że Staniszewski czuł się teraz jak rycerz dzierżący oręż. Spojrzał nienawistnie na hondę żony – przyczynę jego wczorajszej goryczy – a potem z całej siły zamachnął się młotkiem, rozbijając przednią szybę. Nawet się nie zdziwił, że ma w sobie tak dużo siły, iż udało mu się tego dokonać za jednym zamachem.

Szyba wsypała się do środka kabiny. Ostry dźwięk tłuczonego szkła odbił się po ścianach garażu z taką siłą, że każdy człowiek czułby przez kolejne pół minuty dzwonięcie w uszach. Każdy, ale nie Staniszewski. Rozochocony swym zuchwałym wybrykiem uśmiechnął się figlarnie pod nosem, po czym stłukł przednie reflektory hondy. Następnie zaczął walić z całej siły w przód karoserii, robiąc mnóstwo wgnieceń i trzy dziury. Z przyklejonym do twarzy, półświadomym uśmiechem, podziwiał swoje dzieło, wsłuchując się w narastający odgłos zbiegania po schodach.

Tup-tup-tup-tup. Ulubione klapki Martyny, o twardych podeszwach z trocin, uderzały w stopnie schodów prowadzących do piwnicy. Wzrok Staniszewskiego powędrował ku futrynie, którą po kilku sekundach wypełniło tłuste, słoniowe cielsko jego żony. Miała na sobie ulubioną piżamę w azalie (wszystko w tym domu wziętym na jego krechę miała „ulubione”) i świeciła swym czerwonym pyskiem, jakby była światelkiem stopu na przejściu dla pieszych. *Jeśli twierdziła, że czerwień Karyny jest jak światło*

w tureckim burdelu, to ona sama wygląda jak dupa pawiana – pomyślał figlarnie Staniszewski i natychmiast poczuł przypływ dumy, że w ogóle odważył się tak pomyśleć. Wraz z przypływem dumy wróciła mu chęć do działania.

– Ty jebany skur... – zdążyła wysyczeć Martyna nim młotek, wbity rąbem prosto między jej oczy, na zawsze zakończył małżeńskie spory Staniszewskich.

Jej gałki oczne skierowały się do wewnątrz, układając się w groteskowego zeza. Zrobiła dwa kroki w tył i osunęła się na podłogę po framudze drzwi. Staniszewski znów rozejrzał się po garażu. Tym razem jego uwagę zwróciła wiertarka.

Miał przed sobą przecież całą noc.

Podłączył narzędzie do prądu i nałożył najgrubsze wiertło. Uklęknął przy ciele żony i wywiercił w jej głowie dziurę. Krew wymieszana z mózgiem zachlapała mu przedramiona, a czarne, posklejane włosy oplotły się dookoła wiertła jak wodorosty wokół śruby łodzi. Staniszewski przyłożył oko do wywierconego otworu. Ujrzał czarną próżnię. Cóż, nigdy nie wątpił, że ta dziwka ma pusto we łbie. Włożył tam kołek rozporowy, a potem wywiercił w głowie Martyny jeszcze jeden otwór. I kolejny.

Kilka minut później, gdy jej bania była już podziurawiona jak ser szwajcarski, powypychany gwoździami i kołkami rozporowymi, Staniszewski wstał i oddalił się o kilka kroków, by z dystansu spojrzeć na swoje dzieło. Wytężył myśli. Próbował sobie przypomnieć, jaki kryło przekaz. Wydawało mu się, że po wzięciu do rąk wiertarki przystąpił do pracy z jakąś artystyczną wizją. Coś chciał tym światu oznajmić. Co?

A chuj, nie pamiętał. Cisnął wiertarką prosto w upstrzony dziurami i udekorowany badziewiem czerep Martyny. Pod wpływem uderzenia młotek wypadł spomiędzy jej oczu odsłaniając kolejny okrwawiony otwór. Głowa osunęła się i zaliczyła glebę, tryskając krwią z ust, nosa i uszu.

Staniszewski machnął ręką. Ta kobieta to już przeszłość. Ten dom również.

Otworzył bramę garażu. Na do widzenia odkręcił bak hondy i wrzucił do środka zapaloną zapałkę. Samochód dość szybko zajął się płomieniami, ale Staniszewski zdążył wydostać się na zewnątrz, zanim ogień rozprzestrzenił się po całym garażu. W dłoniach ścisnął kluczyki od Karyny. Ubrany tylko w slipki, z ciałem usmolonym i zachlapanym organicznymi płynami eksmałżonki, zainstalował się w kabinie swej syrenki. Kochanej syrenki.

Oddychał spokojnie, również wtedy, gdy w garażu rozległ się huk eksplozji. Nawet się nie obejrzał. Latarnia przed nim rzucała wyzywający blask, noc kusila obietnicami, a jego serce wypełniało poczucie obowiązku. Wciąż nie wiedział jakiego, ale Karyna wiedziała. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył. Nie myślał o pozostawionym za sobą domu, który właśnie zaczynały trawić płomienie.

5

Prezes Rokicki odczuł lekkie zachwianie równowagi. Błędnik zawodził go ostatnimi czasy, a stawy nie cieszyły się taką elastycznością, jak dawniej. Były chwile, że żałował, iż nie ożenił się i nie doczekał dzieci, które zaopiekowałyby się nim na stare lata. To właśnie była jedna z takich chwil: gdy w środku nocy spacerował z łazienki do sypialni, odnotowując ze zgrozą, że chodzi mu się coraz ciężiej. Z drugiej strony – rodzina kosztuje, a jemu nie w smak było dzielenie się z kimkolwiek majątkiem. Wolał zabrać wszystkie pieniądze do grobu.

Nie brał pod uwagę traktowania ludzi w inny sposób niż jako opłacanych wykonawców i podwykonawców różnych zleceń. Płacił gosposi za robienie zakupów i kochance za usługi (ostatnio sprowadzające się głównie do masowania pleców). Może powinien wynająć jakąś nocną dyżurną, która pomoże mu chodzić do kibla i z powrotem? Albo kupić elektryczny wózek do przemieszczania się na siedząco?

Jeszcze nie było z nim tak źle. Po chwilowym dyskomforcie odczuł wyraźną poprawę i teraz powoli, lecz konsekwentnie zmierzał do sypialni. Nacisnął klamkę. Cholera, to nie te drzwi. Kolejne. Na co dzień używał trzech z trzydziestu pomieszczeń swojej luksusowej rezydencji, w związku z czym, choć mieszkał tu od dobrych dwóch dekad, wciąż zdarzało mu się zabłądzić w jej korytarzach. Szczególnie nocą.

Cóż, nie była to zbyt duża cena za izolację od świata. Za to, że nie musiał oglądać tego całego plebsu, gnieźdzącego się za ogrodzeniem. Tych wszystkich nieudaczników żyjących od pierwszego do pierwszego i ciulających na lichą emeryturę. Udziały we Fiacie, Daewoo, Volvo i Mercedesie upiększały jego starość. A tych marnych groszy, które dostawał od ZUS-u z tytułu pracy w PRL-owskim FSO, nawet nie zauważał na koncie.

Gdy w końcu dostał się do sypialni, natychmiast odniósł wrażenie, że w pomieszczeniu jest jakoś jaśniej. Coś, jakby reflektor, świeciło prosto

w okno, zmuszając go do zmrużenia oczu. Rokickiemu bardzo się to nie podobało. Ogrodzenie było oddalone o dobre pięćdziesiąt metrów od domu, zatem żadne światło dobiegające od ulicy nie powinno walić w okno tak mocno. No, chyba że jakieś dzieciaki kupiły halogenowy reflektor, by trochę powkurwiać znieawidzonego Sknerusa McKwacza.

Z tym że była druga w nocy. O tej porze dzieciaki śpią.

Wzrok Rokickiego powoli przyzwyczajał się do jasności. Prezes doczłapał do łóżka, uklęknął na nim i wyjrzał przez okno. To, co zobaczył, wytrąciło go z równowagi nie mniej skutecznie niż szwankujący błędnik.

Na zewnątrz, oddalony od domu jakieś dziesięć metrów, stał samochód z włączonymi przednimi światłami skierowanymi wprost na okno. Rokicki nie był w stanie rozpoznać marki, bowiem oślepiający blask sprawiał, że widział jedynie ostre kontury wozu. Zresztą nie marka była tym, co najbardziej go interesowało. Jak i kiedy intruz zdołał wjechać na posesję odgrodzoną od świata żelbetonowym murem i automatyczną bramą ze stali? Okna w sypialni były dźwiękoszczelne więc Rokicki nie zdziwił się, że nie usłyszał odgłosu silnika. Ale dlaczego nie zareagowały nań Alfa i Romeo – dwa rottweilery strzegące posiadłości? Zawsze w nocy biegały po posesji luzem.

Rokicki jeszcze bardziej zmrużył oczy i nawet zrobił „daszek” z dłoni, by wyłapać jak najwięcej szczegółów z widoku na zewnątrz. Wyteżył wzrok, aby dostrzec, w jakim stanie znajduje się brama.

– Żeż kurwa – zaklął. – Jak to możliwe?

Brama była sforsowana. Dosłownie – wyglądała, jakby przejechał po niej czołg. Leżała niemal wprasowana w ziemię, wyrwana uprzednio z żelbetonowych słupków. Rokicki raz jeszcze przyjrzał się samochodowi, by ustalić, czy aby nie jest to pojazd pancerny. Jednak nic z tych rzeczy. Normalny wóz osobowy. Jego kształt z czymś się wprawdzie Rokickiemu skojarzył, ale raczej nie z czołgiem.

Skurwiel stał bezczelnie pod jego domem i świecił w okna. Prezes nie zamierzał tego tak zostawić. Sięgnął po telefon komórkowy i wykręcił numer na policję.

– Włamanie na posesję – oznajmił, usłyszawszy głos z drugiej strony. – Jan Rokicki, Zjazdowa 1.

Gdy odłożył telefon, zaczął wciągać kalesony. Tak łatwo gnojowi nie daruje, o nie. Gdy miał już na sobie kalesony i podkoszulek, rozpoczął przeszukiwanie szuflady biurka. Wygrzebał zakupionego niedawno

Walthera P99 i pudełko z amunicją. Pozwolenie miał od trzydziestu lat, jednak nigdy dotąd do nikogo nie musiał strzelać. Ale teraz chyba sobie pofolguje. Mieć siedemdziesiąt pięć lat, gnata w szufladzie i nigdy nikogo nie upierdolić? Jest okazja, trzeba korzystać. Raz człowiek żyje.

Rokicki poczłapał na ganek z wyciągniętym przed siebie waltherem. Zamierzał sprzątnąć intruza z zimną krwią, a potem powiedzieć policji, że zrobił to w obronie własnej. Zmrużył oczy i zaczął powoli iść przed siebie, celując bronią w szybę auta. Stało ono z wyłączonym silnikiem, wciąż świecąc reflektorami w fasadę domu, a Rokickiemu wydawało się, że nigdy nie widział jaśniejszych świateł.

Jeszcze chwila. Jeszcze kilka kroków, aż będzie mógł dojrzeć za szybą zarys kierowcy. A wtedy wpierdoli mu kulę prosto w...

Nagle poczuł skurcz w gardle. Wygląd samochodu z czymś mu się bowiem skojarzył, ale dopiero z upływem kolejnych sekund zaczął sobie uświadamiać z czym. Ten klasyczny, smukły przód, ta rzutka karoseria, przypominająca charta... Przetarł oczy ze zdumienia. Zdawało mu się, że między dwoma blado świecącymi reflektorami mignęło logo FSO.

– To niemożliwe! – wrzasnął. – Ciebie już nie ma! Zabiliśmy cię!

Nacisnął spust. Huk wystrzału zagłuszył brzęk, z jakim kulka odbiła się od szyby, nie wyrządzając jej żadnej szkody. Rokicki strzelił jeszcze dwukrotnie, jednak z równie jałowym skutkiem.

Kierowca włączył silnik. Ten zagrzmiał jak ryk tygrysa, po czym przeszedł w serię regularnych kaszlnięć przypominających złośliwy rechot. Rokicki pobladł. Tylko jedna rzecz na świecie wydawała taki dźwięk: czterosuwowy silnik od Syreny 110.

Oddał jeszcze jeden strzał, choć nie spodziewał się efektu. Nie miał bowiem wątpliwości, iż oto ma przed sobą upiora. Mściwe widmo perfidnie uśmierconej motoryzacji, które wróciło po to, aby go dopaść. Czerwone jak socjalizm. Czerwone jak krew. Szyderczo zamrugało światłami, rozkołysało silnik tak, że zabrzmiał niczym przeciągły okrzyk wojowniczego barbarzyńcy, i ruszyło prosto na niego.

Policjanci Kamiński i Biedziak jechali wzdłuż ulicy Zjazdowej. Była to wąska asfaltowana aleja, której pobocza obrosły krzewami tak szczelnie, iż nie było widać rozciągających się za nimi pól. Obydwaj zawitali w tej okolicy po raz pierwszy w życiu. Wiedzieli tyle, że na końcu alei mieści się rezydencja jakiegoś nowobogackiego, który na początku lat dziewięćdziesiątych dochrapał się fortuny na prywatyzacji zakładów

motoryzacyjnych. Nigdy nie zawracał głowy policji, więc ta nie musiała do niego jeździć. Gdy Kamiński i Biedziak dostali od dyspozytora cynk, że w rezydencji odbywa się ponoć włamanie, z radości aż przybili pionę. Dobrze tak bogatemu chujowi. Teraz, jadąc na interwencję, robili, co mogli, żeby się spóźnić. Kamiński prowadził radiowóz z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Żywili szczerą nadzieję, że gdy dotrą na miejsce, będzie po wszystkim.

W końcu jednak ujrzeli światła. Cholerny pałacyk – bo tak należało nazwać dom prezesa – puszył się na końcu alei, każąc się pierdolić okolicznej biedocie. Ogrodzenie przypominało mury niedużego zamku i policjanci z początku zdziwili się, że nie ma w nim bramy. Gdy podjechali nieco bliżej, wszystko stało się jasne. A właściwie... niejasne.

– Ty, co mogło przewrócić takie wrota? – Kamiński pierwszy zauważył wgniecioną w glebę palisadę stalowych prętów.

– Spójrz tam! – wrzasnął Biedziak, wskazując palcem na rozgrywającą się w oddali scenę.

Pod domem stał jakiś samochód i oświetlał fasadę domu. Jasny strumień padał wprost na jedno z okien dolnej kondygnacji. W pewnym momencie z domu wyszedł starszy pan w kalesonach – najpewniej właściciel – i z wycelowaną bronią kroczył w kierunku auta.

– Niech to jasny chuj – zaklął Kamiński i dodał gazu, lecz koło radiowozu zaklinowało się między prętami ogrodzenia.

– No to utknęliśmy.

– Wsiadka! – zarządził Biedziak.

Policjanci zaczęli wygrzebywać się z radiowozu, a gdy wreszcie im się udało, padł pierwszy strzał.

– Myślisz, że mamy trupa? – rzucił Kamiński.

– Staremu chyba przypomniała się wojna.

Prezes oddał kolejne dwa strzały w kierunku auta.

– Ożeż... – Kamiński dobył broni. Biedziak uczynił to samo i obaj zaczęli biec ile sił w kierunku zdarzenia. Byli pewni, że w kabinie samochodu zastaną dogasającego trupa z dwiema albo i trzema kulami w głowie. No, w najlepszym wypadku ciężko rannego. Pewną satysfakcję dawało im to, że będą mogli zatrzymać prezesa za zabójstwo. Bogaty nie bogaty – od sprawiedliwości się nie wymiga.

Rokicki wypalił raz jeszcze i wtedy ujrzeli coś dziwnego. Bardzo dziwnego. Samochód ruszył prosto na starego, jednocześnie rozwierając na

oścież klapę od silnika. Zderzak podciął nogi Rokickiego i staruszek poleciał do przodu, lądując wprost na pracującym silniku. Wtedy klapa zatrzasnęła się, przytrzymując wierzgające rękami i nogami ciało oligarchy. Następnie ponownie uniosła się i opadła. I jeszcze raz, i kolejny – pracowała niczym szczęka olbrzymiego aligatora, bezlitośnie miażdżąc starcze kości, podczas gdy wirujący silnik wciągał obezwładnione ciało jak sokowirówka marchew. Policjanci podbiegli już na tyle blisko, by móc przyjrzeć się makabrycznym szczegółom zajścia. Widzieli roztrzęsione w odruchu bezwarunkowym nogi, znikające stopniowo w gardzieli auta, słyszeli odrażający trzask kruszonych kości.

– Nie kojarzę – rzekł Kamiński. – Co to za marka?

– Widzisz to?

Biedziak wskazał palcem na rurę wydechową. Z bulgotliwym odgłosem szwankującej hydrauliki wydalala ona pozostałości po tym, co samochód właśnie strawił. Wylatywały z niej strumienie spienionej krwi oraz zwały zmielonego mięsa. Ludzkiego mięsa.

Gdy z bogatego przedsiębiorcy pozostała jedynie krwawa breja na trawniku, samochód cofnął się, po czym wykonał obrót niemalże o sto osiemdziesiąt stopni. Blask reflektorów oślepił zaskoczonych policjantów. Wóz łypał świecącymi oczami jak wilk, który upatrzył nową zdobycz.

A potem ruszył do ataku.

Policjanci rzucili się do ucieczki, nie mieli jednak najmniejszych szans z Syreną 110. Wóz staranował ich błyskawicznie, pozostawiając na trawniku poturbowane i dogorywające ciała.

Wyjazd z posesji zagradzał radiowóz nieszczęśników, którego opony utknęły w prętach powalonej bramy. Również on nie stanowił dla Karyny najmniejszego problemu. Rozpędzona do najwyższej prędkości syrena wjechała w wóz policyjny, odpychając go o kilkanaście metrów, aż uderzył w przeciwległy pas drzew. Natychmiast stanął w płomieniach, a gdy Karyna pomknęła ulicą Zjazdową, jakby odpowiadała na zew samego szatana, eksplodował.

6

Staniszewski obudził się za kierownicą swej Syreny 110 piętnaście po dziesiątej. Potwornie bolała go głowa i zupełnie nie miał pojęcia, w jaki sposób znalazł się tu, gdzie był: poza miastem, na odludnym poboczu jakiejś

leśnej drogi. Najwidoczniej urwał mu się film. Tylko jakim cudem, skoro nie wypił nawet odrobiny alkoholu? Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, była naznaczona dziką wściekłością twarz Martynty, nakazującej mu wywlec przed dom, a następnie zwrócić wymarzony, kupiony za niezwykle okazyną cenę samochód. O ile sobie przypominał, wypełnił polecenie żony bez najmniejszego szemrania. Co stało się potem? W głowie Staniszewskiego świeciła wielka biała plama historii, gdyż za cholerę tego nie wiedział. Najwidoczniej z rana wsiadł w Karynę, by wypełnić żelazną wolę małżonki, to znaczy odwieźć auto do Masłowiaka. W drodze musiał się źle poczuć, zatem zjechał do lasu i przysnął za kierownicą. Tylko dlaczego był w samych slipkach i wyglądał, jakby właśnie opuścił ubojnię? I skąd ten ból głowy? Czyżby migrena, której nigdy dotąd nie miewał?

W lusterku wstecznym mógł dojrzeć szosę, po której mknęły samochody. Z nawigacją zainstalowaną w smartfonie powinien szybko dotrzeć do miasta lub przynajmniej najbliższej stacji benzynowej, gdzie zamierzał ukoić zmęczenie kubkiem gorącej kawy. Odpalił silnik i dał wsteczny. Gromki, rytmiczny dźwięk silnika sprawił, że poczuł się znacznie lepiej. Po raz pierwszy, odkąd nabył Karynę, włączył radio.

Minęło kilka chwil, zanim lampowy wzmacniacz się nagrzał. Ze starych głośników popłynęły najpierw szумы i trzaski, w następnej zaś kolejności dźwięki muzyki. Staniszewski rozpoznał w nich stary szlagier *Bal na Gnojnej* w aranżacji Staśka Wielanka i Kapeli Czerniakowskiej. Wyjeżdżając na szosę, pokręcił gałką – udało mu się złapać inną stację, która nadawała nie mniej klasyczny przebój: *Biedroneczki są w kropeczki* Katarzyny Sobczyk. Na tym poprzestał; skoczny bigbit harmonijnie zgrywał się z dźwiękiem silnika, przywracając mu humor.

Chwilę później syrena sunęła zwawo po gładkiej nawierzchni. Staniszewski rozpędził auto do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. W końcu czuł, że prowadzi samochód; jazda Karyną, w odróżnieniu od podróżowania mydelniczką jego małżonki, nie miała bowiem pierwiastka nudnego luksusu. Była angażująca. Była przeżyciem. Niestety, spontaniczna radość kłóciła się w jego głowie ze smutną świadomością, że to już ostatni raz, bo dziś jeszcze zwróci Karynę i nie ujrzy jej już nigdy więcej.

Wraz z kolejnymi pokonywanymi kilometrami smutek ustępował miejsca irytacji, irytacja negacji, a negacja gniewowi. Emocje kotłowały mu się pod czaszką na podobieństwo wzburzonej rzeki, która wypłukiwała stamtąd resztki logicznych myśli. Dociskając pedał gazu, bardziej dawał się nieść fali

instynktu niż świadomości celu. Nie słyszał już radia, które w tej chwili podawało wiadomość o dwóch szokujących zdarzeniach, jakie rozegrały się na przedmieściach Warszawy: pożarze domu jednorodzinnego, z którego wydobyto zwłoki brutalnie uprzednio zamordowanej Martyny S., oraz dziwnym incydencie w posiadłości milionera Wojciecha R., gdzie odnaleziono spalony radiowóz i ciała dwóch policjantów. Czuł tylko, że musi jechać jak najszybciej i jak najwścieklej, aby zrobić coś, co jeszcze zostało do zrobienia.

7

Słońce sięgało zenitu. W Wołominie zaczynało się gorące popołudnie. Radny Piórkowski dopił swoją kawę ze Starbucksa. Był niezmiernie szczęśliwy, że zorganizowany przez niego Marsz Równości nie zostanie zakłócony przez złą pogodę. Poza tym trzydziestostopniowy upał będzie można wykorzystać jako argument za ociepleniem klimatu, bowiem Piórkowski pod manifestację LGBT chciał podpiąć protest przeciw emisji CO₂.

Miał siedemdziesiąt dziewięć lat. Już dwadzieścia lat temu postanowił, że jeśli do osiemdziesiątki nie dostanie się do sejmu, porzuci politykę na rzecz plewienia ogródka. Żeby zaprezentować się bardziej nowocześnie, kandydował z ramienia nowej lewicowej partii, której nazwy w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć. Ot, skleroza starcza. W wieku lat siedemdziesięciu pięciu zaczął występować publicznie w różowych podkoszulkach i nawet ogłosił się homoseksualistą, chociaż nim nie był; zresztą dawno już przestał odczuwać jakikolwiek popęd seksualny. Niemniej trzeba było iść z duchem czasu. Prawdę mówiąc, gdzieś miał ten cały ruch emancypacji ciot i wojowania ze smogiem, ale gotów był osiąść pierwszego z brzegu konia, żeby tylko dopchać się do wielkiej polityki. Nawet trojańskiego. Dlatego zorganizował we własnym mieście marsz równości i dlatego zaraz tam pójdzie wygłosić przemówienie. Nawet założył na tę okazję koszulkę z Gretą Thunberg.

Podpierając się laską, wyszedł ze Starbucksa. Próbował sobie przypomnieć i ułożyć w głowie treść przemówienia. Coś o czasach swojej młodości, gdy wstyd było być pedałem, i o postępie, jaki dokonał się od tamtych lat. I o tym, że „wspaniale być tu razem z wami”.

Wkroczył na jezdnię, nie oglądając się, czy coś nie jedzie. Wiedział przecież, że na czas marszu ta część miasta została wyłączona z ruchu.

Wprawdzie jakiś pojazd właśnie wyjechał zza winkła i mknął w jego stronę, ale Piórkowski szedł przed siebie, w ogóle się tym nie przejmując. Samochód na pewno wyhamuje, żeby go przepuścić, kierowca przecież nie będzie chciał potrącić staruszka o lasce.

Tylko kątem oka spojrział na jadący samochód. Uczucie *déjà vu* dopadło go w mgnieniu oka. Ten wzór nadwozia – gdzieś już go chyba...

Nie zdążył dokończyć myśli. Rozpędzona Syrena 110 trzasnęła w niego, rozbryzgując wiotkie ciało niczym bakłażan. Głowa, część tułowia i prawa ręka przeleciały przez dach i wylądowały za samochodem; lewa ręka i nogi odskoczyły gdzieś na bok. Wnętrznosci wały się po ulicy w promieniu kilkunastu metrów, a treść jelitowa upstrzyła witryny pobliskich sklepów brązowymi smugami

Syrenka cofnęła się na wstecznym i tylnym kołem zmiażdżyła klatkę piersiową denata, przy okazji bezczeszcząc nadrukowane na koszulce gniewne oblicze Greta Thunberg.

8

Staniszewski dociskał gaz do dechy. Gdzieś w odmętach jego świadomości mignęło spostrzeżenie, że chyba właśnie rozjechał staruszka na przejściu dla pieszych. Bardzo szybko jednak zagłuszył je okrzyk euforii. Takiego pomieszania endorfin z adrenaliną jeszcze w jego głowie nie było. Pruł już powyżej setki, wsłuchując się jedynie w dźwięk silnika, rytmiczne dźwięki bigbitu i jakiś nieartykułowany głos, a właściwie instynkt, który nakazywał mu nie zwalniać nacisku na pedał gazu.

Niemal automatycznie zmieniał biegi i połykał kolejne zakręty. Przez kilka minut mknął wyłączonymi z ruchu ulicami, ignorując znaki zakazujące przejazdu i wymachujących lizakami krawężników.

Po pokonaniu czwartego z kolei zakrętu ujrzał wielobarwny tłum ludzi wypełniający całą szerokość jezdni. Szli w kierunku, skąd nadjeżdżał, niosąc w górze tęczowe flagi i wymachując wibratorami. Mieli na sobie kolorowe fatałaszki i nieśli transparenty z różowymi serduszkami i kolorowymi napisami, których Staniszewski przy tej prędkości nie był w stanie odczytać. Na czele pochodu dwóch chudych czosnków w rurkach, z włosami ufarbowanymi na różowo i turkusowo, zwarło się w długim i namiętym pocałunku; trzymali tekturę z napisem „Palcie zioło zamiast węgla”.

Na liczniku nagle skoczyło sto czterdzieści, a Staniszewski mógłby przysiąc, że nie miał na to żadnego wpływu. Noga sama, poruszona jakimś bezwiednym skurczem, kopnęła pedał gazu, dociskając go do granic możliwości. Pędząc z pełnym furii rykiem czterosuwowego silnika, Karyna zdążyła jeszcze na moment obrzucić tłuszczę pogardliwym światłem swych reflektorów.

Na pierwszy ogień poszło dwóch ćpunów domagających się zamknięcia polskich kopalń. Spotkanie pierwszego stopnia z maską Karyny raz na zawsze zakończyło ich mrzonki.

Ciało jednego z młodzieńców pofrunęło bezwładnie na maszerujący tłum, przygniatając do ziemi trzy osoby. Głowa drugiego przylgnęła do szyby syreny, po czym zsunęła się wraz z niższymi partiami ciała prosto pod koła, te zaś w ułamku sekundy na zawsze zespoliły chłopaka z tekturowym transparentem. Trzask pękających kości i chlupot wylewanych trzewi przebiły się przez dźwięk rozochoconego silnika Karyny.

W pierwszej chwili tłum był zbyt oszołomiony, by wpaść w panikę. Nim idący nieco dalej uczestnicy marszu zorientowali się w sytuacji, Karyna wbiła się w zgromadzenie, taranując kolejnych szesnaście osób. Pogruchotane ciała odskakiwały na wszystkie strony i niczym kamienie z katapulty powalały innych maszerujących. Jedne ze zwłok uderzyły głową w okno kamienicy na pierwszym piętrze; wybiły szybę, nadziały się na kawałek szkła i zawisły w dół nogami przystrojonymi w tęczowe getry.

Tłum rozpiezchł się bezładnie, krzycząc wniebogłosy. Wnet wszyscy zapomnieli o miłości i tolerancji; zaczęła się walka o przetrwanie, w której silniejsi tratowali słabszych. Jakiś obkolczykowany grubas w slipach, z dwudziestoma tatuażami i błękitnym irokezem na głowie wepchnął pod koła Karyny młodą kobietę. Widząc to, jej partnerka próbowała wepchnąć grubasa, jednak dwa ciosy pięścią w twarz ocuciły ją z amoku i po chwili leżała rozjechana obok kochanki. Niemniej grubas zdążył przedłużyć swe życie tylko o kilka sekund, bowiem szybko znalazł się między uniesioną w górę klapą a silnikiem Karyny. Straszliwa mechaniczna paszcza nie mogła nie docenić walorów tak tłustego ciała. Miażdżyła je zatem i mieliła, wciągała do swych silnikowych trzewi, które zasysały ludzki tłuszcz prosto do baku, a zmielone mięso i krew kierowały do rury wydechowej, skąd były wydalone serią rytmicznych chlupnięć. Z bakiem wypełnionym po brzegi ludzkim tłuszczem Karyna nabrała jeszcze większego wigoru do mordy. Rozpędziła się do prędkości, o jakiej nie marzyli najzuchwalsi inżynierowie

z FSO, po czym wjechała w uciekający tłum z siłą eksplodującego trotylu. Nastąpiło prawdziwe wymieszanie płci, jak w mikserze, i nie sposób było odróżnić geja od lesbijki, bowiem cała ta ludzka masa rozbryzgiwała się dookoła niczym jakiś krwawy fajerwerk. Zmiażdżone, zniekształcone ciała o twarzach wykrzywionych spazmami bólu i rozpaczony tańczyły w powietrzu w rytm potwornego requiem – obłąkańczego ryku czterosuwowego silnika.

Pogrom był bezprecedensowy. Stosy trupów zasłaly ulicę na podobieństwo krwawego kobierca. Koła Karyny, o oponach gęsto już pokrytych masą mózgową i poskręcanyimi jelitami, niestrudzenie dobijały tych, którzy dawali jakiegokolwiek znaki życia. Jedynie ci, którym udało się czmychnąć do pobliskich bram, wspiąć się na balkony lub okna, byli poza zasięgiem rozjuszonego auta. Z przerażeniem obserwowali odbywającą się w dole masakrę.

Ale i im nie dane było ująć z życiem. Dopełniwszy krwawego dzieła Karyna zatrzymała się i przy okazji zmiażdżyła z trzaskiem czyjąś głowę, z której mózg wydostał się równie wdzięcznie jak miąższ ze zgniecionej orzecha włoskiego. Silnik syreny przestawił się na miarowe pyrkanie. Zaczęło ono powoli narastać, czemu towarzyszyło uwalnianie do atmosfery ogromnych ilości dwutlenku węgla. W ciągu niespełna minuty poziom CO₂ wielokrotnie przekroczył unijne normy.

Niedoszłe ofiary, obserwujące obmierzły spektakl z wysokości balkonów i zza uchylonych bram kamienic, zamarły ze zgrozy. Takiego obrotu sprawy nikt się nie spodziewał; największym koszmarem, z jakim dotąd zetknęły się ich organizmy, było sojowe latte z glutenem.

Ludzie sinieli i wymiotowali, gdy ich oskrzela wypełniały się smogiem. Niektórzy, ulegając halucynacjom, skakali sobie wzajemnie do gardeł; inni, nie mogąc znieść męczeństwa powolnej śmierci, rzucali się z balkonów prosto pod koła Karyny. Reszta pomarła w ciągu kilku zaledwie minut.

Czerwona Syrena 110 sunęła władczo po tym przeraźliwym cmentarzysku. Za nic miała majestat śmierci, jej koła obcesowo bezczęściły bezwładne ciała. W pewnym momencie jakiś biedak poruszył się po tym, jak zbrodniczy samochód przejechał obok niego. Człowiek ten miał pecha odbić się we wstecznym lusterku syreny. Karyna cofnęła się i najechała tylnym kołem na szyję nieszczęśnika. Krwawy rzyg z gardła ofiary zbryzgał srebrzystą felgę.

Minutę później Karyna dotarła do wylotu długiej ulicy i wyjechała na skrzyżowanie. Widząc to, przechodnie cofali się z wymalowanym na twarzach przerażeniem. Nawet drogówka nie ośmieliła się interweniować. W jakiś magiczny sposób samochód wyszedł z zamieszania bez szwanku; nie było na nim widać najmniejszego zadrapania czy wgniecenia. Nagle zza winkła wyjechała koparka. Jej operator, Wilczyński, obserwował cały incydent z pobliskiej budowy i postanowił, że powstrzyma rozszalałą syrenę – w końcu dysponował pojazdem większym i nowocześniejszym. Nakierował łopatę tak, by opuścić ją na dach syreny, gdy tylko znajdzie się w odpowiedniej od niej odległości. Jednak Karyna jakby przewidziała jego zamiary. Ruszyła napędem na cztery koła i niczym torpeda pomknęła po jezdni prosto na ślamazarny buldożer. Wilczyński zdążył tylko zakląć, nim jego koparka przyjęła druzgocący cios, pod wpływem którego wystrzeliła w powietrze, zakoziołkowała i grzmotnęła w pobliską galerię handlową, wybijając w jej frontalnej ścianie wielką dziurę. Do niepoliczonych ofiar tego dnia doszło kolejnych siedem.

Niezaczepiana już przez nikogo Karyna spokojnie wyjechała z miasta.

9

Godzinę później Staniszewski znów obudził się z bólem głowy. Ze snu wyrwał go głos radiowego spikera. Nie poznawał okolicy, w której się znalazł. Stał gdzieś w krzakach, po prawej stronie miał śmietnik, a przed sobą, po drugiej stronie spokojnej uliczki, ogrodzenie jakiejś fajansiarskiej willi. To wszystko nijak nie przypominało lasu – ostatniego miejsca, w którym pozostawił wspomnienia.

Radio trajkotało jak nawiedzone. Ręka Staniszewskiego sięgała już, by je wyłączyć, lecz w ostatniej chwili cofnęła się jak poparzona. Wystarczyło do tego jedno zdanie wypowiedziane przez radiowy głos:

Biegli ustalili, że samochód to Syrena 110. Jej produkcji zaprzestano w 1966 roku. Do dziś przetrwało zaledwie kilka sztuk tego modelu.

Zaraz potem inny głos, należący do jakiejś wystraszonej kobiety:

– Wjechał w pokojową manifestację i zaczął rozjeżdżać bydło... bzzz... zajebeł moją kochankę... bzzz... Sylwia, gdziekolwiek teraz jesteś, słuchaj: bierz na chatę twoją głowę do przyszłych minetek!

Następnie było trzydzieści sekund muzyki. Po niej powrócił głos prezentera:

– Przypominamy, że w Mazowieckiem trwa obława policyjna. Policja poszukuje kierowcy Syreny 110, rzadkiego modelu samochodu z czasów PRL-u. Samochód w kolorze czerwonym wjechał w uczestników marszu równości w Wołominie, zabijając ponad sto dwadzieścia osób, a czterdzieści trzy poważnie raniąc. Doprowadził też do kraksy, w wyniku której buldożer rozbił się o galerię handlową, co pociągnęło za sobą kolejne ofiary śmiertelne. Obecnie na miejscu zdarzenia trwa akcja ratunkowa. Kierowca czerwonej Syreny 110 jest podejrzewany również o spowodowanie śmierci organizatora marszu, siedemdziesięciodziewięcioletniego radnego miasta Wołomina, Kazimierza Piórkowskiego. Policja wiąże te sprawy ze śmiercią dwóch funkcjonariuszy policji w Radzyminie i zagadkowym zniknięciem biznesmena Jana Rokickiego. Zdaniem rzecznika prasowego Komendy Głównej Policji w Warszawie, Janusza Wilka, znaczenie może mieć fakt, że zarówno Rokicki, jak Piórkowski byli w przeszłości zatrudnieni w zakładach FSO.

Mózg Staniszewskiego zaczął mozolnie łączyć fakty. Syrena 110. W kolorze czerwonym. Było mało prawdopodobne, by istniały dwa takie auta, a już całkiem niemożliwe, by w tym samym czasie oba jeździły sobie po województwie Mazowieckim.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Staniszewski wysiadł z samochodu i obszedł go, z każdym kolejnym krokiem doświadczając kolejnych spazmów zgrozy. Karoseria nie miała nigdzie odkształceń ani wgnieceń, jednak cała była usmarowana zaschniętą, brązową mazią, niepokojąco przypominającą krew. W jedną z opon wprasowało się coś jakby ludzki narząd. Staniszewski obejrzał rurę wydechową, z której zwisała jakaś organiczna nitka – ni to włókno mięśniowe, ni tasiemiec.

Podrapał się po brodzie. Pierwsze, co przyszło mu na myśl, to oddalić się czym prędzej od tego miejsca. Cała ta sprawa śmierdziała gównem, a policja w każdej chwili mogła wpaść na trop syreny z nim w środku. Jeśli naprawdę kogoś przejechał – a wygląd samochodu świadczył, że tak – w najlepszym wypadku przypną mu żółte papiery. Poza tym za żadne skarby nie chciał zaliczyć kolejnego urwanego filmu za kierownicą Karyny i słuchać po otrzeźwieniu Bóg wie jakich sensacji w radio.

Podrałować do najbliższego przystanku, wrócić do domu autobusem i nie wychodzić, aż afera nie ucichnie. To właśnie zamierzał zrobić. Aha, i nie zapomnieć zabrać portfela z dokumentami.

Zajrzał do Karyny, by sięgnąć po pozostawiony między siedzeniami portfel i zamarł. Z głośników wciąż pracującego radia wydobywał się wyniosły męski głos zwracający się bezpośrednio do niego.

– *Cóż to, panie Staniszewski.* – Tembr głosu był niski jak dźwięk struny kontrabas. – *Czyżbyś zamierzał zdezerterować z pola bitwy?*

Staniszewski zajrzał pod fotele, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ktoś się pod nimi nie schował. Oczywiście nikogo tam nie było. A zatem... gadało do niego radio.

– Kim... Kto mówi? – zapytał, wsuwając się na siedzenie kierowcy i zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nie chciał, by jakiś przechodzień usłyszał, że rozmawia z radiem, mimo iż w dobie powszechnych zestawów głośnomówiących nie powinno to nikogo dziwić.

– *Nazywam się Skrobulski i jestem dowódcą tej jednostki!* – wykrzyczał głos tak ostro, że Staniszewski poczuł dzwonienie w uszach. Skrobulski. Wydawało mu się, że gdzieś już, całkiem niedawno, słyszał to nazwisko.

No tak.

– Skrobulski? – powtórzył. – Masłowiak coś mi mówił. Tak nazywał się pierwszy właściciel tego auta. Zachciało mu się czerwonego egzemplarza od FSO, a potem zginął w nim jak idiota, trując się spalinami w garażu. Ale nie w mówisz mi, że to ty. Przecież to nie...

– *Głupcze!* – zagrzemiał głos. – *Wcale nie zginąłem jak idiota. Wszystko zostało przeze mnie zaplanowane. Popęlniłem samobójstwo, by kontynuować wojnę!*

Aha... No tak... – Staniszewski uważnie oglądał radio z zamiarem wypatrzenia jakiegoś magnetofonu kasetowego albo wciśniętego w szparę pendrive'a, choć dobrze wiedział, że w lampowym Kasprzaku z lat sześćdziesiątych takich cudów raczej nie ma się co spodziewać. Mimo wszystko trudno mu było uwierzyć, że gdzieś tam nie tkwi jakieś ukryte nagranie. Gratisowy upominek od Masłowiaka, który wraz z autem najwidoczniej postanowił podarować mu trochę tandetnych emocji. Radiowe wiadomości to też z całą pewnością nagranie.

Pacnął ręką panel odbiornika i wyłączył go.

– *Zachowuj się!* – Głos mimo wszystko znów się odezwał. – *To nie wysryw Manty na chińskich sprężynkach. To solidne polskie radio na oryginalnych podzespołach.*

Staniszewski podskoczył, znów uderzając się w głowę. Był jednak zbyt oślepiony szokiem, by odczuć ból. To nie mogło być nagranie. Ten ktoś

widział każdy jego ruch. Może jakiś cwaniaczek z lornetką przyczał się w domu naprzeciwko, obcina go z ukrycia i nawija gadkę przez transponder bluetooth albo inny ukryty w samochodzie pierdolnik? Mógł go łatwo zainstalować, gdy Staniszewski spał za kierownicą.

– *A co się dziwisz, takie rzeczy produkowano kiedyś w zakładach Kasprzaka na warszawskiej Woli. – Głos przestawił się na mentorski ton wykładowcy. – Tak samo, jak FSO na Pelcowiznie robiło syreny. Szanuj dzieło własnej ojczyzny albo sam padniesz ofiarą wojny!*

– Panie Skrobulski – Staniszewski spróbował być uprzejmy – nie wiem, jaka jest ostatnia rzecz, którą pan pamięta sprzed... eeee... własnej śmierci, ale wojna w Polsce zakończyła się w latach czterdziestych dwudziestego wieku. W tej chwili mamy wiek dwudziesty pierwszy.

– *Debilu!* – Głos ponownie zagrzmiał wcześniejszym, gromkim akordem. – *Mówię o wendecie, którą prowadzę od lat! I dziś ją dokończę. Z twoją pomocą!*

– Przepraszam, ale nie czuję się wtajemniczony. Jakiej wendecie? Skąd pan wie, czy się zgodzę?

Głos roześmiał się tak donośnie, że samochodem aż zatrzęsło.

– *Już się zgodziłeś. Kupując Karynę, podpisałeś pakt, z którego się nie wykręcisz.*

Na chwilę zapadła cisza, po czym rzekomy Skrobulski ryknął, aż brzękły szyby:

– *Wendecie przeciw najgorszym skurwysynom! Przeciw ludzkim glistom żerującym na zdrowej tkance społeczeństwa! Przeciw kornikom, które zniszczyły polską motoryzację, a teraz wylegają się do góry swymi nazartymi brzuchami, gdy klasa robotnicza zapierdala za grosze w zagranicznych montowniach! Rozjedziemy ich wszystkich Karyną!*

Staniszewski chciał zatkać uszy, ale wolał nie prowokować jeszcze większego wybuchu gniewu swego tajemniczego interlokutora. Już ten pierwszy był trudny do wytrzymania. Zrozumiał też, że czy z żywym, czy z martwym, ma do czynienia ze świrem. Z takim trzeba rozmawiać grzecznie i udawać, że wierzy się w jego halucynacje.

– Zaiste, szczytna idea – powiedział. – Nie wiem tylko, czy będę mógł się przysłużyć tej wojnie. Jestem raczej spokojnym człowiekiem. Mam żonę i dom.

Głos ponownie się zaśmiał, lecz tym razem był to cichy, gardłowy, wręcz szatański chichot.

– *Nie masz wyboru, kolego. W ostatnim czasie zdążyliśmy tak nawywijać, że nie nacieszysz się wolnością nawet przez dobę. Słuchałeś radia?*

Oczywiście, słuchał. I oczywiście nie wierzył w prawdziwość tego, co w nim usłyszał.

– *Próbuje mnie pan szantażować?* – zapytał.

– *Próbuję ci powiedzieć, że spadł na ciebie zaszczyt dokonania czegoś wielkiego!*

– *Na mnie? Obawiam się, że nie rozumiem. Przecież sam pan wspomniał, że prowadzi tę wendetę od lat. Dotąd radził pan sobie beze mnie i myślę, że w przyszłości również poradzi sobie w pojedynkę.*

– *Nigdy nie prowadziłem jej sam. Posłuchaj, głupcze. Pracowałem w FSO, kiedy to się stało. Wtedy, kiedy banda dywersantów współpracujących z głównym inżynierem Wrzaszczykiem za włoskie srebrniki zablokowała produkcję najnowocześniejszego polskiego samochodu osobowego, Syreny 110. Tego, w którym właśnie siedzisz.*

– *Wiem o tym* – odparł Staniszewski. – *Znam historię auta, które kupiłem.*

– *Więc wiesz, że zrobili to po to, by uruchomić produkcję fiatów na makaroniarskich licencjach. Z dnia na dzień zabili rozwijaną od końca lat czterdziestych polską myśl techniczną. Ja, jako jeden z głównych konstruktorów, próbowałem przeciwstawić się temu barbarzyństwu, ale byłem osamotniony. Jedyne, co mogłem zrobić, to wyprosić jedną sztukę Syreny 110 dla siebie. Nieco zmodyfikowaną, z lepszym silnikiem niż standardowy.*

– *Po to, żeby popełnić w niej samobójstwo?*

– *Tak. Żeby mój duch na zawsze zamieszkał w tym samochodzie. Abyśmy wspólnie mogli dokonać zemsty na tych, którzy ośmielili się wstrzymać produkcję tego arcydzieła techniki!*

– *Aha. Rozumiem. Nadal jednak nie widzę w tym swojej roli.*

– *Ktoś musi kierować Karyną. Ja nie mogę, bo nie posiadam ciała. Mogę natomiast wnikać w umysły właścicieli auta. Kontrolować ich świadomość tak, żeby spełniali moją wolę.*

Staniszewskiemu zadrzało serce. Te utraty świadomości, te pobudki w dziwnych miejscach z bólem głowy. Te dziwne ślady na karoserii maszyny. W radio mówili, że policja wiąże poszukiwaną syrenę ze śmiercią jakichś dwóch dziadków zatrudnionych niegdyś w FSO. Wszystko to układało się w upiornie logiczną całość, a jednak wyglądało tak niewiarygodnie, że trudno było nie wietrzyć tu jakiegoś spisku. Mimo to

Staniszewski postanowił nie ujawniać jeszcze swoich podejrzeń. Chciał poznać więcej szczegółów tej szalonej, pokrętnej logiki. A nuż wykryje w niej jakąś lukę.

– W takim razie – zagadnął z cwaniackim akcentem – dlaczego nie wykorzystalesz do tego starego Masłowiaka? Przecież był właścicielem samochodu przez pół wieku. Mało czasu, by dokonać zemsty?

– *Taki był plan* – westchnął głos. – *Niestety, zdołałem użyć go tylko jeden raz. Było to krótko po tym, jak Masłowiak odkupił Karynę od mojej żony. Pewien młodszy inżynier z grupy Wrzaszczyka, Chrabąszcz, wracał pijany z imienin. Rozjechaliśmy go na przejściu dla pieszych. Ech, wtedy prosto się załatwiało takie sprawy. Teraz te bydlaki żyją w twierdzach pobudowanych za ukradzione pieniądze i dużo trudniej do nich dotrzeć. Niestety, gdy zrobiło się głośno o śmierci Chrabąszcza, pojawiły się plotki o odjeżdżającym z miejsca zdarzenia czerwonym samochodzie. Masłowiak oczywiście nic nie pamiętał, jednak albo wyczuł, że coś jest nie tak, albo zadecydowały przesady, w każdym razie nigdy po tym zdarzeniu nie wsiadł już do Karyny. Schował ją w garażu, a wszystkim opowiadał, że to pamiątka nieprzeznaczona do użytku. Wydaje mi się, że jako człowiek wierzący połączył fakty i zaczął podejrzewać moją obecność. Dlatego nigdy nikomu nie odsprzedał samochodu. Zrobił to dopiero jego lekkomyślny synalek. Przez tych pięćdziesiąt lat przerwy nie zdążyłem dopaść samego Wrzaszczyka, który zmarł w dwa tysiące drugim.*

– Chcesz powiedzieć, że gdy siadałem za kierownicą, ty panowałeś nad moim ciałem i prowadziłeś za mnie?

– *Tak jest.*

– I że zabiłeś tych wszystkich ludzi moimi rękami? Ale dlaczego? Co zawiniли ci wszyscy uczestnicy marszu równości?

– *Nie rozumieli żywotnych interesów narodu polskiego i klasy robotniczej.*

No tak – pomyślał Staniszewski. – *Logiczne.*

– Ale, ale – próbował znaleźć haczyk, żeby zagiąć świra podszywającego się pod Skrobulskiego. – Jak to możliwe, że samochód nie ma żadnych uszkodzeń? Tyle potrąconych osób, tyle kraks i choćby jednego wgniecenia? Toż to się kupy nie trzyma, panie Skrobulski.

– *Karyna nigdy nie ulegnie zniszczeniu* – głos wycedził te słowa powoli, niczym wyrocznie, której każde słowo ważyło się niczym liczba w bębnie maszyny losującej – *ponieważ jest uosobieniem mego niezniszczalnego ducha. Ty też, jeśli chcesz przetrwać na tym świecie, nie powinienesz opuszczać*

kabiny tego samochodu. Na zewnątrz zostaniesz szybko aresztowany. Tu jesteś nie do ruszenia.

– Szykujesz mi los niewolnika.

– *Sam sobie odpowiedz* – głos stał się teraz zaskakująco łagodny i miękki – *dlaczego zależało ci, żeby kupić Syrenę 110? Czy nie uważałeś tego samochodu za coś wyjątkowego? Pięknego? Wartościowego? Niesprawiedliwie uśmierconego tylko dlatego, że było polskie?*

– To prawda. – Staniszewski był zaskoczony, że tak łatwo odczytano jego intencję. Ba, po raz pierwszy od początku tej rozmowy odniósł wrażenie, że konwersuje z bratnią duszą. – Ale nie zamierzałem nikogo pozbawiać życia.

– *Wszystkie te szczury zasłużyły na śmierć.* – Łagodność i miękkość zniknęły, znów ustępując miejsca wyniosłej surowości. – *W głębi duszy wiedziałeś o tym i tego pragnąłeś. Nienawidziłeś widoku zachodniego szmelcu na polskich drogach, z sentymentem myślałeś o tym, jak mogłyby wyglądać ulice, gdyby nasza myśl motoryzacyjna rozwijała się własnym torem. Psioczyłeś na tych, którzy sprawili, że stało się inaczej. Czyż nie?*

Wszystko się zgadzało. Głos bardzo trafnie wypowiadał myśli, które nieraz pochłaniały Staniszewskiego w wolnych chwilach, gdy jechał na rowerze lub gdy przeglądał roczniki starych motoryzacyjnych czasopism. Jednak psioczyć na kogoś, a chcieć kogoś zabić to dwie bardzo różne sprawy, o czym właściciel głosu zdawał się już nie wiedzieć.

– Mimo wszystko nie podoba mi się ten układ – odparł Staniszewski. – Jestem spokojnym, żonatym mężczyzną i nigdy nie przejawiałem morderczych skłonności. To wbrew mej naturze. Poza tym nawet nie dał mi pan szansy przedyskutowania tego z żoną.

Samochód znów zadrżał pod wpływem niskiego rechotu.

– *Jesteś nieskomplikowanym człowiekiem.* – Właściciel głosu mówiąc, krztusił się ze śmiechu. – *Po tym, jak raz wszedłem do twojej głowy, wiem o tobie wszystko. W głębi duszy nienawidziłeś tej apodyktycznej dziwki i nieraz rozmyślałeś, jak się jej pozbyć.*

Przez ciało Staniszewskiego przeszedł jakby impuls; w trwającym ułamek sekundy rozbłysku świadomości wszystko pojął.

– Ją też? Ty draniu!

– *Nie bądź nieuprzejmy. Ja aktywowałem tylko twoje podświadome pragnienie. Całą robotę wykonałeś ty sam. Własnymi rękami.*

Staniszewski złapał się za głowę. To był jakiś koszmar. Nagle poczuł nieopisaną potrzebę znalezienia się w domu i spoczęcia w objęciach swej

żony, której tyle razy złorzeczył w myślach. Choć był przekonany, że padł ofiarą jakiegoś chorego dowcipu, chciał mieć absolutną pewność, że Martyna żyje. Tylko tego teraz pragnął. Ale najpierw musiał skończyć ten żaloszny cyrk.

– Masłowiak! – wrzasnął. – Nie udawaj. Dobrze wiem, że to ty za tym stoisz. Zawiadomię policję i odechce ci się śmieszekowania, zobaczysz!

Odpowiedziało mu milczenie i odniósł wrażenie, że właściciel głosu wyszczerza zęby w drwiącym uśmiechu. Dostyc tego.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Skoro cwaniaczek kryje się gdzieś w pobliżu i gada do mikrofonu, Staniszewski zamierzał odjechać na kilkaset metrów, żeby urwać mu zasięg.

Już miał ruszać, gdy ręce i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jakaś nieokreślona siła zaczęła kierować jego motoryką, a on był tym razem świadom wszystkiego, co się z nim działo. Nigdy nie był tak przerażony jak wówczas, gdy jego dłoń w niekontrolowanym odruchu zacisnęła się na drążku biegów, a noga z całej siły napała na pedał hamulca.

– *Tym razem nie wyłączę twojej świadomości* – poinformował głos. – *Będziesz wszystko pamiętał.*

– Co pamiętał? – zapytał, ale w tej samej chwili przekonał się, że nie musi czekać, aż usłyszy odpowiedź. Zobaczył ją na własne oczy.

Przed dom, naprzeciw którego stał, zajechał mercedes. Nie jakiś pierwszy lepszy, tylko pierwszozigowy model SLS AMG. Hebanowo czarny, sportowy, gdyby ozdobić mu tylne błotniki fikuśnymi skrzydełkami, wyglądałby jak cholerny Batmobil. Staniszewski wiedział, co kryje się pod tą wystrzałową, wykonaną z aluminium karoserią: ponad sześciolitrowy silnik V8 o mocy 575 koni mechanicznych.

Wygląd parkującego na podjeździe samochodu budził nieklamany respekt takiego pasjonata motoryzacji jak Staniszewski. Mężczyzna nie mógł wyjść z podziwu, gdy mercedes objawił swój majestat, unosząc w górę boczne drzwi. Przypominał wtedy wielkiego orła rozpościerającego skrzydła.

Z auta wysiadło dwoje ludzi, na których los zesłał szczęście podróżowania tym cackiem. Mężczyzna i piękna, mocno opalona, na oko dwudziestoletnia brunetka. Dzieliła ich tak duża różnica wieku, że Staniszewski był pewien, iż ma przed oczami dziadka i wnuczkę. Przynajmniej do momentu, aż „dziadek” postawił na dachu mercedesa torbę z zakupami i Staniszewski wypatrzył wystające ponad jej powierzchnię opakowanie viagry.

– To Wiktor Malak – odezwał się Skrobulski. – Przedostatni na mojej liście. Fałszował wyniki testów dotyczących jakości Syreny 110. Dzięki jego podłej dywersji Wrzaszczyk mógł przekonać władze, że Fiat 126p lepiej spełnia wymogi jazdy po polskich drogach. Patrz, jak się chujowi w życiu upiekło.

Malak nie wyglądał na człowieka, który szczeni sobie przyjemności. Wielki dziad z wylewającym się spod podkoszulka brzuszyskiem i na stałe przyklejonym do twarzy lubieżnym uśmiechem. Na podkoszulek miał narzuconą przykrótką hawajską koszulkę w kolorze złotym, a głowę zdobił odpustowy słomkowy kapelusz. Uszczypnął dziewczynę w pośladek wystający spod kusych szortów, ta w odpowiedzi równie bezwstydnie ścisnęła jego krocze dłonią i pocałowała go w obleśne żabie usta. Staniszewskiego ukłuła zazdrość, ponieważ nigdy nie miał takiej kobiety i nie wiadomo, czy kiedykolwiek mieć będzie. Właściwie biorąc pod uwagę, że jego jedyną zdobyczą seksualną była Martyna, równie dobrze mógł nazwać siebie prawiczkiem. Staniszewski nigdy nie rozumiał tego lepiej niż teraz, gdy patrzył na piękną, wysportowaną i kipiącą seksem kochankę Malaka.

Nagle jego dłoń przestawiła drążek, a stopa zwolniła pedał hamulca, dociskając w zamian gaz. Karyną szarpnęło; błyskawicznie wystrzeliła z krzaków, pędząc prosto na mercedesa. Staniszewski chciał skrócić w bok, lecz nie mógł samodzielnie kontrolować pracy rąk; chciał zahamować, lecz jedna jego noga kurczowo wciskała gaz, a druga nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Czując, że zbliża się śmierć, chciał zamknąć oczy, ale powieki rozwierała mu jakaś niewidzialna dłoń. Jedyne, co mógł, to wrzeszczeć. Więc wrzeszczał.

W ostatniej chwili zobaczył tylko zdziwione twarze Malaka i kobiety skierowane w swoją stronę. Dziewczyna zdążyła jeszcze rozewrzeć usta do krzyku.

Karyna uderzyła w mercedesa z pełnym impetem. Staniszewski nawet nie odczuł skutków kraksy, natomiast dziewczyna owszem. Pchnięty przez syrenę mercedes przygwoździł ją do ogrodzenia domu. Lewe oko kobiety wypłynęło z oczodołu i zawisło na policzku. Przez otwarte usta wydostały się płuca i wraz ze strumieniem krwi wylądowały na lśniącej, czarnej karoserii japiszońskiego „batmobilu”. Karyna uparcie napierała na mercedesa, dociskając go do konającej dziewczyny, wypompowując z niej przez usta kolejne organy. Jak pastę z tubki. Zaraz po płucach o hebanowy

kadłub auta plasnął żołądek, następnie otwór gębowy kobiety wypełniła wydostająca się na zewnątrz wątroba.

Malakowi, który był głównym celem ataku Karyny, udało się w ostatniej chwili odskoczyć. Przez kilka sekund z głupkowatą miną przyglądał się śmierci kochanki, a potem rzucił się do ucieczki. Jednak tusza i sfatygowane stawy sprawiały, że bardziej człapał niż biegł.

Ręka Staniszewskiego przestawiła na wsteczny. Karyna cofnęła się, pozostawiając kochankę Malaka na zawsze przyklejoną do mercedesa, na którego za życia dała się wyrwać staremu dziadowi.

Malak przemieszczał się po chodniku, myśląc chyba, że tam będzie bezpieczniejszy. Karyna dogoniła go i zaatakowała z boku. Silnik wszedł na stokroć większe, jakby szatańskie obroty. Pokrywa od silnika otwarła się, niespodziewanie zasłaniając Staniszewskiemu widok. Gdy syrena najechała na starca, kłapa opadła z trzaskiem i Staniszewski zobaczył ręce wystające po lewej i nogi wystające po prawej stronie maski. Kłapa jeszcze raz otworzyła się i opadła, a potem powtórzyła to niezliczoną ilość razy, otwierając się i zamykając nawet po tym, jak obcięte ręce denata wylądowały na chodniku. Staniszewski przez kilka długich sekund zachodził w głowę, co się właściwie dzieje, nim wreszcie dotarła do niego prawda: Karyna pożerała człowieka, a pokrywa silnikowa była jej paszczą! Teraz dopiero pojął, dlaczego kłapę w jego samochodzie zamontowano odwrotnie niż w innych egzemplarzach tego samego modelu. Skrobulski zaplanował swą zemstę w najdrobniejszych detalach.

Malak został skonsumowany w ciągu minuty. Ponownie nasyciwszy bak ludzkim tłuszczem, Karyna, prowadzona dłońmi i stopami Staniszewskiego oraz wolą Skrobulskiego, swobodnie ruszyła w dalszy rajd.

10

– Nie wierzę w to – powtarzał Staniszewski, co rusz wplatając między wyrazy zwroty „o kurwa” i „ja jebię”. – Pożarła go żywcem! Jak krokodyl! Teraz już wiem, czemu pokrywa otwiera się z przodu maski. I po co był ten czterosuwowy silnik...

Jego dłonie kurczowo ścisnęły kierownicę. Choć nie miał kontroli nad swoją motoryką, poddaną całkowicie woli Skrobulskiego, mógł świadomie rejestrować rzeczywistość, myśleć i mówić. Widocznie po tym, jak wtajemniczył go w swój misterny plan, Skrobulski nie czuł już potrzeby

wyłączania mu świadomości. Jakkolwiek dziwnie by to nie brzmiało, zaczynał coraz bardziej traktować go jak swego partnera, a nie tylko narzędzie zemsty.

– *Karyna ma zdolność przerabiania ludzkiego tłuszczu na paliwo – odezwał się w środku jego głowy. – Prawda, że fajna zabawa?*

– Eee... jasne – odparł Staniszewski, bo też cóż innego mógł odpowiedzieć.

– Bardzo fajna. Tylko co potem? Skoro ten dziadek był przedostatnim na twojej liście, a niebawem, jak mi nie mam, skasujemy ostatniego, co będziemy robić później?

– *To, co do tej pory. Dalej rozjeżdżać. Skurwysynów w tym kraju nie brakuje.*

Nikt nie udzielał odpowiedzi tak zwięźle i treściwie jak duch Skrobulskiego. Staniszewski nie dziwił się, że człowiek ten doszedł za życia do wysokiego stanowiska w FSO. Był to osobnik zdecydowany, zawsze wiedzący, czego chce.

Mknęli drogą krajową, okazjonalnie tylko mijając ludzkie zabudowania. Wszystko wskazywało na to, że następny cel Skrobulskiego mieszkał daleko poza Warszawą. O tyle dobrze, że pojawienie się Karyny w jakimś większym mieście niechybnie postawiłoby na nogi policję, a tak jechali, nie zwracając niczyjej uwagi.

Do czasu.

– Gdzie się wpierdalasz tym kwadraciakiem? – Kierowca turkusowego volkswagena wychylił się przez szybę, gdy Karyna wyprzedziła go i zajęła mu drogę. Syrena wyhamowała, a następnie cofnęła się, wpychając volkswagena prosto na jadącego za nim TIRa. Staniszewski usłyszał potężny metaliczny łoskot, po czym ujrzał w lusterku olbrzymią ciężarówkę Volvo zmieniającą samochód osobowy z ludźmi w środku w coś na podobieństwo sprasowanej puszki. Westchnął. Chyba będzie musiał przyzwycząić oczy do takich widoków.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– *Do Sielpi w Świętokrzyskim. Nasz następny przeciwnik nie mieszka w pałacu ani w luksusowej willi. Nie pcha się też do polityki. Emeryturę spędza w gospodarstwie wiejskim, z którego prawie nigdy nie wychyla nosa.*

– Kto to taki?

– *Inżynier Zatoń. Jedyne z nich, który nie pertraktował z Włochami. A mimo to był za niedopuszczeniem Syreny 110 do masowej produkcji. Nic na tym nie zarobił, nie dorobił się też na prywatyzacjach.*

– W takim razie jaki miał powód?

Staniszewski nie doczekał się odpowiedzi. Poczł zmęczenie. Kojący dźwięk silnika podziałał na jego zmysły jak kołysanka. Oparł głowę o zagłówek i zasnął, wyłączając świadomość, lecz jego dłonie i nogi niestrudzenie prowadziły Karynę z precyzją autopilota.

11

Obudził się pod koniec dnia. Sunęli swobodnie wiejską drogą, mijając po lewej stronie wielkie jezioro, a po prawej rzędy zabudowań malowane na pomarańczowo światłem zachodzącego słońca. Staniszewski domyślił się, że dotarli do Sielpi. O tej porze roku wieś przyciągała tłumy wczasowiczów, którzy właśnie tłumnie wracali znad jeziora do ośrodka wczasowego i gospodarstw agroturystycznych. Osobliwy samochód zwracał uwagę idących, wszyscy jednak byli tak zaaferowani wypoczynkiem i zbliżającą się kolacją, że nikt nie skojarzył widoku auta z omawianymi w wiadomościach wydarzeniami z Wołomina. Zresztą, kto tutaj przejmowałby się wiadomościami? Opalonymi ciałami kierowały teraz inne, skrajnie hedonistyczne pasje, zatem Karyna była traktowana przez gapiów jak egzotyczna ciekawostka, jak archaiczny kawałek złomu należący pewnie do jakiegoś wiejskiego idioty.

Bez większych zakłóceń Karyna dotarła na koniec wsi, gdzie mieściło się gospodarstwo Zatonia. Nie było ogrodzone, a na całość majątku składał się nieduży, bodaj jednopiętrowy, dom oraz dwukrotnie odeń większa stodoła. Z inwentarza Staniszewski doliczył się trzech kur błądzących po obejściu. Skromnie.

Syrena zatrzymała się. Dobrane niczym w korcu maku trio zabójców, składające się z młodego rozbitka życiowego, zaprojektowanego do mordowania samochodu i ducha, przycupnęło za drzewem niczym wilk wyczekujący owieczki. Czekali na zapadnięcie zmroku, aż gwary i zabawy na zewnątrz ucichną, a jedynym świadkiem precyzyjnie zaplanowanej zemsty będzie błąd z przerażenia księżyc.

W jednym z okien domu Zatonia zapaliło się światło. Staniszewski zastanawiał się nad przeznaczeniem tego pomieszczenia. Czy była to kuchnia, w której starszy mężczyzna przyrządza właśnie ostatni w swym życiu posiłek? Sypialnia, w której wertuje stronicę ostatniej książki? *To z pewnością pocziwy człowiek* – myślał Staniszewski i było mu żal, że zginie, w dodatku poniekąd z jego ręki. – *Cóż jednak począć?*

Było już po północy, gdy coś szarpnęło jego ręką i nogą, które w mgnieniu oka wprawiły w ruch silnik Karyny. Samochód wyjechał z za drzewa i zatrzymał się na podwórzu Zatonia, jakieś pięć metrów od jego domu. Zajarzyły się ślepie reflektorów, wystrzeliwując trupi blask prosto w okno pomieszczenia, w którym paliła się żarówka. Skrobulski liczył, że tym sposobem wypłoszy starca z domu, tak jak wcześniej wypłoszył Rokickiego. Potężna stodoła wznosiła się po prawej stronie Karyny, zasłaniając widok księżycowi.

Silnik syreny powarkiwiał groźnie, raz na jakiś czas akcentując swój koncert furiackim, tygrysim rykiem, jakby Karyna w ten zuchwały sposób wzywała Zatonia do wyjścia. Ale starzec nie wychodził. Nie zbliżył się nawet do okna, żeby spojrzeć, co się dzieje. Staniszewski czuł, jak przez jego ciało przechodzi demoniczna energia wydostająca się z akumulatora zniecierpliwionej, wrzącej pragnieniem zemsty Karyny.

Mijały minuty pełne napięcia tak silnego, że Staniszewski widział promienie Tesli pełzające po swych przegubach. Przesyłały do jego mózgu fluidy gniewu, zastępujące jego pogodne usposobienie niepoprawną żądzą mordu, jakby akumulator Syreny 110 nawiązał łączność z samą centralą piekieł. Elektryczna energia spajała ducha Skrobulskiego, ciało Staniszewskiego i stalowy kadłub Karyny w dyszący, drapieżny organizm, euforycznie podniecony rozpoczętym polowaniem. Ludzki tłuszcz w baku skwierczał niczym wrząca smoła, w której diabły topią umęczone dusze. Ale stary Zatoń nie dał się sprowokować do wyjścia z domu.

A może już nie żył? Może zjechał na zawał zaraz po tym, jak usłyszał za oknem odgłos silnika? A może po prostu starcza głuchota uniemożliwiała mu rejestrowanie dźwięków?

Z tych rozmyślań wyrwała Staniszewskiego fala światła, która wystrzeliła nagle z prawej strony, zatapiając Karynę w poświacie stokroć bledszej niż blask księżyca. Staniszewski obrócił głowę i zauważył, że brama stodoły jest otwarta na oścież, a z jej przepastnej gardzieli łypią dwa reflektory skierowane prosto na syrenę.

– *Żem się wpierdolił.* – Głos Skrobulskiego zabrzmiał w głowie Staniszewskiego, zmieniając twarz młodego mężczyzny w jeden wielki znak zapytania. Następnie Staniszewski znów poczuł, jak mroczna siła panuje nad jego ciałem. Karyna cofnęła się po linii półkola, a następnie ustawiła przodem do wejścia do stodoły.

Światła Karyny nie przebiły mocą świateł samochodu, który wylał się z wolna z czeluści stodoły niczym smok z grotu. Ale dzięki nim Staniszewski mógł dostrzec pewne szczegóły budowy tajemniczego pojazdu. Wyróżnił ciężką, kanciastą bryłę nadwozia świadczącą, że auto nie mogło pochodzić z czasów późniejszych niż wczesne lata dziewięćdziesiąte. Kolor był czarny, szary lub ciemnozielony. Silnik wydawał ryki, przy których bojowe powarkiwania Karyny wydawały się astmatycznymi kaszlnięciami. Otoczony nimbem własnych świateł pojazd przypominał wygrzebujący się z czarnej dziury statek kosmiczny.

Staniszewski zmrużył oczy. Archaiczny wygląd samochodu nagle wydał mu się znajomy. Gdzieś już go widział. Na jakiejś stronie poświęconej starej motoryzacji odnalazł niegdyś zdjęcie legendarnego prototypu, jeszcze starszego niż Syrena 110.

Wszystko jasne. Przecież to...

Nie zdążył dokończyć myśli, bowiem znów poczuł szarpnięcie w kolanie. Jego stopa wylądowała na pedale gazu, dociskając go do oporu. Oba samochody rzuciły się na siebie z zaciekłością wielkich potworów z japońskich filmów. Czerwoną Syrenę 110 prowadził oszołomiony Staniszewski, którego kończyny były we władaniu głodnego zemsty ducha. Za sterem drugiego z aut siedział osiemdziesięcioletni inżynier Zatoń. Z kącika jego bezzębnych ust zwisał długi do samej grdyki glut flegmy – oznaka szalonej euforii, oto bowiem dokonywało się to, na co czekał aż od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego. Wtedy to grupa decydentów z FSO postanowiła nie wprowadzić do szerokiej produkcji Warszawy 210 – auta, w którego zaprojektowanie włożył wiele wysiłku. Bowiem pracowano już wtedy nad innym projektem samochodu osobowego, mianowicie Syreną 110. Wiedziony jadowitą zawiścią Zatoń przyłożył rękę do powstrzymania produkcji syreny, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja

Posiadany przezeń prototyp Warszawy 210 rdzewiał przez długich pięć dekad w stodole, czekając na chwilę nieuniknionej konfrontacji. Stary Zatoń znał kulisy zagadkowej śmierci Skrobulskiego, wiedział o ofiarowanym mu przez państwo krwiście czerwonym egzemplarzu przekłętego auta z pokrywą silnikową zamontowaną z myślą o zabijaniu. Gdy dziś w popołudniowych wiadomościach ujrzał czerwonego szatana dokonującego masakry na ulicach Wołomina, wiedział, że oczekiwany dzień nadszedł.

Nad Sielpią rozniósł się połączony ryk dwóch silników, przywodzący na myśl bestialskie głosy ruszających do walki tyranozaurów. Brzęk, szcęk i łoskot uzupełniły go, gdy dwa zapomniane przez Gomułkę, Gierka i samego Boga PRL-owskie samochody zespoliły się w morderczych zapasach. Syrena uwięziła maskę warszawy w ścisku swej „paszczy”, po czym próbowała ją wessać tak, jak to robiła wcześniej z ludzkimi ofiarami, nastawiając silnik na najwyższe obroty. Jednak zakrzuszyła się kawałkiem rdzy i zaczęła rzeźić, co warszawa wykorzystwała, aby wyrwać się z uścisku i uderzeniem z lewej mańki rozbić Karynie jeden z reflektorów. Ta zawyła doniosłym „brrrummm”, cofnęła się o dziesięć metrów, po czym z rozpędu wbiła się zderzakiem w maskę warszawy i w niej utknęła. Warszawa wykorzystwała sytuację, by wykonać młynek niczym krokodyl, przewracając syrenę na dach. Gdy ta kręciła uniesionymi kołami, obracając się wokół własnej osi jak leżący na pancerzu żuk, warszawa z rozpędu zmiażdżyła jej prawe drzwi. Jednak siła odrzutu postawiła Karynę na cztery koła i po chwili syrena ponownie była gotowa do szarży.

Samochody znów starły się frontalnie niczym dwa poznańskie koziołki. Ich silniki eksplodowały niemal równocześnie, gdy odkształcone kadłuby napierały na siebie w akcie wzajemnego unicestwienia. Staniszewski był już wtedy martwy, z kierownicą wciśniętą w klatkę piersiową aż po kręgosłup, płucami wytłoczonymi przez usta i lewym okiem zsuwającym się po policzku jak ślimak. Natomiast po masce warszawy turlała się głowa starego Zatonia, ucięta przez krawędź rozbitej szyby, która puściła, gdy odrzut kolizji szarpnął ciałem inżyniera do przodu.

Choć ich kierowcy dawno nie żyli, dwa samochody długo jeszcze wiły się w nieprzejednanych zmaganiach, aż siła kolejnych eksplozji rozerwała zdeformowane kadłuby na strzępy. Karyna wreszcie napotkała wroga równego sobie, równie dotkliwie doświadczonego przez los.

Tak dopełniła się agonía polskiej motoryzacji.

JOANNA PYPLACZ

Pisarka, fotograf, badacz literatury; doktor habilitowany filologii klasycznej. Krakowianka od zawsze. W centrum jej zainteresowań znajduje się szeroko pojęta groza, prąd gotycki w kulturze, a także wszystko, co dziwne, straszne i niesamowite. Amatorka muzyki klasycznej, dobrych horrorów, opuszczonych domów i starych cmentarzy; zrzędzeniem losu urodziła się w XX wieku, ale duszę ma o wiele starszą. Dotychczas drukiem ukazało się jej pięć powieści: *August Nacht* (Warszawa 2015), *Krzyk Persefony* (Katowice, 2015), *Mechaniczna ćma* (Chorzów, 2017), *Nierozdzielne* (Chorzów, 2018) i *Podziemia* (Chorzów, 2019), a także wiele prac naukowych z zakresu literaturoznawstwa.

Mabel

– Każdy dom ma swoją duszę – odezwała się pani Hayward, zapatrzona w portret oprawiony w dużą, rzeźbioną ramę, który wisiał w gabinecie jej męża.

Sam, wyrwany z głębokiej zadumy, uśmiechnął się melancholijnie, również zwracając wzrok w stronę malowidła. Jego krzaczaste brwi uniosły się lekko nad nosem, uwydatniając dwie pionowe bruzdy na czole.

– Nie tylko dom, każda rodzina – skorygował.

Anita dalej studiowała obraz. Chłodne, niebieskie oczy widniejącej na nim kobiety kontrastowały z bordową bluzką oraz długimi, czarnymi włosami zwieńczonymi prosto uciętą grzywką.

– Ciekawa twarz... – zauważyła. – Kim była ta osoba?

Sam wziął głęboki oddech. Wyglądał na zażenowanego. Anita odwróciła się od portretu i już bez słów, jedynie za pomocą mimiki, ponowiła pytanie.

– Biedna Mabel... – westchnął.

– Dlaczego biedna? – zainteresowała się Anita. – Co się z nią stało?

– To przykra historia. Mabel Spearing była siostrą mojego ojca...

Urwał w połowie. Anita rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

– No i?

– No i bardzo cierpiała. Potem umarła, w dość nieprzyjemny sposób.

Zapadło milczenie.

– Rozumiem... – odezwała się po chwili Anita.

Było jej głupio, że tak wypytuje, przecież nie wszystkie rodzinne historie nadają się do opowiadania... Ona nie podzieliła się z Samem całą masą ciekawych opowieści, niektórych aż zbyt ciekawych, by mu o nich wspominać.

Mabel tymczasem zdawała się dyskretnie ich obserwować, zupełnie jakby bezcielesna postać zmarłej stała tuż obok. Anita naciągnęła sweter na ramiona.

– Jest ci zimno? – zmartwił się Sam. – Ogrzewanie kosztuje, ale mogę podkręcić. Lepiej wydać na kaloryfer niż na lekarstwa.

– Daj spokój, jest w porządku – odrzekła. – Przywykłam do tych temperatur.

Zaśmiali się oboje. Pan Hayward podszedł do stołu i upił łyk stygnącej herbaty z mlekiem.

– Michał ma to po mnie – usprawiedliwiła się żartobliwie Anita.

– Cóż takiego?

– Wszystko musi wiedzieć, wszystko zobaczyć, wszystkiego dotknąć.

Sam nagle zmarkotniał. Przez parę sekund jego twarz przybrała ciemniejszą barwę, a przynajmniej gra światel w pomieszczeniu stworzyła taką iluzję.

– Michał... – z przesadną starannością wymówił polskie imię pasierba.

– Tak, to mała ciekawica. – Zaśmiała się Anita.

Dopiero teraz twarz jej męża nieco się roz pogodziła.

– Lubię ciekawskich ludzi – wyznał. – Są inteligentniejsi od reszty. Z drugiej strony pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć, po co miałyby nam niepotrzebnie zatruwać życie... Ciotka Mabel jest znakomitym tego przykładem.

– Dlaczego?

– Gdyby nie wiedziała, że mąż ją oszukuje, być może... Nie, z całą pewnością, jeszcze by żyła. Miała końskie zdrowie. Mogła nie wiedzieć i cieszyć się życiem w błogiej nieświadomości, a potem umrzeć jako stuletnia staruszka w zbawiennym przeświadczeniu, że mąż był porządnym człowiekiem.

– Ale nie był...

– Zdradził ją z sekretarką z kancelarii, a Mabel była wtedy w trzecim miesiącu ciąży. Jak tylko dowiedziała się o tej zdradzie, poroniła. Już nigdy nie doszła do siebie. Po stracie dziecka zaczęła się dziwnie zachowywać. Niedługo potem...

– Co niedługo potem?

– Powiesiła się w ogrodzie.

– Przykra sprawa...

– Niektórzy ludzie nie radzą sobie ze zdradami. Nie dziwota. Partner to najbliższy przyjaciel człowieka, więc jego wiarołomstwo boli najbardziej.

– To prawda.

Sam pocałował Anitę w czoło. Wrócili do stołu i już do samego końca wieczoru nie wspomnieli ani jednym słowem o „biednej ciotce Mabel”.

* * *

Gdy poszli spać, blask księżyca wdarł się do salonu przez nieszczelnie zasunięte kotary z ciemnozielonego materiału, oświetlając oblicze zmarłej. Bystre oczy nabrały głębi błękitu, jak gdyby należały do żywej kobiety. Patrzyły przed siebie, przesywając pozostawioną na stole pluszową maskotkę małego Michała. Chłopiec wiecznie ją gubił, a potem, zrozpaczony, poszukiwał po całym domu. Tym razem zapomniał jej właśnie tu, obok swojego nakrycia i nie zabrał ze sobą, gdy matka kazała mu iść spać.

Uroczy miś koala spędził więc noc wsparty jednym uchem o wysoki kubek pełen zimnego kakao, pokrytego cienkim, pomarszczonym kozuchem z mleka. Postura zabawki sprawiała niepokojące wrażenie, jakby przebitej ostrym spojrzeniem kobiety z portretu. Ciotka Mabel przesywała pluszaka na wylot, prześwidrowując go dwiema wiązkami błękitnych promieni.

* * *

Michałowi fatalnie się spało bez ukochanej maskotki. Całą noc wiercił się i przewracał z jednego boku na drugi, drapiąc się bezwiednie po rękach. Męczyła go alergia, na którą pomagało niewiele środków. Niestety, po krótkiej remisji w okresie przeprowadzki do Anglii, przypadłość triumfalnie powróciła i nasiliła się, jak tylko wraz z matką zamieszkali w domu ojczyma. Anita zabierała chłopca do różnych lekarzy, ci jednak rozkładali ręce. Ostatni, ponoć dobry, wskazał przyczyny psychologiczne, co pani Hayward skwitowała jako „typową wymówkę ignoranta i konowała”. Księżyc wpadał także i tutaj, oświetlając poranione dłonie chłopca oraz dolną część jego pucułowatej twarzyczki. Co jakiś czas malec poruszał wargami, wypowiadając dziwne, niezrozumiałe słowa.

W pewnej chwili szarpnął ramionami, jak gdyby zasłaniając się przed niewidocznym napastnikiem. Wydał przy tym z piersi krótki, ostry okrzyk, który zamarł mu na ustach. Ręce opadły na kołdrę. Wkrótce chłopiec znów zaczął się drapać i przewracać, wreszcie otworzył oczy. Usiadł na posłaniu. Serce biło mu tak mocno, że czuł jego uderzenia w okolicach krtani. Wstrzymał oddech z przerażenia, gdyż mógłby przysiąc, iż ktoś znajdował się w pokoju. Rozejrzał się raz, drugi, dokładnie poomiatał wzrokiem wszystkie meble.

Nic.

Cisza.

Martwa cisza.

To tylko księżyc, za jasno świeci.

Położył się z powrotem. Tym razem naciągnął na głowę kołdrę i szczelnie się nią poowijał, na wszelki wypadek, by niczego dziwnego nie usłyszeć ani nie zobaczyć. Tak dotrwał do godziny ósmej rano, aż wreszcie zbudziła go dobiegająca z sąsiedniego domu głośna, rytmiczna muzyka.

Jako jedno z nielicznych dzieci w tym wieku Michał nie cierpiał popu. Matka pianistka nauczyła go doceniać uroki Bacha, Schuberta i Chopina. Sam również potrafił niezłe grać, choć brakowało mu cierpliwości do ćwiczenia. Anita bardzo nad tym ubolewała, lecz postanowiła nie robić z malca artysty na siłę. Ten natomiast preferował książki o duchach, zatem rodzice dbali, by nie brakło ich w jego imponującej jak na tak młody wiek biblioteczce. Państwo Hayward woleli mieć syna z wyobraźnią niż bez niej, tak więc nikt nigdy nie kwestionował literackich preferencji chłopca. Grunt, że angielskiego uczył się w zawrotnym tempie, i że sam potrafił pisać całkiem niezłe opowiadania. Matka – wirtuozka i ojczym – ceniony projektant wewnątrz mieli z czego być dumni.

Kiedy Michał zszedł do kuchni, zastał Anitę jedzącą przy stole i ojca krzątającego się przy ekspresie z kawą.

– Dziadostwo przecieka – utyskiwał Sam. – Zupełnie się popsuło!

Spojrzenie dziecka padło na pozostawioną ubiegłego wieczoru maskotkę. Wciąż znajdowała się w tym samym miejscu. Teraz jednak leżała na wznak. Wzrok szklanych oczu misia koali przecinał się ze wzrokiem ciotki Mabel. Michał zauważył, że kobieta patrzy na jego zabawkę i zrobiło mu się nieprzyjemnie.

– Boję się tej pani – wymamrotał pod nosem, przytulając pluszaka i spoglądając na portret z ukosa, z wyrazem dezaprobaty.

– To tylko obraz, kochanie – uspokoiła Anita. – Ta pani była ciotką Sama.

– Nieprzyjemna – ocenił malec.

Pani Hayward spojrzała na męża. Ten skwitował szczerą do bólu uwagę pobłażliwym uśmiechem.

– Nie znałem jej dobrze... Była dziwna – przyznał. – Ale też miała w życiu pod górkę.

– To znaczy?

– Cierpiała... Masz rację – zwrócił się do Anity. – Twój syn to kopia ciebie!

– Nasz syn – poprawiła.

– Oczywiście.

Otarła się policzkiem o ramię męża. Koszula ładnie pachniała nowym płynem do prania, w przeciwieństwie do wszystkiego innego, co znajdowało się w domu. Dominowała tu bowiem woń butwiejących antyków i preparatu na mole.

– Konwalie – powiedziała z zadowoleniem.

Jakby czytając jej w myślach, Sam otworzył okno na oścież.

– To chemia... Za oknem na wiosnę będziesz tu miała całe pole prawdziwych konwalii – zdradził.

– Póki co mamy paździenik i całe pole niewygrabionych liści.

Wymownie mrugnęła okiem.

– Jutro. Obiecuję – zobowiązał się Sam.

Rodzina zasiadła do posiłku. Michał unikał wzroku ciotki Mabel, ona z kolei zdawała się nie spuszczać go z oka. Prześladowało go poczucie, że jest przez nią obserwowany.

– Nie myśl tyle, tylko jedz. Od filozofowania nikt jeszcze nie urósł – zażartowała Anita.

– Ona na mnie patrzy – bąknął chłopiec.

– To nie książka, to życie. Takie rzeczy tylko w książkach – odparł zdecydowanym tonem pan Hayward. – Może kiedyś sam zostaniesz pisarzem, kto wie?

– Chciałbym!

– Bylibyśmy z ciebie dumni... I będziemy, jakikolwiek zawód wybierzesz, jeśli się do tego przyłożysz... A ciotka Mabel na pewno by się z tobą zaprzyjaźniła.

– Hmm... – wyrwało się Anicie.

– Ale ja nie chciałbym być jej przyjacielem – skontrował niespodziewanie Michał.

– Była nieszkodliwa – zapewnił z uśmiechem Sam.

Malec przesiadł się na przeciwną stronę stołu, na miejsce, z którego nie było widać portretu.

* * *

Anita nie była religijna, choć wychowała się w dość surowym katolicyzmie. Nie chodziła zatem na niedzielne msze, lubiła natomiast spacerować koło świątyń, czasem zwiedzała je także od wewnątrz, by ukoić nerwy, wsłuchując się w ciszę lub w uduchowioną muzykę. Uwielbiała te małe, protestanckie kościółki na prowincji, z nieodłącznymi cmentarzykami

okalającymi surową, dostojną, choć z reguły niedużą budowlę. Tak właśnie wyglądała parafia w miejscowości w Devonshire, skąd pochodził jej mąż.

Jak zwykle o tej porze wybrała się na przechadzkę właśnie w okolicę kościoła, by posłuchać dobiegających z jego wnętrza urokliwych harmonii ćwiczącego chóru. The Marble Angels odbywali próby z wyjątkową regularnością, pod czujnym okiem muzycznego pastora. Duchowny zrzeszał wokół siebie nie tylko chórzystów, lecz także emerytki, które licznie przychodziły na organizowane przez niego spotkania dla seniorów. Wśród tej grupy wiernych prym wiodła Eloise Marshall, była nauczycielka historii i chodząca kronika lokalna.

Na widok Anity, siedząca na ławce nieopodal cmentarza Eloise uśmiechnęła się życzliwie i zapraszającym ruchem ręki wskazała miejsce obok siebie. Pani Hayward nie miała zbyt ochoty na rozmowę, lecz jakoś nie potrafiła zignorować przyjaznego gestu ze strony nieznajomej.

– Jeszcze się chyba nie znamy – powiedziała, siadając.

– No to teraz nadarzyła się znakomita okazja – odparła kobieta. – Eloise Marshall.

– Anita.

– Anita... Bardzo ładnie. Hiszpańskie imię?

– Polskie.

– Ach, racja... Przecież to pani jest tą żoną Sama Haywarda! Dobry Boże, pamiętam go jako szkraba w krótkich spodenkach... Zleciało jak z bicia strzelił! Jak się pani mieszka w tym starym domu?

Małe, ciekawskie oczka staruszki wędrowały po całej twarzy nowej znajomej.

– Jest wiekowy i czasem sprawia niespodzianki – odrzekła Anita. – Do tego wszystko tak dziwnie pachnie... Staram się palić świece i kadzidła, ale niewiele to daje... Dom wymaga remontu, może zdołam nakłonić męża, żeby coś z tym zrobił.

– Palenie świec to zawsze dobry pomysł – stwierdziła Eloise.

Anita lekko uniosła brwi.

– Tak, dodają klimatu – zauważyła.

– I odganiają złe duchy.

– Jakie złe duchy miałyby grasować w naszym domu? – zdziwiła się pani Hayward. – Rodzina męża była bardzo porządna. Jedna dziwna ciotka zdarzyć się może wszędzie.

Pani Marshall uśmiechnęła się na te słowa.

– Oczywiście – zaaprobowała. – A jak się odnajduje pani syn? Ma pani syna, prawda?

– Tak, mam syna Michała.

– Michała...

– Jeszcze nie chodzi do szkoły. Dziś został w domu, miał ciężką noc przez alergię.

Zupełnie nagle twarz sędziwej Eloise stała się trupioblada. Rysy ściągnęły się w grymasie przerażenia, tak jakby kobieta właśnie zobaczyła coś wyjątkowo okropnego.

– Proszę pani? – zaniepokoiła się Anita.

Złapała swą towarzyszkę za nadgarstek, lecz ta wpatrzona była w daleką przestrzeń, prawie martwym, otępiałym wzrokiem. Rękę miała lodowatą.

– Pani Marshall!

Dopiero po upływie mniej więcej minuty emerytowana nauczycielka wybudziła się z tego dziwnego letargu.

– Niech pani zmieni dziecku imię – wysapała.

– Co takiego?

– Niech pani zmieni dziecku imię i szybko się stamtąd wyprowadzi! Musicie się wyprowadzić! Niech pani bierze syna i ucieka!

– Nie rozumiem... Pani Marshall, czy zawołać pogotowie? Czy wszystko w porządku?

– Dziecko, ze mną wszystko w porządku, nigdy nie czułam się lepiej! To o was chodzi, o waszego syna, grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo!

Anita poczuła coś nieprzyjemnego w klatce piersiowej. Czasem jej serce potykało się, szczególnie w sytuacjach takich jak ta, gdy zaskoczyła ją zła lub przynajmniej alarmująca wiadomość.

– Co też pani opowiada? – wyrzuciła z siebie zduszonym głosem.

Nie bardzo mogła oddychać.

– Jakie niebezpieczeństwo?

Pani Marshall zdążyła już ochłonąć. Na jej policzki powróciły cienie rumieńców, które jeszcze parę chwil temu wyglądały jak namalowane. Delikatnie wyswobodziła swój nadgarstek z uścisku Anity. Nigdy nie lubiła być dotykana, szczególnie przez obcych.

– Drogie dziecko – zwróciła się do niej uroczyście, podświadomie imitując ton głosu swego ulubionego duchownego. – Jest coś, o czym chyba mąż pani nie powiedział.

– Jak to?

Głos zamarł Anicie na ustach.

– Nie, nie chodzi o niego samego... Sam to przedobry człowiek – uspokoiła Eloise.

– Nic już z tego nie rozumiem...

– Wspomniała pani o ciotce Mabel... Że była, jak to pani ujęła, „dziwna”.

Pani Hayward twierdząco skinęła głową.

– Czy wie pani, dlaczego odebrała sobie życie?

– Tak... Biedna kobieta!

– Przez te swoje nieszczęścia zwyczajnie straciła rozum. Wcześniej wcale nie była „dziwna”; była przemiła i przedobra, i arcytowarzyska... A ten obrzydliwy lump ją wykończył! Przyjaźniłyśmy, pracowałyśmy w tej samej szkole...

– Bardzo mi przykro, ale co to ma wspólnego z moim synem?

– Dużo.

– Jak to?

– Jej mąż miał na imię Michael.

– Michael!

– Tak. Nosił to samo imię, co pani syn. Tuż przed śmiercią Mabel powiedziała, że przeklina to imię i kogokolwiek z przyszłych pokoleń w jej rodzinie, kto będzie je nosić. Pani syn to Michał. Musi go pani nazwać inaczej.

– Co takiego?

– Pogadam z pastorem.

– To jakiś nonsens... Ta kobieta postradała zmysły, dlaczego mielibyśmy traktować jej pogroźki poważnie? Z tego powodu, że ktoś inny oszalał z żalu, miałabym wprowadzać chaos w życie mojego dziecka?

– Wiem, że trudno takie rzeczy traktować poważnie, ale ja znałam Mabel lepiej niż ktokolwiek inny. I dobrze wiem, że ona zawsze dotrzyma słowa. Miała żelazną zasadę: „nie pożyczaj jeśli nie możesz oddać i nie obiecuj, jeśli nie masz zamiaru się z tego wywiązać”. Zawsze to powtarzała, pierwszy raz usłyszałam od niej te maksymy chyba w podstawówce. Być może ta klątwa to tylko czcze pogroźki... Ale jeśli to prawda? Osobiście uważam, że śmierć Michelle Cloggs też nie była przypadkiem.

– Michelle Cloggs? Kim ona była?

– Córką kuzyna pani męża. Zmarła w dniu własnych chrzcin...

– Jezus Maria!

– Błagam, niech pani uważa! Niech pani porozmawia z Samem, ja nie wierzę w zbiegi okoliczności. I znam słowność Mabel. Musi pani ratować syna!

– Dzięki za ostrzeżenie. Do zobaczenia, pani Marshall!

Anita rzuciła te słowa, gdy już zerwała się pospiesznie z ławki i pobiegła w stronę domu. Dotarłszy na miejsce, schyliła się, wsparła dłonie na zgiętych kolanach i z trudem złapała duży haust powietrza. Nie śmiała spojrzeć w okno jadalni, gdyż widać przez nie było portret Mabel Spearing.

* * *

Podczas gdy Sam siedział przed komputerem i przeglądał kolejne oferty zleceń, mały Michał przebywał w swoim pokoju, zajęty lekturą ukochanej książki. *Ghost Stories for Children* – widniało na kolorowej okładce. Ogromne oczy chłopca rozszerzały się coraz bardziej, w miarę rozwoju akcji opowiadania o nawiedzonym domu. Trochę nieswojo czytało mu się takie rzeczy w miejscu, które mogłoby służyć za adekwatną scenerię. Niemniej było w tej książce, i w samym akcie obcowania z nią, coś czarodziejskiego, uzależniającego.

Na chwilę oderwał się od woluminu, gdyż zdało mu się, że woła go matka.

– Michael!

Zamienił się w słuch.

– Michael!

Nie, to nie była matka. To jakaś kobieta, wołała go po angielsku... Kimże ona mogła być i czego od niego chciała?

Odłożył książkę i podszedł do okna.

– Michael!

Głos, cichy, trochę ochryply, zadawał się dobiegać z wnętrza pokoju, choć brzmiał jak odległe, zwielokrotnione przez masy powietrza echo.

– *I'm here! What do you want from me?*¹ – odezwał się chłopiec, coraz bardziej zaniepokojony.

– Michael!

Cisza.

– *What do you want? Who are you?*² – dopytywał.

Nic.

Po raz pierwszy w życiu Michała rozboleła głowa. Dolegliwości były na tyle dotkliwe, że postanowił zejść na parter i poprosić ojca o pomoc.

– Aspiryna powinna dać radę – zawyrokował flegmatycznie Sam.

Począł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął z niej pudełko opatrzone sporym szyldem słynnej drogerii.

- Proszę. Popij dużą ilością wody, żeby cię brzuch nie rozboleł.
 - Już mnie boli. Jest mi niedobrze.
 - Zażyj aspirynę, odczekaj, i wszystko powinno być w porządku.
 - Dobrze, tato. Dziękuję.
- Po raz pierwszy powiedział do Haywarda „tato”.

* * *

Anita zastała ich rozmawiających przy kuchennym stole. Śmiali się, wyglądali na zrelaksowanych. Było jej potwornie głupio... *Zaraz, już za moment, miała się zbłąźnić przed własną rodziną. Wezmą mnie za kompletną wariatkę, ale z drugiej strony nie mogę tak po prostu się zamknąć i udawać, że o niczym nie wiem? Zwłaszcza jeśli to prawda? A jeśli ta kobieta ma demencję i bredzi? Nie no, muszę powiedzieć* – biła się z myślami. W końcu, zebrawszy się w sobie, weszła do kuchni niepewnym krokiem.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Sam na widok jej zmienionej twarzy oraz błędnego wzroku zdradzającego niepewność.

– Tak, kochanie... Ze mną w porządku. Ale jest coś, o czym musimy porozmawiać... Może nie przy dziecku...

Położył jej na ramieniu swą ciężką, masywną dłoń i odprowadził ją w najdalszy kąt salonu. Opiekuńczy dotyk męża podziałał na nią kojąco, ale jednocześnie czuła na plecach coś zimnego: wzrok ciotki Mabel. Obecność zmarłej w pokoju wydawała się teraz rzeczywista, czy to pod wpływem stresu związanego z rewelacjami pani Marshall, czy też istotnie coś było na rzeczy.

- Co się stało? – zagaił Hayward, wyraźnie zmartwiony.
- Przypadkiem poznałam niejaką panią Marshall... – zaczęła.

Uśmiechnął się od szeroko i beztrąsko.

– Eloise Marshall – doprecyzowała.

– Ach tak, stara pocziwa Eloise! To moja odwieczna znajoma, przyjaciółka domu. Z ciotką Mabel były dość blisko, Eloise bardzo się nią opiekowała...

Anita przełknęła ślinę.

- Tak, to ta kobieta.
- Też dziwaczka, i też z gatunku tych nieszkodliwych.
- Sam...

- Dobrze, słucham.
- Dowiedziałam się od pani Marshall czegoś ważnego. Sam westchnął.
- Spearing miał na imię Michael... Tak samo jak nasz syn...
- I co z tego?
- Czy Eloise wspominała ci coś o ostatnich chwilach Mabel? O tej klątwie? Na te słowa brwi Hawyarda uniosły się tak wysoko, że jego gładkie zazwyczaj czoło pokryło się całą harmonijką poprzecznych zmarszczek.
- O jakiej klątwie? Czyżby już jej zupełnie odbiło?
- Podobno Mabel Spearing tuż przed śmiercią rzuciła klątwę na każdego kolejnego członka rodziny, który będzie nosił imię tego człowieka... Michał to teraz także twój syn...
- Sam z niecierpliwością przewrócił oczyma.
- Eloise twierdzi, że w twojej rodzinie zmarła dziewczynka imieniem Michelle.
- Michelle Cloggs?
- Tak.
- To było chyba jeszcze przed śmiercią Mabel.
- Czy aby na pewno?
- Chwila moment... Nie, to było niedługo potem – skorygował. – Ta mała urodziła się z bardzo ciężką wadą nerek.
- To nie przez nerki.
- A przez cóż innego?
- Jeśli to prawda o tej klątwie?
- Anita zawiesiła błagalny wzrok na twarzy Sama, która przybrała znużony, lekko zblazowany wyraz.
- Musimy zmienić Michałowi imię.
- Pan Hayward ciężko westchnął, po czym odwrócił się plecami do żony i teatralnie złapał się za głowę.
- Tego jeszcze brakowało... – jęknął.
- Sam...
- Głupoty. Taka inteligentna, ocytana kobieta jak ty nie powinna wierzyć w takie idiotyzmy.
- To nie są żadne idiotyzmy. To jest empiria.
- Czasami pioruny uderzają w ludzi, to lepiej nie wychodzić z domu – ironizował Sam.

Miał bardzo zdegustowaną minę. Anicie natomiast trzęsły się ręce. Serce biło jej nierówno, tak samo jak wtedy, w czasie rozmowy z panią Marshall. Stało się dokładnie to, czego tak bardzo się obawiała: mąż uznał, że kwestię klątwy należy włożyć między bajki. Jednakże nie była pora, by myśleć o jego niedowiarstwie. Trzeba było jakoś ratować Michała... Sęk w tym, że skoro Sam uznał całą sprawę za wytwór czyjegoś starczego obłądu, w pojedynkę, bez pomocy męża, nie mogła nic wskórać.

Niespodziewanie, Hayward odwrócił się z powrotem przodem do niej.

– Przepraszam – powiedział skruszonym tonem. – Nie powinienem był się tak zachować.

Przytulił ją mocniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– W porządku – odparła prawie niesłyszalnie. Jego koszula wchodziła jej do ust i tłumiła głos niczym knebel.

– Jeśli chcesz, możemy pogadać. Nie chcę się upierać dla zasady. Osobiście nie daję wiary tym opowieściom, ale jeśli miałabyś się czegokolwiek obawiać, choćby zupełnie niepotrzebnie, musimy się zastanowić nad rozwiązaniem nawet nieistniejącego problemu.

Uśmiechnęła się przez łzy, które teraz, gdy napięcie opadło, obficie napłynęły jej do oczu.

* * *

Zgodnie z żądaniem Anity, państwo Hayward zmienili Michałowi imię. Z początku chłopiec protestował przeciwko tak dziwacznej i niezrozumiałej dla siebie decyzji rodziców, lecz kiedy matka zapewniła, że to dla jego bezpieczeństwa, uzasadniając wszystko w dość kuriozalny, lecz z punktu widzenia dziecka wystarczający sposób (autorytet rodzicielski znaczył więcej niż logika), przyjął decyzję z nieudolnie skrywaną rezygnacją. Wybrał sobie imię Matt, które podobało mu się na równi z własnym.

Dawny Michał, a obecny Matt, zaczął mieć jednak poważne kłopoty ze zdrowiem. Lekarze rozkładali ręce, zrzucając bezsenność oraz zmiany nastroju na karb gnębiącej chłopca alergii. Pewnego dnia, mniej więcej miesiąc po spotkaniu Anity z panią Marshall, malec bawił się kolejką. Było już późnawo i barwa nieba za oknem z przyjemnie złocistej zaczęła ewoluować w stronę ciemniejszych odcieni. Przez otwarty lufcik do pomieszczenia wpadały podmuchy zupełnie zimnego wiatru – zwiastuny nadchodzącego zmroku. Co pewien czas rozlegały się w oddali nawoływania wron, gromadnie zmierzających na nocny spoczynek.

Wtedy właśnie najpierw samoistnie zatrzasnęło się okno, a zaraz po nim drzwi wejściowe, dotychczas uchylone dla lepszego przepływu powietrza. Sunąca gładko po szynach kolejka nagle stanęła. Matt drgnął na całym ciele. Jednocześnie usłyszał, najpierw za swymi plecami, a następnie dobiegający z różnych części pokoju, ten sam co wcześniej, kobiecy głos. Tym razem jednak nie wzywał on jego imienia, lecz jedynie zanosił się charczącym szlochem, o brzmieniu przerażającym, lecz zarazem tak smutnym, że chłopcu aż zadrżał podbródek. Z czasem zawroźnienie zaczęło przypominać wycie zrozpaczonego wilka, budząc bardziej grozę niż żal.

Matt pobiegł do drzwi, chcąc uciec ze swego pokoju i schronić się w salonie, bezpiecznie, u rodziców, okazało się jednak, że zamek jest zamknięty i nie sposób się wydostać na zewnątrz. Dopiero gdy zaczął głośno się dobijać, krzyczeć i wołać o pomoc, na górę wbiegła Anita. Po paru sekundach kręcenia gałką i nawoływania się z synem, zdołała otworzyć drzwi.

– Ona tu była – jęczał Matt.

– Kto?

– Ta kobieta. Ona tu była!

Był roztrzęsiony. Mocno objął matkę w pól, spazmatycznie wbijając się paznokciami w jej talię.

* * *

Wieczorem, gdy Sam wrócił od klienta, zastał Anitę i Matta siedzących na sofie w salonie. Czytali razem książkę – o lżejszej tematyce niż te, w których chłopiec dotychczas gustował – i śmiali się z zabawnych historyjek.

– Jestem wykończony – westchnął pan Hayward.

Posapując, odwiesił swoją marynarkę na ozdobny, drewniany wieszak pamiętający jeszcze dzieciństwo ciotki Mabel.

– Ja też – odezwał się niespodziewanie Matt.

– Cii... – szepnęła Anita.

– Mam nadzieję, że już cię nic nie boli? – zapytał Sam.

– Nie.

– To co się dzieje?

– Ta pani z obrazu... Ona mnie straszy!

Hayward wyduł policzki, a następnie z wolna wydmuchał z nich powietrze.

– Naprawdę już nie wiem, co mam z tym zrobić – jęknął, spoglądając na żonę z wyrazem niesmaku zmieszanego z frustracją.

– Wiem, że to nie do wiary – odrzekła. – Ale mnie chyba uwierzysz.

– Słucham?

– Nie chciałam teraz poruszać tego tematu, ale skoro Matt już go dotknął, nie bardzo mam wyjście... Jestem naocznym świadkiem, że to, co mówiła pani Marshall, to prawda. Matt zresztą nie wiedział o mojej rozmowie z tą kobietą...

– Nie rozumiem...

– To Mabel.

– Co Mabel?

– Twoja ciotka prześladowuje naszego syna – wyjaśniła zwięźle. – Musimy się stąd wyprowadzić. Ona nie da mu spokoju, dopóki nie zniknie jej z oczu.

Sam boleściwie uniósł oczy.

– Jutro porozmawiamy, OK? – westchnął.

Poczłapał do barku, nalał sobie szklanekę whisky, wypił wszystko na jednym oddechu, po czym udał się do sypialni na spoczynek. Matka i syn spojrzeli po sobie.

– Tata nie wierzy – powiedział smutno Matt.

– Ja wierzę i to wystarczy – odparła Anita. – A to wystarczy w zupełności.

Zapatrzyła się na obraz i od razu zauważyła, że dzieje się z nim coś dziwnego.

– Jezu... – wyrwało jej się bezwiednie.

– Mamo? – zaniepokoił się Matt. – Co się dzieje?

– Nic, synku. Boli mnie brzuch.

– Idź się położyć.

– Już synku.

Przytuliła do siebie dziecko, umiejętnie odwracając mu głowę od przerażającego widoku, jaki właśnie ukazał się jej oczom: otóż portret niepostrzeżenie przeszedł upiorną metamorfozę i teraz zdawał się składać z dwóch różnych, lecz idealnie zachodzących na siebie malowideł: na pierwszym, zewnętrznym, widniała twarz młodej, ładnej kobiety – ciotki Mabel Spearing. Warstwa znajdująca się pod spodem ukazywała natomiast inne, wyjątkowo odrażające oblicze, a właściwie samą trupa czaszkę pokrytą strzępami rozkładającej się skóry.

* * *

Po długich pertraktacjach Anicie udało się w końcu przekonać Sama do wystawienia rodzinnego domostwa pod wynajem i przeniesienia się do innej miejscowości. Nazwa miasteczka, gdzie znajdował się wyszukany przez agencję nieruchomości dom, nie rokowała za dobrze. Jednakże pomimo nieprzyjemnego miana, Coffinswell³ urzekło swą bujną zielenią, ładną architekturą oraz sielską atmosferą.

Po drodze, Anita od razu zainteresowała się kościołem parafialnym św. Bartłomieja, do którego, tradycyjnie, przylegał niewielki cmentarz. Skromna, pozbawiona ozdób wieża górowała nad okolicą niczym zgrzebnie odziany, lecz uważny anioł stróż.– Ciekawe, czy tu też jest taki dobry chór – zwróciła się do męża.

– Chór jest na pewno, a przed sobą widzisz cmentarz, czyli też coś, co lubisz.

Anita, która niegdyś pasjonowała się fotografią cmentarną, uśmiechnęła się na to spostrzeżenie.

– Oczywiście! Nie jestem wybredna – zażartowała. – Trochę dobrej muzyki, ładny, malowniczy cmentarz i od razu mam lepszy humor.

W końcu dotarli na miejsce. Dom, który wynajęli, przypominał element scenografii popularnego serialu *Midsomer Murders*: biały, parterowy, od zewnątrz udekorowany kompozycją z krzyżujących się belek pomalowanego na czarno drewna, z dachem krytym strzechą. Sam był nim oczarowany. Od razu napomknął o podobieństwie do miejsc znanych z ulubionego kryminału i zaczął się zastanawiać, czy aby któregoś odcinka nie nakręcono właśnie w Coffinswell.

W międzyczasie Matt zdążył zasnąć na tylnym siedzeniu. Nie chcąc budzić chłopca, ojciec wyniósł go z auta. Anicie podał kluczyki i pilota, by zamknęła pojazd.

– Piękny! – zachwyciła się pani Hayward, spoglądając na urokliwy cottage w dawnym stylu.

– Coś dla ciebie – zauważył Sam. – Ten dom jest stary, ale wyremontowany. Nie to, co moja nieszczęsna ruina! Miejmy nadzieję, że tu lepiej pachnie.

– I że nic dziwnego w nim nie mieszka...

– Daj już spokój.

Anita lekko zacisnęła usta, lecz nie ciągnęła tematu dalej, nie chcąc irytować męża w tak ważnym dla całej rodziny dniu.

Gdy weszli do środka, oczarował ich oszczędny, wysmakowany wystrój wnętrza. Królowały w nim jasne kolory, wszystko z wyjątkiem starych belek pod sufitem oraz antycznego kominka z kratą w stylu neogotyckim, było zupełnie nowe. Pokój z założenia dziecienny udekorowano natomiast trochę za bardzo dziewczęco.

– Pewnie nie będzie zachwycony – uznała pani Hayward, wodząc wzrokiem po różowych meblach oraz ponalepianych tu i ówdzie na ściany naklejkach z księżniczkami.

– Znając Matta, nawet nie zauważy – odrzekł Sam.

Anita objęła go oburącz w pól.

– Dzięki, że się zgodziłeś. Wiem, że kochasz tamten dom, pomimo wszystkich jego mankamentów...

– Najbardziej na świecie kocham moją rodzinę. A rudere może kiedyś sprzedam. Szczerze mówiąc, ja też miałem jej trochę dosyć!

Ścisnęła go jeszcze mocniej.

– My też cię kochamy – wyszeptała.

* * *

Upłynęło parę dni. Zgodnie z przypuszczeniami pani Hayward, mały Matt zupełnie się nie przejął nieszczęsnym różem i księżniczkami w swoim pokoju.

– Będą patrzyły, jak się bawię kolejką – stwierdził.

– Dobrze, że tak do tego podchodzisz – pochwalił Sam. – To tylko pokój. Nieważne, jak wygląda pomieszczenie, ale ważne, kto mieszka w środku.

Malec podniósł głowę znad kolorowanki ze szkockimi zamkami.

– Na szczęście w tym pokoju mieszkam tylko ja – powiedział ścisłym głosem.

Haywardowie spojrzeli po sobie.

– Tutaj nic ci nie grozi – zapewniła Anita. – Wszystko jest nowe, właściciel gruntownie odświeżył to miejsce.

– Ładnie tu. Bardziej mi się podoba tu niż w starym domu.

– Cieszymy się – odrzekł z ukontentowaniem Sam.

Pod wieczór cała trójka wybrała się na spacer zapoznawczy. Skąpane w jesiennych barwach oraz w promieniach późnopołudniowego słońca Coffinswell wyglądało po prostu bajecznie, niczym urokliwa kraina wyjęta prosto z jednego z nostalgicznych, brytyjskich filmów, których akcja rozgrywa się na prowincji.

- Nareszcie spokój – westchnęła Anita.
- Nawet ludzie wydają się tu miłsi – zauważył Sam.
- To prawda... Dobrze zrobiliśmy.

Ścisnęli się mocno za ręce i podążyli w stronę zabytkowego kościoła. Słoneczne promienie właśnie padały na grupę murszejących nagrobków, co sprawiało, że porastający je mech przybrał złotawe zabarwienie.

- Szkoda, że nie masz przy sobie aparatu – powiedział pan Hayward.
- Dam radę komórką, aparat przyniosę kiedy indziej... Mam sporo czasu na fotografowanie!

Z tymi słowami wysunęła z kieszeni telefon i – odłączywszy się od męża i syna – ruszyła w stronę jaśniejszych nagrobków.

- Zaczekajcie – zawołała za siebie.

Podeszła do kamienia, który najmocniej odbijał światło, na podobieństwo lampy z zamontowaną wewnątrz wysokowatową żarówką.

- Super – szepnęła z aprobatą, pstrykając zdjęcie. – No to teraz pod takim kątem.

Sfotografowała kamień kilkanaście razy, po czym, gdy ogromna chmura bez pardonu zasłoniła swym cielskiem słońce, zgasła wyświetlacz i wróciła do swych towarzyszy.

- Szybko poszło – skomentował Matt.
- Ale coś tam mam – odparła, zadowolona.

Obeszli kościół dookoła, zajrzeli do środka, przespacerowali się jeszcze kilkoma uliczkami, a następnie wrócili do domu. Ten przywitał ich życzliwie gasnącymi w szybach pomarańczowymi refleksami.

- Naprawdę fajny – stwierdził Sam. – Szkoda, że nie możemy natychmiast go kupić i sprzedać tamtego...

– Może znajdziemy podobny, tylko jeszcze ładniejszy – pocieszyła Anita. – Kwestia czasu.

- I finansów...
- Wszystko da się zrobić.
- To prawda.

Matt pobiegł na górę, by dokończyć rozdział *Harry'ego Pottera*, a państwo Hayward zostali w salonie. Anita przypomniała sobie o pozostawionej w torbie komórce.

- Pewnie już zdechła – powiedziała do siebie.

Sprawdziła baterię. Wbrew przypuszczeniom, pozostało jeszcze ponad pięćdziesiąt procent.

– Jak tam twoje zdjęcia? – zainteresował się Sam. – Wszystkie dobrze wyszły?

– Nie bardzo chce mi się teraz je oglądać – odrzekła leniwie, odkładając telefon.

– Zgoda, innym razem.

Sam położył na stole deskę serów, po czym nalał sobie i żonie po kieliszku wytrawnego porto.

– Za nowy początek – wzniósł toast.

– Za nowy początek. Za naszą trójkę – dodała Anita.

Upili łyk trunku, po czym usadowili się wygodnie na kanapie, oboje zrelaksowani, zadowoleni i pogrążeni w marzeniach.

* * *

Nastała sobota. Matt od rana urzędował w ogrodzie. Niestety w bezpośrednim sąsiedztwie nie było żadnych innych dzieci, które zechciałyby dotrzymać mu towarzystwa, postanowił więc miło spędzić czas w pojedynkę, wyłącznie w otoczeniu ulubionych zabawek, tak, jak zwykł to czynić przez większość swego życia. Tego dnia pogoda okazała się wyjątkowo łaskawa dla każdego, kto zamierzał przebywać poza domem. Na niebie dryfowały delikatne obłoki, przez które łagodnie przebijały ciepłe promienie słońca. Chłopiec z lubością zamykał oczy i spoglądał do góry, chłonąc przyjemne ciepło.

* * *

W czasie gdy chłopiec rozkoszował się dobrodziejstwami pięknej pogody i samotnie reżyserował przedstawienie z udziałem pluszowego misia koali oraz figurek z klocków lego, Sam i Anita zajęci byli obdzwanianiem wszystkich mechaników w okolicy, gdyż właśnie zepsuł im się fartuch od pralki.

– Zawsze coś się musi schrzanić w weekend! – lamentowała Anita, przeczesując oferty w serwisie usługowym.

Nerwowo przechadzała się przy tym wte i wewte.

– To się nazywa pech – podsumował pan Hayward.

Spojrzeli po sobie.

– To się nazywa wyjątkowo obrzydliwy pech! – stwierdziła Anita.

W końcu zadzwonił telefon. Z numeru, który dotychczas był ustawicznie zajęty, odpowiedział miły głos należący do mężczyzny w średnim wieku, ewidentnie cudzoziemca. Pani Hayward uznała, że wychwyciła u niego polski akcent. Bardzo się więc zdziwiła, gdy w progu ich domu stanął niewysoki człowieczek o śniadej cerze, wyłupiastych czarnych oczach i niezbyt kompletnym uśmiechu od ucha do ucha.

– Jestem Manuel, dobrze trafić? – wyrecytował.

– Doskonale – odrzekła Anita, starając się przywitać mechanika, jak najuprzejmiej tylko potrafiła. – Tutaj, proszę za mną.

Manuel ochoczo pomaszerował za panią domu, dumnie dzierżąc w żyłastej dłoni skrzynkę z narzędziami.

– *La madre que lo pario*⁴ – wymamrotał na widok uszkodzonego fartucha.

– Proszę?

– Co państwo wyprawiać z ta pralka?! – zapytał.

Jego groteskowo krzaczaste brwi podskoczyły w wyrazie wielkiego zdziwienia.

– Praliśmy ubrania – odparła Anita. – Widocznie pękł ze starości.

– Być nowy.

– Hmm...

– Naprawić, spoko. Poczekać trochę, *señora*.

– Nie ma sprawy, zrobię panu espresso.

– Nie pić kawa. Pić cola.

– Dobrze, przyniosę colę z lodem.

Mechanik błyskawicznie opróżnił szklankę i zabrał się do wymiany zniszczonego elementu. Trwało to dłużej niż Anita myślała, gdyż filigranowy człowieczek pracował bardzo precyzyjnie, co jakiś czas klnąc pod nosem i wzywając na pomoc wszystkich świętych.

* * *

Zmierzchało. Sama nie było w domu, a zaafierowana naprawą pralki Anita zupełnie zapomniała o bawiącym się na zewnątrz synku. Dopiero gdy zęgnęła się z mechanikiem, którego odprowadziła do furgonetki, spojrzęła w górę na ciemniejące niebo i uświadomiła sobie, że pora ściągnąć Matta do domu.

– Matt! Już późno, kochanie! – zawołała.

Nikt nie odpowiedział.

– Matt?

Cisza.

– Matt!

Nic.

– Matt, wszystko w porządku?

Obiegła cały ogród, wołając chłopca. Nie odpowiadał. Wreszcie zauważyła na trawie zmięty kocyk i porozrzucane w nieładzie zabawki. Miś koala leżał nosem do ziemi, zasypany lawiną klocków lego. Obok znajdowała się wywrócona plastikowa ciężarówka.

– Matt! – chciała zawołać, lecz głos zamarł jej na ustach.

Dopiero teraz, z opóźnieniem, spostrzegła zwisające bezwładnie z konaru starej sosny martwe ciało synka. Jedna pasiasta skarpetka zsunęła się aż do kostki, druga wciąż była na swoim miejscu... Wokół jego szyi okręcony był rękaw granatowego sweterka. Pani Hayward pociemniało przed oczyma. Uklękła na kocyku, jeszcze ciepłym, gdyż przed chwilą bawił się na nim chłopiec, wsparła się na dłoniach i wydała z siebie nieludzkie, niskie wycie.

* * *

Małego Matta pochowano na cmentarzu w Coffinswell. Na pogrzeb przybyło sporo ludzi, w tym nawet nieznanym, lecz poruszonych nieszczęściem i pragnących dodać otuchy rodzicom zmarłego dziecka. Ceremonia była krótka i zwięzła, bez zbędnych lamentów, roztrzasań czy nietaktownego moralizowania. Anita poprosiła jedynie o akompaniament muzyczny. Jedna z mieszkanek miasteczka, uzdolniona młoda skrzypaczka, zgodziła się zagrać *Arię na strunie G* Bacha.

Gdy żałobnicy – w większości przypadkowi – zaczęli się rozchodzić każde w swoją stronę, Haywardowie wciąż stali nad świeżo usypanym grobem, pogrążeni w zupełnym milczeniu, trzymając się za spocone i lodowate dłonie. Zza gęstej, czarnej woalki Anita widziała otaczający świat w sposób odrealniony, oddalony, niczym na deprymującym przedstawieniu teatralnym. Centralny element owego spektaklu stanowił napis: „Matthias Michael John Hayward”. Kurtyna z gęstej, czarnej gipiury oraz własnych łez osłaniała wychudzoną twarz osieroczonej matki niczym żałobny kir, nadając jej wygląd zgoła upiorny, prawie nie z tej ziemi.

Wtem, nagle, Sam mocno ścisnął żonę za rękę.

– Jezu... – wycharczał niskim, zduszonym głosem.

Nie wierzył własnym oczom. Po przeciwnej stronie grobu zobaczył bowiem postać, która wydawała mu się dziwnie znajoma. Była to średniego

wzrostu kobieta w bordowej sukience. Spod prosto uciętej, czarnej grzywki zakrywającej część jej czoła spoglądały chłodne, jasnobłękitne oczy. Szyję w poprzek przecinał szeroki pas dużo ciemniejszej skóry, o barwie sinawego fioletu.

– Odejdź stąd! – krzyknął pan Hayward.

Jego głos brzmiał rozpaczliwie, prawie histerycznie.

– Odejdź, szatanie! – wołał.

Pani Hayward na próżno usiłowała go uspokoić.

– Mabel! Ona tu jest! – wykrzykiwał jak w transie.

– Gdzie? Nic nie widzę?

– Mabel tu przysła! Stoi nad grobem naszego syna!

Wreszcie, Anita z nadludzkim wysiłkiem chwyciła go oburącz pod ramię.

– Nie patrz na nią – szepnęła. – Niech sobie stoi. My idziemy do domu.

* * *

Śmierć Matta Haywarda jednakowo wpłynęła na oboje rodziców. Sam, choć nie był jego biologicznym ojcem, kochał go bowiem jak własnego syna. Małżonkowie bardzo długo dochodzili do siebie po stracie chłopca. Przez kilka miesięcy albo wcale ze sobą nie rozmawiali, bądź też najwyżej wymieniali absolutnie niezbędne, zdawkowe uwagi dotyczące pracy i prowadzenia gospodarstwa domowego. Nigdy, przenigdy, nie wracali natomiast do tematu niedawnej tragedii, jaka dotknęła ich rodzinę. Obydwoje starali się być zawsze zajęci, oszukując żal nadmiarem pracy, a w wolnych chwilach oddawali się tym samym czynnościom, co zwykle, z tą różnicą, że Anita starannie unikała ulubionych wcześniej cmentarzy.

Gdy nadszedł dzień Wszystkich Świętych, uświadomiła sobie, że od dnia pogrzebu ani razu nie odwiedziła grobu Matta; po prostu nie była w stanie. Wyprawa „w to miejsce” jawiła się jako niewyobrażalny koszmar, trzeba było jednak oddać hołd zmarłemu dziecku. Nie śmiała prosić Sama, by dotrzymał jej towarzystwa, licząc się z tym, że z pewnością odmówi. Jego reakcja na widok ducha Mabel Spearing mówiła sama za siebie: miał za słabą psychikę. Ona przecież widziała to samo co on... A nie zaczęła wykrzykiwać ani histeryzować. *Najwyżej powiem, że nie ma mowy* – uznała.

Jakże wielkie było jej zdziwienie, gdy – uprzedziwszy propozycję – pan Hayward pierwszy spontanicznie zaoferował, że pójdą wspólnie.

– Jesteś pewien? – zapytała, patrząc mężowi głęboko w oczy.

Skinął głową.

Zauważyła, że przez ten krótki czas bardzo się postarzał.

– Dzięki – szepnęła, wspierając się czołem o jego klatkę piersiową.

Serce gnało mu na oślep. Wiedziała, jak bardzo się boi ponownego zetknięcia z Mabel, przez co tym wyżej ceniła sobie jego odwagę.

Dotarwszy na miejsce, zauważyli, że słońce znów pięknie oświetla jeden z nagrobków, dokładnie ten sam, który Anita fotografowała tuż po przeprowadzce do Coffinsville.

– Pamiętasz ten dzień? – zapytała ze łzami w oczach.

– Tak...

– Podejdę. Ciekawe, kto tam leży. Nawet nie obejrzelśmy zdjęć, które wtedy zrobiłam...

Sam ruszył wraz z nią w kierunku skąpanej w złotawych promieniach płyty. Światło padało akurat na tę jej część, gdzie wygrawerowano imię i nazwisko zmarłego. Zaczął czytać.

– Nie do wiary... – zawołał. – To grób Michaela Spearinga!

– Michael John Spearing – przeczytała łamiącym się głosem Anita. – Michael John Spearing! Zapomnieliśmy o drugim imieniu! Spearing miał na drugie John, tak samo jak nasz syn!

Straciła panowanie nad sobą. Krzyczała w niebogłosość, konwulsyjnie rozczapierzając przy tym palce i spoglądając w niebo, prosto w tarczę słoneczną.

Pan Hayward nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Stał nad nagrobkiem ze zwieszoną głową, niczym ponura statua z kamienia. Przed oczyma konwulsyjnie mu drgało, niczym rażone prądem elektrycznym, uwypuklone przez przerośnięty, czarny mech, słowo „JOHN”.

[1] Ang. Jestem tutaj! Czego ode mnie chcesz?

[2] Ang. Czego chcesz? Kim jesteś?

[3] Można tę nazwę przetłumaczyć jako „Trumienna Studnia”.

[4] Hiszp. odpowiednik polskiego: A niech to jasny szlag!

Mabel to ból. Mabel to żal. Mabel to zrodzona z bólu i żalu nienawiść. Mabel pamięta... Krzywda i osamotnienie w cierpieniu bywają niebezpieczne, gdyż – podobnie jak kałuże rozlanej krwi – potrafią zataczać coraz szersze kręgi. Potrafią też topić w sobie nawet całkiem przypadkowe ofiary, jeśli choćby w małym stopniu kojarzą się z tragicznym wydarzeniem. Rozpuszczalnik zwany pamięcią nigdy nie pozwala owej ranie się zagoić, a krwawej plamie stężeć i zaschnąć. Będzie bolało, może aż do któregoś pokolenia, a może koszmar nie skończy się nigdy...

– Joanna Pyłacz

JACEK PIEKIEŁKO

Debiutował powieścią *Ciemne siły* – nominowaną do plebiscytu „Książka Roku 2017” portalu lubimyczytać.pl w kategorii horror. Laureat ogólnopolskiego konkursu na opowiadanie kryminalne w ramach Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu 2015. Autor mrocznego thrillera *Biały Słoń* (wyd. Dom Horroru) oraz kryminału *Wymazani* (wyd. Skarpa Warszawska).

Gdy otrzymałem propozycję napisania tekstu do antologii „W cieniu Bangor”, zdałem sobie sprawę, jak dawno nie czytałem prozy Stephena Kinga. Sam jednak należę do sporej grupy autorów, którzy wychowali się na książkach mistrza grozy z USA. Zanim więc zacząłem rozmyślać na temat historii do opowiedzenia oraz koncepcji narracyjnej, w której jak najbardziej chciałem oddać ducha opowieści snutych przez Stephena Kinga, wróciłem pamięcią do większości wspomnień związanych z Królem.

Gdy z całą rodziną, zgromadzeni przed ekranem telewizora, śledziliśmy ceremonię pogrzebową Jana Pawła II, która odbyła się 8 kwietnia 2005 roku na placu św. Piotra, w rękach trzymałem „Nocną zmianę”. Miałem wtedy piętnaście lat. Zerkałem na kolejne części uroczystości, czytając o walczących na parkingu ciężarówkach...

Moja przygoda z książkami Stephena Kinga zaczęła się jednak o wiele wcześniej. Trwały wakacje, gdy kończyłem czytać „Miasteczko Salem”. Ciepło wdzierało się do pokojów nawet nocą, ale wolałem spać przy zamkniętym oknie. Kto czytał, ten wie, o co chodzi. Z perspektywy czasu myślę, jakie mistrzostwo było w tej prozie, że w magiczny sposób fikcyjne wydarzenia potrafiły tak mocno zawładnąć umysłem dzieciaka.

Podobne odczucia miałem po przeczytaniu opowiadania „Człowiek w czarnym garniturze”. By wrócić do swojego pokoju, najpierw zapalałem światło w kolejnych pomieszczeniach, aby tylko nie iść w ciemnościach. Chciałbym cofnąć się do tych czasów, gdy literatura grozy potrafiła tak porządnie przerazić.

„Lśnienie” to kolejki do lekarzy. Tylko tyle pamiętam. Powieść pochłonęła mnie bez reszty. Do dzisiaj widzę wyobrażenia kolejnych scen, puste hotelowe korytarze, pokoje, wannę, pomarańcze, zwierzęta wycięte w żywoptocie oraz popadającego w szaleństwo Jacka Torrence’a. Majstersztyk.

Gdy uczęszczałem do gimnazjum, zacząłem tworzyć coraz więcej opowieści, stawiałem pierwsze próby pisarskie. Pewnego pochmurnego dnia z niecierpliwością oczekiwałem na przesyłkę zamówionej książki „Stephen King. Pamiętnik rzemieślnika”. Oglądałem wtedy kryminał na DVD, „Bezszenność” z Alem Pacino w roli głównej. Z pracy wrócili moi rodzice. Mama odebrała paczkę. Był piątek. Odpakowując przesyłkę, czułem ogromne podekscytowanie. Następnie zniknąłem na cały weekend, najpierw zagłębiając się w życiorysie Kinga, a później przyswajając złote porady dla adeptów pisarstwa.

„Smętaż dla zwierzaków” chwycił za serce, a „Misery” wywołało pisarską zazdrość. Chciałem, tak jak King, umieścić bohatera w jednym miejscu i snuć opowieść praktycznie wokół dwóch osób, w jednym domu. Uznałem to za niesamowitą umiejętność, nie każdy pisarz tak potrafi. „Kopułę” czytałem w łóżku, przechodziłem wtedy grypę. Pisanie opowiadania do niniejszej antologii stało się więc sentymentalną podróżą. Interesujące, jak wiele chwil, elementów z przeszłości, które towarzyszyły danej lekturze, potrafimy sobie przypomnieć. Mam nadzieję, że jeśli za kilka lat czytelnik wróci wspomnieniami do okoliczności, w których czytał „W cieniu Bangor – opowieści inspirowane prozą Stephena Kinga”, to właśnie ten moment będzie największym ukłonem, jaki mogłem wspólnie z innymi autorami uczynić dla mistrza literackiej grozy.

– Jacek Piekiełko

Chłopiec z zapalkami

I

Wszystko zaczęło się od jednego spotkania, od kilku składowych, przypadkowych czynników, punktów zbieżnych, które niczym linie papilarne wyżłobione na dłoni skrzyżowały się w pewnym punkcie i doprowadziły do poznania tego faceta.

Byłem świadkiem, jak zetknął się z niemożliwym, i próbowałem wtedy poskładać to w jedną całość. Wciąż zastanawiam się, czy to starotestamentowy Bóg z niego zakpił, los przegrał jego przyszłość... Musicie poznać tę historię, dać wiarę w każde s ł o w o, choć wiem, że proszę o zbyt wiele.

Kończyło się lato. Wśród studentów pochylających się nad szklankami piwa można było wyczuć pewne napięcie, a z kolei uczennice szkół średnich, siedzące przy niewielkich, drewnianych stolikach, nerwowo zajadały desery podawane w kawiarniach. Idąc do pracy, lubiłem ukradkiem im się przyglądać, i trochę zazdrościłem, że całe życie jeszcze przed nimi. Próbowałem wyobrazić sobie, kim te młode osoby zostaną w przyszłości, z jakimi problemami będą się borykać. Swoje życie schrzaniłem równo, nie miałem perspektyw, wybrałem orkę na ugorze, smażyłem się w piekle kuchennego żaru.

Co prawda pracowałem w znanej i cenionej w Katowicach restauracji, ale wiedziałem, że na dłuższą metę ta fucha po prostu mnie wykończy. Nienormowany czas pracy, dwanaście godzin na nogach, późne powroty do domu, zazwyczaj nad ranem, bo przecież po dobrze wykonanej robocie należało odreagować, więc szliśmy z kumplami kucharzami i kelnerami do najbliższych pubów, przesiąknięci zapachem smażonych potraw próbowaliśmy podrywać podpite dziewczyny i chlaliśmy na umór. Potem spanie do południa, pobudka, kawa i fajki, i znowu do tyry, do garów, by gotować dla snobów. Kochałem to i nienawidziłem jednocześnie. Gówniane pieniądze, ale nie na tyle, by nie mieć za co wynajmować starej kawalerki

i opłacić telefon, kupić fajki i chłanie. Bo jedzenie oczywiście dostawałem w knajpie, jadłem więc po królewsku. Asystowałem oraz zastępowałem szefa kuchni, miałem jednak przydział na dania, nad przygotowaniem których sprawowałem osobistą pieczę lub sam je przyrządzałem. Robiłem najlepsze krewetki na maśle, białym winie, z papryczkami chili, czosnkiem, oblepione posiekanymi liśćmi świeżej pietruszki. To najprostsze danie pod słońcem, wymagające jedynie połączenia wysokiej jakości składników, za które klienci płacili zawyżone sumy, sprawiło, że spotkałem Ozona. Jednak kluczem do jego podniebienia okazał się przepis na Ossobuco z jelenia w autorskim sosie z pomarańczy.

Siedziałem wtedy na zapleczu na małym, drewnianym stołku, w otoczeniu koszów na śmieci, i paliłem papierosa. Zaciągając się, spoglądałem na paczkę Winstonów, których parszywy tytoń przypominał mi gębę tego francuskiego pozera Macrona. W końcu palił je cały jego sztab wyborczy. W tym i Macron przygotowujący się do objęcia funkcji prezydenta Francji. Tak rozmyślałem o dokumencie obejrzanym na kolejnym już darmowym koncercie Netflix'a, gdy w drzwiach pojawił się Mariusz. Miał grobową minę.

– Adrian, kurwa... wstawaj.

– Co jest? – Spojrzałem na niego zza kłębow dymu.

– Proszę cię na salę. Klient jest tak wkurwiony, że masakra. Współczuję.

Podniosłem się leniwie, poprawiłem fartuch i z uśmiechem ruszyłem w kierunku kuchni. Za długo pracowałem w branży, by dać się wkręcić kelnerowi. Wiedziałem, że muszę wyjść na salę, ale byłem też pewien powodu, dla którego miałem to zrobić. Czasami klient chciał dać wyraz zadowolenia, zrobić show i przy wszystkich innych gościach restauracji pochwalić dokonania kulinarne kucharza odpowiedzialnego za danie. Tak naprawdę taki gość zazwyczaj chce wyrzucić wrażenie na innych, zwrócić na siebie uwagę, połechtąć swój pielęgnowany latami snobizm; nie cierpiałem takich dupków, zwłaszcza tych, którzy nie dawali sowitych napiwków.

– I co? Przesolone? – rzuciłem, puszczając oko do kelnera.

– Jako kucharz jesteś w tym kraju skończony.

Wciąż się uśmiechając, pokazałem mu środkowy palec. W sumie lubiłem te „branżowe” gry trudne do zrozumienia osobom z zewnątrz.

– Już Turas pytał o ciebie w kebabie – dodał, gdy go mijałem.

– Tylko dzięki mnie dostajesz napiwki niewdzięcznikowi – odparłem.

Drugi z kelnerów, który akurat odbierał nowo wydane dania, zawołał:

– Siódemka!

To oznaczało najbardziej oddalony stolik, w rogu sali, otoczony dwoma ściankami działowymi, oddzielającymi klienta od reszty gości. Rezerwowały go zazwyczaj osoby, które potrzebowały prywatności, przedsiębiorcy, biznesmeni załatwiający poufne sprawy. Gdy zbliżyłem się do przejścia nieopodal stołu, najpierw dostrzegłem potężny kark i łysą, okrągłą czaszkę. Na gładkiej skórze odbijało się światło wiszących nisko lamp. Nie zauważyłem mojego przyjścia do czasu, aż dwie atrakcyjne, młode kobiety siedzące naprzeciwko przeniosły wzrok na mnie.

Ozon, tak wszyscy zwracali się do niego, odwrócił się i spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem. Nosił białą, za szeroką koszulę rozpiętą na klatce piersiowej, ukazującą gęsty zarost na torsie. Na szyi wisiały trzy grube, złote kety. Spod podwiniętego mankietu błyszczał roleks, a wszystkie palce oprócz kciuków pokrywały potężne, kolorowe sygnety. Przypominał króla cyganów.

Miał szeroko osadzone oczy, nieduży, rozplaszczony nos oraz łagodne łuki brwiowe bez żadnych włosów, co sprawiało, że wyglądał nieco upiornie. Jego twarz również była gładko ogolona, bez cienia zmarszczek; dopiero później miałem przekonać się, jak prezentują się jego kurze łapki, gdy rechotał ze swoich niezbyt śmiesznych żartów. Między wąskimi ustami trzymał niezapaloną cygaretkę. Trudno było powiedzieć, by grzeszył urodą, ale niewątpliwie emanował niewytłumaczalną charyzmą.

Zatrzymał na mnie wzrok o jedną chwilę za długo, co sprawiło, że na moment poczułem się niezręcznie. Miałem wrażenie, że spojrzeniem przewierca na wylot. Jakby w tajemny sposób starał się sprawdzić, czy posiadam duszę. Pamiętam dokładnie, że właśnie wtedy przyszło mi to na myśl.

– To pan przygotował to danie? – odezwał się, celując grubym palcem w talerz pokryty resztkami potrawy.

– Nie wiem. Nic nie widzę. – Spojrzałem na naczynie, a kobiety, blondynka w czerwonym kostiumie podkreślającym biust oraz brunetka w sukience z niebywale głębokim dekoltem, zachichotały.

Ozon przeniósł wzrok na swoje towarzyszki i rozłożył ręce w geście bezradności, co wprawiło kobiety w jeszcze lepszy nastrój. Szeptaly coś między sobą, próbując powstrzymać się od śmiechu. Na stole stały dwie

butelki z resztkami czerwonego wina oraz prawie pusta flaszka najdroższego szampana, wetknięta w kubek z lodem.

– Cicho, cicho – rzucił mężczyzna. – Widzi pan, jak to z kobietami. Rozwydrzone... – Machnął ręką, po czym nagle wstał od stołu. Był wysoki, potężny, przerastał mnie o głowę. Zaklaskał, najpierw powoli, potem coraz energiczniej, przy czym cały czas z uznaniem kiwał głową. Wskazał kobietom, by poszły jego śladem; one również wstały i rozpoczęły oklaskiwanie, jak się okazało, moich kulinarnych umiejętności. Te pijackie popisy powoli stawały się nudne.

– Przepraszam, muszę wracać do pracy – rzekłem, próbując opuścić towarzystwo.

– Brawo. Brawo! – Mężczyzna podniósł głos. – Podróżowałem po całym świecie, ale nigdy, nigdy wcześniej nie zjadłem tak znakomitej kolacji. Jest pan geniuszem.

– Dziękuję. To za duże słowo – odparłem, coraz bardziej zniecierpliwiony. Już miałem życzyć udanego wieczoru i wykonać krok w tył, ale wtedy usłyszałem magiczne słowa:

– Za taki kunszt należy się napiwek.

Przechylił się na bok, po czym z kieszeni spodni wyjął gruby plik banknotów spięty klipssem, który z trudem się dopinał. Na stalowej klamrze trudno było jednak dojrzeć wygrawerowane symbole. A może po prostu ta sterta hajsu zrobiła na mnie zbyt duże wrażenie, by trzeźwo myśleć.

Ozon zaczął tasować dwustuzłotowe banknoty niczym karciaz przygotowujący się do gry. Sprawnie wyliczył tysiąc złotych, może trochę więcej, a przy każdym przeliczeniu pieniądze przyjemnie szeleściły. Położył stertę nowych banknotów na stole i przesunął w moim kierunku.

– Dziękuję za to dzieło sztuki. To dla ciebie.

– Nie mogę tego przyjąć. To zdecydowanie za dużo.

– Chłopcze, za przeproszeniem... co ty pieprzysz? Możesz wziąć dwadzieścia złotych ochłapów, a nie weźmiesz ode mnie pieniędzy? Szanujmy się.

– Naprawdę dziękuję, ale...

– Widzisz te pieniądze? Możesz je mieć, bo na nie zasłużyłeś. Jeśli ich nie przyjmiesz, to ja je dzisiaj przebaluję, rozdám barmanom, wetknę za majtki dziwkom, bo tym paniom nie muszę płacić. – Spojrzał na kobiety, które po raz pierwszy zdały się zbite z tropu. – Mam tysiąc możliwości, aby je

zagospodarować. W sumie jednak ograniczają się do jednej. Po prostu je przejebie.

Spojrzałem z większym przekonaniem na banknoty, których znaki wodne zachęcająco lśniły w blasku lamp.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Adrian.

– Adrian... Cześć Adrian. Myślę sobie, że to nie wybór między tym, czy weźmiesz pieniądze, czy je zostawisz. Wybierasz między byciem frajerem albo spoko gościem. A więc?

Uśmiechnąłem się szczerze. Ten facet miał odpychającą aparycję i styl bycia, ale paradoksalnie również coś magnetycznego, coś, co sprawiało, że człowiek chciał przebywać w jego towarzystwie, by sprawdzić, czym jeszcze zostanie zaskoczony.

Zrobiłem krok, nachyliłem się nad stołem i spoglądając mu w oczy, wziąłem pieniądze, podwinąłem fartuch i schowałem do kieszeni.

– No – przyznał jowialnie. – Mądra decyzja. Napijesz się z nami?

Tymi słowami zaczęła się rozmowa, która zniszczyła mi życie. Czasami jednak myślę, że po prostu tak miało być. Nic nie mogłem zrobić. Co prawda zawsze jest wybór. Sam podjąłem decyzję, ale w określonych sytuacjach oraz warunkach podążasz za głosem rozsądku, za pragnieniami i wtedy nie możesz przewidzieć, co by było gdyby. Nawet się nad tym nie zastanawiasz. Bo całe twoje dotychczasowe życie aż krzyczy, by coś zmienić. I podejmujesz decyzję najbardziej racjonalną, jaka może w danym momencie być.

– Nie mogę, jeszcze mam robotę – odparłem.

– A ile zarabiasz w tej pracy? – zagadnął Ozon.

– Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach.

– Schlebiasz mi, ale daleko mi do dżentelmena. Jestem pospolitym chamem, ale za to bogatym chamem. To ile zarabiasz?

– Nie lubię rozmawiać o pieniądzach. – Próbowałem wymigać się odpowiedzi na to krępujące pytanie.

– Nie lubisz rozmawiać o pieniądzach. Aha – powtórzył moje słowa bardzo wolno. – W takim razie zrobimy eksperyment. Pomyśl, ile zarabiasz. Masz to? Już pomyślałeś swoją kwotę?

– Tak. – Uśmiechnąłem się, nie sądząc, że ten facet może zaskakiwać z każdą chwilą.

– Pomnóż tę kwotę przez pięć. Umiesz liczyć? Widzę, jak ci paruje mózg.

Nie wiem, dlaczego pozwoliłem mówić do siebie obcemu facetowi w taki sposób. Może dlatego, że od razu zaakceptowałem jego poczucie humoru, te wypowiedane z kamienną miną uszczypliwe komentarze.

– I co? Masz już wynik?

– Tak. – Zarabiałem marnie. Po przemnożeniu czystej pensji bez premii tak jak chciał Ozon, wyliczyłem dziesięć tysięcy złotych, kwotę niewyobrażalną, nieosiągalną w tym zawodzie, chyba, że masz za sobą piętnaście lat pracy i pozycję szefa kuchni w restauracji hotelowej w Warszawie, świecisz ryjem w programach śniadaniowych, a jeśli posiadasz własny program, jesteś krezusem.

– Chciałbyś tyle zarabiać?

– To pytanie retoryczne?

– Mam nadzieję, że nie pomnożyłeś jakichś milionów.

– Dlaczego?

– Bo chciałbym cię zatrudnić.

Prychnąłem.

– Mają rację – zaczął – że rynek należy do pracowników. Daję chłopakowi z dziesięć tysięcy, żeby dla mnie gotował, a ten mnie wyśmiewa – zwrócił się do kobiet.

– Ja też nie chciałabym mieć takiego szefa – powiedziała blondynka, upijając szampana.

– Nie róbcie ze mnie tyrana.

Nie wiedziałem, czy ten facet kpi, czy mówi poważnie. Nie wyglądał na pijanego, mimo że na pewno opróżnił dwie butelki wina. Wydawało mi się, że wciąż się zgrywa, popisuje przed kobietami, chwali pieniędzmi. Chciałem podziękować za napiwek stanowiący połowę mojej miesięcznej pensji, odwrócić się i wyjść, ale z tyłu głowy ciągle świeciła mi myśl, że może koleś jest restauratorem i próbuje mnie podkupić, wrzucić na głęboką wodę i zrobić ze mnie szefa kuchni.

– Ciekawa propozycja, ale brzmi nieprawdopodobnie – odparłem.

– Wyjdziemy zapalić?

Nie mogliśmy palić przed wejściem do lokalu, zwłaszcza w roboczym uniformie. Wiedziałem, że jak pójdę z tym facetem na fajkę, wszyscy pracownicy odprowadzą mnie wzrokiem, a kierownik zamieni w kamień jak Bazyliszek. Muszę jednak przyznać, że w tamtej chwili miałem to gdzieś; zaintrygowałem się propozycją zarabiania większej kasy, mimo iż wydawała się jedynie gadaniem wariata.

Wstał, po czym mozolnie ruszył przez salę restauracji. Szedł pewnie, ciężko, majestatycznie. Miałem wrażenie, że pod koszulą, mimo sporych gabarytów i wyglądu sugerującego nadwagę, całe ciało tego człowieka napędzane jest przez potężne mięśnie katowane latami na siłowni, teraz spoczywające pod płaszczkiem tłuszczu. Wyszliśmy na zewnątrz. Powietrze, przesycone ciepłem całego dnia, roztaczało już wyczuwalną wilgoć. Sierpniowe wieczory zwiastowały koniec wakacji, a schyłek lata zamiast melancholii miał przynieść nadzieję.

– Dobra, to mów, ile chcesz zarabiać? – Zaciągnął się markowym papierosem, którym również mnie poczęstował. Nawet nie wiedziałem, co to za fajki, na pewno nie do kupienia w Polsce.

– Ale nie rozumiem, co mi pan proponuje.

– Ozon jestem. Nie pytaj mnie o imię. – Podał mi ciężką dłoń i zamknął w mocnym uścisku. Równocześnie spojrzał głęboko w oczy, jakby chciał wyczytać z nich całą moją przeszłość.

– Adrian – odparłem. – Czego ma dotyczyć praca? Chce mnie pan podkupić?

– Chyba przeszliśmy na ty przed momentem?

– A tak, sorry.

– Kurwa... ty pijesz w trakcie roboty? Pewnie jak każdy kucharz.

– Nie... ale muszę przyznać, że to dla mnie nowa sytuacja.

Zaciągnął się mocno i nie wypuszczając dymu z płuc, powiedział:

– Dobra, nie pierdol. Ile chcesz zarabiać?

– Bo ja wiem... Czwórka z przodu i byłoby zajebiście.

– Kurwa, młody, celuj wyżej. Ile pomyślałeś? Jaka to była kwota, gdy zadałem ci zagadkę?

– Dziesięć tysięcy złotych.

– No i to brzmi poważnie.

Jeszcze raz podał mi rękę.

– No to teraz pracujesz już dla mnie.

Przyznam szczerze, że dłoń z papierosem, którą unosiłem do ust, drżała mi z niepewności. Chyba naprawdę nie wiedziałem wtedy, co się dzieje, czy facet faktycznie proponował mi niebotyczne pieniądze, czy za moment niczym Joker wybuchnie histerycznym śmiechem.

– Za dziesięć koła? – wyjąkałem.

– Tak, ale bez umowy. Pasuje ci?

– No...

– Nie mam zamiaru płacić tym skurwysynom, rozumiesz mnie? Znam dobrych lekarzy, więc składki też nie są potrzebne, w razie jakbyś się nożem zaciął. A jeśli chcesz dzielić się ze złodziejami, to se załóż działalność gospodarczą i wystawiaj faktury. Ja tam jakąś spółkę znajdę, która będzie ci robić przelewy. – Ściszył głos. – Dla skarbówki nie istnieję, wiesz, o co mi chodzi?

Uśmiechnąłem się niepewnie, wyobrażając sobie, że restauracja, w której będę pracował, jest pewnie pralnią pieniędzy dla innych biznesów prowadzonych przez Ozona. Wiele tego typu knajp istniało na rynku tylko w tym celu. Nie przeszkadzało mi to. Potrzebowałem kasy jak powietrza.

– Od kiedy mam zacząć? – zapytałem.

– Zaszywam się u siebie tak od połowy września, więc wtedy potrzebowałbym już kucharza.

– U siebie to znaczy? O jakiej restauracji mówimy?

Rzucił niedopałek na kostkę brukową, niespodziewanie położył ciężką rękę na moim ramieniu i rzekł, wydychając dym wprost na moją twarz:

– Słuchaj Adrian, szczegóły jeszcze obgadamy. Na razie masz trochę mylne wyobrażenie swojej przyszłości, ale to szybko się zmieni.

Zbił mnie totalnie z tropu. Nie wiedziałem, co oznaczają te słowa.

– Masz tu jeszcze zaliczkę na te trzy tygodnie, żebyś jakoś przetrwał. – Wyjął kolejny plik banknotów, których nawet nie przeliczył. Po prostu oddzielił przypadkową kwotę. – A tutaj moja wizytówka. Zadzwoń do mnie po tym czasie.

Na pierwszym z banknotów zapisał numer telefonu.

– Dobra. Wracam do środka – powiedział, a ja ruszyłem za nim jak cień.

Kobiety wyraźnie bawiły się lepiej we własnym towarzystwie. Gdy wróciliśmy, obserwowały Ozona, starając się wyczuć jego nastrój. Zachowywałem się jak uczeń, któremu największy rozrabiaka w szkole pozwolił przebywać w swoim towarzystwie. Odprowadziłem Ozona do stolika i przez zbyt długi moment stałem jak kołek, po czym w końcu zorientowałem się, że najwyższy czas, by opuścić towarzystwo.

– Miłego wieczoru – rzekłem.

– Dzięki za to żarełko raz jeszcze.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Ruszyłem w kierunku kuchni.

– Hej, Adrian. – Usłyszałem za plecami. Odwróciłem się. – Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. Widzisz te dwie panie? Którą wybierasz na wieczór?

Dziewczyny jak na rozkaz spojrzwały na mnie zalotnie, rozchylając usta.

– Eee, ja... – zdołałem wydusić z siebie.

– Żartowałem! – krzyknął i całe towarzystwo zaniosło się śmiechem.

Gdy tylko wróciłem do kuchni, szef od razu wziął mnie na słowo, narzekając, że musiał sam robić moje dania, a ja paliłem z gościem i to jeszcze przed wejściem, gdzie widzieli mnie inni klienci. Panikował. Kompletnie go nie słuchałem; byłem myślami w innym miejscu. Wciąż siedziałem przy stoliku z pięknymi kobietami i odrażającym mężczyzną, który pomimo nieciekawej aparycji i odpychającego usposobienia, sprawiał wrażenie, jakbym znał go od lat i na jedno skinienie skoczyłbym za nim w ogień.

Tak... to jest dobre określenie – ogień. Będzie dużo o ogniu.

Wszedłem boso w sam środek rozżarzonych węgli.

W kamienicy, w której wynajmowałem norę, kiedyś był skład cyrkowych rekwizytów, figur, lalek, zabawek i bliżej niezidentyfikowanego sprzętu. Dowiedziałem się o tym, gdy wracałem w nocy do mieszkania. Wkroczyłem w ciemny przedsionek i klatkę schodową wypełnioną mrokiem. Oczywiście ktoś wykręcił żarówki. Śmierdziało uryną, zza kolejno mijanych drzwi wydobywały się okrzyki żywej kłótni, pijackie śpiewy oraz odgłosy uprawianego seksu. Włączyłem latarkę w telefonie, by nie potknąć się o nierówne stopnie i wtedy zauważyłem, że na drugim piętrze oraz na schodach leżą porzrzucone figury dzieci. Później dowiedziałem się, że jakiś idiota rozwalił zamek w drzwiach prowadzących do składu tych staroci, wyniósł rupiecie i stwierdził, że upiękniejszy nimi naszą cholerną kamienicę, umieszczając je w każdym możliwym miejscu. Wyrastały nagle z podłogi niczym krasnale ogrodowe zdobiące podwórka polskich rodzin. Miałem tego dosyć. Dostyć menelskich akcji, burd, grózb... Ludzie przychodzili do mnie po pieniądze, a gdy dowiedzieli się, że pracuję w knajpie, domagali się alkoholu. „Przeciesz somsiad nikt by sie nie skapnął, gdyby szanowny somsiad wzioł z lokalu jakąś butelczynie dobrego jakościowo alkoholu... Pan Bóg uczył się dzielić, trzeba się dzielić. Przyjde jeszcze”.

O drzwi wejściowe do mojego mieszkania opierała się gipsowa figura chłopczyka. Wyglądał okropnie. Miał otwarte w uśmiechu usta. Uzębienie jednak było mocno wybrakowane; olejna farba zaczęła się łuszczyć. To samo stało się z jego prawym okiem, lecz tym razem ktoś na wysokości oczodołu wbił widelec. Tuż obok leżała maska klauna z rudą czupryną afro

i pomponem na nosie, do którego przywiązany był przedziurawiony balon. Wyobraźnia autora pracowała, zabrakło helu.

Nogą odsunąłem figurę, zbyt energicznie, gdyż zaraz usłyszałem, jak sturlała się na półpiętro. Wchodząc do mieszkania, zastanawiałem się, co jeszcze odwałą mieszkańcy tej wspaniałej kamienicy.

Pierwsze kroki od razu skierowałem do kuchni, otworzyłem lodówkę i wyjąłem z niej zimną puszkę Tyskiego; nabierałem najlepszych wzorców od mistrzów, idealnie wtapiałem się w ekosystem, który tworzyli. Oddychaliśmy w końcu tym samym powietrzem, rozgniataliśmy na podłodze te same karaluchy, a nasze myśli jednoczyły się w erotycznych wizjach, gdy zza ścian dziewiątki, Kurleska, jak na nią wołano, udawała dla swoich klientów kolejne orgazmy. Upijając łyk piwa, słyszałem, jak biedna nadal pracuje bez wytchnienia. Brzmiała całkiem podniecająco, jednak cały efekt psuło rżenie jakiegoś faceta, którego organizm wyraźnie nie radził sobie z prawidłową gospodarką tlenową. Założyłem słuchawki i włączyłem muzykę, by nie słyszeć, jak schodzi na zawał.

Sarius zagłuszył wszystkie dźwięki, wypełniając pokój muzyką z *Wszystko co złe*. Siedziałem na łóżku, oparty plecami o ścianę, popijałem piwo i próbowałem zrozumieć całą sytuację, która miała miejsce w restauracji. Czy ten facet robił ze mnie wała? Czy z powodu alkoholowej euforii zaproponował mi pracę? Kim był? Skąd się wziął i jaką knajpę prowadził? To, co mówił, brzmiało jak gadanie paranoika, jakby ekspedientka sprzedając mi kupon Lotto, twierdziła, że to „ten” wygrany. Przeklinałem go w myślach. Czułem, że tylko popisывał się przed kobietami, z którymi zjadł kolację. Z drugiej strony banknoty wypełniające portfel mówiły coś całkiem innego.

Wypiłem kolejne piwo. I następne... Została mi czarna Tatra. Nie smakowała. Marzyłem, by napić się Jacka Daniel'sa, miałem jednak na tyle rozumu, by nie wydawać od razu całej kasy na chłanie. Kusilo mocno. Zapaliłem papierosa, strząsając popiół do słoika po utopcach. Nie wiem, co mnie naszło, ale wziąłem do ręki zapisany numer telefonu do Ozona, wstukałem cyfry do smartfona i napisałem SMS-a. Chyba naprawdę tego pragnąłem, z głębi serca, na przekór wszystkim smutnym ścianom kamienicy, które mnie otaczały.

Ozon, mogę pracować dla ciebie od zaraz. Zdecydowałem się.

Chwilę później zasnąłem. Jeśli miałem jakiś sen, nie pamiętałem go. Obudziłem się około dziesiątej, spojrzałem odruchowo na telefon z nadzieją

na odczytanie wiadomości, ale jedyny SMS, który odebrałem, został wysłany przez RMF FM; zachęcali do loterii.

Niestety następne dni upłynęły w totalnym rozżaleniu, które przerodziło się w złość. Mężczyzna oferujący mi pracę zapadł się pod ziemię. Nie odpisywał na kilka wysłanych SMS-ów, nie odbierał połączeń, których wykonałem niezliczoną ilość. W sieci nie istniał. Przepadł jak kamień w wodę...

Powoli godziłem się z porażką. Nie ulegało już wątpliwości, że facet zrobił sobie jaja, chciał zaszpanować panienkom, pieprzył głupoty jak potłuczony. Podzielił się kasą, bo był pijany. Tyle w temacie.

Wracałem do wytrenowanego trybu życia. Pobudki w południe, praca na drugą zmianę, alkohol, późne powroty do domu, spanie i powtórka z rozrywki. Jak zapętlona piosenka.

Siedziałem przy barze w jakiejś totalnej spelunie, paliłem papierosy i chlałem tanią wodę, gapiąc się na zbyt tłuste pośladki barmanki. Ledwo mieściły się w krótkich, dżinsowych spodenkach. Na udach miała dziary, z których czytałem jak z książki. Była późna noc, chyba piątek; to nieistotne. Jesień niemal dożylnie podawała melancholię. Podskórnie czułem, że najlepiej będzie, jeśli wrócę już do domu. Chciałem jak najszybciej znaleźć się pod ciepłą kołdrą. Ciężko podniosłem rękę, mówiąc:

– Ostatni poproszę. – Wskazałem na kieliszek.

Wtedy ktoś położył mi dłoń na karku. Była chłodna, orzeźwiająca, nieprzyjemna.

– Masz dosyć na dzisiaj. – Usłyszałem.

Podniosłem głowę i ujrzałem wysoką kobietę, szczupłą, całkiem ładną. Już wcześniej ją gdzieś widziałem, ale nie mogłem w żaden sposób przypomnieć sobie, gdzie i w jakich okolicznościach mogliśmy się spotkać. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, może byłem na to zbyt pijany, czekałem więc na rozwój wypadków.

– Wychodzimy – powiedziała.

– Czy my się znamy? – wydusiłem, zwlekając się z hokera.

Pociągnęła mnie za rękę. Dałem prowadzić się jak szmaciana lalka na sznurkach. Pamiętam twarze ludzi przeorane bruzdami, światła lamp, mgłę papierosowego dymu i czern wrześnie nocy, gdy wychodziłem. Wepchnęła mnie do samochodu, na tylną kanapę. Oczy zamykały mi się ze zmęczenia. Powoli odpływałem. Usłyszałem ryk silnika.

– Gdzie jedziemy? – zapytałem, nie otwierając oczu.

Pisk opon na mokrym asfalcie nie pozwolił mi od razu zasnąć. Zdołałem usłyszeć tylko:

– Jak to gdzie? – odparła nieznajoma. – Do pracy.

II

Obudziłem się z potwornym bólem głowy. Do takiego jednak stanu zdążyłem się już przyzwyczać. Kac nie robił na mnie większego wrażenia, jednak tamten poranek naprawdę zaczął się paskudnie. W ustach czułem suchy język, jakby nagle napęczniał. Dałbym wszystko za szklanek wody.

Rozejrzałem się wokół, ze zdziwieniem uświadamiając sobie, że nie znajduję się we własnym łóżku. Leżałem na dużym, wygodnym materacu, zatopiony w mokrą od potu pościel. Pokój też był całkiem spory. Po prawej stało biurko, na nim kilka książek, obok całą ścianę pokrywała drewniana biblioteczka. Oprócz niej w pomieszczeniu znajdował się jeszcze fotel, stół z dwoma krzesłami, szafa oraz komoda. Wszystkie meble zdawały się ciężkie, wykonane na zamówienie. Ich rzeźbione fronty wyróżniały się bogatą ornamentyką. Ktoś tutaj gustował w antykach. Przez grube firany docierało nikłe światło. Coś miarowo dudniło o parapet i dopiero po chwili zorientowałem się, że padał intensywny deszcz.

Usiadłem na skraju łóżka i przeczesałem dłonią włosy. Próbowałem przypomnieć sobie ostatnie godziny przed zaśnięciem. Nie pamiętałem za wiele. Kłótnia w kuchni, bo kelner za późno wydał moje danie, przez co było już prawie zimne. Gość restauracji oczywiście poskarżył się na kucharza. Krótkie wędrówki od baru do baru. Ładna barmanka i jej tatuaże na nagich udach. Dużo piłem. Dziury w pamięci niczym leje po bombie, świeciły pustką. I wtedy sobie przypominałem. Jakaś kobieta wyciągnęła mnie z lokalu, wsadziła do samochodu i...

Obudziłem się w nieznanym pokoju. Położyłem się z powrotem na boku, przyłożyłem twarz do poduszki. Czy kobieta, z którą tutaj trafiłem, spędziła ze mną noc? Zamiast perfum i zapachu jej skóry, czułem tylko odór przepeconej poszewki. Śmierdziałem przetrawionym alkoholem i jak najszybciej chciałem coś z tym zrobić.

Przez moment próbowałem wylapać głosy z innego pomieszczenia, ale bezskutecznie. Podszedłem do okna, odsłoniłem zasłony, odchyliłem firany i zdziwiłem się jeszcze bardziej. Na wprost rozciągała się szeroka łąka z wysoką, nieskoszoną trawą, a horyzont odcinały iglaste drzewa tworzące

gęsty las, skryty we mgle. Padał deszcz, niebo przybrało kolor tektury. Znajdowałem się w dworku, hotelu lub pensjonacie; próbowałem z całych sił przypomnieć sobie coś więcej z ostatnich godzin. Może po prostu wynajęliśmy pokój?

W tym przekonaniu utwierdziło mnie sąsiedztwo łazienki, do której przechodziło się bezpośrednio z sypialni. Próbowałem na białych ręcznikach odnaleźć logo hotelu, ale nic nie znalazłem. W końcu stanąłem pod prysznicem, odkręciłem kurek z zimną wodą i doprowadziłem się do porządku. Zimne prysznice są zbawienne, tylko dzięki nim potrafiłem wyjść z mieszkania i po kolejnej popijawie stawić się w pracy.

Rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu ubrań, które gdzieś zniknęły. Na wieszaku znalazłem jednak szlafrok i klapki. Na stoliku nocnym spoczywał mój portfel wraz ze smartfonem. Zauważyłem, że nie ma zasięgu. Uruchomiłem ponownie urządzenie, ale bez rezultatów; nadal ikonka zasięgu przekreślona była szarym krzyżykiem. Spróbowałem włączyć lokalizację GPS, by dowiedzieć się, gdzie się znajduję. Niestety, również nie działała. Na koniec chciałem sprawdzić, czy karta sim spoczywa na swoim miejscu, ale w tym celu potrzebowałbym szpilki lub specjalnego bolca do wyjęcia tacki. Może po prostu karta się obluzowała na stykach i stąd brak sygnału, stwierdziłem. Obiecałem sobie, że zajmę się tym później. W tamtej chwili starałem tylko dowiedzieć się, gdzie jestem i co się działo kilka godzin wcześniej. Czułem się trochę jak bohaterzy *Kac Vegas made in Poland*.

Wyszedłem na pogrążony w mroku długi korytarz. Nie wiem, czy to z powodu złego samopoczucia, czy raczej wrażeń wzrokowych, ale patrząc w dół, zakręciło mi się w głowie. Podłogę na całej powierzchni pokrywał dywan utkany w drażniący wzór. Bordowy sześcian w kształcie plastra miodu otoczony był kolejnym sześcianem przechodzącym w kolejne powtarzające się wzory. Te z kolei otaczały podobne figury sześcianów, tym razem zabarwione na ciemno-musztardowy kolor. Mieniły się w oczach, przyprawiały o zawrót głowy. Wykładzina przywodziła na myśl korytarze przestronnych hoteli. Byłem pewien, że już gdzieś widziałem podobny wzór.

Przyśpieszyłem kroku, by nie spoglądać na mieniące się kształty, szybko dotarłem do schodów i udałem się na parter. Znalazłem się w wielkim holu urządzonego w całkiem nowoczesnym stylu. Jednak we wnętrzu przeważały elementy łowieckie: poroża, wyprawione skóry, wiszące na ścianach strzelby i bliżej nieznanym mi ryszczunek do polowań. Intrygujący był

natomiast fakt, że pomieszczenie, do którego wszedłem, w ogóle nie przypominało hotelowego wnętrza, lecz bogato wyposażony dom.

Gdzie jestem? – Coraz bardziej zaniepokojony, pytałem się w myślach.

Po lewej stronie rozpościerał się ogromny salon z wielkim, solidnie wykonanym stołem, przy którym mogłaby zasiąść wielopokoleniowa rodzina. Po prawej korytarz ginął w półmroku. Do środka przedostawało się mało światła, przez co pomimo poranka całe wnętrze grzęzło w szarości.

Nagle kątem oka spostrzegłem błysk. Efemeryczny, szybki, wręcz niedostrzegalny, ale jednak. Gdy odwróciłem się, zobaczyłem tylko uchylone drzwi prowadzące nie wiadomo dokąd. Zrobiłem krok w ich kierunku. Poczuję także wyraźny zapach siarki, jakby ktoś właśnie potarł zapałką o draskę.

Chwyciłem za klamkę i zamarłem.

– Szukasz czegoś?

Ten głos, który rozległ się niespodziewanie za moimi plecami, wręcz mnie sparaliżował. Czułem jak głośno bije mi serce. Gdy się odwróciłem, o mało nie zszedłem na zawał. Nade mną górował Ozon.

Przyglądał mi się bacznie, lustrował swoim przenikliwym spojrzeniem, z którego nie potrafiłem za wiele wyczytać.

– Ozon, co pan... Co ty tutaj robisz?

Wtedy wybuchnął śmiechem.

– Wiesz co, Adrian, jeszcze nikt nie zdał mi takiego pytania w moim domu. Jesteś pierwszy.

Rozejrzałem się odruchowo.

– Ciężka noc, co? – zapytał.

– Nie da się ukryć.

– Ogarnij się. W pokoju powinny czekać na ciebie jakieś ciuchy. Widzimy się u mnie za piętnaście minut.

Ozon zaprosił mnie do swojego gabinetu. Wszedłem niepewnie, ubrany w białą koszulę na guziki i błękitne chinosy, które wydawały się trochę przyciasne. Ktoś dostarczył nową odzież do mojego pokoju. W końcu poukładałem odpowiednio wszystkie puzzle i doszedłem do wniosku, że Ozon prowadzi po prostu pensjonat i nie zapomniał o zatrudnieniu kucharza.

– Czy oferta pracy jest nadal aktualna? – wypaliłem z grubej rury.

– Inaczej bym cię tutaj nie sprowadzał.

– A gdzie właściwie jesteśmy?

– To niewielka miejscowość, coś około tysiąca mieszkańców. Łuczywo.
Nic nie mówiła mi ta nazwa.

– Jesteśmy jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Katowic, na południu Polski.

– Chciałem właśnie sprawdzić, ale chyba telefon mi nawala.

– Wątpię. Tutaj po prostu jest bardzo słaby zasięg. Nie ma odpowiednich masztów z nadajnikami. Ale mi to odpowiada. Jak tutaj przebywam, jestem odcięty od świata. Nikt nie dzwoni, nie zawraca dupy. Ten czas jest po prostu dla mnie.

– A Internet stacjonarny?

Uśmiechnął się.

– Nie podłączałem. Przekonasz się, że cenię swoją prywatność. Siadaj proszę. – Wskazał na fotel przed ogromnym biurkiem.

– A gościom to nie przeszkadza? – zagadnąłem.

– Jakim gościom?

– No... gościom pensjonatu. Teraz każdy zwraca na to uwagę. U nas w restauracji...

– Jakiego pensjonatu? – przerwał.

– Jeśli to hotel, to przepraszam. Mało widziałem, jak pewnie się domyślasz.

– O czym ty bredzisz, chłopcze? – Skrzywił się.

Już kompletnie nie wiedziałem, co więcej powiedzieć. Ozon pośpieszył z wyjaśnieniem:

– To jest, kurwa, mój dom.

– Co ja w takim razie tutaj robię?

Ozon tylko ponownie się uśmiechnął, zapalił papierosa i odpowiedział:

– Jak to co? Będziesz gotował.

Właściciel płacił sowicie. Dotrzymał obietnicy złożonej podczas pierwszego spotkania w restauracji i postanowił płacić mi dziesięć tysięcy złotych miesięcznie. Musiałem jednak spełnić kilka warunków. Mieszkałem na miejscu, dostałem swój pokój. Godziny pracy były nienormowane. Zdarzały się dni, gdy pracowałem po dwanaście godzin, zdarzały się też i trzygodzinne dni pracy, gdy przygotowałem posiłki odpowiednio wcześniej. Stałem się po prostu osobistym kucharzem majątnego człowieka, którego kompletnie nie znałem.

Zostałem odcięty od zewnętrznego świata, ale potraktowałem to jak wyjazd zarobkowy. Z taką różnicą, że żyłem komfortowo i mogłem robić to,

co lubię. Nie musiałem męczyć się jak wielu moich znajomych gdzieś w Norwegii przy zbiorach truskawek. Wstępnie umówiliśmy się na pięć miesięcy pracy. To dawało pięćdziesiąt koła – kwotę niewyobrażalną. Ponadto Ozon płacił tygodniówki. Stwierdził, że dla mnie będzie to bardziej komfortowe, ponieważ oczywiście nie podpisaliśmy żadnej umowy. Zawsze jednak płacił na czas, zawsze w gotówce, którą wkładał do białej koperty.

Kuchnia była ogromna, wymarzone miejsce dla każdego kucharza. W jej centralnym punkcie stała wyspa zawierająca dwie płyty indukcyjne, a nad nią rozpościerał się profesjonalny okap. Blaty kuchenne wykonano z marmuru, szuflady z systemem automatycznego domykania, lakierowane fronty szafek, dwie lodówki z zamrażarkami, noże fiskars, wysokiej klasy sprzęt... To wszystko było do mojej dyspozycji. Co więcej, zajmowałem się wyłącznie kuchnią. Posiłki podawała Ania, młoda dziewczyna zatrudniona jako sprzątaczką. To ona odpowiadała za nakrycie stołu; czasami pomagałem jej przy wydawaniu dań, gdy Ozon urządzał kolację dla znajomych. Z Anią przeżyłem pewną niewytłumaczalną przygodę, o której opowiem później.

W jednej z szuflad Ozon zostawiał gotówkę przeznaczoną na zakupy produktów. Sam dobierałem menu. Nigdy nic nie sugerował w kwestii przygotowywania posiłków. Miał tylko jeden warunek. Musiałem go codziennie czymś zaskakiwać. Wymagał, by przyrządzone dania były urozmaicone. Musiałem mieszać kuchnie. Mniej więcej wyglądało to w następujący sposób. W poniedziałek wlatywała kuchnia włoska. Wtorek – azjatycka. Środa – regionalna polska. Czwartek ryby, owoce morza. Piątek, sobota, niedziela – totalna dowolność, ale raz w tygodniu koniecznie na stole musiała pojawić się też dziczyzna. Przekrój był ogromny, a wyzwaniem stanowiły zakupy; musiałem je odpowiednio planować, by niczego nie zabrakło, a także by nie marnować drogich produktów.

W dziczyznę zaopatrywałem się u lokalnego koła łowieckiego. Przyjeżdżałem wieczorem do jednego z domów, tam czekały na mnie przebadane porcje mięsa z saren, jeleni, dzików, kuropatw, bażantów, zajęcy. Co drugi dzień odwiedzałem lokalne targowisko, gdzie kupowałem warzywa i owoce. Skąd brałem owoce morza? Jechałem do najbliższego supermarketu, oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów od Łuczywa. Dostałem do dyspozycji BMW x3 z obszerną lodówką umieszczoną w przestrzeni bagażowej. Wypadki do sklepu stanowiły więc czystą

przyjemność. Czasami zamawiałem dobrej jakości steki w sklepie internetowym. W tym celu musiałem udać się gdzieś dalej. Z własnego telefonu mogłem korzystać jedynie poza wsią. To był kolejny z warunków Ozona. Twierdził, że łatwo ktoś ze znajomych mógłby mnie zlokalizować i zadawać zbyt dużo pytań.

– Zarobisz swoje i będziesz zadowolony. Tak mówiłem. To moja samotnia. Nie chcę tutaj nieproszonych gości – tłumaczył Ozon.

– Nie boisz się, że jeśli skończę u ciebie pracować, niepotrzebnie puszczę parę z ust?

– Hmm... Jesteś przekonany, że masz na tyle odwagi?

– Czym się w ogóle zajmujesz?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

Na tym zakończyłem pytania. Nie miałem wątpliwości, że zacząłem pracę u gangstera, chociaż nic konkretnego o tym nie świadczyło. Tylko to, że chronił swoją prywatność i był obrzydliwie bogaty. W sumie nie interesowało mnie, jak facet zarabiał. Mógłby nawet sprzedawać nerki na czarnym rynku. Ja czułem się jak pączek w maśle, hajs się zgadzał. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Niepokoiliła mnie jedna rzecz... Do dyspozycji miałem całą willę. Mogłem korzystać z większości wspólnych pomieszczeń, zachowując oczywiście prywatność Ozona. Jednak przejście do piwnicy poprzez drzwi, przy których spotkałem Ozona podczas pierwszego dnia pobytu w jego domu, było zakazane.

– Rób, co do ciebie należy, pracuj, baw się, korzystaj z całej chaty i będzie okej. Nie interesuj się jednak piwnicą – powiedział. – Wiem, że dziwnie to brzmi. Trzymaj się jednak zasad.

– Nie ma problemu – odparłem, czując jak ciekawość zżera mnie od środka.

Ozon co jakiś czas znikał za wspomnianymi drzwiami i nie wracał przez godzinę, czasami dłużej. Słyszałem wtedy tylko odgłosy muzyki wydobywające się z pomieszczeń piwnicznych. Była to muzyka klasyczna, kompletnie mi obca, nie potrafię więc określić, czego dokładnie słuchał. Mogę powiedzieć tylko tyle, że kompozycje wprawiały w melancholijny, ponury nastrój. Wieczorami siadałem w ciemnej kuchni, deszcz zacinał ostro w szyby, podmuchy wiatru próbowały wtargnąć do środka, a ja ze szklanką wina wsłuchiwałem się w muzykę wydobywającą się z podziemi. Rozmyślałem nad tym, co będę robił, gdy już sielanka moich niebotycznych,

jak na wykonywany zawód i posiadane doświadczenie, zarobków skończy się. Zastanawiałem się, kim naprawdę jest Ozon, czym zajmuje się w życiu i co w tajemnicy przed światem trzyma w piwnicy. Najbardziej irytował mnie fakt, że Ania miała pozwolenie, by przebywać w „zakazanym miejscu” – tak nazywała pomieszczenie w piwnicy. Chodziła tam sprzątać. Raz zażartowałem, że na pewno odwiedza to miejsce w innym celu. Obraziła się. Przez tydzień po prostu mnie ignorowała. Nie przejąłem się tym. Nie miałem podstaw, by jej nie wierzyć. Nigdy nie wchodziła do piwnicy w momencie, gdy przebywał w niej właściciel domu. Zadziwiająca była jednak jej reakcja na przytyk, głupi, nieprzemyślany żart. Jak zranione zwierzę wycofała się z pola widzenia oprawcy.

– Przepraszam – zagadnąłem, gdy z podkurczonymi kolanami siedziała na ławce przy bocznym wejściu prowadzącym do kuchni, przez które zawsze dostarczałem towar. – Chcesz fajkę? – Podałem jej paczkę papierosów. Odruchowo rozejrzała się, jakby nagle rodzice mieli przyłapać ją z papierosem. Wokół nie było żywej duszy. Przedwieczorna mgła unosiła się nad polami, blisko lasu krążyły czaple. Wystraszony bażant wydobył z siebie przeciągły skrzek.

Sięgnęła po papierosa i zanim podałem jej ogień, zapytała:

– Ozon jeszcze nie wrócił?

– A co, boisz się, że zobaczy cię z fajką? On jest lajtowy.

– No co ty... Tak po prostu pytam.

Zaciągnęła się łapczywie. Później paliła już krótko, nerwowo.

– Coś się stało? Jesteś na mnie jeszcze zła?

– O co?

– No wiesz. Palnąłem głupi żart.

– Już nie pamiętam.

W ogóle nie patrzyła w moją stronę. Wzrok skierowała na las, wpatrywała się w martwy punkt.

– Powiesz mi, co takiego znajduje się w piwnicy, że nie mogę tam zaglądać? Możesz mi zaufać. Jestem swój chłop.

– Nie.

– Nie wydaje ci się dziwne, że dorosły facet zamyka się gdzieś w piwnicy i zabrania tam schodzić?

– Nic ze mnie nie wyciągniesz.

– Jest audiofilem? Ma tam studio?

– Skąd ten pomysł?

– Słyszać muzykę.

Nie skomentowała tego, tkwiąc wciąż w tym samym miejscu, w tej samej pozie. Tylko wypalony papieros sugerował jakąkolwiek zmianę, inaczej można by rzec, że cały roztaczający się krajobraz wraz z Anią stanowi wyrwaną z albumu fotografię.

– Może zrobić ci drinka? – zaproponowałem, czując jak zimno przenika przez ubrania. – Coś na rozgrzanie.

– Pójdę już.

Zerwała się z ławki, rzuciła niedopałek do popielniczki i ruszyła w stronę kuchni. Zatrzymałem ją, chwytając za rękę.

– Aniu, mogę ci w czymś pomóc?

Wyrwała się jak oparzona.

– Takie tam... moje sprawy – odparła. – Poradzę sobie.

Zanim zdążyłem zareagować, już zniknęła za drzwiami.

Dopaliłem papierosa i również wróciłem do swoich obowiązków. O ile wcześniej pomimo wielu problemów żyłem beztrąsko, tak pobyt w Łucywie wzmagął wewnętrzny niepokój. Podświadomie czułem, że wydarzy się coś złego, a pesymistyczna wizja niedalekiej przyszłości wynikała z atmosfery, jaka roztaczała się nad domem, w którym mieszkałem. Dodatkowo nie znałem tak naprawdę człowieka, dla którego pracowałem. Był zagadką.

Ta noc miała okazać się jeszcze bardziej pokręcona...

Otworzyłem oczy i zapomniałem, gdzie się znajduję. Za oknem szumiał wiatr, kołysząc koronami drzew. Gwizdało potwornie, powietrze wpychało się między każdą szczelinę domu, grało muzykę żywiołu, jedyną tamtej mroźnej nocy. Cisza wypełniała wnętrze, przekrzykiwała się z tykającymi wskazówkami zegara wiszącego na jednolicie wytapetowanej ścianie sypialni.

Przewróciłem się na drugi bok. Usłyszałem kroki na korytarzu. Szybkie stukanie jak tupot małych stóp. Zerwałem się z łóżka. Dźwięk, który mnie zbudził, brzmiał całkowicie obco. Nie mógł po prostu się wydobyć w tym miejscu, w tych warunkach.

Włączyłem światło.

Blask żarówek oślepił przyzwyczajone do mroku oczy.

Potoczyłem wzrokiem po pokoju i wyszedłem na korytarz.

Zrobiłem głęboki wdech, aby poczuć to mocniej i racjonalnie ocenić sytuację.

Swąd spalenizny i siarki.

Jakby ktoś chwilę wcześniej otarł zapalną o bok pudełeczka, by wskrzesić iskrę. Czułem to tak wyraźnie... Nie mogłem się mylić. Identyczny zapach, gdy w listopadzie każdego roku zapalałem znicze i kładłem je na grobie rodziców. Powietrze zalegające wtedy nad cmentarzem nosiło w sobie gęste opary topiącego się wosku i paloną siarkę z setek zapalek używanych tamtego dnia.

Ktoś musiał wtargnąć do domu. Ten zapach nie pasował do żadnego pomieszczenia.

– Co się stało? – Ania wparowała na korytarz – Co tu tak śmierdzi? – Skrzywiła się.

– Wracaj do pokoju – wyszeptalem.

– Co się dzieje?

– Chyba ktoś jest w środku.

Szedłem cicho do salonu, ale od razu skręciłem w prawo, wąskim przejściem do kuchni. Porywałem ze stołu ciężki nóż i zważyłem go w dłoni. Przyglądałem się ciemności, przez otwarte drzwi próbując dojrzeć oznaki ruchu wewnątrz salonu. Od razu odniosłem wrażenie, że coś otulone czernią porusza się po pokoju. Ciarki przeszły mi po plecach, poczułem, jak skóra mocniej opięła czaszkę. Spróbowałem wymacać włącznik światła na ścianie. Szybki pstryk. To załatwiłoby sprawę. Musiałbym wtedy stanąć oko w oko z intruzem. Kimkolwiek był. Ale to co się wydarzyło, sprawiło, że skamieniałem.

Nagle w salonie kilka kroków dalej rozbłysnął płomień ognia. Towarzyszyło mu pocieranie charakterystyczne dla zapalania zapalniczki. Płomyk wspiął się wysoko, zaraz jednak zgasł i pozostawił tylko zapach unoszącego się dymu. Zanim został zdmuchnięty rozświetlił sylwetkę małego chłopca, który mógł mieć może z siedem, osiem lat.

Do dzisiaj, gdy wspominam to wydarzenie, dostaję gęsiej skórki. Dokładnie pamiętam, jak w szatańskim uśmiechu, w zezowatym spojrzeniu skupionym na płomyku ułożył usta, by zdmuchnąć żarzącą się zapalniczką świeczkę na urodzinowym torcie. Zaraz po tym rozległ się przerażający wrzask, chichot i stukot stawianych głośno kroków na podłodze. Nie czułem jednak ruchu, żadne masy powietrza nie przesuwały się w pobliżu. Wszystko zamarło, ja wraz z ciszą stałem jak sparaliżowany.

Po chwili włączyłem wszystkie światła. Na schodach ujrzałem Anię. Miała łzy w oczach. Otwartą dłoń przykładła do ust. Wyglądała na zagubioną.

Sprawdziłem wszystkie pomieszczenia. Bez rezultatu. Nigdzie nie było śladu obecności chłopca. Podbiegłem do trzech drzwi prowadzących na zewnątrz budynku. Były zamknięte od środka. Nikt nie mógł wydostać się z domu.

Wróciłem do Ani i powiedziałem jej, co widziałem. Zauważyłem, że cała opowieść przeraziła ją jeszcze bardziej niż fakt, że do domu mógł wtargnąć ktoś obcy.

– On tu musi gdzieś być! Musiał się ukryć! – krzyknąłem.

Nagle spojrzałem na drzwi do piwnicy. Nie miałem wyboru.

– Nie! – zareagowała Ania. – Nie wolno ci tam wejść.

Miałem tego dość. Jakiś chłopak dostał się do domu w środku nocy, odpalił zapalniczkę i próbował nastraszyć domowników. Na pewno nadal znajdował się w środku, a jedynym miejscem, gdzie mógł się ukryć, była piwnica. Tylko tych pomieszczeń nie udało mi się sprawdzić.

Kiedy sięgnąłem do klamki, Anka nagle chwyciła mnie za rękę i z całej siły pchnęła na ścianę. Znalazła się blisko, na tyle, że przez bluzkę pizamy poczułem twardość jej sutków na własnej skórze.

– Zapomniałeś o umowie? – wyszeptała.

Zdezorientowany nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Co takiego znajduje się w piwnicy, że nawet Anka zareagowała tak gwałtownie?

Do salonu zszedł Ozon. Zobaczył nas w niezręcznej, dwuznacznej sytuacji.

– Co tutaj się wyprawia!?

Anka odsunęła się szybko. Spiorunował ją wzrokiem. Już wiedziałem, że muszę to wszystko odkręcić.

– To nie tak – powiedziałem i streściłem całe zajście od początku. – On musi znajdować się w tej piwnicy. Nie ma innej opcji.

– Chciałeś złamać zasady?

– No... nie, ale trzeba coś zrobić. Pomyślałem...

– Co pomyślałeś?

– Że to niebezpieczne, że jakiś dowcipniś dostał się do domu i próbował nas nastraszyć.

Ozon podszedł na odległość kilku centymetrów, nachylił się tak blisko, że czułem nieświeży oddech i nieprzetrawiony alkohol z kolacji. Oddychał ciężko; był wściekły.

– Mówię ostatni raz. Nigdy, nigdy nie waż się łamać zasad, okej?

– Ale, co zrobimy z tym chłopcem?

– I nie pij więcej, nie ćpaj, kurwa, rób swoje! – wybuchnął.

– Ktoś włamał się do twojego domu – próbowałem tłumaczyć, ale rozjuszyłem go jeszcze bardziej. Pierwszy raz chwycił mnie mocno za ramię, aż skrzywiłem się z bólu.

– Umowa to, kurwa, umowa. Jesteś dobrym pracownikiem. Nie zawieźdź mnie.

Zwolnił uścisk, po czym podszedł do kredensu, otworzył szufladę, z której wyjął papierosy i zapalniczkę, wziął do ręki kryształową popielniczkę i ruszył schodami na piętro. Na moment przystanął jeszcze, by rzucić, abym poszedł spać i zapomniał o całej sytuacji.

Pozostałem sam w pokoju. Ania już wcześniej zniknęła, jakby nie chciała mieszać się w nie swoje sprawy, ale i tak swoim zachowaniem zdradziła zbyt wiele. Pokusa, by w końcu sprawdzić, co znajduje się w piwnicy stała się jeszcze większa. Przerodziła się w obsesję.

Zacząłem zastanawiać się, czy nocne zdarzenie nie było tylko wynikiem zmęczenia, wcześniej wypitego alkoholu i wypalonego przed snem blanta. Chciałem trochę wyluzować się po ciężkim dniu pracy i być może umysł po prostu splątał mi figła. W jadalni unosił się zapach dymu papierosowego. Mimo tego wyraźnie czułem zapach zgaszonej zapalki...

I wtedy zaczęły się podpalenia.

III

Wyjazdy na wiejski targ, gdzie kupowałem warzywa i owoce, a czasami nawet wyroby mięsne od gospodarzy, stanowiły źródło informacji, którymi żyła cała wieś. Plotki, półprawdy, insynuacje lub po prostu fakty krążyły wśród mieszkańców Łuczywa przekazywane z ust do ust. W przeciągu dwóch tygodni od wspomnianych wydarzeń w miejscowości spłonęły trzy domy i dwie stodoły. Gdy rozniosło się przekonanie, że po Łuczywie grasuje piroman, ludzie zaczęli być bardziej nieufni. Próbowali na wszystkie sposoby uchronić swój majątek przed atakiem niezrównoważonego podpalacza, a największą bronią przeciw niewidzialnemu oprawcy była wszechobecna podejrzliwość.

Na początku szukano winnego wśród mężczyzn służących w Ochotniczej Straży Pożarnej, ponieważ sołtys stwierdził, że czytał kiedyś książkę, w której pisano, iż największy odsetek podpalaczy paradoksalnie stanowią strażacy. Wykluczono jednak taką możliwość, ponieważ w jedną sobotę, gdy doszło do podpalenia, wszyscy mężczyźni z OSP bawili się akurat razem

w remizie na weselu jednego z nich. Co prawda okazało się, że w nocy zarzuty padły na Janka, strażaka, który był na imprezie weselnej, ale niespodziewanie zniknął tuż przed oczepinami, jednak broniła go kucharka, która widząc z trudem idącego Janka, pomogła mu dojść do piwnicy, gdzie mieściła się siłownia strażaków i ułożyła pijanego na ławeczce do ćwiczeń. Tam, wśród ciężarów, biedak przespał całą noc. Ocknął się nad ranem, gdy sala weselna świeciła pustkami.

Teorii podpaleń było mnóstwo. Jako winnych wskazywano też wojsko, które na obrzeżach Łuczywa korzystało z poligonu. Jednostka była trudno dostępna, szeroki teren ogrodzony siatką z drutem kolczastym oraz krzykliwe tabliczki skutecznie odstraszały ciekawskich od włóczenia się po leśnych terenach należących do armii. Miejscowi mówili jednak, że to spuszczeni ze smyczy kadeci eksperymentowali z ogniem. Nikt jednak nikogo nie złapał za rękę.

Słuchałem różnych przypuszczeń z zainteresowaniem, wybierając świeże warzywa. Rzadko kiedy jednak wdawałem się w dyskusje. Sądziłem, że w tak małym, zamkniętym środowisku przynajmniej na początku będę stanowił ciekawostkę, jednak czułem się trochę tak, jakbym posiadał stygmaty. Gdy kilka razy z rzędu pojawiłem się na targu, sprzedawczyni, starsza kobieta, zapytała nazbyt głośno, aż kilka osób odwróciło głowy w naszym kierunku, czy przeprowadziłem się do Łuczywa, bo nigdy wcześniej mnie tutaj nie widywała.

Odparłem zgodnie z prawdą, że jestem kucharzem u Ozona.

– Aha... – skwitowała.

Od tamtej pory, mam wrażenie, traktowała mnie z rezerwą, nigdy o nic nie pytała, wykonywała po prostu swoją pracę. Co ciekawe, wydawało mi się, że udzielona odpowiedź postawiła między mną a innymi mieszkańcami wsi, których nawet już rozpoznawałem, gruby mur. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, nikt nie zagadywał, nie pozdrowiał.

Na początku pobytu w Łuczywie niewiedza, kim jest mój pracodawca, wcale mi nie przeszkadzała. Jednak z każdym kolejnym dniem, poznawaniem okolicy, reakcjami mieszkańców, a zwłaszcza ich zachowaniami wskazującymi, że wiedzą coś więcej o Ozonie, nie pozwalały mi zachować spokoju. Co więcej, drażniły mnie tajemnice właściciela domu, ukradkowe spojrzenia, jakimi obdarzała go Ania, wiecznie speszona w jego towarzystwie. Później pojawiły się podpalenia, a wraz z kolejnym

budynkiem, który spłonął, coraz bardziej absurdalne oskarżenia. Najgorsze, że zacząłem traktować je poważnie.

Jednego poranka usłyszałem zbyt wiele.

– Podobno widziała chłopca – mówiła kobieta tuż za moimi plecami. – Zakradł się wcześniej do ich domu i nastraszył ich. Odpalił zapałkę w sypialni. Kilka dni później cały dom spłonął. Na szczęście nie było ich w domu.

Dwie kobiety rozmawiały ze sobą przy stoisku. Udawałem, że wybieram warzywa, podsłuchując.

– Feliccy mieli to samo.

– O czym ty mówisz?

– Nie słyszałaś? Takie same zeznania składali na komendzie. Że widzieli kilka dni wcześniej chłopca w domu. Nie mieli pojęcia, skąd się tam wziął. Stał w kuchni. Zapalił zapałkę. A później wybiegł z domu. Felicka mówiła, że go poznała. Że to był chłopak od Towańskiej. On chodzi do szkoły z jej synem.

– Naprawdę?

– Jest przekonana, że to on.

– Zgłosiła to?

– No, że widziała chłopaka to tak, ale nie powiedziała, że to syn Towańskiej. To znaczy, nie chciała od razu oczerniać. Mówi, że stres, że może jej się jednak wydawało. Z drugiej strony, nie wierzy, że ośmioletni chłopiec byłby zdolny do podpażeń.

– Powinna była o tym powiedzieć.

– Poszła do Towańskiej. Ale nie zastała jej w domu.

W następnych dniach doszło do kolejnego podpalenia. W całej wsi gruchnęła wiadomość o synu Towańskiej, który zakrada się do domów i straszy mieszkańców, zapalając zapałki w najmniej spodziewanym momencie i miejscu. Niektórzy uznali to za nieszkodliwe psoty dzieciaka. Inni już wydali wyrok. W kontekście podpażeń chłopiec stał się głównym podejrzanym.

Towańska mieszkała pod lasem, w najbardziej oddalonej części wsi. Dom stał na wzniesieniu, stromej skarpie, za którą rozciągał się pas wysokich świerków. Dostać się blisko można było jedynie za pomocą terenowego samochodu. Pieszo droga zajmowała około czterdziestu minut, gdy za punkt początkowy przyjmujemy asfaltową jezdnię przecinającą centralny punkt Łuczywa składający się na kościół, remizę, plac targowy. Wyjazd nie

stanowił problemu dla napędu BMW, które użytkowałem. Pewnego wieczora postanowiłem wybrać się do Towańskiej, aby porozmawiać o tym, co wyczynia jej syn. Muszę zaznaczyć, że kolejnej nocy obudził mnie głośny chichot dzieciaka, a w całym domu unosił się zapach siarki. Zacząłem czuć się niekomfortowo. Ozon całkowicie nie przejmował się nieprzewidzianymi zdarzeniami, rzadko też bywał ostatnio w domu. Znikał na wiele dni, co dawało mi tak naprawdę przymusowy urlop. Nie narzekałem. Miałem jednak zbyt wiele wolnego czasu i może właśnie z tego powodu zainteresowałem się rzeczami, od których powinienem trzymać się z daleka.

Jeśli prawdą było, że za wygłupami i podpaleniami stał kilkunastoletni chłopiec, wolałem porozmawiać z jego matką, niż spłonąć żywcem we własnym łóżku. Co prawda trochę nie wierzyłem w te oskarżenia, jednak zapach zapalanej zapałki i obecność chłopca w domu Ozona były niezaprzeczalnymi faktami. Widziałem jego twarz doskonale i wierzyłem, że rozpoznam go, jeśli tylko Towańska zgodzi się na chwilę rozmowy.

Droga była nierówna, nieutwardzona, opony ślizgały się na zroszonych kamieniach, ale wolnym tempem zbliżałem się do celu. Po prawej stronie, niebezpiecznie blisko kolein ciągnął się głęboki wąwóz, na dnie którego płynął górski potok. Jeden nieuważny ruch kierownicą, niekontrolowany poślizg lub chwila zagapienia mogły sprawić, że samochód na zawsze runąłby w tę otchłań. Jeśli kierowca miałby szczęście, zatrzymałby się na którymś z drzew porastających zbocza wąwozu.

Po lewej w oddali dostrzegłem światło palące się w jednym z pokojów. Myśl, że zastałem w domu Towańską, z jakiegoś powodu nie dodała mi otuchy. Może liczyłem podświadomie, że sama próba kontaktu usprawiedliwi moje sumienie? Tak naprawdę wcale nie miałem ochoty mówić nieznanym kobiecie, że jej syn oskarżany jest o serię podpałek we wsi. Czułem się nieco zbity z tropu, a perspektywa rozmowy wydawała się coraz bardziej absurdalna.

Zatrzymałem samochód na podjeździe, zgasilem silnik i wyszedłem na zewnątrz. Niebo pokryło się ciemnymi chmurami zwiastującymi deszcz. W powietrzu unosił się zapach lasu, wilgoci, igliwia i żywicy. Gdzieś wyżej, między drzewami przemknął rudy lis. Po chwili wyłonił się zza kolejnego świerka, przystanął i bez strachu spoglądał w moją stronę. Zaraz jednak pomknął w głąb lasu, a jego rdzawy kolor sierści, wyróżniający się na tle mrocznej scenerii, przypominał ruchliwy płomień.

Dom zbudowany był po części z kamienia, zwłaszcza fundamenty, ściany wzniesiono z drewnianych bali, a dach pokryto gontem, w wielu miejscach zzieleniał od porastającego mchu. Zza gęstej firany zapalona lampa oświetlała kuchnię, a w niej piec kaflowy z szeroką blachą, kredens i rozłożone na stole naczynia.

Spojrzałem na ścianę, tuż przy futrynie drzwi wejściowych w poszukiwaniu dzwonka, lecz nigdzie go nie znalazłem. Zapukałem więc kilkakrotnie, najpierw kłykciami, następnie wierzchem dłoni. Nikt nie otwierał. Wstrzymałem oddech, by spróbować wyłapać jakieś szelesty z wewnątrz, oznaki życia, obecności domowników, lecz nie licząc szumu pobliskiego strumienia drążącego koryto wąwozu, wokół panowała kompletna cisza.

Obszedłem dom, natykając się na pozostawiony dziecięcy rower, plastikową beczkę napełnioną do połowy deszczówką, porąbane drewno z wbitym siekierą w jeden z grubych pniaków, wiklinowe kosze, porzuconą łopatę. Tuż obok stała niewielka budka, prawdopodobnie drewnutnia. Nie pasowała do tego miejsca, a dokładnie jeden z jej elementów. Drzwi drewnutni zostały obite wykładziną w brązowo-brunatne, geometryczne wzory. Może jednak w środku zamiast drewna hodowano na przykład króliki, a izolacja drzwi miała posłużyć w utrzymaniu ciepła? Niemniej wyglądało to na prowizorkę, która psuła estetykę wiejskiego, niedużego domku z podwórzem. Wieczór zbliżał się szybkimi krokami. Jeszcze raz zajrzałem przez okno, ale kuchnia nadal wydawała się pusta. Zapukałem ponownie, z tym samym efektem. Wyglądało na to, że nikogo nie ma w domu, a jego mieszkańcy pozostawili włączoną lampę, aby oszukać potencjalnego włamywacza, sugerując swoją obecność.

Ruszyłem w kierunku samochodu, tracąc wszelką nadzieję, że cokolwiek uda mi się zdziałać. Wtedy w bocznym lusterku oraz odbiciu przyciemnionej szyby zauważyłem jakiś ruch. Odwróciłem się gwałtownie. Poczulem, jak zimny dreszcz oblewa całe moje ciało. Stałem w skamieniały, niezdolny do żadnego ruchu.

Pierwszy raz obcowałem z lękiem pierwotnym, potęgą przyrody i jednocześnie jej wynaturzeniem. Po zboczu w szybkim tempie poruszały się lisy, całe stado. Zderzały się ze sobą, dlatego przez moment pomyślałem, że ze sobą walczą, ale po chwili zdałem sobie sprawę, że pędzą w szaleńczym tańcu w moją stronę. Nigdy nawet nie słyszałem o czymś podobnym. Oczywiście w lasach często zdarzały się watahy wilków, ale lisy

były raczej samotnikami. Kiedyś widziałem jednego w parku, raz wyjadającego resztki ze śmietnika na tyłach restauracji. Roznosiły choroby, głównie wściekliznę. Tyle, ale nie stado. Przyglądałem się tej nieprawdopodobnej sforze. Były ich dziesiątki.

W końcu ruszyłem się z miejsca, wskakując za kierownicę. W pośpiechu odpaliłem silnik, wrzuciłem wsteczny bieg, zawróciłem, po czym wcisnąłem mocno pedał gazu, aż koła zabuksowały na miękkiej powierzchni. Pędziłem stromym zboczem jak szalony, oglądając się wciąż na lusterka, w odbiciu których stado lisów wściekle gnało za samochodem. Nie zwróciłem wtedy uwagi... W zasadzie nie zadałem sobie kluczowego pytania. Dlaczego się nie kryły, dlaczego tak bardzo afiszowały się ze swoją obecnością? Zapadł zmierzch, a lisy prezentowały się niczym oświetleni blaskiem lamp aktorzy na deskach teatru...

W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że zwierzęta wcale mnie nie ścigają. Zatrzymały się w miejscu, skakały sobie do gardeł, utworzyły jedno wielkie kłębowisko, wspinając się wzajemnie po grzbietach.

Teraz już wiem, że lśniące rdzawo-białym blaskiem wyglądały jak języki ognia pochłaniające kolejną część przeklętej ziemi.

IV

Następnego dnia udałem się do gminnej biblioteki publicznej, by skorzystać z Internetu. Telefon oczywiście nie łapał sieci w domu i okolicy. Musiałem sprawdzić kilka spraw, a cały pobyt w Łucywie coraz mniej mi się podobał. Przypadkowo odkryłem też, że Ozon zainstalował nadajnik do blokowania siły sygnału częstotliwości sieci GSM. Nie wiedziałem, dlaczego to robił, a wyjaśnienie, że dom ma być oazą spokoju, po prostu do mnie nie trafiało. Wtedy uświadomiłem sobie nową okoliczność. A jeśli Ozon z jakiegoś powodu ukrywa się przed kimś?

Jadąc w kierunku centrum wsi, poczułem się nieswojo. Byłem na siebie wściekły, że pieniądze tak bardzo mnie zaślepiły. Nawet nie sprawdziłem wcześniej, czym tak naprawdę zajmował się Ozon. Zapytałem go oczywiście, ale on odparł kilkakrotnie:

– Interesy. To ci powinno wystarczyć.

Zawsze płacił na czas. Tygodniówki. W gotówce. Dlaczego? Bał się skarbówki? Pieniądze chowałem w szufladzie w swoim pokoju. Cholera! Przecież każdy mógłby mieć do nich dostęp...

Poczułem, jak krew szybciej krąży mi w żyłach i ciepło oblewa twarz. Walnąłem otartymi dłońmi w kierownicę. Uspokój się! Uspokój się! – powtarzałem w myślach. *Wszystko jak dotąd było dobrze, dlaczego miałyby się to zmieć? On tak chce, chce anonimowości, rób swoje i zgarniaj hajs.*

Zanim wszedłem do biblioteki, spróbowałem połączyć się z Internetem poprzez smartfona, ale dane komórkowe pompowane były gorzej niż zamarznięta zawartość szamba. Postęp technologiczny omijał wieś szerokim łukiem.

Pokonałem kilka stopni, znalazłem się w wąskim korytarzu, na końcu którego mieściła się biblioteka usytuowana na maksymalnie trzydziestu metrach kwadratowych mieszczących kilka regałów z książkami, biurko bibliotekarki i oddzielone ścianką działową zaplecze z dwoma komputerami podpiętymi do kineskopowych monitorów. W niektórych miejscach czas nigdy nie oznacza dynamiki.

W powietrzu unosił się zapach wilgotnego papieru oraz kleju, którym bibliotekarka, szczupła kobieta w okularach z grubymi szklami, próbowała ratować zniszczone elementy księgozbioru. Na stopach miała kapcie, z futerkiem i pomponami, jakby poruszała się po własnym domu, a nie po publicznej placówce. Niewątpliwie wtargnąłem do jej królestwa.

– Chciałem coś sprawdzić w Internecie – oznajmiłem.

– A może by tak poczytać książkę? – odparła, wyciągając szyję, jakby ten ruch miał sprawić, że jej głos będzie bardziej słyszalny.

– Chętnie, ale najpierw muszę skorzystać z Internetu.

– Jezu, ale monotematyczny jesteś.

Trochę mnie zatkało, co sprawiło jej przyjemność. Uśmiechnęła się. Mogła mieć około czterdziestu lat, była interesująca.

– Naprawdę proszę pani, potrzebuję...

– Tylko nie pani. Zośka jestem. Pracuję tutaj od starożytności.

Podąła mi rękę. Jej dłoń była smukła i zimna.

– Muszę ci założyć kartę.

– Nie trzeba, szybko coś sprawdzę.

– Ale mówiłeś, że później wypożyczysz książkę. To znaczy tak sugerowałeś.

– Aha...

– Dawaj dowód. Muszę dbać o statystyki, żeby tutaj pożyć do emerytury.

Podąłem dokument. Oprócz nas w bibliotece nie było nikogo. Zośka wskazała mi miejsce przed komputerem, sama natomiast wyjęła papierową

kartę biblioteczną i zaczęła przepisywać dane z dokumentu tożsamości.

Włączyłem Google'a, po czym zacząłem tępo wpatrywać się w prostokątne pole do wprowadzania tekstu. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Nie mogłem po prostu wpisać „Ozon”. Ze względu na potencjalne wyniki wyszukiwania, nie byłby to najlepszy pomysł. Zastanawiałem się, czy w ogóle mogło to być jego nazwisko lub prawdziwy pseudonim. Przypomniałem sobie jednak zachowanie kobiety na targu, gdy wspomniałem o Ozonie. Wiedziała, o kogo chodzi. Wpisałem więc dwie frazy: Ozon i Łuczywo. Pojawiły się trzy wyniki, wszystkie na temat dotacji odbudowy wieży kościoła, która spłonęła dwa lata temu. Dowiedziałem się, że Ozon nazywa się tak naprawdę Mariusz Ozonowicz. Jeden z artykułów opisywał pożar wieży kościelnej. Prokuratura nie ustaliła przyczyny. W dalszej części tekstu autor wspominał, że ruszyły prace związane z odbudową wieży kościoła głównie za sprawą przekazania funduszy przez mieszkańca Łuczywa Mariusza Ozonowicza. Niestety dziennikarz nie wspomniał, kim dla lokalnej społeczności jest Ozon. Drugi artykuł utrzymany był w podobnym tonie, trzeci tekst natomiast znajdował się na stronie internetowej parafii. Prawdopodobnie ksiądz informował o kolejnych postępach w odbudowie zniszczonych elementów kościoła, na koniec wspomniał też o darczyńcy w następujących słowach: „Doskonale wiemy, że to dzieło Boże może być kontynuowane dzięki pomocy darczyńcy, który chce pozostać anonimowy. Jednak nie każdy potrafi dochować tajemnicy i spełnić wolę drugiego człowieka. Zainteresowani wiedzą, że informacja o personaliach wspomnianej osoby wyszła na jaw i nie każdemu spodobał się ten fakt. Nie oceniamy jednak. Sam Jezus powiedział, że kto z nas jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień”.

Ciekawsze jednak i bardzo sugestywne okazały się komentarze:

Oczywiście dla księdza pieniądze nie śmierdzą...

Nieba nie da się kupić. Bóg go osądzi.

Ludzie... jak możecie pisać takie komentarze...!!!

Winny, niewinny... w sumie dobry gest.

Zośka otworzyła okno i usiadła za biurkiem roboczym, na którym leżały stare książki z rozklejonym grzbietem. Z szuflady wyjęła popielniczkę, a z paczki długiego papierosa i zapaliła.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

– No co? Tutaj nie łapią czujniki dymu.

Palila niczym mechanik pochyłony nad silnikiem, z papierosem w kącikach ust, z rękoma zajętymi naprawą zniszczonych książek. Postanowiłem wykorzystać okazję i porozmawiać.

– Mogę się przyłączyć? – zapytałem, wyjmując papierosa z paczki.

– Pal, tylko jak ktoś wejdzie, wywal fajka przez okno. Wychodzi na zaplecze. Zresztą i tak nikt nie przyjdzie. Tutaj tylko duchy mieszkają.

Usiadłem naprzeciwko. Zośka nie zwracała na mnie uwagi, zajmując się cały czas książkami.

– Szukam informacji o Mariuszu Ozonowiczu.

Podniosła głowę.

– Ty jesteś jego nowym kucharzem?

– Skąd wiesz?

– Tutaj wszyscy się znają. A ciebie nie znam. Słyszałam, że we wsi pojawił się nowy kucharz Ozona, więc połączyłam fakty. Sprytnie prawda?

Wróciła do sklepania książek, by zaraz się skonfundować.

– Aaa... taka niegościnna jestem. Co słyhać? Jak ci się podoba ta dziura?

Zaciągnąłem się, myśląc, że to najbardziej nietypowa bibliotekarka, jaką poznałem. A może one takie właśnie są? Nie często bywam w tego typu miejscach.

– Co wiesz o Ozonie? – wypaliłem.

– Niewiele.

– Myślałem, że tutaj każdy wie o każdym. Wszystko.

– Przecenisz nas.

Uśmiechnąłem się, podając jej papierosa.

– Chcesz mnie przekupić fajką?

– Chcę z tobą jeszcze zapalić i pogadać.

– Żart. Wiesz, w tych książkach sensacyjnych to oni są niedostępni. To znaczy bohaterowie, którzy posiadają informację. Nie jest łatwo więc mnie złamać. – Mrugnęła okiem.

– Zosiu, co mógłbym dla ciebie zrobić w takim razie?

– Informacje kosztują.

– Ile?

Wyjąłem portfel, wzdychając ciężko.

– Paczka i dobrą kawę! – Wybuchnęła niepohamowanym śmiechem. Sam też zacząłem się śmiać. Była szalona, tak pozytywnie.

– To lecę do cukierni. Potrzebuję twojej pomocy.

– Nigdzie się nie ruszam – zawołała, gdy byłem już w drzwiach.

Poszedłem do najbliższej cukierni. Wziąłem dwie kawy z ekspresu i pączki z lukrem. Między budynkami szalał wiatr, rozrzucając wszędzie liście. Ulica świeciła pustką, gdzieś w oddali ryknął silnik motocykla.

Gdy wróciłem do biblioteki, Zośka zamknęła za mną drzwi na zamek. Przeszliśmy do pomieszczenia roboczego, przyjęła ode mnie kawę i pączki, które odłożyła obok klawiatury. Odwróciła się plecami i pochyliła mocno, opierając ręce o blat biurka zawalonego książkami. Mimowolnie spojrzałem na jej tyłek opięty ciasną spódnicą. Była szczupła, ale idealnie zaokrąglona w odpowiednich miejscach. W tej pozycji mogłem podziwiać jej długie nogi okryte ciemnymi rajstopami. Nagle wygięła ręce do tyłu, rozpięła zamek i uniosła spódnicę.

– Pośpiesz się, żeby kawa nie wystygła.

To była naprawdę chora akcja, piękna, niespodziewana i niezwykle podniecająca. Stałem się gotowy dosłownie w sekundę, jakbym miał piętnaście lat i CKM'a przed oczami. Spoglądałem na jej rude, kręcone włosy falujące na karku przy każdym pchnięciu. Sięgnąłem ręką w okolice jej biustu. Pod palcami wyczułem maleńkie piersi utkwione pod miękkim stanikiem, a pod nim sterczące sutki, które ścisnąłem trochę za mocno. Jęknęła. Po kilku chwilach zaczęła poruszać się szybciej, synchronizując się z moimi ruchami.

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych.

– Pierdol to – powiedziała Zośka.

Jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny dreszcz. Przyłgnałem do niej. Odsunęła się gwałtownie, jednym ruchem ręki strącając z blatu wszystkie książki.

– Jaka szkoda – oznajmiła, spoglądając walający się po podłodze księgozbiór.

Ciężko dysząc, zaczęliśmy chichotać. To było cudowne i jednocześnie bardzo złe. Czułem się, jakbym właśnie wybudzał się z głębokiego snu.

Zośka ubrała się, poprawiła włosy, otworzyła ponownie okno i zapaliła papierosa.

– Chcesz dowiedzieć się więcej o swoim szefie? – zapytała. – To przyjdź dzisiaj do mnie. – Podała mi karteczkę z zapisanym adresem. – Tylko tak, żeby nikt cię nie widział.

– Będę, ale dosyć późno. Nie wiem, o której skończy się kolacja, którą przygotowuję.

– Tylko postaraj się, żeby mi smakowało.

– Słucham?

– Będę na tej kolacji. Dostałam zaproszenie.

– Znasz się z Ozonem?

– Przelotnie, jak każdy tutaj. On dba o dobre relacje z osobami, które niby coś znaczą w tej zapyziałej wsi. Zaprosił mnie jako dyrektorę biblioteki, będzie dyrekcja szkoły i przedszkola. Pewnie obieca jakieś pieniądze na dofinansowanie działań. Raz na jakiś czas to robi.

– Kim on jest? Czym się zajmuje?

– Idź już. Muszę wracać do pracy. Pogadamy wieczorem.

Zapomniałem o całym świecie, próbując pozbierać myśli. Udałem się do wyjścia, ale zanim opuściłem bibliotekę, zapytałem jeszcze:

– Jeszcze jedno. O co chodzi z odbudową wieży kościoła? Czytałem, że Ozon ją sfinansował, ale dlaczego nie spodobało się to innym?

– Hmm... Naprawdę mało wiesz. Ozon wyłożył pieniądze na odbudowę.

– No tak, wieża spłonęła, ale...

– Dlaczego ludzi to kole w oczy?

– Otóż to.

Zośka zaciągnęła się mocno papierosem, po czym równocześnie wypuszczając dym z płuc, powiedziała:

– Poczul odpowiedzialność, być może tym gestem do czegoś się przyznał.

– Do czego?

– Że to jego kilkuletni syn podpalił kościół.

V

Kolacja trwała dwie godziny. Zaserwowałem dziczyznę, którą marynowałem dzień wcześniej, do niej też ziemniaki pod różnymi postaciami i czerwone wino. Pomogłem Ani podać danie główne, więc udało mi się przez moment znaleźć przy stole. Zośka rzuciła mi przelotne spojrzenie. Wyglądała pięknie, w wieczorowej kreacji, czarnej sukience z głębokim dekoltem i mocnym makijażem. Nie mogłem doczekać się, żeby znowu się z nią spotkać.

Zaraz po skończonej kolacji wziąłem prysznic, spakowałem wszystkie zarobione pieniądze do plecaka i ruszyłem do samochodu. Miałem złe przeczucia, coś wisiało w powietrzu. Wychodziłem przez kuchnię, gdzie zawsze na blacie kładłem kluczyki.

– Wybierasz się gdzieś?

Ozon stał przy ekspresie do kawy, mierząc mnie wzrokiem. Jego niespodziewana obecność była jak uderzenie pioruna.

– Tak, jadę... się przejechać – zaplątałem się. – Coś nie tak?

– Uważaj na nią.

– Proszę?

Podszedł blisko, zdecydowanie naruszając prywatną przestrzeń, czego bardzo nie lubiłem. Górował nade mną, czułem, jakby pomieszczenie nagle się skurczyło.

– Na bibliotekarkę.

Poczułem jak żołądek podchodzi mi do gardła. Czy ona powiedziała Ozonowi, że pytałem, o jego przeszłość?

– Ma za długi język. A ludzie tutaj lubią dużo mówić.

Z tą wiedzą po prostu mnie zostawił. Niedbale odłożył filiżankę na blat, po czym wyszedł z kuchni. Stałem przez moment jak wryty, by po chwili uświadomić sobie, że nie mogę pokazać, że z Zośką coś jest na rzeczy. Może Ozon tylko zauważył nasze przeciągłe spojrzenia krzyżujące się przy stole?

Po kwadransie jazdy skręciłem w polną drogę, na końcu której stał dom Zośki. Z okien od frontu zmieniającymi się kolorami jaśniał telewizor. Nieopodal znajdowały się kolejne posesje. Dom wyglądał na stary, pewnie odziedziczony po rodzicach. Może nadal z nimi mieszka? Przejechałem dalej w głąb zagajnika wyrastającego wokół drogi. Tam znalazłem trochę więcej przestrzeni między drzewami i wjechałem na polny grunt na tyle daleko, by nikt przypadkowo przejeżdżający nie zauważył BMW. Spojrzałem na plecak. Umieściłem go w przestrzeni bagażowej, trzy razy sprawdzając, czy zablokowałem odpowiednio drzwi w samochodzie. Postanowiłem, że zaraz po rozmowie z Zośką pojedę do najbliższego miasta, znajdę wpłatomat i wrzucę sporą część kasy na konto bankowe. Z powodu pieniędzy zacząłem mieć paranoję; bałem się, że ktoś po prostu mi je odbierze. Ciemności utrudniały drogę, ale wolałem nie używać latarki w telefonie. Zimno listopadowej nocy przenikało do kości. Trawę pokryła rosa wdzierająca się do butów. Naraz poczułem się dojmująco obco. Zastanawiałem się, co ja właściwie robię, co więcej, co ja robię tutaj, w tym miejscu, na łące prowadzącej do domu tak naprawdę nieznanym mi kobiety. Dlaczego zmieniłem dotychczasowe życie jak za pstryknięciem palca i przyjechałem do tej małej wsi? Dobrze płaćna posada nie zmieniała faktu, że Ozon stopniowo zmieniał do mnie nastawienie. Stał się obojętnym

i trudno dostępnym szefem. Człowiekiem, który miał swoje tajemnice. I których wytrwale strzegł.

Bibliotekarka dostrzegła mnie przed wejściem i uchyliła drzwi.

– Wchodź – powiedziała.

Zauważyłem, że jest lekko podenerwowana.

– Coś się stało? – zagadnąłem.

Przez chwilę wpatrywała się w niewiadomy punkt w oddali, po czym szybko zamknęła drzwi na zamek i przywarła do mnie ustami. Oddałem pocałunek. Ujęła moją twarz w dłonie. Pocałowała mnie w policzek, w szyję, niezwykle czule. Pomimo ciepłego przyjęcia, wciąż nie wiedziałem, czy mogę jej ufać.

Przeszliśmy do kuchni i usiedliśmy przy stole.

– Mieszkasz sama?

– Tak – odparła nieco speszona.

– W tak dużym domu?

– Lubię przestrzeń.

Postanowiłem, że muszę iść na całość, by rozgryźć tę kobietę.

– A mąż? Nie mów mi, że jako bibliotekarka potrafisz utrzymać taki dom.

– Po pierwsze, mój mąż nie żyje. Po drugie, jestem dyrektorką, więc nie narzekam. Po trzecie, chyba odczuwam negatywne emocje u ciebie.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

– Było minęło.

– Rak?

– Proszę?

– Twój mąż. Zachorował?

– Zginął w wypadku.

– Tak mi przykro. – Chwyciłem dłoń Zośki. Nie cofnęła jej. – Czym się zajmował?

Zośka spojrzała na mnie szklistymi oczami.

– Robił interesy z twoim pracodawcą.

To zabrzmiało jak oskarżenie.

Postawiłem wszystko na jedną kartę, odrzucając rady Ozona. Musiałem otworzyć się przed Zośką.

– On coś wyczuł – powiedziałem. – Gdy wychodziłem, powiedział, że bym na ciebie uważał.

– Skurwieli.

Zośka podeszła do kredensu i nalała do kieliszka czerwonego wina. Butelka była już prawie pusta.

– Chcesz? – zapytała.

– Przyjechałem samochodem.

– Ale możesz wrócić rano.

– Najpierw porozmawiajmy o Ozonie. O co tutaj chodzi?

Upiła kolejny łyk wina.

– Zanim przeprowadziliśmy się do Łuczywa, Ozonowicz już tutaj mieszkał. Poznaliśmy się przy okazji jakiegoś wiejskiego festynu. Wiedziałam tylko, że jest przedsiębiorcą. Ma wiele różnych spółek, ale głównie zarejestrowanych za granicą. Mój mąż zajmował się doradztwem w zakresie prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce dla obcokrajowców. Mówił, że Ozon chciał, aby pomógł mu wprowadzić do Polski jakąś firmę z Tajwanu. Wtedy zaczęły się nasze kłopoty.

– Co dokładnie?

– Jarek, mój mąż był zawsze skryty. Nie lubił rozmawiać o problemach, ale widziałam, że czymś się zadręcza. Koszmary w nocy, niekończące się rozmowy telefoniczne, podczas których zawsze wychodził, żebym nie słyszała, o czym dokładnie mówi. Kilka razy Ozon tutaj przyjechał. Kłócili się.

– Chcesz powiedzieć, że śmierć twojego męża to wina Ozona?

– Chcę tylko powiedzieć, że gdyby nie on, byłoby wszystko w porządku. Raz przyznał, że żałuje dnia, w którym poznał tego człowieka. Pytałam dlaczego. Ale wtedy jeszcze bardziej zamykał się w sobie. Mówiłam tylko, żeby się wycofał z tych biznesów. Patrzył wtedy na mnie jakoś obco, myślami był na pewno gdzie indziej i odpowiadał, że nie może się wycofać.

– Jak zginął?

– Wypadek samochodowy. Policja twierdziła, że był pod wpływem alkoholu, a w zasadzie w stanie nietrzeźwości. Uderzył w drzewo.

– Przepraszam, ale jaki to ma związek z Ozonem? – wtrąciłem.

– Musiał go upić lub spreparować ustalenia policji.

– Co?

– Mój mąż nigdy nie tknął nawet kropli alkoholu. Był abstynentem.

Krążyłem po pokoju, próbując poukładać sobie wszystkie usłyszane informacje.

– W jaki sposób Ozon mógł mieć wpływ na ustalenia policji?

– Ta wieś należy do niego. Wszystkie osoby na stanowiskach są dzięki jego koneksjom. W tym i komendant. Każda osoba, która coś może znaczyć, załatwić, ma robotę dzięki niemu, rozumiesz?

– Ty też?

– Pracowałam w szkolnej bibliotece. Po tym wszystkim zaproponował mi możliwość zostania dyrektorem biblioteki gminnej. Powiedział, że to w ramach troski, że teraz będę potrzebowała więcej pieniędzy. Że zawsze mogę na niego liczyć. Że bardzo mi współczuje, bo miał ogromne plany biznesowe z moim mężem.

Przechyliła kieliszek wina i dodała:

– Kłamał jak z nut.

Nadal niewiele mówiło mi to o Ozonie. Nie znałem dobrze ani jego, ani też Zośki, by móc ocenić, czy to tylko teorie zrozpaczonej kobiety, próba znalezienia winnego, osoby odpowiedzialnej za rozpad jej dotychczasowego życia.

– Co z jego synem? I podpaleniem kościoła?

– To kolejna niejasna sprawa, ale pokazująca, że najlepiej trzymać się od niego z daleka. Jego chłopak podobno podpalił kościół, ot tak, dla zabawy. Ludzie to widzieli. Było kilku świadków. Nie wzięło się to z próżni. Ozon później dał pieniądze na odbudowę. Tylko, że jego syn zniknął.

– Jak to?

– Po całym tym wydarzeniu słuch o nim zaginął. Ludzie oczywiście snuli swoje teorie, że to Ozon musiał go ukarać za to, co zrobił. Że może spuścił mu takie lanie, że chłopak nie przeżył. Że przez przypadek przekroczył granicę... Domysłów było wiele. Jednak zorganizowano poszukiwania chłopaka. Przez tygodnie policja przeczesywała każdy kąt tej wsi. Wtedy ludzie dali już spokój.

– Według ciebie jak było naprawdę?

– Dla mnie to pokazówka. Żeby się od niego odczepili, żeby odwrócić uwagę.

– Myślisz, że byłby skłonny zabić własnego syna?

– Nie wiem. Ale przypadek niekontrolowanego pobicia jest wielce prawdopodobny.

– A czy masz może jakieś jego zdjęcie? To znaczy syna Ozonowicza?

– Czekaj. Chyba mam gdzieś na dysku jeszcze zdjęcia jak pracowałam w szkole. Jakies grupowe.

Przyniosła laptopa, podłączyła pendrive'a i zaczęła przeglądać kolejne foldery. W końcu się odezwała:

– Mam. Dlaczego chcesz go zobaczyć?

Przesunęła laptop w moją stronę.

Poczułem, jak zimny dreszcz przechodzi wzdłuż kręgosłupa.

To nie może być prawda.

Chłopiec z zapałkami, którego widziałem u nas w domu, i syn Ozonowicza byli podobni jak dwie krople wody.

– Jezu... przecież to on.

– Kto?

– Syn Ozona. To jego widziałem wtedy u nas z zapałkami.

Ciarki ponownie przeszły po moim ciele.

– Nie... On nie żyje.

– Jak w takim razie wytłumaczyć...

– Patrz na to.

Zośka kliknęła w inne zdjęcie przedstawiające klasę II B. Uczniowie ustawieni w trzech rzędach pozowali do fotografii klasowej. Kilkanaście dziewczyn i ośmiu chłopców. Wśród nich młody Ozonowicz. Nie wiedziałem, o co chodzi.

Spojrzałem pytająco na Zośkę, która wskazała palcem na chłopca.

– To syn Towańskiej.

– Wygląda identycznie jak młody Ozon.

– Bo to jego brat bliźniak.

– Co? Zaczekaj. Chcesz powiedzieć, że Ozon miał dwóch synów z Towańską?

– Tak, ale nie powiem ci, dlaczego ich rozdzielił... Nie mam pojęcia. Straszne prawda?

Dowiadywałem się rzeczy, w które naprawdę trudno było mi uwierzyć.

– Z tej biednej Ani też zrobił dzikuskę. Dziewczyna nie ma własnego życia.

Wiecznie zahukana, przestraszona. Poznałeś ją?

– Ania? No tak. Pracuję z nią.

– Jak to pracujesz?

Nie wiedziałem, jak zareagować. Miałem wrażenie, że z wielkiej budowli ktoś kolejno odbiera poszczególne elementy, aż wieża zaczyna chwiać się w posadach.

– No rzadko rozmawialiśmy. Sprząta u Ozona. Trudno do niej dotrzeć.

– Przecież to jest jego córka.

To wyznanie było jak rażenie piorunem. Poczulem się nieswojo, przypominając sobie, jak Ozon traktował Anię. Dziewczyna pełniła obowiązki pomocy domowej. Cały czas sprzątała, zajmowała się domem, a ojciec w ogóle jej nie zauważał.

Zośka wyjaśniła, że to wszystko, co o nim wie.– Uważaj na siebie. Ludzie gadają, że możesz być za to odpowiedzialny – rzekła.

– Co?!

– Za podpalenia. Jesteś tutaj obcy.

– Przecież ludzie widzieli tego dzieciaka Towańskiej.

– Widzieli albo i nie. Mają wybujałą wyobraźnię.

– Sam go widziałem.

W oddali rozległ się hałas syren. Zośka spojrzała w kierunku okien. W jej oczach dostrzegłem odbicie migających lamp ostrzegawczych. Wyjrzałem przez okno. Główną drogą pędziły trzy zastępy straży pożarnej.

– Mają chłopacy sporo roboty ostatnio.

Nie skomentowała tego. Zaczęła natomiast obsypywać mnie pocałunkami, ale nie były to całusy wprowadzające do namiętności, lecz delikatne dotknięcia wargami. Odniosłem nieodparte wrażenie, że Zośka w taki sposób się ze mną żegna. Do dzisiaj pamiętam fakturę jej skóry i zapach ciała oblanego perfumami. Nigdy więcej mieliśmy się nie spotkać.

Dźwięk strażackich syren niósł się po całej wsi. Jazgot alarmu wywoływał dreszcze i negatywne skojarzenia. Z każdym kilometrem hałas nasilał się. Im bliżej domu Ozonowicza znajdowałem się, wydawał się potężniejszy. Gdy w oddali dostrzegłem czerwień oddzielającą się na czarnym tle nieba, stężałem za kierownicą.

– Nie... – jęknąłem. – To nie może być prawda.

Wcisnąłem gaz do podłogi, aż moc silnika wgniotła mnie w fotel. Samochód lekko zakołysał się na boki, ale napęd na dwie osie zrobił swoje. Pomknąłem w kierunku willi Ozona jak oszalały.

Zatrzymałem pojazd kilkaset metrów przed domem, na przygotowanym do zimy polu uprawnym. Wszedłem machinalnie z auta, cały czas wpatrując się w przerażający widok.

Dom Ozona połykały języki ognia. Płomienie tańczyły po ścianach budynku, pochłaniając go niczym ruchome piaski bezbronną istotę. Wskakiwały z okien napędzane nieprawdopodobnym żywiołem. W gwieździste niebo frunęły miliardy iskier. Kłęby czarnego dymu niosły się na całą wieś.

Kolejne zastępy straży pożarnej pojawiały się wokół domu. Strażacy próbowali celować strumieniami wody w ogniska zapalne, ale z minuty na minutę cały budynek zdawał się jedną, wielką kulą płomieni. Dom wykonany był w głównej mierze z drewnianych elementów, które stały się idealnym pożywieniem dla ognia. Stałem jak wryty, obserwując igrzyska nieuchronnego zniszczenia.

Widziałem, jak strażacy przenoszą całkowicie zwęglone ciało i nakrywają je folią. Podeszedłem bliżej. Nie musiałem przypatrywać się z nadto, by przekonać się, że ofiarą pożaru jest Ozon.

Dziwnie czuję się, opisując te wydarzenia. Pamiętam, że wtedy pomyślałem o czymś nie na miejscu. Przypomniałem sobie o zabranych z domu pieniądzech, zdając sobie sprawę, że straciłbym je wszystkie. A może właśnie powinny spłonąć w tym przeklętym ogniu?

Później zobaczyłem coś, co jednak ścisnęło mnie za gardło. Jeden ze strażaków niósł na rękach Anię. Miała stopione włosy i spękaną skórę na jednej stronie twarzy. Powieka pod wpływem ognia wręcz zniknęła, odsłaniając pusty oczodół. Musiała jeszcze żyć, ponieważ odebrali ją ratownicy medyczni i przetransportowali do karetki.

Patrzyłem na to wszystko jak zafascynowany ogniem piroman. Gdybym nie pojechał wtedy do Zośki... Gdyby nie jej pocałunki, które zatrzymały mnie na dłużej... Gdyby nie ona, nigdy nie poznałbym swojego anioła stróża.

Cała wieś spowita była we mgle. Nie miałem się gdzie podziać. Włóczyłem się po okolicy, czekając na sygnał z policji. Na pewno będą chcieli ze mną rozmawiać. Tego byłem niemal pewien.

Wróciłem z powrotem na miejsce pożaru. Stałem w oddali, przyglądając się pracy prokuratora, techników i funkcjonariuszy policji rozmawiających ze strażakami. Ze zgliszcz unosiły się kłęby dymu. Stwierdziłem, że jeśli będą chcieli i tak mnie znajdą.

Nadchodził poranek.

Naraz rozległy się podniesione głosy. Podbiegłem bliżej w stronę gapiów.

Dwóch strażaków krzyczało na cały głos.

– Tutaj! Tutaj! On żyje!

– Boże, to jakiś cud!

Podążyłem za całą grupą sąsiadów oraz ciekawskich osób, które utworzyły zbiegowisko.

– Stać! Gdzie?! – zawołał policjant, po czym nie zwracając więcej uwagi na nas, sam podbiegł bliżej pogorzeliska.

Wśród spalonych elementów konstrukcyjnych domu oraz jego wyposażenia, wśród gruzu, w dole znajdującym się poniżej poziomu gruntu, poruszała się nieduża istota. Mozolnie, leżąc na brzuchu, wykonywała nieskoordynowane ruchy, jakby brodziła w basenie.

– Chryste! – wydusił z siebie jeden ze strażaków, który nie potrafił znaleźć drogi do zagłębienia.

Na dole o życie walczył chłopiec. Był cały brudny od dymu i wody zmieszanej ze zwęglonymi przedmiotami.

Ale i tak wyglądał jak chłopiec z zapalkami.

Poczułem zimny dreszcz na karku.

Słowa Ozona rozbrzmiały głośno w mojej głowie.

Chciałeś złamać zasady?

Piwnica...

Musiałem coś wyjaśnić.

I to jak najszybciej.

Inaczej chyba zwariowałbym.

Nie sądziłem jednak, że odpowiedź stanie się zapalnikiem i zaproszeniem, by skorzystać z opieki specjalistów.

Dlatego opowiadałem tę historię.

Bo mam nadzieję, że uporządkuję wszystkie sprawy.

Że w końcu uścisknę dłoń psychoterapeuty i podziękuję mu za pomoc. I nigdy więcej się nie zobaczymy.

Jeszcze raz pojechałem do domu Towańskiej. Zaraz po niesamowitym odkryciu na miejscu pożaru. Pędziłem BMW jak szalony. Dopadłem do drzwi, uderzając w nie pięścią. Tym razem kobieta otworzyła. Wydawała się nieco zaskoczona niespodziewaną wizytą.

– Próbowałem się z panią skontaktować...

– Tak? Czy my się znamy? – powiedziała niepewnie. – Wróciłam dopiero wczoraj. Nie było mnie dwa tygodnie.

– Widziałem, że w oknie pali się światło.

– Niemożliwe. Zawsze wyłączam prąd, gdy wyjeżdżam.

– No mówię pani, że widziałem! – Niekontrolowanie podniosłem głos. – Może to syn? Był w domu podczas pani nieobecności?

– Czego pan w ogóle ode mnie chce?

– Mamy serię podpaień we wsi. Próbuję ustalić...

– Jest pan dziennikarzem?

– Nie... Pracuję u Ozonowicza.

– O co chodzi?

– Czy pani syn... Czy jest dzieckiem Mariusza?

Jej twarz, piękną, ale zdecydowanie zmęczoną, nadszarpniętą wydarzeniami z przeszłości, ściągnął grymas. Po chwili uśmiechnęła się sztucznie, jakby tym próbując ukryć naturalną mimikę, wywołaną kotłującymi się emocjami.

– To nie pańska sprawa – odparła łamiącym się głosem.

Zachwiała się. Pobladła momentalnie. Podałem jej rękę, chroniąc przed upadkiem.

– Nie trzeba.

– Nie chcę pani niepokoić. Ale muszę to powiedzieć. Wczoraj spłonął cały dom Ozonowicza.

Na tę wiadomość wyraźnie się ożywiła.

– O Boże... Niemożliwe. Czy z nim wszystko w porządku?

Przemilczałem odpowiedź.

– Chcę coś wyznać. Po to przyjechałem. Pewnej nocy, gdy jeszcze wszystko było w porządku, a później wczesnym porankiem, dzisiaj, wśród zgłiszcz widziałem pani syna.

W jej oczach pojawiły się łzy. Kompletnie nie docierało do niej, co mówię.

– Co on tam robił, do jasnej cholery!?! – Chwyciłem ją mocno za ramiona i potrząsałem. – Widziałem go, jak bawił się zapałkami. To on jest za to wszystko odpowiedzialny! Nie zostawię tego tak! Musiał skryć się w piwnicy. To go uratowało.

Kobieta odepchnęła mnie.

– O czym ty człowieku w ogóle mówisz?

– Wiem, co widziałem. Strażacy uratowali twojego syna!

Spoglądała urażona, jakbym tymi słowami zbrukał największą świętość. Kręciła przecząco głową, z niedowierzaniem, nie dopuszczając do siebie żadnych wyjaśnień.

– A ja wiem, jak wiele cierpienia przeżyłam przez ostatnie tygodnie. Marcinek był chory, postępujący glejak. – Zrobiła pauzę, jakby próbując odegnąć od siebie bolesne myśli. – Leczyliśmy go w najlepszej klinice w Polsce. Dlatego wyjechałam. I tak, jeśli to dla ciebie takie ważne, Mariusz bardzo nam pomagał. Opłacił leczenie. Tego mu jednak nigdy nie wybaczę.

Że rozdzielił braci. Marcinek został ze mną. Po zaginięciu brata zachorował. Jakby organizm sam uznał, że to nienaturalne.

Naraz całym moim ciałem wstrząsnął zimny dreszcz. W myślach dopowiedziałem sobie finał tej historii, czując, jak potężne ciarki przechodzą mi po skórze.

– Rano, na zgliszczech, widziałem... – próbowałem wydusić słowa.

Kobieta szybko przerwała, udzielając odpowiedzi, która sprawiła, że całe moje dotychczasowe wyobrażenie konstrukcji świata, w jednej chwili legło w gruzach.

– Jedyne, co możemy teraz zrobić, to modlić się za jego duszę. Marcinek zmarł w szpitalu kilka dni temu.

DAGMARA ADWENTOWSKA

Urodzona w 1981 r. Z wykształcenia dziennikarz i kulturoznawca. Mieszka na wsi na Wzgórzach Trzebnickich. Pracuje jako redaktorka w czasopiśmie zielarskim. Współpracowała z Okolicą Strachu i Magazynem Histeria. Publikowała opowiadania w: Magazynie Histeria, Magazynie Biały Kruk, Szortalu, Czerwonym Karle oraz kilkunastu antologiach (m.in. *Horror na Roztoczu*, *Krew zapomnianych bogów*, *Słowiańskie koszmary*, *Maszyna*, *Jakie czasy, taki diabeł*, *Sny umarłych*, *Na nocnej zmianie*, *Licho nie śpi*, *Echo zgasłego świata*).

Rechot

– Kiedyś było ich więcej.

Łukasz zamarł w pół kroku na progu wiejskiego sklepiku. Przemówiła do niego żaba, głosem męskim co prawda, ale kto ją tam wie. Płazy były dla Łukasza nieoczywiste płciowo, wszak zajmował się nimi od strony metaforycznej, nie zoologicznej. Niezdecydowana seksualnie żaba siedziała w pyle i niemiłosiernym letnim skwarze przed zgryzionymi zębem czasu schodkami. Była wielka, szara, pokryta brzydkimi pryszczami, już całkiem konwencjonalnie, jak to żaby mają w zwyczaju. Łypała jednakże okrągłymi oczkami jakoś tak znacząco. I znowu przemówiła.

– Jeszcze siedem lat temu... a jak w twoim wieku byłem, to wieczorami się zdawało, że ziemia się rusza, heh, jak to mrowie kicało.

– Wszystko się zmienia – zagaił Łukasz ostrożnie, mnąc uszy reklamówki, w której kołysały się smętnie pół bochenka chlebka i sześciopak piwa. Piwa marki „mocne i tanie, miejscowym smakuje”, jedynej dostępnej na tym końcu świata.

– Hmpf. Zawsze to okazja do toastu, jak idzie ku lepszemu, co? Napij się ze mną, studenciku.

Łukasza tchnęła nagle i głupia myśl, że żaba go upoi alkoholem, a potem będzie namawiała do całowania, jak to płazy zwykły robić w większości ludowych opowieści. Ta jednak tylko wpatrywała się w niego chronicznym wytrzeszczem. Mimo wszystko Łukaszowi zrobiło się nieprzyjemnie i, choć był środek lipca, po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz. Toteż ostrożnie drobił wokół żaby, szurając sandałami ku furtce między przywiedłym żywopłotem a szyldem obwieszczającym, iż „piwo, papierosy, spławiki, pizza mrożona i napełnianie butli gazem”.

– Hehehehehe. – Trafił go w trakcie tych manewrów pogardliwy, gulgoczący rechot. – Korona by ci z głowy spadła, jakbyś ze mną usiadł, co?

To jednak nie była żaba. To był starszy jegomość o małych, jasnoniebieskich i wyblakłych oczkach, łyskających przenikliwie w opalonej na czerwono twarzy o fakturze pumeksu. Miał na sobie pamiętającą lepsze czasy, bo na pewno nie proszek, flanelową koszulę, spodnie od dresu

i gumiaki. W ręku trzymał butelkę mocnego i taniego, chwalonego przez miejscowych piwa. W kąciu ust chwiał mu się przygasły pet. Starzec kołysał się w przód i w tył na plastikowym krzeselku ogrodowym, ustawionym w przerwie w żywopłocie... i tym sposobem, zamaskowany w ligustrach, podkładał żabie dubbing.

– Coś ci powiem...

Łukasz był już w połowie drogi do furtki, za którą wypadłby na główną, bo jedyną ulicę i zostawił za sobą lokalny sklepik, lokalnego pijacznę i lokalną żabę. Ale coś go zatrzymało, chyba upodobanie do kuriozalnych sytuacji.

– Powinieneś stąd wyjechać – zagaił stary teatralnym szeptem, jakim zdradza się tajemnice wagi państwowej i opowiada, z kim sąsiad chodzi do łóżka.

– Ja? Dopiero przyjechałem. – Łukasz dostał wytrzeszczu jak żaba. – Dlaczego niby?

– Bo niebawem będziemy mieć w Brzozie porę deszczową – wyłuszczył pijaczyna, tym razem tonem telewizyjnej wróżki spod numeru 0-800.

– Ahaaaaa – oznajmił Łukasz przeciągle. Obrzucił wzrokiem dogorywającą żabę, schnące ligustry i tuman pyłu, jaki wzbiał na ulicy przejeżdżający traktor. – To ja też coś panu powiem. Całe, kurwa, szczęście.

* * *

Łukasz powrócił do siebie w stanie, delikatnie mówiąc, wzburzonym. Po prawdzie zaś, to się srodze wściekł. Znowu coś go oderwało od jedyne go istotnego zadania, jakiemu powinien teraz poświęcać czas i myśli. I wiedział, że dobrą godzinę zajmie mu powrót na utarte tory pisania, picia i spania. Musnął wzrokiem zamknięty laptop, góry notatek i archipelagi książek, które przytargał tutaj ze sobą. Do Brzozy, miejsciny teoretycznie położonej na Mazurach, a praktycznie będącej końcem świata. Zrobił to z rozmysłem, liczył, że odklei się od wielkomiejskich spraw, kolegów, wspomnień i wszystkich tych przeszkód, które przez trzy lata nie pozwoliły mu napisać pracy dyplomowej, ostatniego stopnia do uzyskania zaszczytnego tytułu magistra filologii polskiej.

Jeszcze ten temat... *o Jezusie Świebodziński i wszyscy święci*. W jakim był stanie umysłu, co mu chodziło po głowie, gdy przedstawił promotorowi ideę rozebrania na części pierwsze zagadnienia „Symbolika płazów w literaturze i podaniach ludowych – od starożytności do współczesności”. A tak, to było

na czwartym roku. Łukasz pozostawał wówczas w stanie permanentnego upojenia alkoholem oraz miłością namiętą i wszechogarniającą do niejkiej Marceliny. Po czym minęło parę miesięcy, piękna Marcelina z wyczuciem rynku pracy i zimną interesownością zmieniła obiekt wzniosłych emocji na inżyniera po politechnice, już po obronie, rzecz jasna. Natomiast Łukasz został bez dziewczyny, bez dyplomu, za to z żabami i ropuchami. I obecnie zabrał swoje metaforyczne płazie towarzystwo do Brzozy, bo na wyjazd w ciekawsze i bardziej egzotyczne miejsce odosobnienia nie było go stać. Dlatego też postanowił nie trzeźwieć.

Dźgnął palcem stos notatek i próbował zmusić się do pisania, ale odczuwał wręcz fizyczny opór. Z psykiem otworzył puszkę taniego i mocnego, zasiadł na schodkach przed domkiem letniskowym. Tutaj przynajmniej nie czuło się stęchlizny i lawendowego odświeżacza, jak w środku. I miał widok na nadbrzeżne szuwary i jezioro. Właściwie nic nie domagało się jego uwagi, mógł dopić piwo i rzucić się w wir pracy, powiedzmy, że twórczej i naukowej. Ale nie mógł usunąć z myśli żaby w pyle, starego pijaczyny i jego dziwacznych opowieści. Pogroźek właściwie, wygenerowanych przez przeżarty kiepskim alkoholem mózg.

Nadejdzie pora deszczowa i musisz odejść, bo cię spotka coś złego. Co konkretnie, to Łukasz już sobie wyimaginował, bo piwo uruchomiło pokłady złośliwego humoru. Na pewno z Jeziora Brzozowego wyjdą żaby i ropuchy, i kumkając, zakradną się do domku letniskowego Łukasza, wskoczą do niego na zapadniętą wersalkę, i zakicają go na śmierć, przy wtórze trzeszczenia zardzewiałych sprężyn. Albo, jak w ludowych przypowieściach, zmuszą go, żeby otworzył usta, po czym policzą mu zęby. A ile mu zębów zdążą policzyć, tyle mu wypadnie. W zemście za to, że w poprzedniej epoce swego życia i stanu konta zaprosił był Marcelinę do francuskiej knajpki na żabie udka.

– Co za bzdury – oznajmił sosnom mazurskim, szuwarom i kormoranowi suszącemu skrzydła na przybrzeżnej brzózce. Zgniół puszkę i wrócił do domku. Odpalił laptop, z chrzęstem wyłamał palce i z furią wyłupał śródtytuł.

Cztery godziny później obok stołu leżały cztery kolejne, zgniecione puszki, Łukasz miał oczy przekrwione całkiem jak pijaczek spod sklepu, ale pisał niepowstrzymanie. Wstał tylko, żeby zapalić światło, bo zaczęło się ściemniać, i aby oddać hołd naturze. Pod drzewem, w końcu był na letnisku.

I wtedy szuwary rozbrzmiały rechotem, najpierw pojedynczym, a potem chóralnym. Z przeciwległego brzegu doleciała cichsza, ale wyraźna odpowiedź, jakby płazy przez jezioro wymieniały się żartami i zaśmiewały się chóralnie.

– Zamknąć mordy! – rozdarł się Łukasz w szarzejący zmierzch, echo odbiło się od wysokiego brzegu i stodoły krytej eternitem. A żaby nieoczekiwanie zamilkły. Cisza była niesamowita, namacalna niemal, pulsowała w uszach tak samo jak poprzedni kolektywny zaśpiew.

* * *

Obudził się świtem, takim szczególnym, który zwiastuje kolejny z szeregu skwarnych dni i zapowiada okrutnie, że w południe wszystko, co żywe pod słońcem, zostanie przez to słońce bezwzględnie upieczone. W złocistym, nieruchomym powietrzu tańczyły drobiny kurzu, sosny za oknem już dyszały w upale żywicznym zapachem. Łukasz zaś miał kaca.

Śniła mu się Marcelina, po raz pierwszy od dawna. Wynurzała się z Jeziora Brzozowego z wdziękami opiętymi skąpym czarnym bikini, a woda ściekająca z jej włosów była czerwona jak Nil zaklęty przez Mojżesza. Nawiedziły Łukasza i żaby, a wcale nie było ich mało, jak przekonywał wiejski mędrzec spod budki z piwem. Roily się na plaży, wyskakiwały z tataraków, wylegiwały na łódkach i na ciągniku, skakały przez dróżkę.

Marcelina dygotała ze strachu i krzyczała, a Łukasz wiedział, co się dzieje. W końcu dokładnie to opisał i rozebrał symbolikę na czynniki pierwsze poprzedniego wieczora.

„Nil zaroi się od żab. Wejdą do pałacu twego, do sypialni twojej, do łoża twego, do domów sług twoich i ludu twego, jak również do twoich pieców i do dzieł twoich. Żaby wślizną się i do ciebie, i do twego ludu oraz do twoich sług”. Tako rzekł Mojżesz i Bóg tak zrobił, jak postraszył jego prorok. A teraz przeklął mazurską wioskę plagą żab, tak jak to uczynił z Egiptem faraonów. Łukasz pamiętał, że pod koniec tego snu, z głową ciężką od rodzącego się kaca i pękającą od pisku niedoszłej miłości swego życia, stał pośród powodzi płazów i zastanawiał się trochę tępo, a trochę wzniośle, czym zgrzeszyliśmy, jakim czynem wystąpiliśmy przeciwko Panu, że na nas zesłał te paskudztwa.

I może zastanawiałby się nad tym i po przebudzeniu, ale dotarło do niego, że ktoś krzyczy. Krzyczy jakaś kobieta, zanosi się wysokim wizgiem aż do zachłyśnięcia, i krzyczy teraz i tutaj, złocistym świtem w Brzozie. To nie ciąg

dalszy majaków pędzonych tanim piwem i kiepskim tematem pracy dyplomowej. To już jest naprawdę.

Zsunął się z wersalki i potoczył ku drzwiom. Pchnął je z całej siły i w tym samym momencie zamarł w progu jak kamień. Poczuł, że lepki, cuchnący pot ścina mu się na kręgosłupie w warstewkę lodu.

Żegnaj, tytule magistra filologii polskiej i zawrotna kariero tragarza kaganka oświaty. Łukasz już wiedział, że nie napisze ani słowa, że co najmniej dwa tygodnie może już sobie skreślić z życiorysu.

Przed sąsiednim domkiem letniskowym błyskał wywoskowaną na świeżo karoserią srebrny mercedes, z miejsca kierowcy wyskakiwał zaś pośpiesznie nikt inny, jak dyplomowany inżynier, ostatnia zdobycz niewiernej Marceliny. Ledwo go Łukasz poznał. Nie dość, że kochasiowi ewidentnie się powodziło, to z wymoczka w okularkach przedzierzgnął się w szwedzkiego drwala, z szeroką piersią, półdługim blond włosom i zarostem wypielęgowanym jak grządka perfekcyjnej pani domu. Czego to z człowiekiem nie zrobi darmowa karta do fitness klubu i inne benefity w korporacjach... Formę zyskał w każdym razie inżynier iście olimpijską, trzy schodki do domku przesadził jednym długim susem. W środku znowu zakrzyczała cienko kobieta. I tym razem Łukasz już wiedział, kto krzyczy. Poznałby jej głos wszędzie.

Tkwiał w progu jak słup. W gardle mu zaschło, a dla równowagi oczy zwilgotniały, spod powieki wytoczyła się niechciana, gruba łza. Już się prawie pozbierał, nadał swojemu życiu jakiś wektor, a tu diabli nadali Marcelinę i jej pana idealnego. Tak, żeby Łukasza dźgnęło, czego nie ma i nigdy mieć nie będzie. Niech ich oboje trafi szlag. Przez chwilę miał nadzieję, że coś Marcelinę ugryzło śmiertelnie i dlatego tak się wydziera. Jakaś żmija na przykład. Albo żaba.

Ruszył jednak wreszcie z miejsca, zerknął w otwarty bagażnik mercedesa, wypełniony walizkami i sprzętem wędkarskim. Obszedł drugi domek, odgarnął zasłonę przesuszonych chmielowych liści kruszących się w rękę przy najlżejszym dotyku. Zajrzał przez okno, akurat by być świadkiem, jak inżynier pociesza i uspokaja Marcelinę. Miała dłuższe włosy, niż pamiętał. Tonęła w ramionach swego rycerza i głosem wciąż zahaczającym o histerię tłumaczyła mu coś z naciskiem.

– Siedziała na poduszce, babcia zawsze mówiła, że jak wejdzie do domu i usiądzie na łóżku, to ten, kto w tym łóżku sypia, umrze!

– Jak babcia usiądzie, kochanie? – Pan Idealny jednak nie był taki idealny. Zdecydowanie wykazywał braki w rejonach lotności umysłu.

– Jak żaba albo ropucha usiądzie! – wydarła się Marcelina. – Była tutaj. – Wskazała na łóżko. – Największe, najbardziej obrzydliwe żabsko, jakie widziałam w życiu!

Jakaś część jaźni Łukasza, ta porządniejsza, kazała mu się ruszyć, iść pocieszyć i uspokoić, może i była, ale jednak dziewczynę, i to w potrzebie. Ale druga wpadła w złośliwe rozbawienie, że Marcelinka jest przesądna i wierzy w babcine wymysły. Kto by pomyślał, ciekawe, jak się to rozwinie... Posłuchał tej gorszej części siebie i tkwił przy oknie jak żołnierz na posterunku. Sytuacja zaś bezwładnie ciążyła do kłótni kochanków.

– Nie będę tu spała, Szymek!

– Nie bądź dzieckiem...

– Wyjedźmy, znajdziemy inną kwaterę.

– Ale tu są sumy – zamarudził inżynier.

– Ryby ważniejsze niż ja, tak? – Marcelina z rozdygotanej paniki przeszła płynnie w furję. – Już mnie nie kochasz!

Inżynier tłumaczył się niemrawo. Ona nie słuchała. Potem on odwinął się wreszcie do ataku, a ona nie pozostała dłużna. Wyciągała mu precyzyjnie, co przez ostatnie trzy lata zrobił i powiedział nie tak, jak powinien. Koniec końców Pan Idealny trzasnął z wdziękiem drzwiami, zabrał wędki z bagażnika i pomaszerował nad jezioro. Marcelina zaś została w domku, dysząc z wściekłości. Łukasz był ukontentowany przedstawieniem. Poczul nawet coś na kształt weny do pisania, podkreślonej satysfakcją, że byleż się nie układa. Napisze dzisiaj co najmniej pół rozdziału. Tymczasem jednak został przy oknie, by sobie obejrzeć, jak Marcelina się przebiera. Przykleił nos do brudnej szyby, śledząc głodnym wzrokiem gwałtowne ruchy, jakimi zerwała z siebie bluzkę w maki i czarną spódnicę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy mu się zdarzyło ostatni raz być z dziewczyną. Z taką jak Marcelina... to już ani razu. Ale może jeszcze się zdarzy, pomyślał i gorączkowo zagryzł wargi.

Znad jeziora, choć dzień się dopiero zaczynał i nie była to pora na żabie koncerty, dobiegł chóralny rechot. Nie brzmiał wcale, jakby żab było mało.

* * *

Łukasz tkwił wpasowany w parapet swojego domku już trzecią godzinę. Pomimo że złośliwa satysfakcja odblokowała mu wenę na rozpisywanie się

o metaforyce płazów, nie włączył laptopa. Na trawniku rozgrywały się sceny o wiele ciekawsze niż w bajkach zwierzęcych. Marcelina, pozbywszy się spódnicy i kwiecistej bluzki, zaległa na leżaku w przejściu między domkami. Z braku samochodu przed drugą kwaterą i zamkniętych drzwi musiała sobie wywnioskować, że są z inżynierem na letnisku jedynymi gośćmi. Albo po prostu nie obchodziło jej, że ktoś niepowołany może podglądać, w każdym razie opalała się bez stanika, a Łukasz bez żenady korzystał.

Ktoś niepowołany pojawił się tuż przed południem, zaburzając tę wakacyjną idyllę. Zataczał się cokolwiek, co by wskazywało, że centrum kulturalno-rozrywkowe Brzozy w postaci wiejskiego sklepiku zdążył już odwiedzić i spędzić tam trochę czasu. Był nim nikt inny, jak staruszek od plażowej przepowiedni, odziany dokładnie tak samo jak wczoraj, ale ewidentnie bardziej zawiany. Nie na tyle jednak, by nie dostrzec i nie docenić widoków, jakie się przed nim nieoczekiwanie rozpostarły na pasiastym leżaku, wysmarowane olejkami i błyszczące.

– Dzieeeeń dobryyy panienssse – zagaił, po pijacku szarmancko.

Marcelina opuściła na piersi czytane czasopismo i zmroziła go wzrokiem.

– Panienska taka ładnaaa... – pociągnął niezrażony.

– Nie dam dwóch złotych na piwo. – Jednak uznała, że go zaszczyci rozmową.

– Ale nie o to chossssi. – Stary podniósł obie ręce w obronnym geście. – Panna powinna...

– Spieprzaj, dziadu.

Łukasz obserwujący scenę przez okno zachichotał gorzko. Marcelina szybko odzyskała formę.

Stary tkwił przed leżakiem jak żebrak, co przyszedł na łaskawe posłuchanie do królowej.

– Próbowałem – wyartykułował po chwili starannie i odszedł w stronę jeziora, szurając butami i wzniecając tumany pyłu na leśnej dróżce.

Marcelina nawet nie odprowadziła go wzrokiem. Zasłoniła twarz kolorowym czasopismem i pogrążyła się w lekturze. Spod dolnej krawędzi okładki wystawały kuszące półkule opalonych piersi i widok ten Łukasza natchnął i zmobilizował do działania. Żeby pójść i walczyć o swoje, bo wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że ma szansę odzyskać, co stracił na rzecz inżyniera. Wpadł do łazienki, przecesał włosy palcami i obadał swój wygląd w lustrze. Nie przypominał może drwala znad fiordu, bardziej młodego Wertera... ale miał zalety, którymi konkurencja nie mogła

się pochwalić. Mianowicie, nie oglądając się na sumy pluskające w jeziorze oraz księgozbiór do zabrania i pracę dyplomową, był gotów tu i teraz, w tym momencie, zabrać wybrankę z powrotem do Warszawy. Autobusem o osiemnastej trzydzieści... chyba że mercedes należał do Marceliny.

Opuściła gazetę, plaskając nią o wykremowane nagie uda, i spojrzała mu w oczy z furią. Pewnie się jej zdawało, że pijaczyna powrócił albo inżynier skończył randkować z rybami w szuwarach. Jednak się zawiodła.

– O... – Otworzyła rozkosznie usta w niebotycznym zdziwieniu. – Łukasz...

– Nic się nie zmieniłaś. – Uśmiechnął się, próbując nie gapić się zbyt nachalnie.

– Zasłaniasz mi słońce.

Na to Łukasz otworzył usta. Tylko tyle mu miała do powiedzenia, po długim niewidzeniu? I kiedy był jedynym prawdziwym mężczyzną na tym końcu świata? Przesunął się lekko w bok i momentalnie się za to znienawidził, za ten odruch wiernego psa, który robi wszystko, co pani każe, wślepiając się w nią z oddaniem.

– Dalej zasłaniasz. – Opuściła niżej na nosie ciemne okulary.

– To nie ja. – Podniósł palec i wskazał nim winowajcę, wielką, ciemniejącą chmurę pośrodku błękitnego nieba, wiszącą dokładnie nad nimi.

– Cudownie – skomentowała Marcelina. – Niech się jeszcze pogoda spieszy.

– Wracam dziś do Warszawy. Chcesz się ze mną zabrać? – rzucił niezobowiązująco i przestąpił z nogi na nogę.

– W sumie to bym mogła. – Wydęła usta. – Ale, sam rozumiesz, nie przyjechałam tu sama.

– Tak, widziałem – brnął Łukasz. – Kłóciliście się. Pomyślałem...

Przez moment, bardzo krótki, wydawało mu się, że Marcelina się zastanawia, i że szala przechyliła się na jego korzyść.

– Ty, Łukasz, to lepiej nie myśl, bo nie jesteś w tym najlepszy – westchnęła i powróciła do leniwego przerzucania stron. – Wróciłabym w sumie, ale tak się składa, że Szymona to niczego nie nauczy. To on chciał przyjechać do tej dziury. Nie będzie się beze mnie nudził i rozpaczał, że uciekłam z innym. Pójdzie moczyć w wodzie swoje kijaszki. Zwłaszcza że będzie łało. – Zerknęła na ciemniejącą chmurę. – Wtedy ryby najlepiej biorą. Więc... – westchnęła znowu – muszę się przemęczyć te dwa tygodnie.

Mrugnął pomалу. I sięgnął po ostatni argument, koślawy jak tutejsze domki letniskowe i wszystko inne tutaj. I jak jego życie.

– Wiesz, tu się dzieje coś dziwnego. Nocą... bywa strasznie. Jest pełno żab, a ten stary spod sklepu... próbował mnie ostrzec, że powinienem wyjechać, bo stanie się coś złego.

– Czy ty mnie straszysz, Łukasz? – Jednak opuściła gazetę. Źrenice znów miała jak dwie szpilki. – I opowiadasz mi brednie, którymi miejscowi zabawiają turystów?

– Sama krzyczałaś, bo zobaczyłaś żabę na łóżku. – Łukasz skurczył ramiona i odruchowo zaczął się tłumaczyć. – Powiedziałaś...

I już kiedy zaczął mówić, wiedział, że wytknięcie jej tej chwili słabości to błąd. Błąd z tych najgorszych, niewybaczalnych.

– Podglądasz mnie? Podśłuchujesz? – Oczy Marceliny tym razem się zaokrągliły. Gibko poderwała się z leżaka i z furkotem cisnęła w niego czasopismem. – Ty zboczeńcu!

– Marcelina, posłuchaj...

– Masz jechać, to wyjeżdżaj w diabły! – wycodziła zimno. – Bo zadzwonię na policję i cię oskarżę o napastowanie!

Wycofał się momentalnie, tak jak wcześniej stary pijak. Palił go wstyd i urażona duma, ale wiedział, kiedy Marcelina groziła na serio. Znał ją też na tyle, że zdawał sobie sprawę, że przekonanie funkcjonariuszy do swojej wersji wydarzeń zajmie jej najwyżej godzinę. Zawsze umiała postawić na swoim. I zawsze umiała ustawić wszystkich i wszystko tak, żeby jej było wygodnie. Ciekawe, że mazurski pijaczek odkrył to po pięciu minutach, a Łukaszowi zajęło lata... i do tego nawet teraz się jeszcze łudził. Pan Idealny Szymon najpewniej dlatego był idealny, bo spostrzeżenie, że urocza wybranka jest w rzeczywistości zimną suką, nie dobijało mu się zbyt intensywnie do świadomości. Łukaszowi po raz pierwszy w życiu zrobiło się tego idioty tak po ludzku żal. W odruchu męskiej solidarności zawrócił do domku po ostatnią puszkę piwa. Dzierżąc ją oburącz niczym kielich pojednania, wkroczył na ukryty w trzinach pomost. Gdy szedł, deski skrzypiały niemiłosiernie, a w szuwarach wszczął się gwałtowny ruch i plusk.

Szymon siedział na rozkładanym taborecie, otoczony wędkami. Przy nodze otwarta skrzynka błyszczała zawartością jak podręczny bagaż faraona, spakowany na wyprawę w zaświaty. Tyle że nie klejnotami, a spławikami wykonanymi w technologii kosmicznej.

– Potrafi człowieka wykończyć – zagaił Łukasz tytułem wstępu, otworzył puszkę i podał towarzyszowi niedoli. Inżynier mruknął coś pod nosem,

odmówił poczęstunku i zagapił się w spławik unoszący się na wodzie.

– Zamierzasz tu siedzieć i się z nią żreć? – pociągnął Łukasz temat i z puszki. – Może czas się w końcu postawić?

– I kto to mówi? – odwarknął Pan Idealny, tracąc swoją wyglancowaną jak komunijne laczki pozę panowania nad kryzysową sytuacją. I zyskując jednocześnie w oczach Łukasza, bo wreszcie zaczął zachowywać się jak człowiek, nie jak manekin. Należało to uczcić przyznaniem mu racji.

– Masz rację – przyznał więc. – Wiesz, że jak tu zostaniemy, to ona zacznie nas szcuć przeciw sobie? Niczego tak nie lubi jak podgrzać atmosferę wokół siebie.

– Nie będę się żarł.

– A ja nie lubię, jak jest gorąco... mam propozycję.

– No?

To była naprawdę fantastyczna propozycja. Pokazać solidarnie tej pozeraczce serc wyciągnięty palec i pojechać do Mikołajek, gdzie piwo było zimne, łóżka wygodniejsze, a przede wszystkim gdzie nie było Marceliny. Szymon wahał się jeszcze podczas pakowania wędek z powrotem do bagażnika.

– To nie w porządku, tak ją tu zostawić samą.

– To nie trzylatka, poradzi sobie. Zresztą, co ją tu spotka złego poza zanudzeniem się na śmierć? O co, nawiasem mówiąc, właśnie nam chodzi?

Łukasz już siedział na miejscu pasażera. Przez moment ukłuło go złe przecucie, bliźniacze do wątpliwości Szymona, wrażenie niewłaściwości tego, co robi, podobne wiedzy, że będzie miał kaca, gdy otwierał puszkę tutejszego podłego piwa. Jednak wszystko to rozwiało się jak mgła, gdy Szymon odpalił silnik i z chrzęstem żwiru zawrócił między domkami. Na ganek wypadła Marcelina, a na jej twarzy malował się szok pomieszany z niedowierzaniem i wściekłością. Widok wart każdej ceny. Łukasz parsknął śmiechem, Szymon uśmiechnął się blade. Obaj zezowali we wsteczne lusterko, dopóki opalona na złocisty brąz sylwetka nie zniknęła, przysłonięta przez sosny.

– Nie martw się, wrócimy jutro i zobaczysz, naje się strachu i będzie zupełnie inna – zawyrokował Łukasz z rozbawieniem. Zamknął okno, żeby dolatujący znad jeziora żabi rechot nie zagłuszał rzeźącego radia.

* * *

Głowa Łukasza ćmiła tępo po wyzwaniach poprzedniej nocy w Mikołajkach, które wspólnie z Szymonem podjęli i sprostali im dzielnie. Tak dzielnie, że w drogę powrotną zebrali się dopiero po południu. Teraz zaś tkwił w aucie, a skronie pulsowały mu w rytmie skoordynowanym z miganiem koguta radiowozu.

Żwirowa alejka, zalana wodą po nocnej burzy, zastawiona była policyjnymi wozami. Funkcjonariusze snuli się po okolicy, chlupiąc butami w błocie, bez wyraźnego pomysłu na to, co mają robić i od czego zacząć. Oprócz czarnowłosej policjantki, która próbowała uspokoić Szymona.

– Gdzie ona jest?! – krzyczał i wyrывał się mundurowej, też chyba chciał biec, szukać, bez planu, byle coś zrobić. – Gdzie ona jest?!

Wreszcie opadł na schodek, twarz ukrył w dłoniach i zaczął się trząść. Brunetka kuciała przy nim i szeptała pozbawione znaczenia słowa pociechy, oferty wody i papierosa oraz zapewnienia, że policja jest na tropie i robi wszystko.

Akurat.

Łukasz wyłuskał się z auta, trzasnął drzwiami. Przeszedł cicho na tyły letniska, tak gdzie teren łagodnym zboczem schodził nad jezioro, przykleknął przy śladzie małych łapek odcisniętych w grząskiej ziemi. Potem wrócił, wyminął Szymona i policjantkę, by zajrzeć do domku Marceliny.

W środku panował chaos, przy drzwiach piętrzył się stos mebli. Łóżko stało pośrodku, chyba Marcelina je też chciała przesunąć na prowizoryczną barykadę, ale zabrakło jej sił. Wpadający przez rozbite okna wiatr poruszał firankami. Na brązowej wykładzinie i linoleum w kuchni ciągnęły się smugi. Czerwone, z krwi. I szarawe... jakby śluz.

Wrócił do siebie i zaczął się pakować, bezładnie upychał książki w pudłach i zanosił je do samochodu. Robił już ostatni kurs, gdy dostrzegł pijaczka wędrującego pomiędzy radiowozami. Zaszedł mu drogę i lekko się zdziwił. Lokalny prorok nie dość, że był trzeźwy, to jeszcze przygaszony i ponury jak przedsiębiorca pogrzebowy.

– Ostrzegałem – mruknął stary. – Ostrzegałem was, nigdy nie słuchacie. Za każdym razem jak wychodzą z jeziora, muszą kogoś zabrać, kogoś przyjezdnego. Dlaczego mnie nie posłuchaliście...?

Łukasz ściągnął brwi, pudło dla wygody przełożył pod pachę. Trochę go korciło, by pociągnąć starca za język, ale silniejsze było przeświadczenie, że powinien potraktować jego rewelacje tak, jak na to na pierwszy rzut oka

zasługują. Jak rojenia szaleńca. Nie pochylać się nad nimi, nie traktować poważnie, bo się jeszcze to podejście komuś udzieli.

– Dziadek pójdzie do domu odpocząć – poradził.

– Zabiły ją, zabiły – zamamrotał przetrzeźwiający pijak i podniósł na Łukasza wyblakłe oczy.

Łukasz zaś się uśmiechał mimowolnie, ale zaraz przyoblekł twarz w minorową minę. Nie poszło mu łatwo, bo czuł, że go roznosi euforia.

Po raz pierwszy od dawna czuł się wolny. Wolny jak Żydzi opuszczający Egipt. I nie zamierzał udawać przed samym sobą, że po drodze stała się jakaś tragedia, bo jedna z plag kogoś zmiotła. Nie kiedy było mu to na rękę. Był wolny, a miał też głębokie przeświadczenie, że na proroka nadaje się o nieba całe lepiej niż staruszek.

Epilog

Długi sygnał oznaczający, że rozmówca nie może lub nie chce odebrać odebrać, wypełnił ucho Szymona. Mężczyzna jęknął i ponowił próbę, z tym samym skutkiem. Nie należało spodziewać się cudów. Była dopiero ósma rano, o tej porze Łukasz zaszczycał świat swą świadomą obecnością tylko w przypadku, gdy balował całą noc i dopiero wracał w domowe pielesze. Sprawa jednak była gardłowa i wymagała szybkiej interwencji.

– Łukasz, ja wiem, że premiera, że wieczór autorski – zaczął Szymon łagodne podchody wobec automatycznej sekretarki – ale musimy pomówić. Jest bardzo źle.

Pół godziny później zadzwonił znowu, by ponownie wysłuchać wygłoszonej głosem przyjaciela przemowy, że teraz nie odbierze, gdyż znajduje się w szale pracy twórczej, toteż uprasza się, aby społeczeństwo zamarło w pełnym nabożeństwa szacunku dla pisarza i jego kapryśnych muz, i wstrzymało się ze swymi przyziemnymi żądaniem.

Akurat, praca twórcza i muzy. Szymon zmełł pod nosem soczyste przekleństwo. Dobrze wiedział, że Łukasz śpi jak zabity, a muza, jeśli obecnie jakaś się przy nim kręci, to leży obok i chrapie, tak samo podpita jak wielki autor bestsellerów.

W okolicach południa stał się cud prawdziwy. Łukasz oddzwonił, i to chyba zaraz po tym, jak się obudził, bo w głosie znać było jeszcze powódczaną chrypę. Była i muza, gdzieś w tle dopytywała się wymiętym szeptem, czy znajdzie kawę w tej jaskini.

– No co jest, Szymuś, misiu różowy? – zamiauczał Łukasz z łagodnym wyrzutem. – Odsłuchałem dziewięć twoich wiadomości. Ładne były, mieliście ostatnio w korpo jakieś szkolenia z kompetencji miękkich, co? O co ten raban, pali się coś?

– Pod dupą mi się pali! – syknął Szymon i opuścił swą zagródkę, by kontynuować rozmowę na korytarzu, gdzie była mniejsza szansa, że ktoś go podsłucha.

– Możesz usiąść, Szymuś, i wyłożyć na spokojnie, co się dzieje? – nadawał Łukasz niepowstrzymanie przez słuchawkę, tonem buddyjskiego mnicha, którego nic nie wytrąci z równowagi, taką osiągnął harmonię i równowagę ducha. – Cokolwiek się dzieje, nie ma sytuacji bez wyjścia. Bywało już źle, prawda, brachu?

– Bywało – burknął Szymon, ale posłusznie przysiadł na wykafelkowanym stopniu. – I zawsze, za każdym razem, ty i ja wychodziliśmy z bagna obronną ręką, z głową podniesioną wysoko. Tak?

– No tak – przyznał, wypuścił powietrze i zagapił się w sterylną przestrzeń firmowego korytarza, upstrzoną tu i ówdzie obrazkami ośnieżonych szczytów i galopujących koni, głębokich metafor niebotycznych celów firmy i prężności pracowników w dążeniu do ich realizacji. – Bo chłopaki nie płaczą. Chłopaki biorą życie w swoje ręce! – Łukasz tchnął mu jeszcze swym buddyjskim opanowaniem. – Tak? No to do sedna!

– Nie przyznali mi podwyżki, a innym z zespołu owszem... to pierwszy sygnał, że jestem do zredukowania, przy następnych cięciach kosztów.

– O rety, rety – przejął się Łukasz delikatnie. – Rozumiem, że jest pewna liczba specjalistów do zredukowania i pewna liczba do zachowania, przytulenia do ciepłego łona korpo...

– Weź nie drwij, nie wiesz, ile ja wziąłem kredytu.

– Wiem. Ja ci ten kredyt poręczyłem, misiu różowy, pamiętasz? Jesteśmy prawie jak małżeństwo! Mam wobec tego propozycję.

– Słucham, żono.

– No i widzisz, też cię to wszystko bawi. Zatem, Szymuś, skoro niektórych mają zredukować, a innych zostawić, to my dokonamy cięć pierwsi. Zredukujemy kilku twoich kolegów.

– To nie są moi koledzy.

– Tym lepiej, nie będzie ci żal. Robię rezerwację domku w Brzozie, a ty zaproś nie-kolegów na męski wypad nad jezioro. Za miesiąc.

Szymon zamarł z telefonem przyciśniętym do ucha.

– Nie wrócę tam. Ona tam zginęła... nie znaleźli ciała, ale ja wiem, Łukasz, czuję to. Marcelina tam umarła. – Głos mu zadrgał.

– Chcę rozwiązać twój problem, bo jesteś moim kumplem. I żaby są rozwiązaniem. Przyjdą i załatwią sprawę – nadawał Łukasz z naciskiem i zaczął tłumaczyć. *Prędzej czy później musiał nadejść moment, kiedy Szymona trzeba będzie wtajemniczyć i zrobić współnikiem. Moment, kiedy ten miał nóż na gardle był idealny.* – Miałem problem z konkurencją na rynku wydawniczym i już nie mam. Szefa wydawnictwa też wysłałem na wieczny urlop, bo mi bruździł. Nowy jest o wiele rozsądniejszy.

Szymon próbował uwierzyć. I może by to wszystko wyśmiał, gdyby nie widział wnętrza domku, krwi i śluzu na wykładzinie.

– Co ty opowiadasz? Wiedziałeś, co tam się stanie?

– Prawdę odkryłem po fakcie – zaznaczył starannie Łukasz. – Dla Marceliny było już za późno.

– Posłałeś tam potem kogoś? Chcesz, żebym zrobił to samo? Jezu, Łukasz, one ich zabijają. Pożrą – wydusił w końcu Szymon. – Jak ją...

– Oczywiście. Nie będzie śladu – zachwycił się Łukasz i pociągnął filozoficznie: – Płazy to bardzo pożyteczne stworzenia. Zjadają szkodniki. Weź no, bądź proekologiczny. Pozwól im wypełnić ich naturalną rolę.

I wybuchnął śmiechem z własnego dowcipu.

Gulgoczącym, głośnym rechotem.

Dawno temu uważałam namiot za szczyt luksusu na wakacjach, a zapadłe wioseczki na końcu świata, gdzie nikt nie chce przyjeżdżać, za najlepszy cel podróży. W takimże miejscu, na łące nad Rospudą, w namiocie rozbitym obok kajaka, był mnie obudził w środku nocy rechot żab i koszmarny, ale bliżej nieokreślony strach. Że zaraz stanie mi się coś złego, ale nie wiadomo co konkretnie. Otworzywszy oczy, próbowałam sobie ten strach jakoś ubrać, przyoblec w kształt. Padło na śpiewające wokół żaby, sympatyczne poniekąd istoty, za sprawą Biblii obciążone po wsze czasy łatką plagi. W ciemnościach pośród rechotania przypominałam sobie wszystkie ludowe podania o zębach wypadających z dziąseł, bo żaba je policzyła, zakręty fabuły „Frogs” George’a McCowana (polecam wielbicielom filmów złych, scenariusz, aktorstwo i realizacja to samo złoto), oraz oczywiście „Porę deszczową” Stephena Kinga. O tych wszystkich strasznych żabach-mordercach natychmiast opowiedziałam swojemu chłopakowi, szarpiąc go za śpiwór i budząc bezlitośnie o trzeciej nad ranem. Co on podsumował jako strachy irracjonalne, które miną dokładnie za dwie godziny, gdy wstanie słońce. Diagnoza

oczywiście okazała się słuszna, równo ze światem strach puścił. Bo powiedzmy sobie wprost – jak się rozsądnie (i za dnia) zastanowić, to w żabach nie ma nic strasznego. I to bardzo ważne dla ekosystemu stworzenia. Nieodmiennie przerażający bywają natomiast ludzie.

– Dagmara Adwentowska

GRZEGORZ KOPIEC

Grzegorz Kopiec – szczęśliwy mąż Arletty i dumny ojciec Kordiana i Cypriana. Urodzony w 1982 roku, wychowany i nadal mieszkający w Lublińcu na Śląsku. Absolwent Politechniki Częstochowskiej – Wydziału Inżynierii Mechanicznej i Informatyki. Pracuje w zawodzie, zajmując się szeroko pojętą informatyką. Miłośnik prozy Edgara Allana Poe, Stephena Kinga i Jacka Ketchuma. W wolnym czasie wsłuchuje się w brzmienia dobrego polskiego hip-hopu. Pisze od 2011 roku. Autor thrillera psychologicznego *Czas pokuty* (2019) oraz zbioru *Fałszywy dekret. Opowiadania zakazane* (2015). Współautor kilku antologii. Jego najnowsza powieść ukaze się nakładem Wydawnictwa Vesper. Uhonorowany Nagrodą Burmistrza Miasta Lublińca w dziedzinie kultury.

Jessy

Po dziś dzień żyłem w przekonaniu, że moim obowiązkiem jest zabranie tej historii do grobu, ale zdaje się, że to właśnie ona, nieopowiedziana, nie pozwala mi odejść. Dobijam do dziewięćdziesiątki, a od tamtych wydarzeń nie doświadczyłem nawet kataru. Mam się lepiej niż niejeden pięćdziesięciolatek i czuję w kościach, że jeszcze wiele zdrowych i długich lat przede mną. Coraz częściej dochodzę też do wniosku, że na zmianę tego stanu rzeczy wpłynąć może tylko nieszczęśliwy wypadek komunikacyjny albo inne niefortunne zdarzenie. Bo do samobójstwa nigdy bym się nie posunął.

Od kilku dekad przebywam na emeryturze, niemniej – w przeciwieństwie do wszystkich i wszystkiego – uważam, że i dziś z powodzeniem rozwiązałbym kilka niełatwych spraw, odnalazł niejednego zaginionego. Nazywam się Richard Miles i jestem detektywem w stanie spoczynku; specjalistą od przypadków beznadziejnych, czyli trudnych zaginięć, wewnętrznie określanym mianem „nierozwiązywalne”.

Tamto zlecenie spadło na mnie w mało dogodnym terminie. Prowadziłem wtedy równoległe dwie sprawy i trzecia była mi potrzebna jak świadectwo zdrowia pannie młodej w dniu jej ślubu. Przyznaję, że lubiłem sprowadzać na siebie kłopoty, a z trzydziestką na karku (choć bliżej było mi do czwórki z przodu) miałem zapału tyle, że starczyłoby dla kilku śledczych naraz. Przyjąłem je z dwóch powodów. Zgłaszający mężczyzna był bardzo tajemniczy, choć nawet nie on sam, a raczej to, o czym zdążył powiedzieć mi przez telefon. Kupa szmalu, którą oferował, była jednak powodem zdecydowanie istotniejszym.

Mój dziesięcioletni buick potrzebował trzech godzin, aby pokonać dystans dzielący La Crosse, skąd wyjechałem, do Orono, gdzie miałem umówione spotkanie ze zleceniodawcą. Aby nie było wątpliwości, zaznaczę, że chodzi o Orono w Minnesocie, a nie to w Maine, leżące blisko Bangor (z niewiadomych mi powodów dziś tak bardzo popularne). Jako że La Crosse położone jest w Wisconsin, łatwo zgadnąć, że wszelkie moje funkcyjne kompetencje w innych stanach, nawet tych w bezpośrednim sąsiedztwie,

stawiane były na równi z ich nieposiadaniem. Przypomnę, że w owym czasie wieść o moich dokonaniach wykraczała znacznie poza granice Wisconsin. Wystarczyło zatem, bym się przedstawił, a przyomykano oko na pewne formalne niezgodności. Nie zmieniało to jednak faktu, że tamtego dnia, kiedy mijalem odnowioną tablicę z sympatycznym powitaniem przybywających do tego niewielkiego miasteczka, poczułem niepokój. Mógł, owszem, wynikać z obawy, że przyjdzie mi działać nie na swoim terenie. Niemniej było w nim coś osobliwego. Odgoniłem od siebie niepokojące myśli, podkręcając radio. Nadawano akurat relację z meczu Metsów i Phillies. Zaczęła się szósta runda, a tablica wyników informowała o remisie. Spiker relacjonował, że na pozycję miotacza zbliża się jeden z nowojorczyków, jakiś nowy nabytek, o którym nie miałem wtedy zdania, a i później chyba nie bardzo przysłużył się zespołowi. W każdym razie wszystko wskazywało na to, że to właśnie Phillies obejmą prowadzenie. I bardzo dobrze. Do dziś kibicuję im z całego serca. Jadąc wzdłuż piętrzących się z obu stron drogi pól kukurydzy i nasłuchując podeksycytowanego spikera, zbliżałem się do zakrętu, za którym miałem zobaczyć pierwsze zabudowania. Jedyne zaś, co widziałem w tamtej chwili, to zielone łąny kołyszących się strąków i wystający ponad tymi z lewej grzbiet nadjeżdżającej z przeciwka ciężarówki. Jeśli mnie pamięć nie myli, była to jedna z tych wielkich czerwonych cystern Texaco, ale głowy nie dam. Zbliżaliśmy się do łuku drogi, lecz zaniepokoił mnie fakt, że ciężarówka nie zwalniała. Przyhamowałem. Wbrew moim obawom cysterna weszła w łuk bardzo płynnie, lecz nagle klakson wydał niemożliwy do zniesienia ryk. Dziś wiem, że kierowca próbował mnie ostrzec, jednakże wtedy zachowanie to najzwyczajniej w świecie mnie zszokowało. Gdy więc znaleźliśmy się maska w maskę, spojrzałem na niego. Miał przejętą twarz, wyraźnie próbował mi coś przekazać, krzycząc przez okno, którego nie zdążył otworzyć. Przeniosłem wzrok na drogę i wtedy to zobaczyłem. Na łuku, albo chwilę przed, zaczął go wyprzedzać inny samochód, materializując się z nienacka tuż przede mną.

Nie było szans na wyhamowanie, musiałem uciekać. Instynktownie szarpnąłem kierownicą w prawo, nie myśląc nawet o tym, że gość z przeciwka może zareagować podobnie, i wdusiłem gaz. Zahaczając oponami o miękkie pobocze, skręciłem ostro w drugą stronę, by po chwili wyprostować koła. Wbiłem stopę w pedał hamulca. Samochodem, mną i chyba całym światem zatrzęsło jak w rollercoasterze. Dopiero wtedy

otworzyłem oczy. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że jadę na oślep. Zwyczajnie spanikowałem.

Wyszedłem z samochodu na miękkich nogach. Musiałem przytrzymać się drzwi, aby nie upaść. Ciężko dysząc, spojrzałem w kierunku, z którego nadjechałem, spodziewając się... sam nie wiem czego. Może zwyczajnego ludzkiego współczucia, chęci udzielenia pomocy? Ale, niestety, nikt się nie zatrzymał. Nad drogą unosił się jedynie kurz. Przekląłem w duchu obydwu kierowców.

Mój buick stał na łuku drogi, a ja spojrzałem w stronę miasteczka. Ponad zabudowaniami wznosiła się wieża kościoła. Pomyślałem, że to zły omen.

* * *

W umówionym miejscu nikt na mnie nie czekał. Byłem pół godziny przed czasem, ale nawet po jej odczekaniu zleceniodawca się nie pojawił.

Ówczesne Orono zajmowało niewielką przestrzeń, a cała aglomeracja ograniczała się do nie więcej niż trzydziestu budynków, w tym wspomnianego wcześniej kościoła, dwóch sklepów, zakładu fryzjerskiego, warsztatu samochodowego, stacji paliw i baru, na tarasie którego wówczas siedziałem. Resztę stanowiły domy lokalnej społeczności. Niewątpliwie czas płynął tu inaczej.

– Długo pan będziesz tak siedział o suchym pysku i miejsce klientom zajmował?

Spojrzałem na barmana podejmującego kolejną próbę zatroszczenia się o mnie. Zmarszczyłem brwi i z udawanym zaskoczeniem rozejrzałem się wokół, by odszukać rzeczonych klientów. Na tarasie byłem sam. Wewnątrz lokalu przebywało dwóch starszków zajętych wspomnianiem po raz kolejny tego, jak było dobrze w dawnych czasach. Siedziałem przy otwartym oknie, niewarte uwagi fragmenty ich leniwej rozmowy docierały do mych uszu. Teraz zamilkli jak na komendę i z zainteresowaniem przysłuchiwali się rozmowie, jakbym stanowił od dawna wyczekiwaną w tym miasteczku atrakcję. *Trzech do jednego*, pomyślałem i raz jeszcze podniosłem wzrok na stojącego przy mnie mężczyznę. Pokręciłem głową z wyraźnym niezadowoleniem.

– Zamówię coś. Później. Czekam teraz na człowieka, który z tylko sobie znanych powodów postanowił umówić się ze mną w tym miejscu.

– Nie szło spotkać się gdzie indziej?

– Jak powiedziałem, nie ja wybrałem pański lokal.

Prychnął i odszedł, co przyjąłem z ulgą. Zatrzymał się jednak przy drzwiach i rzucił:

– Ale piwo przyniosę.

Spojrzałem na niego z wyrzutem, westchnąłem i dla świętego spokoju skinąłem głową.

Wrócił, nim zdążyłem oswoić się z myślą, że z takim podejściem personelu do klientów nie dziwota, iż w barze wieje pustką. Barman postawił na papierowej podkładce napełniony w trzech czwartych kufel piwa. Pianka leniwie kołysała się na powierzchni złocistego płynu, a ja poczułem, że jestem spragniony jak nigdy wcześniej.

– Na kogo pan czekasz? – zapytał, kładąc wielkie dłonie na oparciu krzesła stojącego naprzeciw mnie. Nie patrzył na mnie, lecz na teren przed lokalem, jakby próbował dostrzec kogoś w nieistniejącym tłumie. Na placu nie było nikogo ani niczego interesującego dla człowieka, który mieszka i pracuje w tym miasteczku od lat. No, może poza moim zielonym buickiem postawionym przed słupem z neonową reklamą lokalu (teraz wyłączoną). Nazwa głosiła: BEERnadette, ale nigdy nie dowiedziałem się, czy tak miała na imię żona, córka, czy też świętej pamięci matka barmana. Grunt, że doskonale wpisowała się w przeznaczenie lokalu.

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnąłem notes i otwarłem w miejscu, w którym przewieszona była brązowa, z lekka już postrzępiona wstążka.

– Henry Wright – przeczytałem, wyraźnie wzbudzając uwagę barmana.

– Wright, mówisz pan? – zapytał z nieudawanym zainteresowaniem. Zastanowił się i powoli pokręcił głową. – Tutaj pan takiego nie znajdziesz. Żaden Wright nie mieszka w okolicy.

To jeszcze o niczym nie świadczyło. Facet mógł pojawić się w Orono przejazdem. Może podróżował z narzeczoną po Stanach, a chcąc zaoszczędzić, nocowali w samochodzie? Podczas naszej kilkuminutowej rozmowy padły niezupełnie takie sugestie, ale podświadomie tak właśnie czułem. W pamięci odtworzyłem konwersację z człowiekiem, który przedstawił się jako Henry Wright. Był zdenerwowany. Pieklił się na szeryfa, bo ten zupełnie zbagatelizował jego zgłoszenie i przez cały tydzień nie poczynił żadnych kroków. Z relacji Wrighta wynikało także, że szeryf nie pofatygował się nawet w miejsce, gdzie widziano Jessy po raz ostatni. W swojej krótkiej relacji zdążył mi jeszcze powiedzieć, że wraz z narzeczoną zatrzymał się na niewielkiej plaży przy zatoce Maxwell Bay,

niedaleko ujścia sąsiadującej z nią Stubbs Bay, gdzie rozpalili ognisko z zamiarem spędzenia kilku godzin pośród natury. Nie pamiętał, kiedy zasnęli, ale gdy się obudził, świtało, a dziewczyna zniknęła. Samochód także. Wright wykluczył ewentualność, by to Jessie sama postanowiła dać drapaką. Wspomniał jedynie, że obudził się z potwornym bólem głowy – czego nie doświadczył, odkąd jako dziewięciolatek oberwał zbłąkaną piłką baseballową – zaś w ustach czuł bliżej nieokreślony chemiczny posmak, który kojarzył mu się z chloroformem. Na koniec rzucił, że nie chce tracić czasu na rozmowę przez telefon i zaproponował konkretną kwotę pieniędzy, jeżeli jeszcze dziś przybędę do Orono i zajmę się sprawą Jessie. Powiedziałem, że dotrę tam za cztery godziny, on w odpowiedzi zaproponował miejsce spotkania. Tyle wiedziałem.

Tymczasem fakt, że osoba Henrego Wrighta nie była znana barmanowi – człowiekowi, który powinien wiedzieć wszystko o wszystkich w tak małym miasteczku – utwierdził mnie w przekonaniu, że narzeczeni znaleźli się w Orono przejazdem.

– Rozumiem zatem, że o jego partnerkę, Jessie Polansky, także nie ma sensu pytać – rzuciłem bardziej na odczepnego niż z chęci pociągnięcia tematu i pomyślałem, że już za chwilę wsiądę do swojego buicka i wrócę do La Crosse. Ktoś sobie ze mnie zakpił, a ja dałem się zrobić jak naiwny głupiec. A może ktoś celowo chciał wysłać mnie tak daleko od domu? Ta myśl bardzo mnie zaniepokoiła.

Barman zmarszczył brwi, usiadł i powiedział poważnie:

– Jessie, a co ona ma z tym wspólnego? Czego pan od niej chcesz?

– Zna ją pan? – zapytałem zaskoczony reakcją.

– To nie metropolia, tu wszyscy się znają.

– To właśnie w sprawie jej zaginięcia przyjechałem.

Mina barmana mówiła wszystko. Facet wyglądał, jakby dowiedział się właśnie, że nadmierne spożywanie piwa na słońcu może spowodować nieodwracalne brązowienie skóry, co w tamtych czasach nie wróżyło niczego dobrego. Dopiero po chwili jego usta rozciągnęły się w uśmiechu pełnym ironii.

– Zaginięcia? Pan się dobrze czujesz? Przed chwilą Wright, a teraz... Coś pan w ogóle za jeden? Bo takich to do policji chyba nie biorą?

Niespodziewany zwrot akcji zmusił mnie, by przypomnieć sobie, czy odkąd wjechałem do miasteczka, widziałem choć jedną ulotkę ze zdjęciem, portretem pamięciowym albo chociaż szczegółowym opisem Jessie Polansky.

Szybko doszedłem do wniosku, że nic podobnego nie rzuciło mi się w oczy. Zatem nikt nikogo tu nie szukał, zwłaszcza młodej dziewczyny. Nie było też sensu ukrywać tego, kim jestem. Potwierdziłem, że istotnie pracuję w policji. To zaś zmusiło barmana do niespodziewanego poderwania się z krzesła.

– Coś pan kręcisz – powiedział z takim przekonaniem, że o mało sam bym w to uwierzył. Skinął w kierunku mojego buicka i dodał: – A tak w ogóle to wóz jest z Wisconsin. Cokolwiek pan tu robisz, nikt nie pomoże obcemu glinie. Ludziska nie ufają nawet swoim. Zapewniam, że ostatecznie, co pan tu spotkasz, to życzliwość.

Już miał odejść, gdy niespodziewanie nachylił się nad stołem i sięgnął po szklanekę z piwem, którego nie tknąłem.

– Lepiej nie prowadzić po spożyciu.

Zostałem bez słowa. Jakby nie patrzeć, to ja stałem na straży prawa.

– Aha, i zostaw pan tę dziewczynę w spokoju.

* * *

Na to, że barman udzieli mi odpowiedzi choćby na jeszcze jedno pytanie, mogłem liczyć jak na przywrócenie populacji zagrożonego gatunku, kiedy na planecie zostało tylko dwóch samców. Pytanie musiałem zadać komuś innemu. Wiedziałem komu.

Z odnalezieniem biura szeryfa nie miałem najmniejszych problemów.

– Nigdy o panu nie słyszałem – odparł zdecydowanie, kiedy podałem namiary na swoją komendę i napomknąłem o krążącej o mnie nieposzlakowanej opinii. To drugie nieraz pomogło mi w kryzysowej sytuacji, lecz wyraz jego twarzy sprawił, że bez wahania uwierzyłem, że naprawdę o mnie nie słyszał. – Odznaka jest jednak w porządku – dodał.

Mówił z wyższością, jakby zwracał się do stażysty, a nie do doświadczonego funkcjonariusza na służbie. Dłuższe przebywanie w jego towarzystwie mogłoby nas bardzo poróżnić, dlatego w dalszej części rozmowy skupiłem się na tym, co najistotniejsze. Swoją drogą wcale się nie dziwiłem, że Wright nie potrafił się z nim dogadać.

– Henry Wright? – zapytał zaskoczony. Spuścił wzrok, lewą ręką ściągnął kapelusz, który założył, gdy zjawiłem się w progu biura. Podrapał się prawą dłonią po przerzedzonych włosach i wsunął kapelusz z powrotem. Wtedy ponownie spojrzął na mnie. W jego oczach nie było zdecydowania. Patrzył w taki sposób, jakby szukał odpowiedzi w rysach mojej twarzy.

– Dokładnie tak się przedstawił. Był u pana przed tygodniem i zgłosił zaginięcie swojej narzeczonej.

Wydął usta i pokręcił głową.

– Za przeproszeniem, ale ktoś sobie z pana robi jaja, detektywie Miles. Nic z tego, co pan tu dziś powiedział, najzwyczajniej w świecie nie miało miejsca. Nie wspominając o tym, że człowiek imieniem Henry Wright zapewne nigdy nie pojawił się w granicach tego miasteczka.

Uznałem, że to odpowiednia pora, aby wytoczyć armatę. Tę samą, która przed piętnastoma minutami rozwiązała język barmanowi. Ciekawiło mnie, czy podobnie podziiała na szeryfa Powella. Podziiała.

– Dziwi mnie, że nie zainteresowała pana sama poszkodowana. Bo nie zdążyłem powiedzieć jeszcze, że wspomniana przez Wrighta narzeczona jest waszą mieszkanką. Co do tego zaś jestem pewien, bo przed kwadransem potwierdził mi to właściciel BEERnadette. – Ironiczny grymas Powella zastąpił lekko podejrzliwy uśmiezek. – Czy Jessy Polansky brzmi znajomo?

Wyraz twarzy szeryfa zmienił się w mgnieniu oka na taki, że mężczyzna z powodzeniem mógłby statystować na pogrzebie.

– Mała Jessy? – zapytał zdumiony, lecz w następnej chwili dodał gniewnie: – To jakieś podłe insynuacje. Nie dalej niż wczoraj spotkałem Jessy w sklepie panny Wilson. I zapewniam, że daleko jej było do zaginięcia. Może i miała ostatnio trudniejsze dni, ale podczas naszej krótkiej rozmowy zapewniła mnie, że wszystko wraca do normy.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Miała wypadek. Sama nie może nic powiedzieć, bo zwyczajnie nie pamięta za wiele. Było to jakoś przed tygodniem. Wróciła do miasteczka zmieniona, z dziwną amnezją. Nie pamiętała ludzi, wydarzeń i tym podobne... Co ciekawe, drogę do domu znalazła. Ręczę panu, że jest cała i zdrowa, a to chyba wystarczająca gwarancja, nieprawdaż?

– Zastanawia mnie ten narzeczony. Wie pan może, czy kogoś ma? Miała?

Z niewiadomego powodu to właśnie pytanie spowodowało jakąś nieprzewidzianą turbulencję w umyśle Powella, bo warknął na mnie wściekle, jakbym znalazł się zbyt blisko skrywanej przez niego rodzinnej tajemnicy.

– Niech sam pan ją o to zapyta!

* * *

Wsiadałem do samochodu skołowany. Szeryf stał w oknie – bez kapelusza – i nie spuszczał ze mnie wzroku. Skinąłem do niego, ni to dziękując za adres Jessy Polansky, ni to żegnając się. Nie odpowiedział, jakby to nie on stał w witrynie, a jego wiernie odwzorowana woskowa kopia. Spojrzałem na kartkę z adresem. Nazwa ulicy nic mi nie mówiła, ale wytyczne Powella były jasne. Pozostało znaleźć dom z numerem siódmym. Ciekaw byłem, czy i tym razem cyfra okaże się szczęśliwa. Oraz czy panna Polansky – jeśli istotnie nie zaginęła – wniesie nieco światła w to niecodzienne zgłoszenie. Zgłoszenie, za które, zdaje się, nie otrzymam ani centa, nie wspominając o furze kasy, jaką mi dziś obiecano. Czy dowiem się w końcu czegoś o samym Wryghcie, którego egzystencja stanowiła teraz największą zagadkę? *Cóż... cała nadzieja w Jessy*, pomyślałem i przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że od incydentu na drodze nie służyłem radia. Muzyka nigdy nie pozwalała mi się skoncentrować, a w tamtej chwili uznałem, że tego właśnie potrzebuję – pojechać do domu Jessy Polansky bez konkretnego planu. Coś podpowiadało mi, by dać się ponieść żywiołowi spontanicznej rozmowy. Zaskoczyło mnie zatem, gdy po włączeniu radia usłyszałem szum. Natychmiast zrzuciłem to na karb miasteczka, do którego sygnał mojej ulubionej stacji nie docierał. Nie doszukując się w tym niczego niezwykłego, złapałem za pokrętło i poszukałem pierwszej lepszej rozgłośni.

Usłyszałem głos spikerki, zapowiadający utwór o nieznanym mi dotąd tytule. Zdziwiłem się podwójnie. Najpierw kobiecym głosem na usługach stacji zatrudniającej wyłącznie facetów, następnie, kiedy prowadząca program przytoczyła nazwisko dwudziestodwuletniego rockendrolowca tragicznie zmarłego przed kilkanaście laty. Piosenkarza, po którym płakała cała Ameryka. Buddy Holly szturmem wdarł się w czołówkę światowych muzyków i równie szybko został z tego świata wymazany niczym niewłaściwe słowo w rymowance. Zmierzam jednak do tego, że jeszcze pięć minut wcześniej byłbym gotów postawić swojego buicka na to, że znam wszystkie utwory, jakie Holly zdążył nagrać przed śmiercią. I właśnie przegrałbym z kretelem. Ku mojemu zaskoczeniu i ogromnej satysfakcji domyśliłem się, że musiano dotrzeć do niepublikowanych wcześniej nagrań Buddiego i oto spragniony świat otrzymał pośmiertny hit swego idola, zupełnie się tego nie spodziewając. Nic bardziej nie podbudowuje człowieka na duchu, jak takie właśnie momenty, napełniające ludzkie serca nadzieją.

Rozbrzmiały pierwsze akordy elektrycznej gitary, a po chwili eter wypełnił niedający się podrobić głos. Z nieskrywaną radością zanurzyłem się w nieznanym mi słowach. Podkręciłem potencjometr, zupełnie zapominając o tym, że stoję na parkingu przy biurze szeryfa, i z uśmiechem na ustach zacząłem stukać palcami po kierownicy, kiwając przy tym głową w rytm muzyki.

Nagły wstrząs sprowadził mnie na ziemię. Buddy Holly kończył utwór, puentując go słowami: *Nie powinno cię tu być*. Część mnie potraktowała to przesłanie jako ostrzeżenie. Gdyby nie przekonanie, że właśnie byłem uczestnikiem kolejnej kolizji drogowej, pewnie pozwoliłbym sobie na dłuższą analizę słów nieznanego mi dotąd piosenki. Teraz jednak musiałem sprawdzić, co tak naprawdę się stało, bo to, że się stało, nie podlegało dyskusji. Potwierdzały to tak samo drżenie mojego ciała, jak i buicka, który choć leniwie, to jednak kołysał się na resorach.

Szybka analiza przeprowadzona jeszcze wewnątrz samochodu pozwoliła mi z całą pewnością stwierdzić, że to nie ja nieświadomie włączyłem się do ruchu, powodując wypadek, bo wciąż stałem na parkingu. Jedynym logicznym wyjaśnieniem było zatem to, że ktoś uderzył we mnie. Jednakże nic na zewnątrz nie wskazywało i na to. Przynajmniej nie w pierwszej chwili. Wokół samochodu nie opadał nawet kurz.

Postanowiłem wyjść z wozu i na własne oczy sprawdzić, czy samochód istotnie nie ma żadnych uszkodzeń. Szarpnąłem za klamkę i pchnąłem drzwi. Nawet dobrze ich nie odchyliłem, gdy zatrzasnęły się, wpychając mnie z powrotem do środka. Wyjrzałem przez okno i zadałem sobie naprędce sformułowane pytanie: *Skąd się tam wziął ten facet?*

Wyrósł jak spod ziemi i z ogromną siłą naparł na drzwi buicka. Szarpnąłem za klamkę. Bez powodzenia. Człowiek po drugiej stronie miał nade mną – siedzącym – znaczną przewagę fizyczną. Przypatrywał mi się obojętnymi, ale też dziwnie lśniącymi oczami. Ich błysk dostrzegalem, choć padał na nie cień rzucany przez rondo kapelusza. Twarz faceta była nijaka. Jakby stanowiła zlepek albo średnią wszystkich facjat najzwyczajniejszych ludzi, jakich dane mi było w życiu spotkać. Takich, dla których stworzenie wiarygodnego rysopisu było nie lada wyczynem. Była przeciętna do tego stopnia, że mogłaby posłużyć za bazę do stworzenia innych, mniej sztampowych oblicz, ale wciąż niemających w sobie nic charakterystycznego.

Instynkt kazał mi sięgnąć po broń, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że sytuacja tego nie wymaga. Przede wszystkim twarz nieznajomego nie miała wyrazu, być może nawet malował się na niej smutek. Na pewno jednak nie odnalazłoby się tam wrogości. Po drugie, obie jego dłonie przylegały płasko do szyby, co wykluczało ewentualność, że posiada jakąkolwiek broń, przynajmniej taką, którą mógłby szybko użyć. Odnalazłszy się w tej niezręcznej sytuacji, spróbowałem raz jeszcze swoich sił, ale i tym razem drzwi pozostały nieporuszone. Wtedy facet pokręcił głową, ale jego usta nie poruszyły się. Za to ja postanowiłem skorzystać z okazji.

– Nie zmuszaj mnie, abym sięgnął po broń!

Wciąż milcząc, ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

– Odejdź, bo to się naprawdę źle dla ciebie skończy! – nie przestawałem. Facet jednak nie dawał za wygraną.

Rozchylił spierzchnięte usta i powiedział tylko jedno zdanie. Do dziś pamiętam dreszcz, jaki przewędrował mi wtedy po plecach. A przyczyniły się do tego przynajmniej dwa czynniki. Po pierwsze, mimo zamkniętych okien jego głos brzmiał tak wyraźnie, jakby szeptał mi wprost do ucha albo nawet siedział w mojej głowie i przemawiał bezpośrednio do głównego ośrodka słuchu. Drugim były użyte słowa. Te same, którymi chwilę wcześniej pożegnał się ze mną Buddy Holly:

– Nie powinno cię tu być.

Serce załomotało mi w piersi z taką mocą, jakby pompowało krew nie dla jednego, ale dla pół tuzina ludzi. Tego było zdecydowanie za wiele. Bez żadnych ostrzeżeń sięgnąłem do schowka, skąd wyciągnąłem swojego Walthera. Wycelowałem broń w szybę, gotów w każdej chwili zmasakrować twarz intruza, lecz jedyne, co zobaczyłem, to zanikające ślady odbitych na szkle dłoni.

Wyskoczyłem z samochodu z zamiarem puszczenia się w pogoń, ale po człowieku w kapeluszu nie pozostał nawet zapach. Jakby zapadł się pod ziemię. Rozejrzałem się uważnie. Jedyne w okolicy budynkiem było biuro szeryfa, ale nie istniała realna możliwość, by facet zdążył wbiec do środka lub też schować się za nim. Wtedy wróciłem do myśli o zapadaniu się pod ziemię i spojrzałem pod nogi. Teren był piaszczysty. Wokół wozu zobaczyłem odbite ślady butów. Wszystkie należały do mnie.

Znalazłszy się na zewnątrz i pogodziwszy się z tym, że szanse na dorwanie kapelusznika są równe zeru – z drugiej strony na jakiej podstawie miałbym go gonić, złapać i aresztować? – obszedłem samochód, szukając

powodu wcześniejszego wstrząsu, który tak bardzo mnie zaniepokoił. Niczego nie zauważyłem. Czyżby zatem tajemniczy osobnik przyczynił się i do tego? Cóż, było to jakieś wyjaśnienie. Chyba jedyne sensowne. Ale jeśli tak, to jaki był powód i przed czym gość próbował mnie ostrzec? Ta myśl towarzyszyła mi do chwili, gdy zaparkowałem przed domem Jessy Polansky.

* * *

Pamiętam do dziś, jak ogromne wrażenie wywarł na mnie dom Jessy. Nic, co w zdawkowych wypowiedziach sugerował szeryf Powell, nie wskazywało na to, co zobaczyłem. Wspomniał, że dziewczyna mieszka sama, uznałem więc automatycznie, że musi żyć skromnie. Okazało się inaczej. I nie chodziło o to, że dom porażał wielkością. Nie. Miał rozmiary takie, jak wiele innych wokół, ale w przeciwieństwie do pozostałych... No cóż, powiedzieć o nim, że był zadbany, to skłamać. To samo tyczyło się otaczającej go przestrzeni. Za nieskazitelnymi szybami okien wisiały śnieżnobiałe firany, elewację i ganek świeżo odmalowano, trawnik i żywopłoty przystrzyżono, a w spoinach płyt tworzących dwa chodniki nie znalazło się miejsce dla ani jednego źdźbła trawy, o chwastach nawet nie wspominając. Zza domu wyglądały niczym nieskrępowane, pękate, wczesnojesienne kwiaty i jeśli skorzystałbym z ich niemego zaproszenia i podszedł, trafiłbym do jednego z piękniejszych ogrodów, jakie miałem okazję zobaczyć. Do dziś jestem o tym przekonany. Jeśli zatem dziewczyna mieszkała tu sama, musiała mieć służbę, choć o takowej Powell nic nie wspominał. Czy tak było naprawdę? Wierzyłem, że lada chwila się dowiem.

Mosiężna kołatka w kształcie końskiego pyska wydała trzy głuche brzmienia. Zanim usłyszałem kroki, skorzystałem z chwili, by jeszcze nieco się rozejrzeć i poszukać choć jednej skazy, minimalnej niedoskonałości w tej zbyt perfekcyjnej posiadłości. Ta otaczająca mnie, napierająca zewsząd nienaganność intrygowała mnie. Co ważne, znalazłem, czego szukałem. A odkrycie to podziałało na mnie uspokajająco. Z wysokości ganku dostrzegłem dość pokaźne wodne oczko obłożone łupanym kamieniem i otoczkami, na którego powierzchni pływało sporo opadłych liści. Zrozumiałbym, gdyby było ich kilka, mogły wszak spaść w ciągu ostatnich godzin i nie zostać jeszcze zauważone, ale zalegało ich naprawdę sporo; więcej niż mogłoby opaść po całym dniu i to zakładając, że w bezpośrednim sąsiedztwie rośnie choć jedno drzewo. Liście najpewniej przywiął wiatr.

Trzask odryglowywanego zamka zmusił mnie, bym zwrócił się frontem do drzwi. Te po chwili uchyliły się na długość łańcuszka.

– Kim pan jest? – zapytał głos, który do dzisiejszego dnia rozbrzmiewa w mych uszach. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, iż oto przemawia do mnie dziecko, dziewczynka, a nie dojrzała kobieta, za jaką uznawano w tamtych czasach każdą dwudziestolatkę.

– Dzień dobry. Nazywam się Richard Miles i jestem detektywem. Pracuję dla policji w La Crosse.

– To zdaje się w Wisconsin – zauważyła, nim przeszedłem do meritum. – Czego szuka pan w Minnesocie? Proszę pokazać legitymację.

W szczelinie pojawiły się długie, delikatne palce, oczekujące mojego dokumentu. Nie powinienem tego robić, ale nie widziałem innego sposobu, by przeprowadzić naszą rozmowę w bardziej cywilizowany sposób. Pełen nadziei wsunąłem legitymację w jej dłoń i dodałem:

– Co się tyczy tego, co sprowadza mnie do Orono, to właśnie pani osoba. – Nie miałem pewności, że po drugiej stronie drzwi mam Jessy Polansky. Jednak czy mógłby być to ktoś inny? – Przed kilkoma godzinami odebrałem dość osobliwy telefon. Dzwoniący do mnie mężczyzna stwierdził, że zaginęła pani przed tygodniem i poprosił, abym zajął się pani odnalezieniem. Jako że w tym momencie rozmawiam z panią osobiście, zaczynam rozumieć...

Drzwi się zamknęły. Zamilkłem. Coś stuknęło i ponownie się otwarły. Tym razem na całą szerokość. Zobaczyłem blondynkę o jasnozielonych oczach. Ich czarne źrenice mocno kontrastowały z okalającymi je niemal przezroczystymi tęczaówkami.

– Niech pan wejdzie – powiedziała bez emocji.

Dziewczyna – odkąd tylko zobaczyłem jej delikatne rysy, trudno było myśleć mi o niej w kategoriach dojrzałej kobiety – poprowadziła mnie przez skromny, zadbane korytarz do pokoju gościnnego. Równie czystego i schludnego jak wszystko tutaj. Co jednak istotne, to dzięki tej niezamierzonej przechadzce po domu nabrałem zupełnej pewności, że towarzyszy mi właściwa osoba. Wśród nieskromnej kolekcji oprawionych w ramki zdjęć nie dostrzegłem żadnego, na którym nie znalazłaby się jej podobizna. Zastanawiającym było jednak to, że na każdym pozowała sama. Niemniej ramki nie skalala ani jedna drobina kurzu czy choćby tłusty odcisk palca.

– Ma pani służbę? – zadałem pytanie, które niewypowiedziane nie pozwoliłoby mi w pełni skupić się na przyczynie mojego przybycia.

Spojrzała na mnie bez wyrazu i zastygła w tej pozie na dłużej, jakby podświadomie szukając ukrytego w pytaniu podtekstu. W końcu głęboko nabrała powietrza i wypuszczając je z wolna, pokręciła głową.

– Nie – odparła bez przekonania. – Chyba nie.

Odwróciła się i pomału podeszła do przeszklonych drzwi tarasowych, jakby chcąc w ten sposób zaznaczyć swoją siłę. Objęła się i prawą dłonią pogładziła lewe ramię. Sądziłem, że tym zachowaniem chce mi dać znać, iż za chwilę pociągnie temat, ale nic takiego nie następowało. Postanowiłem zatem zagrać w otwarte karty.

– Czy mówi pani coś nazwisko Henry Wright?

Na dźwięk dwóch ostatnich słów znieruchomiała i przez dłuższą chwilę nic nie powiedziała. Ja sam nie potrafiłem przerwać tej powstałej z nagłą ciszy. Z jednej strony grzeczność nakazywała poczekać na odpowiedź, z drugiej działo się ze mną coś niepokojącego. Zaczęła napierać na mnie cała ta pedanteria i nienaganny porządek, powodując dziwne wrażenie klaustrofobii. To zaś, w połączeniu z nieprzeniknioną ciszą i niedającą znaku życia kobietą, sprawiło, że poczułem się w tym miejscu obco i nieswojo. Jakby wszystko wokół było dla mnie wrogie, niebezpieczne. Niezrozumiała panika zaczęła niepostrzeżenie wpełzać do mojej świadomości, nadając otaczającym mnie przedmiotom ostrych i wyrazistych kształtów. Działo się coś wręcz odwrotnego do tego, niż można by się spodziewać w podobnej sytuacji. Świat nie rozmazywał się, nie rozplýwał jak w chwilach osłabienia, a właśnie wyostrzał, jakby chciał pokazać swoje pazury w najwyższej rozdzielczości. Kiedy tak zatraciałem się sam w sobie, padło w końcu to wyczekiwane słowo i ze wstrząsem wyrwało mnie z koszmaru. Nabierająca mocy nierealność prysła jak bańka mydlana, a ja znowu znalazłem się w normalnym miejscu. Jessy Polansky stała teraz zwrócona twarzą do mnie. Twarzą, która zdawała się jeszcze bardziej zagubiona niż ja przed chwilą.

– Tak – powtórzyła. – Znam to imię i nazwisko. Nie powiem panu jednak, kim jest ten człowiek. Ja, detektywie Miles, nie wiem bardzo wielu rzeczy.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziałem najbanalniejsze słowa, jakie w podobnej sytuacji mogły paść z ust funkcjonariusza, ale czułem, że tak trzeba; że moje zadanie polega właśnie na zaakcentowaniu zainteresowania

opinią osoby stojącej naprzeciw. Ponadto byłem ciekaw, czy usłyszę od niej tę samą wersję, jaką przedstawił mi szeryf.

– Zatem, detektywie, gramy w tej samej drużynie. I bardzo dobrze, bo dotychczas trwałam w tym sama. Powiem panu, że od razu milej robi się człowiekowi na sercu, kiedy pojmuje, że nie jest sam ze swym problemem.

Ta górnołotna myśl nijak nie pasowała do sytuacji, lecz zostawiłem to spostrzeżenie dla siebie, pozwalając, by kobieta kontynuowała. Tym bardziej że chciała mówić.

– Trwa to już od kilku dni, dlatego też wpuściłam pana do środka. Wspomniał pan, że moje rzekome zaginięcie miało miejsce przed tygodniem i jak domniemywam, to właśnie wymieniony przez pana z imienia i nazwiska człowiek, Henry Wright, jest osobą, której zlecenie pan przyjął, a który to musi mieć bardzo istotne znaczenie w tej sprawie. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu, dlatego w skupieniu słuchałem dalej. Staliśmy naprzeciw siebie. Ona mówiła, a mówiąc, nie robiła niepotrzebnych czy nerwowych ruchów, jakie z łatwością można zaobserwować u ludzi przejętych obecnością funkcjonariusza policji. Ona znajdowała się u siebie, w swoim domu, i tak też się zachowywała. Była pewna tego, co robi, a to bardzo mi imponowało. Myślę, że zachowałyby się podobnie nawet wtedy, gdyby zamiast mnie stał przed nią prezydent. Wtedy zrozumiałem, jak bardzo jest dojrzała, chciałoby się powiedzieć, że aż za bardzo jak na dwudziestolatkę. – Powiem krótko, nie znam go – kontynuowała. – Nie wiem, kim jest ani jak wygląda. Ale gdy tylko podał pan jego nazwisko, poczułam się jak dwulatek, który niespodziewanie dopasowuje do siebie dwa elementy układanki, zdając sobie sprawę z tego, jakiej niesamowitej rzeczy dokonał. Nie wie jeszcze, dokąd go to zaprowadzi ani czy zdoła ułożyć resztę, ale w tamtym konkretnym momencie ma pewność, że zrobił coś niezwykłego. Wiem to i ja, teraz. Podał mi pan puzzel, który doskonale wpasował się w planszę i zakrył kolejny nieosłonięty fragment wielkiej czarnej dziury, jaką od kilku dni mam w głowie.

Przedstawione przez Jessy informacje pokrywały się z wersją szeryfa, jednakże ona nie mówiła niczego wprost. Podjąłem więc próbę, aby rozmowa nabrała tempa i odpowiedniego zwrotu.

– Dzwoniąc do mnie, Henry Wright powiedział, że jest pani narzeczonym.

– Być może, nie wiem tego na pewno. Ale jeśli tak jest w istocie, to gdzie się podział, detektywie Miles? Ja w ostatnich dniach nikogo takiego nie

spotkałam. Co więcej, nic też nie wskazuje na to, by w moim życiu istniał jakiś mężczyzna. Rozumie pan... żadnego zostawionego w pośpiechu szalika czy drugiej szczoteczki do zębów w łazience. Nic.

– Niewątpliwie wydarzenia minionego tygodnia odgrywają tu największą rolę. Nie mówi pani tego, ale domniemywam, że przed kilkoma dniami doszło do jakiegoś incydentu, prawda? Zdarzyło się coś, co sprawiło, że wszystko, co pani знаła – miejsca, ludzie – przepadło w niepamięci? Teraz zaś żyje pani tylko tymi wspomnieniami, których doświadczyła w ciągu ostatnich dni.

Na jej twarz z wolna wkraczał wyraz zaskoczenia, jakby nie dowierzała, że z przedstawionych mi strzępów informacji zdołałem dojść do tak daleko idących wniosków. Ja oczywiście dysponowałem wiedzą, którą podzielił się ze mną szeryf Powell, ale ona nie musiała o tym wiedzieć. Wszak poradziłbym sobie nawet bez jego pomocy.

– Nie jest pan głupi, detektywie. W tych okolicznościach najlepiej będzie, jeśli od razu tam pana zabiorę.

Gdziekolwiek było „tam”, zgodziłem się.

* * *

Wsiadając do samochodu, obejrzałem się na dom i ogród z pewną dozą sentymentu, jakbym już nigdy miał go nie zobaczyć. Przypomniałem sobie też o zaniedbanym wodnym oczku. Tak surową etykietkę można było mu przypiąć tylko przez wzgląd na otaczające go piękno.

Odpaliłem silnik, ale nie ruszyłem od razu. Spojrzałem na Jessy, której wzrok utkwiał gdzieś daleko. Wyglądała na wystraszoną.

– Co jest nie tak z oczkiem? – zapytałem, czym natychmiast skupiłem na sobie uwagę dziewczyny. Po goszczącym na ślicznej buzi strachu pozostał ledwie cień. Jego miejsce zajął wyraz szczerzego zaskoczenia.

– Oczkiem?

– Pytałem wcześniej o to, czy ma pani służbę. Zaprzeczyła pani, choć bez większego przekonania. Brak pewności w tej kwestii może naturalnie wynikać z doświadczonej amnezji oraz faktu, że w przeciągu ostatnich dni nikt, kto mógłby pomagać pani w domu czy w ogrodzie, nie pojawił się. – Nie przerwała. Słuchała, szczerze zainteresowana drogą dedukcji, jaką przed nią kreśliłem. – Proszę mnie natychmiast poprawić, jeśli się mylę, ale dom jest bardzo zadbane, i to skromnie mówiąc. Nie inaczej jest z całą otaczającą go posesją. Domniemywam zatem, że to wszystko pani osobista

zasługa. Wyjątek stanowi zaś wodne oczko. Nie znam się na tym, ale nawet dla laika wygląda ono na celowo pominięte podczas pielęgnacji. Tylko ono.

Wcześniejszy lęk powrócił na jej nagle pobladłą twarz. Zadrzała.

– To z powodu... – urwała i nabrała głęboko powietrza. – Zrozumie pan na miejscu.

* * *

Nie miałem pojęcia, dokąd każe mi jechać, ale postępowalem zgodnie z wytycznymi. Po kilku minutach poleciała, bym skręcił w ulicę, która wtedy jeszcze nie miała swojej nazwy, obecnie zaś określona jest jako Bayside Road. Chwilę później, dojeżdżając do ostrego zakrętu drogi biegnącej wzdłuż brzegu zatoki, nakazała, bym zjechał na pobocze.

– To pierwsze, co pamiętam – powiedziała, gdy zatrzymałem samochód, i wyszła na świeże powietrze.

Założenie było proste – opuścić wewnątrz buicka – ale oczywiście coś musiało ponownie potoczyć się nie po mojej myśli. Podjąłem się tego, zdawałoby się, najzwyklejszego pod słońcem zadania, lecz po raz kolejny wszystko się zatrzęsło. Ledwie poderwałem się z siedzenia, by ponownie w nim usiąść. W klatce piersiowej poczułem nieznan mi dotąd bolesny ucisk. Nabrałem obaw, że to stan przedzawałowy lub jakieś jego symptomy. Silny ból pod mostkiem i brak reakcji Jessy na potencjalne trzęsienie ziemi potwierdzały ten scenariusz. Mimo uporczywego gniecienia w piersi, skłoniłem się do szybkiej refleksji: *Co jest nie tak z tym cholernym miasteczkiem? Może powietrze zostało zanieczyszczone jakimiś chemikaliami, które nieobytego z nimi przyjezdnego z każdą chwilą zabijają, zaś stałych jego mieszkańców nastawiają wrogo do obcych? Bo na pewno spotkanie z barmanem, szeryfem czy tajemniczym mężczyzną w kapeluszu nie mógłbym zaliczyć do miłych.*

Ból powoli odpuszczał, a ja mogłem w końcu zaczerpnąć powietrza, wypuścić je z ulgą i wyjść z auta. Lecz, jak się po chwili okazało, minione doświadczenie było jedynie preludium do kolejnego absurdalnego zderzenia graniczącego z paranoją.

– Nie powinno cię tu być. – Usłyszałem stanowczy męski głos i odruchowo spojrzałem w kierunku Jessy, a przynajmniej tam, gdzie miałem ją zobaczyć. Po drugiej stronie samochodu stał mężczyzna w kapeluszu, ten sam, którego spotkałem przed biurem szeryfa. Coś się jednak zmieniło. Jego oczy.

Wcześniej lśniące, teraz przybrały kolor żółci, jakby od lat cierpiały na nieleczone wirusowe zapalenie wątroby.

Uznałem to za miraż; wynik wstrząsu, którego doświadczyłem, wychodząc z samochodu. Nie było przecież innego wytłumaczenia dla pojawienia się jego osoby w tym miejscu. Bo gdzie w takim razie podziałyby się Jessie? To był omam, bardzo rzeczywisty, ale tylko omam, którego mimo silnej woli nie potrafiłem się pozbyć. Mężczyzna wciąż stał naprzeciw z dłońmi opartymi o dach samochodu i wpatrywał się we mnie żółtymi oczami.

– Jessie? – rzuciłem z nadzieją, że zdołam odgonić iluzję. Myliłem się.

– Odejdź – kontynuował. – Przestań węszyć, bo nie należysz do tego miejsca. Jesteś tu tymczasowo i nikt cię nie chce.

Wskoczył na dach i rzucił się w moją stronę, krzycząc:

– To miejsce cię nie chce!

Upadłem, pchnięty, lecz on zniknął. Zaś skrawek nieba nade mną przysłoniła zmartwiona twarz Jessie Polansky.

– Detektywie, czy wszystko z panem w porządku?

Podparłem się na łokciach i rozejrzałem w poszukiwaniu napastnika, bez specjalnej nadziei na jego odnalezienie.

– Tak, chyba zasłabłem. Najwyraźniej nie służy mi to miasteczko.

– I mnie, detektywie.

* * *

Stanęliśmy naprzeciw pokaźnego zbiornika wodnego. Jessie nieświadomie napała na mnie. Bała się.

– To zatoka Stubbs Bay – wyjaśniła z trwogą w głosie.

Usłyszawszy nazwę, uświadomiłem sobie, że Henry Wright także wspominał o niej przez telefon. Mówił, że wraz z narzeczoną zatrzymali się przy Maxwell Bay, z którą Stubbs Bay sąsiadowała.

– Jak pan słusznie zauważył, detektywie Miles, straciłam pamięć – mówiła, stale się o mnie opierając. – Jednakże nie zapomniałam swojego nazwiska ani tego, gdzie mieszkam. I chociaż bardzo się staram, nie potrafię przypomnieć sobie nikogo z miasteczka, żadnych łączących mnie z kimkolwiek wspomnień. Nie pamiętam swojej rodziny. Mamy czy taty. Gdybym nie pytała, nawet nie wiedziałabym, jakie są ich imiona. Na nic się to jednak zdało, bo niczego ponad to o nich nie wiem. Czy żyją i gdzie? Podobnie mam z Henrym Wrightem. To poniekąd tak, jak z tymi puzzlami

wpadającymi w odpowiednie miejsca i w drobnym fragmencie zakrywającymi bezkresną niewiadomą. Osoby powracają w postaci imienia i nazwiska, ale bez twarzy, bez łączących mnie z nimi wspomnień. Zaledwie znaczniki czasu, znaczniki istnień, o których zapewne niczego więcej się nie dowiem.

Nabierała pewności siebie. Początkowy lęk, jakim napawało ją przebywanie w tym miejscu, zszedł na dalszy plan. Bez wątpienia niepokój czaił się gdzieś w podświadomości, ale skupiona na opowieści Jessy skutecznie go ignorowała. W końcu odstaąpiła ode mnie i podeszła do brzegu.

– Wie pan, dlaczego człowiek boi się ciemności, detektywie Miles?

Miałem kilka hipotez na ten temat, ale ciekaw byłem jej odpowiedzi. Poprosiłem, by kontynuowała.

– Bo to właśnie ona towarzyszy nam od pierwszych chwil. Jest, odkąd w łonie matki zaczynają rozwijać się początki świadomości i trwa nieprzerwanie aż do momentu narodzin. Jest tylko ona. Stanowi zatem jedyny podmiot, który możemy o wszystko winić. Kiedy więc w niewyobrażalnym bólu trafiamy do tego świata pełnego jaskrawości, możemy oskarżać tylko tę pozostawioną za sobą ciemność o to, że nie przygotowała nas na tak trudną próbę, jaką jest akt narodzin. Lękamy się jej wtedy najbardziej, bo była całym światem i niespodziewanie rozstała się z nami w wielkim cierpieniu. Oczywiście później poznamy świat i dowiadujemy się, że mrok to tylko jeden z jego demonów. Nie zmienia to jednak faktu, że w naszej świadomości trwa ta pierwotna myśl, że kiedyś odpowiedzialna za wszelkie zło była ciemność. To zapisało się na trwałe w naszej pamięci i niezależnie od tego, jak długo będziemy żyć, zawsze wzbudzi w nas niepokój.

Jessy kucnęła i dotknęła dłonią lustra wody. Sprawiała wrażenie osoby oswajającej się z drapieżnym zwierzęciem, gotowym w każdej chwili zaatakować.

– Tydzień temu narodziłam się na nowo – kontynuowała. – W tym miejscu. Nie mam żadnych wcześniejszych wspomnień niż ta zatoka. Jest tylko później, aż do teraz. Nie pamiętam nawet okoliczności, za sprawą których znalazłam się tam. – Kiwnęła głową ku zatoce. – Dziś wiem, że cokolwiek się tutaj wydarzyło, na zawsze pozostanie wielką niewiadomą. I tak jak ten noworodek, którego najwcześniejszym wspomnieniem jest ciemność, tak i moim pierwszym jest bezkres wody. Z niej się narodziłam.

W jej ciasnych objęciach zaczęłam nowe życie. Napierała zewsząd, wywołując wpierw konsternację, później zrozumienie, aż zawładnęło mną przerażenie. Ostatnie zaś potęgował fakt, że moje ruchy w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób zostały ograniczone. W końcu jednak się wyswobodziłam, proszę nie pytać jak, bo sama tego nie pojmuję, i z całych sił zaczęłam przeć na spotkanie ze światłem. Wypłynęłam nad powierzchnię wody jakieś pięćdziesiąt metrów od tego miejsca, gdzieś tam – wstała i wskazała palcem przed siebie – a później dopłynęłam do brzegu. Nawet nie zdaje pan sobie sprawy z tego, jak panicznie się bałam. Byłam tylko ja i ona. Tylko ja i woda. Rozumie pan?

Rozumiałem.

Jessy przez cały ten czas nie spojrzała na mnie nawet przez moment. Z trwogą wpatrywała się w łono „matki”. W głębię jedyne go istnienia, które towarzyszyło jej na początku nowej drogi. Na początku nowego życia.

– Nie wiem, kim jest Henry Wright – mówiła dalej. – Zawierając temu, co w mojej pamięci, mogę z całą pewnością stwierdzić, że nigdy go nie spotkałam. Ale idąc tym tropem, mogłabym to samo powiedzieć o swoich rodzicach. Jeśli jednak założyć, że pamięć nie jest w tym momencie najlepszym doradcą, to może Henry Wright spoczywa gdzieś tam, nieodnaleziony? – Ponownie wymierzyła palcem w przestrzeń przed sobą. – Może tylko mi się udało?

Jeśli tak, pomyślałem od razu, to kto do mnie dzwonił? Komu zależało na uknuciu takiej mistyfikacji? Mógłbym zapytać, ale i tym razem nie zabrałem głosu. Nie chodziło nawet o to, że nie chciałem jej przerywać, bo nie powiedziała nic więcej. Powód był zgoła inny – po raz kolejny pod moimi nogami zatrzęsł się grunt, a pierś wypełnił wrzątek. Skuliłem się, zaciskając pięść na wysokości mostka i padłem jak długi.

Ból ustąpił szybciej niż poprzednio. Leżałem na ziemi i patrzyłem na Jessy. Stała plecami do mnie, niewzruszona, pewnie nawet nieświadoma tego, co mnie spotkało. Czy możliwe, że nawet nie krzyknąłem? Mało prawdopodobne, ale niewątpliwie miałem przed sobą osobę, na której to, co mi się przytrafiło, nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Dlaczego? Wyjaśnienie przyszło, gdy zobaczyłem, że Jessy ma na głowie kapelusz, który nie powinien się tam znajdować. Poderwałem się czym prędzej i skoczyłem przed siebie.

Osoba przy brzegu nieśpiesznie zaczęła obracać głowę w moją stronę, a ja utwierdziłem się w przekonaniu, że wyłaniający się z cienia profil nie

należy do kobiety. Jessy Polansky nie było z nami. Tylko ja i mężczyzna w kapeluszu. Jedyna myśl, jaka mi wtedy przyświecała, to że tym razem go dorwę. Obaj wpadliśmy do zbiornika.

Kapelusz zleciał z głowy faceta i sunął po wodzie, oddalając się z każdą sekundą.

Nie widziałem twarzy przeciwnika, wbitej teraz w muliste dno. Mimo to zamachnąłem się i wymierzyłem pięścią w jego potylicę. Jak się okazało, ten jeden cios wystarczył, by mężczyzna zeszywniał. Z łatwością odwróciłem go na plecy i w następnej chwili odskoczyłem, jak mogłem najdalej. Przerazenie odebrało mi mowę. Zaś samo wydarzenie wywołało we mnie tak wielką traumę, że nigdy nie zapomnę tamtej chwili. Już za moment miałem doświadczyć ostatniego, decydującego ataku bólu skoncentrowanego na wysokości klatki piersiowej, zanim to jednak nastąpiło, pod taflą wody rozchyliły się powieki i spojrzały na mnie znajome oczy. Oczy osadzone w twarzy, której nigdy nie pomyliłbym z żadną inną. Twarzy, którą oglądałem codziennie. Mojej twarzy.

* * *

– Mamy go! Mamy! – krzyknął nieznany mi głos.

Początkowo nie potrafiłem odnaleźć się w nowej sytuacji. Nie miałem pojęcia, kim są ci wszyscy ludzie, nerwowo biegający wokół. Jednego byłem natomiast pewien – leżałem. Nade mną zaś pochylał się młody lekarz, który odkładał na bok dwa czarne drążki zakończone metalowymi talerzykami, w tamtej chwili podłączone do białej skrzyneczki. Z perspektywy czasu wnioskuję, że był to jakiś prototyp defibrylatora. W każdym razie lekarz wydawał się szczęśliwy i zaaferowany wskrzeszaniem mnie. Ja cieszyłem się jakby mniej...

Spojrzał na mnie. Po chwili do jego rozpromienionej twarzy dołączyły dwie kolejne. Tych ludzi także nie znałem. Ubiór jednego wskazywał na kogoś z biura szeryfa, tyle że uniform świadczył o tym, iż to sam szeryf we własnej osobie. Z całą pewnością nie był to jednak Powell, a ktoś sporo od niego młodszy.

– Jak się pan nazywa? – zapytał człowiek ze złotą gwiazdą na piersi.

– Richard Miles, jestem detektywem...

– Wiem, kim pan jest – wtrącił niespodziewanie drugi z mężczyzn, który nijak nie pasował do tego trio. – To ja pana tutaj ściągnąłem. Nazywam się Henry Wright.

Poczułem, jak przez moje ciało przebiega zimna fala niepokoju.

– To szeryf Orono, Timothy Gold – kontynuował Wright, wskazując mundurowego.

Mężczyzna skinął głową. Młody lekarz przez cały ten czas kontrolował mój stan, wykonując różne zabiegi, lecz nie brał czynnego udziału w rozmowie.

– A gdzie Powell? – zapytałem.

Spojrzeli na siebie zdumieni, ale odezwał się tylko Gold.

– Pyta pan o szeryfa Powella?

Skinąłem.

– Cóż, on nie pełni już posługi. W lutym minęło piętnaście lat, odkąd we własnym biurze zadławił się na śmierć.

– O czym pan mówi?! – Nie rozumiałem. Musiałem usiąść. Lekarz próbował oponować, ale mój upór sprawił, że odpuścił. Zakręciło mi się w głowie, lecz po chwili wszystko wróciło do normy, ja zaś dopiero wtedy zobaczyłem, że nie jesteśmy przy Bayside Road, a w zupełnie innym miejscu. Jak okiem sięgnąć, nie było żadnej zatoki. Nie brakowało za to łanów kukurydzy.

– Czy pan w ogóle wie, gdzie jest? – zaczął niepewnie szeryf. Dostrzegłszy moją dezorientację, mówił dalej: – Miał pan wypadek. Czołowe zderzenie z innym pojazdem marki Plymouth Fury. Pański buick szczęśliwie – jeśli w tej sytuacji można tak powiedzieć – odbił w pole. Pan zrzędzeniem losu został wyrzucony z pojazdu. Co się tyczy drugiego kierowcy, to z przykrością stwierdzam, że jemu los dziś nie sprzyjał. Siła uderzenia wbiła samochód w cysternę. Wybuch i pożar zrobiły swoje. Facet z ciężarówki, który wyszedł z wszystkiego bez szwanku, natychmiast podjął się pańskiej reanimacji i nie przestał aż do naszego przyjazdu. Nie wiemy jednak, co z kierującym drugim pojazdem. Nie ma po nim śladu. Straż dogasza zgliszcza, ale wszystko wskazuje na to, że w samochodzie nikogo nie znajdują. Gość albo uciekł, co wątpliwe, albo go także wyrzuciło. Chłopaki na razie przeczesują teren.

Nie żeby mnie to nie interesowało, bo chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o wypadku i samochodzie bez kierowcy, ale mimo mętliku w głowie pewne rzeczy nie dawały mi spokoju, tym bardziej że kolejne elementy układanki znajdowały swoje macierzyste miejsce.

– Panie Wright – zwróciłem się do zleceniodawcy, chwilowo ignorując Golda. – Czy Jessy ma zielone oczy?

Znieruchomiał, jakbym powiedział właśnie, że na czubku jego głowy spaceruje wielka tarantula. Po chwili jednak czarne źrenice zapłonęły szaleńczą furią, zmieniając Wrighta w człowieka pełnego pasji, pragnącego za wszelką cenę poznać odpowiedzi na dręczące go od tygodnia pytania.

– Tak! Tak! – rzucił zaaferowany. – Takie... ogórkowe. Ale skąd pan to wie? Niech pan nie mówi, że... – zawiesił głos. – Znalazł ją pan?

Patrzył na mnie z tłącą się teraz w oczach nadzieją. Ja zaś jedyne, co miałem dla niego w zanadrzu, to smutną prawdę.

– Chyba wiem, gdzie jest. Ale ostrzegam, po tym, co powiem, nie będzie pan szczęśliwy, panie Wright. Szeryfie – zwróciłem się do Golda – przy północno-wschodniej części Stubbs Bay położona jest mało uczęszczana droga...

– Tak, wiem która – wtrącił. – Prowadzi po dość ostrym łuku wzdłuż zatoki.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, pojął ich sens. Wiem to. Dostrzegłem grymas na jego twarzy, który mówił wszystko. Zapewne nie musiałbym dodawać nic więcej, ale zależało mi, by jak najszybciej odnaleźli Jessy.

– Ta sama – potwierdziłem. – Proszę wysłać tam ludzi. Niech nurkowie sprawdzą dno zatoki jakieś pięćdziesiąt metrów od tego miejsca.

* * *

Znaleźli ją kilka godzin później. Samochód także. Ale nie tylko. Odkryli więcej samochodów i więcej ciał. To jednak nie ma znaczenia, bo nie o tym miała być moja historia. Zresztą w pozostałych przypadkach nie miałem nic do powiedzenia, a w samej sprawie zaginięcia Jessy nie brałem później czynnego udziału. Zgromadzonych przy działaniach operacyjnych dokumentów nie uznano za ściśle tajne, więc w każdej chwili możesz poszukać materiałów o Pustelniku z Woods Chapel. W internecie będzie tego pod dostatkiem.

Teraz zastanawia mnie tylko to, czy istotnie spisanie tej historii będzie brzemiennie w skutkach? Ech, na samą myśl dreszcz przebiegł mi po plecach. Czyżby znamiona przeziębienia, a może to lokalny grabarz wbił już pierwszą sztychówkę w miejsce mojego grobu? Niebawem się przekonam.

Tymczasem, dobranoc. Czuję, że dziś będę spał dobrze, i długo. Bardzo długo.

Lubliniec, 24 października 2019

Nigdy nie oszukuj czytelnika! – Ta konkretna idea przyświecała mi przez cały czas pracy nad „Jessy”, od pomysłu, aż po finałową scenę. Co ważne, nawet przez chwilę nie pomyślałem o tym, aby przeciwstawić się tej radzie, tym bardziej że jakiś dobry duch wciąż trzymał się blisko, szeptał mi ją do ucha, bym niepostrzeżenie nie spróbował pójść na skróty. Skąd ta obawa? A stąd właśnie, że z pewnym żalem godziłem się z faktem „traconego” czasu na research; czasu, który mógłbym śmiało poświęcić na napisanie kolejnych dwóch albo i trzech podobnej długości historii. Dziś z całą pewnością mogę przyznać, że było to jedno z najtrudniejszych opowiadań, z jakim przyszło mi się zmierzyć. Ale czego nie robi się w imię Stephen Kinga?

Osadzenie historii we wczesnych latach sześćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych Ameryki wymagało ode mnie sprawdzenia wielu aspektów związanych z popkulturą czy panującymi wtedy zwyczajami i technologiami, od choćby rozgrywek baseballowych i drużyn biorących w nich udział, poprzez rodzaj broni palnej, jaką dysponowali ówczesni funkcjonariusze policji, aż po kwestie takie jak data wprowadzenia do karetek pogotowia pierwszych defibrylatorów. Naturalnie mógłbym sobie znacznie ułatwić, nie poruszając tematów wymagających głębszych poszukiwań, ale przyjąłem sobie za punkt honoru nie iść na łatwiznę, tym bardziej że opowiadanie powstawało w duchu mojego mentora i człowieka, za sprawą którego sam poczyniłem pierwsze kroki w pisarstwie. Postawiwszy zaś ostatnią kropkę, poczułem spełnienie dobrze wykonanej pracy.

Drogi Czytelniku, na pewno nie umknęły Twej uwadze nawiązania do twórczości Stephen Kinga, bynajmniej nie pojawiły się tam one przypadkowo, ale nie wszystkie też były zamierzone. Muszę wspomnieć, że inspiracją dla „Jessy” było opowiadanie Mistrza, na którego tytuł również składało się pięć liter i także stanowiło imię jednej z bohatererek. Mowa o opowiadaniu „Willa” ze zbioru „Po zachodzie słońca” – to jedna z tych świadomych inspiracji. Zaś niezamierzone było choćby to, że w jednej ze scen detektyw Miles słucha w radio piosenki, której wykonawcą jest Buddy Holly, niekwestionowana gwiazda rock and rolla. Jego pojawienie się – Holliego naturalnie – miało sprawić, byś bardziej wczuł się w klimat tamtych lat. Jakież było moje zdziwienie, kiedy szukając informacji o Buddym Holly, natrafiłem na dwa newsy, które przyjąłem z niemałym zaskoczeniem. Po pierwsze jego piosenka „Everyday” stanowi soundtrack do filmu „Stań przy mnie” opartego na motywach opowiadania Kinga – „Ciało”. Po drugie sam Buddy Holly jest jednym z bohaterów innego opowiadania Mistrza – „Mają tu kapelę jak

wszyscy diabli”. Pytam zatem, ile jeszcze takich niezamierzonych nawiązań można znaleźć w „Jessy”? Wierzę, że kilka. Koniecznie daj mi znać, jeśli dostrzeżesz coś podobnego. Tymczasem bardzo Ci dziękuję za dotrwanie do tego momentu, to naprawdę dużo dla mnie znaczy. Jestem też pełen nadziei, że „Jessy” Ci się spodobała.

Na koniec pozostaje mi przedstawić Tobie pewną propozycję – jeśli jeszcze kiedyś zechcesz wrócić do tego opowiadania, myślę, że bardzo ciekawym zabiegiem byłoby wczuć się w klimat Ameryki lat sześćdziesiątych. Posłuchaj wtedy kilku utworów z tamtego okresu. „Everyday” Buddiego to pozycja obowiązkowa, za sprawą której i ja przenosiłem się w przeszłość i dopiero później przystępowałem do pracy nad tekstem. Ale także Ritchie Valens i jego „Donna” czy Everly Brothers z „All I have to do is dream” będą bardzo dobrym wyborem. Przemyśl to, proszę.

– Grzegorz Kopiec

AGNIESZKA KWIATKOWSKA

Agnieszka Kwiatkowska (rocznik 78) pisała już od dziecka, a w jej prawie czterdzieści lat temu wymyślonym świecie urocze wampiry egzystowały sobie wraz ze zwariowaną rodziną w domu, w którym na piętrze mieszkały dwa konie. Obecnie jej pisarstwo nabrało dojrzałości i nie ma w nim wampirów, a raczej smutne duchy wspomnienia ludzi, którzy przeminęli, lecz nie pozwalają o sobie zapomnieć.

Autorka od kilku lat publikuje sukcesywnie w wielu antologiach oraz w magazynach internetowych – pierwsza grozowa publikacja była opowiadaniem przerabiającym lovecraftowskie motywy, które wiele lat później ukazało się w „Okolicy Strachu”. Potem nastąpiła seria tekstów dla Histerii, sowie opowiadanie u Gmorków (antologia *Zwierzozwierz*), kilka tekstów nagranych w formie audiobooka, trzy opowiadania w czeskim „Howardzie”, a w tym roku papierowa publikacja za oceanem, czyli udział w antologii *Crypt Gnats*.

Na co dzień zapracowana manikiurzystka, w wolnej chwili namiętnie ogląda seriale na Netflixie i mówi sobie, że należałoby coś zrobić z promocją siebie samej na Facebooku i Instagramie.

Zegarmistrzyni

1.

Zacząłam cierpieć na problemy ze snem kilka lat temu, chyba jakoś w okolicach lutego, może marca. Nie potrafiłam określić dokładnej daty; bezsenność wkradła się niespodziewanie, za każdym razem połykając minutę czy dwie snu więcej, aż w końcu ustabilizowała się. Od tamtej pory zawsze spałam od trzech godzin pięćdziesięciu minut do czterech godzin trzynastu. Nie mniej i nie więcej. Nieważne, o której się położyłam. Gdy zarwałam noc, nie udawało mi się jej odespać. Na nic zdały się wszelakie próby, kombinacje, nawet leki, zero rezultatów. A ponieważ nie odbijało się to na moim zdrowiu, co potwierdziły badania, a i nie wyglądałam na zmęczoną, pozostało mi się pogodzić z obecnym stanem rzeczy i zacząć przyglądać się porankom.

Zawsze lubiłam obserwować przyrodę, ale bardziej pod wieczór. Ekscytowałam się zachodami słońca i ciemnym niebem. Latem siadywałam na werandzie domu i wsłuchiwałam się w odgłosy wsi, nie tak cichej, jak się ludziom czasami wydaje. Cicha noc, dobre sobie. W ciemnościach dźwięki niosą się lepiej, są wyraźniejsze, nawet szmer urasta do rangi odgłosu. Znałam zapachy i hałasy zmroku – cykanie świerszczy, kumkanie żab, aromat otwierającej się na wieczór maciejki, chrzęst butów przechodzącego drogą przechodnia.

Tak, jak uwielbiałam nocną porę, nienawidziłam poranków. Za dziecka wczesne godziny były brudnoszare, przesycone niechęcią i ciężkie od utarczek o wstawanie, brak apetytu przy śniadaniu i ciągłych awantur między rodzicami. Gdy wyjechałam na studia, poranki to była ciągła walka o łazienkę w mieszkaniu wynajmowanym przez trzy obce sobie wcześniej dziewczyny, cienka rozpuszczalna kawa z przeceny, bo na nic lepszego nie było mnie wtedy stać, autobus na uczelnię pełen ziewających, pachnących wątlymi resztkami snu ludzi. Szare sale, zimne światło jarzeniówek i nawet studenckie imprezy nie były w stanie wypędzić tego poczucia skostnienia.

Myślałam, że gdy wyrwę się z malutkiego miasteczka i pójde na uniwersytet, w moim życiu zadzieje się magia, magia wielkiego miasta, świateł, neonów i eleganckich kobiet. Niestety, duże miasto okazało się równie przygnębiające, co małe, a ja kończyłam studia z wyróżnieniem, dumając nad zrobieniem sobie tatuażu z jakąś życiową maksymą. Nie byłam tylko pewna, z jaką. Najbardziej trafne okazało się stwierdzenie koleżanki z roku, że problemy nosi się ze sobą i nie pomoże ucieczka na drugą połowę globu. Potem myślałam, że może *semper eadem*, a wtedy skończyły się studia i czas był najwyższy szukać stałej pracy. Ostatecznie osiadłam w niedużym mieście w centrum kraju, dwieście kilometrów od rodzinnego domu, i raz w miesiącu spędzałam weekend u matki. Na częstsze wizyty matka nie miała raczej ochoty, a ja siły. Podobno z wiekiem ludzie łagodnieją, zaczynają dostrzegać pewne rzeczy, do których wcześniej nie przywiązywali wagi. Moja matka jednak nie zmieniła się ani na jotę, pozostała równie samolubna, bezwzględna i ślepa na wszystko, co nie dotyczyło jej osobiście.

Na początku kwietnia zadzwoniła do mnie za kwadrans piąta rano. Gdy zobaczyłam na wyświetlaczu jej numer, zamarłam, a przez głowę przeleciał mi ciąg skojarzeń zupełnie naturalnych w takiej sytuacji. Wypadek, szpital, kostnica. Bo kto dobija się o takiej porze, jeśli nic straszego się nie stało?

– Tak, mam? Halo? – wymamrotałam ostrożnie, jakby cedzenie słów miało sprawić, że złe wiadomości, które miały zostać wypowiedziane, nagle się cofną, znikną, dosłyszają.

– ...nie uwierzysz, ale tak właśnie mi powiedziała! – Ostry głos matki był tak donośny, jakby stała tuż koło mnie i wrzeszczała mi w ucho. Odsunęłam komórkę z niedowierzaniem, a ona tokowała dalej: – Już dawno mówiłam, że należy się temu przyjrzeć, ale czy ona kogokolwiek kiedyś słuchała? Mam się zająć własnymi sprawami i nie siać zamętu, dobre sobie. Ja ją dobrze pamiętam z młodości, takie toto chude i niewydarzone, ale jak wyszła za Korzyńskiego i jego sklepy, to nagle się wielka pani zrobiła!

– Mam, przepraszam – wtrąciłam się, bo już odzyskałam równowagę – ale dzwonisz do mnie, aby powiedzieć, że nie znosisz Korzyńskiej? I w ogóle zaczęłaś mówić, zanim jeszcze cię połączyło? Czy ty wiesz, która godzina?

– Za dziesięć piąta – odparła matka. – A co, nie masz zegarka?

– Mam, ale... jest prawie piąta rano! Myślałam, że coś się stało!

– Nic się nie stało, a co się miało stać? Zadzwonić do własnej córki nie mogę? Przecież wiem, że nie spałaś.

Zmarszczyłam brwi. Matka nie wiedziała o moich problemach ze snem, bo jej o tym nie mówiłam. Gdy byłam u niej w odwiedzinach, kładłam się do łóżka koło jedenastej, spałam tych kilka godzin, a potem leżałam cicho, starając się jej nie obudzić. Gdybym kręciła się po domu, toby mnie pewnie usłyszała, ale wystrzegałam się takich wędrówek. W nocy się śpi, a nie łązi, przestrzegała mnie, gdy byłam dzieckiem. A gdy byłam starsza, drażniło ją skrzypienie schodów czy desek podłogowych, bo często miewała migreny i wtedy wszystko ją irytowało. Nie komentowałam tego, ale błyszczące oczy, nieco rozmazane spojrzenie i oddech parujący alkoholem znałam zbyt dobrze, aby uwierzyć w rodzinne skłonności do migreny.

– ... i nie wiem, co z tym zrobić, no nie wiem – mówiła, kończąc najwyraźniej przerwana wcześniej myśl, a ja z komórką przy uchu podreptałam do kuchni, aby nastawić czajnik. Monolog matki przepływał trochę mimo moich uszu, bo nie potrafiłam się skupić na tym jej monotonnym tokowaniu, pełnym narzekań i irytacji na sąsiadów, którzy nigdy nie rozumieli jej racji i byli tak niemożliwie nie do wytrzymania.

Zalałam kawę i usiadłam na stołku przy parapecie, skąd zazwyczaj miałam widok na kawałek trawnika i ulicę. Dziś jednak zza szyby wyczierała tylko mgła, brudna, żółtawa wata, jaką rzadko widywałam wiosną. Nie przedzierał się przez nią nawet jeden promyk słońca. Mimo głosu matki w telefonie miałam wrażenie, że dookoła jest bardzo cicho, jakby mgła wszystko wytłumiała. Nie lubiłam takiej ciszy; była nienaturalna. I nie lubiłam mgły, czułam się w niej nieswojo, nagle traciłam orientację. Chyba nawet pamiętałam, skąd to się wzięło. Niby zwykłe zdarzenie, a jednak utkwilo mi w pamięci.

Miałam może siedem, osiem lat i zdarzyło mi się zobaczyć ojca, który wracał wieczorem z pracy akurat wtedy, gdy na wieś zeszła mgła. Czekałam na niego na werandzie, a on wyłonił się nagle z tej waty, zupełnie bezszelestnie, bo opary tłumili jego kroki. Było w tym coś niesamowitego, bo zwirowana dróżka zawsze chrzęściła, gdy ktoś nią szedł, ale tata poruszał się bezgłośnie. Jakby płynął w powietrzu, nad ziemią, a jego nogi widoczne były od kolan w górę, gdyż biały kłęb leżał nisko, przy gruncie. Sunął tak w moim kierunku, wolno uniośł rękę, pomachał mi, a ja nie mogłam się poruszyć z przerażenia, bo byłam przekonana, że to duch wyłania się z mgły, i dopiero gdy wszedł na werandę i mnie uściskał, zobaczyłam, że ma obie nogi i pachnie jak tata. Ale od tamtej pory jestem pewna, że wiem, jak to jest, gdy się widzi ducha. Tego uczucia oblewającego

człowieka, tego zimna i naglej klarownej świadomości, że patrzysz na kogoś, kto jest już po tamtej stronie, nie zapomni nikt, kto tego doświadczył.

Wzdrygnęłam się i wróciłam do rzeczywistości, a wizja ojca z uciętymi nogami rozmyła się. Bezwiednie sięgnęłam po leżące na parapecie papierosy; dłoń lekko mi drżała i omal nie strąciłam paczki. Przytrzymując komórkę między uchem a ramieniem, wyciągnęłam fajka. W telefonie coś zaskrzypiało.

– ...jak zwykle każdy ma rację, tylko nie ja. Czy ty palisz? – Głos matki podniósł się niemal do krzyku, a ja ze strachu upuściłam papierosa. Potoczyłam się pod stół. Powoli podwinęłam pod siebie nogi, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i bałam się szponiastej łapy spod łóżka, próbującej mnie chwycić za kostkę, i spojrzałam na dłonie, którymi trzymałam się parapetu. Drżały. Poczułam, że robi mi się coraz straszniej. Na moment wróciło dziecko ukryte wewnątrz mnie. Z telefonu dobiegał tylko oddech.

– Nie, mam nadzieję – rzuciła zrzędlawie. – Ja wiem o wszystkim, co robisz!

– No, mam nadzieję – rzuciła zrzędlawie. – Ja wiem o wszystkim, co robisz! Jak to matka! Nie ma sensu niczego przede mną ukrywać! Ale oni myślą, że są mądrzejsi. A co takiego ona może wiedzieć, żona sklepikarza! Mówiłam jej tyle razy, że nie ma racji, ale nikt mnie nigdy nie słucha... – Powróciła do przerwane go wątku, a ja już niczego nie słyszałam. Siedziałam z podwinętymi nogami na wysokim kuchennym stołku, w nienaturalnej ciszy i ciemnościach poranka, a mieszkanie wydawało mi się tak puste, jak nigdy dotąd. Z tą pustką kolidowała postać mojej matki, która nie mogła wiedzieć, że wyjęłam papierosa, bo zrobiłam to bezszelestnie. I nie mogła wiedzieć, że mało co sypiam. A skoro wiedziała, to było tak, jakby stała za moimi plecami, patrzyła mi przez ramię, a może zaglądała przez szybę w kuchni. Odwróciłam twarz. Nie chciałam mieć przed sobą okna, nie chciałam zobaczyć we mgle czegoś... kogoś, kogo tam nie powinno być. Chciałam za to pozbyć się wrażenia, że nie jestem tutaj sama.

2.

– Bo one to naprawdę mają szósty zmysł – stwierdziła autorytatywnie Klaudia, przewracając mocno wymalowanymi oczami. – Żebyś ty widziała, co robi moja matka. Ona wie wszystko. Zresztą matki zawsze zakładają, że jak idziesz na swoje, to pijesz, palisz i się seksisz.

– Moja chyba nie zakładała – odparłam kwaśno – bo była na to za bardzo zapatrzona w siebie.

Mogłyśmy sobie pozwolić na dłuższą chwilę wynurzeń, bo w godzinach przedpołudniowych klientów w sklepie było jak na lekarstwo. Obie lubiłyśmy te wcześniejsze godziny, świętą porę kawy i szybkiego śniadania, na które nigdy nie było czasu w domu. A do rozmowy o życiu i problemach nikt nie nadawał się lepiej od Klaudii. Nasze pogawędki zawsze dodawały mi otuchy, jak gdybym czerpała energię z niezachwianej pewności siebie koleżanki.

– No dobra, to tak na zdrowy rozum, matka zadzwoniła do ciebie o piątej rano czy coś koło tego? – Klaudia energicznie mieszała kawę. – To chyba logiczne, że wiedziała, że cię obudziła, skoro się na dzień dobry wkurzyłaś. Że palisz, to na bank wiedziała. Nawet jak nie jarałaś przy niej, to nie ma opcji, aby nie wyczuła, że to robisz. A co robi każdy palacz po obudzeniu, a raczej wkurwiającym wyrwaniu ze snu? Idzie zajarać. Ty na serio myślisz, że twoja matka ma szósty zmysł?

– Nie, ale...

Urwałam. Przez chwilę próbowałam przypomnieć sobie, co chciałam powiedzieć, a coś mi mówiło, że to jest ważne, ale ulotne przeczucie prawdy minęło i pozostało niejasne wrażenie, że jest dokładnie odwrotnie.

Upiłam łyk kawy. Nie smakowała mi, ale miałam nadzieję, że postawi mnie choć trochę na nogi. Widok za oknem nie napawał optymizmem. Choć był czerwiec, to pogoda przypominała raczej blade przedwiośnie, taką marcową bezbarwność. Monotonnie szare niebo straszło zapowiedzią deszczu, a ciśnienie odzywało mi się w skroniach. Przyglądałam się, jak wiatr podrywa do tańca porzuconą gazetę i miota styropianowym kubkiem po chodniku. Żeby tylko spadł deszcz. Niech zagrzmie, lunie, cokolwiek, byleby nie ten szary marazm, zastygła, muląca pogoda, od której zaczynało mnie drapać w gardle.

– Nie rozumiem, czemu tak bardzo przejmujesz się swoją matką – powiedziała Klaudia, wyciągając przed siebie długie nogi obute w eleganckie szpilki. Zapatrzyłam się przez moment na czerwoną, lakierowaną skórę, a potem z westchnieniem spojrzałam na swoje czarne baleriny. Poczułam, jak przygniata mnie ta schludność, zachowawczość, a wraz z nimi zazdrość wobec energicznej koleżanki i jej butów.

– Nie przejmuję się – zaprotestowałam słabo.

– No to czemu tak rozkminiasz wszystko, co jest z nią związane? A jak cię to tak gryzie, to zadzwoń do niej i spytaj, skąd wiedziała, że palisz. Zobacysz, że znikąd. Oho, klient – rzuciła i wstała, wygładzając żakiet. Nagle się zmieszała. – To znaczy, mam iść ja czy...? – urwała. Wyglądała na zakłopotaną.

– Idź – odparłam, *i nie kryguj się tak!* Ta myśl przemknęła mi przez mózg. Ogarnęła mnie nagła irytacja z powodu jej gorliwości, żakietu i szpilek, a jednocześnie zrobiło mi się cholernie głupio. Klaudia pracowała dla mnie i była bardzo dobra w tym, co robiła – sprzedaż rękodzieła, pamiątek i obrazów nie jest rzeczą łatwą, ale ona sprzedawała Arabom piasek na pustyni. Mało kto wychodził ze sklepu bez choćby drobiazgu, nakłoniony do zakupu urokiem Klaudii. Lubiły ją nawet kobiety, co nie jest wcale rzeczą oczywistą w przypadku tak ładnej dziewczyny. A mimo to coś podszeptywało mi złe, zawistne myśli, gdy patrzyłam, jak z uśmiechem prowadzi do gablotki młodego mężczyznę w garniturze.

Wdzięcz się, wyginaj, ściągaj na siebie spojrzenia, zaszepotało mi w głowie, a po chwili te słowa napełniły się głosem i wypłynęły z pełnych, pokrytych różową szminką ust. Kapryśnych ust mojej matki, która każdemu umiała wbić szpilę i nikogo nie oszczędzała. Rosłam w kokonie jej przekonań i opinii, a dopiero potem zaczęłam się buntować i mówić za siebie. Tylko, po latach, zdarzało mi się zastanawiać, czy aby nie miała czasem racji. Bo miewała, nie przeczę. Kilka razy wątpiła w uczciwość paru osób i nie pomyliła się, musiała w nich wyczuć coś niegodnego zaufania. Z drugiej strony posądzała ludzi o tak absurdalne rzeczy, że w głowie się nie mieściło. Z sąsiadką, której zarzuciła podbieranie pieniędzy w pracy, nie rozmawiała od lat. Braku choćby grosza nie wykazała żadna kontrola. Klaudii nie znosiła, choć w życiu jej nie widziała, mało tego, nawet z nią nie miała okazji rozmawiać przez telefon. „A co to za jedna?”, spytała, gdy jej powiedziałam, że zatrudniłam pracownicę. Od tamtej pory przypominała mi, by patrzeć Klaudii na ręce. Przyznam, że kilka razy sprawdziłam dokładnie kasę, paragony, stan na sklepie. Niczego nie znalazłam. Było mi tylko wstyd, że dałam się podpuścić jadowitej podejrzliwości zgorzkniałej starszej pani.

Klaudia właśnie pakowała jakiś drobiazg. Cieszyłam się z jej obecności, bo dzięki temu mogłam dziś siedzieć pod oknem owinięta chustą i poddawać się powoli ogarniającemu mnie przeziębieniu. Drapanie w gardle nie ustawało. Zerkałam bezmyślnie na leżący na kolanach telefon. Nie wiedzieć

czemu, zaczęłam się zastanawiać, co u mamy. Od paru dni dzwoniła rano niczym zegarynka, zaczynając swój monolog zanim jeszcze odebrałam. Niespodziewanie dziś nie zadzwoniła i to mnie zdziwiło. Wgapiałam się w głuchy ekran telefonu, zerkałam za okno i rosło we mnie poczucie czegoś, czego nie umiałam nazwać, ale napawało mnie złością, taką kipiącą czarną złością pod powierzchnią, tak gorzką, że miałam ochotę splunąć.

– Spierdalaj – powiedziałam cicho. Wypowiedziałam na głos słowo, na które do tej pory pozwalałam sobie w myślach wobec tych, którzy mnie wkurzali. Wobec kierowców autobusów, którzy hamowali tak, że leciałam na twarz. Potrącających mnie na chodniku przechodniów. Ryczących żalosalnych uwagi podpitych panów w barach, gdy przechodziłam koło nich, aby zamówić sobie drinka. Czasami nawet wobec Klaudii, jej długich nóg i wrodzonego uroku. Nagle poczułam się lepiej, jakbym wypuściła z siebie coś, co mnie zatruwało. Gdzieś tam w głębi czaiły się resztki wiecznego niepokoju, który ze sobą nosiłam, ale w tej chwili czułam się lżejsza, lepsza, bardziej wyciszona. Za oknem wypiękniała nawet pogoda. Wiatr rozpedził chmury, wreszcie wyszło słońce. Rozzułam się z chusty, wstałam; zdrętwiałe od siedzenia mięśnie jeszcze bolały.

– Mała sprzedaż, ale wróci – oświadczyła Klaudia. – Te spinki do mankietów, co zamówiłaś, to sztos. Coś się stało? Jakoś dziwnie wyglądasz.

– Wszystko gra – zapewniłam, bo w tym momencie rzeczywiście czułam się lepiej. Wiszące nade mną widmo matki i jej wszechobecność nawet w moich myślach nieco się rozwiała. Może to jednak będzie nie najgorszy dzień. – Wezmę aspirynę i siadam do roboty. Robiłaś już coś z tą dostawą z wczoraj?

– Nie zdążyłam nawet rozpakować.

– To ja ogarnę.

Dwie kolejne godziny spędziłam na zapleczu, rozpakowując, segregując i opisując maleńkie kawałki biżuterii. Pogoda się poprawiła i promienie słońca rozpałały migotliwe błyski w kryształach i kamieniach szlachetnych, przez co duży stół wyglądał nieco jak witraż. Lubiłam tu przesiadywać, zwłaszcza gdy miałam jakąś papierkową robotę. Było to najcieplejsze pomieszczenie w całym sklepie, w dodatku z miłym widokiem na rosnące na trawniku tuje. Czasem zostawałam tu po pracy, aby posiedzieć w ciszy albo wręcz spędzić noc na rozkładanej kanapie. Teraz byłam w ferworze pracy, robiąc to, co faktycznie lubiłam robić. A raczej nie tyle co, a *jak*. Precyzyjnie. Każdy nawet najmniejszy drobiazg musiał zostać opisany,

ponumerowany, wciągnięty na listę, trzeba mu było przypisać cenę. To była mrówcza praca, do której się nadawałam, choć mało kto by ją docenił. W epoce wielkich wyzwań, bujnych karier i śmiałych planów byłam niepoważnie traktowaną szarą myszką, a na taką patrzy się pobłaźliwie, jak na kogoś, kogo można zasypać stosem papierzysk i upchnąć gdzieś w kącie, bo to podobno lubi. Zdaniem niektórych moimi atrybutami powinny być grube okulary, włosy szesane w warkocz i gruby notes. Nie miałam żadnego z nich, a umiłowanie precyzji nie przeszkadzało mi w życiu.

Telefon zadzwonił kilka razy, ale pochłonięta pracą zignorowałam go. Gdy skończyłam, wyprostowałam zdrętwiały od siedzenia kręgosłup i rozmasowałam skronie. W pomieszczeniu panował dziwny półmrok, z którego nawet nie zdałam sobie wcześniej sprawy. Słońce znów zniknęło za chmurami i pozabierało połyskujące w kryształach ogniki. Czułam się lekko otępiała, jak zawsze, kiedy mijało skupienie na pracy i wracałam do świata żywych. To było jak przebudzenie z przyjemnego snu, gdy rozglądasz się dokoła i nie jesteś pewna, gdzie właściwie jesteś. Ziewnęłam, sięgnęłam po kubek z zimną już herbatą, upiłam łyk i skrzywiłam się. Zerknęłam na telefon. Dochodziła druga. Wyświetlacz informował, że mam pięć nieodebranych połączeń. Nieznany numer. Pięciokrotnie tylko i wyłącznie nieznany numer. Patrzyłam na wyświetlacz i nawet mi nie przyszło do głowy najbardziej logiczne wyjaśnienie, że dzwonią z jakąś ofertą i nie ma powodu do paniki.

W końcu oddzwoniłam. Gdy rozległ się sygnał łączenia, usłyszałam dochodzący z oddali pomruk burzy. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Męski głos w słuchawce był lekko piskliwy i dziwnie znajomy.

– Cześć, Malwina. Tu Marek Gniewosz. Pamiętasz mnie, co nie?

3.

Nie wyjechałam od razu. Nie wiem, skąd wzięła się we mnie ta łatwość, z którą sprzedałam Markowi Gniewoszewi zmyśloną na poczekaniu historyjkę, i to zmyśloną tak, że uwierzył. Powiedziałam mu mianowicie, że mam w tej chwili dziecko koleżanki pod opieką i nie ma mowy, abym mogła teraz gdziekolwiek się ruszyć. I że oczywiście, po południu oddam dziecko zapracowanej matce, wsiądę w samochód i natychmiast przyjadę. Będę na miejscu jeszcze przed nocą. Marek obiecał, że na mnie zaczeka.

Nie podobało mi się to. Podobnie jak jego niejasne wyjaśnienia, które mogły świadczyć o tym, że wolał porozmawiać ze mną w cztery oczy. Jedyne, co powiedział, to że moja matka trafiła do szpitala z podejrzeniem zapalenia płuc i że najprawdopodobniej będzie potrzebowała stałej opieki.

Wróciłam do mieszkania jak w transie. Wyjęłam walizkę, usiadłam na łóżku i bezradnie gapiłam się na własne dłonie, które lekko drżały. Fale gorąca przepływały przeze mnie i przez moment czułam wielką chęć zakopania się w grubą kołdrę w towarzystwie soku malinowego i aspiryny. Stała opieka. Dla matki. Nikt, kto nie mieszkał z nią przez tyle lat i nie przeżył tego co ja, nie mógł wiedzieć, co to dla mnie znaczy. Opieka nad nią byłaby powrotem do więzienia, powrotem do wspomnień tych wszystkich chwil, kiedy jako dziecko obiecywałam sobie uciekać stamtąd jak najdalej. A teraz, kiedy byłam na swoim i miałam własne, zwyczajne życie, miałabym wracać? Wywalić w błoto tyle lat ciężkiej pracy?

Machinalnie wrzucałam do walizki kolejne rzeczy, próbując sobie wszystko poukładać w głowie. Powrót do matki na stałe nie wchodził w grę; zawsze istniała możliwość opłacenia dochodzącej pomocy czy nawet domu opieki. *Do którego matka w życiu nie pójdzie*, dopowiedziałam w myślach. Ona nawet nie wpuściłaby opiekunki za próg. Ale skąd ten pomysł, że potrzebna jest jakaś opieka? Co dokładnie mówił Gniewosz? Wysiłłam pamięć. Niestety, mówił niejasno, a ja nie wyciągnęłam z niego, co się dokładnie stało i czemu zapalenie płuc miałoby się wiązać z jakąś opieką. Chyba że... Przełknęłam ślinę. O takiej ewentualności nawet myśleć nie chciałam.

Wyruszyłam przed szóstą, aby dojechać na miejsce jeszcze za widoku. Nie lubiłam podróżować nocą. Miałam wtedy wrażenie, że wszystko zmienia perspektywę, a zwłaszcza drzewa; wyginały się wtedy złowieszczo i pochylały ku ziemi, jakby próbowały zadusić mnie swymi gałęziami. Dlatego przyciskałam mocno gaz i pędziłam tak szybko, jak to możliwe, łapiąc ostatnie chwile uciekającego dnia. Droga na Białystok była niemal pusta. Niebo przede mną powoli ciemniało, za to za plecami słońce zniżało się ku horyzontowi. Kilka kilometrów przed skrzyżowaniem na Starą Kornicę widoczność nagle się zmniejszyła. Na drogę opadła mgła. Zakląłam i znacznie zwolniłam. Teraz poruszałam się niepewnie, powoli, jakbym brodziła w rozrzedzonym mleku.

Skreśliłam. Mgła zaczęła się rozwiewać i z ulgą dostrzegłam coraz wyraźniejsze zarysy budynków. Teraz mogłam jechać na pamięć. Minęłam

gmach poczty i zatrzymałam się na parkingu przed komisariatem. Wsiadłam. Zapalone przy wejściu światło nie rozpraszało mroku. Pojedyncze latarnie łyślały bladym, anemicznym światłem, które zdawało się nikać w oparach nadchodzącej nocy. Rozprostowałam plecy, wciągnęłam w płuca chłodne, świeże powietrze. W oddali majaczyła ciemna ściana lasu. Gdzieś tam był mój dom.

Aby zyskać na czasie, sięgnęłam po papierosy. Paliłam niespiesznie, jakby odwlekając nieuniknioną przecież rozmowę. Drzwi komisariatu otworzyły się ze skrzypnięciem. Marek Gniewosz zszedł po schodkach i dołączył do mnie. Nie ochrzanił mnie, czemu zwlekam, skoro na mnie czekał, po prostu wziął ode mnie papierosa i tak wspólnie milczeliśmy.

– Dobra, to może jednak wejdziemy? Nie będziemy tak sterczeć na parkingu – odezwał się, gasząc niedopałek obcasem, a ja poczułam, że magia tej wspólnej chwili prysła. Nie żeby Marek był nieuprzejmy, po prostu dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że jednak za nim tęskniłam.

Usiedliśmy w jego gabinecie. Przyniósł dwie kawy. Sprawiał wrażenie, jakby nie kwapił się do tej rozmowy.

– Byłabym wcześniej, ale straszna mgła... – Boże, rozmawiam o pogodzie!
– Przepraszam, ale nie dałam rady szybciej...

– Ta jebana mgła nie wiadomo skąd – burknął Marek. – Ostatnio ciągle się pojawia i tylko same wypadki. Nie wiem już, ile osób wylądowało przez nią na drzewach. A twoja matka jeszcze chodzi i bzdury opowiada. Szaleństwo jakieś. – Potarł gładko ogoloną szczękę; w jego oczach czaiło się zmęczenie. – Dziwne, że jeszcze nikt do ciebie nie zadzwonił. Ludzie są na nią wściekli.

– Ona zawsze wkurzała ludzi – powiedziałam cicho. – Co zrobiła tym razem i czemu jest w szpitalu?

Marek zawahał się lekko.

– Mów prawdę – poprosiłam. – Chcę wiedzieć, czego mogę oczekiwać.

Skinął głową.

– Dzisiaj rano twoją matkę znalazł na polu jeden z rolników – wyjaśnił Marek. – Była kurewska mgła, więc nie zauważył jej od razu i prawie na nią wlaź. Dorosły chłop, a mówił potem, że wydarł się ze strachu jak dzieciak. Stała na środku jego pola boso, w koszuli nocnej, bez ruchu i tylko na niego patrzyła. Ani be, ani me, po prostu się gapiała. We włosach miała jakieś gałęzie, trawę, liście. Gdy Bacharski próbował wyciągnąć z niej, co tu, do cholery, robi, zaczęła się strasznie trząść, a potem upadła. Bacharski mówił, że miała jakieś drgawki, a potem już leżała spokojnie. Myślał, że umarła.

Poleciał do domu z wielkim krzykiem, na szczęście żona bardziej rozgarnięta, to i od razu karetkę wezwała. Twoja matka trafiła do szpitala wyziębiona i odwodniona. I mam cholerne wyrzuty sumienia, bo powinienem był wcześniej do ciebie dzwonić. Ale wszyscy wiemy, że ona zawsze była trochę...

– Dziwna. Wiem. – Dłonie mocno mi drżały. Splotłam palce, jakby to mogło mi się pomóc uspokoić.

– Wiesz co, nie do końca. To znaczy, była specyficzna i lubiła się rządzić, no i te jej nałogi... Ale popytałem trochę starszych ludzi, tych, co ją znali, odkąd tu przyjechała. Coś mi się kojarzyło, coś tam pamiętałem, ale dopiero ci starsi przypomnieli mi, jaką aferę kiedyś tu rozkręciła.

Skinęłam głową, bo jakieś wspomnienie zaczęło się wyłaniać z zakamarków pamięci. Matka z bardzo bladą twarzą i umalowanymi ustami wybierała się... dokąd? Aby donieść o czymś ważnym. Była bardzo wzburzona i jej nastrój mi się udzielił, bo bałam się wtedy jak nigdy wcześniej.

– Latem 1987 roku twoja matka zaczęła zgłaszać, że w okolicy giną dzieci – dokończył Marek z ponurą miną. Wytrzeszczyłam oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę. – Giną nie w sensie, że zostają zabite, ale z tego, co mówiła, wynikało, że wychodzą z domów i nie wracają. Na początku oczywiście milicja potraktowała to poważnie, tyle że okazało się, że każde z rzekomo zaginionych dzieci wróciło do domu i nie było żadnego zaginięcia. Ot, wyszło sobie dziecko nad rzekę albo pobawić się z kolegami. Rozumiesz jednak, jaką panikę wzbudziło to na początku i jakie zamieszanie to wywołało? Ludzie nie wiedzieli już, w co wierzyć, a w co nie. Niektórzy pilnowali dzieciaków i wręcz zamykali je w domach, co oczywiście wywołało histerię i falę plotek. Że po wsi chodzi porywacz dzieci. Że je porywa, aby im wyciąć narządy. No wiesz, te wszystkie głupoty o czarnym panu, czarnej Wołdze i chuj wie o czym jeszcze. Cyrk na kółkach. Dopiero po jakimś czasie, gdy nikogo nie porwano, ludzie zaczęli się uspokajać. Mój ojciec był wtedy w milicji i to on rozmawiał z twoją matką. Zażądał, aby przestała wygadywać te brednie, bo bał się, że dojdzie do samosądu, tak wściekli byli ludzie. W końcu chyba to do niej dotarło, bo przestała. Szkoda tylko, że nie na zawsze. Od paru tygodni znowu zaczyna swoją starą śpiewkę.

Potrząsałam głową, nie mogąc uwierzyć jego słowom.

– Nie, to jest... To niemożliwe! – Podniosłam głos. – Wiem, że moja matka to cholera i alkoholiczka, ale żeby coś takiego? Skąd jej to w ogóle przyszło do głowy? Marek, czy wtedy na pewno nie zaginęło żadne dziecko?

– Nie zaginęło. – Marek nie przejął się moim wrzaskiem. – Mało tego, ona nawet zgłosiła twoje porwanie.

– Co?!

– Twierdziła, że obudziła się w nocy i wyjrzała przez okno, a ty szłaś w kierunku pola z jakąś wysoką kobietą, trzymając ją za rękę. Wpadła na komisariat cała w hysterii, a jak się potem okazało, cały czas spałaś w swoim łóżku.

Zaniemówiłam. Marek wstał, okrążył biurko i podszedł do mnie. Położył mi dłonie na ramionach, a ja drgnęłam i natychmiast wróciły te wszystkie nasze wspólne chwile, które skończyły się, gdy wyjechałam. Pamiętałam jego dotyk i ciepło ciała, i nagle uświadomiłam sobie, że przyjazd tutaj wiązał się z większym ryzykiem, niż myślałam. A ja nie chciałam się pakować w coś, co nie miało sensu. Pragnęłam wrócić do własnego życia daleko stąd, tyle że nie wiedziałam, czy matka właśnie nie wywróciła mi mego wypracowanego przez lata spokoju do góry nogami.

Odsunęłam się i dłonie Marka zawisły w powietrzu. Od razu zrozumiałam niewypowiedzianą aluzję. Wrócił na swoje miejsce. Zapadła niezręczna cisza. Jego wzrok powędrował na moment na stojącą na biurku fotografię.

– A teraz co opowiada? – spytałam już spokojniej. Musiałam skupić się na tym, po co tu przyjechałam. – Znowu historie o zaginionych dzieciach?

– Poniekąd – skrzywił się Marek. – Teraz robi z tego istny horror i gada jak nawiedzona. Od jakiegoś czasu coś się tu pieprzy z pogodą. O tej mgle mówię, pojawia się niespodziewanie i równie szybko znika. Podobno to żadna anomalia, tłumaczył jakiś meteorolog z Białej Podlaskiej, ale fakt, że mamy teraz sporo wypadków. Samochody lądują na drzewach, furmanki w rowach, parę osób w tej mgle rzeczywiście zgubiło drogę. A twoja matka zaczęła znów ostrzegać przez zaginięciami dzieci. Mówiła, że... – prychnął Marek – że trzeba sadzić jarzębiny przed domem, bo to odstrasza czarownice. I że to stąd ta mgła, bo tłumi ich kroki. Dlatego czarownice poruszają się bezszelestnie, wchodzą do domu niezauważone i wywabiają z nich dzieci. Straszne pieprzenie, ale ostatnio naprawdę było sporo wypadków i ludziom chyba zaczyna się to wszystko na mózgi rzucać.

– Boże – jęknęłam, bo wiedziałam, co to dla mnie oznacza. Matka już nie mogła mieszkać sama. A ja nie mogłam mieszkać z nią. Ze złością otarłam

oczy, czując łyzy pod powiekami.

– Na razie jest w szpitalu. – Głos Marka był miękki i łagodny. – Masz jeszcze trochę czasu, aby się zastanowić, co dalej. Trzeba ją będzie przebadac psychiatrycznie. Moze leczenie jej pomoze.

– Ona w zyciu nie da sie przebadac ani nie pojdzie na zadne leczenie. – Otworzylam torebke, szukajac chusteczek. Portfel, szminka, mały Tissot, scyzoryk, puderniczka, ale chusteczek nie bylo.

– Nikt jej nie bedzie pytal o zdanie – oznajmil Marek ostro i podal mi pudelko. Wydmuchalam nos i juz moglam lepiej oddychac. – Jesli nie zgodzi sie na badanie dobrowolnie, zalatwimy sadowy nakaz. Nie bedziesz musiala tu z nia mieszkac ani sie nia opiekowac. To tez sie da zalatwic. Szkoda. – Zmierzy l mnie spojrzeniem, od ktorego dreszcz przebiegl mi wzdluz kręgosłupa i zatrzymal sie gdzieś na linii bioder. – Miałem jednak nadzieję, że trochę tu zostaniesz.

– Trochę pewnie tak – wykrztusilam, wstajac gwałtownie. Zbyt gwałtownie; torebka spadla na ziemie i oboje rzucilismy sie zbierac porozrzucane drobiazgi. Na moment nasz twarze znalazly sie blisko, zbyt blisko siebie, a potem byl juz tylko pocałunek i wszystko to, co pamietalismy. Zapach, dotyk, smak. Z ogromnym wysilkiem odsunalam sie od Marka. Jego oczy pociemnialy i mialam wrazenie, ze jest na mnie zly. Ale nie zamierzalam sie poddawac.

– Idę – rzucilam i wyszlam. Ze zdenerwowania zdazylam sie juz cala spocic. Odjezdżajac, zerknalam jeszcze na drzwi komisariatu, ale Marek nie wyszedl za mna. Rozumialam jego irytacje, ale nie czulam sie na silach wracac do dawnego romansu ani teraz, ani nigdy. Ruszylam wolno droga miedzy polami. Po mgle nie bylo nawet sladu, za to księzyc wyraźnie oświetlal mi okolice.

Na szczęście miałam własny klucz. Weszlam do środka i od razu uderzyla mnie panujaca tu dziwna pustka. Nie bylo to zwykle odczucie braku drugiej osoby w domu, ale właśnie pustka, taka jakby kosmiczna, obrazujaca samotność w ogromnej przestrzeni. Zapalilam światło. Korytarz od razu stal sie znajomym miejscem, wypełnionym licznymi szpargałami.

Nie bylam głodna. Jedyne, na co miałam ochote, to odpoczac, polezec, pogapic sie w sufit. Wpelzlam do lozka z kubkiem herbaty, oparlam sie lokciami o parapet i w zadumie patrzylam na tak dobrze znany mi widok, który, być może, stanie sie znowu moja codziennością.

A potem leżałam, przewracając się z boku na bok. Dochodziła północ, gdy usłyszałam cichy warkot jadącego samochodu. Odgłos zbliżał się. Usiadłam i wyjrzałam przez okno. Z policyjnego wozu wysiadł Marek. Zapalił papierosa i stał tak, oparty o maskę, patrząc na dom. Nie wiedziałam, czy to, co wtedy poczułam, to zagrożenie czy wręcz przeciwnie, spokój i świadomość bycia zaopiekowaną. Wtedy usłyszałam dźwięk przychodzącego esemesa. Położyłam się, owinęłam kołdrą i sięgnęłam po telefon. Zgadłam, to był Marek, ale w wiadomości nie było nic osobistego. Napisał mi po prostu adres szpitala, w którym leżała moja matka.

4.

Do szpitala dotarłam jakoś po jedenastej. Kilka godzin po obudzeniu się spędziłam beczynn timer, kręcąc się bezcelowo po domu. Marek się nie odzywał, nie miałam też żadnych wieści od Klaudii, która musiała teraz przejąć obowiązki kierowniczk timer sklepu.

Gdy jechałam przez wieś, widziałam, że ludzie odwracają się i patrzą za mną. Miałam wrażenie, że w ich spojrzeniach kryje się co najmniej niechęć, jeśli nie coś więcej. Mimo włączonej klimatyzacji zaczęłam się pocić. Te milczące postacie na skraju drogi ziały chłodem. Poczułam się jeszcze bardziej wyobcowana niż kiedykolwiek. Spojrzałam we wsteczne lusterko. Dwie staruszki z koszykami stały nieruchomo przed sklepem i wbijały we mnie wzrok. Wyglądały jak upiorne posągi. Miałam wrażenie, że życzą mi wszystkiego co najgorsze.

Weszłam do szpitala spocona i zdenerwowana. Tam jednak wydawałam się zupełnie anonimowa. Ludzie nie zwracali na mnie uwagi, gdy szłam korytarzem do recepcji. Recepcjonistka podniosła głowę, otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła. Patrzyła na mnie wzrokiem bez wyrazu.

– Cześć – powiedziałam cicho.

Lewa brew Mirki Bacharskiej drgnęła nerwowo. Po chwili kobieta wstała, odruchowo wygładzając ubranie.

– Zaprowadzę cię. Zastąp mnie na moment – poleciła siedzącej obok koleżance. Opuściła recepcję i bez słowa ruszyła korytarzem. Chcąc nie chcąc, ruszyłam za nią. Mirka szła szybko, a jej obcasy stukwały wściekle po posadzce. Musiałam przyspieszyć, aby się z nią zrównać, bo Mirka miała długie nogi i zawsze chodziła, jakby biegła.

– Mira, poczekaj no, bo nie nadążam.

Nagle zatrzymała się tuż za zakrętem. Spojrzała na mnie z wysokości metra osiemdziesięciu i pomyślałam, że zaraz mnie uderzy. Gdy zaczęła mówić, każde słowo zdawało się ciąć.

– Trzymaj swoją matkę z dala od mojej Ali. Jak Boga kocham, trzymaj ją z daleka, bo nie ręczę za siebie.

– Mirka – szepnęłam – co się dzieje? Marek mi mówił, że mojej matce chyba odbiło, ale proszę cię, ona nie jest niebezpieczna...

– Niech więc przestanie łązić za Alą – warknęła Mirka. – Co masz taką minę, Mareczek ci o tym nie mówił? Łaziła za Alą i innymi dziećmi, wypytywała, dokąd idą i gdzie się bawią. Tylko straszy dzieciaki. A ja cię uprzedzam, żebyś nie była zaskoczona. Na wsi jak trzeba, to ludzie potrafią stanąć murem. I przeciwko komuś, i za kimś. I jak trzeba, trzymają język za zębami. – Stuknęła mnie palcem w ramię, aż zabolęło, i zniżyła głos do szeptu. – Może być, że się mamusi coś złego stanie, jak się nie uspokoi. A jeszcze raz zobaczę, jak się kręci koło Ali...

– Nie będzie się kręcić – powiedziałam szybko. – Jeśli trzeba, umieszczę ją w ośrodku. Nie wiedziałam, że...

– To już wiesz. – Mirka ruszyła dalej, a ja podreptałam za nią, zdając sobie sprawę, że właśnie usłyszałam realną groźbę. Mała wieś zjednoczyła się w nienawiści wobec mojej matki. Jeśli coś jej się stanie, nikt nie będzie niczego słyszał ani widział. Oczyma wyobraźni zobaczyłam płonący dom i milczące, nieruchome postacie oskarżycieli. Co, do cholery, wyprawiała moja matka? I czy na pewno nie jest tak niebezpieczna, jak zapewniałam?

Mirka wskazała mi drzwi sali i zostawiła mnie bez słowa. Weszłam do środka. W trzyosobowym pomieszczeniu wszystkie łóżka były zajęte; dwie starsze, nieznane mi panie leżały nieruchomo i spały. Twarz jednej z nich była wykrzywiona i minęłam ją szybko, aby pozbyć się spod powiek obrazu tej brzydkiej, upokarzającej starości. Matka zdawała się górować nad całą salą. Leżała w pozycji półsiedzącej i nie wyglądała na ciężko chorą. Co więcej, była całkowicie przytomna. Jej ciemne oczy przypominały mi dwa żuki.

– Mam zapalenie płuc – powiedziała zamiast powitania. – Ale nie zamierzam tu zostawać. Wypiszę się na własne życzenie. Dobrze, że jesteś. Przez parę dni będzie mi potrzebna opieka.

Mówiła normalnym głosem i zupełnie z sensem. Co prawda mój przyjazd ucieszył ją tylko ze względu na zyskanie darmowej gosposi i opiekunki, ale

to w sumie nie powinno mnie było dziwić. Egocentryzm matki wzniósł się na wyżyny. Moja rola została właśnie jasno określona.

– Może nie spiesz się tak z wyjściem? – zasugerowałam i przysiadłam na metalowym krzeselku. – Zostań tu jeszcze trochę, tu masz lepszą opiekę.

– Nie, nie, chcę do domu. Najlepszą opiekę będę miała przy tobie, kochana. – Głos matki był zwodniczo przymilny. Spojrzałam jej w oczy i ujrzałam dwa czarne, chłodne żuki, do których nie dotarł syrop pochlebstw. Zmroziło mnie, z jaką łatwością przerzuciła się na tryb kłamstwa i słodzenia, aby tylko osiągnąć swój cel. Nagle pomyślałam, że osoba przede mną nie do końca była moją matką, jakby zamieszkało w niej coś obcego, czego nie znałam. Przypisanie mi roli opiekunki było bardzo w stylu tej egocentryczki, ale takie słodzenie? Nie. Matka w życiu nikomu się nie przyprochlebiała. Co tu się działo?

– Nie lubię śmierci – oświadczyła, nie zniżając głosu. – A ona lada moment umrze. – Wskazała szczupłym palcem jedną z leżących staruszek. – Już się robi zimna, choć nikt o tym jeszcze nie wie. Leży tak sobie i zimnieje, a wszyscy myślą, że lada moment wróci do domu. Ona już wie, że nie wróci. Widzisz, jak się układa? Na boku, tak łatwiej połknąć śmierć.

– Co ty gadasz – przerwałam ostro. – Nikt nie umrze. Może jednak przemyślisz...

– Jutro się wypiszę – oświadczyła matka stanowczo. – Skarbie, tak bardzo mam ochotę na kawę. Skoczysz do automatu i przyniesiesz mi małą czarną? Wiesz, że nie mogę żyć bez kofeiny. – Uśmiechnęła się tym swoim czarującym uśmiechem, a ja poczułam się nagle ogromnie zmęczona, malutka i zupełnie nieważna. Złowieszcza machina o nazwie „matka” właśnie zaczynała mnie pochłaniać. Skinęłam głową i posłusznie podreptałam po kawę.

Gdy wracałam, zrobiło się jakieś poruszenie. Minął mnie lekarz i pielęgniarka, oboje w biegu, wyraźnie zaaferowani. Poczułam dziwny niepokój i chyba odruchowo przyspieszyłam. Weszłam do sali, a moja matka skinęła mi głową z namaszczeniem. Nad łóżkiem staruszki, którą kilka minut temu wskazała, pochylała się ta sama dwójka, która dopiero co mnie wyminęła. Twarz starszej pani była gładka i woskowożółta. Zrobiło mi się słabo. Kubek z kawą wyleciał mi z ręki.

– Skąd wiedziałaś? – mruknęłam cicho do śpiącej matki. – Skąd ty to wszystko mogłaś wiedzieć?

W sypialni mimo wietrzenia unosił się zaduch, zapach choroby i gorączki. Matka spała spokojnie, choć oddychała ciężko. Nie zgodziła się zostać w szpitalu ani dnia dłużej i jak zapowiedziała, tak zrobiła. Na szczęście nie była rozmowna, ja zresztą też nie paliłam się do zadania tych pytań, które musiałam zadać. Pomogłam matce się położyć, przyniosłam jej rosół, herbatę, wreszcie siedziałam przy niej, póki nie zasnęła. Gdy tak leżała, wydawała się krucha i drobna, zupełnie niepodobna do tej, którą znałam przez całe życie.

Dochodziła jedenasta. Przez uchylone okno wpływały fale ciepłej czerwcowej nocy. Poczułam, że pokój nagle staje się za mały, ciasny, potrzeba mi powietrza. Wstałam, czując lekkie zawroty głowy. Powinnam była coś zjeść, ale wydarzenia ostatniej doby zupełnie odebrały mi apetyt.

– Skąd wiedziałaś? – powtórzyłam pytanie, schodząc piętro niżej. W cichym, ciemnym pokoju słowa wybrzmiały nienaturalnie głośno. Ciężkie dębowe meble okupowały ściany i kąty, zbierając pajęczyny. W ciemności wyglądały jak stojące trumny i przytłaczały mnie jeszcze bardziej. Pospiesznie wyszłam na ganek i natychmiast zapadłam w ciepłą, czerwcową noc.

Księżyc wisiał nad lasem, powlekając odległe pola i korony drzew srebrzystą poświatą. Powietrze było nieruchome i dziwnie kleiste; koszulka lepiała mi się do pleców. Wytarłam spocone dłonie o dzinsy. Pociłam się bardziej niż zazwyczaj. *Może to zbliża się migrena?* Powoli rozbijałam fotel. Przód, tył. Zimne piwo w lodówce kusilo, ale nie miałam siły wstać i iść do kuchni. Patrzyłam na pustą drogę zupełnie suchymi oczami. Nie miałam nawet siły, by płakać. *Może to wszystko jeszcze do mnie nie dotarło? Może gdybym miała kogoś, z kim mogłabym szczerze pogadać i wywalić z siebie cały ten gnój...* Ale nie miałam. Marek nie był odpowiednią osobą, a Klaudia, której zwykle mówiłam o wszystkim... Zamrugalam, oblizałam spierzchnięte usta. Klaudii już nie ma i nie będzie.

W trawie coś zaszleściło, jakby przemykało przez nią jakieś nieduże zwierzę. Zdawało mi się, że na skraju drogi zamajaczyło coś białego. Wychyliłam się z fotela, rozejrzałam, ale droga była ciemna i pusta. Wtedy kątem oka dostrzegłam coś po swojej lewej stronie. Coś jasnego, co przeleciało niczym zając. Zerwałam się i dwoma susami wyskoczyłam na drogę. Lewo, prawo. Nic. Obróciłam się kilkakrotnie wokół własnej osi. Jak

okiem sięgnąć, nikogo. Pusto i cicho. Nagły podmuch wiatru musnął mi lekko twarz i zastygł. Powietrze znów było nieruchome. Rozejrzałam się jeszcze raz, nagle czujna i napięta.

– Jest tam kto? – krzyknęłam.

Odpowiedziała mi cisza. Wróciłam na ganek i znów zapadłam się w fotel, choć coś mi podpowiadało, że nocą zazwyczaj bywa głośniejsze. Takie miejsca jak to nie zasypiają i nie milkną. Kumkanie żab, cykanie świerszczy, płynąca rzeka nigdy nie są tak wyraźne jak nocą. A teraz nie słyszałam niczego. Wytężyłam słuch. Panowała zupełna cisza, jakby coś wysssało wszelkie odgłosy przyrody.

Ramiona pokryły mi się gęsią skórką. Czułam, jakby wokół mnie działa się coś dziwnego. Obcego. Może nawet złego? A mimo to nie ruszyłam się ponownie z fotela. Księżyc przesunął się na niebie i teraz wisiał na wprost mojej twarzy.

Nawet powietrze jest obce, pomyślałam. To odczucie pojawiło się zupełnie niespodziewanie, ale pociągnęłam nosem i tak, coś było *inaczej*. To nie był konkretny zapach czy smród, to raczej jak powietrze przed burzą, kiedy każdy czuje orzeźwienie i to specyficzne coś, czego nawet nie umie zdefiniować, ale czuje każdym nerwem, że jest po prostu *inaczej*.

Może umysł płatał mi figle. Po dwóch ostatnich dniach miałabym pełne prawo do załamania nerwowego. Zwłaszcza po godzinach nerwówki, kiedy uświadomiwszy sobie, że Klaudia nie odpisuje na esemesy ani nie odbiera telefonu, zadzwoniłam do sąsiadki i poprosiłam ją, aby zerknęła, co się dzieje w sklepie. Takie zachowanie nie było w stylu sumiennej Klaudii. Kolejne minuty wlokły się w nieskończoność, a ja tylko błagałam w duchu, aby nie stało się nic poważnego. Nie Klaudii! Niechby tylko zachorowała, zasnęła, złamała sobie nogę, zgubiła telefon... Co w żaden sposób nie tłumaczyłoby, dlaczego przez ponad dobę nie było z nią kontaktu. Jedyne logiczne wytłumaczenie po prostu odrzucałam.

Sąsiadka nie znalazła Klaudii w sklepie. Zastała zaciągnięte rolety i drzwi zamknięte jedynie na klamkę, nie na zamek. W środku brakowało też wielu innych rzeczy, między innymi gotówki z kasy, pieniędzy z sejfu, całej masy drogocennych bibelotów, które nie zajmowały dużo miejsca, a można je było opylić za całkiem sporą sumkę. Po szybkiej konsultacji ze mną udała się do mieszkania Klaudii. Nikt nie otwierał, za to starsza pani z naprzeciwka, przekonana, że rozmawia z koleżanką miłej lokatorki po sąsiedzku,

zdradziła, że Klaudia przed północą opuściła mieszkanie z dwiema walizkami i w towarzystwie młodego mężczyzny.

Wtedy jeszcze nie dotarły do mnie wszystkie emocje. Nawet godziny spędzone na rozmowach telefonicznych oraz zgłoszenie sprawy w miejscowym komisariacie (bo przecież nie mogłam ot tak sobie wrócić do domu) nie sprawiły, że się rozkleiłam. Ale teraz, gdy przypomiinałam sobie ten strach, że Klaudii coś się stało, napadnięto ją, zabito, skatowano, teraz, gdy wiedziałam, że przyjaciółka, za którą mogłam ręczyć głową, miała mnie za łatwy łup... Teraz, gdybym mogła, byłabym w stanie ją zabić. Wyciągnęłam przed siebie dłonie. Nie trzęsły się; długie palce zaciskały się w powietrzu, jakby na wyimaginowanym gardle. To była zimna, czysta nienawiść, której z chęcią dałabym upust, nie zmrużywszy przy tym oka.

Pociągnęłam łyk piwa. Zamrugałam i spojrzałam zdziwiona na butelkę, bo nie pamiętałam, abym szła po nią do kuchni. Coś dziwnego działo się z moją głową. Przez moment mój wzrok wariował, obraz oddalał się i przybliżał, aby w końcu nabrać ostrości. Spojrzałam na dłoń, w której przed chwilą trzymałam piwo. Czułam na skórze chłód wyjętej z lodówki butelki, ale nie miałam jej w ręku. Rozejrzałam się. Nie było żadnego piwa.

Wariujesz, masz nie po kolei w głowie, jak matka. Ta myśl pojawiła się i zniknęła, wyparta inną.

Matka miała rację co do Klaudii.

Nigdy jej nie spotkała, ale za każdym razem, gdy o niej mówiłam, wyrażała się o niej z dużą dozą wątpliwości. Nie reagowała tak na nikogo z moich znajomych. Wiedziała, że palę, gdy rozmawiałyśmy przez telefon, a wiedzieć tego nie powinna. Dostrzegła śmierć nad staruszką ze szpitala.

– Skąd to wiedziałaś? – szepnęłam. – Miałaś rację, mamo.

A skoro wiedziała te rzeczy, czy mogła mylić się w innych? W historii o zaginionych dzieciach nikt nie uwierzył, bo nie zaginęło żadne dziecko. Więc kto się mylił? Matka czy oni?

Ze złością potarłam oczy. Dopiero teraz poczułam, jak bardzo mnie szczypią. Od suchości albo od łez. To nie było fair. Żadne dziecko nie powinno się tak czuć z powodu własnego rodzica. Nagle zwałił się na mnie ogromny ciężar, a ja nie chciałam go przyjmować. Nie chciałam czuć się w obowiązku prowadzić śledztwa, rozgryzać każdego postępkę mojej matki. *I nie zrobię tego, obiecałam sobie w duchu. Niedługo stąd wyjadę i załatwię matce opiekę, jeśli będzie trzeba. Wrócę do sklepu... do tego, co z niego zostało. Odmaluję kuchnię. Wreszcie obetnę włosy na krótkiego boba. Zapiszę*

się na basen. Przestanę się czuć odpowiedzialna za innych. I pójdę zaraz po to piwo do kuchni.

Wiatr szumiał w wysokiej trawie, szeleścił liśćmi. Przyroda znów odzyskała dźwięki. Księżyc igrał z chmurami, aż wreszcie wypłynął dostojnie w całości i nagle zrobiło się srebrzyście jasno. Coś białego poruszyło się w tej poświacie. Drogą od strony gospodarstwa Bacharskich nadchodziło dziecko. Szło spokojnie, ale zupełnie samo, co było dziwne ze względu na porę.

Ala, córka Mirki, zatrzymała się przed domem. Ubrana była w dżinsy i T-shirt tak biały, że zdawał się niemal fluoryzować w nocnej poświacie. Włosy dziewczynki zebrane były w warkocz, a mimo to wydawało się, jakby wokół jej głowy unosiła się jasna aureola z puszystych kędziorów. Oczy dziecka rozjarzyły się dziwnym blaskiem. Zamrugałam. Upiorne doznanie zniknęło i miałam przed sobą zupełnie zwyczajną siedmiolatkę.

– Co tu robisz o tej porze? – spytałam, starając się pozbyć wrażenia, że przed chwilą na twarz dobrze znanego mi dziecka nałożyło się coś obcego. – Mama się wścieknie, jak zobaczy, że cię nie ma.

– Mama śpi – poinformowała mnie Ala spokojnie. – Dziadek i babcia też. Nie obudzą się, zanim nie wrócę. Wszyscy inni też śpią. Tylko ty i twoja mama nie śpicie. – Uniosła głowę i przez moment nasłuchiwała.

– Ty chyba powinnaś być w łóżku o tej porze? – powiedziałam bez przekonania. Nie byłam zachwycona tą nocną wizytą. Jeśli Mirka dowie się, że jej córka pęta się nocą pod domem mojej matki, obedrze nas ze skóry.

– E tam, ja cały czas wychodzę o tej porze – odparła butnie dziewczynka. Patrzyła na mnie uważnie. – Twoja mama mnie widziała i tylko ona, i ja wiem, czemu tylko ona. Jest bardzo chora, prawda?

– Tak – przyznałam. – Alutka, chcesz powiedzieć, że moja mama widziała cię, jak spacerujesz nocą?

– Parę razy nas widziała.

– Nas?

– Nieważne. – Mała zdenerwowała się i nagle zaczęło jej się spieszyć. – Chodź ze mną, coś ci pokażę.

– Co takiego? – Teraz i ja się zirytowałam.

– To tajemnica.

– Nie jestem ciekawa.

– Chodź, to będzie niesamowite – próbowała mnie przekonać, a gdy nie odniosło to skutku, dodała z przebiegłym uśmiechem, gdzie znowu miałam

wrażenie, jakby na twarz dziecka nałożono chytre oblicze kogoś o wiele starszego. – Pokażę ci, jak wyleczyć twoją mamę i co siedzi w jej głowie. – Uśmiech stał się niemal lisi, a głos przymilny. – No, nie daj się prosić. Twoja mama umiera, a chyba tego nie chcesz? Czas płynie, czeka na decyzję.

O cholera. To nie były słowa dziecka, choć wypływały z jego ust. Wstałam z fotela, wolno zesłam z ganku. Ala jakby na to czekała; natychmiast ruszyła w podskokach drogą w lewo. Zrobiła zaledwie kilka kroków i zatrzymała się, ale jakimś cudem zdążyła odbiec na co najmniej trzydzieści metrów. Poczułam, że ogarnia mnie strach. Wiatr targał bezlitośnie wysoką trawą, szumiał w liściach, zdawał się zawodzić, mrużyć sobie tylko zrozumiałym zaśpiewem.

– Ala! – zawołałam i ruszyłam za nią. Dziewczynka zrobiła dwa kroki w przód i hop, już była prawie niewidoczna; jej sylwetka zamazywała się tuż przed linią pierwszych drzew. Czekala na mnie, miała nadzieję, że wejdę razem z nią między te drzewa, do gaiku, za którym było tylko nieurodzajne pole i samotne słupy telefoniczne. Nie miałam pojęcia, o co tu chodzi, ale wiedziałam jedno. Nikt nie jest w stanie tak szybko się poruszać.

Po chwili wahania zrobiłam krok, potem drugi. A potem puściłam się pędem przed siebie, wpatrzona w oddalający się biały punkt. Wpadłam między drzewa, potknęłam się o korzeń i omal nie przewróciłam, ale biegłam dalej. Dziewczynka migala mi w oddali, a ja zaczęłam powoli zwalniać, bo dostałam zadyszki, i w końcu stanęłam, cała zziajana i z obolałymi od wysiłku płucami. Powoli docierał do mnie absurd całej sytuacji – goniłam szybką jak Ben Johnson siedmiolatkę, która w dodatku miała przecież na imię Alicja i nosiła białą koszulkę.

– Jesteś Białym Królikiem, Alicjo? – powiedziałam na głos i rozkaszałam się, obiecując w duchu, że w życiu nikomu nie opowiem o tej durnej gonitwie. Otarłam dłonią czoło; powoli się uspokajałam. Stałam na wąskiej ścieżce pomiędzy drzewami tak gęstymi, że znikąd nie docierało światło księżyca. Dziwne. Gaik, w którym bawiłam się jeszcze jako dziecko, nie był dżunglą, a drzewa rosły tu raczej z przerwami. Spojrzałam w górę. Nad sobą zobaczyłam zbitą, nieruchomą koronę drzew. Serce podskoczyło mi do gardła. Było ciemno jak oko wykol, ledwo widziałam własne buty. I było znów cicho, zbyt cicho, jakby natura wstrzymała na moment oddech. Chociaż... Skądś dobiegał odgłos, jakby szum? Szelest? Ktoś szedł ścieżką? Wstrzymałam oddech, nastawiłam uszu, ale niczego nie usłyszałam. To było tylko przecucie, że ktoś jest niedaleko.

Rozejrzałam się z lękiem, który towarzyszył mi od dawna, od dziecka, gdy pewnego dnia zgubiłam się w tym lasu i przez kilka godzin błąkałam się po nim z płaczem, a za mną kroczyło coś niewidzialnego, co umykało szybciej, niż zdążyłam na to spojrzeć. Od tamtej pory nie przepadałam za włóczęgami po lesie. Nie przerażało mnie to, bowiem las za dnia był ciepły, pachniał przyjaźnie i pokazywał mi wszystkie swoje ścieżki, ale wraz z nadejściem zmroku zmieniał swą strukturę. Drzewa posepniały i chudły, traciły kolory, okrywając się szarością, rozmazywały się ich kontury. Nocą zmieniały się w wystające z ziemi ręce o krzywych, artretycznych palcach i długich, jakby zwierzęcych pazurach. Teraz znowu nie widziałam ścieżki. Zamrugałam, przetarłam dłonią oczy. Nie mogłam dostrzec ścieżki. I nie, że jej nie widziałam; tuż za mną rosły drzewa, których na pewno nie mijałam, biegnąc tu inaczej musiałabym je mijać slalomem. Ścieżki nie było.

Wzięłam głęboki oddech. Zatem musiałam pomylić kierunki, bo droga nie mogła zniknąć, i patrzyłam nie w tę stronę. I nagle wróciło to uczucie sprzed lat, że coś za mną stoi i gdy się odwrócę, tego już nie będzie. Albo, co gorsza, właśnie będzie. Nie odejdzie i będę musiała na to spojrzeć...

Odwróciłam się.

Przed sobą miałam ścieżkę, wyraźnie rysującą się w ciemnościach. A nad nią, w tych ciemnościach, unosiła się para fosforyzujących na niebiesko oczu. To chyba szok sprawił, że nie zaczęłam wrzeszczeć ani uciekać, tylko stałam i gapiłam się na to zjawisko. A ono zamrugało oczami i na ścieżce, kilka metrów przede mną, pojawiła się Alicja. Blask jej oczu powoli przygasał.

– Mamy mało czasu – powiedziała. – Nie możemy go denerwować, bo będzie źle. Chodź. To już niedaleko.

Na miękkich nogach ruszyłam za dziewczynką. Po paru minutach w oddali coś zaczęło się rozjaśniać. Świt? Zerknęłam na zegarek. Kwadrans po północy, o wiele za wcześnie na poranek. A jednak oczy mnie nie myliły, drzewa zaczynały się przerzedzać, a za nimi jaśniało niebo. Alicja co chwila odwracała się i niecierpliwie machała, abym się pospieszyła, ale z każdym krokiem szłam coraz wolniej, bo im bliżej pustej przestrzeni, tym więcej dostrzegałam, i tym bardziej upewniałam się w przekonaniu, że śnię. Wreszcie minęłam ostatnie drzewo i to, co widziałam od dłuższej chwili, a co nadal nie zniknęło, sprawiło, że miałam ochotę wycofać się między drzewa i przejść tę samą drogę z powrotem.

– I na miejscu! – oświadczyła zadowolona Alicja. Chwyciła mnie za rękę i znów była tą samą małą dziewczynką o dużych oczach i ufnym uśmiechu. – Chodź! Nie wiem, czy mogę, ale skoro nikt nie mówił, że nie mogę...

– Ala – powiedziałam głosem, który chyba nie należał do mnie. – Ala, proszę cię. Widzisz to? Ala, tam są trumny.

– Eee? – zdziwiła się dziewczynka. – No co ty? To nie żadne trumny. No chodź, musimy się spieszyć.

Miała rację. To, na co patrzyłam, nie powinno w ogóle istnieć, bo pamiętałam, co znajdowało się za małym laskiem. Kawalek nienależącego do nikogo pola, na lewo rzeka. Teraz miałam przed sobą piaszczystą równinę, w której jak okiem sięgnąć tkwiły powtykane pionowe ciemne kształty. Nie wiem, czemu w pierwszej chwili wzięłam je za trumny. Gdy wzrok mi się wyostrzył, zrozumiałam, na co patrzę, i zrobiło mi się słabo. Uniosłam głowę i spojrzałam w niebo, po którym, niczym na przyspieszonym filmie, pędziły krwistoczerwone chmury.

– Chodź – powtórzyła Alicja. Usłuchałam. Teraz byłam pewna, że to jest realny sen, i odpłynęło przerażenie, zastąpione świadomością, że nic złego nie może mi się wydarzyć, a skoro tak, mogę bezkarnie eksplorować nieznany mi teren.

Tik-tak.

To, co w pierwszej chwili wzięłam za wystające z ziemi trumny, było zegarami. Całe pole, jak okiem sięgnąć, było nimi usiane aż po horyzont. Wysokie, smukłe kształty wyrastały z ziemi, a każdy z nich oddychał we własnym tempie, każdy szumiał i dźwięczał po swojemu, wygrywając inną melodię. Szłam za Alicją, która kluczyła, jakby wiedziała dokładnie, dokąd iść, i rozglądałam się na boki. Opanowała mnie chęć dotknięcia zegarów, i gdy w końcu przemogłam zaskoczenie, bez wahania muskałam wyciągniętą ręką mijane kształty. Pod palcami czułam gładkość drewna, różniącego się jakością i starannością wykonania. W uszach dźwięczały mi szepty, bo zegary gadały. Nie były nieme. Gadały, szeptały, ale w większości się skarżyły. Mówiły, co im dolega, prosiły o pomoc. Mijałam antyki, mijałam podróbki, ale słyszałam wszystkie ich prośby, nawet te najcichsze.

– Nie zatrzymuj się! – syknęła Alicja i chwyciła mnie za rękę. Miałam ochotę ją odepchnąć. Przeszkadzała mi i zagłuszała. – Nie wsłuchuj się! Musimy iść do właściwego!

Spojrzała mi w oczy.

– Nie słuchaj ich! – powiedziała stanowczo, a ton jej głosu i dobór słów nie były przynależne dziecku. Miałam wrażenie, że ustami Alicji mówił ktoś o wiele starszy, kto bardzo starał się brzmieć jak dziecko, ale nie do końca mu się to udawało. A zegary szeptały. – Pospiesz się, czas nas goni! Twoja mama umiera, wiesz o tym? Ona z tego nie wyjdzie.

Mama. Nie, nigdy mama, a matka. Tak, wiedziałam, że wyszła ze szpitala tylko po to, by za parę dni umrzeć. Pewne rzeczy się czuje. I nie chciałam, aby tak się stało. Była straszną matką, ale to dla niej rzuciłam wszystko, co miałam. I chciałam o nią walczyć, ale nadal nie rozumiałam jak.

– Będiesz wiedziała – zapewniła mnie dziewczynka. Spojrzałyśmy na siebie, a w jej wzroku było coś obcego, co nie było ani podobne do dziecka, ani do Ali. Czułam się tak samo, jak wtedy, kiedy matka zapytała mnie przez telefon, czy palę, choć nie mogła tego wiedzieć. A jednak wiedziała, w ten dziwny sposób, w którym Alicja Nie-Alicja wiedziała, o czym myślę. Chmury przybrały barwę krwi. Zrobiło się odrobinę ciemniej. Mała się wzdrygnęła.

– Chodź! – powtórzyła. I pobiegłam za nią, klucząc między żałącymi się zegarami, starając się nie słyszeć ich skarg. Alicja to biegła, to się zatrzymywała. Szukała miejsca, do którego miała dotrzeć, a ja podążałam za nią i zaczynałam powoli rozumieć, o co chodzi. Mijałyśmy slalomem kolejne zegary, ja już zatkałam uszy, choć mnie to spowalniało, bo nie mogłam znieść ich żalosego szeptania, próśb o pomoc. Nie pomyliłam się wiele, myśląc, że mam przed sobą trumny.

To było cmentarzysko.

– Jest tutaj! – Alicja machała do mnie jak oszalała. Stała przy wysokim zegarze z dębowego drewna, na którego podstawie widać było liczne rysy i pęknięcia. Dotknęłam jego powierzchni. Pod palcami czułam chropowatość starego drewna, ale było w niej coś jeszcze. Coś jakby... przez chwilę szukałam określenia. Pot. Drewno było jakby przesączone potem o zapachu i kleistości jak u chorego człowieka, który leży w łóżku, a bliscy mu mówią, aby wypocił chorobę, choć gdzieś tam z tyłu głowy wiedzą, że tego, co zjada od środka, nie da się pozbyć. Z tego zegara pot lał się ciurkiem. Paskudził drewno, zgryzał trybiki od środka. Alicja szarpnęła mnie za rękaw. Niechętnie oderwałam dłoń od zegara i wtedy usłyszałam coś jakby westchnienie. Poczułam nagłą chęć ponownego dotknięcia przezartego chorobą drewna.

– Pomożesz mi – spytała mała – czy będziesz tak się tylko gapić?

– Ale ja nie wiem...

Wiedziałam.

Choć wciąż nie rozumiałam, co się tutaj działo, to miałam świadomość, że wiem, choć nie pamiętam i nie mam pojęcia, o co chodzi, ale... Ten zegar był dla mnie niczym książka rachunkowa, stos paragonów albo plik faktur. Był czymś, co doskonale znałam, rozumiałam i nie stanowił dla mnie żadnej tajemnicy. Jednym ruchem otworzyłam drzwiczki. Zawiasy pisnęły żałośnie, a moim oczom ukazało się wewnątrz czasomierza. Tysiące, miliony drobnych śrubek, niektóre z nich tak małe, że należałoby na nie patrzeć w powiększeniu, a wszystkie idealnie ze sobą połączone, tworzące fantastyczny układ na wzór ludzki, z metalowymi tętnicami, arteriami i narządami. Miałam przed sobą mechanizm idealny, który teraz szwankował, przeżarty chorobą. Coś spowalniało jego bieg.

I znów wróciłam dawna ja, pewna tego, co robię, skupiona na jednej rzeczy naraz. Wyciągnęłam dłoń, Alicja podała mi narzędzia i zagłębiłam się w zegarze. Przy dokładniejszym przyjrzeniu się błyszczące zdrowiem śrubki stały się matowe, przeżarte rdzą, obłuzowane. Mechanizm zaczął się dusić, dławić, wstrzymywać swój bieg. Serce to spowalniało, to przyspieszało, skacząc niespokojnie. Matka od zawsze miała arytmie, przypomniałam sobie, zanurzając palce w rozedrganym sercu. Potem przeszłam do płuc, wywlekając z nich drobnymi szczypcami całą zarazę. Czarne drobinki opadały na ziemię, wnikały w nią, tworząc błotnistą kałużę. Kończyłam już, gdy Alicja zaczęła mnie szarpać za koszulkę.

– Co? – syknęłam.

– Musimy kończyć i uciekamy. – W głosie dziewczynki brzmiał lęk. Na moment oderwałam się od pracy. Twarz Alicji była poważna, w oczach czaił się strach. – Nie widzisz, że nadchodzi czas?

Nie odrywając palców od płuc, rozejrzałam się. Miałam wrażenie, jakby wyrwano mnie z jakiegoś upiornego pędu i dopiero teraz wróciłam do rzeczywistości, w której było coś bardzo nie tak. Zrazu nie wiedziałam co, dopiero po chwili zorientowałam się, że wszystko wyraźnie pociemniało. Spojrzałam w niebo; gromadziło się na nim coraz więcej chmur, a na horyzoncie widać było ich istne kłębowisko. Cała okolica zdała się nagle wyprana z koloru. Biała koszulka Alicji przybrała szarawy odcień, a jej błękitne oczy straciły blask.

– Czas na co? – spytałam.

– Boże! Po prostu się pospiesz! Potem ci powiem! – W głosie dziewczynki brzmiała panika. Rzuciłam się z powrotem do pracy, bo już niedużo mi

zostało. Oczyszcziłam płuca, a Alicja chwyciła klapę i próbowała ją zatrzasnąć, przycinając mi przy tym dłoń. Przez chwilę się mocowałyśmy.

– Zwariowałaś?! – ryknęłam.

– Nie możesz... Nie możesz... – wysapała Alicja, wciąż walcząc. Wiedziałam, że to dziecko siedzi mi w głowie, podobnie jak matka, i że wie, o czym myślę. O tym, co jeszcze można by tu naprawić. Oprócz płuc i nadreaktywnego serca pozostawała jeszcze głowa, do której mogłam zajrzeć, w której mogłam pogrzebać i wszystko poustawiać tak, jak należało.

Puściłam klapę. Głuchy trzask zamykania uswiadomił mi, że cokolwiek miałam zamiar zrobić, przepadło i jest już za późno. Nie zajrzę do głowy, nie rozpruję mózgu, pamięci, wspomnień.

– Uciekajmy – prosiła Alicja. Nie była już poszarzała, zdawała się wręcz postacią z czarno-białego filmu. Teraz zrobiło się już zupełnie ciemno. Kontury zegarów rozplływały się w mroku i dobiegało do mnie tylko ich pojękiwanie. Coś się zbliżało. Zegary jęczały z bólu i strachu. Jeden z nich zawył żałośnie i złamał się w pół, runął prosto w ziemię, w której nagle pojawił się dołek. Umarł na moich oczach, tak po prostu, a wraz z nim umarł jakiś nieznany mi człowiek. A z zachodu coś nadchodziło. Coś gigantycznego, co zdawało się przysłaniać niebo, głodne, żarłoczne, bezlitosne. Nagle pojęłam, co to było. Coś, o czym wszyscy mówimy, co możemy zmierzyć, a czego nie widzimy. I ja też nie chciałam na to spojrzeć.

Alicja wystartowała pierwsza, ja za nią. Znowu pędziłyśmy dzikim slalomem między zegarami, które teraz już nie śpiewały, a wyły ze strachu. Gnałyśmy w zgęstniałym nagle powietrzu, ciężkim, rozłupującym głowę, biegłyśmy w zapadającej się niczym błoto ziemi, a każdy krok zdawał się spowolniony jak podczas nocnych koszmarów, kiedy biegniemy i czujemy się jak w filmie o zwolnionym tempie. Wyciągnęłam rękę, już przy pierwszym drzewie, chwyciłam gałąź... i nagle znowu biegłam, pędziłam wąską ścieżką między drzewami, w rześkim nocnym powietrzu. Zamachałam rękami, próbując się zatrzymać, ale wtedy właśnie zaczepiłam o coś nogą i runęłam jak długa na ziemię, przekoziółkowałam i zatrzymałam się na plecach. Leżałam tak bez ruchu, nie czując bólu, nad sobą miałam gwiazdy. Ostrożnie poruszyłam nogami. Udało się. Powoli zaczynało mi wracać czucie. Lewy nadgarstek, ała. Wymacałam językiem zęby. Ostrożnie, podpierając się prawą ręką, podniosłam się do pozycji siedzącej. Z lewą ręką było coś nie tak, ale poza tym chyba nic poważnego

się nie stało. Siedziałam w rowie, trochę potłuczona i ogólnie żywa. Ale czemu tak gnałam? To było tylko wrażenie, coś się zbliżało, ale co...?

– Żyjesz? – Alicja przysiadła obok mnie. Skinęłam głową, nie byłam w stanie niczego powiedzieć. Nagle spłynęło na mnie ogromne zmęczenie, przez które miałam ochotę położyć się, zamknąć oczy i spać. Powinnam teraz leżeć we własnym łóżku, z herbatą na nocnym stoliku, i przewracać się we śnie z boku na bok. Zamiast tego siedziałam na trawie gdzieś w lesie, w środku nocy, ze skręconym nadgarstkiem, brudna, spocona, zziębnięta, niczego nierozumiejąca.

– Co to było? – spytałam w końcu. – To, co nas goniło? Co to w ogóle za pole? Przecież jego w ogóle nie ma...

Alicja prychnęła.

– Wy, dorośli – powiedziała namiętnym tonem – mówicie tyle rzeczy, a nie zdajecie sobie sprawy z tego, ile w waszych słowach prawdy. Ile razy, gdy się wciąż spieszycie, mówicie, że nie macie czasu? Albo że wreszcie nadszedł czas? I że na wszystko jest czas? Ciągłe mówicie o czasie jak o czymś, co stanowi jakąś granicę, co jest w pewnym sensie groźne. „Nadchodzi czas” to brzmi tak jakoś ostatecznie, prawda? No i zobaczyłaś, jak to jest, kiedy on naprawdę nadchodzi. Widziałaś nadejście czasu, bo on na wszystko przyjdzie.

Oczy Alicji w trakcie tej przemowy płonęły upiornym blaskiem, były jak dwie jarzące się na niebiesko latarenki. Gdy umilkła, zaczęły przygasać i miałam wrażenie, że jednocześnie z Alicji uciekało to coś obcego, ten zamieszkujący w niej obcy byt, mówiący jak dorosła osoba ustami dziecka.

– Zaczekaj! – rzuciłam pospiesznie. – Jeszcze chwila! Powiedz mi tylko, co to za miejsce. Jak można do niego dojść? Dlaczego mogłam tam być, skoro zawsze za lasem było pole?

Oczy Alicji wyrażały lekkie zagubienie. Za późno. Wiedziałam, że już nie uzyskam odpowiedzi na żadne z pytań. Niebo lekko jaśniało, nadchodził poranek. W miejscu, z którego dopiero co biegłyśmy, rozciągało się pole. Przez nie chodziło się na skróty do pobliskiego miasteczka.

6.

Dotarłam do domu o brzasku, na chwiejnych nogach i z zamętem w głowie. Pamiętałam niejasno, że Alicja zostawiła mnie w rowie i pobiegła do siebie, mruczając coś o mamie, która zaraz się obudzi.

Drogę do domu średnio sobie przypominam, kojarzę tylko wilgoć na twarzy i włosach, a poza tym niewiele więcej. Zdarzały mi się już takie powroty, ale po wyjątkowo udanych imprezach, kiedy szło się na autopilocie, a film się urywał. Teraz też miałam wrażenie urwanego filmu. Pamiętam dobrze moment, kiedy usiadłam na ganku i wtedy przejaśnił mi się umysł. Było mi niedobrze, w głowie łupało. Wstawał rzeński świt, a czyste niebo zwiastowało piękną pogodę. Mnie jednak trzęsło jak przy gorączce albo na kacu.

Powlokłam się na górę, padłam na łóżko. Zasnęłam chyba od razu, ale nie jestem pewna, czy spałam, czy budziłam się co chwila, bo zdawało mi się, że kogoś widzę, a miejscami czułam, że łóżko podskakuje i się obraca. Nagle coś wyrwało mnie ze snu. Otworzyłam oczy i wszystkie sensacje momentalnie ustąpiły. Patrzyłam w sufit, wyspana, nic mnie nie bolało, nic się nie trzęsło. Wszystko było po staremu, ten sam pokój, drzewa za oknem, odgłosy wsi.

Zegarek na stoliku wskazywał 12.31.

Ogarnął mnie niepokój. Pustkę w głowie wypełniły myśli i dziwne, niezrozumiałe przeczucia, jakbym o czymś zapomniała albo nie zwróciła na coś uwagi... Matka! Usiadłam gwałtownie, chwilę walczyłam z zawrotami głowy, nim wstałam i na boso zeszłam na parter. Schody skrzypiały znajomo przy każdym kroku, a w nos łaskotał mnie równie znajomy zapach kawy, który świętek piątek budził mnie w tym domu. Ale to by znaczyło, że...

Wolno zeszłam do kuchni; ostrożnie, jakby to miało coś zmienić, wyjrzałam zza futryny. Matka w czerwonym szlafroku krzątała się po kuchni. Jasne włosy miała spięte kłamrą na karku. Stół był już nakryty: talerze, dzbanek z herbatą, filiżanka z parującą kawą, pokrojony chleb, masło, pomidory. Matka pogwizdywała lekko, podsmażając cebulkę z boczkiem. Gdy mnie dostrzegła, pomachała mi jakby nigdy nic, choć musiałam wyglądać co najmniej dziwnie. Emanowała znakomitym humorem. Poruszała się z ogromną gracją, a mnie coś ścisnęło w żołądku, bo pamiętałam te jej dobre nastroje, gdy roznosiła ją energia i mogłaby stawać w szranki z Julie Andrews. Zawsze kończyło się to ogromnym rozczarowaniem, gdy snute w oparach uniesień plany nie wypalały, a za tym szedł natychmiast kieliszek, jakieś prochy, potem kolejny kieliszek.

– Zjesz jajecznicę? – spytała zupełnie normalnym tonem.

Pokręciłam głową.

– Nie jestem głodna. Dobrze się czujesz? Chyba nie powinnaś jeszcze wstawać?

– Dlaczego? – Jej zdziwienie brzmiało zupełnie szczerze. Przyjrzałam jej się z uwagą, ale oprócz roznoszącej ją energii nie zauważyłam tego charakterystycznego napięcia, które sprawiało, że cokolwiek robiła, działała jak oczadziła.

– Bo dopiero co wypisano cię ze szpitala i to w kiepskim stanie? – zaryzykowałam.

– Kiedy ja się już bardzo dobrze czuję. – Uśmiechnęła się. Nałożyła jajecznicę, usiadła przy stole, chwyciła mnie za nadgarstek. – To musiał być cud, bo wczoraj, jak wyszłaś, leżałam tak i czułam, że coś mi siada na piersiach i dusi. Nie spałam, próbowałam cię wołać, ale to dusiło mocniej i mocniej, aż w końcu przez pół nocy nie oddychałam. Tak jakoś nad ranem odeszło! – oświadczyła. – Ot tak sobie! I wszystko jak ręką odjął. Dawno nie czułam się tak dobrze!

Mówiła prawdę, widziałam to w jej oczach, gładkiej cerze, żywych ruchach. Matkę opuściła choroba, wyglądała teraz na znacznie młodszą, niż wskazywałaby metryka. Była też jakby spokojniejsza – a może tylko się łudziłam? Bo gdy sięgałam w głąb zegara, nie zdążyłam dobrać się do jego głowy. We śnie, poprawiłam się. To wszystko było pięknym, a zarazem upiornym snem.

– Ktoś musi porozmawiać z młodą Bacharską. – Z tematu zdrowia matka nagle przeskoczyła na inny. – Znowu to jej dziecko gdzieś się samo kręciło. Może oni ją zaniedbują?

Przez kuchnię przeleciał zimny powiew. Wzdrygnęłam się, potarłam przedramiona. Matka bez pytania nalala mi herbaty.

– Ja naprawdę widziałam tę jej córeczkę w środku nocy. Nie, to już jasno było. Biegła w podskokach ścieżką, chyba prosto z lasu biegła. Wstałam, bo poczułam się lepiej i chciałam rozprostować kości. Małe dziecko samo po wsi o tej porze chodzi? A może lepiej się nie wtrącać... Bo jeśli mi się przywidziało... – Teraz była wyraźnie strapiona.

– Nie – powiedziałam stanowczo i trochę zbyt głośno. – Też ją widziałam, jak się kręci w nocy gdzieś tu blisko. Nie przywidziało ci się, ale myślę, że to nie nasza sprawa. Łazi sobie, to niech łazi.

– Masz rację. Niech się Mirka o nią martwi.

– Niech się martwi.

Sięgnęłam po jajecznicę, czując, że żołądek przysysa mi się do kręgosłupa. Dziwny ciężar, który dusił mnie gdzieś tam w środku, zniknął, zastąpiony zwykłym ludzkim głodem. Śniadanie, herbata, długi spacer. To były moje priorytety na teraz. Matka, sklep, to wszystko z kolei musiało jeszcze chwilę poczekać. Potrzebowałam chwili wytchnienia. I przechadzki, choć niekoniecznie w to miejsce, o którym myślałam, bo nie byłam pewna, co tak naprawdę chciałabym tam zobaczyć. Zwykle pole Bacharskich czy wyrastające z ziemi smukłe trumny zegarowe?

Matka obserwowała mnie od dłuższego czasu. Gdy nasze oczy się spotkały, zauważyła wesoło:

– I widzę, że już ci kłopoty ze snem chyba minęły. Spałaś dzisiaj jak suseł prawie osiem godzin!

7.

Nie udało mi się wyjaśnić ani zrozumieć większości rzeczy, jakie miały miejsce przez tych kilka dni. Pozostałam z mętlikiem w głowie i wieloma pytaniami bez odpowiedzi, które musiałam zastąpić domysłami.

Bo nie zdarzył się żaden cud.

Tamtego poranka po raz pierwszy od bardzo dawna przespałam osiem godzin, ale jeśli miałam nadzieję, że zostałam cudownie uleczona, to sprawdziło się to tylko częściowo. Od tamtej pory sypiam różnie – czasami cztery godziny, czasami osiem, innym razem znacznie dłużej, ale z przerwami. Skąd ta nieregularność, nie mam pojęcia.. Zakładam, że musiało to być jakoś powiązane z tamtą nocą na cmentarzysku zegarów – nie wierzę w zbiegi okoliczności – ale w jaki sposób miało mi to pomóc, nie wiem.

Nie mam też pojęcia, kim była ta kobieta, która prowadziła mnie kiedyś na pole, a zakładam, że matka mówiła prawdę i rzeczywiście ją widziała. Próbowałam o to podpytać, ale stanowczo ucięła ten temat i już nigdy do niego nie wróciła. I choć czułam, że obie doskonale wiemy, że istnieje coś poza znanym nam światem rzeczywistym, to żadna z nas nie poznała go całkowicie. Miałyśmy szansę do niego zajrzeć – nie wiem, w jakim stopniu matka – ale zawarłyśmy pakt milczenia.

Zostałam u niej jeszcze przez trzy dni; obserwowałam ją uważnie, ale wydawała się zupełnie zdrowa. Była też dziwnie wyciszona, co najpierw mnie zaniepokoiło, ale po dłuższej obserwacji dało do myślenia. Po raz

pierwszy w życiu zachowywała się normalnie. Dla kogoś przyzwyczajonego od dziecka do życia z humorzastą i pełną temperamentu matką oraz jej bagażem pretensji, pouczeń, proszków i procentów było to dziwne doświadczenie, zupełnie jakby w domu zamieszkał obcy. To jednak oznaczało dla mnie możliwość powrotu do siebie bez obaw o jej zdrowie czy życie. Taka jak teraz była w stanie doskonale się sobą zająć.

W wieczór przed wyjazdem wróciłam na pole zegarów. Nie jestem pewna, czy szłam tam z nadzieją, że je znów ujrzę, czy wręcz przeciwnie. I nie wiem, czy patrząc na zwyczajne pole Bacharskich, odczułam ulgę czy rozczarowanie. Może i lepiej, że nie mogłam już tam wrócić? Bo im mniej niepokoiłam się o matkę, tym gorsze emocje zaczynały brać we mnie górę. Dopiero teraz dotarło do mnie, że Klaudia mnie oszukała, wykorzystała i okradła. Uważałam ją za prawdziwą przyjaciółkę, nie wiedząc, że jestem dla niej tylko dojną krową. A może to był tylko impuls, może uległa pokusie, nie planując wcześniej kradzieży? Im częściej o niej myślałam, tym większa wzbierała we mnie nienawiść. Stopniowo przechodziłam od fantazji, jak bardzo chciałabym ją uderzyć, do chłodnej pasji, kiedy chciałabym jej zadać ból, skrzywdzić ją i obserwować, jak się miota. Nie poznawałam sama siebie. W tych myślach i życzeniach wyszłam bardzo daleko poza obręb zwyczajnego człowieczeństwa i czułam czasem, że jestem sobie obca. Nie przeszkadzało mi to; w sumie podobała mi się ta zmiana.

Coś mi mówiło, że gdyby nie nadszedł czas, mogłabym przejść się po cmentarzysku, dojść nawet gdzieś za horyzont, i znaleźć zegar Klaudii, a następnie go wybebeszyć. Wiedziałam przecież, jak zbudowany jest zegar, znałam i rozumiałam każdą jego śrubkę, podobnie jak Alicja. Ta mała zegarmistrzyni wprowadziła mnie do swego świata, ale po co? Na to pytanie nie umiałam znaleźć odpowiedzi. Czułam tylko, że był w tym jakiś zamysł.

Nadal miotam się w tym wszystkim, za dnia starając się ogarnąć życie, pracę i finanse, by nie stracić mieszkania i nie popaść w długi. Wieczory są jednak tylko dla mnie. O tej porze siadam i otwieram gablotki, szuflady, te wszystkie miejsca, w których trzymam swoje skarby. Guinoty, Tissoty, Piguety. Zbierane od lat, pielęgnowane jak żadne inne. Codziennie robię przegląd, wyjmuję każdy z nich, otwieram go, wsłuchuję się w bicie maleńkiego serduszka. Zawsze usłyszę, gdy któryś z nich jest chory, gdy dusi się, dyszy, kaszle albo zgrzyta, i zawsze wiem, jak go wyleczyć. Wysłucham każdej skargi i opłaczę każdy umierający mechanizm.

Byłam zegarmistrzynią, choć tego nie pamiętam. To jedyne logiczne wyjaśnienie. Wciąż jednak jest więcej pytań niż odpowiedzi. Skąd wzięły się paranormalne zdolności mojej matki, nie takie znowu wielkie, i możliwe, że to był jednak przypadek? A może lata temu sama przekraczała granice dwóch światów i wchodziła na zegarowe pole? Może to zostawiło w niej jakąś cząstkę tamtego świata?

Tyłu rzeczy nadal nie pojmuję. Pamiętam jednak ten charakterystyczny zapach, który czułam, zanim z Alicją ruszyliśmy na cmentarzysko. Zdarza się, że powraca, i nie myślę go z żadnym innym. Wtedy rozglądam się, szukam przejścia, bo wiem, że ono gdzieś niedaleko właśnie się otwiera. Póki co nie natrafiłam na żadne, ale mam nadzieję, że kiedyś wreszcie mi się to uda. Czy to dobrze? W sumie jestem pewna, że nie. Bo gdy po raz kolejny wejdem na zegarowe pole, otrzymam znów władzę nad życiem i śmiercią, a powoli staję się kimś, dla kogo lepiej, by takiej władzy nie posiadał.

Nie będę pisać, czy lubię Kinga, czy nie, bo skoro zdecydowałam się wziąć udział w tej antologii, jest oczywiste, że go lubię. Zastanawiałam się jednak, czy będę w stanie napisać kingowski tekst, bo co oznacza „kingowski”? Zdecydowałam więc wziąć jako motyw przewodni to, co dla mnie jest u Kinga najlepsze, czyli klimat. King pisze amerykańską prowincję tak, że „widać, słyszać i czuć”.

Dlatego „Zegarmistrzyni” opowiada historię prowincji, tyle że nie tej z za oceanu, a naszej, polskiej. Ja się na takiej właśnie prowincji urodziłam i wychowałam, spędziłam tu prawie całe swoje życie. Wieś z opowiadania nie jest tym samym miejscem, raczej zlepkiem tych wszystkich wsi i miasteczek, w których kiedyś bywałam lub przez które przejeżdżałam. Ale istnieje mały gaj i wiodąca przezeń ścieżka, którą dochodzi się do pola, gdzie bohaterce Zegarmistrzyni wydaje się, że widzi pionowo ustawione trumny.

Taka wieś to nieograniczone pole do popisu dla wyobraźni. Pamiętam świetnie pole koło mojego bloku, na które chadzało się pograć w piłkę albo porzucać do kosza, tuż koło stacji Trafo. Trafo zniknęło jakoś w zeszłym roku, a tak fajnie się koło niego przechodziło za dziecka, z lekkim dreszczykiem, bo dorośli ostrzegali, aby tam się nie zbliżać i nie dotykać, bo tam jest PRAĆ! Na polu postawiono dwa duże domy z ogródkami i teraz mamy nowych sąsiadów, którzy pewnie patrzą na przechodniów z za szpaleru tui. Kawalek dalej na skraju piaszczystej drogi stał dystrybutor paliwa, toć dawniej w tym miejscu był PGR. Teraz już go nie ma, a szkoda, bo wiele lat temu

wyobrażałam sobie, że nocą podjeżdżają tam samochody, które jadą nie wiadomo skąd i nie wolno pytać dokąd. Moje pierwsze nieśmiałe horrory powstawały nocami, kiedy zza okna dobiegało pohukiwanie sowy bądź cykanie świerszczy, a w oddali, za stawami, gwizdał przejeżdżający pociąg.

Chcę przemycić te swoje wspomnienia w tekstach, tak jak King przemycił w swoich amerykańską prowincję. Nie wiem, na ile mój tekst jest kingowski, a na ile kwiatkowski, ale dawno nie miałam takiej frajdy z pisania, jak właśnie przy nim. W końcu na polskiej prowincji też czają się demony, choć takie bardziej swojskie. A wieś kryje różne tajemnice – na strychach, w piwnicach, nawet w rzece może spać coś złego. Czasami bezpieczniej jest ich nie szukać, odejść, zostawić w spokoju. Za to można bezkarnie hulać w wyobraźni.

– Agnieszka Kwiatkowska

KACPER KOTULAK

Okołoolsztynianin z rocznika '91, geodeta z głową w kosmosie u progu kariery naukowej, miłośnik fantastyki w niemal wszystkich jej przejawach oraz muzyki rockowej w pojęciu możliwie najszerszym, ale ze szczególnym wskazaniem na brytyjskie zespoły heavymetalowe założone w ostatnim tygodniu 1975 roku. Można go spotkać w warmińskich lasach oraz antologiach *Toystories* (Morpho, 2014), *Małe Problemy Wielkich Bohaterów* (Craais, 2014), *Pokłosie* (Gmork, 2015) oraz *City 4* (Forma, 2018). Pomysłodawca i współautor *Iron Tales*, literackiej składanki w hołdzie Iron Maiden (Gmork, 2017). Autor pierwszej polskiej książki fantastycznonaukowej o hot-dogach (Gmork, 2019).

Full Plastic Jacket

– Jimmy, Frankie! – Stanowczy krzyk oderwał chłopców od telewizora, co samo w sobie było niemałym wyczynem. Stawili się posłusznie w przedpokoju, gdzie ojciec podskakiwał śmiesznie na jednej nodze.

– Chłopcy, ile razy wam powtarzałem, żebyście nie rozrzucali klocków po całym domu?!

– Ale my nie... – zaczął Frankie.

– Tak, wiem, że wy nie. Wy nigdy nie. A klocki to pewnie same rozłożą się po korytarzu?

* * *

Życie nie jest łatwe, kiedy jest się wykonanym z plastiku i to w skali 1:72. Pułkownik Courage wiedział o tym aż za dobrze, jednak takie głupoty nie mogły go złamać – był żołnierzem z najtwardszego plastiku. To znaczy, tak naprawdę był zrobiony z całkiem zwyczajnego polistyrenu, ale za to miał ducha godnego wojaka z najczystszej ołowiu. Wojna, którą armia ze strychu od lat prowadziła z klockami LEGO z pokoju Jimmy’ego i Frankiego, była wodą na młyn pułkownika Courage’a.

Stał właśnie na swoim stanowisku dowodzenia, zlokalizowanym na starym pudle po telewizorze, i obserwował strych. Nie miał właściwie większego wyboru z powodu lornetki przytwierdzonej na stałe do twarzy. Poza tym musiał być czujny, bo w każdej chwili mógł się spodziewać podstępного ataku ze strony pułkownika Strooma, czy raczej tego zdradzieckiego, francuskiego skurwiela – jak zwykł tytułować nienawidzonego wroga. Pułkownik Stroom pochodził z innego zestawu, miał szablę, twarz wolną od lornetki i mundur szeregowca piechoty liniowej z armii Napoleona. Courage przeklinał dzień, kiedy Johnny, głupi dzieciak sąsiadów, awansował Strooma na pułkownika armii Stanów Zjednoczonych. Szczerze nienawidził dwóch typów ludzi: zdrajców i Francuzów, a Stroom w jego oczach podpadał pod jedno i drugie. Courage wysyłał nawet w tej sprawie regularne donosy do dowództwa, nic jednak

nie udało mu się osiągnąć, ponieważ całe towarzystwo zostało kilka lat temu zezarte przez psa sąsiadów. W sztabie pozostał tylko sierżant Gloome, który i tak był przez cały czas zbyt zajęty swoją plastikową bazooką, by czytać donosy oburzonego oficera.

– Panie pułkowniku – wysapał porucznik Kraust, który właśnie pojawił się na pudle po telewizorze.

– Co tam, Kraust? – Pułkownik odwrócił się twarzą do porucznika. Kraust pełnił funkcję jego adiutanta, miał plastikowy pistolet maszynowy i był ciężkim kretynem. Został wybrany tylko dlatego, że jako jeden z nielicznych miał jedną rękę wolną i mógł w chwilach triumfu wkładać dowódcy cygaro w usta. Pułkownik nieustannie żałował tego wyboru. Z wielką chęcią wyrzuciłby porucznika na zbity pysk, ale robiąc to, przyznałby się do błędu. Błędy nie były czymś, do czego pułkownik Courage był gotów się przyznać. Pocieszała go tylko myśl, że na wojnie praktycznie każdy może zginąć w dowolnej chwili. Niestety, żołnierze nieustannie ginęli, rozdeptywani przez „RODZICÓW” albo wciągani przez odkurzacza, a Kraust uparcie drażnił pułkownika swoją głupotą i bezczelnym utrzymywaniem się przy życiu.

– Panie pułkowniku, ma pan coś na twarzy.

– Kraust...

– Nie, nie krostę.

– Kraust... – westchnął Courage, nie odrywając plastikowej lornetki od plastikowej twarzy. – Jesteście największym kretynem na całym Strychu.

– Tak jest, panie pułkowniku. Przepraszam, panie pułkowniku. Ale to naprawdę nie wygląda dobrze.

– Kraust, to jest lornetka, do cholery. Mam ją przy twarzy, odkąd mnie wyprodukowali.

– Naprawdę? Nigdy nie zauważyłem.

– Uwierzcie mi na słowo, dobrze? – mruknął pułkownik, który już wyżej plastikowych uszu miał dyskusji o tej przeklętej lornetce. – Chcieliście mi chyba o czymś zameldować?

– A, tak, tak, przepraszam, panie pułkowniku, oczywiście... Ale nie jest panu czasem niewygodnie z tą...?

– Kraust!

– Przepraszam, panie pułkowniku. Jeśli chodzi o akcję dywersyjną pod kryptonimem „podkładanie klocka”, to wszystko przebiegło dokładnie tak, jak pan pułkownik przewidział.

Courage uśmiechnął się... To znaczy uśmiechnąłby się, gdyby nie to, że jego plastikowa twarz potrafiła wyrażać tylko te emocje, które były bezpośrednio związane z przyklepioną do niej lornetką. Czyli żadne.

– Kto? – zapytał podekscytowany.

– Obiekt „TATA”. Wychodząc spod prysznic, nadepnął bosą stopą na ośmiowypustkową cegielkę przeciwpiechotną.

– Ośmiowypustkową – Pułkownik mruknął z zadowoleniem. – Taak... po takim czymś na pewno zabiorą dzieciakom te przekłete, duńskie klocki. Przynajmniej na tydzień. Wspaniały sukces. Niech tylko ten skurwiel, Stroom, się o tym dowie! – Pułkownik Courage zachichotał pod lornetką. – Szlag go trafi! Kraust, włóżcie mi cygaro do ust.

– Panie pułkowniku – zameldował sierżant Pepper z grupy wywiadowczej, który nie wiadomo kiedy i skąd pojawił się w punkcie dowodzenia. Sierżant Pepper zawsze pojawiał się nie wiadomo kiedy i skąd, co czyniło go idealnym żołnierzem grupy wywiadowczej i przy okazji bardzo denerwującym typem.

– Co tam, Pepper? Meldujcie – rzucił Courage, gryząc z zadowoleniem cygaro zrobione ze skrawka papieru pakowego. Nigdy nie palił swoich cygar, ponieważ jedyna na całym strychu zapalniczka była pusta jak głowa porucznika Krausta. Pułkownikowi wystarczał sam fakt gryzienia z zadowoleniem cygara. Uważał, że to mu przydaje dostojności.

– Udało się, panie pułkowniku – oznajmił uradowany sierżant Pepper. – Jimmy i Frankie dostali szlaban na całe dwa miesiące. Przekłete LEGO zostaną zamknięte w szafie. Nareszcie dostaną za swoje! – Sierżant Pepper był dobrotliwym i całkowicie nieszkodliwym głupkiem, który pałał czystą nienawiścią do klocków LEGO. Wydział propagandy wojennej mógł być z siebie dumny. Sierżant Pepper ślepo wierzył we wszystkie brednie, jakie tylko wymyślili. Nawet w te o opanowywaniu dziecięcych umysłów przez Czarnoksiężnika LEGO.

– Wiedziałem, że obiekt „TATA” nieźle się wkurzy, ale żeby aż tak... – Pułkownik Courage był pod wielkim wrażeniem swojego geniuszu.

– Przepraszam, panie pułkowniku – wtrącił sierżant Pepper – ale to nie obiekt „TATA” zarządził szlaban.

– Jak to? To „MAMA” też nadepnęła na klocek?

– Nie. „MAMA” znalazła w kołysce obiektu „EMILY” klocki, które podrzucił oddział desantowy pułkownika Strooma. Zdenerwowała się, że „EMILY” mogłaby połączyć klocki i zrobić sobie krzywdę. Pułkownik Stroom ułożył

wspaniały plan. To naprawdę piękne zwycięstwo nad tymi parszywymi klockami.

– Stroom! – krzyknął pułkownik Courage, aż cygaro wypadło mu z ust. – Ty zdradziecki, francuski skurwielu! – Był naprawdę wściekły. Był wściekły na Strooma, że wpadł na ten pomysł, na siebie, że nie wpadł na ten pomysł, na lornetkę, że nie mógł oderwać jej od twarzy, na dowództwo, że zamiast postawić Strooma przed sądem wojennym, dało się zeznać psu sąsiadów, na porucznika Krausta, że był kretynem, na sierżanta Peppera, że był dobrotliwym i całkowicie nieszkodliwym głupkiem i w ogóle na wszystko i za wszystko. Tak naprawdę guzik go obchodziły klocki LEGO z pokoju chłopców. Bujdy o potrzebie stawienia czoła duńskiemu oprawcy, które z uporem maniaka wymyślał wydział propagandy, spływały po nim jak woda po kaczce. W istocie interesowała go tylko wojna, będąca świetnym pretekstem do odnoszenia kolejnych zwycięstw nad pułkownikiem Stroomem i podejmowania niezliczonych prób postawienia go przed sądem wojennym. Tym razem jednak Stroom przeciągnął strunę. Nie dość, że był zdradzieckim, francuskim skurwielem, to jeszcze ułożył lepszy plan.

* * *

Pułkownik Courage stał przy klapie wejściowej i nie mógł nadziwić się swojemu geniuszowi. Przed nim, na krawędzi otworu, prowadzącego do przedpokoju, stał Ed – nadgryziony przez mole, stary koń na biegunach. Courage postanowił przeprowadzić podstępny atak, stosując najstarszą sztuczkę wojskową w historii sztuczek wojskowych i zadać klockom LEGO – oraz pułkownikowi Stroomowi – cios, po którym długo się nie podniosą. Żołnierze z obsługi technicznej właśnie kończyli wyciągać z Eda pakuły, robiąc miejsce dla oddziału desantowego.

– Chłopcy – przemówił pułkownik do swojego doborowego oddziału, ustawionego w idealnym szeregu – w końcu nadszedł dzień, na który wszyscy czekaliśmy.

– Panie pułkowniku – szepnął porucznik Kraust, bardzo czymś zdenerwowany. – Przepraszam, ale ma pan coś na twarzy. To naprawdę...

– Kraust, stulcie ten swój głupi, plastikowy pysk – syknął Courage. – Na czym to ja...? A, tak. Dzień, w którym w końcu położymy kres zuchwałym poczynaniom parszywych klocków LEGO i pokażemy Stroomowi, kto tu jest zdradzieckim, francuskim skurwielem. Właśnie wybiła godzina „Z”...

– Panie pułkowniku – szepnął znowu porucznik Kraust – melduję, że jest piętnaście minut po północy.

– Co?

– Mówię, że jest piętnaście po północy, a nie żadne „Z”...

Pułkownik postanowił zignorować porucznika Krausta i jego niewyobrażalną głupotę.

– ...godzina „Z” jak „Zwycięstwo”! Na koń, chłopcy! Pokażemy tym Francuzom, gdzie skurwiele zimują!

– Chwila, chwila, chłopaki! – krzyknął Ed, gdy już cały oddział wraz z pułkownikiem Couragem usadowił się w jego wnętrzu. – A jak właściwie zamierzacie przetransportować nas na dół?

– Do ataku! – wrzasnął pułkownik.

Stara kula do kręgli, pchnięta przez grupę obsługi technicznej, potoczyła się i uderzyła w bieguny Eda.

* * *

Nieludzki rumor zerwał na nogi cały dom. Dzieła dopełniła Emily, wydzierając się wniebogłosy.

– Andrew – szepnęła przestraszona mama – idź to sprawdzić, może to włamywacz.

Tata westchnął ciężko, wstał, zarzucił na siebie szlafrok i wyszedł z sypialni.

– Susan! – zawołał po chwili. – Chodź, musisz to zobaczyć.

Kłapa na strych była otwarta. Na podłodze leżał stary, nadzarty przez mole koń na bieżunach, a wokół niego wałały się porzucane pakuły i stare plastikowe żołnierzyki chłopców.

– A dzisiaj rano wysprzątałam cały przedpokój na błysk. – Mama załamała ręce. – Idę do Emily – rzuciła do męża – a ty posprzątaj ten bajzel. I wywal tego starego konia na śmietnik. Zobacz, mole go tak pożarły, że aż się z niego sypie.

Tata westchnął, chwycił Eda i poszedł do kuchni po zmiotkę.

* * *

– Panie pułkowniku, panie pułkowniku!

Courage otworzył oczy. Leżał na czymś, co przypominało obierki ziemniaków. Pochylała się nad nim kretyńska plastikowa twarz porucznika

Krausta. Coś w jego genialnym planie musiało pójść nie tak. Misja najwyraźniej nie do końca się udała, a na dodatek porucznikowi Kraustowi nie stało się nic złego.

– Kraust...? Aj, moja głowa... Co się stało?

– Ma pan coś na twarzy, panie pułkowniku. Nie wygląda to dobrze...

– Kraust... – Pułkownika zdecydowanie za mocno bolała głowa, żeby był w stanie znosić bezlitosną tępotę adiutanta. – Co wam mówiłem o waszym głupim, plastikowym pysku?

Porucznik Kraust zamyślił się.

– Żebym go stulił, panie pułkowniku?

– Brawo, Kraust. Może byście się zastosowali? Dobra. Więc jak wygląda sytuacja?

– Mmm mmmm – wymamrotał porucznik.

– Co?

– Mówiłem, że nie mogę powiedzieć, bo pan pułkownik kazał mi stulić pysk.

– Kraust... – westchnął ciężko pułkownik. – Mówiłem wam już, że jesteście największym kretynem na całym Strychu?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł porucznik Kraust, bardzo z siebie zadowolony.

– Więc mówcie. Ale ani słóweczka o mojej twarzy.

– No więc... Plan pana pułkownika tak jakby nie do końca się udał.

– Jak to? Przecież to sprawdzona sztuczka. Nie byli zaskoczeni?

– „RODZICE” na pewno. Tak wyrznęliśmy o podłogę, że wszystkich pobudziliśmy. „TATA” zabrał Eda i prawdopodobnie wyrzucił go na śmietnik. Potem zmiotł nas i wyniósł tutaj, do kuchni. Znajdujemy się obecnie w koszu na śmieci. Los co najmniej połowy oddziału jest nieznany.

– Panie pułkowniku – wtrącił się sierżant Pepper, który zwyczajowo pojawił się nie wiadomo kiedy i skąd. – Melduję, iż ustaliliśmy, że kosz, w którym się znajdujemy, jest pełny.

– I co z tego? – warknął pułkownik, nie mogąc przeboleć klęski swego geniuszu.

– To oznacza, że powinniśmy jak najszybciej uciekać, bo rano „TATA” wyniesie nas do śmietnika przed domem.

– Dobrze, Pepper. Idźcie więc zebrać żołnierzy – mruknął pułkownik. Nagle w jego głowie zaświtał kolejny genialny pomysł. – I weźcie ze sobą porucznika Krausta.

* * *

Courage, korzystając z chwili nieobecności porucznika Krausta i jego głupoty, starannie lustrował rozległe, oświetlone bladym blaskiem księżyca równiny kuchennego linoleum. Lornetka w końcu przydała się do czegoś poza wypatrywaniem zdradzieckich ataków pułkownika Strooma.

Czekało ich nie lada wyzwanie. Musieli przebyć całą kuchnię, dostać się po schodach na piętro, a potem jeszcze znaleźć sposób, żeby wdrapać się na strych. I to wszystko zanim obudzą się domownicy...

Cztery godziny później oddział pułkownika Courage'a był w połowie kuchni. Brakowało tylko sierżanta Peppera, który zniknął nie wiadomo kiedy i gdzie. Niestety, nie brakowało porucznika Krausta, który – ku rozpaczy Courage'a – wcale nie zleciał z kosza na śmieci i nie rozbił się o podłogę. Nagle z oddali dobiegł dziwny szum, a po chwili w drzwiach kuchni pojawiło się coś o bardzo charakterystycznym kształcie. Pułkownik dobrze znał ten kształt. Był to stary, do tej pory zepsuty, zdalnie sterowany samochód, jedna z najstarszych zabawek na strychu. Samochód zatrzymał się o cal przed porucznikiem Kraustem, którego pułkownik Courage jak zwykle wysłał przodem w roli mięsa armatniego. Z dziury w plastikowej karoserii wyskoczył pułkownik Stroom.

– Witam, pułkowniku Courage! – zawołał wesoło. – Przybywam z misją ratunkową.

– P-przecież on był zepsuty. – Pułkownik Courage nie wiedział, czy bardziej powinien być oburzony bezczelną zuchwałością Strooma, czy faktem, że udało mu się uruchomić samochód. To wszystko zakrawało na zdradę, a przynajmniej na bycie Francuzem.

– Wcale nie. Okazało się, że po prostu nie miał baterii. – Stroom uśmiechnął się niewinnie, jednak Courage wiedział, że pod tym uśmiezkiem kryje się zdradziecki, francuski skurwiel. – Pozwoliłem sobie pożyczyć baterię z latarki pana pułkownika.

Courage nic nie powiedział. Pozieleniałby ze wściekłości, gdyby nie to, że z natury był cały zielony. Stroom tym razem naprawdę przegiął.

– Niech się pan nie denerwuje, pułkowniku. W końcu chodziło o to, żeby ratować pana i pańskich ludzi. Chodźmy, sam się pan przekona, jak to cacko śmiga.

– Spieprzaj, Stroom, nigdzie z tobą nie idę.

– Niech pan się ze mną nie droczy, pułkowniku Courage. – Pułkownik roześmiał się. – Pańscy ludzie już zajęli miejsca.

– Co? Gdzie? Kraust, gdzie jesteś, do cholery?

– Tutaj jestem, panie pułkowniku. – Porucznik Kraust pomachał do dowódcy z samochodu Strooma.

– Kraust! Wracaj tu, ty cholerny, zdraдлиwy bydlaku!

– Panie pułkowniku, niech pan wsiada – krzyknął adiutant. – Zająłem panu miejsce przy oknie.

– Gratuluję, Stroom. Udało ci się przekabacić moich chłopców, ale nie myśl sobie, że ze mną pójdziesz ci tak łatwo.

Stroom westchnął ciężko i dał znak swoim podwładnym. Dwie pary plastikowych rąk chwyciły pułkownika Courage'a i umieściły w samochodzie.

* * *

– Andrew, trochę się martwię – powiedziała mama.

– Tak? Czym? – zapytał tata, nie odrywając wzroku od gazety.

– Nie wiem, czy to był dobry pomysł, żeby kupować chłopcom to PlayStation. Te gry są bardzo brutalne.

– Przesadzasz, Susan. Kiedyś wszyscy twierdzili, że kreskówki źle działają na dzieciaki, a przecież wyrośliśmy na całkiem normalnych ludzi.

– Może masz rację... – Mama zapatrzyła się w okno. – Słuchaj, Andrew...

– Hmm? – mruknął tata.

– A może byś wyniósł na strych klocki LEGO? Tylko zawalają szafę, a chłopcy się nimi i tak nie bawią.

– Dobrze, wyniosę je zaraz po śniadaniu – powiedział tata, pociągając łyk kawy.

– O, cholera – szepnął ukryty za futryną sierżant Pepper.

* * *

Pułkownik Courage stał na swoim pudle po telewizorze i lustrował okolicę.

– Panie pułkowniku! Panie pułkowniku! – Rozległ się głos porucznika Pimpusia. Porucznik Pimpuś był smokiem LEGO i pełnił funkcję adiutanta pułkownika Courage'a od czasu zawarcia sojuszu między plastikowymi żołnierzami i klockami LEGO. Courage nie posiadał się z radości, gdy

okazało się, że dobre stosunki z nowym sprzymierzeńcem wymagają od niego, by wyrzucił na zbity pysk porucznika Krausta i przyjął jednego z ludzi LEGO. Porucznik Pimpuś, choć może nieco zbyt duży i zbyt... smoczy na adiutanta, nie był przynajmniej beznadziejnym kretynem. Courage podejrzewał go za to o fałszowanie meldunków oraz skłonności pacyfistyczne, co w jego osobistym słowniku oznaczało coś pomiędzy Francuzem, zdrajcą i pułkownikiem Stroomem.

– Panie pułkowniku! Melduję, że chłopcy dostali nową grę na PlayStation. Nasz wywiad twierdzi, że jest jeszcze gorsza od poprzedniej.

– Tak, tak. Dziękuję. Dobrze się spisaliście – mruknął na odczepnego Courage, z rozkoszą lekceważąc każde słowo adiutanta. Miał w tej chwili ważniejsze rzeczy na głowie od wysłuchiwanie zafałszowanych meldunków porucznika Pimpusia – musiał wypatrywać zdradzieckich ataków pułkownika Strooma.

Przystanek Poprzeczna

Mówią, że miasta są jak żywe organizmy. Po ich ulicznych krwiobiegach krążą żółto-zielone, nieco posapujące autobusowe krwinki, przewożące życiodajny ludzki tlen z płuc przedmieść do narządów funkcjonalnych bliżej centrum i z powrotem. I tak miasta toczą swój żywot z dobowym cyklem oddechowym podtrzymywanym przez komunikację publiczną. Co jednak, gdy miasto jest trawione nowotworem ludzkiej podłości? W takiej sytuacji można trafić do miejsca, do którego wcale nie ma ochoty się trafić. I nie trzeba wcale być złym człowiekiem. Czasami wystarczy wsiąść do niewłaściwego autobusu. Prawdopodobnie każdemu z was zdarzyło się kiedyś coś podobnego. Zapewne naprawiliście pomyłkę kosztem jednego, dwóch biletów, ewentualnie kilku minut spóźnienia. Nie wszyscy mają tyle szczęścia...

Artur tego dnia wracał z pracy później i jeszcze bardziej styрани niż zwykle. W laboratorium wybuchł pożar. Pał sześć gaszenie i sprzątanie całego bajzlu, ale pół roku hodowania próbek poszło psu pod ogon.

Opadł bez sił na plastikową ławkę, nie sprawdzając, a tylko modląc się w duchu, by nie była mokra po ostatnich deszczach. Po całym tym zawoszonym dniu brakowało tylko przemoczonych spodni. Odetchnął z ulgą, nie czując wilgoci przesączającej się przez materiał. Zerknął na zegarek. Do następnego autobusu zostało jeszcze prawie dziesięć minut. Wyciągnął z plecaka słuchawki i jakiś skandynawski kryminał autorstwa człowieka o trudno wymawialnym nazwisku, kupiony rano w kiosku pod domem. Wsadził słuchawki do uszu i zagłębił się w lekturze przy akompaniamencie dinozaurów rocka z lat siedemdziesiątych.

Ledwo zorientował się, gdy autobus z przeraźliwym piskiem zaniedbanych hamulców zatrzymał się na przystanku – jak zwykle na samym końcu niedorzecznie długiej wysepki zdolnej pomieścić ze trzy i pół przegubowca. Laborant-bibliofil zatrzasnął książkę, rzucając się ku pneumatycznym drzwiom. Wskoczył do środka i zajawszy pierwsze lepsze wolne siedzenie, przystąpił do poszukiwania zagubionego fragmentu powieści.

Pół rozdziału później, gdy inspektor Henrikssen odkrył kolejne zwłoki, Artur odkrył, że z pojazdem jest coś nie tak. A raczej trasą, którą autobus powinien podążać, a niekoniecznie podążał.. Mężczyzna poderwał głowę, by spojrzeć na tablicę z numerem. Zmełł pod nosem przekleństwo. Piękny dzień, nie ma co. Ale przynajmniej spodnie miał suche – pocieszył się w duchu. Trudno, wysiądzie na następnym przystanku i jakoś naprawi pomyłkę. Rozejrzył się. Naprzeciwko, na miejscu tyłem do kierunku jazdy, siedział starszy mężczyzna. Czyżby właśnie uśmiechnął się do niego smutno? Może... Zresztą nieważne.

Na wszelki wypadek Artur schował książkę do plecaka i wlepił wzrok w okno. Nie miał zamiaru dać się wywieźć nie wiadomo gdzie. Nawet nie zauważył, jak głowa opadła mu na pierś. Zorientował się, że zasnął, dopiero kiedy autobus z jękiem zatrzymał się na przystanku.

Złapał plecak i wybiegł na zewnątrz. Gdy pojazd odjechał, Artur uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Stał pod wiatą zbudowaną z żółtych, nadpleśniałych dyktowych płyt.

Spojrzał na tabliczkę z rozkładem jazdy. „Przystanek Poprzeczna”? Nigdy nie słyszał o takiej ulicy. Ale właściwie nie był zapalonym turystą. Niestety, na tym przystanku zatrzymywały się autobusy tylko jednej linii, a przystanku w drugą stronę nigdzie nie było widać.

Co gorsza, pogoda wyraźnie się popsowała. Gdy wsiadał do autobusu, było późne, lecz słoneczne popołudnie. Teraz nie dało się nawet zidentyfikować pory dnia. Niebo zasnuwała ciemna, zwarta kotara chmur. Ponura aura sprawiała, że zapuszczone ogródki działkowe za przystankiem wyglądały jeszcze bardziej odpychająco niż zwykle zapuszczone ogródki działkowe, a las po drugiej stronie drogi zdawał się wręcz krzyczyć, że lepiej do niego nie wchodzić.

Chłopak spojrzał wzdłuż drogi. Z jednego końca asfalt nikał za zakrętem, na drugim rysowała się stacja benzynowa z żółtą, obłożoną z farby tablicą informacyjną. Ruszył w tamtym kierunku. Cepeen okazał się zamknięty na cztery spusty. Artur, idąc dalej, po lewej niezmiennie mijał ponure ostępy lasu. Z prawej natomiast kilka starych, betonowych i osypujących się bloków z oknami pozabijanymi deskami. Musiał być gdzieś na dalekich przedmieściach po północnej stronie miasta.

Nareszcie w oddali zamajaczyła żółta wiata. Serce zabiło mu żywiej, jednak przyspieszone tętno nabrało pełnego niepokoju charakteru, gdy uświadomił sobie, że idzie wzdłuż opuszczonych ogródków działkowych.

To był ten sam przystanek! Przystanek Poprzeczna! Jakimś cudem zatoczył kółko. Tyle że nie było żadnej innej drogi, więc jak przyjechał tu autobus? Jedyna nadzieja, że skoro przyjechał raz, przyjedzie drugi. Następne kilka nerwowych minut Artur spędził, na przemian siadając i wstając z ławki. W końcu empek raczył się pojawić. Chłopakowi niespecjalnie ulżyło. Wciąż był nie wiadomo gdzie i jechał w nieznanym, ale z pewnością niewłaściwym kierunku. Tym razem usiadł tuż przy drzwiach. Czyżby po drugiej stronie, na siedzeniu tyłem do kierunku jazdy, tkwił ten sam starszy jegomość, co poprzednio? Nie, to przecież niemożliwe. Tamten dziadek na pewno dojechał już do domu, a zmęczony nadmiarem wrażeń umysł Artura najwyraźniej płątał głupie figle.

Mimo że Poprzeczna wydawała się pętlą bez wyjścia, za autobusową szybą zaraz pojawiła się bardziej znajoma okolica. Artur poczuł, jak ciepło ulgi rozlewa się po jego wnętrzościach. Wciąż był daleko od domu, ale teraz przynajmniej wiedział, jak tam dotrzeć. Wystarczyło wysiąść na najbliższym przystanku. Jednak kiedy autobus zatrzymał się, a chłopak wystartował do drzwi, te zamknęły się, zanim do nich dotarł, a pojazd ruszył dalej. Zupełnie jakby kierowca rozmyślnie nie chciał go wypuścić.

– Halo! Poczekaj pan, wysiadam! – krzyknął Artur, ale bez rezultatu. Skoczył w stronę kabiny.

– Żarty pan sobie stroi?

Nie doczekał się odpowiedzi. Zastukał w szybę – również bez efektu. Tamten ścisnął tylko kierownicę, gapiąc się bezmyślnie w dal. Jakby był jakimś cholernym zombie. Tuż nad jego głową podrygiwała tabliczka zabraniająca rozmowy w czasie jazdy. Pięknie. Zombie zakłęte zakazem rozmawiania z pasażerami.

Teraz Artur już nawet nie siadał. Czatował tuż przy drzwiach, lecz sytuacja powtarzała się na każdym kolejnym przystanku. Coś tu zdecydowanie było nie tak. Przez myśl przeszło mu nawet, żeby skorzystać z młotka, do użycia którego w awaryjnych sytuacjach zachęcały naklejki na szybach. Zbeształ się w myślach za popadanie w histerię. Poza tym żadnego młotka nie było oczywiście na miejscu.

Gdy w końcu Arturowi udało się dopaść do drzwi i wyskoczyć na zewnątrz, aż jęknął. Bynajmniej nie z ulgi. Znowu stał na tej przeklętej Poprzecznej, pod zapleśniałą żółtą wiatą tkwiącą między złowieszczymi ogródkami działkowymi a mrocznym lasem, w miejscu o szalonej geografii

i niedorzecznym upływie czasu – chociaż nad miastem zapadł już wieczór, tutaj wciąż panowało szare, ponure nie wiadomo co.

Wyglądało na to, że autobus mu nie pomoże. Droga też prowadziła donikąd. Pozostały dwie możliwości – jedna gorsza od drugiej: ogródki działkowe lub las. Artur zapatrzył się w ponurą, szaroburą gęstwinę po drugiej stronie ulicy. Coś w głębi między drzewami pulsowało dziwacznym, nadprzyrodzonym magnetyzmem. Niewiele się zastanawiając, ruszył właśnie tam. Zdawał sobie sprawę, że to może być jeden z tych nie najlepszych pomysłów, jak wtedy, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że jednak nie powinien ruszać językiem bolącego zęba. Ale i tak nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

Zebrał się w sobie i przeszedł na drugą stronę ulicy. Wspiął się po skarpie, wchodząc między drzewa. Nie wiedzieć czemu opanowało go niepokojące wrażenie, że nie ma już odwrotu. Wystarczyło niby odwrócić się i cofnąć na przystanek, ale czuł, że tego nie zrobi. Jak raz zaczniesz drapać strupy, nie przestajesz aż do krwi.

Las wydawał się całkiem zwyczajny, tylko bardziej bezbarwny, bardziej głuchy... Skoro o tym mowa, ciszy nie mąciło absolutnie nic – nie było ptaków, owadów, wiatru. Nawet mech tłumił odgłosy kroków jakoś bardziej, niż powinien.

Artur żadnym sposobem nie potrafił ocenić upływu czasu. Zdawało mu się, że kluczył między drzewami przez kilka godzin, lecz prześwitujące między koronami niebo nieodmiennie wciskało między gałęzie swą szarą, ponurą poświatę.

Gdy zaczynało mu już wirować w głowie, a poczucie niepokoju i zagubienia zdawało się dławić oddech, wyszedł nagle na polanę. Na jej środku stał drewniany stół. Nieopodal lśniła jedyna w ponurym krajobrazie plama koloru – wstrętne, obskurna plastikowa budka przenośnej toalety. I to tyle.

Artur nagle poczuł, jakby był osaczony. Ale przez kogo? Przez drzewa? To przecież głupie.

Podszedł i przysiadł na stole. Próbował zebrać myśli, zdecydować, co dalej... Naraz usłyszał za sobą szelest. Zesztywniał. Odwrócił się powoli, czując, że serce może wyskoczyć mu z piersi. Z zarośli wyszła osobliwa para – wypłowiały, zniszczony klaun i dziewczyna – gotka w typowym ostrym makijażu oraz posępnym stroju.

Zbliżyli się do niego.

– Próbujemy wyjść z lasu – oznajmiła z nienaturalnym spokojem nieznajoma.

– J-ja też – wyjąkał.

– Może chodźmy razem – zaproponowała. Artur tylko pokiwał głową.

Wtedy klaun nachylił się do ucha towarzyszki i szepnął coś.

– Dobrze, idź – odrzekła. Wypłowiwały arlekin odczłapał, by zniknąć w niebieskiej budzie.

– Wyznam ci prawdę – powiedziała gotka, zbliżając się do Artura. Krew popłynęła mu szybciej w żyłach. W głowie huczało z oszołomienia. – Nikt nie może opuścić Poprzecznej, bo w lesie żyje Bestia.

Artur chciałby się roześmiać. Naprawdę bardzo by chciał, lecz poczuł tylko, jak przerażenie sięga zimnymi palcami do jego gardła.

– B-bestia?

– Tak. Wiem nawet, gdzie ona jest.

Błady palec z długim, czarnym paznokciem wskazał na niebieską toaletę.

– To on jest Bestią. Przez niego nie możemy wyjść. Ani my, ani ci ludzie z autobusu. Posłuchaj mnie. Musimy go zabić.

Artur spróbował przełknąć ślinę. Łzy napłynęły mu do oczu. To wszystko było przecież tak cholernie niedorzeczne... Tyle że każdy koszmar przestaje być niedorzeczny, gdy przeżywa się go naprawdę.

– Teraz – syknęła dziewczyna. – Pomożesz mi?

Artur pociągając nosem, kiwnął niepewnie głową. Obserwował z łomoczącym sercem, jak jego nowa współpracownica wyciąga z torebki butelkę, podchodzi i oblewa toaletę jej zawartością. W uszach słyszał narastający szum, zza którego przebijało się miarowe, pulsujące dudnienie, jakby pogańskich, plemiennych kotłów.

– Masz ognia? – zapytała.

Otrząsnął się i poklepał po kieszeniach. Znalazł pudełko zapalek. Wyciągnął je do dziewczyny, lecz ona tylko nakazująco wskazała brodą na toaletę. Podszedł i drżącymi dłońmi otworzył pudełko, rozsypując połowę zawartości. W końcu udało mu się wydobyć zapalną. Po kilku próbach zapłonęła jasno. Wstrzymał oddech. I rzucił.

Przez chwilę zdawało się, że nic się nie dzieje, tylko szum i przekłete dudnienie barbarzyńskich bębnow.

A potem rozpętało się piekło.

Budka rozbłysła nadnaturalnym płomieniem. Ze środka dobył się nieludzki ryk palonej żywca ofiary. Powietrze wypełnił smród płonącego

plastiku i ludzkiego ciała.

Drzwi odskoczyły. Z budki wyleciał na ziemię klaun. Wciąż był jak torturowane bydło. Miotał się po ziemi, przyciskając dłonie do roztopiającej się twarzy. Płomienie z wolna przygasły.

– Teraz. – Głos pojawił się w głowie Artura. – Bierz go.

Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, Artur chwycił klauna, nie zważając na to, że nadtopione ubranie parzy mu dłonie. Razem z dziewczyną pociągnął go w stronę stołu. Gdy błazen zorientował się, że jest wleczony szarpnął się dziko i znów zaczął wyć jeszcze bardziej zwierzęco.

Wspólnymi siłami rozciągnęli klauna na stole jak na jakimś pogańskim ołtarzu ofiarnym. Artur słyszał już tylko hipnotyzujący szum oraz dudniący łomot widmowych bębnow.

– Zabij. – Z hałasu wyłonił się świszczący rozkaz.

Spojrzał w dół. W dłoni trzymał prymitywny, kamienny nóż. Uniósł go nad głowę. Bębnienie przeszło w galop. Oczy w zdeformowanej ogniem masce klauna rozszerzyły się, a z gardła rozległ się jęk. Ramię Artura opadło. Klauni jęk przeszedł w agonalny charkot, gdy kamienne ostrze przebiło jego pierś.

I nagle zapadła cisza. Artur postąpił krok do tyłu i przycisnął rozedrgane dłonie do twarzy, rozmazując po niej krew.

– Czy teraz... – wyjąkał. – Czy teraz możemy już odejść?

– Odejść? – Głos dziewczyny wydawał się rozbawiony, a z drugiej strony niepokojąco tubalny. – A dokąd chcesz odejść?

Artur odwrócił się zdjęty irracjonalnym strachem. Jak się okazało wcale nie tak irracjonalnym...

Ona... Ona zmieniała się. Mocny makijaż spłynął z jej policzków czarno-białymi strugami. Oczy zapadły się, pozostawiając ziejące kosmiczną pustką studnie oczodołów. Usta rozszerzyły się niemal na całą szerokość twarzy, odkrywając krzywe, żółte, połamane i o wiele za duże zęby.

Artur nie mógł nawet wrzasnąć. Wydusił z siebie tylko cieniutki pisk.

– Zabiłeś niewinnego człowieka – kontynuowało monstrum barytonowym bulgotem. – Nie masz dokąd odejść.

Tym razem wrzasnął. Rzucił się do tyłu, potknął o własne nogi i wyłożył jak długi. Niebo pociemniało. Powrócił szaleńczy galop plemiennych bębnow. Artur przetoczył się, poderwał i popędził, nie bacząc na kierunek.

Był przed siebie.

Byle dalej od potwora.

Byle dalej od klauna, którego właśnie najwidoczniej złożył w krwawej ofierze tamtemu.

Gnał między drzewami, nie zwracając uwagi na szarpiące i kaleczące go gałęzie oraz pnącza. Uszy wypełniał mu ten okropny łomot i niehumaniczny śmiech, oscylujący między charkotliwym bulgotem a wibrującym piskiem. Śmiech Bestii.

Nagle las skończył się. Artur stracił równowagę. Zleciał ze skarpy, zatrzymując się dopiero na środku jezdni. Śmiech wraz z akompaniującymi mu bębnami pozostały tylko odległym echem. Podpierając się rękami, dotarł do wiaty przystanku, upadł na kolana i zwymiotował. Usiadł na krawężniku, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się. Czy właśnie zabił człowieka? Czy dziewczyna była demonem?

Nagle grom rozerwał ciemne niebo. Artur poderwał głowę...

Jezu!

Kilka kroków od niego, w miejscu znaku przystanku autobusowego, stała wbita w ziemię włócznia, a na niej... a na niej głowa klauna z twarzą wykręconą w grymasie bólu i przerażenia. Wciąż ociekała krwią, tak że na chodniku widniała już spora kałuża.

Artur zawył przeraźliwie. Odpychając się rękami i nogami, odpełził jak najdalej. Wciąż ryczał opętańczo, gdy z za zakrętu wyjechał autobus i litościwie zatrzymał się daleko od osadzonej na włóczni głowy.

Artur wskoczył do środka i od razu upadł na podłogę. Ciężko dyszał. Wciąż czuł w oczach łzy przerażenia. Nagle ktoś klepnął go w ramię. Artur wzdrygnął się. To był staruszek. Ten sam staruszek, który wcześniej uśmiechał się do niego. Czyli to był cały czas on.

– Ja nie... On... Ten klaun... – jąkał się przez łzy Artur. – Głowa... Ta dziewczyna... Co... Co to było?

– To była – powiedział staruszek – twoja druga wysiadka. Została ci jeszcze jedna.

Artur wlepił w mężczyznę puste, nic nierozumiejące spojrzenie, ale pozwolił się podnieść i usadzić na siedzeniu tyłem do kierunku jazdy.

– Mówią na mnie Dziadek – przedstawił się staruszek. – Na Poprzecznej, widzisz, każdy wysiada trzy razy. Ani więcej, ani mniej. Zawsze trzy. Pierwsze dwa masz za sobą.

– A-a c-co z... z...?

– Z trzecim razem?

Artur pociągnął nosem i skinął głową.

– O, to dosyć proste. Ted, ten klaun, którego... spotkałeś. Tuż przed twoim pojawieniem się on wysiadł. Po raz trzeci. Chyba nie muszę ci mówić, co to dla niego oznaczało.

Artur aż zwinął się w środku na wspomnienie głowy osadzonej groteskowo na włócznie.

– A-ale czemu m-mnie nie o-ostrzegłeś? Uśmiechałeś się do mnie...

– A uwierzyłybyś?

– Kto wie? Może bym uwierzył.

– To spróbuj. – Dziadek zerknął w stronę drzwi. Autobus się zatrzymał i właśnie wsiadał jakiś dzieciak w bluzie z kapturem.

Drzwi zatrzasnęły się. Znow ruszyli. Artur otarł twarz, wstał i podszedł wciąż nieco roztrzęsiony.

– Hej! Słuchaj! – powiedział, łapiąc chłopaka za ramię i czując na plecach znudzone i pełne politowania spojrzenia współpasażerów. – Ten autobus... – Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie wie, co mógłby powiedzieć, żeby zabrzmiało sensownie. – Ten autobus jest przeklęty. Jak wysiądziesz... Jak wysiądziesz, to tam będzie... Bestia.

Chłopak wyrwał ramię z uścisku Artura.

– Odpieprz się pan! – warknął. – Psychol – mruknął pod nosem, gdy Artur zajął swoje miejsce koło Dziadka.

– Widzisz? – Dziadek uśmiechnął się smutno. – Zareagowałbyś tak samo. Dokładnie tak samo – powtórzył bardziej do siebie. Artur zrozumiał – Dziadka też ktoś próbował ostrzec. Z wiadomym skutkiem.

Więcej nie rozmawiali. Bo o czym mogą rozmawiać skazańcy w autobusie potępienia? Tamten chłopak wysiadł pierwszy raz, drugi... Potem wsiedli inni.

Raz nawet pojawił się kanar – niby nic nadzwyczajnego w autobusie. Wsiadł, sprawdził bilety i wysiadł. Po jakimś czasie wsiadł znowu i znowu sprawdził bilety. Za trzecim razem już nie sprawdzał...

Artur nawet nie zauważył, jak zniknęli wszyscy, którzy byli świadkami jego pierwszej i ostatniej rozmowy z Dziadkiem.

W końcu wysiadł też Dziadek. Artur zajął jego miejsce przy oknie, tyłem do kierunku jazdy. Ten chłopak, którego próbował ostrzec... Jak mu było na imię? Mniejsza o to. On też wysiadł – jakoś pomiędzy kanarem a Dziadkiem.

Artur wciąż podróżował. Udało mu się ustalić jeszcze jedno – wiedział, że spotka znowu klauna Teda. Bestia z lasu traktowała ofiary jak jakieś

makabryczne stroje karnawałowe – dla każdego miała coś nowego... No, może nie aż tak nowego.

Artur nie wyobrażał sobie, żeby mógł wysiąść na Poprzecznej po raz trzeci. Cholernie bał się tego, co sprawi mu truchło Teda z Bestią w środku. Wiedział jednak, że przyjdzie taki dzień, że wysiądzie i wyjdzie na spotkanie okrutnemu losowi, pozwalając, by kolejny nieszczęśnik ściągnął na siebie potępienie za jego sprawą. Tak musiało być.

Na Poprzecznej każdy wysiada trzy razy. Ani więcej, ani mniej. Zawsze trzy.

Jeśli o tym wiesz, to znaczy, że jest już za późno.

AGNIESZKA BISKUP

Agnieszka Biskup – urodziła się w Katowicach, studiowała w Krakowie, mieszka w Częstochowie. Dwa lata z rzędu wygrywała toruński konkurs na Pióro Metatrona, cztery lata z rzędu uczestniczyła w warsztatach na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu, w 2018 jej opowiadanie zostało tam wyróżnione. Jej teksty można znaleźć w antologiach: *Maszyna*, *Jakie czasy taki diabeł*, *Licho nie śpi* oraz w magazynie „Okolica Strachu”. Ma na koncie miniscenariusz do komiksu Incognito.

Ostatnie wakacje w Zawadach

Wakacje w sierpniu '88, z pozoru przypominały wszystkie poprzednie, ale różniły się zasadniczo, ponieważ tego roku po raz pierwszy zabrakło z nami mamy.

Pamiętam naszą podróż granatowym maluchem zapakowanym po sam dach jak konserwa mielonki tyrolskiej, fiacika podskakującego na leśnych wertepach, mocną woń wydzielaną przez zawieszoną na wstecznym lusterku tekturową choinkę. Zapach zamiast kojarzyć się z lasem, przywodził na myśl szkolne kible wyszorowane lizolem.

Ojciec trzymał kierownicę obiema rękami, co nie przeszkadzało mu palić. Filtr papierosa ścisnął w jednym krańcu ust, drugim wypuszczał chmury smrodliwego dymu, który wtedy wcale mi nie przeszkadzał. Czasy były inne. Nikt się nad dziećmi nie trząsał, że dostaną raka od biernego palenia. Kopcili wszyscy i wszędzie, a nikotyna odkładała się na całej płaszczyźnie rzeczywistości żółtą warstewką niby szlachetna patyna. Wzierała się w ściany, firanki, tapicerki samochodów, a nade wszystko w ciała palaczy (przypominam sobie, że paznokcie ojcowego kciuka i palca wskazującego zabarwiły się trwale na kolor trupiego szafranu).

Wyjazd organizował ojcowski zakład pracy – miejska zapalczarnia – i na sierpniowy turnus przybywali co roku ci sami koledzy ojca wraz z rodzinami. Podróż nie trwała długo, a może tylko tak mi się zdawało, bo byłam do szczętu naćpana aviomarinem. Moje powieki rozwierały się tylko odrobinę jak okiennice o pordzewiałych zawiasach, a ja trwałam w tętym oszołomieniu, pozbawiona wszelkich myśli i wrażeń.

Zmierzaliśmy do maleńkiej wsi niedaleko Częstochowy o nazwie Zawady (niepokojąca nazwa, prawda? jakby ktoś z góry uprzedzał, że tutaj należy się spodziewać trudności). Zwykle wakacje jawiły mi się radosną przygodą, ale nie te w sierpniu '88. Do tych byłam sceptycznie nastawiona, odkąd wytoczyłam się z malucha i postawiłam stopę na ziemi zasłanej warstwą brunatnego igliwia. Westchnęłam i obciągnęłam rękawy bluzki niemal na czubki palców (nabawiłam się tego natręctwa jakoś jesienią, ale nie przewidziałam, że w środku ciepłego lata okaże się tak kłopotliwe). Ojciec

upraszał: „Dziecko, załóż coś z krótkim rękawem, bo się ugotujesz jak lana kluska w rosoli!”. Próbował mnie rozśmieszyć, ale miało to odwrotny efekt, bo przypominała mi się mama – w każdą niedzielę, choćby się waliło i paliło, na stół musiał wjechać rosół i kurczak z różną.

Oto byłem znowu na krańcu świata, na podzawadzkim pipidówku. Rozglądałem się po ośrodku, szukając różnic względem poprzednich lat, ale żadnych nie znalazłem. Peerelowski kurort „Muchomorek” przehibernował kolejny rok w postaci niezmiętej, niczym robak uspijony w stadium poczwarki. Wciąż był skupiskiem kilku mizernych domków z dykty wciśniętych w sam środek sosnowego lasu. Uderzył mnie oszałamiający koktajl zapachów – kory z wysiękami żywicy, wilgotnych liści i grzybów. W melodię ciszy wplątywał się jedynie szmer rzeki Liswarty.

Wyglądało na to, że na miejsce dotarliśmy jako pierwsi. Myślałem, że ojciec zacznie od progu mocować się z walizkami, sprawdzać zapasy drewna, wietrzyć domki i robić wszystko to, co zwykle robił w pracy i po pracy, czyli komenderować, ale nie, on tylko zapadł się w pasiasty leżak i zapalił.

– Dziwnie tak, bez mamy – powiedział, gapiąc się w czubek rozżarzonego papierosa.

– Uhm – bąknęłam i klapnęłam obok niego na niskim pieńku.

Gapiliśmy się przed siebie w milczeniu i bezruchu, jakby gdzieś niedaleko stał malarz ze sztalugą, któremu obiecaliśmy pozować. Aviomarin nadal zbierał żniwo, upodabniając mnie do manekina, i wiedziałam, że zażyte tabletki będą odsypiać przez dwa kolejne dni. W pewnym sensie było mi to na rękę, bo skracało niechciany pobyt na lotnisku. Korciło mnie, żeby się obwarować w podłej gawrze z dykty i zapaść w farmakologiczny letarg. Przebudzać się na jedzenie i siku, a potem wrzucać na język kolejny aviomarin i znów odpływać. Nie integrować się. Nie rozmawiać. Nie czuć.

Jakiś czas potem na plac podjechał mercedes – żółta beczka, i wypluł z siebie hałaśliwą, czteroosobową rodzinę Królów. Z trudem rozpoznałam Bartka i Wojtkę. Posturą nie ustępowali swojemu ojcu. Dorobili się szerokich barków i umięśnionych ramion. Pod nosem sypnął im się puch pierwszego wąsa. Bartka ta manifestacja dorastania wprawiała w zakłopotanie, bo notorycznie zakrywał usta ręką, przez co wyglądał, jakby się umartwiał. Wojtek przeciwnie, obnosił się z tym debiutanckim zarostem jak z trofeum. No i byli bardzo podobni, jak to bliźnięta jednojajowe, niemal identyczni.

– Kopę lat, Kamila – rzucił Wojtek, a ja musiałam mocno zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy, co mnie poirytowało. Na szczęście nie robiłam tego często, bo w sierpniu '88 patrzyłam głównie na czubki swoich butów, ewentualnie na jakieś bliżej nieokreślone punkty w przestrzeni widzialne wyłącznie mnie.

– Właściwie to jeden. Rok – uściśliłam.

Pod koniec dnia dojechała rodzina Kleczków z ich nieco flegmatyczną córką – Chudą Madzią, która, niespodziewanie, w ciągu jednego roku stała się Grubą Madzią. Nie przysporzyły jej urody także okulary w wielkich oprawkach, kształtem przypominające rozpostarte skrzydła martwego ptaka. Madzia pomachała do mnie zza szyby trabanta w chemicznym, niebieskim odcieniu. Odmachałam jej i cofnęłam się przez próg, zaszyłam się w śliskiej ciemności domku letniskowego. Potem chyba spałam, a gdy się przebudziłam, ojciec stał oparty o futrynę drzwi i wydmuchiwał dym papierosowy z taką pieczołowitością, jakby chciał uformować go w konkretny kształt i użyć jako aktora we własnej pantomimie cieni. Dym zgęstniał, zawrzał i rozpełził się na boki.

– Buczki się przyturlali – oznajmił, jakby miało to leżeć w granicach mojego zainteresowania.

Rodzina Buczków była dziwna i skryta, zawsze uważałam, że ciągnie się za nimi jakiś fetor złych uczynków. Stary Buczek, pan Waldek, był kostycznym i brutalnym mężczyzną, który lubił sobie wypić, a gdy już wypił, plótl co mu ślina na język przyniosła i zawsze wtedy mrowiła go pięść. Najczęściej podnosił ją na syna, Huberta. Nieraz za drobną przewinę potrafił stłuc go publicznie, uważając wymierzanie kary za swoje święte, rodzicielskie prawo, a nawet obowiązek. „Jak gnojom się odpuści, to wyrośnie jeden z drugim na bandytę” – mawiał pan Waldek. Nie to, żeby ścigał pas albo fundował chłopakowi bokerską fangę w nos. On nim po prostu potrzasał, szturchał i okładał na chybił trafił serią ciosów podobnych do uszczyptnięć gęsi. Hubert obrywał w kark, w skroń, w ucho. Niby nie działa mu się żadna zatrważająca krzywda, ale było w tym akcie tyle agresji i chaosu, że na sam widok krew stygła w żyłach.

– Przyjdiesz? Wszyscy są. Ognisko jest – zachęcał mnie dalej ojciec, więc zsunęłam się ze skrzypiącego łóżka dla świętego spokoju.

Upozazona w zaostrzony patyk i kielbasę dołączyłam do dzieciaków otaczających wianuszkami palenisko.

– Słyszałem, co się stało twojej starej – rzucił młody Buczek i nie odnotowałam w jego głosie śladu współczucia, tylko niezdrowe zaciekawienie.

– Ekhm. – Ja z kolei opanowałam do perfekcji zestaw dźwięków, które były moimi konfidencjonalnymi eufemizmami zwrotu „pierdol się”. Zwykle te monosylaby pozwalały uciąć niechciany temat, ale nie tym razem.

– Weź, Kamila, opowiedz jak to było.

– Daj jej spokój. – Niespodziewanie wstawił się za mną Wojtek, dając Buczkowi pretekst do ciągu dalszego.

– Ty się, Król, nie wpierdalaj. Krzywda jej się jakaś dzieje, hę?

Ależ ten Hubert się zmienił. Dawniej cichy i zahukany, z roku na rok coraz bardziej wdawał się w ojca. Z jednej strony wciąż było mi go żal, z drugiej – szczerze go nie cierpiałam. Szczyt niechęci wezbrał we mnie zeszłego lata, kiedy Buczkowie przywieźli ze sobą skundlonego rottweilera wabiącego się Kulka. Wszystkie dzieciaki z letniska bały się tego psa, bo miał w oczach nieobliczalność, której zwykle nie spotyka się u zwierząt, tylko u awanturniczych ludzi. Hubert ciągał go za sobą na krótkiej smyczy i szczuł na wszystko i wszystkich, aż psu jeżył się grzbiet, a z pyska skapywała brudna piana.

Kiedyś zapytałam Huberta: „Czemu tak się wabi?”, a on wyjaśnił chełpliwie, że na hasło „bierz go” Kulka pruje jak wystrzelony z karabinu pocisk, dopada delikwenta i rozszarpuje mu gardło. Utrzymywał, że pies należał poprzednio do emerytowanego ubeka i był wyszkolony w tych wszystkich komendach, w jakich są trenowane psy celników czy SS-manów. Nigdy nie zapytałam, skąd Hubert to wszystko wie i w jaki sposób Kulka trafiła do ich rodziny, ale podejrzewam, że drogą koligacji z owym ubekiem.

Zawsze mi się zdawało, że to kwestia czasu, nim ten pies kogoś zabije i poniekąd miałam rację. Kilka lat później Kulka, bez wyraźnej przyczyny, skoczyła na starego Buczka, gdy ten prowadził samochód. W efekcie pan Waldek stracił panowanie nad kierownicą i wbił się na pasach w pieszego, ponoć popularnego pismaka. Gość przeżył, ale miał połamane jakieś milion kości.

Trąbiono o tym w gazetach, wzbogacając artykuły zdjęciami rozszalałych rottweilerów, które nigdy nawet nie stały obok Kulki. W kolumnie kryminalnej „Życia Częstochowy” pisano „Waldemar B.”, jakby to była jakaś tajemnica, że zrobił to Buczek. Podobno był trzeźwy, ale kto go tam wie.

Rodzina ze znajomościami w ubecji była w stanie niejedno zatuszować, prawda?

W każdym razie pierwszy wieczór tamtych wakacji wreszcie przeminął. Upiekłam kielbasę tylko po to, by stwierdzić, że nie mam na nią najmniejszej ochoty. Nadal mnie muliło po aviomarinie, więc oddałam ojcu papierową tackę i bez pożegnania udałam się spać. Kilka razy przebudziłam się w nocy, bo Kulka wściekle ujadła. Łańcuch, którym przypinano ją na noc do pnia sosny, nieustannie podzwaniał, przywodząc na myśl historie o duchach.

Nic dziwnego, że śniła mi się mama. Miała na sobie lakierowane pantofle i sukienkę w maki, uszytą specjalnie na tamtą okazję. Stała w kuchni naszego spółdzielczego M3 i uśmiechała się nadzwyczaj pogodnie. Rozkładała na boki dłonie, jak Jezus prezentujący krwawe rany po gwoździach, tyle że mama trzymała w nich dwa pękate słoiki kompotu śliwkowego.

* * *

Obudziłam się, bo swędziała mnie skóra po wewnętrznej stronie przedramienia. Podwinęłam długi rękaw piżamy i podrapałam się po białych, równoległe biegnących liniach. Wyglądały jak struny skomplikowanego instrumentu – dokładnie czternaście (po jednej na każdy rok mojego życia).

Po śniadaniu ojciec namawiał mnie na pójście nad rzekę.

– Wszyscy się wybierają, bliźniaki, Hubert i Madzia, jak za dawnych lat.

No to poszłam, znowu dla świętego spokoju, choć na miejscu objaśniłam, że zostanę na brzegu i będę pilnować ubrań. Madzia zaoferowała, że dotrzyma mi towarzystwa i koniec końców do wody wskoczyli tylko chłopcy.

– Ja jestem gruba i nie pokażę się w kostiumie – wyznała mi Madzia, mrużąc oczy za szklami cudaczných okularów. – A jakie ty masz wytłumaczenie?

– Sznyty – odparłam beznamiętnie i obciągnęłam niżej rękawy bluzki w kompulsywnym odruchu. – Pocięłam sobie ręce żyłką.

– U mnie w klasie jeden chłopak też to robi, ale ja bym się nie odważyła. Ja się boję krwi.

Potem Madzia wyciągnęła z plecaka wymiętego papierosa. Podprowadziła go ojcu z paczką zakładowych zapalek, więc zapaliłyśmy uroczyście

i smakowałyśmy powoli, acz bez przekonania (wtedy jeszcze nie potrafiłam się zaciągać, ale nie o to w tym wszystkim chodziło, tylko o ten gest, ruch ręki zgiętej w łokciu, o nonszalancko ściągnięte usta).

– Wyczują od was i będzie draka – pouczył jeden z bliźniaków, rozchlapując wodę.

Nie wiedziałam który. Nadal się z nimi nie oswoiłam. Potrzebowałam kilku dni, by wyłapać te subtelne różnice, odróżniające jednego od drugiego.

– Grubaska lubi ryzyko, no, no – sarknął Hubert.

A potem zaprezentował nam, jak można napompować żabę powietrzem. Nadymały się jej policzki, nadymała ona cała, aż pękła jak przepełniony balon. Jej wnętrzości rozprysły się na wszystkie strony niby grudy surowego ciasta.

– Jesteś nienormalny! – wrzasnęłam, wygrzebując strzępy żaby z włosów. Zebrało mi się na płacz.

To przerażające, jak łatwo jest niszczyć. Można tworzyć coś latami, a zrujnować to w mgnieniu oka. W ogólnym rozliczeniu wychodzi więc na to, że ci, co tworzą, zawsze przegrywają z tymi, co niszczą, co stawia w wątpliwość sens istnienia świata w ogóle.

Nie poszliśmy więcj nad rzekę. Ja i Madzia stwierdziłyśmy, że to dobre dla dzieciaków, czym chyba trochę uraziłyśmy Królów i rozsierdziłyśmy Buczka. Kwestie dojrzałości lub jej braku uchodziły w tamtym czasie za nadrzędne i honorowe.

Nie kąpaliśmy się, ale to nie znaczy, że nie włóczyliśmy się po okolicy. Raz zgubiliśmy się w środku lasu i uratowała nas przezorność Wojtka. Dysponował, jak się okazało, kompasem oraz przekonaniem graniczącym z pewnością, że musimy kierować się na wschód. Przyznaję, zaimponował mi wtedy. Miałam ochotę go uściskać, kiedy na horyzoncie zamajaczył szyld biegnący łukiem ponad bramą. Wycięty z blachy napis „Muchomorek” skojarzył mi się (zupełnie nie wiem dlaczego) z estetyką oświęcimskiego obozu i przewrotnym tekstem „Arbeit macht frei”.

Las skrywał wiele tajemnic. W pierwszym tygodniu natrafiliśmy na coś frapującego – Madzia wdepnęła we wkopany w ciemną ziemię i obrośnięty mchem powojenny niewybuch. Dlaczego Niemcy mieliby bombardować środek lasu? Czy mieścił się tu obóz partyzantów? Czy ukrywali się tu Żydzi? Hubert przy asyście Bartka zabrali się za oczyszczanie pordzewiałego pocisku z pnączy roślin i grzybów. Zdążyli już nawet odrobinę go przesunąć, kiedy jak zwykle rozsądny Wojtek objawił im wizję

nas wszystkich, wybuchających jak nadmuchiwane żaby. To wystarczyło, by odpuścili. Na wszelki wypadek nie poinformowaliśmy dorosłych o znalezisku, bo zapewne zabroniliby nam włóczykijstwa.

Sporo czasu spędzaliśmy też na świetlicy – w jedynym murowanym budynku w „Muchomorku”. Mieściła się tam jadalnia, kuchnia i koedukacyjna łazienka z rzędem umywalek i prysznicem odgradzanym zasłonką z ceraty. Na świetlicy zaś niespodziewana rozrywka – rosyjski telewizor *Rubin* dźwigający garb kineskopu.

W sobotę stłoczeni na dywanie obejrzelśmy z wypiekami dwa odcinki *Strefy Mroku*. Nie zrozumcie mnie źle, ale wtedy nie było kabłówek ani tym bardziej platform cyfrowych, gdzie można sobie wybrać cokolwiek z bogatej listy dostępnych produkcji. Oglądało się tylko to, co leciało w czasie rzeczywistym, a leciało niewiele – trochę westernów i filmów kung-fu, poza tym *Teleranek*, *Domek na prerii* i *Robin Hood* z Michaeliem Praedem, do którego dziewczyny hurmem wzdychały (niech będzie, ja też). Tyle że to wszystko plasowało się w ramach niedzielnego kina rodzinnego, a *Strefa Mroku* reprezentowała inny ciężar gatunkowy. Ten serial dosłownie otworzył mnie na różne sprawy i pojęłam, że nie wszystko na tym świecie ma logiczne wytłumaczenie i sens.

– Jak Boga kocham, nic piękniejszego w życiu nie widziałem – oznajmił któregoś wieczora Bartek.

Udało mu się bowiem otworzyć kłódkę w szafce pod telewizorem. Męczył się kilka dni, mając za jedyne wsparcie moje wsuwki do włosów, ale jego pot i wysiłki zostały nagrodzone, bo oto za zasłoną harmonijkowych drzwiczek stał gładki, płaski przedmiot z eleganckim wyświetlaczem – najprawdziwszy magnetowid firmy *Sanyo* (ostatni raz zaparło mi tak dech, gdy wpakowałam do ust lizaka *Chupa chups*, kupionego w Pewexie za bony dolarowe).

Nie wiem, jak długo klęczeliśmy przed magnetowidem jak przed wystawionym w kościele tabernakulum. Pierwsza ocknęła się Madzia z obwieszczeniem, że na niższej półce naliczyła dwadzieścia jeden kaset VHS. Każda z nich była opatrzona na grzbiecie naklejką z odręcznie wykaligrafowanymi tytułami – po dwa filmy na jednej taśmie. Wiedziałam, że istnieje coś takiego jak magnetowid, ale nigdy wcześniej żadnego nie widziałam. Tak samo jak nie było tajemnicą, że istnieją jacyś ludzie handlujący jakimiś kasetami video na półlegalnych giełdach. Wszystko to niosło ze sobą taką dawkę tajemnicy jak odcinek *Strefy Mroku*.

– Wiem, jak to obsługiwać, mam w domu podobny – pochwalił się Hubert.

Sięgnął po pierwszą z brzegu taśmę i w istocie po kilku próbach udało mu się uruchomić sprzęt. I tak zostałam videorozdziewiczona, w objęciach ziarnistego obrazu Johna Carpentera o tytule *The thing* (pamiętam, że lektor przetłumaczył go wówczas jako *Rzecz*, ale lata później wszedł do historii kinematografii jako *Coś*). Mam wrażenie, że na godzinę i czterdzieści dziewięć minut wstrzymałam wtedy oddech. Czasem zasłaniałam oczy i zezowałam przez szpary pomiędzy palcami, tak bardzo byłam przerażona. To-był-szok!

Po seansie nadal trzęsły mi się ręce i nogi. Spojrzałam na Kulkę wylegującą się na chodniku dywanowym i przed oczami stanęła mi filmowa scena w klatce, gdzie tamtemu psu rozpękła głowa, otworzyła się jak obrany ze skórki owoc, wypuszczając witki roztańczonych węzowideł. Madzia musiała pójść ze mną do łazienki, bo nagle świat na zewnątrz wydał mi się poligonem pomiędzy nami, ludźmi, a mrocznymi stworzeniami, które wyrajają się po zmierzchu, wylażą z gęstwin, wypęłzają z dziur i najgłębszych koryt rzeki, by nas dopaść. To wszystko tam gdzieś jest, zmiarkowałam się, czyha w ukryciu. Otacza mnie, kiedy zamykam oczy albo kiedy gasną wszystkie światła.

W łazience długo chlapałam twarz zimną wodą, podczas gdy Madzia paplała jak najęta. Przeżywała film nie mniej niż ja, ale w inny sposób. Wychwalała amerykańską myśl techniczną i efekty specjalne. Ledwie ją słyszałam, bo byłam zajęta umieraniem ze strachu. Madzia uzbroiła się w czarny flamaster i nabazgrała niefrasobliwie na wewnętrznych drzwiach toalety:

Czy wy chłopcy pamiętacie, by codziennie zmieniać gacie?

– Bardzo dojrzałe. – Poklepałam ją po łopatce i wywróciłam oczami.

Dwa dni później w odwecie ktoś dopisał pod spodem:

Myjcie się dziewczyny, nie znacie dnia ani godziny.

Uznałam, że to trochę złowieszcze i brzmi jak zawołowana groźba. A potem, po przebudzeniu, zobaczyłam martwą mysz.

* * *

Ktoś zacisnął nylonowy sznurek wokół mysiej głowy i przywiązał jego końcówkę do framugi okna od zewnętrznej strony. Wiatr szamotał truchłem, łupiąc rytmicznie o szybę, zostawiając na niej czerwone odciski. Wrzeszczałam chwilę, aż przybiegł Wojtek, położył duże dłonie na moich

ramionach i przemawiał łagodnie tak długo, aż się uspokoiłam. Potem zdjął z linki martwe zwierzę i skrupulatnie je obejrzał.

– Ślady zębów. Coś ją musiało rozszarpać, zanim trafiła na sznurek.

– Coś? – prychnęłam z pretensją. – Kulka!

– Nie wiemy tego.

– Poważnie? – Zaskoczyła mnie ostrożność, z jaką wygłaszał osądy. – Ten pies jest obłąkany! A z jego właścicielem nie jest lepiej.

– Może on nie jest aż taki zły?

– Mhm. A dzieci z Afryki mają pękate brzuszki, bo takie z nich obżartuchy.

Od tej pory bacznie przyglądałam się Hubertowi i Kulce. Intuicja podpowiadała mi, że oni też noszą w sobie coś. Być może ich coś nie przeobraża ciała w krwawą, leguminową masę, jak to miało miejsce w filmie Carpentera. Być może ich coś ogranicza się do psyche i tylko czasem, kiedy spojrzą w lustro, dostrzegą prześwity amorficznych narośli, ruch zbłąkanych wici i zrakowaciały miąższ ich własnej duszy.

Wojtek zapytał Buczka o mysz, ten oczywiście zaprzeczył. Pieszczotliwie gładził wtedy rottweilera po obłym, gadzim łbie i nie panował nad rwącymi się w górę kącikami ust. Byłam pewna, że ta cała hucpa to jego sprawka. I napis w łazience także.

W drugiej połowie sierpnia pogoda się popsuła. Co rano pomiędzy pniami sosen wiły się wstążki mgły, białej i lepkiej jak wata cukrowa. Niebo zasnuły jednolite kłęby chmur i słońce całkiem zrejterowało. Kwitły co prawda całe połacie wrzosów, dodając odrobinę kolorytu do wszędobylskiej szarości. Wiatr rozwiewał ich intensywną woń, podzwaniał ciężkimi od kropel pajęczynami, które wyglądały jak naszyjniki z drogocennych kryształków, zgubione przez uciekające panny.

Przez wzgląd na jesienną aurę zezwalano nam kitwasić się na świetlicy i oglądać w kółko kasety video. Pan Marian – cieć dochodzący ze wsi, by doglądać Muchomorka – początkowo pieklił się na otwartą bez zezwolenia kłódkę, ale w końcu skapitulował i pozwolił nam korzystać z magnetowidu.

– Zeszłej jesieni żeśmy mieli cudzoziemskiego turystę – wyjaśnił, nabierając czubatą łyżeczkę cukru z cukiernicy i wsypując do szklanki z gorącą herbatą. – Przywiózł kamerę i to tamto, wideło. Miesiąc się wałęsał, a potem znik. Wszystko ostawił, dziwny taki, tom nic nie ruszoł. Żem se pomyśloł, że wróci i będzie kcioł kłamoty nazod. Kłódkę żem tylko założył.

Cieć wsypywał następną i następną łyżeczkę cukru, aż poprzestał na sześciu. Zamieszał, podzwaniając opętańczo, przyłożył wysuszone wargi do

brzegu szklanki i siorbnął.

– Kaset to już nazwoził mój zięć. Przyłazi tu czasem z kolegami w karty łoić, chlapnąć cosik, od bab se odsapnąć, ale co ja wam będę, smarki, gadoł. No to, oglądajta sobie. Tylko nic nie zepsujta.

Obiecaliśmy nie zepsuć.

* * *

Przerobiliśmy całą Muchomorkową kolekcję, została tylko jedna taśma. Prześcigaliśmy się w domysłach, co to będzie, bo brakowało naklejki z tytułami. Horror? Komedia? Byliśmy na świeżo z takimi hitami jak: *Gliniarz z Beverly Hills*, *Commando*, *Top Gun*, *Crittersy* czy *Amerykański ninja*, niemniej najchętniej wracaliśmy do *Rzeczy*. Tę znałam już niemal na pamięć (co zabawne, za piątym razem bałam się nie mniej niż za pierwszym).

Bartek wcisnął ostatnią kasetę w przelyk magnetowidu. Przez dobry kwadrans nie mieliśmy pojęcia, co oglądamy. Kamera skakała chaotycznie z kadru na kadr. Lektor nie tłumaczył, tylko jakiś gość nawijał w tle po niemiecku. Szedł przez las, filmował i wypluwał z siebie słowa ostre i kanciaste jak kawałki tłuczonego szkła. Nie było widać jego samego, tylko od czasu do czasu obiektyw ześlizgiwał się na dukt i czubki jego ubłoconych butów.

Hubert wysnuł radosne przypuszczenie, że to może jeden z tych filmów dla dorosłych, których się nie tłumaczy i zaraz, za którymś drzewem, zmaterializuje się ponętna panienka w pasku do pończoch. Ale panienki nie było, rozpoznaliśmy za to znajomy szyld z wyciętymi z blachy literami układającymi się w słowo „Muchomorek”.

– Ciec mówił, że miał kamerę i kręcił – skonstatował Wojtek. – Ten turysta z zagranicy.

Oglądaliśmy w milczeniu, dziwnie zaabsorbowani i zaniepokojeni, bo co innego oglądać wyimaginowane, amerykańskie historie, a co innego widzieć na ujęciach miejsce, w którym się obecnie przebywa. Facet rejestrował las i okolicę, nic nadzwyczajnego się nie działo. Żalowaliśmy, że nikt z nas nie uczył się szwabskiego, bo moglibyśmy z jego gadki szmatki wywnioskować, co tu robił. Istniał zapewne powód, dla którego snuł się po zielonych ostępach i zatrzymał się akurat w Zawadach – w miejscu, gdzie nie ma przecież nic.

Gość dotarł wreszcie do wsi, nagrywał domy i asfaltową ulicę z witryną sklepu wielobranżowego. Z okna murowanej chałupy wyglądała stara kobieta w chustce zawiązanej pod szyją.

– Mogę zadać kilka pytań? – zagaił Niemiec po polsku.

Miał mocny akcent, który sprawiał, że zrażał do siebie ludzi. Cokolwiek by nie powiedział, jego słowa pobrzmiwały groźbą. Zbyt wielu jeszcze pamiętało wojnę, by mu ten akcent wybaczyć.

Babina czym prędzej zatrzasnęła okno i zasunęła zakardową firanę. Czmychnęła w głąb izby, ale nie przestała filować błyszczącymi, zwierzęcymi oczami. Zza firany przebijał jej ciemny, stożkowy kształt.

Akcja powtórzyła się jeszcze kilka razy. Niemiec nagabywał, oferował pieniądze, ale nikt nie wdawał się z nim w dyskusje. Omijano go łukiem, ignorowano jak ducha. Aż tu na kolejnej klatce filmowej ukazało się pomieszczenie świetlicy. Naszej świetlicy.

Przy stole siedział pan Marian i nieufnie zerkał w kamerę. Dotknął paluchem jej martwego, szklanego oka.

– Sam nie wiem... I tak już na mnie spode łba łypią, żem wam najął pokój.

– Dałem panu pieniądze. Mamy umowę – upomniał go Niemiec i cieć ostatecznie uznał, że jego sekrety są warte równowartości stu marek niemieckich, umoszczonych na nogawkach jego roboczych, drelichowych spodni.

– No to jaskinia jest za łąką, jak żem gadoł... Za zakolem rzeki. Nie widać tak z mijśca, bo chaszczce zasłaniają. – Pan Marian to zerkał w obiektyw, to odwracał wzrok, jakby się lękał zbyt długo utrzymywać kontakt wzrokowy z diabelskim przedmiotem. – W środku cimna dziura. Trzeba uważać, żeby nie wdepnąć i nie zlicieć.

– A co o tym miejscu mówią legendy?

– Oj tam, legendy. Ludzie gębuja, że tam w tyj dziurze mieszka diaboł. Że dziura sięga do piekła. I żeby diaboł nie wylazł, to mu trza znosić dary. Dopóki ma co żryć, to przeca nie wylazi, co nie?

Kolejny kadr przedstawiał łąkę i zakole rzeki. Marsz przez wysokie trawy. Kamerzysta wyciągnął rękę i odgarnął nawał gałęzi, za którymi ukrywała się ciemna jama.

W oddali szemrała Liswarta.

* * *

Wyprawę zaplanowaliśmy na następny dzień, skoro świt. W starciu strachu z ciekawością bezpardonowo wygrała ciekawość.

Byliśmy co prawda niewyspani, bo poprzedniej nocy starszyzna urządziła sobie dansing pod chmurką. Suto lała się Żytunia, pijackie śmiechy niosły się w las, płosząc nocne stworzenia. Między sosnami wywijano młyńce w rytmie zagranicznych przebojów puszcanych na małym, przenośnym Grundigu. Stevie Wonder jakieś dwadzieścia razy dzwonił, żeby powiedzieć, że mnie kocha i choć przyciskałam do uszu dwa jaśki, to nie mogłam się odciąć od jego pienia.

Było już jasno, kiedy ojciec wtarabanił się do łóżka. Zaległ w ubraniu i chrapał jak niedźwiedź, rozsiewając w mikrej przestrzeni domku opary przetrawanego alkoholu. Zdjęłam mu buty i okryłam kocem, a potem wymknęłam się na świetlicę, gdzie umówiliśmy punkt zborny. Zapakowaliśmy prowiant na drogę i termos z gorącą herbatą, i wio – naprzód marsz, ahoy przygodo! Pokonaliśmy tę samą drogę, co kamerzysta w ostatnim fragmencie nagrania. Wejście do jaskini obwarowały gęste komysze. Przedzieraliśmy się przez nie, brodząc w błocie po kostki. Dalej było ciemno, przynajmniej dopóki latarki nie wypłuły z siebie snopów skoncentrowanego światła. Z ust buchały obłoczki pary, a echo odbijało dźwięki skapującej z sufitu wody.

I w końcu ją ujrzelśmy – szczelinę w kamiennej podłodze biegnącą pionowo w dół (tak głęboką i ciemną, że światła latarki rozpraszały się i nikły, nim dosięgnęły dna). Otwór był spory, o powierzchni dużego pokoju. Przy krawędzi leżały misy i wyplatane kosze. Dojrzałam granatowe kulki jagód, miód, surowe mięso, a nawet kartofle. Pomędzy naczyniami górował szklany balon w wiklinowym oplocie. Odkorkowałam go i wciągnęłam zapach fermentujących owoców.

– Sporo tego – zauważyła Madzia, kucając nad rozpadliną.

– Miejscowi muszą regularnie donosić – stwierdził Wojtek, a Bartek dopowiedział:

– Marnotrawstwo. Tu jest z pięć litrów wina. – I sięgnął po balon, ale trzasnęłam go w dłoń. Przeczuwałam, że nie powinniśmy niczego ruszać. Nie igra się z wierzeniami, choćby nie wiem jak absurdalne się wydawały.

– Diaból? Przaśne brednie wioskowych idiotów! – Dudniący śmiech Huberta odbijał się od kamiennych ścian, wprawiał w drganie drobiny ciemności jak na ekranie śnieżącego telewizora.

Chłopak ukląkł, zanurzył głowę w czarną czeluść i wydarł się na całe gardło.

– Diable, kurwa, szatanie, słyszysz?

Słyszysz? Łyszysz? Łyszysz? Szysz... szysz... – Echo poniosło jego głos gdzieś ku jądry ziemi.

– Zamknij się, bęcwale – syknęłam, bo błazeńskie zachowanie Buczka mnie zagotowało. – To nie jest śmieszne!

Śmieszne... mieszne... mieszne... eszne... eszne...

A potem Hubert wpadł w szal.

Może dlatego, że grzmotnęłam go w bark i się po tym ciosie niebezpiecznie zachwiał. W jednej, rozciągniętej jak guma sekundzie, zawisł nad przepaścią i spojrzał w jej czarny, bezdenny oczodół. Wojtek przytrzymał chłopaka za kołnierz, sprowadził do pionu i po prawdzie nic się nie stało, ale ta sytuacja żywo go pobudziła.

– Prawie, kurwa, zleciałem! Prawie mnie zabiłaś, głupia krowo! – Hubert ciskał się i darł gębę, zapewne odreagowując strach w jedyny znany sobie sposób – agresją.

Kopał miski i kosze, i te spadały wraz z zawartością w plamę gęstej czerni. Zapadały się w nią jak w smołę i znikwały bezgłośnie.

– A żryj, udław się, pojebańcu! – jazgotał w szale Buczek. Podturlał na skraj czeluści ostatni z podarków, balon z winem. Zaśmiał się i strącił go kopniakiem. – Otwórz ryj i powiedz aaaaaa!

Echo powtórzyło „aaaaaa” nadając okrzykowi jakby inną, bardziej obłąkaną intonację. I potem Buczek odpiął rozporek.

Strumień moczu poszybował łukiem w gardziel przepaści.

Chciałam go powstrzymać, ale to już się zadziało. Odwróciłam się więc na pięcie i pognałam przed siebie w ciemność, nie bacząc, że nie mam przy sobie latarki.

Nie pamiętam dokładnie ciągu dalszego. Tak jakby ktoś wyłączył w kamerze nagrywanie i obraz po prostu się urwał, a następna klatka przedstawiała już krajobraz na zewnątrz jaskini. Wszyscy staliśmy w błocie, zgięci w pół jak maratończycy po ukończonym biegu, dyszeliśmy i sapaliśmy. Buczek wyrósł jak spod ziemi, nonszalancko oparty o pień wyschłego modrzewia.

– Nie powinienes był tego robić – napomknęłam raz jeszcze, na co obrażony adresat nadymał policzki jak jedna z męczonych przez niego żab.

– A pies was wszystkich jebał – warknął i ruszył z powrotem do Muchomorka. Niewiele myśląc, powlekliśmy się za nim. Słońce świeciło słabo i bez przekonania jak latarka przytknięta do przeciwnej strony poduszki. W ośrodku, w domkach tylko nieco większych niż chatki krasnoludków, wszyscy dorośli nadal spali.

* * *

Początkowo sądziliśmy, że się nam upiekło, bo rodzice przespali w całości nasz nieautoryzowany wypad do jaskini, ale jak się okazało – arsenał pecha na ten dzień jeszcze się nie wyczerpał.

Muchomorek trwał w letargu, spowity kleikiem mgły. Wróciliśmy na świetlicę oświali i podminowani. Ktoś uruchomił magnetowid, by wypełnić drętwołotą kolorowymi obrazkami, ale ten wydał z siebie serię skrzypnięć i terkotów. Wyciągnięta na siłę kasetka wideo rzygnęła wstęgą czarnej, porwanej taśmy. O tak, mieliśmy pietra! Taki sprzęt wydawał się na tamtą chwilę grubo poza naszym finansowym zasięgiem. Jeśli go popsuliśmy, czekała nas historyczna reprymenda. Telewizor śnieżył wściekle, Madzia mamrotała mantrę „o nie, o nie, o nie”, a Bartek postanowił sprawdzić, czy usterce jest winna kasetka, czy odtwarzacz. Włączył inny film i seria skrzeków i warknięć się powtórzyła, ale tym razem taśma zaklinowała się na dobre. Owładnęła nami panika i tylko Buczek wrzucał sardoniczne komentarze, odcinając się od całej sprawy, jakby to był nasz problem, nie jego.

Uradziliśmy, że trzeba się przyznać. Powlekliśmy się na plac, by krążyć wokół domków niby ponure satelity. Wypatrywaliśmy w ich wnętrzu poruszenia czy głosów, ale rodzice spali głęboko jak jeden mąż. Niby nic nadzwyczajnego zważywszy na natężone balety poprzedniej nocy. Tyle że czas mijał, a oni się nie budzili.

Chyba Wojtek zauważył jako pierwszy, że stanął mu zegarek. Wskazówki umarły siedem minut po godzinie siódmej czyli, jak obliczył, gdy trwała nasza eskapada do jaskini. Jak się potem okazało, wszystkie zegary w ośrodku dopadł ten dziwny defekt, włącznie z tym na magnetowidzie *Sanyo* – czas zatrzymał się o 07:07. I to dosłownie zatrzymał się CZAS, bo słońce wciąż świeciło z tą samą niemrawą intensywnością mglistego poranka. Bez zmian, pomimo że od świtu upłynęło wiele godzin.

I kiedy wydawało się, że gorzej już być nie może, pojawiła się Madzia z oświadczeniem:

– Oni wszyscy nie żyją. Nasi rodzice umarli.

Rozpierzchlił się na to dictum jak przypalane lupą robaki, każdy pognął do swojego domku, by to czym prędzej sprawdzić. Mój ojciec leżał w ubraniu, twarzą w poduszce, tak jak go zostawiłam rankiem. Dopadłam do niego zapłakana, potrzęsałam nim i wrzeszczałam, że ma wstać, że to nie jest śmieszne, ale on był bezwładny i obojętny. Szukałam pulsu na jego nadgarstku, ale nie mogłam znaleźć właściwego punktu, więc przewróciłam go na plecy i przytknęłam ucho do ojcowskiej piersi.

Czekałam i czekałam.

Nic.

Czekałam dalej.

Nic.

Czekałam i nie zamierzałam odpuścić.

I wreszcie usłyszałam ledwie zauważalne szarpnięcie serca w futerale ojcowskich żeber. Rozpłakałam się jeszcze mocniej, tym razem z ulgi (jak się okazało stan pozostałych był podobny – trawiło ich coś, co spowalniało rytm serca, jak to się działo u zimujących ryb).

– Może to śpiączka od trefnego bimbru – zasugerował Wojtek, starając się jak zwykle znaleźć racjonalne wytłumaczenie, ale ja już wtedy snułam własne podejrzenia.

– To nie to – mruknęłam markotna.

* * *

Niebawem mieliśmy zrozumieć, że jednocześnie jesteśmy w Muchomorku i w nim nie jesteśmy. Coś się wydarzyło, coś bardzo złego, co wessało nas tak, jak odpływ w umywalce zasysa wraz z wodą zalegające w niej włosy.

Stan naszych rodziców pozostawał zagadką, a ponieważ nie potrafiliśmy im pomóc, postanowiliśmy poszukać kogoś, kto by umiał.

Podjęliśmy marsz do wsi. Najpierw drogą na skróty, a za drugim razem – duktem przejezdnym dla samochodów. Nie spodziewaliśmy się jednak, że las miał wobec nas inne plany. Bawił się z nami i zwodził, wciągał coraz głębiej w zielone meandry. Jak w gabinecie luster – gdziekolwiek nie spojrzysz, widzisz ten sam, powtarzalny obraz. Same drzewa, żadnego wyjścia. Błąkaliśmy się i zataczaliśmy coraz szersze kręgi, by wychodzić wciąż od nowa przed bramą wjazdową ośrodka wypoczynkowego i złowieszczym napisem „Muchomorek”. Nie pomagał Wojtkowy kompas ani

system znaków, jakimi chłopcy oznaczali drzewa. Po kilku nieudanych próbach opuściły nas resztki sił i animuszu.

– To bez sensu. To już nie jest nasz las, to zupełnie inne miejsce – nadmienił Wojtek. – Nie rozpoznaję ani jednej polany, ani jednej ścieżki.

Popijaliśmy na popasie herbatę z termosu i debatowaliśmy, co robić dalej, gdy dobiegł nas szelest. Kępa wierzby uszatej zatrzęsła się i napuszyła, a spomiędzy jej pędów wytoczyło się coś puszystego. Zalśniło jedwabiste futerko na korpulentnym zadku. Zajac (wyjątkowo dorodna sztuka – masą dorównywał rottweilerowi Buczków) wyprostował się i zabrał do mycia, omiatając pyszczek górnymi łapami, a przynajmniej tak to od tyłu wyglądało.

Podeszłam bliżej zaintrygowana niepłochliwością zwierzęcia (powinnam się już nauczyć, że ciekawość nie popłaca, ale tę lekcję przyswajałam wyjątkowo opornie).

Zajac zaprzestał toalety, obrócił się powoli w moim kierunku i dotarło do mnie, że to co od tyłu jest zającem, wcale nie jest nim od przodu. Z frontu to coś wyglądało jak karzeł przebrany w zajęczą skórę. Spojrzałam w paciorki ciemnych oczu ukrytych w fałdach brzydkiej, gruzłowatej twarzy. Kaptur z miękkiego włosa wpijał się w policzki i czoło osobnika, pod brodą był ściągnięty troczkiem ze sznurka jak w płaszczu przeciwdeszczowym. Poza tym zajęcza skóra przylegała gładko, jakby wcale nie była częścią kostiumu, a uszy poruszały się jak żywe, to stając na baczność, to opadając płasko w tył.

– Macie przesrane – zbeształ nas karzeł zachrypniętym głosem wieloletniego palacza. Byliśmy tak zdruzgotani tym widokiem, że nie zaprzeczyliśmy, więc ten perorował dalej:

– Zbeczcześciliście świątynię Pana Lasu. Znieważyliście jego imię. Roztrwoniliście jego daninę. Macie przesrane.

Uniósł zakończoną pazurami łapkę do ust i lizał ją długimi pociągnięciami języka.

– Co mamy zrobić, żeby wszystko wróciło do normy? – wykrztusił z siebie Wojtek, który wyrósł przy moim boku.

– Do normy? Do normy? – zachichotał zajęczokarzeł, tudzież karłowatej. – On już wypełza z nory. Słyszę, jak się przeciska. Jak ryje brzuchem o szorstki kamień.

Muszę przyznać, że resztę dopowiedziałam sobie w myślach sama. Wykwitły tam obrazy krwawe jak pola maków. Coś po nas przyjdzie i nas

zabije. Coś o wielu oczach, wielu kończynach i wielu ogonach.

– Ale to zrobił Buczek. My nie przyłożyliśmy do tego ręki – Madzia wszczęła cichy protest. – Dlaczego mamy wszyscy płacić za jego błędy?

– Bo życie jest, kurwa, niesprawiedliwe? – Karłowatym lizał z zacięciem drugą łapkę. Po chwili jego ramiona uniosły się i opadły. – Zresztą nie będę suponować. Jeśli to jego wina, tego chłopca, to złożcie go Panu w darze. Może to go udobrucha? – zasugerował i pokicał w gęstwinę.

Widziałam jeszcze przez chwilę kłębuszek jego ogona, uroczy jak fragment pluszowej zabawki wyrzuconej w krzaki.

* * *

– Spójrz na to obiektywnie. To ty to rozpętałeś, więc to ty powinieneś się poświęcić. – Nie spodziewałam się, że Madzia tak gładko wyłoży Hubertowi sytuację, ale słowa przeszły ślizgiem przez jej gardło. Chyba szereg dziwnych zdarzeń, których ostatnio doświadczyliśmy, przysporzył jej hardości. Nie na długo co prawda, bo przygasła po ciosie w brzuch, jakim uraczył ją Buczek w riposie. Zgięła się i upadła na podłogę świetlicy, nie mogąc złapać tchu.

Ciosów posypałoby się pewnie więcej, gdyby nie bliźniaki. Złapali agresora pod boki i odciągnęli.

– Bierz ich, Kulka! Bierz ich! – wykrzykiwał furiacko Hubert.

Barłozący się w legowisku rottweiler uniósł łeb i co prawda nie wypruł jak pocisk (wbrew zapewnieniom Buczka, które doskonale pamiętałam), ale uniósł falbany warg i zaświecił dziąsłami nakrapianymi w czarne wzory.

Każdy z osobna zrozumiał, że sytuacja była patowa i najlepsze rozwiązanie to zawieszenie broni i wymyślony naprędce temat zastępczy.

– Powinniśmy przenieść rodziców na świetlicę. – Moja deklaracja przykuła uwagę pozostałych. – Królik mówił, że on wypęła na powierzchnię. Jak myślicie, po co?

– Żeby nas zabić? – teoretyzował Bartek, jakby to był jakiś quiz.

– Zabić i pożreć – doprecyzowałam. – Nas albo wszystko inne, co napotka na drodze. Powinniśmy przenieść rodziców na świetlicę.

Kłótnia rozwiała się pośród grobowej aprobaty.

Uwierzcie, to nie jest wcale łatwe, by przenieść gdzieś bezwładne, ludzkie ciało. Największym wyzwaniem okazał się stary Buczek i jego piwna nadwaga. Trzeba było rozłożyć na łóżku koc, przeturlać człowieka w jego obręb i potem już nieść, trzymając za rogi materiału, jak jakiegoś

drzemiącego maharadzę. Dwójka Buczków, dwójka Kleczków, dwójka Królów i mój ojciec – razem siedem osób zatarganych w pocie czoła na podłogę świetlicy.

Zmęczenie przymykało mi już oczy, chociaż pogoda za oknem nie zmieniła się ani jotę. Słońce nie zamierzało zachodzić, a mgła się rozwiać.

– A dlaczego nie ty, Kamila? – zagaił Hubert, gdy odpoczywaliśmy zziajani.
– Mówię poważnie, dlaczego ty tego nie zrobisz?

– Nie rozumiem – bąknęłam, choć podejrzewałam, do czego pije i cała się spięłam jak kot przed skokiem.

– Dlaczego ty nie wskoczysz do tej dziury? Przecież chciałaś się zabić. Znalazł cię ojciec, no nie? W wannie pełnej krwi. Ponoć nie cięłaś wystarczająco głęboko, niedojdo. Ale teraz masz okazję zrobić to raz a porządnie.

Buczek wyszczerzył się drapieźnie, a ja stężałam. Nie byłam w stanie mówić. Tylko policzki piekły mnie, jakby ktoś przyłożył do nich rozgrzane żelazka.

– Przestań. To nie w porządku. – Wojtek Król oczywiście przybiegł mi na ratunek.

W tej pojedynczej chwili nienawidziłam go za to. Pieprzony rycerz na białym koniu, który w imię szlacheckich intencji odwała za mnie robotę i mnie tym samym ubezwłasnowolnia, jakbym była jakaś głupia czy niema.

– Ale żądanie, żebym to ja poświęcił się dla ogółu, jest w jak najlepszym porządku? – zbulgotał Hubert.

– To nie tak – wychrypiałam i wszyscy przenieśli wzrok na mnie, aktora drugiego planu. – Nie chciałam się zabić. Po prostu... omsknęła mi się żyletka.

– Hahahaha, ha, haha... – Hubert wyskoczył na środek świetlicy jak konferansjer z melodramatycznie uniesionymi rękami. – Omsknęła się jej żyletka... Bidulce. To może na przyszłość nie baw się żyletkami? – poradził uczynnie.

– Ty nic nie rozumiesz. Moja mama umarła... – ciągnęłam jak skazaniec postawiony w świetle reflektorów (wiem, nie powinnam, bo tylko winny się tłumaczy, a ja nie byłam winna ani śmierci mojej matki, ani omsknięciu się żyletki, tak po prostu wyszło, jak w życiu – zwykle ono wychodzi, a my musimy zaakceptować konsekwencje).

– Słyszałem tę smutną historię, ojciec mi zreferował. Usłyszał od ojca Królów, a ten od twojego ojca. – Hubert ciągnął widowisko. Podparł palcem

brodę i się zadumał. – Wybieraliście się na imprezę, prawda? Twoja matka wyszykowała się jak dama. Włożyła nową sukienkę. W stokrotki? – Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał potwierdzenia. – Poganiała cię. „Kamila, Kamila, musimy wychodzić! Spóźnimy się!” To była komunia twojej kuzynki, ale ty zamknęłaś się w pokoju i nie chciałaś wyjść. Twoja matka już wcześniej miała problemy z głową. Doskwierali jej wyimaginowani przyjaciele, co nie? A to dobre. Słyszała głosy. A ty, słyszysz głosy, Kamila?

– Nie – ćwierknęłam wątló, jak ptaszek.

– To może jeszcze usłyszysz, nic straconego! Ale wracając do tamtej nocy... Twoi rodzice są wyszykowani, odstrzeleni na bon ton. W końcu otwierasz drzwi, stajesz w progu. Masz na sobie sukienkę z tego samego materiału w kwiaty, miałyście być tandemem, matka i córka, motyl i poczwarka, nieśmiertelna idea ciągłości pokoleniowej. A tu wszystko się nagle zesrało, a może powinienem raczej powiedzieć, zakrwawiło, ha, haha... Twoją sukienkę szpeci plama żywej, jaskrawej czerwieni. Akurat tego dnia twoje nastoletnie ciało uparło się, żeby wkroczyć w dorosłość. Wizja twojej matki rozsypuje się jak wieża z klocków. Nie będzie tych samych sukienek, nie będzie zachwyty wśród widowni, Bruce’a Lee, wejścia smoka. Twojej matce odpływa krew z twarzy. Co wtedy mówi? Coś na odczepnego, bo nie ma nerwów. „Idę po kompot śliwkowy, obiecałam, że przyniosę mojej siostrze kilka słoików”. I wychodzi.

– Dość. Zamknij się – przerywam mu, ale moje słowa są jak garść ciśniętego w mur żwiru.

– W tym czasie ty idziesz do łazienki, żeby zaprać plamę. Sukienka jest mokra, a krew nie tak łatwo wywabić. Ojciec mówi, że to żadna tragedia, ot, samo życie. Przebierasz się i czekacie w dużym pokoju na matkę, ale ona nie wraca i nie wraca. Ileż można wybierać ze spiżarni kompoty? Pewnie jest wściekła, myślisz. Usiadła i płacze, rozmaże sobie makijaż. Ojciec każe ci do niej zejść. Pomówcie sobie, dziewczyny, radzi.

– Zamknij się! – ryczę głośniej, ale on nic, pytluje jak nakręcony.

– Powiedz, Kamilo, czy sznur nadal się kołysał, kiedy weszłaś do komórki? Czy młóciła nogami powietrze i próbowałaś ją dźwignąć na ramiona, czy już wisiała w bezruchu jak kłoda?

* * *

Położyliśmy się, by odpocząć, a ja byłam zadziwiająco spokojna jak na kogoś, komu wywleczono z brzucha wnętrzności i zrobiono z nich

pinakotekę.

Zabarykadowaliśmy drzwi i okna świetlicy, gnieźdząc się na niewielkiej powierzchni, śpiwór obok śpiwora, w pozornym tylko poczuciu bezpieczeństwa. Zanurkowałam w śliskim, wywatowanym materiale, zobojętniała jak płód umoszczony na dnie macicy. Sen ciągnął powieki do dołu i choć zasnęłam błyskawicznie, to przespałam niewiele.

Huk wybudził mnie i postawił na równe nogi.

To był telewizor. Beknął jak obzarty olbrzym i sam się włączył. Rozbłysnął bezkształtną śnieżycą, której towarzyszył namolny, przeszywający szum o stałej częstotliwości.

– Niech ktoś to przyciszy! – zaordynowała Madzia, trzymając się za uszy, ale nikt nie drgnął.

Na ekranie zaczął się wyświetlać film, choć przecież nie miał prawa, bo wideo było niesprawne. Obraz był ciemny, ale wychwyciłam zarys okrągłej, skalnej szczeliny z podzawadzkiego lasu.

Obraz zadrgał, coś się poruszyło, wyrzało ostrożnie jak karaluch wypełzający z ciemnej rury. Najpierw na zwiady ruszyły giętkie serpentyny czułek. Za nimi wychynął pysk podobny do szczurzego, wąski i długi, zwieńczony kostnym, dendrytycznym porożem o końcach przypominających rzeźnicze haki. Widziałam dziesiątki, a może setki oczu, rozsypanych po obłym ciele bez harmonii czy wzorca. Srebrne źrenice lyskały prosto na mnie, wszystkowidzące. Mniewidzące.

Czyli to już? Idzie po nas.

I nagle obraz się urwał, bo któryś z bliźniaków wyrwał kabel z kontaktu. Wszystko ucichło.

W drugim końcu świetlicy Kulka siedziała wgapiona w drzwi i warczała, niespokojna i podniecona zarazem. Hubert próbował ją uspokoić, ale jeszcze bardziej się miotła, wydrapując pazurami pionowe rysy w emalii. W końcu Buczek uległ jej szaleństwu, przekręcił zamek, odsunął zasuwę i utorował jej drogę na zewnątrz.

Rottweiler wypruł w dal jak czarny fajerwerk.

– Zamykaj drzwi! Zamykaj, do diabła! – Wojtek beształ Buczka.

Zaryglowaliśmy się szczelnie od wewnątrz, stłoczeni jak zwierzęta w norze. Zmęczenie i strach oblekły nas w ciężki, piźmowy zapach. Zagrzebaliśmy się na powrót w śpiworach, przyłgnęliśmy do siebie.

– Co teraz? – zapytałam dziwnie pogodzona ze wszystkimi ewentualnościami.

– Wypimy się i przemyślimy to jutro – odparł rezolutnie Wojtek.

– Nie ma żadnego jutro. Jest tylko dziś – skontrował Bartek.

Przez chwilę milczeliśmy, a potem znów posnęliśmy. Nic więcej nie pamiętałam, dopiero cios, który runął na mnie z impetem radzieckiego czołgu taranującego stodołę.

* * *

Dostałam w łeb tak mocno, że zobaczyłam miraż oddalonych o lata świetlne, umierających galaktyk. Białe, pulsujące powidoki eksplodujące na płaszczu czerni.

W mojej głowie wykwitła niewyraźna myśl, że przyszedł po mnie potwór. Widziałam, jak wysuwa się ze swojej nory – Pan Lasu, czy jak go tam zwą miejscowi. Widziałam miriady oczu i koronę jak dwa pęki zespawanych pogrzebaczy.

Wlekl mnie po rozmięklej ziemi aż do swego leża? Próbowałam sobie wszystko poukładać, przypomnieć. Jedno było pewne – znalazłam się w tej jaskini. Jego jaskini, z tunelem prowadzącym ponoć do samego piekła. A może już w nim tkwiłam, głęboko pod ziemią? Nie. W piekle raczej nikt nie używa latarek, a jedna razila mnie w oczy kłującym światłem.

– Chciałaś umrzeć, wtedy w wannie. Nie pierdol mi, że nie – dobiegł mnie głos Huberta i zrozumiałam, że to nie potwór mnie zabrał, a przynajmniej nie ten potwór, którego obstawiałam.

Zasłoniłam oczy ręką. Drugą opierałam o kanciasty kamień. Bił od niego przejmujący ziąb. Szczęk moich zębów zagłuszał śmiech Huberta.

– Oliwa nieżywa, Kamila – ciągnął ze swadą. – Diabeł łaknie krwi, ty ją sobie utaczasz. Pasujecie do siebie jak pięść do nosa, czyli w tym przypadku – całkiem nieźle!

Utaczam sobie krwi, pomyślałam półprzytomnie? Racja. Wspominam wannę, żyletki, martwą mamę zwisającą na powrozie bieleńnianego sznura. Plamę na sukience. Ból i wstyd, i niechęć. Konsekwentnie powracające pytanie: czy to była moja wina?

– Nie, nie była – naraz odpowiedział mi inny, znajomy głos. Dostrzegłam spódnice w maki łopoczącą jak żagiel na nocnym morzu. Pod nią białe, lakierowane pantofle na szpilce, tak czyste i błyszczące, że wokół nich przeżyły się łuki świetlistych aureoli. Musiałam przymrużyć oczy.

– Chcesz przecież żyć, kochanie. Nie poddawaj się – I nagle w ustach majaka mojej martwej matki wszystko nabrało sensu. Najoczywistsza

ludzka prawda objawiła mi się w całej rozciągłości. Tylko to jedno mamy – życie, a gdy ono się skończy, skończy się cały świat.

Spróbowałam odepchnąć brutalne ręce Huberta, ale odpłynęła ze mnie cała krzepkość.

– Nie miotaj się, Kamila. Nie ma innego wyjścia, ktoś musi odkupić nasze grzechy – perorował dalej Buczek. Pchnął mnie na ziemię, chwycił za włosy i wcisnął mi głowę w czarny lej przepaści niby w muszlę brudnego klozetu.

– Muszę cię złożyć w ofierze. Wrzucić do dziury!

Dziury... ury... ury... ry... ry... ry... – podchwyciło echo.

Zwisałam bezwładnie nad rozpadliną. Hubert trzymał mnie teraz tylko za koszulkę. Wystarczyło, by puścił i spadłabym na samo dno. Przypomniał mi się ten słynny cytat o patrzeniu w otchłań. Czy ona patrzyła też we mnie? Zabawne, bo ciemność nie była aż tak nieprzenikniona. Moje oczy się z nią oswoiły. Kontury nabrały kształtów, najpierw czarnych, potem ciemnozielonych, jak za woalem noktowizora. Wyłowiłam wzrokiem coś w dole. Coś dużego, przyczajonego. Ogromny łeb z piętrzącym się wieńcem rogów. Para rozdymanych nozdrzy i mnogość powciskanych w ciało kulek oczu. Dziwnie łagodne, błyszczące jak rtęć tęczówki.

– Do dziury! Do dziury! – powtarzał Hubert z siłą rzucanego zaklęcia, a łeb stwora sunął ku powierzchni, zbliżał się do mnie.

Dosięgnęłam jednego z rogów. Był ciepły i suchy w dotyku jak gadzia skóra. Zacisnęłam palce w mocnym uchwycie, znalazłam stabilną podporę dla wychylonego w przód ciała. I nagle ogarnęło mnie rozbawienie. Trzymałam się diablego rogu i Buczek już nic nie mógł mi zrobić, choć jeszcze o tym nie wiedział. Pławił się dalej w swoim poczuciu władzy, płasząc wokół rozpadliny jak jakiś mroczny kapłan.

– Otwór... – zachichotałam.

– Co? – warknął Buczek nie rozumiejąc. Pochylił się nade mną i wywarczał przez zęby. – Z czego rżysz, debilko?

– Moja pani od fizyki mówiła... – Przez dławiący śmiech nie mogłam się wysławić. – Mówiła, że dziura... jest w dupie. Wszystko inne to otwór.

Czułam eksplozję jego urażonej dumy i kipiel wściekłości. A potem Buczek puścił fałdę mojej koszulki i poleciałam w ciemność, w przestwór rzeńskiego powietrza.

Nie, nie runęłam w dół. Nie popędziłam ku ziemi. Zawisłam swobodnie, uczepiona gigantycznego rogu. Znalazłam oparcie dla stóp na innych kostnych wypustkach i po chwili trzymałam się mocno i pewnie.

Opuściłam wzrok niżej i on tam był. Moje spojrzenie zderzyło się ze spojrzeniem srebrnego oka, mętnego od roziskrzonych drobin i ruchliwych fraktali. Gorzał tam kosmiczny maelstrom i im dłużej weń spoglądałam, tym jaśniej widziałam rządzącą nim prawidłowość. Wtedy zrozumiałam z całą pewnością, że jesteśmy bardzo daleko od domu, ale także znalazłam odpowiedź na najważniejsze pytanie – jak do niego wrócić.

Buczek nadal kucał przy skraju przepaści z miną człowieka, który wypełnił kłopotliwą misję, gdy rogaty łeb wynurzył się z mroku, ciągnąc mnie za sobą jak ogon komety. Złapałam chłopaka za kołnierz i pchnęłam go w czeluść. Nie spodziewał się tego. Próbował się mnie uczepić, ale spóźnił się o milisekundy. Jego palce musnęły materiał moich szortów.

W locie zatrzepotał rękami, jakby w przebłysku desperacji uwierzył, że może jeszcze zamieni się w ptaka i jakoś z tego wyjdzie.

* * *

Obudziło mnie słońce. Gorące, czupurne, raz po raz kłuszące skórę. Coś się zmieniło.

Wszystko się zmieniło.

Trawa wpijała się w policzek, woń lasu otulała jak ciepły pled. Byłam wyspana, wypoczęta. Kompletna? (Jakby kawałki, na które roztrzaskałam się po śmierci mamy, cudownie się skleiły). Przeciągnęłam się i ziewnęłam. Rozdziawiłam usta jak wieloryb, chcący połknąć przeszłość, przefiltrować ją i zostawić sobie tylko to co dobre, a resztę wypluć ze strugą wody.

Podniosłam się na łokciach. Jednocześnie zanotowałam, że wokoło mnie rósł ciąg muchomorów o czerwonych kapeluszach lukrowanych białymi kropkami. Okalały mnie jak linie nakreślone na policyjnym miejscu zbrodni. Kiedy wstałam, wciąż dostrzegałam obrys własnego ciała. Rozrzucone na bok ręce i nogi jak u człowieka witruińskiego.

Zerwałam rozłożysty kapelusz z jednego z grzybów. Dotknęłam aksamitnej harmonijki. Białych, brzuchatych blaszek, gęsto ułożonych jak blizny na moich przedramionach. Jego miąższ był delikatny, kruszył mi się w palcach.

Dotarło do mnie, że nieopodal leży reszta mojej wakacyjnej paczki – Wojtek, Bartek, dalej Madzia. Wszyscy ogrodzeni dopasowaną, krwistą lamówką z muchomorów. Brakowało tylko Huberta. Pamiętałam czemu.

Tak z grubsza wyglądał nasz powrót.

Teraz, z perspektywy czasu niczego nie jestem bezwzględnie pewna. Wojtek chciał uzgodnić wspólną linię wydarzeń, ale wspomnienia kończyły się na nocnej akcji na świetlicy i samoistnie uruchomionym teleodbiorniku. Dalej nic, czarna plama. Ja pamiętałam więcej, ale sto procent przemilczałam.

– Wracajmy do Muchomorka – zarządziłam po wstępnych dysputach.

Tym razem las przepuścił nas bez przeszkód – znajomymi, przetartymi ścieżkami. Już z daleka dobiegły nas śmiechy i zapachy smażenia. I trel zakochanego Steviego Wondera.

Wyobrażacie sobie, że rodzice nawet nie zaczęli nas szukać? Wybudzili się przed południem po owej tanecznej libacji i powoli rozkręcali kolejną. Sądziłi chyba, że jeśli włączymy się całą bandą, to nic złego nie może się nam przytrafić. Generalnie nikt przesadnie nie martwił się wtedy o dzieci. Nie mam pojęcia, jak świat mógł tak bardzo się zmienić przez następnych dwadzieścia lat, ale faktem jest, że się zmienił. Gdy sama doczekałam się dziecka, place zabaw zmieniły się w fortece obstawione przez komando mamusiek, a dzieci kontrolowało się dzięki wmontowanym w telefony lokalizatorom GPS. Mnie, jako kilkulatce, zezwalano wychodzić na podwórko rano i wracać przed zachodem słońca, z jedyną wytyczną, że mam się meldować na obiad. Brzmi prawie niewiarygodnie, prawda?

Także wtedy, po powrocie do Muchomorka, ojciec tylko do mnie pomachał i się uśmiechnął.

– Jak leci, mała? Wszystko w porządku? – Wygiął się w leżaku, wystawiając twarz do słońca.

– Tak. Tylko Hubert się zgubił – oświadczyłam wszem i wobec.

No i rozgorzała panika.

Waldemar Buczek dopadł do mnie, miażdżąc mi ramiona z taką siłą, jakby chciał przetestować, czy nie pęknę jak wydmuszka. Ojciec rzucił mi się na pomoc. Oplótł ramieniem szyję Buczka w dość skutecznym chwycie, aż tamten nadął się i poczerwieniał.

– Waldek, uspokój się, do cholery! – krzyczał ojciec.

Stara Buczkowa doznała wyjątkowo ekspresywnego ataku hysterii. Lamentowała jak płaczka na pogrzebie państwowego dyktatora i wykrzykiwała na całe gardło imię syna, jakby miał zaraz wyjść spośród drzew i powiedzieć coś w stylu: „no już, mam, to tylko taki głupi żart”. Tyle że nikt nie żartował, Hubert naprawdę zniknął i tylko ja znałam szczegóły tego zajścia. Szczegóły tak nieprawdopodobne, że nie do powtórzenia.

– Kamila, gdzie Hubert się zgubił? – indagował tym razem ojciec Królów, klęcząc naprzeciwko mnie i przemawiając łagodnie.

– Nie wiem. Chyba w lesie.

– Chyba?

– Sama nie wiem.

– Kiedy go ostatnio widzieliście? – Król przenosił wzrok na wszystkie dzieciaki po kolei i w końcu do rozmowy włączył się jego syn, Wojtek:

– Kilka godzin temu. Byliśmy razem w jaskini, potem zniknął.

Sama nie wiem, dlaczego skłamał. Może przez swój syndrom nieskalanego rycerza biegnącego na pomoc białogłowom, który nakazywał mu zasłonić mnie piersią? A może uznał, że nasza wyprawa do jaskini była ostatnim przebłyskiem realności, a cała reszta – zbiorowymi rojeniami wywołanymi przez zarodniki muchomorów?

Przeczesano okoliczne lasy. Powiadomiono milicję. Ekipa poszukiwawcza liczyła kilkadziesiąt osób, w większości miejscowych ochotników z Zawad. Trafiono także do rzeczonoj jaskini i wyjątkowo głębokiej szczeliny skalnej. Tę spenetrowali grotolazi, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała jej struktura i ich środki (tak brzmiała oficjalna wersja, choć widziałam ich twarze, kiedy wychodzili z pieczary i powiem wam jedno – w ich oczach mościł się żywy, organiczny strach).

Dzień przed końcem turnusu wróciła Kulka. Nie mam pojęcia, gdzie się włóczył ten pies, ale był paskudnie poturbowany i wychudzony. Czołgał się, szorując brzuchem po ziemi i płoszył się na każdy szmer. Mimo wszystko nie było mi Kulki specjalnie żal. Zasłużyła sobie na wszystko, co jej się przytrafiło.

I to tyle. Wakacje się skończyły.

– Co się z nim stało, Kamila? – Wojtek zapytał o to dopiero przy samym pożegnaniu, kiedy samochody stały już spakowane przed bramą wjazdową, na rozgrzanych silnikach, buchające sinym wyziewem z rur spalinowych.

– Tamtej nocy Hubert ogłuszył mnie i zawlókł do jaskini – wyznałam pospiesznie. – Chyba sądził, że ofiara z człowieka nasyci diabła. Zrzucił mnie w przepaść.

– Pewno ci się śniło. – Wojtek mi nie uwierzył.

– Mam strupa na głowie.

– Mogłaś się uderzyć kiedy indziej.

Pokręciłam przecząco głową. Mój ojciec krzyknął do mnie z za opuszczonej szyby malucha:

– Kamila, jedziemy!

Chciałam odbiec, ale Wojtek przytrzymał mnie za ramię.

– On nie żyje, prawda? – zadał mi to ostatnie, dręczące go pytanie.

– Myślę, że żyje – odparłam zgodnie z moimi przeczuciami. – Tam, w ciemności, jest całkiem inny świat, Wojtek. Tam granica między życiem i nieżyciem nie jest tak wyraźna, a wieczność i chwila obecna zbiegają się w jednym punkcie.

Nie rozumiał mnie, ale zachował nasz sekret. Wszyscy go solidarnie zachowaliśmy.

Po powrocie nie szukaliśmy ze sobą kontaktu, nie próbowaliśmy dochodzić prawdy ani rozkładać naszych wspomnień na czynniki pierwsze. Zaakceptowaliśmy fakty, tak jak akceptuje się życie. Można go nie rozumieć, ale ostatecznie trzeba się do niego dopasować (albo się z nim pożegnać).

Następnego roku ojciec zmienił pracę i już nigdy więcej nie pojechaliśmy na lotnisko do Zawad, nie spotkałam też Królów ani Madzi. Wspomnienia znikwały stopniowo pod naporem codzienności, jak wyschłe kości przykryte warstwami ziemi nanoszonej przez eony. W końcu tamte zdarzenia przebrzmiały i przysły w absolutnym zapomnieniu.

Aż do teraz, kiedy odtworzyłam je w głowie na nowo.

Dziś wracam na skraj rozpadliny i jestem gotowa zadać sobie wszystkie przemilczane pytania. Chociaż minęły długie dekady, XXI wiek właśnie rozpoczął drugą połowę swojego istnienia, a moje ciało jest stare, to umysł wciąż lotny i głodny. Mówi się, że starość się panu Bogu nie udała, ale to nieprawda. Starość ma swoje zalety. Leczy nas ze strachu i w pewnym sensie zrównuje na powrót z dziećmi – nieczułymi na konsekwencje i przez to odważnymi.

Zaraz znowu zajrzę w otchłań, i wiecie co? W skrytości liczę, że otchłań spojrzy również we mnie – srebrzystymi oczami Pana Lasu.